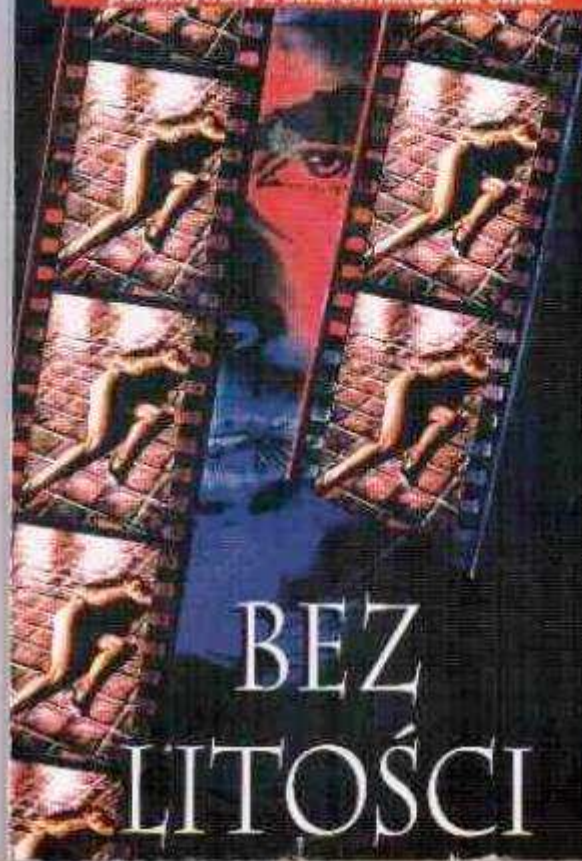


David Lindsey

Klasyk i mistrz thrillera psychologicznego
porównywany z autorem *Milczenie owiec*



BEZ LITOŚCI

ANTYK
SERIA

ANTYK
SERIA

spablo

David L. Lindsey

**Bez
litości**

Joyce której cierpliwość jest prawdziwie wielką cnotą...

*Tyle uciechy ze mną mając skrycie,
że w łonie brzemię uczułam rosnące.*

JOHN MILTON

Raj utracony, II, 933-934

Grzech do Szatana,
mówiąc o ich synu: Śmierci
(przełożył Maciej Słomczyński)

*A jednak to co w teorii tak rozpaczliwie odległe,
bez trudu znajduje miejsce blisko siebie
w tak pełnej paradoksów ludzkiej duszy...*

CARL GUSTAV JUNG

Freud i psychoanaliza

CZĘŚĆ PIERWSZA

Prolog

Czwartek, 11 maja

Sandra Moser stanęła na środku obszernego holu swego domu. Uniósła ręce i zaczęła zbierać blond włosy z tyłu głowy. Miała na sobie obcisły, różowy elastyczny strój gimnastyczny i białe rajstopy. Ściągnęła włosy, objęła je drobną dłonią o pomalowanych na różowo paznokciach, wyjęła z ust gumkę i dwoma szybkimi ruchami owinęła ją wokół końskiego ogona. Równocześnie przysłuchiwała się głosom dobiegającym z telewizora, grającego w graniczącym z holem pokoju dziennym, gdzie dzieci – ośmioletnia Cassie i sześciolatek Michael – właśnie jadły hamburgery pod opieką służącej.

Przed chwilą dała im po całusie na pożegnanie, na co odpowiedziały jej „cześć”, jak zwykle kiedy wychodziła na kurs aerobiku. Stała jeszcze przez chwilę, przysłuchując się cichemu, stłumionemu kaszlowi Cassie. Kończąca trzecią klasę córka dostała rano pierwszego tej wiosny ataku alergii. W okresach wzrostu stężenia zarodników pleśni w powietrzu, Cassie zapadała na chroniczne zapalenie zatok. Sandra poprawiła dolny skraj trykotu, by nie wcinął się w pachwinę, i pomyślała, że przed wyjściem powinna zmierzyć Cassie temperaturę. Dzieci śmiały się z czegoś w telewizji, ich głosiki brzmiały bardziej realnie i głośniejsz niż śmiech „widzów” z taśmy i Sandra postanowiła zaczekać z termometrem do wieczora.

Kiedy z szafy przy drzwiach brała torbę gimnastyczną

z monogramem, zauważyła, że na wewnętrznej stronie drzwi wisi parasol męża. Andrew nigdy nie chciał brać go ze sobą, twierdząc, że jedynie przewala mu się po samochodzie i ciągle przeszkadza. Poza tym nigdy go nie potrzebuje, parkuje przecież w garażu, skąd idzie do pracy zadaszonymi przejściami. Sandra przypominała mu, że wiele razy przemókł do suchej nitki – ze trzy razy w trakcie ostatnich trzech miesięcy – ale zbywał jej uwagi wzruszeniem ramion twierdząc, że to czysty przypadek.

Zdjęła parasol z haczyka i oparła o chiński stoliczek – dla pamięci, by po powrocie włożyć go Andrew do samochodu. Poruszanie się bez parasola było absurdalne, zwłaszcza na wiosnę. Pomyślała o Gwyn Sheldon – jej mąż miał parasol z taką samą rączką – i postanowiła zadzwonić do niej po powrocie. Chciała omówić pewien pomysł dotyczący zdobycia funduszy na studia dla dzieci i pospiesznie wypadła na zewnątrz. Piętrowa willa w stylu georgiańskim, w której mieszkali, znajdowała się w gęstym piniowym lesie w Hunters Creek, jednym z wielu osiedli zachodniego Houston, znanych pod wspólną nazwą Memoriał Villages. To jedno z najbogatszych przedmieść w kraju.

Pół godziny temu nad Villages przeszedł odświeżający wiosenny deszcz; umył ulice i domy, a drzewa zaczęły pachnieć. Wrzuciwszy do granatowego jeepa wagoneera torbę, Sandra usiadła za kierownicą i głęboko wciągnęła w płuca zapachy wilgotnego wieczora. Uruchomiła silnik, zapięła pas i zapaliła reflektory; zrobiło się już dość ciemno. Objechała rosnącą przed domem kępę magnolii

i żwawo ruszyła zjazdem, ograniczonym białym płotem, porośniętym krzewami ognika szkarłatnego. Dojechawszy do ulicy, stanęła, by przepuścić nadjeżdżający samochód, i spojrzała na zegarek. Była za dwadzieścia siódma. Aerobic zaczynał się o ósmej, a Andrew będzie do dziesiątej na cotygodniowej konferencji.

Szybko przejechała mokrą ulicą, po której hulał wiatr, i wkrótce dotarła do głównej arterii północ-południe. Po niecałych dwóch kilometrach znalazła się w Woodway, gdzie po skręceniu w lewo dojechałaby do Sabrina's, siłowni, w której zajmowano się i tak już szczupłymi ciałami kobiet z Village. Sandra Moser nie skręciła jednak w lewo. Przemknęła przez skrzyżowanie i skręciła w lewo na następnym, w San Felipe, przecięła drogi Briargrove, Post Oak Estates oraz Tanglewood i po raz pierwszy skręciła w prawo dopiero w elegancki Post Oak Boulevard. Otoczenie Galerii, znane jako Uptown Houston, jest największą w Ameryce podmiejską dzielnicą biznesową. Jego najnowszą perłą jest Pavilion, filia domu towarowego Saks Fifth Avenue, postawiony za wieśset milionów dolarów, oddzielony od bulwaru rzędami dwudziestometrowych palm, kompleks eleganckich sklepów. Kiedy Sandra Moser do nich dojeżdżała, migotały w mgielce, niesionej znad znajdującej się osiemdziesiąt kilometrów na południowy wschód Zatoki Meksykańskiej.

Czarny, mokry asfalt odbijał światła biurowców i wznoszących się wysoko kompleksów mieszkalnych. Sandra Moser zjechała na prawy pas, przecięła szybko strumień samochodów i pomknęła w kierunku hotelu Doubletree. Jest to budynek o płaskiej fasadzie,

a zrobiona ze szkła centralna część przypomina kurtynę, opadającą miękko ku konstrukcji z zachodzących na siebie dwóch szklanych „półwalców”, zadaszających główne wejście do hotelu. Nie zatrzymała się widząc zmierzającego ku niej portiera w liberii, skrzyła za róg ku wjazdowi do garażu. Z automatu przy wjeździe wzięła bilet parkingowy, a kiedy szlaban się podniósł, wjechała. Znalazła wolne miejsce dopiero na trzecim poziomie. Wzięła torbę, zamknęła samochód i poszła do windy, którą zjechała do foyer.

Pokazała recepcjoniście fałszywe prawo jazdy i zaznaczyła, że płaci gotówką. To prawo jazdy kosztowało ją sporo pieniędzy i kłopotów, ale mężatki musiały przedsięwziąć środki ostrożności – w ich wypadku struna była bardziej naciągnięta, a taniec na linie wymagał większej zręczności niż w przypadku pozostałych. Wysilek jednak się opłacił – dokument służył jej od ponad dwóch lat. Poprosiła o pokój z widokiem na bulwar, możliwie jak najwyżej. Po podpisaniu zgłoszenia meldunkowego i zapłaceniu, odprawiła boya i poszła przez olbrzymie foyer prosto do wind. Jej wysoko wycięty przy biodrach, głęboko wydekoltowany strój i bardzo zgrabna sylwetka powodowały, że odwróciło się za nią wiele głów. Sandra Moser była piękną kobietą.

Wysiadła na siódmym piętrze, szybko znalazła swój pokój niedaleko windy, przeciągnęła kartę magnetyczną przez czytnik nad klamką, poczekała na trzask otwieranego zamka i weszła do środka. Nie zapalała światła – jednym szybkim ruchem rzuciła torbę oraz kartę na łóżko i podeszła prosto do okna, by odsunąć zasłony. Po

lewej wznosiła się ku niebu grupa wieżowców. Światła ich okien drżały za zasłoną mgiełki niczym rzędy mrugających oczu, wpatrujących się w nią, znakomicie widoczną w odsłoniętym oknie. Widok z wieżowców byłby niezwykle atrakcją dla każdego podglądacza. Rosnące za lśniącem bulwarem palmy z obwisłymi gałęziami, z których skapywała woda, tworzyły surrealistyczny obraz, wyglądały bowiem tak, jakby stały na środku pustyni z zielonego piasku.

Sandra Moser podeszła do telefonu i wykręciła numer. Powiedziała do słuchawki kilka słów i wróciła do okna. Stojąc nieruchomo jak posąg, podniosła ręce do karku i zaczęła ściągać gumkę z włosów. Niestety, ręce jej drżały, a koński ogon był związany zbyt ciasno. Kiedy gumka pękła z traskiem, Sandra aż się wzdrygnęła. Przyglądała palcami włosy, odrzuciła gumkę na bok i potrząsnęła głową. Wzięła głęboki oddech. Pokój był czysty, nie czuć w nim było papierosowego dymu. Czysty i świeży.

Od tej chwili będzie inaczej niż za każdym poprzednim razem. Dotychczas się uczyła. Nauka trwała długo, spowalniana przez jej lęki i psychologiczne bariery. Bez pomocy, być może, nigdy nie osiągnęłaby poziomu, do którego właśnie dotarła – gdyby nie prowadzono jej fachową ręką, nie zachęcano dobrym słowem oraz nie wspierano cierpliwie i ze zrozumieniem. Osiągnęła stopień wtajemniczenia, na którym będzie musiała całkowicie zrezygnować z samej siebie – inaczej nigdy nie zrozumie tego, czego poznanie jest dane jedynie nielicznym. Nie ma w tym nic skomplikowanego. Informacja, jaką otrzymała, wyjaśniała wszystko, ale już od dawna czuła, co

się zdarzy. Ciało to wrota duszy. Już raz niemal jej się udało, prawie przekroczyła granicę, rzuciła na szalę swoją tożsamość i poczuła, że coraz bardziej obezwładnia ją emanacja drugiego człowieka.

Drżenie rąk nasiliło się, kiedy zaczęła zdejmować trykot. Od-rzuciła go na bok. Ściągnęła rajstopy i uwolniona z ciasnej pajęczy-ny skóra zaczęła mrowić, jakby muskały ją miliony delikatnych paluszków. Stojąc nago przed oknem, wystawiała swe ciało na wi-dok, prezentowała się cała migoczącym i mrugającym ku niej oknom. Podjęcie decyzji spowodowało, że cała płonęła – od tygo-dnia nie była w stanie myśleć o niczym innym. Nareszcie uniesie się kurtyna skrywająca to, co zawsze wypierała ze świadomości.

Kiedy rozległo się energiczne pukanie do drzwi, wzdrygnęła się. Jeszcze przez chwilę stała nieruchomo – naga, zwrócona twarzą do nocy pełnej światła. Było już naprawdę późno. Mijając w drodze do drzwi łóżko, wzięła z niego kartę magnetyczną. Sama nie wiedząc dlaczego – nigdy przedtem tak nie robiła – nie otworzyła drzwi, lecz uklękła i wsunęła prostokąt plastiku w szparę pod nimi.

Jakby umieszczała ją w obiecany, z tak wielkim niepokojem oczekiwany nowym świecie. Cofnęła się powoli, słysząc jak karta wsuwa się w czytnik, zamek trzaska, rozlega się podwójne skrzyp-nięcie naciskanej, potem puszczanej klamki. Widziała, jak kreska światła rozszerza się w szeroką jaskrawą poświatę, otaczającą kontur sylwetki niczym oślepiająca biała aura. Po chwili jaskrawość prze-szła w mrok, światło zwęziło się do cienkiej kreski przy podłodze, a postać zniknęła w ciemności korytarza.

Sandra wróciła do okna i wyglądając na zewnątrz, czekała w ciemności, wsłuchiwała się w odgłosy za plecami, powstające przy opróżnianiu niewielkiej skórzanej walizki. Niemal natychmiast uchwyciła ciężki, piżmowy zapach szminki i olejku, potem dobiegł ją metaliczny brzęk sprzączek, sztywny szelest bibułki, niemal pozbawione dźwięku stuknięcia hebanowych paciorków, fala oddechu i zapachu perfum „Je reviens”. Zaplanowała to sama, jak choreograf wyznaczyła z najdrobniejszymi szczegółami odpowiednią sekwencję dźwięków i zapachów. Drżała nie tylko dlatego, że wszystko pasowało do jej wyobrażenia, ale też z zachwytu, gdyż urzeczywistniano każdy szczegół ustalonego przez nią scenariusza. Choć wydarzenia, które zaraz nastąpią, będą się toczyć bez względu na to, jak bardzo by prosiła o ich przerwanie, to tak naprawdę – dzięki przyjętym z góry założeniom – ona panowała nad sytuacją. Mimo wszystko nie była jednak w stanie opanować niepokoju. Miała wrażenie, że deszcz przenika przez szyby.

Wszystko – jak w japońskim balecie *no* – zdawało się trwać godzinami. Bardzo szybko „coś” przemieniło czas, który zaczął biec inaczej, w sposób niemożliwy do zmierzenia. Wypełniła go rozmowa, a właściwie monolog, gwałtowna dysputa z samą sobą, w której Sandra Moser rozpoznawała znajomy niepokój własnego hamowanego pobudzenia. Choć omówili wszystko przedtem, ustalili każdy akt i scenę, każdą sylabę dialogu, każdy ruch dłoni, języka i miednicy, nie obyło się bez niespodzianek – zaskoczona została zarówno jej sfera podskórnych przeczuć, jak i zmysły, nie spodzie-

wające się obopólnej milczącej zgody na jak najdłuższe przeciąganie wypełnionego erotycznym napięciem preludium.

Kiedy skończył się wstęp, leżała na łóżku, z którego zostało zdjęte i rzucone w kąt wszystko poza prześcieradłem. Ręce i nogi miała wyprostowane i rozciągnięte na boki, nadgarstki przywiązane. Wsłuchiwała się w szept, czując równocześnie pasek zaciskający się wokół lewej kostki. Część słów rozumiała, części nie i choć doskonale wiedziała, że jej ciało dokonuje aktu oddania, który przebiegnie w kontrolowany sposób, tak ustalony, aby osiągnęła doświadczenie o dotychczas nie znanym jej zakresie, z trudem zachowywała spokój. Brała długie, głębokie oddechy. Wiedziała, że podstawowe znaczenie ma zaufanie. Pamiętała, że ciało to wrota duszy. Jeszcze nigdy w życiu nie była tak skoncentrowana. Kiedy zapięto ostatnią sprzączkę, nagle poczuła się lżejsza od powietrza – jakby została nie związana, lecz uwolniona. W ułamku sekundy pojęła, że całkowita bezradność oraz pełne poddanie to para skrzydeł, pozwalających na wzniesienie się, na lot w wielką czarną pustkę.

Zaplanowany scenariusz był realizowany w najdrobniejszych szczegółach. Krzyczała, wiała się i walczyła z pętami, żebrała, by wszystko się skończyło, błagała o to, akt trwał jednak dalej. Najpierw przekroczyła barierę, która zdawała się granicą wytrzymałości, potem pokonała miarę, która wydawała się maksimum osiągalnej przyjemności, na koniec – dokładnie jak zostało obiecane – wkroczyła w obszar jeszcze dalszy niż to, co wydaje się niemożliwe do osiągnięcia. Unosiły ją i kołysały fale przyjemności, jakich dotych-

czas sobie nie wyobrażała, spadała w doliny między kolejnymi szczytami, by zaraz znów się wznieść tam, gdzie kłębiły się odczucia, o których nawet nie śniła. Czasami, aby nie stracić kontaktu z rzeczywistością, patrzyła na rozpryskujący się o szybę deszcz, wbijała wzrok w punkty światła, tworzące chaotyczne tło dla znajdującej się nad nią postaci. Kiedy tempo wzrosło, znów osiągnęła zdolność zespolenia się z oddechem drugiego człowieka. W tym momencie wzniosła się na szczyt najpotężniejszej dotychczas fali – znajdowała się na niebotycznej wysokości, skąd widać prawdziwy strach. Czyste przerażenie. Znalazła się zbyt wysoko, zaszła za daleko, rzeczywistość skurczyła się do przerażająco małych rozmiarów i ciągle malała. Zaczęła błagać o koniec, ale akt trwał dalej. Robiło się coraz gorzej i gorzej i na chwilę ogarnęła ją panika, niemal spadła w otchłań utraty przytomności, na szczęście przypomniała sobie bezpieczne słowo.

– Litość... – jęknęła czekając na ratunek. – Litość!

Ratunek nie nadszedł, za to świat rozprysnął się w wybuchu czerwonepomarańczowego światła.

Pierwsze uderzenie złamało jej szczękę.

Poczuła wbijające się w jej ciało zęby, które zaczęły żuć żywe mięso.

Była całkowicie otępiała.

– Litość...

Drugi cios trafił ją prosto w nos.

Przerażona, słuchała gorączkowego szeptu, tak szybkiego teraz,

że niczego nie mogła zrozumieć, szybszego niż usta są w stanie formułować słowa i nagle została zawołana imieniem, którego nigdy przedtem nie słyszała, potem oskarżona o czyny, jakich nigdy nie dokonała.

– Litość.

Nastąpił kolejny cios. Niesamowite, odrętwiające wrażenie wbijających się w ciało zębów rosnęło. Były wszędzie, nie istniało żadne tabu.

Rozpaczliwie potykała krew, spływającą z nosa, i próbowała przejrzeć zamglonymi od szoku oczami. Nie tak to miało się odbyć... nie tak. Usłyszała brzęk sprzączki, coś wsunęło się pod jej kark i poczuła po obu bokach nagie kolana. Pas był szeroki i gruby, objął szyję niczym wysoki kołnierz, a kiedy powoli się zaciesniał, uszy wypełniło jej pulsujące dudnienie. Serce załomotało, zatrzęsło nią, jakby miało wybuchnąć. Zaraz jednak straciła słuch, jej serce przestawało bić. Odpływała. Kiedy duch niemal opuścił ciało, została brutalnie sprowadzona z powrotem do rzeczywistości – poprzez huk w uszach, łomot serca, ból i niewyobrażalne cierpienie.

Potem pas znów się zacisnął.

Czas liczył się już tylko poprzez rytm odpływania i powracania świadomości. Wszystko zostało zniszczone, każdy, nawet najmniejszy drobiazg, zarówno to, co się działo, jak i każdy przypominający się jej rok życia. Choć nie pozwoliła ani nie zabroniła, dała prawo do bawienia się jej życiem, perwersyjnego sprowadzania jej raz za razem zza granicy, szeptem, którego nie można było pojąć, wołać ją

nigdy przedtem nie słyszonym imieniem i oskarżać o czyny, których nigdy nie popełniła. Niewinny pozostał jedynie deszcz i to on był ostatnią rzeczą, której istnienie dotarło do jej świadomości.

Rozdział pierwszy

Poniedziałek, 29 maja

Detektyw Carmen Palma stała na niewielkim trawniku, w bladym cieniu robinii, rosnącej przy schodach prowadzących do budynku administracji wydziału policji Houston. Jej oczy osłaniały oprawne w szylkret okulary, mające chronić przed blaskiem rzuca-
nym przez setki przednich szyb i tysiące chromowanych elementów stojących na parkingu po drugiej stronie ulicy samochodów. Z lewej strony, na rzut kamieniem od budynku, pod labiryntem wiaduktów i estakad Gulf Freeway wiała się martwa odnoga Buffalo Bayou, a za autostradą, na tle jaskrawego, rozświetlonego przedpołudniowym słońcem nieba, wznosił się, niczym zacieniona szklana skarpa, ciąg drapaczy chmur. Na północny zachód sunęły kłęby wypiętrzonych, pełnych wilgoci chmur znad zatoki, które za dwie, trzy godziny miały ustąpić miejsca bijącemu gorącem, atramentowemu niebu. Był ostatni tydzień maja i od siedmiu dni temperatura przekraczała trzydzieści stopni. Niezwykle wilgotna i łagodna zima pozwoliła bujnej, podzwrotnikowej florze Houston wejść w okres maksymalnej wege-
tacji; przy panującej obecnie męczącej tropikalnej aurze, miasto przypominało duszne wnętrze szklarni.

Palma wyszła właśnie z laboratorium kryminalistycznego, które odwiedziła, by zapoznać się z wynikami badania porównawczego naboju znalezionej na miejscu pewnego zabójstwa na zlecenie. Miała nadzieję, że pocisk okaże się identyczny z tymi, jakie zostały

wystrzelone z pistoletu samopowtarzalnego AMT Longslide kaliber 45ACP, którym popełniono inne morderstwo. Nie okazał się identyczny.

Gdy przekazywano jej tę informację, z biura w znajdującym się po drugiej stronie ulicy wydziale zabójstw zadzwonił Birley, że zaraz muszą się udać na miejsce zbrodni w zachodnim Houston. Powiedział, że idzie do garażu po samochód, by jak najszybciej podjechać przed budynek administracji. Palma podziękowała badającemu pociski ekspertowi, szybkim ruchem wzięła ze stołu styropianowy kubek z kawą, zarzuciła torbę na ramię i ruszyła pustymi korytarzami do wyjścia. Kiedy wyszła na zewnątrz, ogarnęła ją fala powietrza jak gorący wyziew bagna. Kiedy dołączył się do tego zgrzytliwy monotonny odgłos ruchu na autostradzie, jej żołądek zaprotestował przeciwko wypitej kawie. Wylała resztkę płynu na asfalt i idąc przed siebie, zastanawiała się nad okolicznościami morderstwa, nad którym pracowała. Nie zdając sobie z tego sprawy, paznokciem kciuka robiła dziury w krawędzi kubka.

Carmen Palma była bardzo wysoka jak na Latynoskę, miała metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, mocno zarysowane biodra, figurę nieco pulchniejszą niżby sobie życzyła. Ćwiczyła regularnie, aby na brzuchu i biodrach nie gromadził się zbędny tłuszcz. Żywiła nadzieję, że ćwiczenia pomogą nieco zmniejszyć biust. Czarne, równo obcięte włosy sięgały ramion, były więc wystarczająco długie, by je ładnie ufryzować, kiedy akurat nie bawiła się w policjantkę, i na tyle krótkie, by nie przeszkadzały w pracy, jednym ruchem mogła je

spiąć na karku. Nie szminkowała ust, nie musiała też stosować maki-
jażu – przywilej ten matka natura zastrzegła dla określonego typu
kobiet o śniadej cerze. Czarne jak węgiel brwi nie potrzebowały ani
podkreślania kredką konturów, ani regulowania. Nie poświęcając
temu większej uwagi, obwodziła konturówką oczy, które – jak
w dzieciństwie zademonstrowała jej to przed lustrem matka, przyło-
żywszy do policzka kawałek drewna – miały ten sam kolor co jodło-
szyn.

Dzień zaczął się źle, wszystko szło nie tak, nawet nim otrzyma-
ła deprymującą wiadomość z laboratorium kryminologicznego, wła-
ściwie już w momencie, kiedy zaspana weszła do kuchni i zerwała
kartkę z kalendarza. Stała zapatrzona w odkrytą cyfrę i naskrobaną
obok notatkę – zaskoczona, urażona, wzburzona i wściekła na samą
siebie. Potem odwróciła się, by przygotować kawę. Wyszła za moc-
na. Przy ubieraniu porwała nowe rajstopy, potem upuściła na podło-
gę zakrętkę kolczyka. Nie mogła jej w żaden sposób znaleźć. Kiedy
wróciła do kuchni, usiadła, zaczęła popijać drobnymi łykami smoli-
stą kawę i wyglądając na wyłożone terakotą podwórze, kolejny raz
postanowiła, że załatwi sprawę po swojemu. Większość problemów
tak rozwiązywała – nauczona przez ojca, że długi oddech
i systematyczność prędzej doprowadzą do celu niż gwałtowny, krót-
ki wybuch aktywności. Często o tym myślała, także teraz, kiedy
negatywny wynik badania balistycznego rozwiął jej nadzieje na
przyszpilenie faceta, któremu tak długo sprzyjało szczęście, że moż-
na to już było uważać za statystyczny cud.

Kiedy Birley podjechał do krawężnika, Palma już zdążyła się spocić. W ciągu ośmiu lat pracy w policji – w tym cztery w wydziale zabójstw – dogłębnie przerobiła temat: „Elegancki strój a praca detektywa”. Doszła do wniosku, że otrzymywana za tę pracę pensja nie pozwala na zakup garderoby, jaką widuje się w centrum na energicznych, długonogich elegantkach, zresztą nawet gdyby pozwalała, ubrania te byłyby całkiem nieprzydatne. Najpraktyczniejsze i najskromniejsze stroje kreatorów mody nie pasowałyby do okolic, w których Palma spotykała się z większością osób, z jakimi miała zawodowo do czynienia.

Nie znaczy to, że nie próbowała. Ponieważ była zdecydowana, przynajmniej od czasu do czasu, ubierać się nieco atrakcyjniej, to choć wkładała lepsze sukienki tylko wtedy, kiedy „czuła”, że nie będzie musiała udać się w jakieś szmatławce miejsce, w trakcie pierwszego roku w wydziale zabójstw zniszczyła pięć lub sześć najładniejszych.

Przecucia często ją myliły. Ostatecznie złudzeń w tym względzie pozbyła się pewnego dusznego sierpniowego popołudnia na dalekim East Endzie, gdzie została wezwana razem z Jackiem Manem – jej ówczesnym partnerem – w sprawie zniknięcia miejscowej prostytutki. Tego dnia Mane wyjątkowo postanowił potraktować ją jako równouprawnioną i w celu sprawdzenia źródła trupiego odoru „pozwolił” jej wczłogać się pod gnijący pomost, będący równocześnie podłogą stojącej na palach chatki. Odżałowawszy wydane na sukienkę pieniądze, wpełzła pod deski, gdzie ujrzała zwłoki kobiety

w okropnym stanie.

Następny dzień miała wolny i spędziła go niemal do wieczora w sklepie z materiałami. Przerzuciwszy katalogi, wybrała kilkanaście klasycznych modeli sukienek, spódnic i bluzek. Potem zaczęła dobierać materiały. Metodycznie przestudiowała sporą ilość próbek i w końcu doszła do wniosku, że egipska bawełna jest bardzo praktyczna, ponadto nadaje się do realizacji wybranych wzorów. Kupiła po kilka metrów w różnych kolorach i deseniach, po czym zaniosiła wszystko do krawcowej, mieszkającej w latynoskiej dzielnicy niedaleko matki. W efekcie miała szafę pełną ubrań, które ani nie groziły jej kobiecości, ani nie budziły zbyt wielkiego żalu, jeśli zniszczyły się na miejscu zbrodni.

Palma wsiadła do samochodu, ściągnęła z ramienia pasek torby i od razu poczuła, że Birley nastawił klimatyzację na maksymalne obroty.

– I co Chuck miał do powiedzenia? – zapytał bez żadnych wstępów, ruszając w kierunku autostrady. Zdjął już marynarkę – wisiła na oparciu fotela – i rozluźnił krawat.

– Pocisk jest nic niewart. Facet musiał przejechać po nim tylnymi kołami i asfalt go podrapał. Brak podobieństwa.

– Żartujesz! Żadnego?

Palma pokręciła głową. Choć niejednego młodego detektywa do irytacji mogła doprowadzić powolność Birley a, lubiła z nim pracować.

– Co się stało? – spytała Palma zamykając przepelnioną popiel-

niczke, by strumień powietrza z klimatyzacji nie wdmuchiwał do środka popiołu. – Zdawało mi się, że Cushing i Leeland pojechali jako pierwsi.

– Bo i pojechali, ale trafili na coś, co Cush chce nam pokazać.

Powiedział, że chyba chcielibyśmy to obejrzeć.

Palma popatrzyła na niego uważnie.

– I to wszystko?

Birley wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nieważne co to jest, na pewno będzie ciekawe. Cush uważa, że wyciąganie nas z miasta to miły gest.

– Dokąd jedziemy?

– Pod elegancki adres. Niemal na południowym krańcu Villages, tuż koło Voss.

Palma wyjęła z torebki foliową paczuszkę, rozerwała ją, wyjęła nasączoną środkiem odkażającym chusteczkę i zabrała się za czyszczenie popielniczki. Kiedy zaczęła jeździć z Birleyem, właśnie przestał palić i nie cierpiał wsiadać do samochodu używanego na poprzedniej zmianie przez palaczy. Klął, złorzeczył, opróżniał popielniczki i czyścił je wilgotnymi papierowymi ręcznikami, które przynosił z toalety w garażu.

Przez pewien okres czyścił każdy wóz, jakim jeździli, stopniowo jednak, wraz z postępującym uniezależnianiem się od nikotyny, jego aktywność sanitarna słabła i w końcu przestał się przejmować pełnymi popielniczkami. Palma też była w stanie je ignorować – z wyjątkiem tej na desce rozdzielczej.

Kiedy skończyła, wyjęła z torebki szylkretową zapinkę, zebrała włosy i spięła je na karku.

– Gorąco? – spytał Birley nie czekając na odpowiedź. – Co rok największe upały przychodzą kilka dni wcześniej. Dotychczas sądziłem, że tak mi się tylko wydaje, może ze względu na wiek.

– Teraz zmieniłeś zdanie?

Mijali właśnie skrzyżowanie z autostradą numer czterdzieści pięć i żałowała, że nie może pojechać prosto nad morze, do Galveston.

– Zmieniłem zdanie, odkąd odkryli efekt cieplarniany – odparł Birley. – Fluoropochodne węglowodorów. Wiesz, kiedy zmarła mama Sally, zostawiła nam chatkę nad Trinity. Kiedy byłem tam ostatnim razem, poziom wody w rzece opadł prawie o półtora metra. Szok. Potem zacząłem myśleć o zawartych w dezodorantach fluoropochodnych węglowodorów. Jestem przekonany, że moja rodzina ma poważny wkład w ocieplanie się atmosfery. Wyobrażasz sobie, ile lakieru do włosów i dezodorantów zużyły przez minione dwadzieścia pięć lat Sally i nasze cztery dziewczuchy? – Roześmiał się. – Boże! Kiedy przejdę na rentę i pojadę do domku nad jeziorem, będzie stał nad brunatną łąką śmierdzącego piachu.

John Birley – choć jeszcze niezbyt stary – był prawdziwym wygą w wydziale zabójstw. Palma została jego partnerką przed dwoma laty. Miał czterdzieści pięć lat, nieco ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i niedawno zaczął się zaokrąglać. Szeroka twarz z niewielkim nosem stwarzała dość przyjemne wrażenie, jego ciem-

ne włosy zaczynały się trochę przerzedzać, ale nie chciały siwieć. Kiedy Palma go poznała, już od kilku lat miał zmarszczki w kącikach oczu. Przez wiele lat pracował na dwa etaty, aby przepchnąć córki przez koledż, stąd czasami sprawiał wrażenie znacznie starszego niż w rzeczywistości. Brakowało mu siedem miesięcy do należytnej po trzydziestu latach służby emerytury.

Odpoczynek nadszedł jednak zbyt późno. W ciągu minionego roku niemal całkowicie się wypalił, z czego sam doskonale zdawał sobie sprawę. Wszyscy o tym wiedzieli. Stał się jednym z tych, którzy wykonują jedynie niezbędne minimum. Odwalał godziny i szedł do domu, a tapety nad jego biurkiem w boksie, który dzielił w wydziale zabójstw z Palmą, ozdabiały własnej roboty jaskrawe, kosmate przynęty na ryby, które tworzył i bezustannie zmieniał, ciągle poszukując idealnej równowagi, formy i barwy. W dalszym ciągu robił, co do niego należało, do tego jak zawsze skrupulatnie, ale można by powiedzieć, że zużyła się jego ciekawość. Najbardziej doświadczeni detektywi bez trudu rozpoznali problem Birleya i zaakceptowali go jako fakt dokonany. Tak długo był bardzo dobry, że nikt nie zamierzał nagle żądać jego głowy tylko dlatego, że tuż przed emeryturą stracił entuzjizm do pracy. Tak bywa.

Jeżeli chodziło o Palmę, to znajdowała się dokładnie tam, gdzie zawsze chciała być. Jej ojciec był jednym z pierwszych latynoskich detektywów w wydziale zabójstw i gdyby nie zginął w wypadku samochodowym, teraz właśnie przeszedłby na zasłużoną emeryturę. Trzydziestotrzyletnia Palma była jedną z czterech kobiet-

detektywów wśród siedemdziesięciu pięciu mężczyzn, na dodatek jedyną Latynoską. W ostatnich latach miała do czynienia z wieloma przemyślnymi facetami. John Birley na szczęście do nich nie należał. Nie miał uprzedzeń rasowych – na południowym wschodzie to do dziś rzadkość – a ponieważ dorastał jako jedyny chłopak z czterema siostrami, potem sam został ojcem czterech córek, nie miał męskiego szowinistycznego zacięcia. Nie miał też iluzji co do kobiet – pozytywnych ani negatywnych.

Palma pracowała z nim wystarczająco długo, by go zacząć lubić i szanować, zanim stracił serce do pracy, nie miała więc pretensji, że nie jest już tak zdecydowany w działaniu jak kiedyś. Doszło wręcz do tego, że jego niknący entuzjazm nieoczekiwanie zaczął działać na jej korzyść. Im bardziej gaś zapał Birleya, tym częściej Palma przejmowała odpowiedzialność za ustalanie stylu prowadzonych przez nich dochodzeń, na co Birley godził się bez protestu. W ten sposób uzyskała duże doświadczenie w prowadzeniu najróżniejszych spraw, co najprawdopodobniej nie byłoby jej dane, gdyby z powodu wieku, dłuższego stażu zawodowego oraz płci, partner koniecznie chciałby być traktowany jako „szef.

Birley nie zawsze jednak milczał. Przez lata zebrał naprawdę ogromne doświadczenie i od czasu do czasu miał coś do powiedzenia. Kiedy to robił, Palma słuchała. Sporo czasu trwało, nim to zrozumiała, ale John Birley, który zdawał się traktować dość obojętnie wyznaczone mu zadania, znakomicie sterował jej rozwojem zawodowym. Dał jej najlepsze szkolenie, jakie młodszy detektyw wydzia-

łu zabójstw mógłby otrzymać od starszego kolegi. Palma tak szybko stała się jednym z najlepszych i najbardziej zauważanych detektywów głównie dzięki temu, że Birley wziął ją pod swe skrzydła. Na dodatek cieszyła się opinią, że jeśli weźmie jakąś sprawę w swoje ręce, to – jak lubił mawiać jej nauczyciel – „nie popuści, póki diabeł nie oślepnie”.

Palma obserwowała ruch na autostradzie i gdy tylko Birley rozgadał się, zaczęła błądzić myślami. Słuchała go jednym uchem, tak naprawdę jednak przypominała sobie sceny z niedawnej przeszłości, jakie od rana atakowały jej umysł. Choć wcale nie chciała o tym myśleć.

Kiedy mijali Greenway Plaża, nagle uświadomiła sobie, że Birley zamilkł i patrzy na nią spod oka.

– Jakies wątpliwości? – odezwał się w końcu.

– Słucham? – Popatrzyła na niego zdziwiona.

– W związku z tym co powiedziałem. O opadaniu wody w jeziorze, o tym, że okoń nie bierze i o coraz większym problemie z komarami...

Uśmiechnęła się.

– Przepraszam, przyłapałeś mnie.

– Jesteś rozsierdzona z powodu tej spapranej ekspertyzy balistycznej?

Palma pokręciła głową. Była „rozsierdzona”, ponieważ się wkurzyła, ale wiedziała, że Birley nie zaakceptuje takiej odpowiedzi. Wołałaby nie rozmawiać na ten temat, ale Birley czekał, aż zrzuci,

co leży jej na sercu.

– Co rano – zaczęła wyglądając przez okno, potem strzepując z sukienki nie istniejący pyłek – idę do kuchni, podchodzę do kalendarza i zrywam kartkę z poprzedniego dnia. Zawsze tak robię i jest to moja pierwsza poranna czynność. Nigdy nie patrzę na kalendarz, ponieważ nie ma mnie cały dzień w domu, a wieczorem data mnie nie interesuje, ale co dzień zrywam kartkę. Potem robię kawę. W każdym razie dziś, kiedy zerwałam kartkę, zaskoczył mnie widok tego, co sama tam napisałam wielkimi zielonymi literami. „Końcowa rozprawa rozwodowa... pół roku”. – Wzniosła oczy do nieba. – Z jakiegoś idiotycznego powodu zaznaczyłam tę datę jak rocznicę. Nawet nie pamiętam, że to zrobiłam. Nie jestem sobie w stanie wyobrazić dlaczego... – Zaczęła manipulować przy spince do włosów. – Przerzuciłam cały kalendarz, aby sprawdzić, czy nie napacykowałam więcej podobnych bzdur.

Birley powoli zwrócił ku niej głowę i popatrzył, jakby spoglądał znad okularów.

– Nie napacykowałam.

Birley przeszedł całą gehennę razem z nią – rozpadanie się małżeństwa, romans, błyskawiczny rozwód. Aby uciec od domowych kłopotów, Palma zakopała się po uszy w pracy, ale Birley cały czas ją obserwował, był pod ręką zawsze, kiedy potrzebowała solidnego oparcia. Nie był jej ojcem, ale niemal wszedł w tę rolę i wiedziała, że nigdy mu tego nie zapomni.

– Dlaczego tak ci to dało popalić? – spytał Birley zmieniając

pas bez patrzenia do tyłu. Palma zdążyła rzucić okiem w lusterko. Kiedy jeździli razem, on zawsze kierował, ale ona obserwowała ruch. Było to coś na kształt jazdy przy pomocy zdalnego sterowania.

– Nie wiem – odparła. – I właśnie dlatego jestem „rozsierdzona”. – Birley był jedyną osobą używającą tego określenia, przypominającego filmy z lat czterdziestych.

Birley roześmiał się.

– Niech cię... – parsknął i Palma wiedziała, że dotarli do punktu, w którym nawet mimo doświadczenia zdobytego podczas wieloletniego kontaktu z dziesięcioma kobietami nie będzie mógł jej zrozumieć.

Zresztą sprawa była bardzo prosta: Palmę rozdrażnił fakt, że tak bardzo wzburzyło ją nieoczekiwane wspomnienie byłego męża. Brian DeWitt James III był adwokatem specjalizującym się w sprawach kryminalnych i od razu powinna się była zorientować. Poznali się na procesie, na którym on bronił, a ona zeznawała w kwestii jakiegoś mało istotnego szczegółu. Zaskoczył zarówno ją, jak i ławę przysięgłych zdolnością do błyskawicznego chwytania istoty wydarzeń, pewnością siebie oraz... uczciwością. Jego klient, choć winny jak sam Judasz, został uniewinniony, lecz Palma wpadła w pułapkę. Chodził za nią bezustannie, otaczał niezwykłą adoracją. Był bardzo przystojny, miał piękne oczy i zęby, a cechował go taki styl ubierania się i dbania o ciało, że natychmiast stawało się jasne, iż jest absolutnie czysty bez popadania w puryzm. Umiał myśleć trzeźwo, co czyniło z niego zarówno świetnego adwokata procesowego,

wego, jak i znakomitego przeciwnika w walce płci. Był szybki, jeśli chodziło o prawienie komplementów, szybko (choć nie zawsze prawidłowo) czytał myśli innych ludzi, szybko przechodził do defensywy, jeżeli uważał (a często się to zdarzało), że nie przekonał kogoś do swoich poglądów i, niestety, był też szybki w łóżku.

Ostatnia cecha nawet jej nie przeszkadzała. Po prostu nie była w stanie mu się oprzeć. Ich związek rozwinął się błyskawicznie, był namiętny, zmysłowy i nie miała nawet czasu na zastanowienie. Nie miała też ochoty zwalniać rozwoju wydarzeń. Musiała uczciwie przyznać, że nawet nad tym nie pomyślała. Wyłącznie „czuła” i nawet jeśli pojawiały się ostrzegawcze sygnały, nie zauważała ich, ponieważ jej libido oszalało, powodując, że rozsądek rozpierzchnął się na cztery wiatry. Wyszła za Briana po czterech miesiącach znajomości, w trakcie których nie miała chwili na złapanie oddechu.

Każdy, kto miałby choć odrobinę zdrowego rozsądku, mógłby jej powiedzieć, co będzie dalej, ale Palma nie dostrzegła niczego nawet wtedy, kiedy nieszczęście było już u progu. Historia jest stara jak świat i można przeczytać o niej w setkach magazynów i książek, leżących w księgarniach w dziale popularnej psychologii i zajmujących się „związkami interpersonalnymi”, „samopomocą” albo „kobięcymi historiami”. Mimo to kobiety ciągle dają się zaskoczyć i dziwi je janusowe oblicze nowego męża. Jest w tym coś z małżeństwa z bliźniakami. Dziewczyna umawia się na randki z pierwszym, drugi sienie pokazuje, wyskakuje dopiero jak diabełek z pudełka dzień po ślubie, podczas gdy ten, z którym się dotychczas

spotykała, znika. Następnego wieczora młoda mężatka idzie do łóżka z człowiekiem, którego nigdy nie widziała na oczy.

Adoracja zniknęła jak ręką odjął. Przed ślubem Brian wprowadzał ją często w stan radosnego zakłopotania kwiatami (i to jakiego, a uwielbiała każdy płatek), prezentami (miał znakomity gust, wiedział, co jej sprawi przyjemność i nie wahał się tego kupować) oraz innymi niespodziankami (lubił czekać na nią przed pracą na koniec piątkowej zmiany z dwoma biletami do Cancun albo Acapulco).

Zaraz po weselu przeszedł jednak przemianę, która trafiła ją jak smagnięcie biczem. Kwiaty? Jedyne z okazji pogrzebów, na dodatek sama musiała je zamawiać. Prezenty? Jeżeli czegoś chciała, miała przecież wolną rękę i mogła sobie to kupić. Niespodzianki? Jego terminarz był bardzo napięty. To będzie musiało poczekać, może do przyszłego miesiąca. Już nie chodzili razem na plażę.

Przed ślubem spędzał z nią każdą wolną chwilę, potem nagle okazało się, że ma obowiązki, o których dotychczas nie było mowy. Grał w drużynie tenisowej swojej kancelarii, co zajmowało każde sobotnie przedpołudnie, do tego przez trzy wieczory tygodniowo ćwiczył. Nie mogli jeść razem obiadów, ponieważ grał w piłkę ręczną z ludźmi, którzy podsyłali mu klientów i odpowiednie zachowanie względem nich miało decydujące znaczenie dla jego kariery. W niedzielę był zbyt zmęczony, aby robić cokolwiek poza leżeniem na kanapie przed telewizorem i oglądaniem wszystkich transmitowanych meczów.

Nigdy nie pomagał w kuchni – nie dotarł nigdy dalej niż do ja-

dalni. Nie wiedział, jak włączyć pralkę, nawet nie odnosił brudnych ubrań z sypialni do kosza. Nigdy nie chadzał do pralni, nigdy nie kupił paczki płatków kukurydzianych – wiedział za to, gdzie jest sklep monopolowy i nie zapominał wpadać tam po pracy. Jego obojętność wobec czynności dnia codziennego zniknęła tylko wtedy, kiedy coś zakłócało jego przyzwyczajenia. Wtedy umiał być bardzo wredny i niecierpliwy – zwłaszcza wobec żony.

W dalszym ciągu był szybki w łóżku, tyle tylko że przestał udawać czułość po stosunku i nawet w najmniejszym stopniu interesować się jej satysfakcją. Natychmiast gdy tylko zrobił swoje, odtaczał się na bok i zapadał w kamienny sen.

Po pół roku nie była w stanie dłużej godzić się, że tak ma zostać na zawsze. Następane pół roku spędziła na próbach nakłonienia go do „nawiązania komunikacji” (nie mogła uwierzyć, że nie będzie miał na to ochoty), kolejne pół roku żyła jak sparaliżowana, kiedy zrozumiała, że ich małżeństwo nie ma szans na prawidłowe funkcjonowanie. Kiedy przyłapała go na romansie z koleżanką z kancelarii, młodą dziewczyną, której ambicje przewyższały etykę, wyrzuciła go z domu, który niedługo przedtem kupili w West University Place, na który Brian miał od dawna oko, uważał go bowiem za symbol odpowiedniego statusu. Zrobiła wszystko, by dostać dom przy podziale majątku. Nie zależało jej na nim dlatego, by wiele dla niej znaczył, lecz dlatego, że aż tyle znaczył dla Briana. W jego opinii było to miejsce, w którym powinien mieszkać ktoś taki jak on, i uznała, że zabranie mu domu będzie odpowiednim rewanżem. Nigdy nie zało-

wała swego kroku.

Wytrzymała w małżeństwie półtora roku, od sześciu miesięcy była rozwiedziona, ale wciąż nie mogła sobie wybaczyć zadziwiającego braku trzeźwości. W momentach brutalnej uczciwości wobec samej siebie była mocno zażenowana tym, że odegrała rolę zwykłej, naiwnej dziewczuchy.

Rozdział drugi

Birley zjechał z Southwest Freeway w kierunku West Loop. Samochód zaczął się wspinać długim, skręcającym w prawo łukiem. Palma próbowała przestać myśleć o Brianie. Biorąc pod uwagę, z kim mieli się zaraz spotkać, nie było to takie łatwe. Art Cushing nie był ulubieńcem Palmy.

– Cush nie powiedział nic poza tym, że chce, byśmy przyjechali i przyjrzeni się czemuś? – spytała.

– Nie powiedział.

– Nie spytałeś, o co chodzi?

– Spytałem, ale znasz Cusha. Cholera jasna, przyjechać, gdzie chce i rzucić okiem jest znacznie prostsze. Wielka mi sprawa. I tak miałem już dość biura i przyda mi się odmiana.

To nieco wyjaśniało sprawę. Najprawdopodobniej wystarczyłby znacznie mniej pilny telefon, by wyciągnąć Birleya z biura. Mimo wszystko nie lubił być wzywany przez Cushinga, który pod wieloma względami okazywał się równie nieprzyjemny jak Brian, choć musiała przyznać, że jej były mąż miał znacznie więcej ogłady. Smukły, atletycznej budowy Cushing wyglądał jak młody Włoch i ponad pół pensji wydawał na jedzenie, gimnastykę, opaleniznę, fryzury, ubrania i buty. Niestety, na jego gust w większym stopniu niż katalogi mody wpływ miało osiem lat spędzonych w obyczaj owce. Stroje, które nosił, wyglądały jak skonfiskowane kubańskiemu alfonsowi, meksykańskie podróbki włoskiej konfekcji masowej. Usiłował wy-

glądać elegancko, lecz jego maniery kojarzyły się z obślizgłością gada. Nie wyparowała z niego atmosfera półświatka, jaką przesiąknął wałęsając się po ulicach. Był urodzonym kombinatorem.

Kiedy Cushing przyszedł do wydziału zabójstw, już po trzech dniach Palma starła się z jego ego – tyle czasu nowy kogucik potrzebował, by zaprosić ją na drinka. Zgodziła się, gotowa dać mu szansę. Zabrał ją do drogiego klubu, gdzie usiedli przy zatłoczonym barze. Po dwóch drinkach jego ręka znalazła się na jej udzie i sunęła powoli w górę, podczas gdy odwalał monolog stary jak zgrana płyta, który byłby jasny nawet dla młodej zakonnicy. Patrząc mu prosto w oczy, tak by nie zwrócił na to uwagi, umieściła dłoń między jego nogami i ujęła napęczniały, stwardniały koniec członka z taką precyzją, jakby jej dłoń była sterowana radarowo. Złapała tak mocno, że brwi skoczyły Cushingowi do nasady włosów, a oczy o mało nie wypadły z orbit. Nie odzywała się słowem, na jej twarzy nie drgnął żaden mięsień i ścisnęła palce tak mocno, że przez chwilę bała się, czy nic mu trwale nie uszkodzi, nie puściła jednak, póki nie zabrał dłoni z jej uda. Potem w milczeniu wbijali w siebie wzrok jak wrogowie. Przez chwilę był pokonany, zaraz jednak ogarnęła go wściekłość – nie wolno też zapomnieć o bólu – zeskoczył ze stołka i gwałtownie wymaszerował z baru, zmuszając ją do zapłacenia za drinki i zamówienia taksówki, by podjechać pod komendę, gdzie zostawiła samochód.

Cushing – podobnie jak ona – nigdy nie wrócił do tego incydentu, ale nigdy jej nie wybaczył. Nawet dziś, po trzech latach, Art

Cushing nie umiał zachowywać się wobec niej jak normalny człowiek. O ich wzajemnej niechęci wiedział cały wydział i zawsze była ona źródłem głupich plotek. Spekulacje na temat tego, co się między nimi wydarzyło, były znacznie fantastyczniejsze od faktów. Nikt nie znał prawdziwej przyczyny panującej między nimi wrogości. „Męskość” Cushinga nigdy, pod żadnym pozorem nie pozwoliłaby mu na opowiedzenie o tym komukolwiek, a Palma straciła tamtego dnia zainteresowanie zarówno tym, co się stało, jak i zranionym ego Cushinga. Uważała, że przynajmniej za to powinien być jej wdzięczny.

– Nie mogę się doczekać – mruknęła.

– Mhm... – Birley uśmiechnął się kwaśno i zjechał na prawo, osiemset metrów przed nimi był bowiem zjazd na Westheim. Ruch zagęścił się i samochody jechały wolniej. Słońce zbliżało się do zenitu, odparowując z każdą minutą chmury.

Wspólnota mieszkalna Hammersmith znajdowała się na południowym brzegu Buffalo Bayou, w okolicy o pretensjonalnej nazwie Charmwood, [(ang.) – „Powabny las”] jedynie kilka przecznic od Bunker Hill, Piney Point i Hunters Creek. Niemal stykające się z South Voss osiedle składało się z labiryntu wąskich, gęsto obsadzonych drzewami alejek, wzdłuż których domy zbudowane w najrozmaitszych stylach i pomalowane różnymi kolorami stały niemal tak ciasno jak szeregowy segmenty, złożone z nie pasujących do siebie elementów. Dachy, wśród których nie było dwóch podobnych, oraz najróżniejszych wysokości i kształtów kominy tworzyły linię opadającą i wznoszącą się niczym skaczące po pięciolinii nuty.

Osiedle istniało już dość długo, przynajmniej od lat sześćdziesiątych, co w tak zwanym Mieście Nowości nadawało mu aurę stateczności oraz miłej, intymnej atmosfery, którą gdzie indziej i w innych czasach nazwano by „sąsiedztwem”.

Kawałek na wschód znajdowały się modne dzielnice handlowe Post Oak i Galleria, które znowu osiągnęły majestat i międzynarodową popularność, choć jeszcze niedawno ogólnie uważano, że nie podniosą się po kryzysie paliwowym i budowlanym połowy lat osiemdziesiątych. Wraz jednak z początkiem nowego dziesięciolecia powstało niemal nowe miasto – jeżeli nawet nie całkiem nowe, to świadome, że powoli nadchodzi koniec trudnych początków. Houston wracało na arenę i nadrabiało stracony czas. Nowobogactwo wyparowało przez ciężkie lata niczym bagienna mgła w palącym słońcu, pozostały jedynie stare pieniądze, których należało użyć, by wyjść na prostą. Tak też się stało. Pieczeniarze, którzy pojawiają się nie wiadomo skąd i przysysają się jak pijawki do wszelkiego prosperity, zniknęli. Miasto powróciło do zdrowia, co w połączeniu ze zdobytym doświadczeniem, jakie przynosi obracające się koło fortuny, osiągnęło stan zbliżony do mądrości. Najgorsze minęło i jeżeli ci, co przetrwali, mieli mieć wpływ na dalszy rozwój (a zamierzali), już nigdy nie powinno dojść do przerostu znaczenia ani do tak dotkliwego upadku.

Kiedy wjechali w Olympia Street, Palma natychmiast zobaczyła w głębi radiowozy i białą furgonetkę ekipy technicznej. Zaraz potem dostrzegła gromadkę gapiów, nie skupiali się jednak wokół policyj-

nych samochodów ani nie pchali na otaczającą miejsce zbrodni żółtą taśmę. Nie byli w swoim wścibstwie agresywni, w odróżnieniu od bardziej prostackich mieszkańców okolic, w których zwykle rozgrywały się podobne sceny, nie próbowali podejść jak najbliżej miejsca wydarzeń. Nie, ci gapie zachowywali spokój i trzymali się na dystans. Nie byli przyzwyczajeni do oglądania niemiłych następstw gwałtownej śmierci, wyczuwali jej nienaturalność i nie chcieli mieć z nią nic wspólnego. Stali w pewnym oddaleniu, demonstrując potępienie poprzez powściągliwość. Gwałtowna śmierć to wstrętna sprawa. Nie pochwalali jej.

Kiedy Palma wysiadła z samochodu, który Birley zaparkował za wozami Cushinga i Leelanda, lepki poranny upał objął ją jak tropikalne powietrze Jukatenu. Zamiast jednak zapachu bugenwilli i skrzętnie, Palma czuła słodkawą, ciężką aromat kapryfolium, magnolii i jaśminu, a między skrzeczącymi komunikatami z policyjnej radiostacji dobiegało do jej uszu ciche lap-lap-lap pracującego zraszacza.

Była na chodniku przed Birleyem, który nigdy się nie spieszył i zdążył dopiero odpiąć pas. Zawiesiła odznakę na torebce, szybkim krokiem minęła dwóch mundurowych policjantów, pilnujących otoczonego żółtą taśmą ogrodu, i podeszła do frontowych drzwi, błyszczących grubą warstwą lakieru w kolorze czerwonego wina. Na pierwszy rzut oka zauważyła, że znajdująca się na środku drzwi mosiężna kołatka jest pokryta warstwą magnetycznego tlenku żelaza. Klamką – co było logiczne – nie zajęto się, gdyż na pewno nie było

na niej odcisków palców. Kiedy pchnęła drzwi, owionęła ją fala chłodnego powietrza. W środku panował wręcz chłód.

W salonie stało dwóch kolejnych mundurowych. Rozmawiali z Wendellem Barrym, chudym jak bocian detektywem z biura koro-nera. Palma rozejrzała się po jasnym, obszernym pomieszczeniu obejmującym parter i piętro, przywitała się ze stojącymi na środku trzema mężczyznami i nie tracąc czasu, ruszyła szerokim korytarzem w kierunku otwartych drzwi, skąd dobiegał spokojny, wyraźny głos specjalisty od zabezpieczania śladów, Julesa LeBruna.

Weszła do sypialni i stanęła po dwóch krokach. Miała przed sobą plecy Arta Cushinga i jego partnera, Dona Leelanda, spokojnego, krępego mężczyzny tuż przed czterdziestką, których sylwetki zasłaniały jej niemal całe łóżko.

Widziała jedynie stopy zamordowanej i głowę o wytrzeszczonych oczach. Obaj detektywi stali z rękami w kieszeniach i patrzyli na zwłoki, podczas gdy LeBrun krążył wokół łóżka ze sprzętem wideo, opisując do mikrofonu położenie ciała i raz za razem wysuwając kamerę w kierunku nagiej kobiety, jakby była gwiazdą filmu porno, która nagle zapadła w stan katatonii. W pomieszczeniu było zimno jak w chłodni. Palma poczuła typowy dla kobiecych sypialni delikatny zapach kosmetyków.

Cushing i Leeland odwrócili się niemal równocześnie. Zobaczywszy ją, Cushing natychmiast odwrócił się z powrotem do łóżka, ale Leeland uśmiechnął się lekko pod gęstymi, siwiejącymi wąsami i uniósł w kierunku Palmy podbródek. Przez kilka minut nikt się nie

odzywał, czekano, aż LeBrun skończy nagrywać i wyjdzie.

– Hej, Carmen! – odezwał się Cushing odwracając głowę do Palmy, odruchowo wycierając kciukiem i palcem wskazującym kąciaki ust.

Nigdy nie mówił „cześć”, „halo”, „witaj” ani „jak się masz?”, zawsze mówił „hej”. Miał na sobie workowaty szary garnitur i czarną koszulę z popielatym krawatem. Kiedy obaj detektywi odsunęli się na bok, by zrobić Palmie miejsce, kiwnął głową w kierunku łóżka.

– Popatrz na to – powiedział.

Podchodząc do łóżka, Palma czuła na sobie ich spojrzenia i w tym samym ułamku sekundy, gdy ujrzała całe zwłoki, jeszcze nim podeszła wystarczająco blisko, by dokładnie je obejrzeć, wiedziała, dlaczego się w nią wpatrują. Instynkt, owa bezsporna kobieca wiedza, szarpnęła wnętrzem jej miednicy i ucisnęła czaszkę, jakby była złączona z siłą, która chciała rozepchać jej skronie. Palma musiała się zmobilizować, by pozostać na zewnątrz obojętną, by nie okazać, że podobne sceny przerażają ją do szpiku kości.

Kobieta była naga, jej skóra przypominała wosk, leżące na samym prześcieradle ciało było jedynie odrobinę wzdęte. Zwłoki miały pod głową poduszkę i leżały jak w trumnie – prosto, ze złożonymi nogami, dłońmi położonymi jedna na drugą tuż pod oklapłymi na boki piersiami. Nadgarstki, w miejscu gdzie je spętano, otaczały lekko odbarwione obwódki, a wokół szyi był widoczny szeroki fioletowawy ślad z regularnym szeregiem czerwonych kropek w połowie

szerokości – w miejscach gdzie znajdowały się dziurki zaciskającego gardło pasa. Oczy miała otwarte. Jasnoblond włosy wyglądały na świeżo uczesane, a poraniona, opuchnięta twarz została pokryta makijażem, w dodatku całkiem fachowo: użyto cienia do powiek, konturówki do oczu, pudru i błyszczka do warg. Dolna część brzucha zaczynała się przebarwiać na zielonkawofioletowo, co świadczyło o postępującym gniciu. Na ciele znajdowało się niewiele siniaków (wydawały się rozrzucone przypadkowo), na biodrach i piersiach widoczne były liczne ukąszenia. Palma wiedziała, że po rozłożeniu nóg ofiary znajdzie ślady zębów po wewnętrznej stronie ud i na wargach sromowych. Brakowało obu sutków – zostały obcięte z chirurgiczną precyzją, rany zdążyły już poczernieć.

Palma doskonale zdawała sobie sprawę z tego, na co patrzy, trzymała jednak buzię na kłódkę, jej myśli błyskawicznie przeleciały przez nieliczne ewentualności.

– No i do tego... – powiedział Cushing robiąc kolejny krok do tyłu, by pokazać stojące tuż przy łóżku krzesło. Leżało na nim pieczołowicie złożone ubranie ofiary, jakby przygotowane do włożenia do walizki. Palma popatrzyła na Cushinga. Żuł gumę, grające pod gładko ogolonymi policzkami mięśnie szczęk marszczyły się poniżej uszu. – To samo, nie? To, na co natrafiliście z Birleyem kilka tygodni temu. – Czują po zapachu, że ma w ustach owocową balonówkę. Uśmiechał się, pewny siebie, zadowolony.

Palma rozejrzała się wokół, szukając kolejnego elementu. Po chwili dostrzegła leżącą przed otwartymi drzwiami szafy stertę po-

ścieli. Musiała przyznać Cushingowi, że najwyraźniej dotarli do niego krążące po wydziale rozmowy i zapamiętał kilka szczegółów. Może dlatego że były niecodzienne.

– Kto to? – spytała.

– Dorothy Ann Samenov, przedstawiciel handlowy firmy Computron. Zajmują się sprzedażą programów komputerowych. Mają biura w centrum, przy Allied Bank Plaża. Trzydzieści osiem lat, jeżeli wierzyć prawu jazdy.

Odróciła się i spojrzała na niego pytająco.

– Znalazł ją stojący na zewnątrz funkcjonariusz, VanMeter – wyjaśnił Cushing nie przerywając żucia. – Przyprowadziła go przyjaciółka ofiary... Vickie Kittrie. Pracowały razem. W miniony czwartek razem z Samenov i paroma koleżankami z biura poszły po pracy na drinka. Ofiara opuściła bar około wpół do siódmej. Z tego, co wiemy, wtedy ostatni raz widziano ją żywą. Następnego dnia nie zjawiała się w pracy. Kittrie zadzwoniła do niej do domu, ale nikt nie podniósł słuchawki, więc pomyślała, że koleżanka jest chora. Dzwoniła potem jeszcze wiele razy w ciągu dnia, ale nie odbierano. Przyjechała tu po pracy, by sprawdzić, co się dzieje, i stwierdziła, że samochód Samenov stoi zaparkowany pod domem – w tym samym miejscu co teraz.

– Kittrie nie mieszka tutaj?

– Nie. Zapukała więc do drzwi, ale nikt nie zareagował. Zdziwiła się nieco, ale nic nie zrobiła. Następnego dnia, w sobotę, miały iść razem na gimnastykę. Kiedy Samenov nie zjawiała się, Kittrie po-

nownie przyjechała, ale i tym razem nie zareagowano na pukanie. Samochód w dalszym ciągu stał przed domem. Zaniepokoili się i zadzwoniła na policję. Opowiedziała przybyłemu funkcjonariuszowi, że się niepokoi, ale bez dowodu, że coś jest nie tak, odmówił wejścia do mieszkania. Zadał zwykłe w takich przypadkach pytania i zasugerował, że Samenov może wyskoczyła z kimś na długi weekend. Kittrie przyznała, że koleżance co prawda czasami się to zdarzało, jednak zawsze wtedy kogoś o tym informowała. Policjant zasugerował, żeby spróbowała ponownie nawiązać kontakt z Samenov w niedzielę po południu i jeżeli nie będzie jej w poniedziałek w pracy, ponownie zawiadomiła policję. Tak też zrobiła.

– Rozmawiałaś z nią?

– Nie – odparł Cushing bawiąc się drobnymi w kieszeni. – Jak sądzisz? Ten sam, prawda?

Nie wiem – skłamała. Wiedziała doskonale, że mają do czynienia z dziełem tego samego sprawcy, i powodowało to u niej mdłości. Każdy szczegół wskazywał na niebezpiecznego szaleńca. Odwróciła głowę i zawołała za siebie: – John?!

Birley stał w drzwiach i z zakłopotaniem obserwował martwą kobietę.

– Hej, Birley! – rzucił Cushing.

Birley kołyszającym się krokiem podszedł do łóżka.

– Co macie? – spytał Leelanda, klepiąc go po drodze w szerokie bary. Nawet przez chwilę nie odwrócił wzroku od zwłok. Leeland uśmiechnął się rozbawiony, ale nic nie powiedział.

– Zaczęliście już, chłopaki? – spytała Palma.

– Cholera, Carmen, wszystko jest dziewicze! – odparł Cushing unosząc górną wargę. – Nikt tu nie wchodził poza policjantem z patrolu, Julesem i nami, jedyne, czego dotykaliśmy, to dywan pod naszymi stopami, a i jego nie za wiele.

Palma była pedantką i Cushing doskonale wiedział, o czym teraz myśli: czy czegoś dotykali, czy otworzyli jakąś szufladę, zmienili położenie drzwi, dotykali ciała? Birley stał obok Palmy i oboje w milczeniu obserwowali zamordowaną.

– Skurwysyn – powiedział w końcu Birley. Też wiedział, co oglądają.

– Nie do wiary... – Palma z trudem panowała nad drżeniem.

– Sądzę, że lepiej będzie, jeśli pogodzę się, że to fakt. – Birley wzruszył ramionami.

– O czym wy, do cholery, gadacie? – Cushing nerwowo szarpnął głową w bok. – To robota tego samego czy nie, do jasnej cholery?

– Możliwe – odparła Palma nie patrząc na niego.

– No świetnie... pięknie jak cholera – parsknął Cushing. – Bardzo wam dziękuję.

– Coś ci powiem, Cush – spokojnie powiedział Birley. – Jeżeli nie znajdziesz więcej materiału dowodowego niż my, będziesz miał kłopoty. Wygląda na to, że facet zaczyna robić swoje regularnie. Przybije ci jaja do ściany.

– No jasne. Wspaniale. Chcesz mi powiedzieć, że nie macie

żadnych wskazówek?

Sarkazm Cushinga musiał zdenerwować Dona Leelanda, bowiem nerwowo zaszurał nogami. Leeland stanowił całkowite przeciwieństwo Birleya. Był średniego wzrostu, miał sylwetkę, która pewnego dnia stanie się pękata, a jego duże, zawsze zmartwione oczy w połączeniu z gęstymi wąsiskami powodowały, że kojarzył się Palmie z młodym morsem. Ponieważ cechowało go łagodne usposobienie, zwykle nie zadzierał nosa i robił swoje, pozostawiając szpanowanie partnerowi. W odróżnieniu od Cushinga, który wiedzę o naturze człowieka zdobył w trakcie patrolowania ulic, nie był cyniczny ani wojowniczy. Przyszedł do wydziału zabójstw z sekcji analitycznej i jego praca dochodzeniowa opierała się mniej na odczuciach i instynkcie, bardziej zaś na metodach naukowych i logice. Stanowili dobrą parę, choć Leelandowi nigdy nie podobał się styl Cushinga.

Birley zignorował pytanie i przeszedł na drugą stronę łóżka.

– Jest trochę bardziej poobijana niż tamta. Założę się, że jak zdejmemy makijaż, okaże się, że ma połamane więcej niż nos i szczękę. – Kiwnął głową. – I popatrz na ślady zębów.

Palma już zdążyła je zauważyć. Nigdy nie była w stanie pozostać obojętna na ślady zębów na martwym kobiecym ciele. Spośród śladów standardowych dla przestępstw na podłożu seksualnym nic nie wzburzało jej tak mocno jak ugryzienia, nic nie wydawało jej się bardziej prymitywne ani atawistyczne. Jej wyobraźnia aż nazbyt często podsuwała obraz parzących się lwów, kiedy samiec wchodzi

na skuloną samicę, a w momencie kopulacji wbija jej w kark wyszczerzone kły.

Podeszła bliżej łóżka.

– Jest ich więcej i były robione ze znacznie większą agresywnością. Są głębsze. Birley nachylił się nad zwłokami i tuż nad twarzą wciągnął powietrze.

– Perfumy. Skurwiel tym razem ją wyperfumował. Palma skinęła głową.

– Jest czysta – dodał Birley, w dalszym ciągu nachylony. – Nie widzę śladów walki.

Palma rozejrzała się po sypialni.

– Albo jest bardzo porządny, albo nie było czego sprzątać. Może ona...

– A niech... to...

Ton głosu Birleya kazał Palmie natychmiast obrócić ku niemu głowę. Cushing i Leeland też zbliżyli się do łóżka. Birley był bardzo nisko nachylony nad zwłokami.

– Carmen, ona nie ma otwartych oczu.

Palma popatrzyła w oczy śpiącej wiecznym snem kobiety, które – kiedy dokładnie im się przyjrzała – rzeczywiście były nieco bardziej wytrzeszczone niż zwykle u trupa. Nachyliła się, poczuła zapach perfum i natychmiast zobaczyła aż za wiele. Tuż nad gałkami. Przebiegł ją lodowaty dreszcz, znacznie zimniejszy niż strumień klimatyzowanego powietrza. Na górnej krawędzi oczu, w miejscu gdzie tkanka wchodzi w oczodoły, ujrzała toporną, nierówną linię.

Mleczne kule były nagie jak kobieta, w której głowie tkwiły. Dorothy Samenov miała obcięte powieki.

Rozdział trzeci

Przez dłuższą chwilę Palma nie była w stanie przełknąć śliny. W ciągu ostatnich kilku minut czuła, jak w gardle rośnie jej kula – z początku było to wrażenie ulotne, wręcz niewarte uwagi, teraz jednak tak silne, że nie dało się go ani zignorować, ani usunąć. Choć doskonale wiedziała, że ma do czynienia z reakcją psychosomatyczną, wrażenie nie stawało się przez to mniej realne. Rzuciła wokół szybkie ukradkowe spojrzenie. Skurcz w gardle nie przytrafiał się jej często. Po pierwszym roku pracy w wydziale zabójstw zaczęła zostawiać emocje „przy drzwiach wejściowych”. Jeżeli tego nie zrobiła, płaciła zbyt wysoką cenę. Czasem jednak, zwłaszcza przy morderstwach na tle seksualnym, nie była w stanie się wyłączyć i nieokreślony lęk zaciemniał jej myśli. Ogarniał ją jak mroczny cień, przed którym nie umiała uciec, i to niezależnie od psychologicznych sztuczek, jakie stosowała i jak bardzo chciała nabrać dystansu. Właśnie teraz postanowił się pojawić – jakby zareagował na drgania jakiejś struny w jej wnętrzu. Lęk wypływał z jej głębi jak żrąca substancja, a efektem był jeszcze gorszy lęk przed lękiem. Palma wiedziała, że zanim go zwalczy, coś utraci – strach zabierze jakąś jej część.

Choć natychmiast zrozumiała, co się z nią dzieje, znajdowała się w wirze wydarzeń, nawiązała emocjonalny kontakt z miejscem zbrodni. To, co się z nią działo, miało związek z zimnem i śladami ugryzień. Zwłaszcza ze śladami ugryzień.

Nachyliła się bardzo nisko, by uważnie obejrzeć poszarpaną linię, niemal znikającą w słuzówce oka tuż nad gałką. Przy tak małej odległości czuła silny zapach perfum, mieszał się z nim jednak jeszcze inny zapach. Birley nie wspomniał o stęchłym odorze śmierci – pierwszym ciężkim zapachu rozwijającego się gnicia, postępującego głęboko w trzewiach trupa.

– Cholera jasna, nie ma powiek? – Cushing na chwilę zrezygnował z udawania twardziela i pochylił się obok Palmy, podczas gdy Leeland – nie tak aż ciekawski – wyciągał szyję stojąc w nogach łóżka.

Precyzyjna robota – stwierdziła Palma i przeniosła uwagę na znajdujące się jedynie kilka centymetrów od jej oczu pocięte piersi. – Trudno powiedzieć, czy to rany pośmiertne... potem ją umył... – Odsunęła Cushinga na bok i przeszła do oglądu poplamionego brzucha, matowych włosów łonowych i ud. Przesuwała głowę to tu, to tam, z boku na bok, aby jak najlepiej zbadać powierzchnię słabo oświetlonego ciała. Próbowwała znaleźć najbardziej wyraźne plamy – łuszczące się, białawe jak mąka kartoflana pozostałości spermy. Jeżeli ich nie znajdzie, nie będzie to jednak aż takie ważne. Nie zawsze znajdowano spermę – na ciele Sandry Moser też jej nie było. Ważne byłoby jednak, gdyby udało im się ustalić, czy nieżywa kobieta faktycznie została umyta.

Birley szukał wokół piersi i na twarzy tego samego co ona.

– Zanim położył szminkę, wyczyścił jej usta. Może tym razem będzie coś w środku. – Sprawdził skórę zwłok tuż przy prześciera-

dle, potem zaczął obserwować Palmę. Była naprawdę precyzyjna.

– Uważam, że znajdziemy coś po wewnętrznych stronach ud – powiedziała prostując się. – Moim zdaniem jest ślad... schodzący w dół do lewej pachwiny. Dużo jednak po sobie nie zostawia.

– Poprzednim razem też obciął powieki? – spytał Cushing, który nie mógł oderwać wzroku od oczu Samenov.

– Nie – odparła Palma. – Obciął też tylko jeden sutek. Wszystko inne jest jednak dokładnie takie samo: ślady spętania, pozycja ciała, makijaż, zdjęta pościel, złożona na krześle odzież ofiary, sińce, ślady zębów. Tym razem wszystko jest jednak znacznie bardziej nasilone.

– Tamta kobieta też była blondynką? – Było to pierwsze pytanie, jakie zadał Leeland.

Palma skinęła głową.

– Jest jednak coś jeszcze – wyjaśniła.

– No tak... musiał coś z nią robić... – Birley stał przy łóżku, zamysłony, ze skrzyżowanymi ramionami. – Może ją lizał, onanizował się pocierając się o jej ciało albo coś... w tym stylu. Dlatego ją umył.

– Fetyszysta – chłodno zaferował Leeland pisząc coś w notesie.

– Kupiłabym to, gdyby nie było to tak cholernie wygodne wyjaśnienie – odparła Palma. – Praktycznie zredukował ślady do zera.

Birley pokręcił głową.

– Nie, ten facet to kompletny posraniec. Coś z nią robił. – Powiedziawszy to, znów zapatrzył się w martwą kobietę. Wszyscy się

w nią wpatrywali.

– Co ze śladami spękania? – spytała Palma, ponownie lustrując szyję, nadgarstki i kostki kobiety. – Nie ma śladów walki. Może godziła się być ofiarą. Do pewnego momentu.

– Może jest szybki – stwierdził Cushing. – Pokonuje je raz-dwa, rzuca na łóżko i załatwione.

– W takim przypadku powinno być więcej siniaków, jakieś zadrapania. – Palma popatrzyła na stolik przed lustrem, na którym stały perfumy, szkatułka na biżuterię, lakier do paznokci. Potem znów się odwróciła do martwej kobiety. – Może ją znał.

– Sądzisz, że znał też Moser? – Birley pokręcił sceptycznie głową.

– Wyjaśniałoby to porządek, brak na ciele śladów walki i stan jej twarzy.

Jeden z aksjomatów detektywów z wydziału zabójstw brzmi, że jeżeli twarz ofiary zabójstwa została brutalnie potraktowana, sugeruje to dobrą znajomość mordercy i ofiary, może wręcz pokrewieństwo. Nikt nie udawał, że rozumie, dlaczego tak jest, ale statystyka aż nazbyt często potwierdzała zależność.

– Bo ja wiem... – mruknął Birley. – Może obie się zgodziły, wąpnię jednak, by chciały iść aż tak na całość.

– Ale gryzł jak wariat, nie? – Cushing znów zaczął bawić się monetami w kieszeni. – Rany, facet musiał naprawdę dostać niezłego świra!

Palma zauważyła, że przy ponad połowie ugryzień przegryziona

jest skóra.

– Świetnie – stwierdziła. – Skurwiel popełnił duży błąd. Będziemy mieli znakomite odciski szczęki. – Poczowała na sobie wzrok Cushinga, kątem oka zauważyła, że Birley i Leeland wymieniają się spojrzeniami. Nie wstydziła się wrogości, z jaką to powiedziała, i nie interesowało jej, co sobie pomyślą. Choć bez dwóch zdań wiedziała mało, sposób, w jaki sprawca traktował swe ofiary, mówił o nim więcej, niż gdyby wysłuchała wykładu na jego temat. We wszystkim, co zrobił, widoczna była inteligencja i obrzydzenie dla kobiet, które zabijał. Dla Palmy stawał się kimś więcej niż kolejnym wariatem.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał, w końcu Palma prze-
rwała ciszę.

– Gdzie one są?

– Hę? – Cushing popatrzył na nią marszcząc czoło.

– Sutki i powieki.

– Cholera! – Birley splótł ręce na plecach i wygiął tułów na prawo, potem na lewo, by rozciągnąć zeszywniałe mięśnie. – Tej, którą odciął Moser, nie znaleźliśmy. Tych też nie znajdziemy.

– Czyli zabiera je ze sobą – stwierdziła Palma.

– Najprawdopodobniej.

Nagle zdenerwowana chłodem, popatrzyła na Cushinga.

– Ile jest tu stopni? – spytała go.

– Nastawił klimatyzację na maksimum. – Cushing czubkiem języka wyciągał gumę pomiędzy przednich zębów. – Sprawdziłem.

Ledwie dziesięć stopni.

Birley ostrożnie podszedł do drzwi łazienki i wsunął do niej głowę. Po chwili skinął mówiąc:

– Czysto jak w szpitalu. Boże, ma tu bidet.

Palma odwróciła się i wyszła z sypialni. Cushing ruszył za nią. Po kilku krokach dotarli do drugiej sypialni – najwyraźniej nie używanej. Szafy służyły za dodatkowe schowki, komody były puste. W znajdującej się za ścianą drugiej łazienki leżało nie używane mydło, wisiały nie używane ręczniki, ścianę zdobiła pusta apteczka. Ot, pokój gościnny bez gości. Kiedy się rozejrzeli, poszli do kuchni, w której byli już Birley i Leeland. Birley właśnie ostrożnie otwierał lodówkę.

– Nie była smakoszem – stwierdził. – Głównie produkty na kanapki. Soki. Niskokaloryczne napoje.

Leeland sprawdzał kosz na śmieci.

Palma przeszła przez salon i weszła schodami na górę, do gabinetu, z którego widać było salon na parterze. Cushing przykleił się do niej jak rybka-pilot.

Znajdowały się tu wielkie biurko, kanapa, telewizor i regały z książkami. Z gabinetu można było wyjść na balkon z widokiem na podwórze i basen z krystalicznie czystą wodą, zapewniał jednak prywatność dzięki znajdującym się po bokach kratkom, porośniętym glicynią. Kiedy mieli wychodzić z gabinetu, Palma zauważyła, że biurko jest uporządkowane, a w jednym rogu leży równy stosik reklamówek Computrona. Choć mieszkanie składało się z niewielu

pokoju, wszystkie były duże i tak urządzone, że sprawiało wrażenie wygodnego i rozległego.

Spotkali się wszyscy razem w salonie i jeszcze przez kilka chwil krążyli, myśląc – albo udając, że to robią – o tym, co przed chwilą ujrzeli. Palma wyszła pierwsza na dwór. Skrzyżowała ręce na piersi i zwróciła się do Cushinga.

– Więc jak? Dajecie nam to? Cushing pokręcił głową.

– Nie ma mowy. – Jedną dłonią przeciągnął w dół krawata, równocześnie szybko wzruszając ramionami niczym zadowolony z siebie alfons z rogu.

Birley i Leeland popatrzyli po sobie.

– Tak też myślałam.

– Będziemy musieli zająć się tym razem – oznajmił Cushing.

– Razem? – Palma uśmiechnęła się. Mimo pozornej pewności siebie, to stwierdzenie musiało go nieco kosztować. Obserwowała go przez dłuższą chwilę, próbując odgadnąć, dlaczego tak mu zależy na utrzymaniu tej sprawy. Gdyby ofiara była zesłą na psy narkomanką – choćby nawet ofiarą seryjnego mordercy – uznałby wielkodusznie, że oddanie sprawy Birleyowi i Palmie „przyniosłoby korzyść” śledztwu. Palma podejrzewała, że w tym przypadku zależy mu na prowadzeniu sprawy z nieco innych powodów.

– Co chcesz z tego wydusić, Cush?

– Co to ma, do cholery, znaczyć? – Starł się udawać oburzonego, ale kiepsko mu szło. – Łapanie morderców to przecież moja robota!

– Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że media nie mogą się o niczym dowiedzieć?

– Media? – Przez chwilę mina Cushinga niczego nie wyrażała, potem zaczął na jego twarz wypływać krzywy uśmiech, który odsłonił tkwiący mu za przednimi zębami kawałek różowej gumy. – Już myślisz o mediach, Carmen?

Palma popatrzyła na niego i przeklęła los, który spowodował, że Cushing i Leeland pierwsi przybyli na miejsce. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie jest w stanie nic zrobić i Cushing o tym wie. Najwyżej mogła przejąć inicjatywę, by nie myślał, że może przejąć kierowanie śledztwem. Koniecznie trzeba było wyrzucić na niego presję faktem, że włączał się do sprawy z opóźnieniem i zasady już zostały ustalone. Dla Cushinga facet, który zabił Moser i Samenov, był jedynie biletem na pociąg pod nazwą „błyskotliwa sprawa”, która – jeżeli jeszcze ciekawiej się rozwinie – może okazać się dobrym materiałem na książkę lub film. Dla Palmy było to zupełnie coś innego, coś czego chciała bardziej, niż Cushing był w stanie sobie wyobrazić. Nie pozwoli sobie tego odebrać.

– A więc dobrze – stwierdziła patrząc na Birleya, który stał oparty łokciem o kuchenny kontuar i przyglądał się z rozbawieniem ich sprzeczce, jakby to była walka kogutów. – Ponieważ od początku obawialiśmy się z Johnem, że to seryjny zabójca – skłamała – może lepiej będzie, jeżeli ci powiemy, jak zamierzamy zabrać się do sprawy. – Znowu popatrzyła na Birleya, który z twarzą pokerzysty śledził, czy uda jej się przepchnąć swoje. – Zawołajmy Julesa.

Jules LeBrun zakończył obchodzenie domu z kamerą i mikrofonem i właśnie znosił do salonu sprzęt, by kontynuować robotę w sypialni. Był młody, miał może dwadzieścia sześć lat i bardzo poważnie podchodził do swoich obowiązków. Palma od dawna zastanawiała się nad jego nazwiskiem, był bowiem ewidentnie Meksykaninem. Do tego jeszcze imię, które w zdrobnieniu brzmiało Julie, jak wszyscy się do niego zwracali...

Szybko przedstawiła przypadek Sandry Moser, który miał miejsce niecałe trzy tygodnie temu, koncentrując się na najważniejszych elementach ustaleń dotyczących życiorysu zabitej, jej stanu rodzinnego, wywiadach z przyjaciółmi i znajomymi, nawykach, zajęciach i tym podobne. Przyznała uczciwie – nie miała innego wyjścia – że w końcu zabrnęli w ślepy zaułek. Wszelkie wątki szybko rozplynęły się w nicości, teraz mieli jednak szansę podjąć śledztwo na nowo. Zaczynając na miejscu zbrodni.

– Podstawowy problem polega na tym – powiedziała patrząc na LeBruna – że facet pracuje bez zarzutu. Bez względu na to, jakie ma ku temu powody – czy jest fetyszystą, byłym więźniem, który wie, co i dlaczego sprzątać, czy wariatem – nie zostawia nic, co mogłoby się nam przydać. W poszukiwaniu śladów będziemy musieli poświęcić bardzo dużo uwagi i czasu na sprawdzenie każdego zakątka oraz szczegółu i zachowaniu miejsca zdarzenia takim, jakie było, kiedy przyszliśmy. Znacznie więcej niż zwykle. Przy Moser nie było spermy, jedynie jej krew, na dodatek bardzo mało, większość ran zadano bowiem pośmiertnie. Nie było śladów śliny. Rozmaz nic nie

dał. Ślady ugryzień były dość dokładne, ale te tutaj powinny być znacznie lepsze, ponieważ są głębsze. Julie, jeżeli zdarzy się kolejny identyczny przypadek, poprosimy wyraźnie, abyś to ty przyjechał, przez co będziesz miał ciągłość obserwacji i będziesz mógł najlepiej poznać naszego człowieka oraz wczuć się w to, co tak naprawdę robi i gdzie mógłby pozostawić coś, co mogłoby nam się przydać. Ponieważ wyprzedza nas o kilka długości, postaraj się być jak najbardziej kreatywny. Zadbaj o to, by wszelkie dostarczane do laboratorium próbki trafiały osobiście do rąk Barbary Soronno. Pracowała nad materiałem zebrany przy Moser i musimy zadbać o to, by badania laboratoryjne robiła jedna i ta sama osoba. – Palma mówiła tak jeszcze przez kilka minut, cały czas uważając, by nie powiedzieć nic nieprzemyślanego, z nadzieją, że przedstawia spójny plan tak skomplikowanego śledztwa. Mimo to od czasu do czasu zerkała na Cushinga, by sprawdzić, czy akceptuje jej wersję. – To ogólny zarys – powiedziała w końcu. Rzuciła kości i właśnie się toczyły. Czekwała, aż się zatrzymają, ukazując odpowiednią liczbę oczek. – O czymś zapomniałam? – spytała patrząc na Birleya.

– Chyba powiedziałas z grubsza o wszystkim – odparł. Na jego twarzy igrał cień rozbawienia.

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał, jedynymi dźwiękami był grzechot monet, którymi Cushing bawił się w kieszeni, i odgłos zucia gumy.

– No proszę! Więc bierzmy się do roboty – stwierdził w końcu. Dwa i pięć. Weszła do gry.

Rozdział czwarty

– Spałam jak zabita – powiedziała. – Nic mi się nie śniło, ani razu się nie obudziłam, nawet sienie poruszyłam. Piętnaście godzin jednym ciurkiem.

Nie odpowiedział, jedynie nieco się odwrócił w fotelu i popatrzył na stojący na regale zegarek. Leżała na kozetce od siedemnastu minut i wypowiedziane właśnie słowa były dzisiaj pierwszymi. Kozetka stała tak, że choć nie mógł patrzeć jej w oczy, dobrze widział, że leży z rękami wzdłuż tułowia, dłonie wnętrzem ma skierowane do góry, palce rozluźnione. Patrząc w kierunku swych stóp, mogła wyglądać przez oszkloną ścianę gabinetu i widzieć las, schodzący łagodnym zboczem do brzegu zalewiska. Ponieważ słoneczne światło było filtrowane przez majowe liście, świat na zewnątrz miał kolor mydła „Zielone jabłuszko”.

– Poszłam do kina i wróciłam do domu około jedenastej. Byłam wyczerpana. Paula jeszcze nie było, a Emily już położyła dzieci do łóżek. Wzięłam zimny prysznic, po wyjściu spod niego natychmiast się wytarłam i jeszcze wilgotna, położyłam na łóżku. Okna były otwarte i czułam pachnące po wieczornym deszczu drzewa. Natychmiast zasnęłam.

Przyjrzał się jej stopom – przez rajstopy prześwitywały ciemniejsze plamki pomalowanych paznokci. Widział smukłe jak u gazeli pięciny. Miała na sobie pasteloworóżową sukienkę z jedwabiu, może sztucznego, o koszulowej górze, tak cienką, że była do niej koniecz-

na halka. Mimo to obejmowała ciało nie utajniając szczegółów.

– Mogło to być zarówno piętnaście sekund, jak i piętnaście godzin. Byłam nieprzytomna.

Znów przerwała. Po chwili ciszy zapytał:

– Co się stało? Skąd ten... długi sen?

Pytanie było czysto rutynowe. Kiedy opowiadały, że przydarzyło im się coś po raz pierwszy – naszła je jakaś myśl, pojawiła się jakaś emocja albo fizyczne odczucie – zawsze pytał, dlaczego ich zdaniem to nastąpiło. Rozwagały pytanie z pełnym powagi oddaniem, zadowolone, że ktoś się interesuje ich samopoczuciem, że obchodzi kogoś, dlaczego robią to, co robią – nawet jeżeli mu za to płaciły.

– Nie spałam tak dobrze od dziesiątego roku życia.

Oczy Broussarda przesunęły się z jej różowych ud w kierunku twarzy. Nie odpowiedziała na pytanie.

– Od dziesiątego roku życia?

Obróciła dłonie tak, że leżały wnętrzem do dołu. Rozcapierzyła lekko palce w geście nagłego zaniepokojenia, takim, jaki się wykonuje, kiedy samochód nagle podskoczy na wyboju. Nie była jednak przestraszona – jej twarz niczego nie zdradzała.

– Od dziesiątego roku życia? – powtórzył.

Mary Lowe przychodziła do doktora Broussarda od mniej więcej dwóch miesięcy, pięć razy w tygodniu. Jak na razie nie osiągnęła znaczących postępów. Od początku była trudną pacjentką, doktor Broussard tolerował jednak jej opór i nie zwracał uwagi na nieko-

rzystną prognozę. Nie był ortodoksyjnym psychoanalitykiem i uważał, że jeżeli ktoś nie zamierza współpracować, nie ma konieczności stawiania mu jakichkolwiek wymagań. Na samym początku poinformował zarówno Mary, jak i jej męża, że terapia, na jaką się zdecydowała, może być długotrwała i czasochłonna, tak samo niemal od razu kiedy ją zobaczył, postanowił sprawić, by okazało się to prawdą. Na razie był więcej niż zadowolony, wysłuchując jej opowieści, które nie były niczym innym jak wymijającą i próżną gadaniną, klasycznym marnotrawieniem czasu. Tylko jednak dla niej, on bowiem nie był w stanie wyobrazić sobie przyjemniejszego spędzania czasu. Przez godzinę sesji nie robił nic, siedział tak, by widziała go kątem oka, i bez najmniejszych przeszkód wędrował wzrokiem po jej ciele, wyobrażając sobie ze szczegółami strukturę i kolor osłoniętej różowym materiałem skóry.

Doktor Dominick Broussard miał czterdzieści osiem lat.

Jej dłonie powoli się rozluźniły i ponownie odwróciła je wnętrzem ku górze, a zrelaksowane palce lekko się zgięły.

– Kiedy miałam dziewięć lat, dostałam lalkę z Drezna. Mój ojciec był wtedy w wojsku i stacjonowała tam jego jednostka... może gdzie indziej we wschodnich Niemczech, w każdym razie przywiózł mi tę lalkę. Była z porcelany, to znaczy głowę miała z porcelany. Musiała dużo kosztować, choć wtedy oczywiście o tym nie myślałam. Patrząc jednak wstecz, biorąc pod uwagę delikatność rysów twarzy, wierność ich odtworzenia, doskonałość błyszczącej powierzchni, musiała być bardzo droga. Miała jasne włosy i uważałam,

że jest najpiękniejszą rzeczą na świecie. Nie było nic piękniejszego od niej.

Ton głosu spowodował, że doktor Broussard skoncentrował wzrok na twarzy swojej pacjentki. Była wyjątkowo piękna – wyraźna linia szczęki, wysokie kości policzkowe i nieco asymetryczne usta, które wydawały mu się szczególnie pociągające, ponieważ w jednym kąciku tworzył się dołeczek. Nad górną wargą było widoczne niewielkie zagłębienie. Miała prosty nos modelki i duże szarobłękitne oczy, obwiedzione rdzawym cieniem, nadającym im wyraz uduchowienia. Miała jasne włosy – ale nie w kolorze słomkowym, będącym efektem wielu godzin spędzonych w salonie fryzjerskim, lecz w soczystym kolorze dojrzałej pszenicy. Dziś związała je w luźny węzeł, a fryzura ta podkreślała urok jej rysów.

Tak mu się podobała, że byłby szczęśliwy, gdyby przychodziła do niego tylko po to, aby wyciągać się na leżance, przez godzinę powyglądać przez okno na nakrapiany słońcem ogród, a potem odejść bez słowa. Scenariusz ten był wręcz tak pociągający, że doktor wielokrotnie odgrywał w wyobraźni następujący film: psychoanalityk ma piękną klientkę, która przychodzi do niego trzy razy w tygodniu, nie po to jednak, aby przedstawiać swoje lęki i kompleksy, poddawać je analizie, lecz aby towarzyszył jej w milczeniu i skrywaniu tajemnic, przez co wręcz łączył się z nią w jej urojeniach. Z analizowanej stawała się w ten sposób analitykiem, analityk zaś stawał się obiektem analizy. Psychoanalityk nie pomagał kobiecie odradzać się przekształcając znaczenie słów, lecz

raczej ona tworzyła go na nowo pełną mądrości empatią milczenia.

Mary Lowe zaczęła jednak mówić i akurat teraz, po czterdziestu sesjach, otworzyła temat dzieciństwa. Podczas wieloletniej praktyki słyszał mnóstwo kobiet opowiadających mu o swoim dzieciństwie i na ogół nie były to wspomnienia szczęśliwe. Przecież przychodziły do niego z powodu najrozmaitszych problemów, z których wiele miało tragiczne korzenie w dzieciństwie. Chyba najbardziej przynębiającym zjawiskiem, z jakim musiał się zmagać zawodowo, była banalność problemów jego pacjentek. Przez lata leczył setki cierpiących i wciąż powtarzały się te same narzekania: nadużywanie alkoholu i leków, schorzenia na bazie lękowej, głównie fobie i nerwice obsesyjno-kompulsywne, zaburzenia nastroju (Boże, mógłby zbić majątek na samej depresji), promiskuityzm, zaburzenia psychogenne – anoreksja, bulimia i wrzody, rozmaite zaburzenia seksualne... Nie są to problemy, jedynie objawy. Ich przyczyną jest coś głębszego, bardziej skomplikowanego, traumatyczniejszego. Owo „coś” skrywa się jak tchórz w głębiach ludzkiej podświadomości i wysyła na powierzchnię świadomości jedynie swoich emisariuszy – objawy – w ten sposób każąc cierpieć zdeorientowanemu osobnikowi. Tak samo jak niczego nie podejrzewający człowiek, który stanął przed weneckim lustrem, klient psychoanalityka widzi jedynie własne odbicie, własne cierpienie i oskarża o to, co widzi, siebie. Rolą doktora Broussarda było rozbijanie tego lustra i ukazywanie prawdy istniejącej po drugiej stronie. Nie zawsze sprawiało mu to przyjemność i nie zawsze się udawało.

– Właściwie to dostałam tę lalkę, kiedy miałam pięć lat. Właśnie wtedy się rozwiedli.

Doktor Broussard sprawdził, czy na stojącym po drugiej stronie pokoju magnetofonie nie zgasła czerwona dioda.

– Pił – dodała Mary Lowe i przerwała. – Był bardzo przystojnym alkoholikiem i kochałam go bezwarunkowo. Dziecko jest do tego zdolne, przynajmniej raz w życiu. Nie pamiętam niczego... żadnych scen, wrzasków, kłótni. Niczego w tym stylu, opowiadała mi jednak o nich później, pokazywała blizny, które ponoć pochodziły z jego ręki. Nie wiem, czy mówiła prawdę.

– Uważa pani, że kłamała?

Nie wiem – odparła z nutką zniecierpliwienia w głosie. – Po prostu nie mam dowodów, by coś podobnego robił. Nie byłam świadkiem niczego, ponieważ uciekłyśmy. Zostawiłyśmy go w środku nocy, w Georgii, w maleńkim miasteczku pod Savannah. Nie zatrzymała się do rana, dopiero wtedy zjechała na polną drogę i kazała mi czuwać, a sama poszła spać. Kiedy ją obudziłam, było wczesne popołudnie. Kupiłyśmy w budce przy drodze coś do jedzenia i pojechałyśmy dalej. Zatrzymałyśmy się dopiero wieczorem, gdzieś za granicą Missisipi. Potem żyłyśmy jak Cyganki, przez rok matka pracowała jako kelnerka i sekretarka. Zostawałyśmy chwilę w jednym miejscu, ale zaraz je zmieniałśmy i znów się przeprowadzałyśmy. Zaliczyłyśmy dziesiątki tanich apartamentów, umeblowanych pokoi, „moteli turystycznych” na całym Południu. Boże, zapomniałam już, w ilu brudnych pokojach mieszkaliśmy, ale nigdy nie

zapomnę ich zapachu. Środki do dezynfekcji. Odór amoniaku unoszącego się z pozapadanych materacy. Kwaśny smrodek ludzkiego potu i damsko-męskich intymności. W nocy płakała w ciemności, a ja ścisnęłam lalkę z Drezna, wsłuchując się w jej żałosne pochlipywanie i wdychałam zapach poplamionych materacy... Nie wiem, z jakiego powodu płakała, w końcu to ona go porzuciła.

Broussard popatrzył na stopy Mary Lowe – cofnęła prawą, pończocha przekręciła jej się nieco w okolicy kostki.

– Nie wygląda na to, by miała pani zbyt wiele sympatii do matki – stwierdził i popatrzył na jej twarz. Miała odwróconą głowę, tak że widział ją z profilu, właściwie nawet w pozycji, którą portrecista nazwałby *profilperdu* – „stracony profil”, dostrzegał bowiem w zasadzie jedynie kontur policzka.

– Tak za nim tęskniłam... – powiedziała ignorując jego uwagę. – Czasami, kiedy leżałam w nocy w kolejnym przepoconym łóżku, nachodziła mnie myśl, że moje narządy wewnętrzne powoli się od siebie oddzielają. Kiedy wstrzymywałam oddech, zdawało mi się, iż czuję, jak poszczególne kawałki w moim wnętrzu się odrywają, oddalają od reszty na rozciągliwych jak guma pasmach, coraz cieńszych i cieńszych, które zaraz pękną. Ogarniało mnie przerażenie, kręciło mi się w głowie na myśl, że nagle rozprysnę się na drobne, niewidoczne kawałeczki, które polecą we wszystkie strony wszechświata i nigdy nie zostaną odnalezione. Nie pozostanie ze mnie nic, co ktoś mógłby pokochać. – Przerwała. Kątem oka widział, że mruży oczy, próbuje sobie więcej przypomnieć. – Leżałam, nie mogąc

zasnąć w duszącej, nocnej ciemności... czekając, aż ta myśl opanuje moją głowę, i rosło we mnie przerażenie.

Broussard od dawna nie wczuwał się w tego typu opowieści. Nauczył się nie angażować, jedynie słuchać. Także opowiadaną właśnie historię przyjmował czysto rozumowo i analitycznie, nie współczuł swojej klientce, nie przygnębiał go ciężar jej dziecięcej samotności. Nie zawsze zachowywał podobny dystans, ale dwa załamania nerwowe nauczyły go, że aby pomóc tym, którzy szukają u niego pomocy, musi zablokować swoją skłonność do brania sobie do serca ponurych opowieści. Tak jak Odyseusz, aby nie ulec melancholijnym pieśniom kobiet o złamanym sercu, które tak łatwo mogły go skusić, musiał się przywiązać do masztu obiektywizmu. Mimo wszystko do dziś niektóre go fascynowały.

Broussard traktował tego typu opowieści swoich pacjentek jako pieczołowicie dopracowane autobiografie, twory wyobraźni, w wątek i osnowę których kunsztownie wpleciono delikatne nici fantazji i rzeczywistości. Aby utkana w ten sposób materia służyła najlepiej, dawała optymalną proporcję niesionej fantazją kreatywności i tworzonej przez poczucie rzeczywistości stabilności, u każdego człowieka musi się składać z tych dwóch składników, lecz w innej proporcji. Czasem jednak, kiedy opowieść o życiu zostaje zakończona, kiedy „materia” zostaje zdjęta z krosna, narrator stwierdza, że tak sprytnie pospłatał poszczególne nici, iż sam nie jest w stanie ich od siebie odróżnić i to, kim jest, staje się niemożliwe do odróżnienia od tego, kim nie jest. Zadanie doktora Broussarda, często trudne

i mozolne, polegało na pomocy opowiadającej osobie w rozplataniu kłębowiska nici jej własnej imaginacji.

Broussard miał uczciwe podejście do sprawy. Wiedział, że taki jest, i robił niejedno, by takim pozostać. Uważał, że jego klientom należy się kontakt z osobą czującą na ich opowieści, która nie bagatelizuje ich rozpaczy. Miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i dobrze rozwiniętą klatkę piersiową, którą utrzymywał w formie minimalną ilością ćwiczeń. Miał smagłą cerę – dla osiągnięcia zdrowego wyglądu nie musiał się karać dużą ilością słonecznych promieni – gęste, falujące włosy, siwiejące na skroniach w, jego zdaniem, niedościgły sposób, które przycinał odrobinę, za to często, dzięki czemu nigdy nie sprawiał fatalnego wrażenia, że właśnie wyszedł od fryzjera. Dbął o paznokcie, nosił drogie garnitury, szyte w konwencji ekskluzywnej, ale dyskretnej europejskiej ponadczasowości.

– To poczucie przerażenia... jak długo się utrzymywało? – naciskał wedle obowiązującej normy. Na palcu serdecznym, przy paznokciu, poczuł oderwany kawałek skórki i czekając na odpowiedź, dyskretnie wyjął z kieszeni obcinarkę i zaczął cicho obskubywać zrogowaciały fragment.

– Wie pan, co jeszcze pamiętam? – zapytała, znów ignorując jego wtręt. – *Are You Lonesome Tonight?* [(ang.) – Czy jesteś dziś samotny?] Elvisa Presleya. Boże drogi... Nie pamiętam, czy słyszałam tę piosenkę w radio, z adaptera czy skądinąd. Miałam sześć, może siedem lat. Nie zapamiętałabym jej, ale matka nie pozwoliła mi jej zapomnieć. Nuciła tę melodię, nawet kiedy wyszła ponownie

za mąż, i puszczała ją z płyty, kiedy nie było go w domu. Nie wiem dlaczego. Można by sądzić, że jeżeli przypominała jej... to powinna starać się zapomnieć. Nie jestem w stanie słuchać tej piosenki nie przypominając sobie tych wszystkich obcych, brudnych pokoi w miasteczkach na Południu. W żadnym nie zostałyśmy na tyle długo, by przestać być „obcymi”.

Przerwała. Doktor Broussard milczał. Kończył właśnie obcinać skórkę i pozostawiał Mary Lowe inicjatywę, ona jednak już skończyła. Widział po jej ustach – wyrażały na jej twarzy najwięcej – że nie zamierza kontynuować tematu. Wątpił, by zauważyła, że dotknęła krytycznego punktu. A może zauważyła i właśnie dlatego zamilkła? W każdym razie sprawiała wrażenie, jakby nigdy nic. Powiedziała swoje, jakby czytała z książki, jakby przedstawiała słowa obcej osoby.

– Co się stało z pani ojcem? – Dyskretnie złożył obcinarkę i schował ją do kieszeni. Może tym razem pytanie zadziała, choć jeszcze nigdy nie udało mu się skłonić jej do pracy nad sobą.

Mary Lowe nie poruszyła się ani nic nie powiedziała. Po chwili uniosła prawą rękę i popatrzyła na zegarek. Był mały i delikatny, wokół szkiełka ozdobiony wianuszkiem diamentów. Nosila go przekręcony tarczą do nadgarstka.

– Pięta – powiedziała, uniosła tułów, popatrzyła na Broussarda, spuściła stopy na podłogę i postawiła je po obu stronach stojących przy łóżku pantofli. Uniosła dłonie do karku i poprawiła niesforne pasemka włosów, a kiedy się pochylała, by włożyć pantofle, patrzył,

jak jej piersi wypełniają dekolt. Musiała wyczuć na sobie jego wzrok, natychmiast bowiem uniosła głowę i odwzajemniła spojrzenie. Nie próbował udawać, że się nie gapi, ona też ani nie udała, że nie zauważa spojrzenia, ani nie okazała zażenowania lub złości. Zapinała pantofle, pozwalając mu się przyglądać. Jakby dawała znak, robiąc to odrobinę dłużej niż konieczne, ale chyba była to jedynie jego nadzieja a, jego marzenie.

– Robimy postępy – powiedział, kiedy skończyła. – Z czasem robi się to prostsze.

Wstała i wygładziła opinającą płaski brzuch sukienkę.

– To świetnie – odparła obojętnie, patrząc jak Broussard wstaje i kładzie notes przednią kartką na dół, by ukryć, że jest pusta. Odwróciła się i wzięła torebkę ze stolika przy drzwiach. Podszedł i wyciągnął prawą dłoń ku klamce, lewą kładąc na dole jej pleców, układając ją tak, by dotknąć możliwie najwięcej ciała.

– To do jutra – powiedział, czując drżenie w palcach, które odnalazły zagięcie w miejscu, gdzie biodro przechodzi w talię. Pozwoliła na to – nie zrobiła kroku do przodu ani nie uchyliła się, by uniknąć dotyku. Wahala się. Miał wrażenie, że chce mu coś powiedzieć, lecz jednak wyszła.

Rozdział piąty

Stali we czworo w chłodzie sypialni, dwa kroki od nagiej, ułożonej jak na katafalku Dorothy Samenov, patrzącej w wieczność przepęlnionymi zdziwieniem, pozbawionymi powiek oczami. Pójdzie do grobu czuwając, pozbawiona dobroczynnego gestu, który współczesny człowiek przejął od swych przaszczurów – zamknięcia oczu przed przerażającym Nieznanym. Widok bladego, sponiewieranego ciała samotnej kobiety na lodowatym prześcieradle wystawił na ciężką próbę analityczną postawę Palmy. Kiedy tak stali i rozmawiali, Palma przez cały czas widziała kątem oka woskową postać Dorothy, która zdawała się cierpliwie czekać, aż wyzwolą ją z poniżenia. Poprzez śmierć straciła więcej niż życie i potulnie, choć błagalnie złożone dłonie zdawały się jedynym elementem ludzkiej godności, jaki pozwolono jej zachować.

Palma w ciągu czterech lat pracy w wydziale zabójstw widziała dość, by umieć natychmiast wychwycić różnicę pomiędzy szczególną brutalnością morderstw na tle seksualnym od pozostałych zabójstw. Na pierwszy rzut oka wszystkie zabójstwa wydają się takie same, są bowiem efektami przemocy. Rany się różnią, ale energia, która je spowodowała, ma wspólny mianownik. Charakterystyczne cechy mordów na tle seksualnym są jednak niezwykle wyraziste. Palma nie pamiętała szczegółów setek zabójstw z wykorzystaniem broni palnej, noża albo sznura, jakie widziała w dotychczasowej pracy, nigdy jednak nie zapominała tych na tle seksualnym. Pamięta-

ła je w najdrobniejszych szczegółach, nigdy też nie zapomni upiornego wrażenia, jakiego doznała, kiedy po raz pierwszy przysłała na miejsce zbrodni seksualnej. Miała wtedy uczucie, jakby umysł, który wyprodukował ów przerażający scenariusz, unosił się nad trupem, aby doznać ostatecznej przyjemności z popełnionego przestępstwa – ujrzeć, jak na widok jego dzieła krew się ścina w żyłach normalnych ludzi.

Teraz należało prawidłowo rozdzielić zadania. Jeżeli obie sprawy były ze sobą powiązane (a wszyscy uważali, że tak jest), Cushing i Leeland musieli dowiedzieć się wszystkiego od Palmy i Birleya. Postanowiono więc, że pozostaną z Birleyem, który zbada razem z nimi miejsce zbrodni i porówna fakty z tym, co stwierdzono na miejscu zabójstwa Sandry Moser. Po przetransportowaniu ciała do kostnicy Cushing i Leeland pojedą tam na sekcję, podczas gdy Birley zostanie i będzie dalej pracował z LeBrunem. Palma, która prowadziła większość przesłuchań w pierwszej sprawie, porozmawia w tym czasie z Vickie Kittrie. Kiedy Cushing i Leeland wrócą na komendę, przeczytają raport i wszelkie późniejsze uzupełnienia w sprawie Moser. Następnie cała czwórka się spotka, aby porównać notatki.

Wychodząc z sypialni, Palma minęła w drzwiach Wendella Barry'ego i weszła do salonu, gdzie stali dwaj funkcjonariusze, skromnie nie chcąc przeszkadzać detektywom. Podejrzała, że zanim przyjechała z Birleyem, dokładnie obejrzelі sobie nagą Mary Lowe i teraz udawali nietypową dla policjantów obojętność jedynie ze

względu na koleżankę z wydziału zabójstw. Czasami zdarzało jej się spotykać z dziwną rycerskością, zwłaszcza ze strony młodych mundurowych, którzy nieczęsto widywali nagie martwe kobiety. Przy atrakcyjnej seksualnie ofierze zaskakiwało ich, że śmierć niewiele pod tym względem zmienia, a niestosowność nieoczekiwanego podniecenia zwykle mocno ich niepokoiła. Niektórzy stawali się wtedy ponurzy, sztywni albo obojętni, niekiedy wręcz schodzili jej z drogi – jakby uważali, że z powodu płci i słabego panowania nad chemią swego ciała stają się współnikami sprawcy. Jakiś czas zabierało im nauczenie się ignorowania albo blokowania takich zjawisk, albo przynajmniej – jeżeli nie umieli nad sobą zapanować – żartowania z nich. Istnieje wiele sposobów radzenia sobie z widokiem zwłok, podstawą jest jednak to, by nie brać sobie go do serca. Przynajmniej nie za każdym razem.

– Czy któryś z panów to VanMeter? – spytała podchodząc i patrząc na ich plakietki identyfikacyjne.

– Nie, proszę pani – odparł niższy. – Jest na zewnątrz. Ten z rudymi wąsami. Po chłodzie sypialni przedpołudniowy upał uderzył jak obuchem i ciało Palmy natychmiast pokryło się potem, zupełnie jakby weszła do sauny. Bez trudu znalazła VanMetera, który stał razem ze swoim sierżantem zmianowym na znakomicie przystrzyżonym trawniku, w głębokim cieniu magnolii. Nieopodal, w teksaskim słońcu, paliła się niepotrzebnie gazowa latarnia. Nie rozmawiali, choć nietrudno było się domyślić, że dopiero co przestali. Podchodząc, Palma zauważyła przy krawężniku kilkanaście nie-

dopałków.

– VanMeter? – spytała podchodząc do młodego policjanta i wyciągając do niego rękę. – Detektyw Palma. – Był bardzo młody, błękitne oczy i gładka skóra jeszcze go odmładzały. Miał nieporadny, wręcz kruchy uścisk dłoni. Przywitała się także z sierżantem, przypominając sobie, że już kiedyś się spotkali, kilka miesięcy temu, na miejscu innej zbrodni. Odwróciła się do zapalającego papierosa VanMetera.

– Pan ją znalazł?

– Tak, proszę pani. Palma czekała.

– Opowiedz, jak to się odbyło – odpowiedział sierżant. VanMeter wbijał w nią wzrok i Palma zrozumiała, że chłopak musiał bardzo niedawno opuścić Akademię.

– W zasadzie chciałem tylko sprawdzić, czy nic się nie stało – wyjaśnił YanMeter. Miał gładko przystrzyżone wąsy. Wydmuchnął z ust kłęb dymu, w bok, aby nie owionął Palmy. Niebieski obłok przez chwilę unosił się w powietrzu i zaraz zniknął. Kiedy Kittrie przedstawiła, jak ma się sprawa z koleżanką, zapytał, czy zna kogoś, kto ma zapasowy klucz do jej mieszkania. Kittrie nikogo takiego nie знаła, stwierdziła jednak, że Samenov trzyma zwykle drugi komplet w samochodzie, który był też zamknięty. VanMeter użył więc przyrządu do otwierania drzwi samochodowych, jaki policjanci wożą w radiowozach, dostali się do saaba Samenov, po krótkich poszukiwaniach znalazł zapasowe klucze do mieszkania i weszli do środka.

– Pan wchodził pierwszy?

– Tak, proszę pani. Wszedłem, kazałem jej poczekać w salonie i poszedłem się rozejrzeć. Od razu poszedłem do sypialni. Nie wiem dlaczego, ale... drzwi były otwarte i znalazłem ją. – Jego grdyka nerwowo podskakiwała, przełknął ślinę, potem głęboko zaciągnął się papierosem.

– Kittrie widziała ją?

– Widocznie, zaskoczony widokiem zwłok, musiałem coś powiedzieć, usłyszała mnie i wbiegła do pokoju. Wszedłem kilka kroków w głąb sypialni i kiedy się odwróciłem, stała w drzwiach tuż za moimi plecami.

– Wtedy ją zobaczyła?

– Tak, proszę pani.

– Pamięta pan jej reakcję? Kiwnął głową.

– Straciła przytomność. Po prostu upadła, jakby dostała czymś w łeb. Musiałem wziąć ją na ręce... wyniosłem na zewnątrz. Położyłem mniej więcej tam, w cieniu. Małżeństwo, które mieszka przez ulicę – wskazał głową na okna po drugiej stronie ulicy – musiało wyglądać przez okno. Przyszli, kobieta miała mokry ręcznik i doprowadziliśmy dziewczynę do porządku. Kiedy wstała, zabrali ją do siebie.

– Jest teraz u nich?

– Tak, proszę pani. Nie wiem, jak się nazywają.

Palma podziękowała VanMeterowi. Najchętniej dodałaby mu otuchy, ale nie miało to sensu. Ruszyła w kierunku zbudowanego z żółtawych cegieł domu w stylu śródziemnomorskim, którego ogró-

dek wypełniały szeregi pomarańczowych lwich paszczy i pojedyncze palmy sagowcowe. Kiedy zadzwoniła do drzwi, natychmiast się otworzyły i stanął w nich mężczyzna w średnim wieku, o dość długich, kręconych, przeredzających się na czole włosach. Miał na sobie luźną koszulę w hawajski wzór, wypuszczoną na sprane dzinisy. Choć dość szeroki, nos nie odbierał twarzy urody, w oczy rzucały się niezwykle długie rzęsy.

– Detektyw Palma – przedstawiła się Carmen pokazując plakietkę. – Podobno jest u państwa Vickie Kittrie.

Oczywiście, proszę wejść. – Podał jej dłoń. – Nathan Isenberg. – Cofnął się, by wpuścić gościa. – Jest na górze. – Zamknął drzwi i poprowadził Palmę trzy schody w dół, korytarz był bowiem nieco niżej od wejścia. Równocześnie gadał i gestykulował. – Małą dobrze potrząsnęło. Boże drogi. Wyobraża to pani sobie? – Stanął, odwrócił się do Palmy i położył jej dłoń na ramieniu. – Bardzo źle? – Twarz boleśnie mu się wykrzywiła, jakby oczekiwał najgorszego.

– Dość źle.

– Boże... – syknął, dając do zrozumienia, by zostało to między nimi. – Biedne dziecko. – Zagryzł dolną wargę i pokręcił głową, aż włosy zafalowały mu jak na silnym wietrze, potem znów się odwrócił i poprowadził Palmę schodami do salonu, oddzielonego od holu olbrzymią donicą z filodendronami i monsterami. Na kanapie obok Kittrie siedziała kobieta w sarongu i górze od bikini. Wstała na widok Palmy.

Mężczyzna przedstawił ją jako Helenę, potem przedstawił Kit-

trie, u której przede wszystkim zwracały uwagę czerwone oczy i ściskana nerwowo w dłoni różowa papierowa chusteczka. Nastąpiła niezręczna chwila, którą przerwała gospodyni, przeciągając szczipłą, ładną dłonią przez czarne, przeplecione nitkami siwizny włosy i pytając, czy Palma czegoś by się napiła. Palma odmówiła, więc gospodarze przeprosili i ruszyli do wyjścia. Kiedy byli w drzwiach, Palma zauważyła pod cienkim materiałem sarongu, że kobieta nie ma na sobie dołu bikini.

Vickie Kittrie była ubrana bardzo elegancko – w dość typową dla pracujących w biznesie kobiet srebrnoszarą marynarkę ze sztucznego jedwabiu i lnu, wyprasowane w kant spodnie i czarne trzewiki za kostkę na wysokim, grubym obcasie. Różową jak fuksja bluzkę z chińskiej krepy miała wsuniętą w spodnie. Siedziała skulona na kanapie, za stolikiem z blatem ze złotych kafelków, miętosila chusteczkę i patrzyła na Palmę opuchniętymi od płaczu oczami.

– Czuje się pani na siłach, by porozmawiać ze mną kilka minut? Kittrie ochoczo kiwnęła głową.

– Oczywiście – powiedziała i natychmiast wytarła nos.

– Przykro mi z powodu pani przyjaciółki – zaczęła Palma, siadając na wysyciełanym krześle naprzeciw młodej kobiety. Kittrie znów kiwnęła głową. Miała popielatorude włosy i bladą cerę Irlandki. Płakała tyle i tak często wycierała oczy wilgotnymi chusteczkami, że z jej twarzy znikł niemal cały makijaż, a na grzbiecie nosa pojawił się rząd piegów, nadający jej wyraz młodzieńczy, sprzeczny z „poważną” garderobą. Znów zaczęła nerwowo szarpać

chusteczkę, jej ciemnoorzechowe oczy wpatrywały się w Palmę.

– Ma pani rodzinę albo przyjaciół, kogoś kto mógłby panią stąd zabrać, może trochę z panią zostać?

– Mam przyjaciół... w pracy. Już do nich dzwoniłam. Palmę nieco zaskoczył ton głosu. Było w nim coś ostrego.

– Pani Samenov była pani przyjaciółką?

– Tak.

– Jak długo się znałyście?

– Długo. – Jej głos na chwilę się załamał, zaraz jednak nad nim zapanowała. – Cztery lata, może trzy... raczej cztery. Pracowałyśmy razem, w Computronie.

– Była mężatką?

– Rozwiodła się.

– Kiedy?

– Hm... chyba jakieś... nie wiem dokładnie... pięć, sześć lat temu.

– Czy jej były mąż mieszka w Houston?

– Tak.

– Zna pani jego nazwisko?

– Dennis... Ackley.

– Często się z nim widywała? Kittrie ściągnęła nieco ramiona.

– To nie był taki rozwód. Nie rozeszli się w przyjaźni.

– Wie pani, gdzie on pracuje, gdzie mieszka?

– Pracuje... wydaje mi się... w sklepie z farbami.

– Zna pani nazwę sklepu? Pokręciła głową.

– Pamiętam tylko, jak Dorothy kiedyś powiedziała, że teraz właśnie coś takiego robi.

– Wie pani przypadkiem, czy służył w wojsku? Kittrie zamknęła oczy i pokręciła głową.

– Czy miała rodzinę? Biuro koronera musi kogoś zawiadomić.

– Ona nie ma nikogo w tym mieście. Nie warto zwracać sobie głowy Ackleyem. Pochodziła z Karoliny Południowej. Odeszła z domu. – Kittrie w dalszym ciągu miała zamknięte oczy, ale trzymające chusteczkę palce przestały drżeć.

Ostatnia uwaga zabrzmiała dość dziwnie w kontekście tego, że Samenov miała trzydzieści parę lat, kilka lat była mężatką, kilka rozwódką i najwyraźniej mieszkała w Houston od dłuższego czasu. Określenie „odeszła z domu” byłoby bardziej stosowne dla studentki.

– Chyba... cóż... wołałabym sama im powiedzieć – dodała Kittrie i odkaszlnęła.

– Zna pani jej rodzinę?

– Kiedyś poznałam jej rodziców. Na pewno mnie pamiętają. – W dalszym ciągu nie otwierała oczu.

– Jestem pewna, że koroner nie będzie miał nic przeciwko temu. Powinna go pani o to zapytać – powiedziała Palma i zawiesiła głos, dając do zrozumienia, że chce zmienić temat. – A co z mężczyznami? Miała kogoś na stałe?

– Nie. – Kittrie otworzyła oczy. Wyglądało, że jest tego dość pewna.

– Miała kogoś w ostatnim czasie?

– Nie sądzę.

– Z jakiego rodzaju mężczyznami spotykała się w ciągu ostatniego roku?

– Oj, nie wiem. Po jakimś czasie wszyscy wydawali się tacy sami... wszyscy faceci są do siebie podobni. – Mówiła jak matrona, choć nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia trzy lata.

– Czy mogłaby pani wymienić nazwiska mężczyzn, z którymi się umawiała, byśmy mogli sprawdzić, kiedy widzieli ją ostatni raz?

– Pytanie było czysto rutynowe.

– Wiem, że spotykała się z takim facetem z Computronu... Wayne Canfieldem. Z działu marketingu. Był jeszcze jeden... Gil, chyba... Reynolds. Spotkałam go kilka razy u niej w domu. Nic o nim nie wiem.

– To wszystko?

Kittrie westchnęła i spojrzała na sufit.

– Chwileczkę... Jeszcze Dirk, którego poznała na kursie wieczorowym... kiedy chodziła na uniwersytet na kurs księgowości.

– Kiedy to było?

– W zeszłym roku, w czasie semestru wiosennego. Przez jakiś czas spotykała się z wiceprezesem banku... – zmarszczyła czoło – ...banku... nie pamiętam nazwy, ale miał chyba na nazwisko Bris... Bristol. Tak, Bristol. – Popatrzyła z irytacją na Palmę. – Więcej nie wiem. To wszystko, co pamiętam.

– Mieszkała sama?

Kittrie kiwnęła głową, jej dłonie znów mięły chusteczkę.

– Słyszałam, że w czwartek wieczór, kiedy widziała ją pani po raz ostatni, poszłyście z grupą koleżanek z pracy na drinka.

– Zgadza się, do Cristof's. To niedaleko Greenway Plaża. Często tam chadzamy, aby przeczekać godzinę szczytu.

– Kto był z wami?

– Marge Simon, Nancy Segal, Linda Mancera.

– Każda swoim samochodem?

– Tak... nie, Marge i Linda przyjechały razem.

– Jak często tam chadzacie? Kilka razy w tygodniu?

– Dwa, trzy razy w tygodniu.

– Do tego samego lokalu?

– W połowie przypadków jest to Christof's. Leży wszystkim po drodze.

– Spotykaliście się tam z mężczyznami albo poznawaliście tam mężczyzn?

– Niezupełnie.

– Tak czy nie?

– Nie. – Kittrie zrobiła paznokciem dziurę w chusteczce, złożyła ją na pół, po chwili zrobiła kolejną dziurę.

– Czy Dorothy wyglądała w ten czwartek na czymkolwiek zaniepokojoną? Zachowywała się inaczej niż zwykle? Coś ją dręczyło?

– Nie, nic takiego nie było. Już się nad tym zastanawiałam, zadawałam sobie pytanie, czy nie było w niej czegoś dziwnego. – Pokręciła głową. – Nie, to spadło jak grom z jasnego nieba... Nie wy-

obrażam sobie, by to, co się stało, miało z nią cokolwiek wspólnego. To znaczy, że ma związek z czymkolwiek w jej życiu. Nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić.

– Czy po wyjściu z klubu zamierzała jechać do domu?

– Tak jak my wszystkie.

– Nie zamierzała gdzieś się zatrzymać? W pralni, w sklepie?

O niczym takim nie wspominała?

Kittrie pokręciła głową i przygłodziła palcami włosy.

Palma pomyślała o Sandrze Moser. Ostatnimi osobami, które widziały ją żywą, była gosposia i dzieci – kiedy wychodziła na aerobic. Nigdy tam nie dojechała. Znalaziono ją następnego dnia, kiedy pokojówka z hotelu Doubletree w Post Oak weszła rano do pokoju posprzątać. Leżała na łóżku w takiej samej pozycji jak znaleziono dziś Samenov.

– Co sobotę chodziła pani z panią Samenov na gimnastykę. Dokąd?

– Do Houston Racquet Club. – Odpowiedziawszy, Kittrie wzięła z pudełka na stole kilka następnych chusteczek i znów zaczęła wycierać nos.

Sandra Moser jechała do Sabrina's, eleganckiej siłowni w okolicy Tanglewood, niedaleko swojego domu. Bez względu na to, czego Palma jeszcze się dowie o człowieku, który dokonał obu morderstw, już teraz było jasne, że ma wyszukany gust. Działał na terenie znajdującym się dokładnie pośrodku dwóch przedmieść, których mieszkańcy należeli do najbogatszych w kraju.

Palma przez chwilę obserwowała Kittrie.

– Coś się pani kojarzy?

Czyżby Kittrie rzeczywiście unikała jej spojrzenia?

– Czy coś mi się kojarzy? Boże, skądże znowu! – Jej zaskoczenie było odruchowe, prawdziwe, tak spontaniczna gra twarzy zdarza się tylko człowiekowi nieprzygotowanemu do obrony i mówi więcej o czymś stosunku do osób lub sytuacji niż dwa tygodnie wywiadów środowiskowych. Kittrie znów schyliła głowę i szarpała chusteczki.

Palma postanowiła przejść do sedna.

– Co może mi pani powiedzieć o życiu seksualnym pani Same-nov? Kittrie szarpnęła głową i popatrzyła na Palmę z mieszaniną złości i strachu.

– Boże drogi... Musi pani o to pytać? – Znow zaczęła płakać, tarła chusteczką policzki i oczy ścierając resztkę makijażu. Jej cera była bledsza, a oczy mniejsze i brzydsze, niżby sobie tego życzyła. Jej twarz bez makijażu nie pasowała do wymyślnej fryzury i eleganckiego stroju. Jej słabość była również widoczna jak nie przypudrowane piegi.

– Im więcej się o niej dowiem, tym większą mam szansę zrozumieć, co się stało. Może została przypadkową ofiarą, a może nie. Muszę być w stanie spojrzeć z odpowiedniej perspektywy na jej życie prywatne.

– Nie wiem nic o jej życiu seksualnym! – wykrztusiła Kittrie. – Nie wiem, z kim ani... nic. Boże! – Zaczęła nieopanowanie płakać i nie mogła dalej mówić. Zasłoniła twarz dłońmi, jej ramiona ryt-

micznie podrygiwały. Palma nie uwierzyła jej. Zbyt podkreślała własną niewiedzę, gwałtowność protestu przerastała wagę pytania. Mogła odpowiedzieć, że nic nie wie i tyle. Palma nie miała jednak wątpliwości co do prawdziwości jej żalu.

Nie było sensu dalej pytać. Palma rozejrzała się za którymś z gospodarzy, ale nikogo nie było. Tak sądziła, dopóki w ciemnym otworze drzwiowym po drugiej stronie pokoju nie zauważyła paska jaskrawej purpury. Dobrze pamiętała sarong gospodyni i złotobrązowy wzór na purpurowym tle.

Rozdział szósty

Zostawiła płaczącą Vickie Kittrie na kanapie Nathana Isenberga, ciekawa czy jej „przyjaciele”, którzy jeszcze sienie zjawili, w ogóle istnieją. Słyszając, że Palma kończy rozmowę, gospodyni wróciła i odprowadziła ją do wyjścia, gdzie zamieniły kilka słów. Helena twierdziła, że niczego niezwykłego nie widziała, a przez ostatnie dni nikt nie wchodził do domu Dorothy Samenov ani z niego nie wychodził. Helena wyglądała na czterdzieści parę lat, miała ciemne, miłe oczy i figurę kobiety dwa razy młodszej. Zapewniła, że zajmie się tym, by Kittrie bezpiecznie dotarła do domu. Palmę dziwiło nieco tych dwoje dobrych samarytan i ich gotowość do pomocy. Zauważyła, że Helena nie ma obrączki.

Kiedy w końcu wyszła z powrotem w upał i jaskrawe słońce, dochodziło południe. W głębi ulicy osłoniętej gałęziami drzew niczym dachem znikąca właśnie furgonetka z kostnicy. Nie było też już samochodu Cushinga i Leelanda, a także jednego z radiowozów. Przeszła przez ulicę i kiwnęła głową VanMeterowi, stojącemu z kolegą w cieniu magnolii. Pozostaną tam, dopóki nie zapadnie decyzja, że można zostawić scenę morderstwa bez nadzoru. Palma weszła do domu Dorothy Samenov przez wciąż otwarte frontowe drzwi. Ktoś musiał przekręcić termostat, nie było już bowiem lodowato.

Poszła do sypialni, gdzie Birley stał w wielkiej szafogarderie i robił notatki.

– Jak poszło? – spytał nie unosząc wzroku znad notesu.

– Była dość mocno wstrząśnięta. Gdzie LeBrun? Jego samochód jeszcze stoi.

– Poszedł do jednej z łazienek w głębi domu zbadać sitka odpływowe.

– Znalazł coś na podłogach?

– Chyba tak. – Birley popatrzył na nią i uśmiechnął się z rozbawieniem. – Byłaś dość dziarska.

– Chcesz powiedzieć bezczelna.

– To też.

– Przepraszam, ale nie chciałam, żeby Cushing nam to zabrał.

Mnie ta sprawa nie przeszkadza. Dobrze się spisałaś. Masz. – Wyciągnął rękę i podał jej brązowy notes adresowy. Kiedy to robił, do jego ramienia przyłgnęła zwiewna brzoskwińowa koszula nocna. – Pomyślałem sobie, że może zechcesz obejrzeć to pierwsza.

W notesie było nazwisko Dennisa Ackleya, z adresem i dwoma numerami telefonów. Najwyraźniej Samenov nie używała notesu do zapisywania telefonów służbowych, ponieważ poza sklepem z alkoholem, pralnią, sklepem z butami, apteką, fryzjerem i kilkoma dalszymi firmami usługowymi, pozostałe wpisy dotyczyły osób prywatnych. W większości przypadków obok numerów telefonów były wyłącznie imiona, brakowało też adresów.

– Kittrie powiedziała mi o byłym mężu – odezwała się po przejrzaniu notesu Palma. – Nie rozstali się przyjaźnie. Jego nazwisko jest w notesie, razem z adresem. Poślę do niego patrol, żeby sprawdzili,

czy jest w domu.

– Jasne – mruknął z wnętrza garderoby Birley.

Z telefonu przy łóżku Palma zadzwoniła do dyspozytora, poprosiła o wysłanie do Ackleya patrolu, potem wykręciła dolny numer z notesu, zakładając, że to on jest do pracy. Nikt nie odebrał. Zadzwoniła pod górny numer, ale i tu nie podniesiono słuchawki. Zadzwoniła do informacji, ale nie posiadano w spisie żadnego Dennisa Ackleya i oczywiście nie chciano udzielić informacji na temat numerów zastrzeżonych. Palma schowała notes do torebki.

– Kittrie twierdzi, że nie ma najmniejszego pojęcia, co tu się mogło wydarzyć – powiedziała rozglądając się po raz kolejny. Wszędzie było widać plamy tlenu żelaza, wydawały się wszechobecne. LeBrun zdjął już prześcieradło z łóżka, włożył je do papierowej torby, którą postawił w szeregu innych stojących przy drzwiach. Każda z różnej wielkości paczek była zamknięta i opatrzona etykietą. – Kiedy zapytałam, czy coś wie o „prywatnym życiu” Samenov, omal nie wybuchnęła.

Birley uniósł wzrok znad notesu.

– Czyżby? Była szczególnie wzburzona pytaniem? O życie seksualne koleżanki?

Palma potaknęła.

– To ciekawe. Rzuć okiem do dolnej szuflady w komodzie.

Palma obesła łóżko, czując przygnębienie na widok gołego materaca pokrytego żółtawymi plamami. Żadne miejsce na świecie, niezależnie od tego jak drogie albo ekskluzywne, niezależnie od tego

jak czyści lub ważni są zamieszkujący je ludzie, nie jest wolne od plam. Choć nie zawsze w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Buteleczki z perfumami i innymi kosmetykami na blacie komody były nieporządnie poprzestawiane i też poplamione tlenkiem żelaza. LeBrun jak zwykle pracował bardzo dokładnie. Palma zajrzała najpierw do górnej szuflady i stwierdziła, że Julie pobrał próbki szminek, tuszu do powiek, wszystkiego, co mogło znajdować się na twarzy Samenov. Potem nachyliła się niżej i otworzyła dolną szufladę. Na wierzchu leżały bawełniane bluzy. Podniosła je.

Zestaw był imponujący, niektóre rzeczy wyglądały na własnej roboty, inne bez najmniejszej wątpliwości pochodziły ze sklepów: miękkie skórzane obejmy na ręce z kluczykami, rzemienie, pejcz, klipsy i zatrzaski na sutki, pudełko białych świec, maść tygrysia, drucziane szczotki i metalowe grzebienie do czesania psów, sztuczny członek do mocowania na biodrach, wibrator na baterie, lewatywa, gumowe majtki, jednorazowa maszynka do golenia, zestaw kólek do wpinania w sutki z różnymi ciężarkami, żel nawilżający, rękawiczki chirurgiczne. Szuflada była wypełniona akcesoriami o wyraźnym przeznaczeniu. Palma znała każdy przedmiot z pracy w obyczajówce, teraz jednak wydały jej się równocześnie dziwnie „naukowe”, kliniczne, nielegalne oraz złe – niczym instrumenty ginekologa z obozu śmierci.

Przyklękąwszy na jednym kolanie, wpatrywała się w zawartość szuflady. Sekrety. Palma była gotowa się założyć, że Samenov nigdy nie dopuszczała myśli, że obcy ludzie – dziś rano

przynajmniej pięciu lub sześciu – kiedykolwiek przeszukają jej tajny schowek artykułów erotycznych. Nagła, nieoczekiwana śmierć ma swój własny charakter. Nie przydarza się każdemu, jedynie wybranym w tajemniczy sposób jednostkom i nadchodzi z ogromną porcją ironii. Siostra Celeste powiedziałaaby na to: *arcanum arcanorum* – „tajemnica tajemnic”. W ułamku sekundy nagła śmierć niespodziewanie, w perwersyjny sposób odkrywa wszystko to, co miało pozostać tajemne, wszelkie ukryte sprawy, których ludzie zazdrośnie strzegą z nieustanną czujnością i maksymalną dwulicowością, na jaką ich stać. Nagła śmierć niesie w sobie naukę, że nie panuje się nad niczym, nawet nad własnymi sekretami, że w każdej chwili mogą one zostać wydarte ciemności i rzucone na światło dzienne niczym czarne cekiny w słońce.

Pomyślała o Birleyu, który najprawdopodobniej stał z głową pochyloną nad notesem, ale kątem oka ją obserwował.

– U Sandry Moser niczego takiego nie było – stwierdziła.

– Skąd mamy to wiedzieć?

Pytanie zaskoczyło ją. Birley natychmiast na to wpadł. Oczywiście, nie sprawdzili tamtego miejsca tak dokładnie jak domu Same-nov. Sandra Moser została zabita w pokoju hotelowym, w domu cały czas mieszkali mąż i dzieci. Co prawda Andrew Moser nie wspominał o niczym podobnym w trakcie długich rozmów, jakie z nim przeprowadzili, ale mało prawdopodobne, by zamierzał się ujawniać, nawet gdyby o czymkolwiek wiedział. Zwłaszcza gdyby sam był zamieszany w sprawę. Prawdopodobnie nie wspomniałby o niczym,

nawet gdyby nie był w nic zamieszany, o niczym nie wiedział i jedynie odkrył coś w trakcie przeszukiwania rzeczy żony po jej śmierci. Był dość zamknięty w sobie – na pewno o niczym by nie wspomniał. Nosiłby wiedzę w sobie jako osobisty, wstydlivy krzyż, potraktowałby to egocentrycznie jako żenujący dowód swojej – rzeczywistej lub wyimaginowanej – seksualnej niedoskonałości, dowód, że musiała chodzić do innych, szukała czegoś, czego on nie był w stanie jej dać. Jej sekret stałby się jego sekretem. Palma wiedziała to i owo o kruchym ego silnych mężczyzn: czasami sprawiali wrażenie skały, a byli łamliwi jak cienkie szkło.

– Musimy to sfotografować i sprawdzić odciski palców – Palma jeszcze nie skończyła mówić, kiedy dostrzegła na dnie szuflady róg szarej koperty. Złapała ostrożnie i wyciągnęła ją na wierzch, starając sienie pomieszać „sprzętu”. Otworzyła kopertę i wysypała jej zawartość na podłogę. Było to siedem fotografii, czarno-białych i kolorowych, niektóre wyglądały na zrobione bardzo niedawno temu, inne na dość stare, nosiły bowiem ślady częstego oglądania. Rozłożyła je przed sobą jak talię kart.

Trzy czarno-białe zdjęcia miały po osiemnaście na dwadzieścia cztery centymetry, na każdym znajdowała się naga kobieta dobrze po czterdziestce, pozująca w najrozmaitszych pornograficznych pozycjach z anatomicznie prawidłowym męskim manekinem. Manekin miał na głowie skórzaną maskę, jakiej często używają miłośnicy sadomasochistycznych spektakli, w plastikowej dłoni trzymał otwartą brzytwę, a kobieta z wyraźnym bólem przyjmowała w siebie jego

jedynie częściowo widocznego, choć ewidentnie przesadzonych rozmiarów fallusa. Każde zdjęcie ukazywało parę w innej pozycji. Palma nie była jednak nimi zainteresowana – na kolorowych zdjęciach dostrzegła twarz Samenov.

Samenov znajdowała się na każdym z pozostałych czterech zdjęć. Miały format dziesięć na szesnaście i wyglądały na zrobione tanim aparatem. Na pierwszej fotografii była przywiązana do łóżka, a niemal każdy przedmiot z jej szuflady był do niej przypięty albo w nią wetknięty. Włosy miała upięte do góry i przywiązane do wezglowia, przez co próba odwrócenia skrzywionej twarzy od obiektywu powodowała, że mocno napinał jej się kark. Ciało miała pokryte czerwonymi znakami po uderzeniach, oparzeniach albo dopiero co zdjętych pętach. Pozostałe zdjęcia ukazywały wariacje tej samej pozy – na dwóch była przywiązana twarzą do dołu – z wymyślnymi zmianami umiejscawiania akcesoriów na jej ciele.

Uwagę Palmy zwróciło jednak co innego. Na trzech z czterech zdjęć widoczne były fragmenty drugiej osoby – w czarnym skórzanym kapturze. Na pierwszym zdjęciu widać było jedynie głowę w profilu i kawałek barku, sfotografowane jednak z tak małej odległości, że szczegóły zostały rozmyte i prześwielone. Na drugim zdjęciu widać było tę samą (albo podobną) głowę, wystającą spod łóżka, kierującą wzrok na Samenov, otwarte usta, wystawiony język, wytrzeszczone oczy. To zdjęcie było ostre. Na trzecim zdjęciu zamaskowana głowa wystawała zza wezglowia, z ust wysokim łukiem wylatywał strumień jasnoczerwonej cieczy, lądując na ciele Same-

nov.

Czy to dlatego Vickie Kittrie tak ostro zareagowała na pytanie o życie seksualne koleżanki? Czyżby wiedziała o jej sadomasochistycznych skłonnościach? Zdjęcia i erotyczne akcesoria wyjaśniały, jak mordercy udało się związać Samenov bez walki.

Co jednak z Sandrą Moser? Wyobrazenie jej sobie w podobnym kontekście było zupełnie inną sprawą. Palmie natychmiast przyszła na myśl dwójka jej dzieci – dziewczynka w trzeciej, chłopiec w pierwszej klasie. Pomyślała o społecznej pracy Moser w azylu dla bezdomnych kościoła episkopalnego i aktywnym uczestnictwie w Komitecie Rodzicielskim szkoły, do której chodziły jej dzieci. Wspierała karierę męża, kiedy tego od niej oczekiwano, sumiennie gościła w domu jego kolegów z pracy i kontrahentów, zdobywała sponsorów dla programu muzycznego Chartres Academy i wylewając z siebie litry potu oraz odmawiając sobie łakoci, trzymała rozmiar trzydzieści osiem. Krótko mówiąc, trudno byłoby znaleźć kogoś lepiej reprezentującego amerykańską górną warstwę klasy średniej, typową Amerykańską Matkę i Żonę. Sandra Moser miałaby być sadomasochistką? Palma nie mogła sobie tego wyobrazić, choć znała kilka radykalnych feministek, które upierałyby się przy tym, że styl życia, całkowite poświęcenie się dobru męża i jego kariery bez dwóch zdań kwalifikowały ją do tej grupy.

– Cholera! – Birley wyszedł z garderoby i popatrzył na fotografie. – To stawia wszystko w nowym świetle.

Po chwili Palma ostrożnie zebrała zdjęcia i włożyła je

z powrotem do koperty, wstała i podała ją Birleyowi.

– Porozmawiamy jeszcze raz z Andrew Moserem. Co sądzisz? Założyłbyś się, że ukrył przed nami coś w tym stylu?

– Nie, nie postawiłbym na to. – Birley pokręcił głową i popatrzył na kopertę.

– Ale jeżeli coś przemilczał... – Przerwała, zamyślona, wpatrzona w materac, na którym Dorothy Samenov realizowała swe perwersyjne przyjemności i gdzie dopadła ją dziwaczna śmierć.

Birley skinął głową.

– Taak, może to byłby jakiś przełom. Coś, od czego dałoby się pociągnąć sprawę dalej.

Trochę się tego wstydziła, ale Palma miała nadzieję, że po dokładniejszym zbadaniu okaże się, iż Sandra Moser miała zainteresowania na miarę markiza de Sade.

Rozdział siódmy

– No i jak to wyglądało? – spytał Frisch. Stał w otwartych drzwiach biura Palmy i Birleya, z plikiem papierów w jednym ręku i ołówkiem w drugim. Jego koszula wystawała nieco ze spodni, spadł mu na czoło kosmyk przerzedzających się, piaskowych włosów. Właśnie wyszedł od kapitana i udawał się do siebie, kiedy zobaczył Palmę i Birleya. Nie zwracając uwagi na panujący na sali harmider, poszedł za nimi głośnym, wąskim korytarzykiem otaczającym znajdującą się na środku wyspę boksów i wszedł za nimi do ich biura – jednej z wielu pozbawionych okien klitek, wypełniających piętro niczym wyposażone w komputery mnisie cele jakiegoś stecniczowanego klasztoru.

– Tak samo jak poprzednio – odparła Palma siadając i ściągając pantofle.

– Niech mnie cholera! – zawołał Frisch i na jego podłużnej twarzy, która pod koniec dnia zawsze zapadała się jak u wygłodzonego żebraka, objawił się respekt i zaskoczenie. – A nie chciałem mu wierzyć! Cush zadzwonił i powiedział, że chyba ma coś podobnego do przypadku Moser, który złapaliście we dwoje. Chciał, byście tam pojechali rzucić okiem.

– Cóż, dobrze odrobił lekcje – stwierdził Birley – Bo było to dokładnie to samo.

– Gdzie on teraz jest? – Frisch popatrzył na zegarek.

– W kostnicy.

Frisch popatrzył na Palmę.

– Masz teraz chwilę na raport?

– Jasne – odparła żałując, że nie weszła po drodze do toalety umyć twarz i ręce. Frisch wyszedł na zewnątrz, wziął stojący przed którymś z biurek wolny fotel i wniósł go do boksu Birleya i Palmy. Zamknął drzwi, położył trzymane w ręku dokumenty na biurku Birleya, wsadził sobie ołówek za ucho i usiadł.

Kiedy Palma opowiadała, uważnie słuchał, kiwał głową, od czasu do czasu przerwał pytaniem, przy opisie ran Samenov pokręcił głową, zmarszczył czoło, kiedy przedstawiała zawartość szuflady. Głównie jednak uważnie patrzył na Palmę. Nie miał żadnych typowych nawyków policjantów – nie żuł gumy, nie palił papierosów, nie wlewał w siebie morza kawy ani nie ssał cukierków, a kiedy kogoś słuchał, nie bawił się długopisem, niczego nie popijał ani nie gryzmolił. Po prostu słuchał – bez min, gestów i nerwowych tików. Był dobrym porucznikiem. Lubił swoją pracę i swoich ludzi, miał wrodzony talent do kierowania detektywami. Nie miał wrogów nad sobą ani pod sobą i każdy, kto z nim pracował, wiedział, że może ufać zarówno jego opinii, jak i słowu. Mówił, co myśli, i nie bawił się w intrygi. W kontakcie z nim człowiek zawsze wiedział, na czym stoi.

Kiedy Palma skończyła, Frisch siedział chwilę bez słowa i kiwał głową. Patrzył na nią i myślał.

– Mężatka i samotna kobieta... Co łączy ofiary poza sposobem dokonania zabójstwa?

Zadzwoił telefon i Palma podniosła słuchawkę. Zgłosił się policjant z patrolu wysłanego do Dennisa Ackleya. Nie mieszkał on już od jakiegoś czasu pod podanym adresem, a zajmujące mieszkanie starsze małżeństwo oświadczyło, że kupili je od Ackleya mniej więcej pół roku temu. Nie wiedzieli, gdzie można go znaleźć ani jak się z nim skontaktować.

– Geografia – odpowiedział na pytanie Birley. – Mieszkały góra półtora kilometra od siebie. Środowisko społeczne. Samenov była po uniwersytecie i musiała nieźle zarabiać, by móc sobie pozwolić na takie mieszkanie.

– Wiek?

– Moser miała trzydzieści cztery, Samenov – według prawa jazdy – trzydzieści osiem – wyjaśniła Palma. – Obie były blondynkami.

– To dobre – stwierdził Frisch rozpromieniając się. – Jeżeli były przypadkowymi ofiarami, może się to okazać istotne. Dobrze też, że obie należą do grupy niskiego ryzyka. Przy prostytutkach sprawa byłaby znacznie bardziej skomplikowana.

– Ale na tym już koniec – powiedział Birley. – Przynajmniej przy naszym obecnym stanie wiedzy.

Teraz zadzwonił telefon na biurku Birleya. Rozmawiał krótko i odłożył słuchawkę.

– Dzwonił Leeland. Właśnie skończono sekcję i jadą. Frisch powoli, z namysłem skinął głową. Popatrzył na zegarek.

– Powinni tu być za piętnaście minut. Kiedy się zjawią,

przyjdźcie wszyscy do mojego gabinetu. Przepatrzymy, co mamy, i zorientujemy się, na czym stoimy. – Popatrzył na Palmę. – Omawialiście sprawę? Będziecie pracowali wspólnie?

– Omawialiśmy. Jeszcze nie ustaliliśmy szczegółów, ale w tym jesteśmy zgodni. Frisch znów uważnie na nią popatrzył.

– Ta sprawa może narobić sporo zamieszania i ściągnąć nam na głowę masę dziennikarzy. Jeśli nie pomoże nam szczęśliwy zbieg okoliczności, rozwikłanie jej może zabrać sporo czasu. Będziecie w stanie z Cushingiem tak długo nie brać się za łby? – Pytanie było zadane bez ogródek, ale Frisch jak zawsze bez wahania dochodził do sedna. Jeżeli Palma uważała, że nie jest w stanie współpracować pokojowo z Cushingiem, teraz był moment, by o tym powiedzieć.

Sądzę, że doszliśmy do czegoś na kształt porozumienia – odparła. – Nie spodziewam się problemów. – Powiedziała by to samo, gdyby spytano ją o perspektywę współpracy z diabłem. Bardzo chciała zajmować się tą sprawą i nie zamierzała dopuścić, by coś wyłączyło ją z wyścigu w tak wczesnej fazie śledztwa. Jeżeli okaże się to konieczne, dogada się z Cushingiem potem. Teraz nie warto się nad tym zastanawiać.

– To świetnie – stwierdził Frisch. Wziął swoje papiery i wstał. – Dzwoncie, kiedy będziecie gotowi. – Wychodząc, zabrał ze sobą fotel.

Kiedy wyszedł, Birley popatrzył na Palmę.

– Proszę proszę... Jak miło słyszeć, że nie spodziewasz się problemów.

- A co miałam powiedzieć?
- Chcesz kawy? Pokręciła głową.
- Idę się umyć i napić wody.

W łazience Palma spięła włosy, zdjęła zegarek i zaczęła szorować ręce aż po łokcie. Potem umyła twarz, spłukała ją kilka razy zimną wodą, pry snęła trochę na kark, poczuła, jak jej ciało się ochładza, a napięcie w ramionach i barkach ustępuje. Wytarła się bez pośpiechu, ostrożnie używając szorstkich papierowych ręczników z pojemnika. Wyjęła z torebki flakonik perfumowanego lotion i wtarła kilka kropel nad ustami i z przodu szyi. Potem popatrzyła na siebie w lustrze. Powoli podniosła dłoń i delikatnie dotknęła środkowym palcem tętnicy szyjnej. Kiedy odnalazła puls, położyła kciuk na tętnicy po drugiej stronie szyi. Stała tak przez chwilę, wyczuwając regularne uderzenia pulsu, potem spróbowała sobie wyobrazić własną świeżo umytą twarz, tyle że bez powiek. Było to bardzo proste. W końcu wzięła torebkę i wróciła do biura.

Kiedy wróciła do ich boksu ze szklanką wody w dłoni, Birley siedział już przy komputerze i pisał. Usiadła bez słowa przy biurku, włączyła komputer i też zabrała się do roboty.

Spotkanie u Frischa odbyło się pod koniec dnia, kiedy poziom cukru we krwi spada, a energia się kończy i każdy ma ochotę być wszędzie, byle nie w pracy. Gabinet Frischa był duży i znajdował się w rogu zajmowanej przez wydział hali. Poza jego biurkiem stały tam jeszcze dwa – metalowe – i kilka krzeseł. Często wykorzystywano to pomieszczenie do zespołowych dyskusji, a ze względu na panującą

wszędzie ciasnotę, z jednego lub drugiego biurka korzystali inni porucznicy. Kiedy któryś z nich musiał porozmawiać ze swoimi ludźmi, pozostali znajdowali sobie inne miejsce.

Frisch siedział za biurkiem, przez okno za jego plecami widać było resztę hali. Czworo detektywów siedziało wokół niego, wykorzystując rogi pozostałych biurów do położenia papierów, postawienia filiżanek z kawą i puszek z napojami. Leeland, który nie lubił sekcji, ale oglądał je tak długo jak Cushing (zwykle oglądał każdą od pierwszego cięcia po ostatni szew jak znudzony dzieciak, przyklejony do telewizora podczas pięćdziesiątej piątej powtórki kiepskiego horroru), trzymał w ręku plastikowy kubek z pieniącymi się w środku dwiema tabletkami alka-seltzer. Nie wypił płynu jednym haustem, lecz popijał go jak martini. Cushing, który sprawał wrazenie, jakby miał ochotę na jednego głębszego, oparł kostkę prawej nogi na lewym kolanie i jakby nieobecny duchem, nerwowo poruszał stopą. Rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli. Birley jadł starego pączka z bufetu, którego lukier zdążył się już dawno rozpuścić i rozmiękczyć wierzchnią warstwę ciasta. Palma zastanawiała się, jaki długofalowy efekt wywrze na jego zdrowie spożywanie takich świństw. Od lat, mniej więcej o tej samej porze dnia, jadał coś takiego, popijając smakołyk filiżanką kiepskiej kawy.

Na prośbę Frischa zaczęli odprawę od krótkiego streszczenia sprawy Moser i przypomnienia sobie na podstawie fotografii miejsca zbrodni. Palma wyliczyła podobieństwa, jakie zauważyli rano w przypadku Samenov, i dodała, że zauważyła, iż obie kobiety naj-

prawdopodobniej zostały zamordowane w czwartek. Potem streściła fakty w sprawie Samenov, rozmowę z Kittrie i opisała, co znaleźli w domu Samenov.

Kiedy skończyła, Cushing przedstawił szczegóły sekcji.

– Przyczyną śmierci było uduszenie – zaczął rozpinając guziki przy mankietach i podwijając je. – Rutledge porównał ślady ze śladami u Moser i okazały się identyczne. Nie były tak wyraźne, co może jego zdaniem wskazywać na to, że to, czym została uduszona, zostało usunięte natychmiast po śmierci. Chrzątki grdyki i tchawicy zostały zmiażdżone, w znacznie większym stopniu niż trzeba, by zabić. – Mówiąc, wiercił się na krześle, ciasne spodnie żigolaka musiały być niewygodne. Policyjne krzesła nie są stworzone do spokojnego siedzenia i chociaż lubił okazywać Palmie lekceważenie, nie mógł zdobyć się na otwarte podrapanie się w krocze, co z pewnością zrobiłby, gdyby w pokoju znajdowali się sami mężczyźni. Palma obojętnie obserwowała, jak cierpi. – Obniżenie temperatury w mieszkaniu spowodowało niemożność wykorzystania zwykłych wskaźników pomocnych do ustalenia momentu śmierci. Ponieważ była naga, ciało szybciej się wychładzało, co jeszcze bardziej utrudniło szacunek. Rutledge jest w stanie umieścić zgon jedynie pomiędzy trzy dni a tydzień temu. Ale – Cushing uniósł dłoń i popatrzył na Frischa – może uda się zawęzić ten okres. Przed śmiercią zjadła pizzę z peperoni i oliwkami i to tak bezpośrednio przed nią, że jeszcze nie została strawiona. Don twierdzi, że widział w kuchennych śmieciach karton po pizzy. Może uda nam się ustalić,

kiedy została dostarczona albo kiedy ją odebrała. – Cushing przerzucił kilka stron w notesie. – Próbkki i wymazy są w drodze do laboratorium, tak samo włosy z różnych miejsc ciała. Rutledge znalazł w jej ustach bawełniane nitki jakby z ręcznika i podejrzewa, że mogła być kneblowana. Musi porównać nitki z ręcznikami z kosza na brudną bieliznę. Po wewnętrznej stronie pochwy były zadrapania i krwiaki, ale tkanka nie została rozerwana. Rutledge sądzi, że ślady mogą pochodzić od wibratora albo sztucznego członka. Na podstawie oględzin zabliźnionej tkanki z pochwy uważa, że już przedtem była bezlitośnie traktowana. To samo dotyczy odbytu. Tkanka wewnątrz jest rozciągnięta. Jego zdaniem, aby do tego doszło, musiała być poddawana dość drastycznym zabiegom.

– Czy coś powiedział o wieku tych starych blizn? – spytała Palma. – Miesiące? Lata?

– Nic na ten temat nie mówił.

Palma robiła sobie notatki. Cushing poczekał, aż skończy, po czym zaczął mówić dalej.

– Rany zostały zadane... – zawiesił głos dla większego efektu...przed zgonem. Każdy sutek został usunięty jednym czystym cięciem, powieki też obcięto, ale rany są nieciągłe, czyli najprawdopodobniej nie powstały poprzez podniesienie powieki w górę i przeciągnięcie nożem. Rutledge typuje na nożyczki. Ciach, ciach, ciach po kilka razy na każdą powiekę. – Cushing zetknął palec wskazujący i kciuk lewej ręki odgrywając pantomimicznie uchwycenie sutka, odciążanie go od ciała, podczas gdy prawa dłoń zmieni-

ła się w nożyczki. – Ciach. Ciach. Po razie na każdy sutek. Teraz ślady ugryzień. Sandra Moser miała dziewięć – sześć na piersiach i trzy tuż nad włosami łonowymi. Samenov miała szesnaście – pięć wokół piersi, dwa przy pępku, trzy wewnątrz prawego uda, dwa na lewym udzie, pozostałe w okolicy łonowej, wręcz zachodzące na włosy. Te są najgorsze, noszą ślady intensywnego ssania. Rutledge twierdzi, że też zostały zadane przed śmiercią i to bardzo powoli, nie w gorączce walki, jakby zęby zostały użyte jako „narzędzie” ujarzmiania.

Cushing zamknął notes i opadł na oparcie, próbując dyskretnie obciągnąć nogawki spodni.

– Gryzł dość intensywnie, prawda? – powiedziała Palma patrząc na Birleya. – To znaczy, jeśli chodzi o ilość.

– Bardzo dużo śladów – przyznał Birley, przetykając ostatni kęs pączka. – Widywałem więcej, ale to wyjątki. W większości przypadków jest ich mniej. Znaczą się, poniżej szesnastu. Facetowi musiało to naprawdę sprawiać przyjemność.

– Co z głębokością? – spytał Frisch. Słuchał wszystkiego z ogromną uwagą. – Większość chyba przebiła skórę?

– Zgadza się – szybko kiwnął głową Cushing. – Mniej więcej połowa przeszła jak przez masło. W jednym miejscu, na górnej granicy włosów łonowych niemal oderwał kawał ciała. Zarówno górne, jak i dolne zęby przebiły skórę, wciskając włosy w głąb rany.

Frisch skrzywił się.

Leeland popijał płyn, który już przestał się pienić.

– A ugryzienia wokół pępka? – spytała Palma. – Czy coś w nich zwróciło uwagę Rutledge’a?

Cushing wyglądał na nieco zirytowanego, że Palma o to zapytała, ale odpowiedział. Jeżeli zamierzał coś przed nią ukryć, nie mógł tego robić przy Leelandzie. Palma martwiła się jedynie o tę część roboty, którą Cushing będzie robił sam.

– No tak, faktycznie... – powiedział marszcząc brwi, jakby coś sobie przypomniał. – Zostały tak zrobione, że otaczają pępek pełnym kołem. Wygląda to na zrobione specjalnie. Jakby ustawiał zęby w określonej pozycji. Poza tym ugryzienia wokół pępka cechują znamiona najsilniejszego ssania. Obrobił jej pępek, jakby chciał go wysssać.

– Boże... – mruknął Birley.

Palma próbowała to sobie wyobrazić: nagi mężczyzna nachyla się nad rozciągniętym ciałem Samenov i ssie jej pępek. Musiała to odczuwać, jakby chciał wyciągnąć tamtędy zawartość jej żołądka, wysssać ją niczym pająk żywego owada. Cóż za okropna wizja...

– A co z twarzą? – spytał Birley.

– Już mówię. Była naprawdę w kiepskim stanie. Pęknięcie szczęki w dwóch miejscach, złamany nos, wybity ząb, pęknięta kość jarzmowa, pęknięty oczodół.

– Który? – spytała Palma.

– Eee... – Cushing popatrzył w notatki. – Prawy.

– Czy dało się określić, czym była bita? Pięściami?

– Rutledge tak nie sądzi. Raczej zaokrąglonym, owiniętym

czymś miękkim przedmiotem. Nie stwierdził otarć skóry wskazujących na ostre kanty. Jest dość pewien, że było to coś okrągłego, owiniętego materiałem.

Dla wszystkich obecnych było jasne, że jeżeli nastąpią kolejne morderstwa, ich gwałtowność będzie narastać. Była to przerażająca perspektywa.

– Czy zdjęcia z domu Samenov będą gotowe na rano? – spytał Frisch. Birley skinął głową.

– Przyniosą je prawdopodobnie jeszcze dziś wieczór.

– Świetnie. – Frisch patrzył na Birleya i nad czymś myślał. – Cholera! – wyrzucił w końcu z siebie, przekręcił się na krześle i wyjrzał na ogólną salę. Myślał jeszcze przez dłuższą chwilę, w końcu powiedział: – Dobrze, nie będziemy na razie rozdmuchiwać tej sprawy. Prowadzicie ją we czworo. Wszystkie inne, jakie prowadzicie, niech idą na drugi plan, spróbujcie jak najszybciej znaleźć coś konkretnego. Zaraz po naszym spotkaniu pójde do kapitana, przekażę, co mamy, i poinformuję, że pozwoliłem wam brać tyle nadgodzin, ile wyrobicie. Co prawda biurokratów z otoczenia szefa to wkurzy, ale jeżeli ta sprawa wymknie nam się z rąk, kiepska prasa będzie znacznie bardziej szkodliwa niż deficyt budżetowego. – Popatrzył na swoich podwładnych. – Teraz najważniejsze: jak zamierzacie działać?

Po krótkiej dyskusji zgodzili się co do tego, że jeden z patroli nocnej zmiany powinien szukać Dennisa Ackleya.

– Jeżeli go znajdą – wtrąciła Palma – chcę, by do mnie natych-

miast zadzwonili. Nieważne o której. Chciałabym z nim porozmawiać, zanim zjawi się jego adwokat.

Frisch popatrzył na nią, aż niemal poczuła, jak próbuje dociec, co miała na myśli. Po chwili jednak bez słowa skinął głową. Kiedy spojrzała na Cushinga, też na nią patrzył, tak samo starając się rozgryźć, do czego zmierza i czy warto przy tym być.

Postanowili, że Cushing i Leeland zajmą się znajomymi Samenov z Computrona, Wayne Canfieldem, spróbują odnaleźć Gila Reynoldsa, Dirka jakiegoś tam i pana Bristola, wiceprezydenta banku. Kiedy Vickie Kittrie się uspokoi, Palma i Birley ponownie się z nią skontaktują, porozmawiają także jeszcze raz z Andrew Moserem. Przeczeszą też sąsiedztwo domu Samenov, zajmą się sprawą pizzy i dokładniej przeszukają dom.

– Jeszcze jedno – powiedziała na koniec Palma. Widać było wyraźnie, jak bardzo zależy jej na tej sprawie. – W obu przypadkach chciałabym dostać z FBI psychologiczny profil sprawcy. Mam wszystko, czego potrzeba, by go sporządzić w przypadku Moser – raport, zdjęcia, wyniki sekcji i badań laboratoryjnych, jutro rano będę miała zdjęcia Samenov. Mogę zredagować raport. Wypełnię też oba formularze dla potrzeb bazy danych FBI. Jeżeli jakiegokolwiek przypadki uzasadniają skorzystanie z ich pomocy, to te dwa na pewno.

Frisch uniósł brwi z uznaniem.

– Znakomicie. Ten facet kwalifikuje się jak cholera do analizy psychologicznej. Zgadzam się. – Rozejrzał się po obecnych. – Chcę,

byście ruszyli pełną parą. Będę czytał każdy wasz raport i chcę dostawać je często. Na bieżąco. Kiedy wprowadzę kapitana, nie da mi spokoju, a nie chcę chadzać do niego z pustymi rękami. Jeżeli naskoczy na mnie, ja naskoczę na was. Więc pomóżcie mi.

Rozdział ósmy

Bernadine Mello miała czterdzieści dwa lata. Była zamożna, mieszkała z czwartym mężem (też zamożnym) i wyglądała znakomicie. Kiedy pięć i pół roku temu przysłała na rozmowę wstępną z doktorem Broussardem, jej problemem była depresja, co trwało do dziś.

Kozetka, na której leżała, stanowiła z fachowego punktu widzenia przeżytek. Wśród bardziej postępowych psychoanalityków, zwłaszcza zajmujących się terapią krótkoterminową, panował trend, by analityk i pacjent siedzieli naprzeciwko siebie w fotelach i komunikowali się twarzą w twarz. Broussard nie lubił tego egalitarnego podejścia, wołał przewagę płynącą ze starego patriarchalnego freudowskiego stylu. Preferował także kozetkę i choć jego pacjentki były zachwycone wszystkim co nowomodne, nie zdawały sobie sprawy z akademickich subtelności, stanowiących o tym, że uznawano ją za *passe*. Przy jego podejściu teoretycznym i stylu pracy była najlepsza. Broussard uważał, że nikt nie rozumiał zarówno mężczyzn, jak i kobiet lepiej od Zygmunta Freuda. Jego psychoanalityczne narzędzia symbolizowały role obu stron. Analityk siedzi, pacjent leży – w ten sposób najłatwiej wniknąć w jego psychikę.

Figurą, jaka najczęściej kojarzyła się Broussardowi z Bernadine, była elipsa. Miała owalną twarz, bladoszare oczy i zaokrąglony podbródek, który w przypadku jakichkolwiek kłopotów drżał i sygnalizował emocje jako pierwszy; jej piersi – zadziwia-

jąco prężne jak na wiek – były okrągłe jak melony, a kiedy się kładła, rozlewały się w duże, wspaniale symetryczne talerze; jej biodra były pięknymi elipsami, które oglądane z tyłu – zwłaszcza jeżeli Bernadine nachyliła się przy zsuniętych kolanach – tworzyły perfekcyjne serce; jej uda, choć były odrobinę za krótkie, wychodziły z lędźwi jak nogi modelek Modiglianiego. Jeżeli jakiś artysta rysowałby ją nago, na całym rysunku nie byłoby jednej prostej linii. Ciało Bernadine Mello nie było złożone z kątów, lecz z łuków.

Ze wszystkich kobiet, które doktor Broussard analizował przez ostatnie piętnaście lat, Bernadine Mello umieściłby w trójce najbardziej podatnych na zranienia. Choć cechowała ją seksualność Matki Ziemi, nie miała dzieci. Wszyscy mężowie ją zdradzali, w dodatku niezbyt się z tym kryjąc. W rewanżu ona też ich zdradzała. Niestety, żaden z jej romansów nie przemienił się w trwały związek, a każdy z mężów – jeden w drugiego mężczyźni o wielkim popędzie, na których jej niezaspokojony apetyt seksualny działał jak afrodyzjak do momentu, póki małżeńska codzienność zamiast dzieci przynosiła nudę – w końcu od niej odchodził. Prawda była taka, że mężczyzną, z którym łączył ją najdłuższy w życiu związek, był doktor Broussard i od czasu do czasu robiła ironiczne, a w sumie poważne uwagi, że gdyby mu nie płaciła, też zniknąłby z jej życia.

Leżała na kozetce w małych różowych majtkach i skąpym biustonoszu. Tuż nad pępkiem biegły w poprzek jej brzucha dwie różowe fałdki. Jej rude włosy łonowe przeświecały ciemniejszą plamą przez majtki, a brązowe obwódki wokół sutków znajdowały

się idealnie w centrum prześwitujących miseczek biustonosza. Drobne dłonie o spiczastych palcach z pomalowanymi paznokciami położyła na brzuchu. Skręcone rudawe włosy miała związane na karku i odsunięte na bok. Dobrze się napocili. Doktor Broussard siedział bez koszuli, spodnie miał nie zapięte i właśnie się schylał, aby podciągnąć skarpetki. Jego koszula wisiała na wieszaku na otwartych drzwiach szafy, podkoszulek leżał złożony w kostkę na krześle, na nim krawat. Nawet włożył prawidła do butów, które stały jeden przy drugim pod krzesłem. Zawsze kiedy odbywał stosunek z Bernadine Mello, kładł każdy kawałek garderoby na tym samym miejscu. Ubranie Bernadine – też tak jak zawsze – leżało zrzucone na beładną stertę przed panoramicznym oknem, wychodzącym na nakrapiany słońcem trawnik, schodzący łagodnie do zalewiska.

– Ile to już będzie razy? – Bernadine wyglądała na zewnątrz, obserwowała spody oświetlonych liści.

– Słucham? – Broussard podciągnął skarpetkę.

– Ile razy już to robiliśmy? – Miała erotyczny kontralt, który bardzo mu się podobał. Włożyła czubki palców za gumkę i przeciągnęła nimi kilka razy w lewo i prawo, by poprawić majtki.

Pytanie zaskoczyło go i zanim odpowiedział, znów się odezwała.

– Czas na wolne skojarzenia – powiedziała. Patrzyła na niego, przekrzywiając głowę, by lepiej go widzieć. – Pewnego razu, w dzieciństwie, weszłam po południu do sypialni wuja i ciotki. Mieszkałam u nich przez lato. Mieli dwoje dzieci – dwie młodsze

ode mnie córki. Parę razy spędziłam u nich kilka tygodni wakacji, by miały towarzystwo, coś na kształt starszej siostry. Lubiły mnie. Tego dnia poszły się zdrzemnąć. Szyłam wtedy dla nich kapelusze, staromodne kapelusze od słońca. Znalazłam wykrój w jakimś czasopiśmie. Złamałam igłę i poszłam do pokoju ciotki Ceile, gdzie widziałam kosz z przyborami do szycia, po nową. Nie wiedziałam, że kogoś tam zastanę. Weszłam i zobaczyłam wuja – pochylonego dokładnie jak ty teraz, bez koszuli, z rozpiętymi spodniami, tak że widać było bieliznę. Tak jak ty podciągał skarpetki. Zaskoczył mnie jego widok, ale zamarłam, kiedy odwrócił głowę i okazało się, że to wcale nie mój wujek. Nie wiem, kto to był. Odruchowo spojrzałam na łóżko i zobaczyłam ciotkę Ceile – nagą, leżącą na plecach, z rozkraczonymi i zgiętymi w kolanach nogami, stopami ku nam obojgu. Odrzuciła głowę do tyłu, jej piersi sterczały w górę, dłonie wpijała we wnętrza ud.

Nie widziała mnie. Mężczyzna zamarł ze skarpetką w rękę, powoli unióś palec do ust i dał znak, bym była cicho. Cofnęłam się bez słowa i uciekłam. To wszystko na ten temat.

Broussard nic nie powiedział. Włożył skarpetki i wziął do ręki buty. Wyjął prawidła i włożył trzewiki.

– Nigdy więcej nie widziałam tego człowieka. Nie wiem dlaczego, ale moim zdaniem był tak jak mój wuj maklerem giełdowym.

Broussard wstał i włożył podkoszulek, zdjął z wieszaka koszulę i ubrał się w nią, zapiął guziki, wsunął spinki do mankietów, włożył koszulę w spodnie, wygładził dół, zapiął spodnie, pasek.

Bernadine obserwowała go uważnie.

– Często o nim myślałam – powiedziała, poprawiając włosy na karku. – Do dziś doskonale pamiętam jego twarz. Lekko się uśmiechał, dość głupkowato, ale szczerze. Miałam dwanaście lat.

Broussard podszedł do swojego fotela i usiadł. Był bez krawata. Nie wierzył Bernadine. Coś takiego nigdy nie miało miejsca. Czasami bywała żałosna. Szukała innego rodzaju akceptacji, czegoś więcej niż to, co dostawała dzięki swojej seksualności, czasami wymyślała więc opowieści, które jej zdaniem miały w sobie coś symbolicznego. Tej historii jeszcze nie słyszał, ale była tak przejrzysta... Bernadine była tak głodna akceptacji, że nigdy nie uda jej się osiągnąć znaczącego poziomu poczucia własnej wartości. Nie знаła innego sposobu wiązania się z ludźmi jak oddawanie się do ich dyspozycji i każdy mężczyzna, którego poznawała, realizował tę jej potrzebę. Była piękna, nietrudno jej więc przychodziło ich zdobywać. Bernadine Mello do końca życia pozostanie żałosna.

Popatrzył na jej leżące na kupce przed oknem ubranie – tam ją rozebrał, zdejmował ubranie po sztuce i tam odbył z nią stosunek, przyciskając jej ciało do grubego szkła i cały czas wyobrażając sobie, jak musi to wyglądać z zewnątrz. Jej pełne piersi, brzuch, uda, każda wypukłość została spłaszczona – z wyjątkiem tych, które nie dotknęły szyby. Musiała wyglądać jak relief wklęsły, tak modny w starożytności.

– Czasami kiedy mamy ze sobą seks, wyobrażam sobie, że jestem dwunastolatką – odezwała się Bernadine. Wbiła w niego uważ-

ne spojrzenie. – Że jestem dzieckiem.

Mam to gdzieś, pomyślał, nie odwracając wzroku od jej ubrań. Były bardzo drogie, jedwabne.

– Raymond spotyka się z kobietą, która wcale nie ma piersi – stwierdziła. Mówiła o mężu.

Broussard zmarszczył czoło i odwrócił wzrok od stosiku jedwabiu. Spojrzał na Bernadine. Też na niego patrzyła.

– Wynajęłam detektywa – wyjaśniła. – Zrobił im zdjęcia. – Popatrzyła na swój brzuch. – Facet jest dobry. Znaczy się, ten detektyw.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Zbieram materiały. Dokładniej mówiąc, mój adwokat. To on wpadł na pomysł z detektywem. Nie miałam nic przeciwko temu, ale oglądanie tych zdjęć jest poniżające.

– Zamierzasz wycykać Raymonda? – Broussard wstał, podszedł do drzwiczek w regale i otworzył je. Był tam barek. Wziął trochę lodu, wrzucił kilka kostek do szerokiej szklanki, zalał je ginem i wrócił do fotela. Usiadł i oparł nogi na podnóżku. Nie zaproponował nic Bernadine, wiedział jednak, że go obserwuje i że marzy, by zaoferował jej drinka, był dla niej miły, wiedział także, że rani ją, nie spełniając jej oczekiwań. Dotknął czubkiem języka zimnego ginu.

Bernadine spuściła stopy na ziemię i wstała. Poprawiła gumki na obu udach i podeszła do barku. Teraz jej brzuch nie był płaski. Słyszał dobiegające zza pleców odgłosy: grzechot lodu, pyknięcie

korka kryształowej karafki, bulgot wlewanego do szklanki płynu. Po chwili wróciła na kozetkę i położyła się w tej samej pozycji co przedtem. Na pierwszy rzut oka rozpoznał w jej szklance charakterystyczny kolor whisky. Bernadine była alkoholiczką.

– Raczej nie – odparła. Postawiła zimną szklankę w zagłębieniu uda niedaleko pachwiny. Chwilę ją tam pottrzymała, potem podniosła do ust i wypła łyżek.

Broussard czekał. „Raczej nie”. Mógł się założyć, że Bernadine szykuje się do kolejnego podwojenia majątku. Przez kilka minut nic nie mówili, jedynie popijali drinki, a Broussard wsłuchiwał się w łagodny grzechot lodu.

– Dlaczego nie zaproponowałeś mi drinka?

Zadała pytanie bardzo cicho i Broussard wiedział, że wiele jato kosztowało. Spotykali się od tylu lat, że sesje przebiegały bardzo rzeczowo. On nie udawał podniecenia, a ona nieśmiałości. Broussard nawet nie udawał, że to, co się między nimi dzieje, to terapia, przy której to parodii zdecydowanie obstawał przez kilka lat, od czasu do czasu przypominając o ich „związku terapeutycznym”, jej „oporze przeniesieniowym” albo konieczności uzyskania przez nią „wglądu w kierujące nią nieświadome siły”. Już dawno z tego zrezygnował, gdyż wytworzyło się między nimi coś na kształt małżeńskiego zaufania, przez co ich „sesje analityczne” przypominały spokojne wieczory starego, znudzonego sobą małżeństwa. Bernadine w dalszym ciągu chciała być „pod opieką” i nie chciała porzucić nadziei, że Broussard kiedyś spowoduje, że jej życie stanie się lepsze. Kiedyś

sam w to wierzył, ale Bernadine była jedną z jego niewielu pacjentek, której psychika nieustająco go zaskakiwała, której nie udało mu się rozgryźć i poddać analizie. Była dlań taką samą tajemnicą jak w dniu, kiedy weszła po raz pierwszy do jego gabinetu. Miał na jej temat bardzo szczegółowe akta, nawet bowiem po tym jak zostali kochankami, nie przestał robić na jej temat notatek. Należała do kobiet, które wręcz zapraszają, by je badać, robią to zaś z uśmiechem wyzywającym człowieka, by je poznał. Czasami wydawało mu się, że ją kocha.

– Sądzę, że nie powinnaś pić – powiedział w końcu.

Wbiła w niego szare oczy i przyglądała mu się znad szklanki, z której wypila dopiero kilka drobnych łyków, jakby ją obraził. Bernadine łatwo się obrażała. Zamrugła i odwróciła wzrok ku panoramicznemu oknu, zaczęła wyglądać na zalew. Szklankę z drinkiem trzymała bez ruchu tuż nad pępkiem.

– Nie wierzysz w historię z ciotką – odezwała się po chwili.

Nie odpowiedział. Praktyka psychoanalityczna zepsuła go – już nie miał ochoty nic mówić, od jakiegoś czasu stracił ochotę na słuchanie. Coraz bardziej go zadziwiało, jaką potęgą jest cisza. Wielu ludzi nie było w stanie jej znieść, mówili, nawet jeżeli nie mieli nic do powiedzenia, traktując paplanie jako antidotum na zagrożenie.

– Wiesz co? – powiedziała, a na jej usta wypłynął ironiczny uśmieszek. – Jest prawdziwa. Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak opowiedziałam. – Uniosła szklankę i wypila łyk whisky. – Jest prawdziwa, ale nie rozpoznałeś tego. Jest znacząca, ale nie zauważy-

łeś tego.

Zaciekawiło to Broussarda.

– Bernadine, nie wierzę ci.

– A gdybym przestała teraz do ciebie przychodzić?

Miała teraz jego pełną uwagę, ale musiał się pilnować. Nic nie mówił, ona też nie. Czekał, popijając gin. Co ona wyprawiała? Miał to być jakiś wstęp? Naprawdę zamierzała przestać się z nim widywać? Został zaskoczony przez własne emocje, z niepokojem stwierdził, że już samo jej pytanie go rani. Czyżby rzeczywiście ją... polubił tę głęboko zaburzoną kobietę, której skomplikowana osobowość, pełna zamętu psychika była tak wyjątkowa, że bez trudu mógł ją zaliczyć do najbardziej intrygujących przypadków, z jakimi się zetknął?

– Tęskniłbyś za mną?

– Oczywiście, że tęskniłbym – usłyszał własne słowa. Ku swemu zaskoczeniu dosłyszał w nich strach. Natychmiast poczuł się zażenowany i zaniepokojony, że zrobi się czerwony. Zmarszczył czoło i na wypadek, że Bernadine zwróci ku niemu wzrok, zrobił groźną minę.

Nie spojrzała jednak w jego kierunku, także sienie odezwała. Wyglądała przez okno i obracała szklanką po brzuchu, tworząc wokół pępka mokre koło.

– Chyba sporo dla siebie znaczymy? – spytał chcąc wydobyć z niej więcej. Czuł się dziwnie zepchnięty do defensywy. Od dawna nie doznawał tego wrażenia i to go denerwowało. – Nie z każdym

jestem tak swobodny jak z tobą.

Popatrzyła na niego.

– Naprawdę? – Przypominające kwarc oczy Bernadine, tak symboliczne dla jej osobowości, tak mało wyrażające, ukrywające to, co myśli, oczy, w których tak łatwo było się zagubić, uważnie się w niego wpatrywały. – Nie sypiasz z innymi?

– Nie. Nie sypiam. – Kiedy to powiedział, nagle się przestraszył, że powiedział coś złego, choć nie miał powodu tak traktować swoich słów. Obserwowała go i dostrzegł w jej oczach coś niezwykłego – przejrzała jego kłamstwo. Chyba nigdy przedtem nie dostrzegł u niej czegoś podobnego i był zbulwersowany. Co się z nią działo?

– Nie śpisz z żadną ze swoich pozostałych pacjentek?

– Nie, Bernadine, ale nie masz prawa zadawać mi tego pytania.

– Na temat tego co z nimi robisz? Skinął głową.

– Tajemnica lekarska, tak?

– Oczywiście.

– Czy gdybym przestała do ciebie przychodzić, inna kobieta zajęłaby moje miejsce... przyciśnięta do szyby?

– Co to za pytanie, Bernadine!

Jej sformułowanie było wulgarnie, ale Bernadine była przyziemna, wszystko w niej było proste. Jeszcze u nikogo nie widział tak naturalnego, nie skażonego kulturowo podejścia do seksualności jak u niej.

– Chcę wiedzieć. – Przytknęła szklankę do ust i wypła do dna. Zwiesiła rękę z kozetki i postawiła szklankę na podłodze. Zgięła

nogę w kolanie i położyła dłoń po wewnętrznej stronie uda, w miejscu gdzie przedtem stała chłodna szklanka. – Odpowiedz.

– Bernadine, nie sądzę, że kiedykolwiek spotkam kogoś takiego jak ty. – Jeżeli nawet nie była to odpowiedź na jej pytanie, nie skłamał. Kazała mu czekać minutę lub dwie, trzymała dłoń bez ruchu w tym samym miejscu.

– Chodź do mnie – powiedziała w końcu.

Wahał się, nie mógł oderwać dłoni od oparcia fotela. Wstał jednak i podszedł do kozetki. Wyciągnęła ku niemu rękę, więc ukląkł, na co włożyła palce w jego włosy, przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Potem przesunęła jego głowę i pokierowała usta do chłodnego miejsca wewnątrz swego uda.

Rozdział dziewiąty

Andrew Moser był zaskoczony, kiedy do niego zadzwoniła, i bardzo ostrożny, kiedy powiedziała, że chce z nim porozmawiać, ale nie może powiedzieć przez telefon dlaczego. Nie chciał, by przychodziła do niego do domu, nie chciał spotykać się z nią w sąsiedztwie i nie chciał wychodzić z domu, dopóki dzieci nie zasną. Od śmierci żony nie lubił wychodzić z domu po zmroku. Umówili się na jedenastą wieczór w 59 Diner na Farnham przy Shepherd Drive.

Palma zabrała formularze, które musiała wypełnić dla FBI, i wyszła. Choć jej audi stało w cieniu, w środku było jak w piecu, szybko więc opuściła szybę i ruszyła przed siebie. Po kilku skrzyżowaniach i zakrętach jechała w kierunku dostępnego dla statków oceanicznych Kanału Houston, łączącego port Houston z Zatoką Meksykańską.

Matka Palmy do dziś mieszkała w tym samym *barrio* – hiszpańskiej dzielnicy, w której Palma się wychowała. Wszystkie ulice nosiły tam szkockie i irlandzkie nazwy, ale mieszkańcami byli wyłącznie Latynosi. Niektóre rodziny były tu tak liczne, że zajmowały całe bloki, a wieści rozchodziły się tak szybko, że rebeliancka młodzież musiała się trzymać na wodzy, ponieważ nie miała gdzie się schować, by zaplanować rozróbę. Z biegiem czasu w okolicy zapanała jednak znacznie bardziej ponura atmosfera, nieszczęścia przestały przypadkowo trafiać nielicznych, a zagościły na stałe

w życiu większości. Wojny narkotykowe zagrażały wszystkiemu i wszystkim, a strumień emigrantów z Ameryki Środkowej przyniósł ze sobą czarną chmurę niepewności, jakby owe tysiące wyniszczonych wojną ludzi były jedynie pierwszą falą ludzkiej nawałnicy.

Florencia Palma wychowała tu jednak dwie córki i syna, a także pochowała męża. Wystarczyło, aby miała prawo mieszkać w tym miejscu. Dzielnica była tak samo „jej” jak wielki dom, przycupnięty na środku podwójnej działki, który ojciec Palmy, Vincente, kupił w 1941 roku od kuzyna, ruszającego z rodziną do Kalifornii. Była tak samo „jej” jak własnoręcznie sadzone surmie, dęby i mimozy, tak samo „jej” jak ogród i soczystozielone platany, osłaniające ścieżki przed letnim upałem. Wiek – uznała Palma obserwując, jak matka się starzeje – upoważnia do wielu rzeczy. Jeżeli człowiek żyje odpowiednio długo, wtedy to, co było mu najbliższe, przechodzi na jego własność już z powodu zainwestowanych nakładów. Rzeczy stają się jego – tak jak wspomnienia.

Palma zaparkowała pod szeregiem meksykańskich śliw, które ciągnęły się wzdłuż frontu działki i osłaniały dom przed popołudniowym słońcem. Na drzewach widać było resztki białych kwiatów, rozrzuconych rzadko pomiędzy błyszczącymi świeżą zielenią liśćmi, co przypomniało Palmie liczne wiosny, kiedy stała z bratem i siostrą pod czapą rozkwitłych kremowych kwiatów, podczas gdy matka robiła zdjęcie. Ile mogło być tych zdjęć? Ile było tych wiosen? Rodzeństwo dawno się rozjechało – brat mieszkał w San Antonio, siostra w Victorii, drzewa dalej jednak rosły tam gdzie przedtem,

a Florencia w dalszym ciągu każdej wiosny robiła im zdjęcie. Carmen przyjeżdżała do matki, by stanąć pod rozkwitłym drzewem i dać się sfotografować.

Znalazła matkę na podwórzu. Popołudniowe słońce było już tak nisko, że potężne pekanowce rzucały na ziemię długie, popielate cienie. Florencia była niższa od córki – Carmen odziedziczyła wzrost po ojcu – drobnej budowy i delikatnej kości, a jej twarz zdradzała, że ma w żyłach odrobinę krwi Tarasków, ginący od pokoleń genetyczny spadek, który po raz bodaj ostatni pojawiał się w jej ładnych, ostrych rysach. Żadne z dzieci nie odziedziczyło po matce indiańskich rysów. Jej siwe włosy sięgały ramion, a kiedy była młodsza, pielęgnowała je niezwykle starannie, szczotkując, splatając, myjąc i czesząc z kocią niemal gorliwością. Robiła to po części dlatego, że była z natury wymagająca, po części dlatego, że ojciec Palmy szczególnie lubił gęstą, czarną czuprynę żony. Teraz zebrała je do tyłu i spięła hebanową spinką. Nigdy nie używała innej – wyrzeźbił ją ojciec Carmen w kilka wieczorów pewnego lipca, kiedy była małą dziewczynką.

– Popatrz – powiedziała matka, kiedy Carmen przeszła przez bramę, unosząc do góry dwie doniczki. W jednej rosła jaskraworóżowa werbena, w drugiej wieliszota. – Córki córek córek. Własnoręcznie sadziłam ich prababcie.

Stojąc boso na mokrej kamiennej ścieżce, podlewała kwiaty. Jej luźna ogrodowa sukienka sięgała niemal do zakurzonych kostek, a uśmiech miała tak samo piękny jak wtedy, kiedy Palma

w dzieciństwie zrozumiała, że jest niczym boski dar. Matka często się uśmiechała, do tego w taki sposób, że obcy ludzie natychmiast czuli się w jej obecności dobrze. Uśmiech miała tak rozbijający, że wielu sądziło, iż jest nieskomplikowaną osobą – szybko jednak dochodzili do wniosku, że lepiej będzie skorygować swój pogląd. Palma wciągnęła głęboko w płuca aromatyczne powietrze, znajome zapachy wilgotnych roślin i kamieni. Pocałowała matkę w policzek, czując przy tym nikły zapach tanich kwiatowych perfum, które Florencia kupowała w pobliskim sklepie.

– Przyszedł list od Celeste – powiedziała matka stawiając doniczki na skraju ścieżki, grzbietem wilgotnych dłoni odsunęła ze skroni pasma włosów i poprowadziła córkę w kierunku huśtawki z listewek, wiszącej na starym dębie wodnym, rosnącym tuż obok ścieżki biegnącej wzdłuż patio za domem. Stała, schyliła się sztywnawo, chwyciła skraj sukienki i wytarła weń ręce. Potem włożyła rękę do nadprutej kieszeni sukienki i wyjęła list. Róg pomiętoszonej koperty był oderwany, ukazując wystający skraj podobnie pogniecionej kartki. Podała list Carmen. – Jest teraz w Huehuetenango. To w górach. Pisze, że zgłosiła się na ochotnika, zmęczona wybrzeżem i nizinami. Jest znacznie szczęśliwsza na wyżynie. Pisze, że odbierała dziecko, daleko, daleko w górach, gdzie stale unosi się mgła, jakby nigdy nie przestawało padać. Poród był skomplikowany, ponieważ płód był ułożony nieprawidłowo. Długa historia. – Matka Palmy pokiwała głową nad listem. – Pisze o wszystkim, przeczytasz sama. W każdym razie – w jej oczach

pojawił się figlarny, radosny błysk – po długiej i męczącej nocy dziecko się urodziło i tyle. Wszystko jest w porządku. Zostało uratowane, matka została uratowana – *gracias a Dios*. Dla uczczenia tego i w imię uznania dla zakonnicy, która im pomogła, rodzice nazwali chłopca... Celeste. – Florencia wybuchła śmiechem. – *Un muchacho llamado Celeste!*

Pokręciła głową, zachwycona, jak dziwnie objawia się wdzięczność, i ostrożnie usiadła na huśtawce obok Carmen. Bujały się powoli w przód i w tył, łańcuch poskrzypywał w skórzanych mocowaniach. Carmen wyjęła list z koperty i zaczęła udawać, że czyta.

Carmen odwiedzała matkę zwykle trzy, może cztery razy w tygodniu i starała się przynajmniej co drugą niedzielę zawozić ją na mszę. Choć córka była jedynym mieszkającym w Houston bliższym członkiem rodziny, starszej pani nie brakowało towarzystwa. Należała do dużej grupy kobiet z sąsiedztwa (w tym wielu wdów), które wychowały dzieci, a teraz pomagały sobie nawzajem. Palma знаła wszystkie przyjaciółki mamy od dzieciństwa i każda z nich doskonale wiedziała, gdzie ją znaleźć, gdyby okazało się to konieczne. Palma postanowiła utrzymywać z nią jeszcze ściślejszy kontakt, kiedy umysł matki zaczął coraz wyraźniej zdradzać objawy postępującego wieku. Zdawała sobie sprawę, że rozpoczęło się pożegnanie i kiedy matka zaczęła jej się wymykać, poczuła nasiloną potrzebę towarzyszenia jej, by jeżeli nie zatrzymać, to przynajmniej odwlec to, co nieuniknione. Zdawała sobie sprawę, że to powolne odchodze-

nie jest częścią życia, lecz świadomość tego faktu nie czyniła go ani mniej zatrwającym, ani mniej bolesnym.

Po kilku minutach wsłuchiwanie się w skrzywienie huśtawki i przewróceniu kilka razy stron listu, napisanego obustronnie na trzech kartkach, po odsunięciu smutku tak daleko na skraj serca, że była go w stanie wytrzymać, i powstrzymaniu łez, które zaczynały napływać do oczu, Palma złożyła kartki, wsunęła je do koperty i podała matce. Trzeci raz w tym tygodniu matka pokazywała jej „nowy” list, trzeci raz w tym tygodniu Palma go „czytała” i wysłuchiwała historii o chłopcu imieniem Celeste.

– To miły list, mamó. Wiem, że sprawił ci radość.

Florencia uśmiechnęła się, wsunęła list do kieszeni i przez chwilę trwała w zamyśleniu.

– Chętnie bym ją zapytała, czy kiedykolwiek żałowała, że została zakonnica. Palma popatrzyła na matkę. Pytanie ją zaskoczyło.

– Zawsze mnie to dziwiło – powiedziała z zadumą Florencia. – Była taka piękna...

– Nie sądzisz, by Siostrze Miłosierdzia mogła się przydać w Gwatemali piękna zakonnica?

– Była najładniejsza ze wszystkich twoich kuzynek. Mogła zostać gwiazdą filmową. Modelką.

– Wolalabyś, by tak się stało?

– Ależ nie... Lepiej, że została zakonnica. Tyle tylko, że tego nie rozumiem. – Znow się zastanowiła. – Jestem pewna, że dla księży to też niełatwe.

Palma uśmiechnęła się. Jej matka była jednym z najbardziej prostolinijnych stworzeń Wszchemogącego. Jej ufność, że wola Pana ostatecznie zwycięży, opierała się na wierze w cuda. Była głęboko przekonana, że jedynie szczególny cud jest w stanie ocalić człowieka przed jego niedoskonałą naturą. Jedyną nadzieją człowieka jest wiara w coś potężniejszego od niego, coś, czego co prawda nie do końca rozumie, w co jednak powinien niezachwianie wierzyć.

– A twoim zdaniem co Celeste by odpowiedziała?

Na jednej z surmii usiadł gołąb i zaczął tęsknie gruchać. Matka milcząc dotknęła ziemi dużym palcem stopy. Potem popatrzyła na gołębia.

– Moim zdaniem powiedziała by, iż przykro jej, że została Siostrą Miłosierdzia, lecz jest to jedyna rzecz, jakiej pragnęła.

– Oszukujesz. Próbujesz złapać dwie sroki za ogon.

– Skądże znowu. To całkiem uczciwa odpowiedź – stwierdziła matka z powagą, jakby broniła Celeste. – Możliwe, że czasami ma wrażenie, jakby czegoś jej zabrakło albo coś mogło się w jej życiu potoczyć inaczej, ale nie wie, co by to miało być. Jest tego ciekawa i żałuje, że tego nie poznała. Coś ci powiem... – Spojrzała na surmię udając zainteresowanie gołębiem. – Nie istnieje na świecie kobieta, która nigdy nie zastanawiała się, czy jej życie nie potoczyło się w jakimś decydującym momencie w nieodpowiednim kierunku. Zastanawianie się nad tym leży w kobiecej naturze. Każda z nas to robi. Może zwłaszcza piękne zakonnice w dżungli Huehuetanango.

Palma nagle odniosła wrażenie, że w istocie wcale nie rozma-

wiają o Celeste. Podejrzewała, że myśli matki znów krążą wokół jej rozvodu. Palma nigdy nie zapomni wyrazu przerażenia w oczach matki, kiedy musiała przed nią odkryć, że jej małżeństwo się skończyło. Wyraz ten nie miał nic wspólnego z rozczarowaniem. Florencia zbyt dobrze znała córkę, wiedziała, jak długo czekała z decyzją małżeństwa i jak bardzo musiało ją boleć rozstanie z mężem. W jej oczach było ogromne, bezinteresowne współczucie – cierpienie córki natychmiast stało się jej własnym cierpieniem. Nigdy w życiu Palma bardziej nie potrzebowała matki i starsza pani – mimo zagęszczającej się wokół niej mgły starczego otępienia – doskonale zdała sobie z tego sprawę i dała córce całe serce. Dla obu kobiet był to decydujący okres, Palma otrzymała lekcję, że związek z matką może stać się jeszcze bliższy niezależnie od jej i matki wieku.

– Mniejsza z tym – stwierdziła w końcu matka. – Co u ciebie?

Palma pochodziła z rodziny specjalistów od zadawania pytań.

– Wszystko w porządku, mammo.

Starsza pani kiwnęła głową i przygładziła włosy.

– To dobrze.

Bujały się, pocierana łańcuchem skóra poskrzypywała, nakrapiany gołąb w koronie drzewa od czasu do czasu przypominał o sobie jęklonie. Palma myślała o nagiej Samenov, jej bladym ciele, okaleczeniach. Co robił teraz morderca, aby przeczekać upał? W jaki sposób radzi sobie z upałem ktoś, kto dokonuje podobnych czynów? Znała odpowiedź, ale odsunęła ją na bok. Nie chciała teraz o tym myśleć, nie tutaj, nie przy matce.

Zadała kilka pytań o brata i siostrę. Ich kontakt odbywał się głównie poprzez matkę. Nie dlatego, by się nie lubili, po prostu nie mieli ze sobą wiele wspólnego. Palma rzadko do nich pisywała. Porozmawiały chwilę o awansie Patricia, który pracował w wydziale policji San Antonio, i dzieciach Liny, które chodziły do szkoły. Po kolejnych kilku pytaniach na temat przyjaciółek mamy i plotkach o tym, co się dzieje w okolicy, Palma zostawiła matkę pod śliwami i odjechała.

Była boso, jeden z wylotów powietrza z klimatyzacji ustawiła prosto na podłogę, podciągnęła spódnicę do połowy uda i chłodziła się. Dlaczego kobiety uważają, że nie są odpowiednio ubrane, jeżeli nie mają raj stop? Dla tych mieszkających na południe od trzydziestego piątego równoleżnika to mordęga. W wilgotnym upale Houston rajstopy są jedynie narzędziem tortur i Palma nieraz odgrażała się w myślach, że skorzysta z innych możliwości, tyle tylko, że choć każda była chłodniejsza, żadna nie była do przyjęcia. Podciągnęła jeszcze kawałek spódnicę i popatrzyła na boki, czy nie ma obok niej któregoś z miejskich cwaniaczków, autostrado wy eh podglądaczy, jeżdżących rozmaitymi wysoko zawieszonymi ciężarówkami, furgonetkami oraz pikapami i rozglądających się za kobietami w niższych samochodach, szukającymi ulgi od wpływów termodynamiki rajstop.

Wzięła głęboki wdech i opuściła osłonę przeciwsłoneczną. Sznur samochodów na Southwest Freeway pełził powoli niczym leniwy wąż, ślimaczył się na zachód zalany lepkiem blaskiem zachodzącego słońca, przypominającym miedziany ogień, opadający przez

drżące powietrze o wilgotności dziewięćdziesiąt jeden procent.

Zjechała zjazdem na Wesley, przejechała pod autostradą i w ciągu dwóch minut była w West University Place, dzielnicy o powierzchni mniej więcej pięciu kilometrów kwadratowych, która została przyłączona do miasta w 1915 roku. Znajdowała się ona w bezpośrednim sąsiedztwie Rice University i składała z dość starych domów stojących wzdłuż cichych ulic wysadzanych dębami, pekanowcami, magnoliami, amerykańskimi topolami, drzewami judaszowymi i palmami. W odróżnieniu od Greater Houston, tabliczki z nazwami ulic nie są tu zielone, lecz niebieskie, ulice zaś patrolują oddziały lokalnej policji. Choć mieszkańcy West University godzą się na to, że służby Houston dostarczają im gaz, prąd i prowadzą dla nich usługi telefoniczne, dbają o swoją daleko posuniętą niezależność. Ponieważ Houston wyróżnia się spośród amerykańskich miast tym, że nie ma kodu pocztowego, mieszkańcy West University troszczą się o utrzymanie wiejskiej atmosfery tego miejsca. Bary szybkiej obsługi i sklepy samoobsługowe, w zasadzie wszelkie komercyjne przedsiębiorstwa, zostały zlokalizowane na otaczającej dzielnicę ulicy, skąd przyglądają się wielkiemu miastu niczym zazdrośni strażnicy, strzegący dziewiczego terenu przed zalewem kiepskiego gustu i miejskiej mentalności.

Palma mieszkała przy jednej z lepszych ulic West University, zajętej niemal w stu procentach przez yuppies, którzy wykupili stare domy i albo je przebudowali, albo zburzyli, by postawić na ich miejscu bardziej okazałe „interpretacje” dawnego stylu. Czasem czuła się

tu nieco nie na miejscu, choć nie umiała określić dlaczego. Wjechała na kolisty podjazd piętrowego ceglanego domu. Jego front od ulicy zasłaniały krzewy *yaupon* i szkarłatnej urokliny, ceglany podjazd okalały kwitnące kępy trawy *mondo*. Podwórze nie wymagało żadnych zabiegów dzięki gęstemu obsadzeniu go azjatyckim jaśminem, przeplatany dekoracyjnymi kępami lantany. Musiała przyznać, że podobał jej się ogród. Poza dbaniem o siebie była to jedyna rzecz, którą Brian zrobił jak należy.

Kiedy otwierała drzwi, trzymając w jednym ręku stertę dokumentów, w drugim klucz, zatraskując je pchnięciem biodra, musiała przyznać, że dom jest za duży dla jednej osoby. Odłożyła dokumenty i klucze na stolik obok wejścia i poszła do salonu zmniejszyć temperaturę. Kiedy przekreśliła gałkę termostatu, zaczekała chwilę w bezruchu, aż usłyszała kliknięcie w klimatyzatorze. Zapaliła kilka lamp, zrzuciła pantofle, potem – rozpinając się przy tym – przeszła przez salon i weszła na prowadzące do sypialni schody.

Powrót do pustego domu był dla niej najgorszą chwilą dnia. Przez wiele lat robiła to z wyboru. Dzięki wykształceniu i niezależności stała się kobietą nowej epoki i choć regularnie spotykała się z mężczyznami, zachowywała niezależność i nigdy nie miała kochanka, który by u niej mieszkał. Nie pociągał jej tego typu układ – z kilku powodów. Potem zjawił się Brian, wyszła za niego i nim wszystko się popsuło, przeżyli kilka dobrych miesięcy. Smak wspólnego życia, danie słowa wiecznego oddania człowiekowi, który kocha tak samo mocno, by złożyć identyczną obietnicę, świadomość,

że bez względu na to, co się wydarzy w życiu, ta kochana osoba będzie zawsze obecna, by pomóc wytrzymać lub chcieć podzielić się radością, podniecająca przyjemność bycia kochaną przez kogoś, kto znaczy w życiu najwięcej – czekała na to wszystko wystarczająco długo, by wiedzieć, iż właśnie takiego życia rozpaczliwie pragnie.

Zniknęło ono jednak tak samo nagle, jak się pojawiło, i nie dało się ukryć, że tęskniła – nie za Brianem, ale za mężczyzną, jakim mógł się okazać, jakim pragnęła, by się okazał. Niepowodzenie z Brianem było najboleśniejszym doświadczeniem, jakie spotkało ją w życiu. Jakże chciałaby mieć kogoś, z kim mogłaby spać – nie tylko kochać się – kogoś do wtulenia się w nocy. Naprawdę za tym tęskniła, ale jakoś nie mogła się zaprzyjaźnić z ideą „chłopaków”. Nie teraz, jeszcze nie. Jeszcze bardzo długo nie będzie mogła.

Wykąpała się, umyła włosy i włożyła na gołe ciało cienką bawełnianą sukienkę. Przyczesła włosy, ale nie suszyła ich, potem zeszła na dół, nalała sobie porządną porcję whisky z wodą i wyszła do ogrodu. Było to w zasadzie wyłożone cegłą podwórze z wysepkami *yaupon* i sporą ilością lili w glinianych pojemnikach, otoczone wysokim płotem, zasłaniającym teren przed niepożądanymi spojrzeniami i całkowicie zacienione gęstym listowiem dębów, które w środku dnia przepuszczało jedynie plamki światła. Był to znakomity azyl i nawet przy największych upałach lubiła tu siedzieć późnym popołudniem – prawie naga – i popijać zimnego drinka. To miejsce czyniło samotność niemal znośną.

Założyła nogę na nogę i podciągnęła wysoko sukienkę. Szklan-

ka była bardzo wysoka i pływało w niej wiele lodu. Siedziała przez chwilę w bezruchu, potem wzięła do ręki plik dokumentów, które musiała wypełnić do celów VICAP. [Violent Crime Apprehension Program (ang.) – Program analizy brutalnych przestępstw] Program jest realizowany w centrum szkoleniowym FBI, w Quantico w stanie Wirginia, gdzie znajduje się komputer, stanowiący ogólnonarodowe centrum dokumentacji, porównywania i analizy danych dotyczących szczególnie drastycznych zbrodni. Przy odrobinie szczęścia, podane komputerowi szczegóły śmierci Moser i Samenov doprowadzą do odnalezienia podobnych zabójstw, które popełniono gdzieś indziej. Gdyby tak się stało, zajmujący się nimi detektywi mogliby wymienić się informacjami i w ten sposób skrócić karierę seryjnego zabójcy. Było to niezbyt prawdopodobne, ale nie wolno było nie wykorzystać tej możliwości.

Zaczęła od pierwszej strony „formularza analizy przestępstwa” i przeczytała go do końca, nie wypełniając ani jednej z blisko dwustu przewidzianych rubryk. Większość pytań była bardzo szczegółowa i zanim zacznie na nie odpowiadać, będzie musiała sięgnąć po raport. Nie było sensu się teraz za to brać. Kiedy doszła do części siódmej, przerwała. „Stan zwłok w momencie znalezienia”. Przed oczami pojawiły jej się obrazy, których długo nie zapomni. Z trudem ich się pozbyła.

Nagle poczuła, że traci dystans i obiektywizm. Konieczność narzucenia sobie tak dobrze znanych pęt samokontroli, wykorzystania ich jako pretekstu do uniknięcia zaangażowania emocjonalnego,

wydała jej się niemal zbrodnią. Nie rozumiała, dlaczego w tego typu sprawach dystans emocjonalny ma być cnotą. Nie wierzyła w to. Nie tym razem, przynajmniej nie teraz, kiedy jeszcze mącił jej myśli obraz bladego, nagiego mężczyzny, nachylającego się nad brzuchem Dorothy Samenov i wbijającego zęby w pępek udręczonej ofiary, kiedy niemal czuła wargi wokół własnego pępka i widziała w wyobraźni pojedyncze kręgi na wygiętych plecach mężczyzny, ściskającego kolanami jej własne biodra i ssącego z zabójczym zapachem jej własny pępek.

Kiedy Palmie udało się otrząsnąć z tych myśli, było już zbyt ciemno na czytanie. Zapomniała o drinku i kiedy sięgnęła po wysoką szklankę, okazało się, że stoi w kałuży powstałej z opadłej ze ścianek rosy, lód dawno się rozpuścił, a w środku jest nieapetyczna, ciepła i żółtawa ciecz. Gdzieś w koronach drzew zahukała sowa. Musiała iść coś zjeść. Niedługo czekała ją rozmowa z Andrew Moserem.

Rozdział dziesiąty

Palma przysła dziesięć minut wcześniej. Moser już czekał przy stoliku pod oknem, z widokiem na parking. Kiedy weszła do środka, stwierdziła z ulgą, że – na szczęście dla Mosera – jest dość pusto. Było już zbyt późno na tych, którzy tłumnie przychodzili na kolację do tego stylizowanego na lata pięćdziesiąte barze i jeszcze zbyt wcześnie na tak samo wiernych lokalowi nocnych marków. Moser siedział nad wielkim fajansowym kubkiem z kawą i wyglądał na wystraszonego.

Kiedy Palma się zbliżała, wstał. Był wysoki, szczupły i jak zawsze schludnie ubrany, nie należał jednak do modnisiów, raczej skłaniał się do tropikalnej wersji prostoty. Miał pociągłą twarz i ten typ fizjonomii, która bardzo długo pozostaje młoda; jego żona – gdyby żyła – prędzej czy później miałyby kłopoty usiłując rywalizować z nim wyglądem.

– Ma pani coś nowego? – spytał bez ogródek. Kelnerka już podchodziła z kawą i dodatkowym kubkiem.

– Nie sądzimy tak – odparła Palma siadając i kładąc torebkę na krześle obok. Zaczekała, aż kelnerka naleje jej kawy, bez słowa wytrzymała pełen zaskoczenia i niepokoju wzrok Mosera. W dalszym ciągu nie mógł sobie poradzić ze śmiercią żony, sprawę jeszcze pogarszały okoliczności jej śmierci – nie mniej dziwaczne, niż gdyby została połknięta w trakcie próby kościelnego chóru przez pytona.

– Nie „sądzicie” tak? – spytał kiedy kelnerka odeszła. – Co to ma znaczyć? – Był pobudzony, zniecierpliwiony.

– Pojawiły się pewne fakty w związku z inną sprawą i jesteśmy ciekawi, czy mają jakiś związek z okolicznościami śmierci pańskiej żony.

– Jakie fakty? Co za „okoliczności”?

– Pozwoli pan, że zadam jedno pytanie, dobrze? Czy przeglądając rzeczy żony, natrafił pan na coś, o czym dotychczas pan nie wiedział? Na coś, co być może utrzymywała w tajemnicy, co w żadnym stopniu do niej nie pasowało?

Andrew Moser nie był naiwny. Jedną ze specyficznych cech pracy detektywa wydziału zabójstw jest to, że niekiedy spotkania z rodzinami ofiar nabierają intymności zarezerwowanej dla lekarza, księdza albo współmałżonka. Zdarza się to szczególnie wtedy, jeżeli ofiara należy do rasy białej, jest przedstawicielem klasy średniej – jej członkowie niezbyt często mają kontakt z poważnym przestępstwem – a morderstwo, jak w przypadku Sandry Moser, zawiera aspekt seksualny. To, z czym musieli się zetknąć, tak bardzo odbiega od ich zwykłych doświadczeń, że wstrząs powoduje długotrwałą destabilizację emocjonalną. Detektyw z wydziału zabójstw staje się „ekspertem”, do którego można się zwrócić o pomoc, to od niego mają nadzieję uzyskać odpowiedzi na pytania, o których zadawaniu jeszcze niedawno nawet im się nie śniło.

Andrew Moser był oszołomiony faktem, że jego żona najprawdopodobniej dobrowolnie poszła do hotelu, gdzie znaleziono ją mar-

twą. Niewielu ludzi musi dokonywać podobnych odkryć i coś takiego nieliczni są stanie przyjąć bez wielkiego obciążenia emocjonalnego. Przez ostatnie dwa tygodnie Moser przeżył wiele najrozmaitszych uczuć i przez sporą część tego czasu Palma stała u jego boku. Jeszcze teraz sprawiał wrażenie półprzytomnego. Matka jego żony, wdowa, przyjechała z innego stanu, aby zająć się wnukami, podczas gdy on próbował pozbierać się i jakoś żyć dalej; dziwaczne okoliczności śmierci żony i świadomość, że najprawdopodobniej prowadziła za jego plecami drugie życie, kosztowały go jednak wiele.

Pochylony mocno do przodu, wpatrywał się w Palmę. Jego rysy zastygły w maskę niecierpliwości, patrzył na nią pytająco, głowę lekko przekrzywił na bok. Milczenie zawisło między nimi jak ołów, kiedy jednak z kuchni doleciało wibrujące *You Are So Beautiful* Joe Cockera, potem odgłosy narastającej kłótni siedzącej kilka stolików dalej pary, która jednak szybko zamilkła, a kelnerki zebrały się przy oszklonej witrynie z ciastkami i dla odciążenia zmęczonych bioder oparły się plecami o laminowany kontuar, z twarzy Andrew Mosera powoli zniknął upór, zastąpiła go rezygnacja, a kiedy całą prostotę tego, co uważał dotychczas za swoje życie, przysłonił mroczny cień otrzeźwienia, prawie się rozpłakał.

– Boże... – powiedział i załamał mu się głos. Zaciśnął usta, zdradzając, ile wysiłku kosztuje go zapanowanie nad sobą. – Boże... – powtórzył, co zabrzmiało jak pierwsze chlipnięcie. Przełknął je, opadł plecami na plastikowe oparcie i szybko odwrócił głowę, bowiem w jego oczach ukazały się łzy. Stał je szybko i wbił głupko-

wato wzrok w światła przejeżdżających na zewnątrz samochodów. – Nic mi już nie pozostało. Absolutnie nic. Nawet nie wiem, kim, do cholery, była.

Palma niemal czuła jego ból. Mężczyzna przed nią umierał po kawałku, od niemal trzech tygodni spadał stopień po stopniu w otchłań, wysychał w środku tak, że kolejna część jego wnętrza robiła się łamliwa, wykruszała się i zmieniała go na zawsze. Choć było to okrutne, Palma milczała. Musiał zacząć mówić i aby to zrobił, musiało go zboleć.

Oddychał ciężko, niemal dyszał. Po chwili odkasznął. Nie odwrócił wzroku od okna.

– W każdym innym kontekście można by to było potraktować jako całkiem niewinne – zaczął – ale kiedy znalazłem wszystko w jednym miejscu... w pudełku z czarnej laki... Boże, wiedziałem... Sznur dużych pereł... niewielkie klipsy... obciążone gumą. Podłużny przyrząd do masażu na baterie... z przywieszką. Mam... wyliczyć wszystko?

– Nie. To niekonieczne. Co pan z tym zrobił?

– Wyrzuciłem. Pudełko... i całą zawartość. – W dalszym ciągu wyglądał przez okno. Nie był w stanie zwrócić głowy ku Palmie. Walczył ze sobą chcąc pohamować łkanie.

Cholera, czasami to, co musiała robić, chyba przekraczało dopuszczalne granice okrucieństwa...

– Czy mógłby mi pan powiedzieć... – próbowała mówić spokojnie, lecz nie obojętnie – ...czy pańskim zdaniem te rzeczy... czy

coś z tego mogło być przeznaczone do praktyk sadomasochistycznych? – Nie była sobie w stanie wyobrazić, jak to zabrzmiało, ale wolała się nad tym nie zastanawiać.

Zareagował bez wzburzenia. Może źródło już wyszło – w końcu sporo z niego czerpał. Pokręcił głową, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że rusza szyją.

– Nie, właściwie to chyba nie... Nie mam takiego wrażenia. Wydaje mi się jedynie, że... wie pani... że... – Głos mu zachrypł. – Dlaczego nic o tym nie wiedziałem? Dlaczego... chowała to przede mną? Nie byliśmy pruderyjni. Wydaje mi się, że nigdy nie... odmówiłem jej niczego. Boże, zastanawiam się nad tym ciągle od nowa! Naprawdę... o ile wiem... wszystko w „tym” zakresie było w porządku. – Odwrócił się do Palmy. – To znaczy, o ile jestem w stanie to określić... dla niej wszystko było jak trzeba. Nigdy, ani razu nawet nie wspomniała o najmniejszym... niezadowoleniu w tym zakresie. A naprawdę starałem się ją rozumieć. Wie pani, zdawałem sobie sprawę z różnych pretensji, jakie miewają kobiety, z egoizmu mężczyzn i próbowałem zwracać uwagę na wszystko, co się dało. Nie chowałem głowy w piasek. Naprawdę... nie oszukuję... wydawało mi się, że wszystko... w tym zakresie było... bez zarzutu...

Przerwał, wziął z pojemnika na stole kilka serwetek i wytarł oczy. Powtórzył jeszcze kilka razy „Boże” i napił się kawy.

– Mówił nam pan, że nie ma pan pojęcia, z kim mogła się spotykać. Czy coś się w tym zmieniło?

– Boże, skąd! Nie miałem pojęcia o... tym co znalazłem, tym

bardziej nie wiem, z kim mogła się spotykać. Gdybyście to mnie znaleźli martwego w tym hotelu, dość prawdopodobne, że znalazłaby pani ludzi gotowych do spekulacji. Na temat moich flirtów w biurze czy coś w tym stylu. Możliwe, że zdobyłaby pani szereg wskazówek mogących świadczyć o tym, że spotykałem się z kimś, ale w przypadku Sandry... nie. Zdaję sobie sprawę, jak to musi brzmieć, jak to może nieważkie w kontekście mojej niewiedzy na jej temat, ale nie, nie jestem w stanie wymyślić czegokolwiek. Nie widzę nikogo. Po prostu nie jestem w stanie. Nigdy nie widziałem, by z kimkolwiek flirtowała. To po prostu nie było w jej stylu.

Oczywiście zostało to zweryfikowane przez niezliczone wywiady z jej przyjaciółkami, z kobietami, które udzielały się z nią w działalności charytatywnej, kobietami, które chodziły razem z nią na aerobic i gimnastykę oraz tymi, które działały razem z nią w komitecie rodzicielskim. Wszyscy rozmówcy byli zgodni, pojawił się tylko jeden dysonans. Nikt nie był z nią naprawdę blisko, nikt nie znał jej „aż tak” dobrze. Była dobrą, odpowiedzialną matką, wypełniała wszystkie społeczne obowiązki, ale nie miała „najlepszej” przyjaciółki.

– Czy słyszał pan kiedyś nazwisko Dorothy Samenov? Moser pokręcił głową i ponownie wytarł łzy.

– A Vickie Kittrie?

– Też nie.

– Czy było wśród jej rzeczy coś jeszcze, nawet pozornie nieważnego? Zapisane gdzieś adresy, których pan nie zna, numery

telefonów?

– Już pani o to pytała.

– Wiem, ale czasami coś się przypomina.

Palma obserwowała go, zapatrzonego w kawę. Wyglądał na wycieńczonego. Ukrywał coś? Ile ukrytych warstw miała ta sprawa?

– To przeglądanie jej rzeczy... – powiedział kręcąc głową. – Robiłem już raz coś podobnego, kiedy zmarł ojciec. Przeglądałem jego rzeczy, ponieważ matka nie mogła. Tamto było trudne, ale w przypadku jej rzeczy... Z początku nie byłem w stanie i gdyby pani nie powiedziała, że sprawa jest ważna, być może do dziś bym się nie zabrał. To pudełko... znalazłem je pod sam koniec. Właściwie przypadkiem. Schowała je w głębi swojej szafy, w kanale wentylacyjnym. Tyle tylko, że niedokładnie założyła osłonę... Kiedy je znalazłem, nie byłem w stanie przestać. Przeszukiwałem wszystko, ciągle od nowa. Nie wiedziałem, czego właściwie szukam, ale znalezienie jeszcze czegoś stało się niemal obsesją. Obmacałem nawet szwy jej ubrań, bowiem wydawało mi się, że może coś w nich ukryła. Przejrzałem kartka po kartce wszystkie jej książki, poszukując notatek. Odkręciłem wszystkie buteleczki z perfumami, słoiczki z kosmetykami, kredki do powiek. Nic nie było mało ważne. Nawet... porozrywałem pozostawione przez nią tampony. Rozumie pani, doszedłem do wniosku, że uznała, iż nigdy tam nie zajrzę. Cały czas myślałem przy tym z przerażeniem, że coś znajdę. Zachowywałem się tak, jakbym podejrzewał, że ktoś wypuścił w mieszkaniu jadowitego węża. Bałem się go szukać i bałem się nie szukać.

Kelnerka wykonała kolejną obowiązkową rundę i dołała im kawy. Moser postłodził swoją i dołał śmietanki, cały czas nad czymś zadumany. Palma nie wiedziała, o co dalej pytać. Jeżeli miał rację – i mówił prawdę – rzeczy w pudełku nie miały nic wspólnego z sadomasochizmem. Po prostu jego żona była nieco bardziej ekstrawagancka w sprawach seksu, niż sądził.

Po dłuższej chwili znów się odezwał.

– To było wariactwo, ale szukałem. Nie wiem, czy czułem się z tego powodu lepiej czy gorzej. Wie pani, coś takiego jest... kompletnie przewraca w głowie. Najpierw jest się zaskoczonym z powodu śmierci, potem okazuje się, że to morderstwo – nie wypadek samochodowy, nie tętniak albo rak – morderstwo i w dodatku... takie. Najpierw traci się żonę, kobietę jaką się miało, potem tę, którą sądziło się, że się miało. Zostaje się z głową pełną wątpliwości i nawet nie można sięgać do wspomnień, ponieważ nie wiadomo, czy cokolwiek znaczą. Czym były wszystkie słowa, które się mówiło, i rzeczy, jakie razem robiło się przez tyle lat? Które fragmenty życia z nią były prawdą, a które kłamstwem? – Znów popatrzył w kubek, wypił łyk kawy, by zwilżyć gardło. – Nie bardzo sobie z tym radzę. Dobrze o tym wiem.

– Nikt sobie z tym dobrze nie radzi. Przynajmniej z początku.

– Mówię o całej sytuacji. – Kucharz znów zaczął śpiewać piosenkę Cockera i Moser na chwilę się zasłuchał. – Dopiero wczoraj wróciłem do pracy. Musiałem wziąć parę wolnych dni i wszyscy zachowali się bardzo przyzwoicie. Kiedy się zjawiłem, wszyscy się

prześcigali w okazywaniu wyrozumiałości, doskonale jednak było widać, że każdy zadaje sobie pytanie: „Co ona robiła w tym hotelu?” Do tego matka Sandry. Ta kobieta umiera od środka. Nawet nie zamieniliśmy słowa o śmierci Sandry. Ja nie jestem w stanie, ona nie jest w stanie. Rozmawiamy o wszystkim, tylko nie o najważniejszym. Ani słowa o tym przeklętym hotelu i...

Przerwał w pół zdania, jakby uznał, że posuwa się za daleko. Wyglądał na niezadowolonego z siebie. Na chwilę odwrócił głowę, a kiedy znów popatrzył na Palmę, powiedział:

- Coś pani wspomniała o innej kobiecie.
- Tak. Była kolejna ofiara, podobne są okoliczności zdarzenia.
- Też w hotelu?
- Nie, chodzi o inne szczegóły.
- Jakie?
- Nie mogę panu powiedzieć – zaczęła rutynowo, nagle jednak zmieniła zdanie. Chyba byłaby to nadmierna ostrożność. Musiała osiągnąć postęp i uznała, że może opowiedzenie paru szczegółów Moserowi coś w nim poruszy. – Zresztą opowiem panu, ale proszę zachować to dla siebie.

Moser kiwnął zdawkowo głową i zmarszczył czoło, niecierpliwił się.

– Była cztery lata starsza od Sandry, rozwiedziona. Znalaziono ją we własnym domu, też na łóżku, z podobnymi śladami na przegubach i kostkach oraz ranami, tyle tylko że były poważniejsze. Mieszkała samotnie, pracowała w pewnej firmie komputerowej i...

– Jakiej?

– W Computronie.

– Boże, znam ludzi z Computronu. Wielu. Jesteśmy jednym z ich największych klientów, jeżeli chodzi o oprogramowanie. Jak się nazywała?

– Dorothy Samenov. Wymieniałam przed chwilą jej nazwisko. Kilka razy powtórzył nazwisko pod nosem.

– Jezu! Sammy? Pisze się przez y na końcu, to jej przydomek, ale zawsze wymawiała go Samme, przez e. Dorothy Samenov. Znam ją. Zajmuje się naszym działem w Sonametrics. Podpisuję wszystkie zakupy dla naszego działu, jakie robimy w Computronie, i ciągle widuję te żółte samoprzylepne karteczki:

DZIĘKI... SAMME! Takie i podobne. Kiedy zobaczyłem coś takiego po raz pierwszy, nie miałem pojęcia, co to ma znaczyć. „Samme” nie miało sensu, zapytałem więc parę osób i urzędniczka, która prowadzi konto, wyśmiała mnie. Potem ją poznałem. Może trzy lata temu. Nie widujemy się często, ale znam ją. A niech to!

– Widuje ją pan?

– Właściwie to nie, ale wiem, kim jest. Nie kontaktuję się bezpośrednio z dostawcami, ale widuję ich na przyjęciach. Wie pani, na koktajlach dla pracowników, przyjęciu bożonarodzeniowym, rocznym pikniku, na wakacjach.

– Sandra znała ją?

– Nie... to znaczy nie wyobrażam sobie. Możliwe jednak, że spotkały się na którymś z przyjęć, przed Bożym Narodzeniem albo

na pikniku.

– Ale nie jest pan tego pewien?

– Nie. Byłoby to jednak jak najbardziej możliwe. Dziwne, co?

I to jak, pomyślała Palma, głośno powiedziała jednak:

– Ale w sumie nie tak niezwykle. Jaka ona była?

– Bardzo wylewna, wręcz narzucająca się, ale sympatyczna. Na tego typu przyjęciach trudno kogoś naprawdę poznać.

– Przychodziła sama?

– Nie wiem.

– Pamięta pan, by zajmowała się kimś w szczególności?

– Nie.

– Wspomniałam o jeszcze jednej kobiecie. Vickie Kittrrie. Też pracuje w Computronie.

– Też jej się coś stało?

– Nie. Znalazła Samenov. Były bliskimi przyjaciółkami. Moser popatrzył na nią.

– Nie znam. Nic mi to nazwisko nie mówi.

– Czy istniały jeszcze inne okazje, przy których pan i Sandra mogliście spotkać pracowników Computronu?

– Nie – odparł bez wahania. – Tylko te, które wymieniłem. To wszystko. I nie częściej niż dwa razy do roku.

Palma chwilę się zastanowiła.

– Czy to możliwe, by spotkały się gdzie indziej?

– Gdzie? – Przez twarz Mosera przebiegło drgnienie, jakby zauważył jakiś wspólny kontekst i uznał, że może się za nim kryć coś

istotnego. Palma nie wiedziała, czy przywiązywać do tego wagę. Może tylko mu się wydało, że zauważa coś ważnego, a tak naprawdę widział jedynie duchy i obszukiwał szwy ubrań, by sprawdzić, czy nie ukrył się tam jadowity wąż. – A gdyby tak było, to co?

– Nie wiem. – Naprawdę nie wiedziała, zdawała sobie jednak sprawę z tego, że prędzej czy później założy, iż się znały i spotykały, i spróbuje to zweryfikować. – Niech pan się w każdym razie nad tym zastanowi, ale z nikim nie rozmawia, dobrze? To bardzo ważne, by zachować dyskrecję. Jeżeli coś panu wpadnie do głowy, proszę o telefon.

– Jasne. Zadzwonię. – Wyraźnie było widać, że poważnie zastanawia się nad związkiem żony z Samenov.

Palma wzięła torebkę i zaczęła ją otwierać, ale położył na niej dłoń.

– Nie, ja zapłacę. Jeszcze chwilę posiedzę.

– Dziękuję. Jeżeli odkryjemy coś nowego, zawiadomię pana.

Moser kiwnął głową i Palma wstała. Odeszła, zostawiając go zadumanego nad nowymi ewentualnościami. Kiedy wyszła w noc i ruszyła do samochodu przez drżące cienie niewielkiego parkingu, myślała o Brianie i kasztanowłosej adwokatce, z którą go przyłapała. Doskonale pamiętała, co działo się z nią tuż potem (do dziś pojawiały się te same uczucia), myślała o szczegółach, o tym jak się poruszali i dotykali, i o tym, czy robił z tą kobietą to samo, co robił z nią.

Rozdział jedenasty

Wtorek, 30 maja

O szóstej rano wjeżdżała na parking Meaux's Grille, lokalu znajdującego się niedaleko Rice University. Otwarty całą dobę, był zawsze pełen studentów i biznesmenów, a jego właścicielką i kierowniczką była Francuzka Laurę – niska, pięćdziesięcioletnia kobieta o farbowanych henną włosach. Laurę tronowała przy kasie i rozglądając się jastrzębiej ostrości wzrokiem, nieustannie sprawdzała, czy jakiś klient czegoś nie potrzebuje. W kuchni rządził jej mąż Gustaw – były polski marynarz floty handlowej. Na porannej zmianie pracowały dwie kelnerki, siostry z Gwatemali, z których jedna była bardzo skromna, a druga flirtiara, oraz Linga, chiński pomywacz, będący równocześnie pomocnikiem kucharza. Gustaw i Chińczyk (który w opinii Laurę znał więcej świńskich kawałów niż marsylskie prostytutki), bez przerwy śmiejąc się i gadając, w nieprawdopodobnym tempie przyrządzali ogromne ilości smakowitych dań. Z nieznaney przyczyny porozumiewali się jedynie po hiszpańsku, przez co jedynymi osobami, które rozumiały, co się dzieje w kuchni, były siostry z Gwatemali, z których jedna nieustannie się czerwieniła, a druga lubieżnie chichotała.

Palma zaparkowała pod surmią i kupiła w automacie gazetę. Weszła do środka, usiadła przy wychodzącym na Bissonet oknie i zamówiła u Almy, owej skromnej siostry, śniadanie. W lokalu było jeszcze cicho i spokojnie, przy kontuarze na barowym stołku siedział

samotny klient. Palma zaczęła przeglądać komunikaty policyjne. O śmierci Samenov była jedynie krótka notka, co zdawało się dość niezwykle. Prasa, tak samo jak policja, poświęcała morderstwom więcej uwagi, jeżeli ofiara mieszkała w drogiej dzielnicy. Bestialskie okaleczenie przedstawiciela klasy średniej stanowiło powód do wszczęcia alarmu, było znakiem, że zbrodniczy margines rozprzestrzenia swoją działalność poza dozwolone granice. Na szczęście żaden dziennikarz nie skojarzył jeszcze faktów, nie można się było jednak spodziewać, że ten stan będzie trwał długo.

Otrzymawszy swe danie, Palma złożyła gazetę na czworo i czytała dalej. Kiedy skończyła, zarówno w barze, jak i na zewnątrz zaczynał się robić ruch. Zostawiła na stole dobry napiwek dla Almy, zapłaciła Laurę i wyszła w chłód poranka. Uwielbiała tę fazę dnia. Tak chłodno będzie dopiero następnego o tej samej porze. O tej godzinie jeszcze można było być optymistą.

Kiedy o siódmej zaczęli się zjeżdżać koledzy z pierwszej zmiany, już od kilkunastu minut siedziała przy komputerze. Poszła spać dopiero o drugiej, wypełniła bowiem w domu na tyle, na ile mogła, formularze VICAP zarówno dla Moser, jak i Samenov, teraz prawie kończyła raport w sprawie Samenov. Choć dział fotograficzny dotrzymał słowa i kiedy przyszła, na biurku leżały dwa komplety zdjęć z miejsca zabójstwa Samenov, materiał, jaki zebrała dotychczas, nie spełniał jednak wymaganych przez FBI standardów. Nie miała jeszcze protokołu wiktymologicznego, raportu z sekcji zwłok Samenov ani wyników analizy włosów oraz wymazów. Ponieważ jednak mia-

ła komplet danych Moser, a z raportu będzie wynikać, że zabójca podobnie się zachowywał na miejscu drugiej zbrodni, uważała, że ponieważ może chodzić o ewentualnego seryjnego sprawcę o wyraźnie rytualnym stylu działania, wolno jej złożyć wniosek o sporządzenie „wstępnego” profilu. Wkrótce jej biurko było zasłane formularzami, zdjęciami i wydrukami komputerowymi.

Była przy trzeciej filiżance kawy, kiedy usłyszała za sobą:

– Naprawdę uważasz, że to coś da?

Cushing. Stał w otwartych drzwiach, a w rękę trzymał czarny kubek, który zamówił w Penthouse – widać było na nim nagą Azjatkę o kiczowatych, różowo pastelowych odcieniach ciała, namalowaną w ten sposób, że rączka kubka miała wyobrażać wnikaający w nią członek. Palma widziała już kiedyś ten kubek w boksie Cushinga, ale sądziła, że to tylko pornograficzna ciekawostka do postawienia na półce. Dotychczas nie widziała, by go używał. Jedwabna koszula, którą dziś włożył, miała tak bufiaste rękawy, że kojarzyła się z damską bluzką, a szerokie, marszczone przy talii spodnie miały mocno zwężające się ku dołowi nogawki. Wleciał za nim ciężki zapach, widać obficie skropił się wodą kolońską.

– Jak sądzisz, Art, dlaczego to robię?

– Carmen, nie żartuj. Widziałem w ich profilach masę bzdur. Mylili się straszliwie. Nie opisywali ludzi nawet w zarysach trafnie. Może się wręcz zdarzyć, że wbiją ci do głowy coś, czego w ogóle nie będzie można użyć do prowadzenia sprawy. Nie przywiązywałbym do ich opinii zbyt wielkiej wagi.

Niby obojętnie odstawił kubek na biurko i udał, że musi zapiąć ciasniej pasek spodni.

– Spieprzyli ci jakąś sprawę? – spytała.

– Mnie osobiście nie, ale znam chłopaków, którym to zrobili. – Wziął kubek do ręki i siorbiąc, łyknął kawy. Ssał przy tym umieszczoną przy samym brzegu różową pierś. – Selwin. Spytaj Weedy’ego Selwina. Miał z nimi do czynienia. Pewnego razu powiedzieli mu, że facet powinien być Szwedem, kawalerem około czterdziestki z manią prześladowczą i wąsami, a okazało się, że to Meksykanin, który wyglądał jak Al Pacino i miał czwórkę dzieci.

– Może powinnam powiedzieć Frischowi, że postanowiłeś dać sobie spokój z FBI i skierować do sprawy Weedy’ego?

Cushing wzruszył ramionami.

– Bez jaj...

– Zgadzam się, bez jaj. – Palma skinęła głową.

Technika FBI była raz wychwalana pod niebiosa, raz potępiana w czambuł, co zależało od indywidualnych doświadczeń i plotek. Nie była szeroko stosowana, ponieważ typ spraw, przy którym z niej korzystano, stanowił niewielki odsetek ogółu spraw o morderstwo, zresztą nawet sami analitycy podkreślali, że wcale nie ma zastąpić rzetelnej, solidnej pracy śledczej. Powinno się ją stosować jedynie jako instrument dodatkowy, wspierający inne działania detektywa. Trzeba było jednak przyznać, że sprawy, w których korzystano z tej metody, były sensacyjne, stąd opinie na jej temat – zarówno pozytywne, jak i negatywne – były przesadzone.

Cushing siorbnął z kubka kolejny łyk kawy, tym razem znacznie głośniej. Popatrzyli na siebie przez chwilę, Cushing spokojnie się odwrócił i wolnym, tanecznym krokiem wyszedł na zewnątrz. Patrzyła, jak podchodzi do dwóch innych detektywów, którzy obserwowali z zewnątrz ich rozmowę. Śmiali się, Cushing coś mówił, gestykulując w kierunku Palmy kubkiem.

Wszedł Birley.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział zdejmując marynarkę i zawiesił ją na drzwiach. – To długa historia... o psie, kanale, Sally i śmieciarzu, który okazał się podglądaczem. – Opadł na krzesło, westchnął głęboko i postawił na biurku plastikowy pojemnik, który przyniósł ze sobą. Popatrzył na Palmę i stuknął palcem w pojemnik. – Lasagne. Smakowało wspaniale wczoraj wieczór. Sally przysięgała, że da się znakomicie podgrzać w kuchence mikrofalowej. – Opuścił kąciki ust. – Nie dało się. – Popatrzył na biurko Palmy. – Papiery dla FBI?

Skinęła głową.

– Prawie skończyłam. Już dzwoniłam do Garretta z delegatury FBI i przekazałam, że podrzucę mu materiały do południa.

– Będzie kupa zabawy – stwierdził Birley z uśmiechem. – Chcesz mu się dobrać do dupy, prawda?

– Chcę. I to jak.

– Chcesz się na całego zaangażować w sprawę?

– Już to zrobiłam.

– Może chcesz przy okazji dokonać małej osobistej zemsty?

– Nie widzę na to lepszego sposobu. Birley parsknął i pokręcił głową.

– Cholera, ja też...

– Rozmawiałam wczoraj wieczór z Moserem. Birley uniósł rękę.

– Zaczekaj. Przyniosę sobie kawę.

Wziął kubek i wyszedł do ogólnej hali. Obchodząc boksy, doszedł prawie pod gabinet Frischa, gdzie na ścianie wisiały zlewomywak i automat do kawy. Palma patrzyła za nim. Zamachał do Frischa i kilku siedzących u niego sekretarek, zamienił kilka słów z kilkoma popijającymi kawę detektywami, trącił łokciem Wydena (najprawdopodobniej żartując z powodu jego zdjęcia w gazecie), szczytną Marleya w tworzącą mu się wokół pasa oponkę (najprawdopodobniej żartując z tego oczywistego faktu) – cały czas gadał, plół, wykorzystywał, jak się da, wyprawę do automatu.

Kiedy wrócił, od samych drzwi rzucił:

– No to gadaj.

Palma opowiedziała wszystko ze szczegółami.

– Biedaczysko – stwierdził Birley, kiedy skończyła. Napił się kawy i przez chwilę myślał. – To jak zły sen, z którego się nigdy nie obudzi. Wierzysz mi? Naprawdę sądzi, że te rzeczy nie były do sado-maso?

Palma uśmiechnęła się pod nosem. Birley był dobry.

– Taak, chodzi mi po głowie parę drobiazgów, których nie umiem poukładać. Niezależnie od tego co mówi, ciekawe na ile był

naprawdę wrażliwy na potrzeby seksualne żony. Jestem gotowa się założyć, że to, co znalazł, nie było przeznaczone jedynie do samospokajania się, ale nie jest w stanie dopuścić myśli, że mogła go zdradzać. W podobnej sytuacji wyobraźnia większości mężczyzn nasuwałaby im najdziwniejsze pomysły. Bez względu na to, co to było, fakt, iż robiła coś dziwnego, tak nie mieści mu się w głowie, że nie wie, co począc z dowodami. Ta historia bez najmniejszej wątpliwości go wykańcza, ale wiele szczegółów nie pasuje. Znalazł ukryte zabawki żony, dopiero kiedy kazaliśmy mu przeszukać jej rzeczy, i to dokładnie. Poprosiliśmy go, by zwracał szczególną uwagę na wszystko, co niecodzienne, a on wyrzucił pudełko. Nie wiem, co o tym sądzić.

– Masz rację.

– Co, wstydził się?

– Możliwe.

– Też tak pomyślałam, dlaczego więc nam powiedział? Sami nigdy byśmy na to nie wpadli.

Birley obrzucił Palmę charakterystycznym leniwym spojrzeniem, potem popatrzył na swoje biurko, wziął ołówek i zaczął się bawić zielonymi piórkami wbitej w tapetę sztucznej „muchy” na ryby.

– Wiesz, to różnica. Z jednej strony przyznał się, że znalazł zabawki, że istniały. Ujawnił uczciwie ich istnienie, ale nie oddał ich zgrai detektywów, facetów, którzy zaczęliby przeglądać, porównywać, żartować z rzeczy, z których w końcu jego żona... korzystała. –

Birley wzruszył ramionami nie patrząc na Palmę. – Cholera, nie mam mu tego za złe.

Palma przypomniła sobie niechęć Mosera do opisanie poszczególnych przedmiotów z czarnego pudełka i poczuła ukłucie zażenowania, że nie okazała się na tyle delikatna, by wyczuć różnicę, o której wspomniał Birley. Była przyzwyczajona, że starzy policjanci na ogół zachowują się bezwzględnie, więc czasami zaskakiwali ją nieoczekiwaną wrażliwością. W takich momentach docierało do niej, jak przerażająco skutecznie jej samej udaje się blokować emocje.

– W przypadku kogoś takiego jak on – dodał Birley – z pewnością istnieje coś, co przydałoby nam się w śledztwie, ale czego nam nie zdradzi. Z niektórych rzeczy trzeba po prostu zrezygnować.

– Na przykład gdyby wiedział, że jego żona miała romans?

– Może. Sądziś, że i w tym zakresie nie powiedział prawdy?

– Nie wiem. Być może był nie dość uważający, nie był wystarczająco wrażliwy na... coś.

– Może masz rację, ale uwierz mi, żadna z płci nie ma monopolu na oszustwo. Jeżeli chcesz kogoś zwieść, zwiedzisz i będzie ci się to długo udawało. Na pewno wielu rzeczy o niej nie wie, ale niekoniecznie dlatego, że jest nieczułym drętwiakiem. Podejrzewam, że Sandra Moser nie tylko była wzorową żoną i matką, jak opisują ją znajomi, ale też miała wiele tajemnic.

– A co powiesz na to, że znał Dorothy Samenov? Przynajmniej

zostali sobie przedstawieni.

Birley pokręcił głową.

– Może to być tak samo jeden z tych czystych przypadków, ni-
by oczywista „wskazówka”, która nieraz niepotrzebnie zmieniała
perspektywę całego śledztwa, jak również coś istotnego. Cholera, co
za przypadek! Niemal chce się uwierzyć, że ma znaczenie.

– Muszę porozmawiać z Cushingiem i Leelandem, zanim pójdą
do Computronu. Powinni o tym wiedzieć.

– Porozmawiaj. A ja powinienem pojechać do Olympii
i pogadać z sąsiadami, obejrzeć jeszcze raz dom i iść do pizzerii. Ale
będzie przedpołudnie...

Rozdział dwunasty

Palma porozmawiała z Cushingiem i Leelandem, zawiozła materiały do FBI, pojechała do Westheimer pod adres, który podała jej Vickie Kittrie. Dochodziła jedenasta. Kompleks mieszkalny, rozciągający się wzdłuż całej ślepej uliczki, wyglądał dość śródziemnomorsko. Dwukondygnacyjny ciąg zdawał się składać z ozdobionych białymi sztukateriami łuków i pokrytych terakotowymi płytkami dachów, był od frontu zasłonięty ścianą wysokich palm, przetykanych uroklinami i chroniony przed niepożądanymi gośćmi wysokim płotem z kutego żelaza, otwieranym jedynie kartą magnetyczną. Za palmami, przez przerwę w rosnącym zaraz za kratą żywopłocie, widać było basen, a za nim budynek administracji.

Po okazaniu odznaki i zapewnieniu kierowniczką, że Kittrie nie jest w żadnym stopniu „na bakier z prawem”, Palma dostała mapkę osiedla z zaznaczonym krzyżykiem miejscem, gdzie mieszkała Vickie. Idąc za wskazówkami kobiety z biura, Palma minęła szereg dziedzińców, przez które biegły chodniki z sekwojowego drewna, otoczone po obu stronach szpalerami palm i bananowców, błyszczących w niemal skraplającej się wilgoci. Minęła jeden z zaznaczonych na mapie basenów z gorącą wodą i w końcu znalazła się na podwórzu pełnym krzewów kwitnących we wszelkich odcieniach czerwieni i różu. Ułożoną z sekwojowych bali ścieżkę przecinała dróżka z ułożonych w jodełkę cegieł. Z prawej strony Palma miała żeliwny, opleciony różami płot i zaułek, którym wjeżdżało się do kompleksu,

z lewej drzwi do mieszkania Vickie Kittrie. Przed przyjazdem nie dzwoniła, by sprawdzić, czy jest w domu, ale telefonowała do niej do pracy, gdzie powiedziano jej, że Vickie dziś nie przyszła.

Kittrie otworzyła po trzech dzwonekch, co zaskoczyło Palmę, która oczekiwała trudności w uzyskaniu zgody na rozmowę. Stała w otwartych drzwiach w wykrochmalonej, białej perkalowej letniej sukience, mrużąc oczy przed jaskrawym blaskiem. Skręcone włosy zebrała w niewyszukany sposób na czubku głowy i spięła. Nie zrobiła jeszcze makijażu, więc nic nie ukrywało jasnej skóry i piegów na nosie. Widząc ją w takim stanie, nikt nie miałby wątpliwości, że jest Irlandką.

– Cześć! – rzuciła na powitanie. Stała schowana w połowie za drzwiami, oparta o krawędź. Jej postawa nie wyrażała ani radości, ani niezadowolenia z widoku gościa.

– Ma pani chwilę, by ze mną porozmawiać? – spytała Palma obserwując minę Kittrie. – Postaram się, by nie potrwało to dłużej niż konieczne.

– Prędzej czy później i tak mnie to nie ominie, prawda?

– Obawiam się, że ma pani rację.

– No to zapraszam. – Cofnęła się i Palma weszła do środka. Od wejścia dało się zauważyć, że luksus mieszkania ogranicza się do otoczenia. Wnętrze było tuzinkowe, nie różniło się od miliona podobnych apartamentów w mieście. Pierwszy pokój był nieduży. Znajdował się w nim sztuczny kominek, niezbyt wielkie okno wychodzące na podwórze, część salonowa była oddzielona od kuchni

barkiem, w bok odchodził korytarzyk, pewnie do sypialni. Kittrie zrobiła, co mogła, aby nadać zbudowanym z hiszpańska pokojom nieco atmosfery art deco, wyraźnie jednak nie dysponowała podobnym budżetem co Samenov. Palma dobrze jednak pamiętała, co Kittrie miała wczoraj na sobie. Najwyraźniej tak jak wiele młodych pracujących kobiet, lokowała sporą część zarobków w strojach. Dobry wygląd musiał znajdować się blisko szczytu listy jej priorytetów.

Palma usiadła w fotelu obok tanich, stojących naprzeciwko telewizora, pustych regałów. Po lewej miała wychodzące na podwórze okno, pod którym stała kanapa, gdzie usiadła Kittrie. Kawałek dalej leżała rzucona niedbale męska marynarka z surowego jedwabiu. Z prawej strony Palmy znajdował się kontuar do spożywania śniadań (dalej była kuchnia, obok tostera widziała odwróconą do góry dnem baseballową czapkę Houston Astros), przed sobą miała szklany stolik pełen ilustrowanych magazynów, obok których stała buteleczka lakieru do paznokci i popielniczka z opartą o nią paczką papierosów.

– Miłe mieszkanie – stwierdził Palma. – Mieszka tu pani sama? Kittrie kiwnęła głową i sięgnęła po papierosy.

Coś w jej zachowaniu spowodowało, że Palma postanowiła nie traktować jej jako „siostry”. Nie wyglądała na kobietę, która łatwo się zaprzyjaźnia – to podejście nie wydało jej się tu najlepsze. Postanowiła od razu przejść do rzeczy.

– Wczoraj, kiedy opowiadała mi pani o wyprawie na drinka do

Cristofa, wspomniała pani trzy nazwiska: Marge Simon, Nancy Segal i Linda Mancera. Czy one wszystkie pracowały z Dorothy?

Kittrie pokręciła głową i wydmuchała dym. Trzymała popielniczkę na kolanach, a przez rozcięcie w sukience widać było – niemal do połowy uda – długą, bladą nogę.

– Nie. Tylko Nancy pracuje w Computronie, w budynku Teneco. Marge i Linda pracują po drugiej stronie ulicy, w Allied Bank Plaza – w firmie Siskel and Weeks. To agencja reklamowa. Czasami spotykałyśmy się w tym samym barze na lunchu i w ten sposób się poznałyśmy. Wszystkie kończymy pracę o tej samej godzinie. Tak, tylko Nancy pracowała z Dorothy, ale w innym dziale.

– A pani?

– No, ja też.

– Czy widywała się pani z którąś z tych kobiet przy innych okazjach niż obiad albo drink po pracy?

– Właściwie to nie.

– Co to znaczy?

Kittrie obronnie zmarszczyła czoło.

– Słucham?

– Co oznacza „właściwie nie”? Widywała się pani z nimi czy nie?

– Czasami, z niektórymi, ale rzadko.

– W jakich okolicznościach? – Palma nie umiała ocenić, czy Kittrie jest tępa, czy świadomie się opiera.

– Czasami umawiałyśmy się na randki... z mężczyznami...

w klubie albo tym podobne, na kolację. Czasami szliśmy razem do kina. Rzadko.

– Ale z Samenov spotykała się pani częściej?

– Raczej tak. Pracowałyśmy w tym samym biurze, chodziłyśmy razem na gimnastykę, nie byłyśmy sobie obce. Bywały okresy... – Kittrie zaciągnęła się, ale nie był to odruch palacza, po prostu potrzebowała chwili, by zastanowić się nad swoimi emocjami. Palmę nieco to zaskoczyło, że emocje Kittrie są znacznie mniej ukryte, niż początkowo sądziła. – Bywały okresy, że wpadała do mnie rano i jechałyśmy razem do pracy. Mieszkam między jej domem a biurem. – Skinęła głową i spróbowała zapanować nad drżeniem ust. Papieros wisiał wysoko w powietrzu, łokieć oparła o bok.

– Powiedziała mi pani wczoraj, że rozwód Dorothy był burzliwy. Co pani o nim wie?

– Niewiele. Dorothy czasami o tym mówiła, raz spotkałam jej byłego męża. – Znow się zaciągnęła. – Po pierwsze, nie mogłam zrozumieć, dlaczego mogła wyjść za kogoś takiego. To łobuz. Bił ją, nie umiał utrzymać się w pracy. Przez jakiś czas był przedstawicielem handlowym firmy chemicznej. Takiej co produkuje środki czystości dla restauracji i hoteli. Przez jakiś czas był współnikiem w handlu oponami. Uważał, że była to najlepsza praca, jaką miał w życiu. – Znow się zaciągnęła. – „Zapiszmy oponą o asfalt”. Tak mówił, kiedy chciał się kochać. Uważał, że to wyjątkowo dowcipne. Dorothy starała się go naśladować. Była okropna. Jej były mąż to zwykły łobuz. Nawet nie jest przystojny. Wiem, to sprawa subiek-

tywnej opinii, ale gdyby zapytać o opinię więcej kobiet, też nie wypadłby dobrze. Nie lubiłam go. Dorothy twierdziła, że wyszła za niego zaraz po koledżu. Był bardzo *macho*. Dlatego się zdecydowała.

– Lubiła mężczyzn *macho*?

– Wtedy tak, przeszło jej jednak po sześciu latach z tym palantem. Kittrie zdusiła niedopałek w popielniczce, wzięła paczkę i zapaliła kolejnego papierosa. Nie spieszyła się, jej mina świadczyła o tym, że próbuje się skoncentrować. Palma przyjrzała się stolikowi przed sobą: leżały tam *TV Guide*, *Cosmopolitan*, *People* i dwa czasopisma odwrócone tylną stroną do góry – na jednym dostrzegła kawałek wielkiej, nagiej piersi o różowym sutku i przesłodzony uśmiech, na drugim tytuł znanego magazynu dla panów.

Ktoś musiał odkręcić kran, w głębi mieszkania zasyczała bowiem cicho rura. Brwi Kittrie drgnęły, nie odwracała jednak wzroku od Palmy, udawała, że nie dotarło do niej to, co obie wyraźnie słyszały.

– Kiedy rozmawialiśmy wczoraj, mówiła pani, że szukając Dorothy, w niedzielę, rozmawiała pani z policjantem, który przyjechał, ale nie chciał wejść do jej domu.

Kittrie kiwnęła głową.

– Zbył panią sugerując, że może Dorothy w ostatniej chwili zdecydowała się, nic nie mówiąc nikomu, wyjechać z kimś na weekend. Zgodziła się pani z nim, że to możliwe. Robiła już przedtem coś takiego?

– Robiła.

– Z kim?

– Nie wiem. Czasami po prostu znikwała, nie przychodziła w sobotę na gimnastykę i kiedy ją o to pytałam w poniedziałek, odpowiadała, że została zaproszona na weekend. Nie było w tym nic niezwykłego. – Ze złością zdusiła niedopałek w popielniczce. Nie wypaliła papierosa nawet do połowy.

Pięknie. To naprawdę do niczego nie prowadziło. Palma odniosła wrażenie, że Kittrie kręci. Mimo to jej wzburzenie śmiercią Samenov wyglądało na prawdziwe i wydawało się, że z trudnością trzyma nerwy na wodzy.

– Znaleźliśmy wśród rzeczy Dorothy kilka zdjęć – powiedziała Palma. Na te słowa Kittrie wbiła w nią wzrok. Jej twarz była nieruchoma, jak skamieniała. – Pornograficznych, z jej udziałem. Przywiązana do łóżka, sceneria jest jednoznacznie sado-masochistyczna. Jest na nich mężczyzna w skórzanym kapturze. Wiedziała pani, że w czymś takim uczestniczy?

Kittrie potrząsnęła sztywno głową. Trochę zbyt szybko.

– Wiedziała pani o zainteresowaniu Dorothy praktykami sado-masochistycznymi?

Kittrie ponownie pokręciła głową, ale w jej twarzy pojawiło się coś nowego. Jakby zniknął opór, chęć unikania odpowiedzi i mogące doprowadzić do szału niby-odpowiedzi, jej twarz osiągnęła bowiem stadium, kiedy mięśnie się usamodzielniają. Kittrie nie była w stanie ukryć strachu, tak samo jak nie byłaby w stanie unieść się

w powietrzu. Palma postanowiła to natychmiast wykorzystać.

– Znaleźliśmy też parę innych drobiazgów oraz zdjęcia różnych ludzi. Sądzę, że domyśla się pani, o czym mówię. Zachowywanie informacji dla siebie naprawdę niczemu nie służy. Vickie, to jest śledztwo w sprawie morderstwa i jeżeli wie pani o czymkolwiek, co mogłoby w nim pomóc, a ukrywa to, podlega pani pod odpowiednie paragrafy. Umiemy być dyskretni, utrzymywanie tajemnicy to dla nas chleb codzienny. To, co nam pani powie, nie zostanie ujawnione. Nie musi się pani martwić, że coś przecieknie na zewnątrz.

Z każdym słowem Palmy oczy Kittrie coraz bardziej się rozszerzały. Położyła dłonie płasko na kanapie obok siebie, jakby chciała się podeprzeć.

– O czym pani mówi... co chce pani... – wybełkotała w końcu. Zaciśnęła dłonie w pięści, zaczęła walić nimi w kanapę i rzucać na boki głową. Przez zaciśnięte zęby wykrzykiwała: – Co... co... co...

Vickie! – Głos mężczyzny, dobitny i zdecydowany, zaskoczył je obie. Odwróciły głowy w kierunku odchodzącego od kuchni korytarza i ujrzały stojącego tam Nathana Isenberga. Był boso, miał na sobie białe spodnie i wypuszczoną na wierzch różową koszulę w paski, z nie zapiętymi rękawami. Za jego plecami stała Helena.

Kittrie nagle wybuchnęła płaczem. Nie zakryła dłońmi twarzy, jedynie zaciskała mocno oczy, ale łzy i tak spływały strumieniem po białych policzkach.

– Zaprowadzę ją może do sypialni – powiedział Isenberg na pół pytającym, na pół oznajmującym tonem. Z wielką cierpliwością

i czułością pomógł pochlipującej dziewczynie wstać. Obejmując ją lewą ręką, zaczął uspokajająco do niej mówić tonem, jakim starsze panie rozmawiają ze swoimi rozpieszczonymi pudłami.

Palma patrzyła, jak wychodzą z pokoju, a kiedy zniknęli, popatrzyła na Helenę, która od wejścia się nie poruszyła. Pomarańczowy top, wetknięty w szorty koloru khaki, podkreślał jej szczupłą sylwetkę i opaleniznę. Jej dziewczęca figura i obcięte na pazia, przetykane siwizną włosy robiły wrażenie.

Zanim Palma do końca pojęła, co się stało, Helena zapytała:

– Przepraszam, że tak wpadliśmy, ale... hm... mogłybyśmy wyjść na zewnątrz?

Wyszły na dwór. Południowy upał bił z nieoczekiwaną siłą od ceglanej ścieżki.

– Może tam – stwierdziła Helena, wchodząc na sekwojową dróżkę, prowadzącą w głąb jednego z otoczonych szpalerem róż podwórczy. Był tam zacieniony zakątek, choć otaczające palmy i bananowce zatrzymywały w nim wilgotność. – Przepraszam. Może to nie mój interes, ale może trochę tak. Słyszałam waszą rozmowę. Trudno, nie mogłam się powstrzymać. Vickie nie dzwoniła wczoraj do żadnych przyjaciół. Mieszkam naprzeciwko domu Dorothy od kilku lat, ale nie znałyśmy się zbyt dobrze, czasem tylko sobie pomachałyśmy na dzień dobry albo zamieniłyśmy kilka słów. Widywałyśmy się przy basenie, ale nie zaznajomiłyśmy się bliżej. Ona miała swoich znajomych, ja mam swoich. Znam Vickie z widzenia, ponieważ często bywała u Dorothy, czasem nawet przychodziła z nią na

basen. Dlatego wczoraj, kiedy zobaczyłam policję, przyszłam pod jej dom. Nie chciała zostać u nas, przyjechałam więc z nią tutaj i spałam w drugiej sypialni. Miała ciężką noc.

– Nie ma przyjaciół? Helena wzruszyła ramionami.

– Wiem tylko, że do nikogo nie dzwoniła. Zapytałam ją, czy zamierza siedzieć sama, na co odpowiedziała, że tak, ale że jej to nie przeszkadza. Chciałam ją zatrzymać u siebie, ale nie chciała zostać tak blisko domu Dorothy. – Skrzyżowała ramiona i przeniosła ciężar na lewą nogę. – Nie wiem, co je łączyło, ale moim zdaniem Dorothy była dla niej kimś w rodzaju starszej siostry. Vickie nie była dla pani wielką pomocą – tak mi się przynajmniej wydaje – i pomyślałam sobie, że może nie chce słuchać o niektórych sprawach, o których jej pani opowiadała. Chyba nie bardzo umie sobie z tym poradzić.

– Z czym na przykład?

– Z tym, co mówiła pani o Dorothy. Przepraszam, ale takie mam wrażenie. Jestem z nią od wczoraj i odnoszę wrażenie, że nie jest taka samodzielna, na jaką wygląda. Może Dorothy trochę jej matkowała...

Palma obserwowała swoją rozmówczynię, świadomie nic nie mówiła, jedynie się jej przyglądała. Helena była znakomicie zbudowana i miała naturalny talent do noszenia minimalnej ilości ubrania. Głębokie wycięcia topu pod pachami każdego mężczyznę skłoniłyby do rozmyślań na temat tego, co jest dalej, i ewentualnego potwierdzenia swoich podejrzeń nieskromnym spojrzeniem, ona jednak nosiła swój skąpy strój jak sportsmenka. Pewne siebie zachowanie

przypominało Palmie dziewczęta z drużyny pływackiej, które miały świetny kontakt z własnym ciałem i których nie krępowała nagość.

– Pracuje pani zawodowo? – spytała Palma.

Helena wyglądała na zaskoczoną pytaniem, ale nie zbiło jej z tropu.

– Nie.

– Spędza pani czas głównie w domu?

– Tak. – Na jej twarzy pojawił się nagły wyraz zrozumienia. – O nie, Nathan nie jest moim mężem. Mam na nazwisko Saulnier. Przepraszam, nie wyjaśniliśmy tego sobie. Jestem rozwiedziona. – Uśmiechnęła się krzywo. – Dostałam połowę wszystkiego. Uważam, że wniosłam swoje do wspólnego majątku. Pracowałam dla niego dwadzieścia sześć lat na stojąco i na leżąco, znacznie więcej niż miałam ochotę. Rozwód był dla mnie tym, czym dla innych przyjęcie w dniu odejścia na emeryturę, uzyskana z podziału majątku część moją odprawą. Nie muszę pracować. – Powiedziała to niby obojętnie, ale Palma wyczuła w jej głosie rozgorczenie.

– A pan Isenberg?

– Nie mieszka ze mną. Nie na stałe.

– Na kanapie leżała męska marynarka. Należy do pana Isenberga?

– Nie.

– Wie pani do kogo?

– Nie. O ile jestem w stanie ocenić, Vickie nie ma nikogo na stałe. Ale... zawsze ktoś się przy niej kręci. Marynarka leżała na

kanapie, kiedy przyjechałyśmy, ale właściciel się nie pokazał.

– Czy była pani w domu w miniony czwartek wieczór?

– W czwartek wieczór? W czwartek wieczór... czwartek... byłam. Tak, byłam w domu. Wypożyczyłam kilka filmów.

– Uważamy, że to właśnie w czwartek zabito Dorothy. Możliwe, że około dziesiątej wieczór. Czy może zauważyła pani, że ktoś do niej wtedy przychodził albo od niej wychodził?

Saulnier chwilę się zastanawiała, wpatrywała w Palmę. Tuż poniżej płytkiego zagłębienia nad obojczykiem pojawił się wąski pasek wilgoci.

– Nie, niczego takiego nie widziałam. Przynajmniej sobie nie przypominam. – Zmarszczyła czoło. – Boże, w zeszły czwartek? Leżała tak długo? To okropne... Czy Vickie widziała... ją... w tym stanie?

– W jakim stanie?

– Po śmierci... tyle dni.

– Chyba tak.

– Jak zginęła?

– Została uduszona.

Saulnier przeciągnęła delikatnie palcem po górnej wardze, na którą wystąpiły kropelki potu. W pobliskiej mimozie rozległo się cykanie świerszcza, które zaraz jednak ucichło. Palma poczuła, że między jej piersiami występują na skórę krople potu.

– I co teraz będzie? – spytała Saulnier.

– Nie mamy zbyt wielu punktów zaczepienia.

– Rozumiem.

Palma sięgnęła do kieszeni i wyjęła wizytówkę. Z tyłu napisała na niej swój telefon domowy i podała ją Saulnier.

– Gdyby coś nowego się przydarzyło, proszę dzwonić o dowolnej porze dnia i nocy.

Saulnier wzięła wizytówkę i uśmiechnęła się. Dość dziwnie.

– Chcę koniecznie rozwikłać tę sprawę – stwierdziła Palma. – Gdyby mogła być pani pomocna, będę wdzięczna.

Przeszły do żelaznej bramy, Palma otworzyła ją sobie i wyszła na zewnątrz.

– Proszę nie traktować jej tak surowo – powiedziała na pożegnanie Saulnier przez sztaby. – Po jakimś czasie, kiedy dojdzie trochę do siebie, może o czymś sobie przypomni.

Wracając do samochodu, Palma czuła oblepiające jej ciało wilgotne powietrze. Stojąc, nie zauważała, jak jest parne. Otworzyła drzwi samochodu i poczekała chwilę, by wypłynęło z niego trochę ukropu. Zanim wsiadła, spojrziała ukradkiem za siebie. Saulnier stała tam, gdzie się rozstały, i obserwowała ją. Choć nie wiedziała dlaczego, Palma udała, że jej nie widzi.

Rozdział trzynasty

Palma minęła kilka przecznic i wjechała na parking restauracji Landry. Z budki przed budynkiem zadzwoniła do Birleya, który powinien być w mieszkaniu Samenov.

– Zaczęłam od pizzy – poinformował ją. – Pomysł Leelanda był znakomity. Zamówiła pizzę z oliwkami i peperoni z Ricco's Pizzeria zaraz za rogiem. Mają kopię faksu, przyszedł do nich o siódmej dwadzieścia osiem. Zadzwoniłem do Rutledge'a, on uważa, że coś takiego powinno przejść przez żołądek przez jakieś półtorej godziny, może dwie. Sekcja stwierdziła, że ostatnie kawałki pizzy właśnie dotarły do jelit, jest więc dość prawdopodobne, że zginęła około dziesiątej, w dniu kiedy Kittrie widziała ją ostatni raz.

– Jakiej wielkości była ta pizza?

– Mała.

– Chyba więc nie spodziewała się niczyjej wizyty. Przynajmniej nie na kolację.

– Chyba nie. Co z Vickie?

Palma w skrócie przedstawiła, co się wydarzyło.

– Cholera, wygląda na to, że ci sąsiedzi Dorothy są dość przygłupiaści. Mimo to powinniśmy ich sprawdzić.

Po rozmowie Palma szybko zjadła sałatkę z krabów, wypila szklankę mrożonej herbaty i pojechała na West Loop, stamtąd na Southwest Freeway. O tej porze asfalt zaczynał się gotować, a słońce rzucało miliony jaskrawych odbłasków, bijących od budynków,

samochodów, od chromu, szkła i polerowanej stali. Założyła okulary przeciwsłoneczne i wtopiła się w strumień samochodów.

Nie mogła przestać myśleć o Helenie Saulnier i Nathanie Isenbergu. Musiała przyznać, że ulżyło jej, kiedy się nieoczekiwanie zjawili i zaopiekowali roztrzęsioną Vickie. Nie miała zamiaru być pielęgniarką łatwo wpadającej w histerię dziewczyny. Poza tym Saulnier pomogła, przedstawiając w określonej perspektywie przyjaciół Kittrii i Samenov. Pomogła? Palma uznała wersję Saulnier, lecz nie wyrobiła sobie własnej. Nie była w stanie pozbyć się dziwnego wrażenia, że Saulnier miała ukryty interes w przedstawieniu sytuacji w specyficzny sposób.

Allied Bank Plaza to znajdujący się na zachodnim krańcu centrum wielopiętrowy monolit z błękitnego szkła. Jest zbudowany na planie trapezoidu o zaokrąglonych rogach, którego zachodnia fasada spogląda na zielone trawniki parku Sam Houston oraz wiadukty i estakady Gulf Freeway, gdzie muliste odnogi Buffalo Bayou skracają na wschód, by skierować się ku Kanałowi Houston. Na zachód od wieżowca ciągnie się po horyzont tworzona przez korony drzew zielona płaszczyzna, z której niczym samodzielne miasta wyrastają wieżowce Greenway Plaza oraz Post Oak. Patrząc na wschód, można zobaczyć pierwsze z leżących wzdłuż osiemdziesięciokilometrowego kanału przystanie portowe, rafinerie, fabryki chemiczne i stalownie. Zakładów tych jest tyle, że są w stanie – i nierzadko to robią – wypluć z siebie tyle zanieczyszczeń, by zaćmić słońce.

Siskel and Weeks znajdowało się na sześćdziesiątym szóstym

piętrze. Było to szpanerskie biuro ze ściankami działowymi ze szklanych kostek, biurkami z pleksiglasu, przezroczystymi plastikowymi parawanami w wyrazistych kolorach, pełne sekretarek z fryzurami jak z lat czterdziestych i pomalowanymi błyszczącą szminką ustami. Mężczyźni byli ubrani w szyte na miarę kamizelki, wyprasowane w kancik spodnie, a włosy mieli ostrzyżone krótko jak modele z *Gentleman s Quarterly*. Wszyscy byli młodzi, wypiełgnowani i zapracowani.

Wygnieciona bawełniana sukienka Palmy i jej stara torba z paskiem na ramię nie ściągnęły na siebie natychmiastowej uwagi spieszących wokół mężczyzn i kobiet o twarzach świeżych jak porannek, recepcjonistka zaś była tak krótkowzroczna, że niemal ślepa i Palma domyśliła się, że zatrudniono ją w ramach wymaganych limitów dotyczących mniejszości narodowościowych. Palma mogła poczekać, dała jednak dziewczynie tylko trzy minuty i podstawiła jej pod nos odznakę, przerywając rozmowę telefoniczną, która nie wydawała się mieć zasadniczej wagi dla poprawienia finansowej kondycji firmy.

Dziewczyna zamarła z otwartymi ustami i głupkowato przewracając oczami, popatrzyła na stojącą nad nią Palmę.

– Byłabym wdzięczna, gdyby pani uprzejmie kazała poczekać swojej rozmówczyni i zawiadomiła Lindę Mancera, że ma gościa.

– Kogo mam...

– Carmen Palma.

Recepcjonistka spiekła raka, ale zrobiła swoje sprawnie, ruty-

nowo. Palma podziękowała i podeszła do skórzanej kanapy, usiadła i wzięła czasopismo z owalnego, pomalowanego na lawendowy kolor stolika.

Linda Mancera zjawiała się w głębi korytarza o ścianach ze szklanych kostek, przechodzących od ciemnego granatu do jaskrawej bieli i ułożonych tak, że im bliżej recepcji, tym stawały się jaśniejsze. Dawało to taki efekt, jakby zbliżająca się do recepcji osoba wypływała z wnętrza olbrzymiej fali. Linda niewiele różniła się wyglądem od modelek z okładek *Cosmopolitan* i ubierała według zaleceń *Vogue*, Palma oceniała ją na dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć lat. Marszczyła z niepokojem czoło, długie czarne włosy swobodnie przerzuciła przez ramię; wyszła energicznie z korytarza i stanęła, jakby potrzebowała chwili na powrót do rzeczywistości. Rozejrzała się i zatrzymała wzrok na Palmie.

– Carmen Palma?

– Detektyw Carmen Palma.

– O Boże... – mruknęła unosząc do ust dłoń o pomalowanych soczystą czerwienią paznokciach. – Dorothy.

– Ma pani chwilę czasu? To długo nie zajmie.

– Właśnie się dowiedziałam, praktycznie w tej chwili. Zadzwoniła koleżanka... pracowała z Dorothy, zaraz przez ulicę. Nancy Segal... powiedziała, że właśnie była u niej policja... jakiś mężczyzna.

Palma pomyślała, że jeżeli dziewczyna, z którą rozmawiał Cushing, wyglądała nie gorzej od Lindy, na pewno nie żałował czasu.

– Czy mogłybyśmy porozmawiać gdzieś w spokoju?

– O, przepraszam. Ależ oczywiście. – Mancera odruchowo uniosła dłoń w przeproszającym geście. – Chodźmy do mojego gabinetu. – Palma poszła za nią oszklonym korytarzem. Jej obcasy stuknęły o szary marmur podłogi.

Gabinet Lindy Mancera znajdował się dość daleko za szklanym korytarzem i był jednym z bardzo cenionych „zewnątrznych” pomieszczeń z panoramicznym widokiem od podłogi do sufitu na południowy skraj Stanów Zjednoczonych. Biurko było zrobione z grubej szklanej płyty opartej na szklanych kostkach, stał za nim szeroki regał z wieloma szufladami i półkami w podobnym stylu. Zarówno regał, jak część biurka były zasłane szkicami i planszami. Siadając, Mancera odsunęła je na bok i wbiła wzrok w Palmę.

– No więc co się stało? – spytała bez ceregieli, opierając ręce na biurku i nachylając się do przodu.

Palma pokrótce przedstawiła wydarzenia, opisując wystarczająco, by zaspokoić jej ciekawość. Mancera słuchała z miną wyrażającą burzę uczuć, reagowała bardzo emocjonalnie na opis, najwyraźniej nie mogąc uwierzyć w całą historię.

– Boże drogi! – wyrzuciła z siebie, kiedy Palma skończyła. – Trudno to sobie wyobrazić!

– Jeżeli była przypadkową ofiarą, rozmowy z jej przyjaciółmi niewiele przyniosą – odparła Palma. – Jeżeli jednak знаła tego, kto ją zabił, mamy nadzieję, że jej znajomi będą mogli nam pomóc zidentyfikować sprawcę.

– Co? Chce pani powiedzieć, że mam się zastanawiać, kto to mógł zrobić? Boże drogi, nie jestem w stanie uwierzyć, że znałam kogoś, komu coś takiego się przydarzyło, tym mniej mogę uwierzyć, że znam sprawcę. – Mancera miała na sobie jedwabną bluzkę, spódnicę z wiskozy i zarzucony na to roboczy kitel. Odsunęła szerokie rękawy kitla. – Proszę pani, jeżeli rozmawiała już pani z przyjaciółkami Dorothy, na pewno zorientowała się już, jaka była nieobliczalna. Była ostrą dziewczuchą, bystrą, inteligentną, ale umiała być ekscentryczna. Była wolnym duchem, otwartym na różne... przygody. Kochałam ją na zabój... – Mancera zorientowała się, że wyrażenie nie jest zbyt szczęśliwe i zrobiła nieco zażenowaną minę. – Przepraszam... w każdym razie była nieobliczalna. Kierując się chwilowym kaprysem, bez trudu mogła poderwać kogoś całkiem obcego.

– Czy któraś z was robiła tak u Christofa?

– W zasadzie nie. Wie pani, czasy się zmieniają. Nie biegamy już po barach, aby kogoś poderwać. Chcę powiedzieć: my nie, choć sądzę, że inne kobiety nie przestały tego robić. – Popatrzyła na dłoń Palmy. – Nie jest pani mężatką?

– Jestem rozwiedziona.

– I jak pani sobie radzi w sprawach damsko-męskich?

Palma zignorowała nieoczekiwane pytanie, choć zostało podyktowane bardziej ciekawością niż bezczelnością.

– Zna pani byłego męża Dorothy?

Mancera skinęła głową i odruch obrzydzenia skrzywił jej

kształtne usta.

– Kiedyś go poznałam. Ten facet to kompletne dno. Żadna z nas nie była sobie w stanie wyobrazić ich jako parę. Jakby pochodził z innej ligi niż Dorothy. Ona była... dziewczyną z klasą. Superdziewczyną. Tacy jak on nawet nie zbliżają się do takich jak ona. Z tym że ich związek zaczął się dawno temu, zanim Dorothy dowiedziała się o pewnych sprawach.

– Jak się rozumieli?

– Wcale.

– W jakich okolicznościach go pani poznała? Mancera na wspomnienie tego przewróciła oczami.

– To było bardzo dziwne – powiedziała, równocześnie się śmiejąc i marszcząc czoło. – Kilka z nas było wieczorem u Dorothy, mniej więcej rok temu i po prostu się zjawił przed drzwiami, nie zapowiedziany. Była zaskoczona jego widokiem – potem powiedziała nam, że nie widziała go od roku – a on niewiele pytając, wpakował się do środka. Nie była w stanie go powstrzymać. Nie wiedziałam kto to, więc nie rozumiałam też, co się dzieje. Byłam dość mocno przerażona. Wpadł do salonu, na co Dorothy podbiegła i jakoś udało jej się go wypchnąć na korytarz. Słyszeliśmy, jak się kłóć. Najdziwniejszy był sposób, w jaki się zachowywała. Zawsze była taka silna, w naszej grupie zazwyczaj nadawała tempo. Była jak ideał nowoczesnej kobiety, wtedy jednak pogruchiwała, próbowała go uspokoić, ułagodzić. Potem zamilkli... może zabrzmi to obleśnie, ale siedzieliśmy jak zamurowane i wsłuchiwałyśmy się, co będzie

dalej... zamilkli i po chwili dobiegły do nas takie intymne dźwięki. Całowali się, godzili. Pełne szaleństwo i nagle plask! Uderzył ją. Zabrzmiało to jak chłaśnięcie otwartą dłonią na odlew. Dwie z nas skoczyły na nogi, ale żadna nie poszła do nich. Po chwili trzasnęły drzwi i już go nie było. Dorothy pobiegła do łazienki, zanim ktokolwiek się zorientował.

Mancera przesunęła kilka papierów na biurku i znalazła paczkę papierosów. Zapaliła, odwróciła się do regału, wzięła ciężką kryształową popielnicę i postawiła ją przed sobą.

– To było niesamowite.

– Na tym się skończyło?

Cóż, próbowałyśmy się zachowywać jakby nigdy nic, poszłyśmy do kuchni, każda zrobiła sobie po drinku, zapaliła po papierosie i zaczęłyśmy otrząsać się z szoku. Kiedy Dorothy wróciła, przeprosiła. Kilka dziewcząt chciało z nią rozmawiać o tym, co się stało, ale powiedziała „nie”. Wieczór był zmarnowany. – Linda znów podciągnęła rękawy. – Byłam w stanie myśleć jedynie o odgłosach, jakie dobiegły z korytarza. Nie pasowały do wydarzeń. Jeśli człowiek staje się świadkiem czegoś tak do siebie nie pasującego, pozostaje to w pamięci.

Mancera była najwyraźniej ciągle pod wrażeniem wydarzeń tamtego wieczora. Nie wiedziała, co robić z oczami, odwróciła się więc i zaczęła wyglądać przez okno. Trzymającą papierosa dłoń opierała nadgarstkiem o szklany blat i uniosła palce. Papieros drżał.

– Zna pani jakichś mężczyzn, z którymi się spotykała? Mancera

pokręciła głową i odwróciła wzrok ku Palmie.

– Nie wiem, jak jest w przypadku pani i pani koleżanek, ale często chadzamy w kilka po pracy do Christofa na drinka. Mężczyźni są z tego wyłączeni. Przynajmniej fizycznie. Czasem rozmawiamy o nich, dzielimy się różnymi opowieściami, ale nie mamy ochoty włączać ich w nasze spotkania. To są czysto babskie pogaduchy. Rozumie pani: rozluźniamy się i jesteśmy na luzie, mówimy o tym, na co mamy ochotę, zapominamy o męsko-damskim menuecie. – Odłożyła do połowy wypalonego papierosa. – Odpowiedź na pani pytanie brzmi więc: nie. Poza tym godnym pożałowania epizodem u niej w mieszkaniu, nie wiem nic ani o jej mężczyznach, ani o układach z nimi. Mam nadzieję, że z innymi miała lepsze.

Mancera spodobała się Palmie. Nie robiła wrażenia, że cokolwiek ukrywa, w odróżnieniu od Saulnier i Kittrie nie zachowywała się tak, jakby chodziła po rozżarzonych węglach. Tyle tylko że nie była blisko zaprzyjaźniona z Samenov. Pomijając to, Linda Mancera wyglądała na bardziej prostolinijną i mającą więcej zaufania do siebie w roli kobiety.

– Czy mogłaby pani określić sposób, w jaki Dorothy mówiła z panią o mężczyznach? Powiedziała pani, że mówicie o wszystkim, na co macie ochotę.

– Czy ja wiem... Nie było w tym, co mówiła, niczego niezwykłego, poza tym że jej słowa sugerowały, iż jest nieco bardziej wyzwolona od nas. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się ironicznie. – Widzi pani, w tym właśnie problem. Dla mnie była symbolem

nowoczesnej kobiety – niezależnej, robiącej szybką karierę kobiety, która w odróżnieniu od wielu z nas nie wpadła w stare schematy poddawania się męskiej władzy. Aż nazbyt często widuje się kobiety, które po osiągnięciu znaczących sukcesów w „męskim świecie” przestają zachowywać się jak kobiety i zaczynają się zachowywać jak mężczyźni w sukienkach, chcą naśladować męskie schematy zachowania i udawać twardzieli. Z Dorothy było inaczej. Pozostała wierna sobie, nie przestała być delikatną istotą, wtedy jednak doszło do tego epizodu z byłym mężem, w czasie którego zachowała się jak słodka, cierpiąca, pobita żonka. Boże drogi... Chyba nawet wobec samej siebie nie przyznałam się, jak bardzo mnie to poruszyło. Sama chyba pani to zauważyła – nie mogę przestać o tym mówić. – Przerwała na chwilę i popatrzyła na Palmę. – Przepraszam, ale chyba nie odpowiedziałam na pytanie. Jak mówiła o mężczyznach? Prawdę mówiąc, nie pamiętam niczego, co miałoby szczególnie seksualny kontekst. Wydaje mi się, że miała dość podobne poglądy jak my wszystkie. Chyba wszystkie mamy mniejszą skłonność do tolerancji niż dawniej. Nie dajemy sobie tak jak dawniej dmuchać w kaszę, więcej żądamy od mężczyzn, nie idziemy tak szybko na kompromis.

– Czy umawiała się z wieloma mężczyznami?

– Zawsze odnosiłam wrażenie, że sporo bywa w różnych miejscach. Palma uważnie popatrzyła na Lindę i zapytała:

– Czy zdawała sobie pani sprawę, że lubi ostry seks?

– Ostry... seks?

– Znaleźliśmy w jej rzeczach pewnego typu zdjęcia i trochę ak-

cesoriów erotycznych. Była na kilku z tych zdjęć.

Mancera przełknęła ślinę.

– Boże... Nigdy nic na ten temat od niej nie słyszałam.

– Czy poza jej byłym mężem poznała pani któregoś z jej męż-
czyzn? Mancera pokręciła głową.

– Czy słyszała pani kiedyś nazwiska Wayne Canfield albo Gil
Reynolds?

– Nie. Nie macie żadnych konkretnych śladów, prawda? Ciągłe
szukacie punktu zaczepienia...

– Jak na razie nie mieliśmy zbyt wiele szczęścia.

– W jakich... właściwie okolicznościach... zginęła?

– Została uduszona.

– W domu?

– Tak.

– Włamano się?

– Nie wygląda na to. Możliwe, że знаła sprawcę.

– Boże drogi... Rozumiem. Przykro mi. Naprawdę chętnie bym
więcej pomogła. Biedna Dorothy. Człowiek po prostu nie jest
w stanie wyobrazić sobie czegoś takiego...

– W każdym razie dziękuję, że zechciała pani poświęcić mi
czas. – Palma wstała i położyła swoją wizytówkę na szklanym bla-
cie. – Mój numer domowy jest na odwrocie. Proszę dzwonić, gdyby
uznała pani, że ma coś, co mogłoby nam pomóc. O dowolnej porze.

Linda Mancera odprowadziła Palmę do recepcji, zapewniła, że
zrobi wszystko, aby pomóc, i jest do dyspozycji. Wyglądało na to, że

jest naprawdę wzburzona śmiercią Dorothy Samenov i chce pomóc policji. Było to w tym śledztwie pierwsze pozytywne zjawisko.

Rozdział czternasty

Mary Lowe spóźniła się dziesięć minut, ale kiedy weszła do gabinetu, nie powiedziała na ten temat ani słowa. Była dziś ostatnią pacjentką Broussarda. Wymienili kilka zdawkowych zdań, on przysunął fotel nieco bliżej kozetki niż zwykle, ona usiadła na jej skraj i zaczęła rozpinąć sandały. Dziś rozpuściła włosy i miała na sobie cienką letnią bawełnianą sukienkę z halką, tak jednak odsłaniającą ramiona i wydekoltowaną, że widział nasadę piersi. Kiedy wciągnęła nogi na kozetkę i położyła się, uważnie im się przyglądał.

– O czym chciałaby pani dziś porozmawiać? – spytał krzyżując nogi i układając ciało wygodnie w fotelu.

– O moim ojcu.

Broussard był zaskoczony. Wyglądało na to, że po tyłu tygodniach pustej gadaniny Mary nabrała ochoty na przejście do sedna swej psychologicznej genezy. Może poprzednia sesja rzeczywiście była przełomowa. Długo trwało, nim do tego doszło.

Pomysł, aby poddać się psychoterapii, nie wyszedł od Mary, lecz od jej męża i Broussard od początku zdawał sobie sprawę z tego, że będzie to dość skomplikowany proces. Paul i Mary Lowe byli od czterech lat szczęśliwym małżeństwem. Mieli dwoje dzieci, trzyletniego chłopca i półtoraroczną dziewczynkę. Paul zajmował kierownicze stanowisko w dobrze się rozwijającej firmie produkującej komputery, z pensją, która plasowała go w jednej z najwyższych grup dochodów. Mary miała do pomocy w domu i przy dzieciach

służącą i nie musiała się martwić o pieniądze. Była atrakcyjna, dobrze ubrana, wykształcona i udzielała się w jednej czy dwóch organizacjach obywatelskich odpowiedniej warstwy społecznej. Wszystko mogło sugerować, że nie brakuje jej w życiu niczego.

Było to normą w przypadku jego klientek. Pozornie żadna nie pasowała do gabinetu analityka.

Mniej więcej rok temu Mary zaczęła unikać seksu z mężem i częstotliwość ich kontaktów drastycznie spadła. Z początku Paul uważał, że jest to wynik nadmiaru obowiązków, jakie oboje mają, i należy po prostu kilka odrzucić i wykorzystać odzyskany czas na pielęgnację ich związku. Uznał, że nie spędzają ze sobą wystarczająco dużo „sensownie wykorzystywanego” czasu. (W czasie rozmowy z doktorem Broussardem stwierdził, że czytał o tym w jakimś czasopiśmie.) Cóż, Paul Lowe był dobrym mężem. Zaczął zwracać więcej uwagi na żonę, od czasu do czasu organizował wspólne weekendowe wyjazdy. Robił wszystko, co specjaliści z czasopism polecali, aby ożywić kulejące małżeństwo.

Nic to jednak nie dawało. Mary w dalszym ciągu szukała wymówek i jak mogła, unikała seksu. Kiedy postanowił porozmawiać wprost o jej braku zainteresowania seksem, wręcz o niechęci wobec niego, zaczęła – choć niezbyt ochoczo – godzić się na próby zbliżenia i robiła sporo, by rozwiać jego niepokój. W dalszym jednak ciągu nie okazywała wielkiego zainteresowania kontaktem fizycznym i pozostawała napięta. W końcu zrozumiał, że choć nie ma nic przeciwko temu, by leżeć z nim w łóżku i przytulać się do niego albo być

przez niego przytulaną, sam akt seksualny budzi w niej niechęć. Wspólne leżenie w łóżku zdawało się działać na nią uspokajająco, nawet dążyła do niego, ale wszystko, co wykraczało poza taki objaw uczucia, zdawało się napawać ją lękiem.

Paul Lowe nie mógł uwierzyć w koniec małżeńskiego seksu. Od czasu do czasu starał się doprowadzić do stosunku, uważając, że jeżeli podejdzie do żony wystarczająco delikatnie, z odpowiednią dozą miłości i zrozumienia, wtedy uda jej się poczuć bezpiecznie w sytuacji intymnej. Efekt był jednak taki, że u Mary pojawiły się najpierw funkcjonalne zaburzenia orgazmu, potem pochwica. Dostała w pochwie wysypki, której nie udawało się w żaden sposób usunąć. Zdaniem Mary, jej ginekolog był wielce zaskoczony występującymi zaburzeniami i wypróbował całą paletę leków, ale poprawa nie następowała.

W końcu stan małżeństwa i Mary jeszcze się pogorszył, więc Paul zadzwonił do jej lekarza i dowiedział się, że doktor już od kilku miesięcy mówi pacjentce o najprawdopodobniej psychogennej naturze zaburzeń i konieczności konsultacji z psychiatrą. Przekazał jej szereg nazwisk i adresów znanych mu specjalistów, ale nie posłuchała rady. Odkrycie tego faktu spowodowało, że Paul postawił żonie ultimatum: albo zgłosi się do specjalisty, albo będą musieli się rozwieść. Ponieważ kochała męża, groźba poważnie ją przeraziła, odmówiła jednak zgłoszenia się do któregośkolwiek z lekarzy polecanych przez ginekologa. Stwierdziła, że koleżanka dała jej nazwisko innego fachowca – niejakiego doktora Broussarda. Sytuacja nie była

najlepsza do rozpoczęcia psychoterapii, ale Mary nie miała innego wyjścia.

Doktor rozpoczął terapię polegającą na eliminacji lęku, on bowiem był przyczyną symptomów fizycznych. Nawet jednak tak cząstkowe działanie zajęło znacznie więcej czasu, niż można się było spodziewać, i choć lubił przebywać ze swoją pacjentką ze względu na jej nieprzeciętną urodę, był też bardzo niecierpliwym z powodu psychodynamiki jej zaburzeń. W jej słowach i zachowaniach nie było praktycznie niczego, z czym nie spotkał się już u innych cierpiących kobiet.

– W zasadzie to był przybrany ojciec – stwierdziła Mary Lowe. Jej sukienka była przewiązana paskiem z materiału, którego końce trzymała w dłoniach. – Był dyrektorem w Exxonie. Kiedy wreszcie skończyliśmy uciekać, wylądowałyśmy w Houston. Pamiętam, że przez pewien okres mieszkaliśmy w pensjonacie, a matka szukała pracy. Była wtedy bardzo piękną kobietą – do dziś jest piękna. Ma dopiero czterdzieści pięć lat. Jest osobą pełną sprzeczności. Choć jest naprawdę sprawna i lubi porządek, ma w sobie jakby ślepe plamki... względem ludzi. Sprawia wrażenie uległej, niewymagającej, ale to tylko fasada. Jeżeli przyjrzeć jej się z boku, bez trudu można zauważyć, że zawsze dostaje, czego chce. Umie niezwykle sprawnie manipulować i zawsze myśli głównie o własnej korzyści. W każdym razie dostała wtedy pracę w Exxonie jako sekretarka. Tam spotkała mojego ojczyma. Po krótkim czasie, może po roku, wzięli ślub i nasze życie gwałtownie się zmieniło. Przeprowadziły-

śmy się z pensjonatu w Brookhaven do olbrzymiego, porośniętego bluszczem domu w Sherwood tuż przy Memoriał Drive. Matka zrezygnowała z pracy, ja poszłam do prywatnej szkoły i nasze szafy wypełniły się ubraniami. Douglas, nazywał się Douglas Koen, niczego nam nie odmawiał. Był miły i musiało sprawiać mu wielką przyjemność, że może zapewnić nam nowe życie. Rozpieszczał nas i bardzo nam się to podobało. Uwielbiałyśmy go za to. Pierwszy rok w nowym domu był jak marzenie. Wszystko wyglądało zbyt pięknie, aby mogło być prawdziwe; czasami leżałam nocą w czystym łóżku, przypominałam sobie dwa lata spędzone w brudnych pokojach i marzyłam, by już nigdy tam nie wrócić. Pamiętałam oczywiście prawdziwego ojca i żałowałam, że nie może uczestniczyć w naszym szczęściu. Czułam się winna, że z każdym dniem odpływa dalej i dalej w niepamięć, i staje się przy szczęściu i komforcie, w którym żyję, coraz bleśszym cieniem.

Broussard popatrzył na nogi Mary Lowe. Skraj sukienki miała tuż pod kolanami i choć bez pończoch, nogi były tak gładkie i opalone jak u zawodowej modelki. Jej świat zdradzały jednak stopy, ujawniało go zwłaszcza kilka długich żył, biegnących od wewnętrznej kostki przez grzbiet stopy ku palcom. Nie były to napęczniałe żyły starej kobiety, lecz piękne, zdrowe żyły kogoś, kto ma czas wzmacniać je kilka godzin dziennie na korcie tenisowym. Jej skóra była na tyle delikatna, że Broussard wiedział, iż gdyby miał okazję popatrzeć na nagą Mary Lowe, bez trudu ujrzałby jedną lub dwie żyły – choć znacznie drobniejsze i bleśsze – w okolicy piersi.

– U boku tego przedwcześnie wyłysiałego, starszego od niej o osiem lat dyrektora, matka poznała bogactwo, z jakim jeszcze nigdy się nie spotkała i którego nie zamierzała stracić. Jednym z celów jej życia stało się uszczęśliwianie Douglasa i robiła wszystko, bym zrozumiała, jakie to ważne. Ciągle przez nią zmuszana, w ciągu pierwszego roku dziękowałam mu tak często, aż musiało to wyglądać śmiesznie. Oczywiście, byłam wdzięczna, ale matka kazała mi się przed nim po prostu płaszczyć. Pewnego dnia czekał na mnie pod szkołą. Wyszedł wcześniej z biura i zadzwonił do matki, że mnie odbierze. Potem się domyśliłam, że wszystko zaaranżował, by porozmawiać ze mną w cztery oczy. W trakcie jazdy do domu taktownie przekazał, że nie muszę za wszystko nieustannie dziękować. Stwierdził, że istnieją inne sposoby wyrażania wdzięczności oraz że wie, iż jestem mu wdzięczna, a to dla niego wystarczająca satysfakcja. Dodał jeszcze wiele innych miłych słów, jakby zdawał sobie sprawę, jak się czuję, i chciał, abym odzyskała swobodę. Rozmawiał ze mną jak z dorosłą osobą, godną jego uwagi. Jeszcze nigdy przedtem nikt tak ze mną nie rozmawiał. To popołudnie okazało się magiczne, zaczęłam się po nim bowiem czuć tak bezpiecznie jak nigdy w życiu. W trakcie krótkiej podróży ze szkoły do domu zdobył moją duszę i serce, i stałam się w jej trakcie inną osobą. Pokochałam go z całego serca. Miałam wtedy dziesięć lat.

Broussard zeszywniał. Nieoczekiwaną konsekwencją lat psychoanalitycznej praktyki była wyostrzona intuicja. Nie starał się jej w sobie wyzwalać ani rozwijać – pojawiła się u niego w efekcie

doskonalenia przez lata psychicznych predyspozycji. Dar ten był jednak powodem mieszanych uczuć – choć pozwalał lepiej rozumieć pacjentów i wyjaśniać im naturę ich problemów, czasem dręczył. Broussard niekiedy czuł się jak człowiek z magicznym workiem pełnym złotych monet, którego zawartość bez względu na to, ile wyda, regeneruje się, więc ciągle ugina się pod jego brzemieniem. Gdyby jednak zdjął go z pleców, zarówno złoto, jak i dobro, które mógł dzięki niemu czynić, zostałyby zaprzepaszczone. Możliwość czynienia dobra była równocześnie brzemieniem.

Intuicja a wiedza to dwie różne rzeczy, jeśli więc coś przeczuwał, było to obarczone niepokojem co do trafności, która znikła, kiedy wszystko odcyfrował, rozwikłał i wykorzystał do pomocy klientowi. Gdy słuchał Mary Lowe, rósł w nim niepokój i przekonanie, że dziś, jutro albo pojutrze jej opowieść stanie się bardzo, bardzo ponura.

– Te sny, których tak się bałam, o tym jak się rozpadam, zaczęły znikać i przez rok wszystko było w porządku – odezwała się znów Mary Lowe.

Broussard czekał. Popatrzył na zegarek. Umiała długo milczeć, ale dziś było inaczej.

- Ma pan coś do picia? – spytała odwracając ku niemu głowę.
- Mam – odparł, ale nie poruszył się.
- Czy mogłabym dostać kieliszek wódki?
- Może być stoliczna?
- Jak najbardziej.

Wstał, podszedł do barku i nalał im po kieliszku. Kiedy się odwrócił, Mary Lowe stała przy oknie i wyglądała na zewnątrz. Zebrała sukienkę w dłonie i podciągnęła ją, jakby zamierzała przejść przez rzekę.

– Stoliczna.

Puściła lewą ręką sukienkę i nie odwracając się, wyciągnęła ją do tyłu. Podał kieliszek, przystawiła go do ust i bez chwili wahania wypila łyk. Stał tak blisko, że czuł jej zapach. Obojętnie przesunęła się wzdłuż okna, aż znalazła się przy kozetce.

– Długo ma pan ten gabinet?

– Jakieś osiem lat.

– Tak długo? Musiał pan tu wysłuchać wielu opowieści, spędzić wiele popołudni wyglądając na zalew.

– Trochę.

– Lubi pan ich słuchać?

– Lubienie nie ma znaczenia. Staram się wykorzystać to, co słyszę, aby pomóc ludziom.

– Musi pan słyszeć wiele identycznych historii. Przynajmniej bardzo podobnych. Wiedział, że nie wolno na to odpowiedzieć. Każdy pacjent chce, aby jego historia była wyjątkowa. Dumając nad tym, przyglądał się jej opadającym na nagie ramiona włosom, dopiero po chwili dotarło do niego, że Mary Lowe bez przerwy podciąga prawą dłoń sukienkę, ukazując niemal całe udo. Widok był niezwykły.

– Jakie opowieści lubi pan najbardziej?

Milczał przez chwilę, w końcu jednak udało mu się powiedzieć:

– Nie mam żadnych preferencji.

– Każdy coś preferuje.

Nie odezwał się na to, nie mógł oderwać wzroku od jej długiego, opalonego uda. Jej nadgarstek drgnął i skraj sukienki nieco opadł, potem nieco go przekręciła i materiał obsunął się kolejny kawałek. Trzymała go teraz czubkami palców. Potem, bardzo powoli, zaczęła go zbierać i nagie udo zaczęło się wysuwać z fałdów materiału, co było znacznie bardziej podniecające, niż gdyby stała przed nim całkiem naga. Nie wiedział, dlaczego akurat w tym momencie podniósł wzrok, kiedy to jednak zrobił, z zaskoczeniem stwierdził, że Mary przygląda mu się w szybie. Nie uśmiechała się, w jej oczach nie było zamglonego wyrazu świadomej tego, co robi, uwodzicielki, ale obserwowała go. Nie miał pojęcia, jak zinterpretować jej minę, był jednak niemal pewien, że Mary zagłębiła się w fantazję ćwiczoną tak długo, aż stała się dla niej rzeczywistością. Bez względu na to, co się z nią działo, przeżywała chwilę nie mniej intensywnie od niego.

Rozdział piętnasty

Kiedy Palma wróciła do pracy, zastała wiadomość, by zadzwoniła do Claya Garretta. Związłe przekazał, że przefaksował jej wniosek do Quantico, rozmawiał już o sprawie z tamtejszymi ekspertami i zgłosi się do niej agent Sander Grant. Formularze VICAP zostaną wczytane do komputera w nocy i w ciągu najbliższych kilku dni powinna usłyszeć od kogoś z analityków, czy w bazie danych odnaleziono coś o podobnych przestępstwach.

Palma podziękowała, odłożyła słuchawkę i włączyła komputer. Zaczęła od Heleny Saulnier. Sprawdzenie prawa jazdy i dowodu osobistego nic nie wykazało. Nigdy nie zmieniała imienia ani nazwiska, nie były to pseudonimy. Według Narodowego Centrum Informacji Kryminalnych nie była poszukiwana w związku z jakimkolwiek przestępstwem, według Teksaskiego Centrum Informacji Kryminalnych nigdy nie przesłuchiowano jej w żadnej sprawie. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy niczego nie zastawiała, w ciągu ostatniego tygodnia nie sprzedawała niczego w lombardzie. Wedle raportów policyjnych nigdy nie wzywano pod jej adres w Olympii żadnego funkcjonariusza. Cóż, w końcu był to strzał w ciemno.

Palma w ten sam sposób sprawdziła Nathana Isenberga, Wayne'a Canfielda i Gila Reynoldsa. I w ich przypadku niczego nie znalazła, z wyjątkiem tego, że Reynolds w ciągu dziesięciu miesięcy w 1986 roku nabierał zbyt wiele mandatów za przekroczenie pręd-

kości. Groziło mu odebranie prawa jazdy, nagle jednak wykroczenia się skończyły i w ciągu kilku lat udało mu się zejść na znośny poziom składek ubezpieczeniowych.

Dennis Ackley stanowił zupełnie inny przypadek. Niemal każde źródło informacji zawierało jakieś dane o byłym mężu Dorothy Samenov. Od 1967 roku popełnił czternaście wykroczeń przeciwko ustawie meldunkowej, w tym trzy razy podczas zwolnień warunkowych. Ostatni raz przebywał w zakładzie w Huntsville. Były znane cztery jego pseudonimy, aresztowano go siedem razy, w tym trzykrotnie z powodu ciężkiego uszkodzenia ciała żony, Dorothy Ann Samenov. Za każdym razem odmawiała złożenia oficjalnej skargi, choć po ostatniej napaści napisała wniosek o zakaz zamieszkiwania przez niego ich wspólnego domu.

Został w sierpniu 1988 roku zwolniony warunkowo, w lutym 1989 roku wystawiono nakaz aresztowania za złamanie warunków zwolnienia. Był także poszukiwany przez policję Dallas w związku z ciężkim uszkodzeniem ciała pewnej kobiety w parku Highland, które miało miejsce cztery miesiące temu. Miesiąc przed tym incydentem zastawił w lombardzie lornetkę firmy Zeiss oraz samopowtarzalny pistolet firmy Smith-Wesson model 459, kaliber 9.

Palma wzięła ołówki i zrobiła sobie notatkę. Kiedy zaczęła śledztwo w sprawie Sandry Moser, sprawdziła w centralnym laboratorium kryminologicznym miasta Houston, czy w mieście nie miały miejsca przestępstwa o podobnych cechach. Okazało się, że nie, teraz jednak, dowiedziawszy się, że Ackley był poszukiwany za

napaść na kobietę w Dallas, postanowiła sprawdzić to samo w tamtejszym laboratorium. Poza tym należało porozumieć się z Wydziałem Bezpieczeństwa Publicznego w Austin, gdzie zbierano informacje o zasięgu ogólnostanowym.

Zadzwoił telefon i Palma podniosła słuchawkę. Dzwonił Birley, z domu Samenov.

– Zaraz będę tu kończył i zamykam kram – zaczął, a w jego głosie słychać było znużenie – ale nie wychodzę z pustymi rękami. Znalazłem różne dokumenty finansowe, wyciągi z kont, dowody zwrotów podatku dochodowego, osobistą korespondencję i zdjęcie Dennisa Ackleya. Wygląda naprawdę na obleśniaka. Dziewczyna musiała mieć szczególny gust. W każdym razie przejrzałem dokumenty bankowe i czek, i znalazłem coś dziwnego.

Palma słyszała szelest przewracanych kartek i wiedziała, że Birley przygląda im się przez tanie okulary, które kupił na wyprzedaży u Walgreena.

– Poczynając od zeszłego stycznia, zaczęła regularnie podejmować pieniądze z jednego z dwóch swoich kont w Bank of the Southwest. W zeszłym roku robiła to osiem razy, w tym dwa w styczniu i marcu. – Odczytał daty i Palma je zapisała. – Zadzwoiłem do banku, aby sprawdzić, czy dokonywała jakiejś wypłaty po ostatnim wyciągu, jaki znalazłem, i powiedziano mi, że w zeszłym tygodniu podjęła trzy tysiące dolarów. To było trzy dni przed śmiercią. Poprzednie wypłaty sięgały od pięciuset do trzech tysięcy. Nie dostrzegam żadnego schematu ani jeśli chodzi o terminy, ani o sumy.

– Brała gotówkę?

– Tak. Ciekawe, czy dawała pieniądze Ackleyowi.

– Nie byłabym zaskoczona – odparła Palma i streściła rozmowę z Lindą Mancera oraz dane dotyczące Ackleya.

– To by się zgadzało. Kto pozwala byłemu mężowi walić w siebie jak w bęben i nie wysuwa wobec niego oskarżeń, jest wystarczająco tępy, aby dawać mu forszę. Cholera, niektóre kobiety to lubią. – Birley nie rozumiał ani na jotę psychologii bitych kobiet.

Porozmawiali jeszcze przez kilka minut i w końcu Birley stwierdził, że to, co znalazł, bierze do domu, aby przejrzeć jeszcze raz wieczorem. Pojedzie od Samenov prosto do domu i zobaczą się w pracy dopiero jutro rano.

Palma oparła się na krzesło i zaczęła się przyglądać rozrzuconym na biurku notatkom. Zadzwoiła do Cushinga i Leelanda, którzy ciągle siedzieli w Computronie i mieli tam zostać do piątej, czyli do zamknięcia. Właśnie minęła czwarta i zaczęli się schodzić pracownicy popołudniowej zmiany. Zjawił się już nowy porucznik, kilkunastu nowych detektywów i nowe problemy.

Nagle Palma poczuła, że jest wycieńczona – brak snu zaczął się dawać we znaki. Musiała jednak jeszcze uzupełnić raporty, otworzyła więc odpowiednie pliki i zabrała się do pracy.

Skończyła grubo po piątej. Rozboliła ją głowa. Wydrukowała uzupełnienia w dwóch egzemplarzach – jeden dołączyła do akt, z drugim poszła na przeciwległy koniec sali i włożyła go do przegródki Frischa. Była kilka metrów przed swoim boksem, kiedy za-

dzwonił telefon. Wbiegła do środka i szybko chwyciła słuchawkę.

– Hej, myślałem, że już sobie poszłaś – odezwał się Cushing. –
Miałaś dziś szczęście?

Opowiedziała, jak przebiegł jej dzień, zaczynając od wczorajszego spotkania z Andrew Moserem. Przekazała, że pomysł Leelanda z pizzą okazał się trafny, potem streściła rozmowy z Kittrii i Lindą Mancera oraz przekazała, co znalazła w aktach Ackleya.

– Podobają mi się ten Ackley. Może nam przypasuje. Sprawdziłaś go w Dallas?

– Jeszcze nie zdążyłam. Co u ciebie?

– Szef Samenov mówił o niej w samych superlatywach. – Słychać było, że Cushing coś je. – Była odpowiedzialna, ambitna, rzetelna, pracowita i tak dalej. Nie wie nic o jej życiu osobistym poza tym, że była rozwiedziona. Rozmawialiśmy też z Canfieldem. – Cushing przerwał, aby przełknąć. Najprawdopodobniej jadł orzeszki. Nie powiedział, skąd dzwoni, Palma mogła się jednak założyć, że z baru. – Też jest rozwiedziony, ostatni raz spotkali się ponad rok temu. Opisał ją jako ładną, zgrabną, dowcipną, bystrą, choć nie zgodził się na układ damsko-męski. Twierdzi, że umówił się z nią dwa, może trzy razy.

Palma masowała wolną dłoń potylicę. Myślała o Canfieldzie. Uważał Samenov za kobietę atrakcyjną, zgrabną, interesującą i inteligentną, ale nie miała ochoty na seks. Po kilku randkach dał jej spokój. Boże, ten facet naprawdę wiedział, co cenić w kobiecie. Musi mieć klasę.

– Rozmawialiśmy też z Segal – ciągnął Cushing. – Jedyne potwierdziła to, co mówili inni, nie wniosła nic nowego. Uważa, że najlepszą przyjaciółką Samenov, taką co wie o niej najwięcej, jest Vickie Kittrie. Twierdzi, że Ackley od czasu do czasu napadał na Samenov. Jej gorącym życzeniem było, by wyprowadził się z miasta. Wie, że Samenov dawała mu nieraz pieniądze. Poza tym nikt z Computronu nie powiedział nic istotnego.

– To wszystko?

Prawie. Przypadkiem natknęliśmy się na coś ciekawego. Donny pogrzebał w aktach klientów Samenov. Dotyczące kontaktów z nimi zapiski są dość dokładne, zawierają wszystkie telefony, jakie handlowcy wykonali do klientów. W minionym roku Samenov dzwoniła do jednego z klientów znacznie częściej niż do innych. Do Maritime Guaranty Incorporated, międzynarodowej firmy ubezpieczeniowej, która zajmuje się wszystkim, co ma związek z wodą. Ich biura znajdują się kilka bloków stąd. Akta wykazują, że Samenov była tam w czwartek, kiedy widziano ją ostatni raz żywą. Okazało się jednak, że nie chadzała tam do osoby, z którą łączyły ją kontakty handlowe, czyli do gościa, który się nazywa Gowen. Co prawda przy każdej wizycie mu się na chwilę pokazywała, ale potem szła do księgowości do kobiety o nazwisku Ackley. Louisy Ackley.

– To żona Ackleya?

– Nie jest mężatką. Sądźmy, że to może siostra. Sprawdziliśmy w Maritime, ale nie było jej. Zadzwoniła w poniedziałek, że jest chora, dziś tak samo. Jej akta osobowe mówią, że pochodzi

z Charleston w Karolinie Południowej.

– Miasto rodzinne Ackleya.

– Zgadza się. Chcesz z nią rozmawiać?

– A wyście z nianie rozmawiali?

– Nie. Znaleźliśmy Walkera Bristola. Jest w dalszym ciągu szy-
chą w jednym z banków w centrum. Zadzwoniliśmy do niego
i zgodził się na rozmowę w „cichym kąciku” za pół godziny.

„Cichy kącik” było eufemizmem, jakiego Cushing używał na
określenie baru.

– Chcesz siostrę? Mieszka w Bellair.

– Jasne. – Palma zapisała adres Louise Ackley.

– Znaleźliśmy też Gila Reynoldsa. Jest kimś na kształt dyrekto-
ra w firmie zwanej Radcom. Robią w komunikacji radiowej. Mają
siedzibę przy Post Oak Lane, po drodze do Samenov. Chcesz go
wziąć?

– Jasne – powtórzyła Palma i zapisała adres. Wyglądało na to,
że Cushing stawia na Ackleya. Kiedy zobaczył dobrego konia, zaw-
sze wiedział, że warto na niego stawiać. – Macie dane, kiedy Same-
nov dzwoniła do Ackley w Maritime Guaranty?

– Jasne. Zrobiliśmy ksero. Sekundę.

Palma słyszała, jak Cushing kładzie na bok słuchawkę. Dolaty-
wała do niej niezbyt głośna muzyka, wyraźnie dało się rozróżnić
standardową barową rąbankę. Miała nadzieję, że Cushing okazał się
na tyle inteligentny i nie umówił z Bristolem w najobleśniejszym
akurat „cichym kąciku” w okolicy. Zaraz wrócił i zaczął dyktować

daty. Palma zanotowała je i odłożyła słuchawkę. Szybkie porównanie ich z datami podejmowania przez Samenov pieniędzy wykazało, że pasowały do siebie.

Popatrzyła na zegarek. Było już zbyt późno na wyprawę do biura Reynoldsa. Zadzwoni do niego rano przed wyjściem z domu.

Rozdział szesnasty

Louise Ackley mieszkała w Bellaire w budynku typowym dla klasy średniej. Przed domem stały topole z łuszczącą się korą. Spękany chodnik prowadził do betonowej werandy o żelaznych poręczach, obok której rosła rozłożysta kosmatka japońska. Z jednej gałęzi zwisał karmnik dla kolibrów, a pod stojącym w rogu werandy żelaznym krzesłem leżał zakurzony kot o spiczastych jak u żbika uszach. Obserwował obojętnie, jak Palma wysiada z samochodu. Kiedy weszła na werandę, kot postanowił udąć, że jej nie widzi, przewrócił się na grzbiet i zaczął się bawić falbanką, zwisającą z leżącej na krześle poduszki.

Frontowe drzwi były otwarte, podobnie jak wszystkie okna domu, które było widać z werandy. Przez drzwi z rozpiętą moskitierą Palma zajrzała do ciemnego salonu, choć trudno było rozpoznać cokolwiek w środku. Dolatywał stamtąd warkot wentylatora. Zapukała głośno we framugę, nie miała bowiem ochoty zaglądać ponownie. Czekala, ale z wnętrza domu nie dobiegł żaden odgłos. Przez moskitierę wydobywał się zastygły smród tytoniowego dymu. Palma ponownie zapukała i echo rozeszło się po pustym domu. W dalszym ciągu nie było żadnej reakcji. Wsunęła palec pod klameczkę i pchnęła – drzwi nie były zamknięte. Wetknęła do środka głowę.

– Pani Ackley?

– Powinam ci odstrzelić łeb – zasyczał ktoś z irytacją.

Palma wzdrygnęła się i popatrzyła w kierunku głosu, ale jej

wzrok zdążył się dopiero na tyle przyzwyczaić do ciemności, by dostrzec jedynie sylwetkę na kanapie.

– Pomyliła pani adres – stwierdziła kobieta. Było w jej głosie coś, co zdradziło Palmie, że wypła sporo alkoholu. Palma dostrzegła ruch ręki w kierunku ust i po chwili nad ciemną sylwetką uniósł się kłęb dymu. – Chcesz mnie obrabować? Do gwałtu nie masz chyba odpowiedniego sprzętu.

Palma już trzymała w ręku odznakę.

– Detektyw Carmen Palma. Policja Houston. Louise Ackley? – Kobieta siedziała na skraju kanapy, obok niskiego stolika. Na tle padającego z okna światła widać było butelkę piwa. Kobieta sięgnęła po nią i pociągnęła długi łyk. Kiedy ją odstawiała, butelka nieco się zachwiała i kobieta musiała przytrzymać ją dłonią. – Louise Ackley? – zapytała ponownie Palma.

– Oczywiście. Proszę wejść. Chce pani butelkę piwa? Meksykańskie, smakuje mi.

– Nie, dziękuję.

– Trudno. W takim razie proszę siadać. Miejmy to jak najszybciej za sobą.

Palma usiadła w fotelu obok drzwi, naprzeciwko Louse. Pracujący wentylator stał na podłodze między nimi, pomrukiwał i posyłał całe znajdujące się między nimi powietrze w kierunku Ackley, wydmuchując dym z jej papierosa przez okno za kanapą. Palma widziała teraz, że Ackley ma na sobie jedynie biały bawełniany podkoszulek, jedną nogę podłożyła pod siebie, stopę drugiej oparła płasko na

kanapie, a trzymająca papieros ręka opiera się na sterczącym kolanie. Nie miała majtek i wcale nie starała się ukryć widoku między swoimi nogami. Sądząc po stanie zmierzwionych czarnych włosów i podkoszulka, Louise Ackley piła już któryś dzień z rzędu.

– Czego pani chce?

– Chciałabym zadać kilka pytań o Dorothy Samenov. Na chwilę zapadła cisza.

– Chodzi o „zmarłą” Dorothy Samenov? – Głos Ackley był bardzo charakterystyczny, lekko basowy, choć nie po chłopsku toporny ani zachrypły.

– Tak. Skąd pani wie, że ona nie żyje?

– Wydaje mi się, że w dziale komunikatów policyjnych naszej gazety widziałam artykuł na cztery i pół linijki. Nie było szczegółów. W zasadzie prawie niczego tam nie było. Praktycznie niczego.

– Znała ją pani?

– Znałam.

– Jakiego typu był wasz związek?

– Cóż za słowo... związek. – Ackley sięgnęła po piwo. Wypiła butelkę do dna, sięgnęła za siebie i odstawiła ją na parapecie otwartego okna. Rozległ się cichy brzęk potrącanych butelek. – „Związek” to wyświechtane słowo, ludzie używali go tak długo, aż zdechło. – Zgasiała papierosa w głębokiej popielniczce. – Byłyśmy z Dorothy przyjaciółkami.

– Często się widywałyście?

– Nie widziałam jej od roku. Powiedziałam, że byłyśmy przyja-

ciólkami. Kiedyś.

– Robert Gowen, pani szef w Maritime Guaranty, twierdzi, że w ostatni czwartek, czyli w dniu, kiedy po raz ostatni widziano ją żywą, Dorothy Samenov spędziła z panią w pani gabinecie mniej więcej pół godziny. Powiedział, że przychodziła do pani regularnie.

– Ten głupi człowiek rzeczywiście tak powiedział? Cóż, w sumie go lubię i jest nie najgorszym szefem, więc chyba nie powinnam się z nim spierać. – Ackley w najmniejszym stopniu nie była zażenowana, że przyłapano ją na kłamstwie. – Jeżeli się zastanowię, to chyba ma rację... tak, rozmawiałam z Dorothy w miniony czwartek. Jeżeli się bardzo dobrze zastanowię, to chyba spotykałam się z nią regularnie.

Palma widziała teraz, że Louise Ackley ma delikatny wąski nos i zmysłowe usta, które trzyma lekko otwarte, a czubkiem języka raz za razem dotyka przednich zębów.

– Dlaczego przychodziła tak często do pani biura?

– Lubiała ze mną rozmawiać. – Odpowiedź miała zabrzmieć tak samo bezczelnie jak poprzednie, ale w połowie zdania Ackley załamał się głos i ostatnie sylaby niemal wyszeptano. Zaciśnięta usta i odwróciła głowę, jej twarz nagle posmutniała. Opierając łokieć o kolano, kilka razy przeczesała palcami włosy z przodu głowy, po chwili oparła czoło o dłoń. – Podobał jej się też... mój wygląd – powiedziała ledwie słyszalnie.

W pokoju obok, po prawej ręce Palmy, rozległ się nieoczekiwany tępy łoskot i na drewnianą podłogę poleciała butelka – intuicja

mówiła Palmie, że od piwa – za nią garść monet, które wirując i pobrzękując rozsypały się na ziemi. Zaraz potem z pokoju doleciało wyrzucone przez wściekłego mężczyznę hiszpańskie: *Chingale!* Palma poczuła przypływ adrenaliny do krwi. Natychmiast doszło kolejne hiszpańskie:

– A niech cię... kurwa... facet...

Meksykanin. Palmie załomotało serce, wsunęła dłoń do torebki i zacisnęła ją na służbowym SIG-Sauerze.

– Zamknij się, Lalo... – mruknęła Louise Ackley, jakby do siebie. Nawet nie poruszyła głową. Nie zachowywała się jak szantażystka, a łzy, które nagle pojawiły się w jej oczach, nie były łzami zimnokrwistego przestępcy. – Wielkie, nadęte zero – stwierdziła. W pokoju obok rozległ się ciężki łoskot, jakby ktoś padł na łóżko. Jęknęły sprężyny, potem zapadła cisza, w końcu rozległ się niemal zwierzęcy jęk zadowolenia. – Wielkie zero...

– Dlaczego przynosiła pani pieniądze? – Palma nieco się rozluźniła, uznała, że Lalo właśnie urwał się film. W jej pytaniu brzmiała ciekawość. – Sądziliśmy, że to szantaż.

Ackley kiwnęła głową.

– Tak też i było. – Złapała wolną dłońią skraj podkoszulka i wytarła nim sobie nos. – To był szantaż, prosty i nieskomplikowany.

– Szantażowała ją pani?

– Ależ skąd, nie ja... – odparła podnosząc głowę i patrząc na Palmę. Znow otarła koszulką nos, potem gestem zniecierpliwienia

puściła ją i z leżącego pod kanapą pudełka wyjęła garść papierowych chusteczek. – Cholera, nie wiedziałam, że jeszcze je mam.

Palma nie wiedziała, czy Ackley mówi o chusteczkach, czy łożach.

– Kto ją szantażował?

– Dennis – stwierdziła nerwowo. – Obie nas szantażował.

– Obie? Własny brat panią szantażował?

Ackley gwałtownie się wyprostowała, przedrzeźniając wyraz zaskoczenia Palmy, i uśmiechnęła się kwaśno.

– Tak, „własny brat”. Taak, krew nie woda, żal nie szmal, a on jest jedynie żalonym skurwielem. Trudno pani uwierzyć, że mógł mnie szantażować?

– Trudno.

– W takim razie właśnie się czegoś pani uczy.

– Chyba tak.

– Dorothy przynosiła mi pieniądze, ponieważ Dennis nie chciał jej widywać. Dodawałam swoje i zanosłam mu wszystko razem.

– Dlaczego nie chciał jej widywać?

– Nie wiem, czy potrafię na to odpowiedzieć.

– Czy to znaczy, że pani nie wie?

– Zgadza się.

– Jak długo panią szantażował?

– Jak na to odpowiedzieć... bo ja wiem... półtora roku.

– Skąd to wahanie?

– Półtora roku brał pieniądze. Przedtem katował nas psychicz-

nie. Kawał z niego łobuza. To, że aż tyle lat potrzebował, by wpaść na pomysł, że można nas szantażować za pieniądze, pokazuje, jaki jest głupi.

– To znaczy, że sprawa zaczęła się wcześniej?

– Trwa od lat.

– Od ilu?

– Od zbyt wielu.

Palma była niezadowolona. W co tu wierzyć? Przesłuchiwanie pijanego to jak łapanie kropli rtęci.

– Ile mu w sumie zapłaciłyście?

– Dwadzieścia osiem tysięcy sześćset – powiedziała bez wahania Ackley. – Po połowie od każdej z nas. Tyle tylko że nie zarabiałam tak dobrze jak Dorothy, więc... płaciła część mojej działki. Obiecał, że skończy przy trzydziestu tysiącach. Niewiele już brakuje.

– Czym panią szantażował? Louise Ackley prychnęła.

– Dobrze pytanie, skarbie. – Zmieniła pozycję i usiadła w pozycji lotosu.

– Zamierza mu pani płacić dalej? Ackley nie odpowiedziała.

– Nie musi pani tego robić. Ma pani dość dowodów, aby go zaskarżyć. Ackley popatrzyła na Palmę z wyrazem politowania. Najwyraźniej już nieraz zastanawiała się nad różnymi rozwiązaniami. Gdyby jej brat został aresztowany, to, co dotychczas ukrywał, wyszłoby na jaw. Wolą zachować tajemnicę, niż pozbyć się dręczyciela.

– Wie pani, gdzie on mieszka?

– Nie.

– Ale powiedziała pani, że...

– Spotykałam się z nim na mieście. Nie chciał, żeby Dorothy przekazywała mu pieniądze.

– Kiedy widziała go pani ostatni raz?

Dwudziestego drugiego marca, dostał wtedy ostatni raz pieniądze. Powiedział, że jedzie do Meksyku. Cieszyliśmy się. Miałam nadzieję, że złapie tam syfa i zdechnie. Jeżeli spotkam się z nim znów w dniu Sądu Ostatecznego, będzie to jeszcze ciągle zbyt wcześnie.

– Jest podejrzany o zamordowanie Dorothy.

– Od razu tak sobie pomyślałam. Wygląda pani na dobrze poinformowaną, więc ma na pewno powody, aby tak sądzić.

– Był trzy razy aresztowany za pobicie i za każdym razem ofiarą była Dorothy. Ackley kiwnęła głową i spojrzała w bok.

– Na czym polegał ich problem?

– Był od początku do końca godny pożałowania. Chory.

– Co ma pani na myśli?

– To, co powiedziałam. Czy nie uważa pani, że to chore, jeżeli dziewczyna mieszka z facetem, który regularnie ją leje? Robił to od samego początku, a tylko trzy razy wezwała gliny. Sama pani dobrze wie, że to świr. Cała ta historia...

– Sądzi pani, że to on ją zabił?

Ackley zaczęła kręcić głową. Powoli, z wyrazem znużenia na twarzy.

– Kiedy usłyszałam, że Dorothy nie żyje, natychmiast tak pomyślałam, ale tak naprawdę to nie wiem, co o tym sądzić. Ten wariat mógłby coś takiego zrobić, ale... nie wierzę, by to zrobił.

– „Usłyszałam”?

– Co?

– Powiedziała pani, że usłyszała o śmierci Dorothy. Przedtem powiedziała pani, że przeczytała o niej w gazecie.

Ackley była rozkojarzona.

– To tylko taki zwrot.

– Jak pani myśli, gdzie moglibyśmy go znaleźć?

– Mówił o Meksyku, ale nie uwierzyłam. Zbytńio by go to oddaliło od miododajnych cycków.

– Uważa pani, że jest ciągle w Houston?

Ackley wzruszyła ramionami. Wyglądało na to, że miejsce pobytu brata jest jej obojętne.

– Jak bardzo przyjaźniła się pani z Dorothy Samenov?

Ackley wbiła wzrok w Palmę i posmutniała. Odplynęła myślami. Poruszający się wentylator raz za razem rozwiewał włosy to na jej prawej, to na lewej skroni.

– Bardzo. Znałam ją, zanim zaczęła się spotykać w koledżu z Dennisem. Pierwsza ją poznałam. – Uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

– Może więc zna pani jakichś mężczyzn, z którymi spotykała się w ciągu minionego roku?

– Nie bardzo.

– Jak to?

– Nie byłam tym zainteresowana.

– Od kiedy zajmowała się sado-maso? Ackley zamarta.

– Nie wiedziałam, że się czymś takim zajmowała. – Nie wyglądała ani na zaskoczoną, ani na zciekawioną.

– Czy pani brat ma coś wspólnego z SM?

Ackley pokręciła głową i popatrzyła na Palmę, jakby nie była w stanie uwierzyć, że policjantka zadała podobne pytanie.

– Nie jestem w stanie nic pani na ten temat powiedzieć. SM i numer ubezpieczenia to dwie rzeczy, o jakich nigdy nie chciał ze mną rozmawiać.

– Jeżeli to nie pani brat zabił Dorothy, kto to mógł zrobić?

– Boże drogi! – Ackley odrzuciła do tyłu głowę i jej głos przeszedł w krzyk. – Co to za pytanie?! Sądzi pani, że przyjaźnię się z bandą morderców?! Co to ma być za pytanie?! Chce pani aresztować starego Lalo? Film mu się urwał, niech więc pani idzie i założy mu kajdanki! Jest przystojny, będzie więc dobrym mordercą... na użytek gazet. Może to on zabił, tak sędzę, że to chyba on. W takim razie... – Ackley sięgnęła po papierosy, ale paczka okazała się pusta, więc rzuciła ją za siebie.

– To było szczególnie brutalne morderstwo. – Palma nie puszcziała. Chciała podrażnić wrażliwe końcówki nerwów Ackley. – Została uduszona i okaleczona... w bardzo szczególny sposób. Nie mamy żadnych śladów mordercy. Każda pomoc, cokolwiek co mogłaby pani dla nas zrobić, byłaby mile widziana.

Ackley popatrzyła na Palmę, jej głowa drżała jak u staruszki.

– W jaki „szczególny” sposób?

– Nie mogę zdradzać szczegółów.

– Dlaczego? A gdyby coś wydało mi się znajome?

– Co na przykład?

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? – Zaczęła dyszeć, po chwili zapłakała. – Boże, Dorothy. Dorothy... – Zakryła twarz dłońmi, jej ramiona podskakiwały w rytm szlochu.

Palma pomyślała o Vickie Kittrie, jak bardzo płakała i jak bardzo ją też dotknęła śmierć Samenov.

– Zostawię pani wizytówkę – powiedziała kładąc ją na stoliku.

– Mój numer domowy jest z tyłu. Będę wdzięczna za każdą pomoc. Jeżeli brat się z panią skontaktuje, proszę mnie zawiadomić. – Wstała, zbliżyła się do drzwi i wyszła na werandę.

– Niech pani zaczeka... – Ackley po chwili wynurzyła się po drugiej stronie moskitiery. Włosy miała rozczochrane, oczy zapuchnięte. – A co z... jej... pogrzebem? Co w tym zakresie zrobiono?

– Wydaje mi się, że po ciału przyjedzie rodzina z Karoliny Południowej.

– O! Naprawdę? To dobrze. – Jej zaskoczenie szybko przeszło w zadowolenie. Położyła dłoń na moskitierze. – Naprawdę nie wiem, co byłoby lepsze. Gdybym znała szczegóły, zastanawiałabym się nad nimi, śniłyby mi się, wpadałyby do głowy w najmniej oczekiwanych momentach. Ponieważ ich jednak nie znam, może będę głupiec, starając się je sobie wyobrazić. Zastanawiać się, przez co przeszła.

Co to było? Obawiam się, że coś takiego może przewrócić człowiekowi w żołądku. Nie wiem, jak pani sobie z takimi sprawami radzi, ale dla mnie są piekielne. Ciągle mi chodzi po głowie, jak skończyła. To nie powinno się było wydarzyć, takie rzeczy... nie powinny się... nigdy przydarzać.

Rozdział siedemnasty

Broussard stał w graniczącej z jego gabinetem, wyłożonej brązowym marmurem łazience i przyglądał się sobie w lustrze. Trzymając w obu dłoniach szczotki, delikatnie czesał siwiejące skronie, potem przysunął się do lustra i przyjrzał się skórze wokół oczu. Czyżby coś widział, jeszcze niewidoczne dla niewprawnego oka zgrubienie podskórnej tkanki, zapowiedź wiotczenia mięśnia? Nie, chyba nie. Jeszcze nie. Sprawdził wystającą z białego kołnierzyka szyję. Śniadą cerę miał po pochodzącej z Libii matce, ale było to niemal wszystko, za co był jej wdzięczny. Była kłótliwą, pojękującą, upartą babą i przez nią ojciec (też lekarz) chadzał do innych kobiet – nie dla seksu, ale w poszukiwaniu pociechy, owego zwodniczego spokoju, który daje leżenie między kobiecymi nogami. Do tego pił. A na koniec popełnił samobójstwo.

Otwarły się drzwi gabinetu. Bernadine Mello nigdy nie pukała. Puścił zimną wodę, umył ręce i wytarł je. Zgasił światło i wyszedł z łazienki.

Siedziała na skraju kozetki – ubrana w jedwabną sukienkę w impresjonistyczne wzory, z dopasowanym do ciała pełnym zakładem gorsem. Kiedy nie myślał o jej zagmatwanej depresyjnej osobowości, lecz o niej całej jako o chłodnym i kolorowym, dojrzałym owocu, najbardziej nasuwało mu się określenie „soczysta”.

– Jaki przystojniaczek... – odezwała się na jego widok leniwym, uwodzicielskim kontraltem. – Co widzisz, kiedy patrzysz w lustro,

Dom?

– Co masz na myśli? – Udawał obojętność, ale jej wyraźne zadowolenie z siebie intrygowało go.

– Widzisz młodzieńca, którym kiedyś byłeś, czy starca, którym się staniiesz? – spytała zrzucając pantofle.

Broussard postanowił nie wkładać wiszącej po wewnętrznej stronie drzwi szafy sportowej marynarki. Pozostanie w samej koszuli. Bernadine była dziś jego ostatnią pacjentką. Popatrzył na nią uważnie. Tak, „soczysta” było najlepszym określeniem.

– Czyżbyś już przestał słyszeć, co mówię? – W dalszym ciągu się uśmiechała. – Jeszcze się przecież nawet nie położyłam.

– Nie, nie przestałem cię słyszeć. – W jej bladoszarych oczach załśnił błękitny refleks sukienki. Przez otwarte oczy był w stanie wejrzeć niemal do wnętrza jej głowy, a zawsze miała je otwarte. Nigdy ich nie zamykała – nawet kiedy się kochali, obserwowała to, co się dzieje, ze spokojną otwartością matki, patrzącej jak jej dziecko ssie pierś. Przy Bernadine rzeczywiście czuł się czasami jak dzieciak i choć nigdy nie zamienili na ten temat słowa, uważał, że ona to wyczuwa i czerpie z tego przyjemność. Gdyby kiedykolwiek zapytała, czy tak jest, zaprzeczyłby.

– Widzę się takim, jakim jestem – odparł dla udowodnienia, że dobrze słyszał każde jej słowo. Podszedł do swojego fotela i usiadł. – Czasami widzę się takim, jakim będę. Chyba nigdy nie widziałem się takim, jakim byłem. Nigdy nie używam lustra, by spoglądać w przeszłość.

– Ach, cóż za równowaga.

– To nic nie daje – odparł patrząc na jej łydki. – W przeszłości nie ma zbawienia.

– Zbawienia?

– Chcę powiedzieć, że ona nic nie daje.

– A kiedy ja patrzę w lustro, za każdym razem widzę co innego. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek widziałam naprawdę to, czym jestem.

Tak, nietrudno było w to uwierzyć. Jej psychika była tak nie-spójna, tak pokawałkowana i pomieszana, że możliwe, iż nigdy nie dostrzeże siebie. Te blade oczy bez dna najprawdopodobniej nigdy nie dostrzegą sedna.

– Uważasz, Dom, że stary pies nie może się nauczyć nowych sztuczek, prawda? – Uśmiech nie zniknął z jej ust, jakby wiedziała o nim coś zabawnego i chciała się z nim podroczyć. – Uważasz, że znaleźliśmy się w impasie, prawda? Wiem, psychoterapia może być długotrwałym procesem, nieraz to mówiłeś. Uzyskanie „wglądu” wymaga czasu, czasami bardzo wiele czasu.

– To prawda – odparł, czując się tak, jakby rozmawiał z dzieckiem. – Poza tym trzeba chcieć. Aby uzyskać wgląd, trzeba chcieć, trzeba się zaangażować.

Wychwycił we własnym głosie ton uczciwości, jakiej już od dawna tam nie było, i to go zaskoczyło. Bernadine była pierwszą klientką w jego karierze, wobec której czuł bezradność. Nie znaczy to, że wszystkim pozostałym umiał pomóc – w ciągu lat praktyki

leczył wiele osób, którym nie był w stanie pomóc, ale Bernadine okazała się pierwszą, której chciał pomóc tak bardzo, że zaryzykował utratę własnej równowagi psychicznej. Praca z nią była czymś beznadziejnym i dlatego Bernadine tyle dla niego znaczyła.

– A więc co sądzisz o moich postępkach?

– Od kiedy?

– W ogóle.

– Zrobiłaś spore postępy – skłamał. Mimowolnie – czyżby? – jej leżące na udach dłonie zaczęły podciągać sukienkę i po chwili pojawiły się kolana – niczym para stworów chroniących wejścia do świątyni.

– Tak uważasz? – spytała. Zadawało mu się, że usłyszał w jej głosie akcent ironii.

Popatrzył na jej twarz – w dalszym ciągu się uśmiechała. To samozadowolenie było u Bernadine czymś nowym. Wyglądała przy tym, jakby zjadła owoc z drzewa wiadomości złego i dobrego.

– Gdybym dostała whisky, opowiedziałabym ci coś ciekawego.

– Obawiam się, że już coś piłaś przed przyjściem.

– Dominisiu... – powiedziała karcąco, jakby był dzieckiem.

– Boże... – Ciężko wstał z głębokiego fotela i podszedł do baru. Dlaczego pozwalał, aby tak igrała na jego uczuciach? Kiedy nalewając alkohol, odwrócił się do niej tyłem, czuł na plecach jej wzrok. Sobie też zrobił drinka – złośliwie do obu szklanek nalał wódki. Wydało mu się, że czuje na karku jej oddech, i spodziewał się w każdej chwili wilgotnego języka w uchu. Nic takiego jednak

nie nastąpiło. W końcu odwrócił się i podał Bernadine szklankę. – Proszę.

Wzięła zimne szkło, stwierdziła, że zawiera wódkę, i wbiła wzrok w Broussarda. Uśmiech zniknął z jej ust, chwyciła jego dłoń i położyła ją sobie po wewnętrznej stronie uda. Pociągnęła dłoń Broussarda w górę, pod miękki materiał sukienki. Kiedy niemal dotarł do krocza, położyła dłoń na jego przedramieniu, objęła je mocno i zatrzymała ruch. Wywinęła mu się, wygładziła sukienkę, ale tak by jej skraj nie opadł poniżej kolan. Skinęła głową w kierunku fotela Broussarda.

– Udajmy, że spotkaliśmy się na sesję terapeutyczną.

Była to zjadliwa uwaga i poczuł, jak na twarz wypływa mu rumieniec, wiedział jednak, że mówiąc to, nie miała na myśli nic szczególnego. Przynajmniej nic takiego, co powinno go zranić. Mimo to poczuł się urażony. Wypił łyżeczek zimnej stolicznej. W odróżnieniu od Bernadine, był to jego pierwszy tego dnia alkohol. Wrócił na fotel, usiadł i oparł stopy na podnóżku.

Bernadine popijała alkohol i przyglądała mu się w charakterystyczny sposób – znad brzegu szklanki. Zdawał sobie sprawę, że nie robi tego świadomie, ale uwodziła. Nie dało się inaczej określić wyrazu bladoszarych paciorków jej oczu. Bernadine była uwodzicielska tak samo naturalnie jak lis jest chytry. Nie musiała robić tego świadomie – taką miała naturę. Z tego też powodu – znów podobnie jak lis – poruszała się zawsze na granicy jakiegoś bliżej nie określonego niebezpieczeństwa.

– Dlaczego nigdy się nie ożeniłeś? – spytała nieoczekiwanie.

Broussard ogarnęła fala złości i choć natychmiast nad sobą zapanował, wiedział, że zdradził go wyraz twarzy. Bernadine już nie raz robiła mu podobny numer. Żadna kobieta nie próbowała tyle razy grzebać w jego przeszłości, a tego nie cierpiał. Czasami Bernadine posuwała się za daleko i właśnie to kilka lat temu niemal zniszczyło ich związek.

– Dom, dlaczego nigdy się nie ożeniłeś?

– A dlaczego ty nie przestałaś wychodzić za mąż?

O nie... ciągle o tym mówimy. Od pięciu i pół roku. – Postawiła kieliszek na kolanach i objęła go obydwoma rękami. – Chcę wiedzieć, jak to było z tobą. Jeżeli mam służyć twoich rad w tym zakresie, powinieneś chyba udowodnić swoje kompetencje, wykazać się czymś, co świadczyłoby o autorytecie. Weźmy księży. Cóż to za głupota, dawać żyjącym w celibacie ludziom prawo do doradzania w sprawach seksualnych i małżeńskich. Bez dwóch zdań jesteś bardziej kompetentny od księdza w sprawach seksualnych, ale co z małżeńskimi?

Roześmiała się, zadowolona ze sposobu, w jaki przedstawiła swoje argumenty. Broussard popatrzył na nią, zdziwiony, co to ma znaczyć. Może do czegoś tego potrzebowała. Z tego, co mówiła w trakcie poprzedniej sesji na temat męża, było jasne, że stoi na krawędzi kolejnego rozwodu. Jeżeli Broussard nie nadawał się do niczego innego, to przynajmniej przeprowadził ją przez dwa małżeństwa – pierwsze zawarła, zanim się poznali. Bez względu na to, jaki

był powód jej kapryśnego nastroju, wiedział, że emocjonalne obciążenie związane ze zbliżającym się kolejnym rozwodem wkrótce zdominuje wszystko inne. Bernadine zacznie żądać częstszych spotkań – jej rozwody były zarówno dla niej, jak i dla niego finansowym dobrodziejstwem – a także stanie się nienasycona seksualnie. Kiedy był po raz pierwszy świadkiem jej rozwodu, seksualny aspekt tego aktu zaszokował go. Zaszokował, ale nie uchronił przed pofolgowaniem sobie. Kiedy pomagał jej przechodzić przez drugi rozwód, zachowywał się niegodziwie, jak satyr i kiedy było po wszystkim, musiał spojrzeć w twarz faktowi, że zdarł z siebie kolejną maskę, niestety nie mającą nic wspólnego z rozwojem osobowości. Dzięki Bernadine poznał siebie lepiej niż w trakcie dziesięcioletniej psychoanalizy szkoleniowej.

– Dom...

– Sądzę, że ta instytucja ma w sobie niewiele zalet – wyrzucił z siebie niecierpliwie.

– Małżeństwo?

– Tak. Tak, Bernadine. Małżeństwo. Chyba rozmawiamy o małżeństwie?

– O! Czyli nie ożeniłeś się, ponieważ ciągle widzisz takie jak ja, stale oglądasz złe małżeństwa...

– Na pewno daje mi to sporo do myślenia.

– A co z resztą ludzi?

– Co ma z nimi być? – Nareszcie udało mu się zapanować nad złością.

- Ci, którzy do ciebie przychodzą... Nie jesteśmy tacy jak inni.
- A jacy są twoim zdaniem ci „inni” ludzie? – zapytał posępnie.

Nie był w stanie przybrać innego tonu.

Bernadine zamilkła. Popijała stoliczną.

- Nigdy nie byłeś żonaty?
- Nigdy.

Znów zamilkła. Zaczęła machać zwisającymi z kozetki nogami, po chwili podciągnęła jedną do góry. Kiedy to robiła, mignęły mu błękitne majtki. Wypiła do dna i odstawiła szklankę na stolik. Położyła się.

- Czy odpowiesz mi szczerze na jedno pytanie na swój temat?
- Oczywiście – skłamał.
- Czy miałeś kiedyś jakieś homoseksualne doświadczenie?
- Nie.
- A chciałeś mieć?
- Nie.
- Pamiętasz historię o ciotce, którą ci opowiadałam?
- Pamiętam.
- To, co mówiłam, nie było do końca prawdą.

Broussard czekał. Bernadine była misterium bez wtajemniczonych. Wiedziała o tym, że ją to przerażało, a także doprowadzało do rozpacz.

- Mówiłaś, że to prawda.
- To jest prawda, tyle że nie do końca.
- Rozumiem.

– Prawda jest taka, że kiedy weszłam do pokoju, wszystko wyglądało tak, jak opowiedziałam, tyle tylko, że nie było mężczyzny. Była tam kobieta.

Broussard pociągnął łyk wódki.

– Siedziała na krześle, całkiem naga i nachylała się, aby włożyć pończochy. Tak jak mówiłam, uśmiechnęła się i przyłożyła palec do ust, abym była cicho. Zrobiła to jakby nigdy nic, bez najmniejszego niepokoju. Jakby właśnie położyła spać niemowlę. Nic w jej zachowaniu nie wskazywało na najmniejsze zmieszanie. Była idealnie naturalna.

– Dlaczego powiedziałaś, że to był mężczyzna?

– W ostatniej chwili przestraszyłam się prawdy.

– Dlaczego?

– To był element planu, scenariusza. Ta opowieść była jedynie wstępem.

– Wstępem?

– Do... mojej... opowieści. Broussard zeszywniał.

– Taak... – Bernadine patrzyła na trawnik opadający ku zalewie, który w odróżnieniu od równo przyciętej i udomowionej zieleni ograniczał posiadłość jak coś zdiczatego i niebezpiecznego. – Jest młodsza ode mnie... i nie miałam pojęcia, w co się wplątuję i... jakie piękno dotychczas traciłam... – Zmienił jej się głos i chrapliwość w jej głosie mierzyła Broussarda. Nie wierzył własnym uszom. – Nigdy nie podejrzewałam, że jestem zdolna do takich przeżyć, takiego podniecenia i drżenia, że mogę czuć, jakby całe moje ciało zale-

wały na przemian fale gorąca i zimna, jakby przechodził przez nie prąd... Nigdy, przenigdy nie czułam nic podobnego z mężczyzną. Do tego ten całkowity spokój, zupełny brak strachu. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że tak będę dotykać kobiety... ale... kiedy do tego doszło, przyszło mi to bez trudu. To takie... naturalne i... nigdy tego nie pojmiesz. Wątpię, byś był w stanie to pojąć. Sama ledwie to rozumiem.

Broussarda zatkało.

Bernadine Mello znów się uśmiechała, ale nie do doktora Broussarda. Uśmiechała się do nieprawdopodobnego szczęścia, jakie jej się przydarzyło w wieku czterdziestu dwóch lat, wówczas kiedy w jej życiu miał się raz jeszcze rozegrać dramat rozwodu i czekało ją kolejne potwierdzenie, że jest nic niewarta i niegodna miłości. Uśmiechała się na wspomnienie przeżyć dzisiejszego poranka i ostatnich kilku tygodni, w czasie których dokonała odkrycia tak wstrząsającego i inspirującego, jakiego nie miała od młodych lat. Wszystko, czego szukała u mężczyzn i za czym u nich tęskniła, i co okazało się tak rozpaczliwie fałszywe, odnalazła w istocie, której ciało i dusza były jej lustrzanymi odbiciami.

Rozdział osiemnasty

Było wpół do ósmej wieczór. Palma weszła do znajdującego się niedaleko domu centrum handlowego Wesleyan Plaza i w Richard's Liquors and Fine Wines kupiła dwie butelki soave z Folonari. Obok, u Randalla kupiła dwie kurze piersi, słoik oliwek i musztardę. Stała potem w kolejce myśląc o siedzącej w mrocznym, zadymionym salonie Louise Ackley, popijającej piwo i kontemplującej, co w życiu straciła, a co porzuciła. I jedno, i drugie było czymś zajęciem. Louise Ackley musiała pogodzić się z wieloma sprawami, ale nie robiła wrażenia, by zabierała się do tego tak jak należy.

Po wyjściu Palma szła przez parking w miedzianym poblasku zapalanych lamp. Włożyła torbę z zakupami do samochodu, wyjechała na Bissonet, przemknęła przez skrzyżowanie i podjechała na stację benzynową. Tankując, myślała o Louise Ackley. Siostra Ackleya okazała się pod każdym względem niespodzianką. Śmierć Samenov była dla niej poważnym ciosem i Palma miała wrażenie, że Louise była na lepszej stopie z byłą bratową niż z bratem. Oczywiście, biorąc pod uwagę to, czego Palma dowiedziała się o Dennisie Ackleyu, było to w pełni zrozumiałe. Człowiek, który szantażował siostrę i byłą żonę, nie mógł być człowiekiem wielkiego serca. Palmę zastanawiało, co wiedział o obu kobietach, co powodowało, że dla utrzymania tajemnicy były gotowe oddawać mu znaczną część zarobków.

W pistolecie dystrybutora trzasnęła blokada dopływu paliwa,

wytrącając Palmę z zadumy i opryskując ją kilkoma kroplami benzyny. Zakłęła, wytarła dłoń w papierowy ręcznik z pojemnika i poszła zapłacić.

Do domu miała kilka minut jazdy. Wszystko ogarniało ciemnoniebieskie popołudniowe światło i przyciemniało rosnące wzdłuż ulic drzewa. Zaparkowała na podjeździe przed domem i poszła otworzyć drzwi, wróciła do samochodu, wzięła zakupy i weszła do środka. Po półgodzinie wykąpana i przebrana w bawełnianą sukienkę stała w kuchni i nalewała sobie kieliszek wina. Kiedy jechała do domu, zamierzała upiec kurę, ale teraz czuła się zbyt zmęczona, zrobiła więc tylko sałatkę warzywną. Zastanawiała się, czy Louise Ackley mówiła prawdę o szantażu. Może wbrew inwektywom wobec brata, pomagała mu razem z Dorothy Samenov, wspierała jego ucieczkę. Nie było to zbyt logiczne, ale Palma od dawna wiedziała, że „logika” to pojęcie względne. Nie dla każdego oznacza to samo i nawet chory umysł, w którym wykluwają się najbardziej przerażające rzeczy – Palma pomyślała o pozbawionych powiek oczach Samenov – robi to, co robi, ponieważ dla niego są „logiczne”.

Kiedy Palma połapała się, co wyprawia, ujrzała na podkładzie z sałaty dość oliwek na cztery sałatki. Część włożyła z powrotem do słoika i schowała do lodówki. Posmarowała kawałek chleba, poszła z talerzem do salonu i usiadła przed telewizorem. Jedząc, nie miała ochoty myśleć o Moser ani Samenov. Zaczęła przerzucać kanały. Nie lubiła oglądać seriali komediowych, ale uwielbiała filmy, mogła oglądać wszystkie. Wiedziała, że póki nie skończy jeść, każdy jej

będzie się podobał.

Znalazła stary film Truffauta. Wypiła łyk wina, zaczęła jeść i słuchać francuskiego tekstu, próbując przy tym odcyfrować blade napisy. Siedem minut później zadzwonił telefon. Odruchowo włączyła zegar w telewizorze, wyłączyła fonię i sięgnęła po słuchawkę.

– Słucham.

– Dobry wieczór. Sander Grant, FBI. Czy mówię z detektyw Carmen Palmą?

– Tak słucham.

– Przepraszam, że dzwonię do domu, ale zrobiła pani notatkę, że to nie przeszkadza.

– Proszę się nie przejmować. Cieszę się, że pan dzwoni.

– Proszę pani... – Grant mówił łagodnie i akcentował słowa jak zawodowy lektor. – Przesłała nam pani dwie ciekawe sprawy. Czy w ciągu dnia dotarły dalsze dane z laboratorium?

– W zasadzie nie, ale nasz główny podejrzany...

– Stop – przerwał Grant. – Proszę wybaczyć, ale nie chcę wiedzieć nic na temat podejrzanych. Mogłoby mi to zasugerować coś nie wynikającego z faktów. Najlepiej, jeżeli działam „na oślep”. Chcę tylko wiedzieć jak najwięcej na temat tego, co zrobił. Czyli nie ma nowych danych?

– Nie. Mieliśmy zbyt mało czasu.

– Świetnie. Chciałbym, żeby informowała mnie pani o wszystkim na bieżąco. Na podstawie pani raportu wyrobiłem sobie dość dobry pogląd o obu ofiarach, każda nowa informacja bardzo by

jednak pomogła. – W słuchawce rozległ się szelest papierów. – Proszę się skoncentrować na przyjaciółach oraz na każdym mężczyźnie, którego zna kilka osób z tego kręgu. Jeżeli pojawi się cokolwiek nowego, proszę dzwonić i faksować. Dzwonię, by powiedzieć, że wysłałam parę informacji na temat metodyki uzyskiwania profilu. Artykuły, streszczenia. Posłałam dane przez Federal Express, powinny więc być u pani jutro przed dziesiątą. Kiedy się pani z nimi zapozna, łatwiej będzie nam rozmawiać. Będę się zajmował sprawą dalej dziś wieczór i jutro, może więc pojutrze przekażę wstępne wyniki. Wstępne. Pełny opis dostanie pani później, sądzę jednak, że jest kilka szczegółów, którymi należałoby zająć się od razu.

Palma nie miała nic przeciwko temu.

– Uważa pani, że facet atakuje co dwa tygodnie?

– Hm... tak mi przyszło do głowy... oba zabójstwa miały miejsce w czwartki, w odstępie dwóch tygodni. Ósmego będę się trochę denerwować.

– Nie wiem, czy będzie musiała pani czekać aż tak długo. Dlaczego nie...

– Sekundę! Dlaczego pan to powiedział?

– Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli najpierw przeczyta pani materiały ode mnie. Zadzwoń jutro. Najprawdopodobniej wieczorem, wtedy porozmawiamy.

– Dobrze – odparła Palma, nieco dotknięta odmową odpowiedzi.

– Nie ma sprawy. Miłej nocy.

Odłożył słuchawkę i Palma została sam na sam z telewizorem.
Na ekranie widać było właśnie oddalającą się parę, która szła moką,
pokrytą jesiennymi liśćmi uliczką.

Rozdział dziewiętnasty

Środa, 31 maja

Palma wyłączyła budzik i odrzuciła prześcieradło. Już trzy razy naciskała na przycisk, który pozwalał przespać się jeszcze dziesięć minut, zdążyła się zrobić za dziesięć siódma. Usiadła na łóżku, bez patrzenia w lustro wiedziała, że ma zapuchnięte oczy. Ściągnęła przez głowę koszulę nocną, co jeszcze bardziej poplątało jej włosy, i odrzuciła ją na bok. Walcząc z chęcią opadnięcia na poduszki, odwróciła się do lustra. Widok był ponury. Doprowadzenie się do jakiegoś takiego wyglądu będzie wymagało sporo trudu. Wypęzła z łóżka i pomaszerowała pod prysznic.

Myjąc się, dumiała nad sytuacją. Boże drogi... Nie minęło jeszcze czterdzieści osiem godzin od znalezienia ciała Dorothy Same-nov, a miała wrażenie, jakby od tego momentu minął już tydzień. Taki był rytm wszystkich spraw, w których odbywał się wyścig z czasem. Zegar biologiczny zaczynał szaleć, czas zmieniał bieg, wydarzenia traciły logikę i chronologię. Zastanowiła się nad telefonem od Granta. Był obcesowy, ale nie niegrzeczny i w sumie było z jego strony miłe, że zadzwonił, choć nie miał do powiedzenia niczego, co nie mogło poczekać. Jedynej konkretnej rzeczy, jaką powiedział – że jego zdaniem zabójca nie będzie czekał dwa tygodnie do następnego ataku – nie chciał jednak wyjaśnić, przez co poczuła się znacznie bardziej nieswojo niż przed jego telefonem.

Po wyjściu z prysznicza, układając włosy, odruchowo odwróciła

się bokiem do lustra, aby popatrzeć na kontur piersi. Lubiła to robić podczas kręcenia włosów, uniesione ręce lepiej je bowiem napinały. Popatrzyła na brzuch, sprawdziła talię i twarde pośladki. Nie było źle, ale w końcu ćwiczyła ostro. W tym momencie ujrzała obraz Sandry Moser i Dorothy Samenov. Kiedy pomyślała o ugryzieniach i szaleństwie, które je spowodowało, odwróciła się od lustra i zaczęła ubierać.

Przed wyjściem z domu zadzwoniła do Birleya, szybko streściła rozmowę z Louise Ackley, przekazała, że po śniadaniu zamierza spotkać się z Reynoldsem i potem przyjedzie do biura uzupełnić raport. Następnie zadzwoniła do Radcomu. Nie było Reynoldsa, kiedy jednak przedstawiła się jego sekretarce, ta szybko sprawdziła terminarz i umówiła Palmę na dziesiątą.

Była w Meaux's Grille dwie i pół godziny później niż zwykle i na jej widok Laurę wybałuszyła oczy.

– Cóż policja robi tu o tej porze? – spytała odkładając *Elle* i uśmiechając się, co ukazało złoty górny kiel i dolny siekacz. Laurę, choć była niska i krępa, a jej twarz i fryzura przypominały heroiny niemych filmów, na bieżąco czytała francuskie i amerykańskie magazyny mody. Nieproszona, poszła za Palmą do sprzątniętego właśnie przez Falwię stolika przy frontowym oknie i usiadły naprzeciwko siebie. Falvia i Alma pilnie sprzątały. Poranek musiał być bardzo pracowity.

– Wpadli dziś wcześniej – oznajmiła Laurę wskazując brodą stoliki. – Jak szarańcza. Biedne dziewczuchy o mało nie zwariowały.

Było cudownie.

Popijały kawę, Palma zaczęła jeść śniadanie. Laurę cytowała rubrykę policyjną i często chciała wiedzieć, co Palma sądzi o tym czy innym przestępstwie. Naprawdę przejmowała się sprawami opisywanymi w kolumnie ogłoszeń fundacji Powstrzymać Zbrodnię i czasami nawet kilka tygodni po publikacji była w stanie zapytać, czy „ta cholerna sprawa” została rozwikłana.

„Masz dobrą pracę – powiedziała jej kiedyś. – Ciągłe masz do czynienia z ludzkimi żądzami. Ludzie muszą jeść, chcą się kochać, modlić i aż za często wydaje im się, że muszą kogoś zabić. Jeżeli nie można mieć na własność czystej małej kafejki, być prostytutką albo księdzem, bycie policjantem jest najlepsze”.

Laurę roześmiała się wtedy, ale Palma była pewna, że uważa, iż jest w tym więcej niż ziarno prawdy.

Palma skończyła śniadanie, pod presją Laurę wypita jeszcze jedną filiżankę kawy i wyszła do samochodu. Powietrze stawało się coraz gęstsze.

Pojechała na West Loop Freeway i dalej na północ – widziała stąd panoramę wieżowców wszystkich trzech „centrów miejskich” Houston, wyrastających z wszechobecnego lasu. Największym centrum było Downtown, dalekie i zamglone daleko po prawej i nieco z tyłu, wręcz ginące z oczu, niedaleko na prawo znajdowało się Greenway Plaza, z przodu była najnowsza dzielnica moźnych tego świata, zdominowana przez Transco Tower, Post Oak. Autostrady rozwidlały się tak, by jak najlepiej połączyć centra, co sprawiało wrażenie

monstrualnych kładek, rozrzuconych na oceanie pomiędzy wypami.

Palma zjechała przy San Felipe, przejechała kilka przecznic, aby minąć Post Oak, i skręciła w prawo w Post Oak Lane. Biura Radcomu znajdowały się w budynku o szybach z przydymianego szkła, zbudowanym w miejscu skąd wykarczowano gęsto rosnące amerykańskie pinie. Przed budynkiem znajdował się spory sztuczny staw, a fontanna na jego środku wypływała pojedynczy strumień wody, który wysoko w górze zmieniał się w wachlarz, tak że na przypominającą szklaną taflę powierzchnię stawu spadała kaskada wody. Radcom zajmowało całe górne piętro siedmiopiętrowego budynku i biuro Gila Reynoldsa – jednego z dyrektorów – łatwo było znaleźć. Sekretarka uprzejmie zaprowadziła Palmę do gabinetu szefa – wielkiego, nowoczesnego pomieszczenia z widokiem na szmaragdowy trawnik, w którego tle widać było ścianę drzew.

Kiedy Palma weszła, Reynolds wstał, obszedł biurko, aby się przywitać, i zaoferował jedno z dwóch pluszowych krzeseł przed jego biurkiem. Usiadła na tym, którego nie wskazał. Reynolds był wysoki, atletycznie zbudowany i przystojny. Miał orli nos i dość długie ciemne włosy. Miał czterdzieści parę lat. Zachowywał się uprzejmie, lecz bezpośrednio. Natychmiast po powitaniu zapytał:

– Jak to się stało, że moje nazwisko pojawiło się w związku z Dorothy? Nie była to reakcja obronna, świadczyła jedynie o ciekawości.

– Pojawiło się w trakcie prowadzonych przez nas wywiadów. Sprawdzanie wszystkich nazwisk, na jakie w ich trakcie natrafimy,

to rutyna.

– Vickie Kittrie?

– Dane z wywiadów są poufne. Reynolds grzecznie się uśmiechnął.

– Rozumiem. Ale znam Vickie. Może mi pani powiedzieć, jak ona to znosi?

– Wydaje mi się, że nie najlepiej.

– No tak, to chyba zrozumiałe. Przepraszam, nie zapytałem. Ma pani może ochotę na kawę albo coś zimnego?

– Nie, dziękuję.

– Ale ja muszę się napić kawy – stwierdził, wstał i sięgnął przez biurko po czekającą filiżankę na spodeczku. Nalał sobie kawy z aluminiowego termosu, dodał śmietanki i zamieszał. – Jestem uzależniony od kawy – wyjaśnił. – Lubię mocną i piję jej wiele za dużo. – Kiedy unosił filiżankę do ust, Palma zauważyła na jego palcu obrączkę. – A więc dobrze... proszę strzelać.

– Z tego, co wiemy, wynika, że przez jakiś czas spotykał się pan z Dorothy Samenov.

– Ostatni raz widziałem ją dziesięć miesięcy temu. – Zawahał się. Sprawiał wrażenie, że zmusza się do powiedzenia czegoś, co uważa za konieczne ujawnić. – Miałem z nią romans przez mniej więcej rok. Zniszczył moje małżeństwo. – Powiedziawszy to, zrobił zażenowaną minę i machnął przepraszająco ręką. – Powinienem powiedzieć, że sam je zniszczyłem przez ten romans. Byłem przez szesnaście lat żonaty ze wspaniałą kobietą, mamy dwoje dzieci,

które zaczynają dorastać. Trochę mnie kosztuje pogodzenie się z tym, że jestem odpowiedzialny za zniszczenie takiego związku.

– W dalszym ciągu nosi pan obrączkę. Popatrzył na swój palec.

– Tak.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, co pan robił w dniu, kiedy zabito Dorothy?

– Oczywiście. Już sprawdzałem w kalendarzu. Pracowałem w biurze do szóstej. Nie miałem ochoty jeść w domu – mieszkam teraz w Saint James Condominiums – pojechałem więc do Chase'a koło Pavilionu. Skończyłem kolację około ósmej. Ponieważ ciągle jeszcze nie chciałem wracać do domu, poszedłem do kina Loews. Chciałem obejrzeć *Lato*, ale następny seans zaczynał się za pół godziny, więc kupiłem bilet, pospacerowałem trochę, a potem obejrzałem film. Wyszedłem z kina tuż po wpół do jedenastej i pojechałem prosto do domu. Dojechałem mniej więcej za piętnaście jedenasta i resztę wieczora spędziłem w mieszkaniu. Mam na świadka tylko siebie.

Palma nic nie powiedziała na ostatnią uwagę. Uznając, że im szybciej przejdzie listę pytań, tym lepiej, kontynuowała rutynowo rozmowę.

– Co wie pan o Dennisie Ackleyu? Reynolds wypił łyk kawy, po czym się odezwał.

– Spotkałem go dwa razy, ale praktycznie wszystko, co o nim wiem – a są to jedynie powierzchowne sprawy – wiem od Dorothy. Rozwiedli się w osiemdziesiątym drugim. To kryminalista, damski

bokser, kłamca, złodziej i pijak. Można by tak dalej. Taki typ, który robi niemal wszystko, czego nie należy. Kompletne dno.

– W jakich okolicznościach go pan poznał?

– Kiedy byliśmy razem, często odwiedzałem Dorothy w domu. Obydwa razy widziałem go właśnie tam. – Uśmiechnął się na wspomnienie. – Raz się na mnie zamachnął.

– To znaczy?

– Kiedy przychodził, a zdarzyło się to już przedtem kilka razy, starałem się nie pokazywać. Przez rok był u niej chyba ze cztery razy. Chciał pieniędzy. Dawała mu trochę, ale ciągle było mu mało. Kiedy się spotkaliśmy, przyszedł po raz ostatni. Był pijany i uderzył Dorothy. Siedziałem w pokoju obok i kiedy usłyszałem, co się dzieje, wyszedłem. Był zaskoczony, zamachnął się na mnie, ja zamachnąłem się na niego i poleciał na ziemię. Nigdy w życiu przedtem nikogo nie uderzyłem. Złamałem sobie mały palec. – Uniósł dłoń. – Kiedy zaczął wstawać, Dorothy wcisnęła mu do ręki plik banknotów i wypchnęła go za drzwi.

– I od tego czasu nie widział go pan ani o nim nie słyszał?

– Nie. Ten incydent miał miejsce kilka miesięcy, zanim przestaliśmy się... widywać z Dorothy.

W porównaniu ze zwykłymi wykrętami ludzi, z którymi rozmawiała, otwartość Reynoldsa była miłą odmianą. Zachowywał się, jakby dokonał czegoś tragicznie nieuczciwego, co spowodowało, że stał się uczciwszy. Robił wrażenie, jakby był zdecydowany przyznać się do swoich błędów i nie zamierzał usprawiedliwiać swojej głupo-

ty. Palma czuła się nieswojo, że musi zadać następne pytanie, ale ponieważ było nieuniknione, spróbowała zrobić to możliwie neutralnie.

– Czy praktyki sadomasochistyczne były między panem a Dorothy rutynowe czy okazjonalne?

– Taak... – stwierdził, krzywiąc twarz w grymasie. – Szybko i do sedna. Ani ani.

– Ale wiedział pan o jej zamiłowaniach?

– Dopiero pod koniec.

– Jak się pan o tym dowiedział?

– Powiedziała mi.

– Dlaczego?

Reynolds znów napił się kawy i odstawił filiżankę. Przeciągnął dłonią po brodzie, nieco dłużej pocierał palcem podbródek. Nie spieszył się, chciał mieć czas do namysłu.

– W zasadzie dlatego, że miała więcej poczucia uczciwości ode mnie. – Przerwał i zapatrzył się w blat biurka, położył dłoń na przycisku do papieru, przesunął go kilka centymetrów, na koniec położył dłoń na kolanie. – Poznałem Dorothy na lunchu biznesowym. Było nas pięcioro lub sześcioro. Zwróciła moją uwagę urodą, inteligencją, umiejętnością prowadzenia rozmowy, innymi atrakcyjnymi cechami. Wymieniliśmy się wizytówkami, kilka dni później zadzwoniłem do niej i zaprosiłem na kolację. Proste. Była bardzo atrakcyjną kobietą. Nigdy przedtem nie zdradziłem żony, wtedy jednak zacząłem prowadzić podwójne życie. Zaniedbywałem pracę i rodzinę i spędzałem

jak najwięcej czasu z Dorothy. Jak już mówiłem, było to łatwe, ponieważ miała mieszkanie. – Popatrzyl uważnie na Palmę. – Oszukiwać jest łatwo. Trudno jest pogodzić się z tym, co oszustwo robi z człowieka... W każdym razie sądzę, że Dorothy mnie lubiła – wiem, że tak było – ale była częścią, jakiej przede mną nie ujawniała. Coś ukrywała. Ja ze swojej strony rzuciłem się w ten romans na łeb, na szyję, jakbym oszalał na jej punkcie. Byłem starszy od niej o dziesięć lat, ale to ona pilnowała, żebyśmy nie stracili panowania nad sytuacją. Ja całkiem zgłupiałem. To ona też zdecydowała pewnego dnia, żeby skończyć nasz związek. Nie musiała podawać powodów, sam milion razy je sobie wyliczałem. Wszystko przemawiało za tym, byśmy skończyli ten romans, poza moją słabością nie było jednego jedyne go powodu, aby go kontynuować, ale nie chciałem się z nią rozstawać. Wtedy powiedziała mi, że tak naprawdę to wcale jej nie znam, nie wiem, jak skomplikowane ma życie i nie może sobie pozwolić na to, aby się ze mną spotykać. Zacząłem się z nią spierać i w końcu powiedziała o sadomasochizmie i Vickie Kittrie.

Na twarzy Palmy ukazał się wyraz zaskoczenia.

– Nie wiedziała pani, że Dorothy i Vickie były kochankami? – spytał Reynolds.

– Nie – odparła kręcąc głową, z nadzieją że nie wygląda tak głupio, jak się czuje. Nagle zmienił się charakter całego śledztwa i Palma nie wiedziała jeszcze, czy nowy obrót sprawy to postęp czy cofnięcie się do punktu wyjścia.

– Wydaje mi się, że byłem w ostatnich latach Dorothy anoma-

lią. Już przed wielu laty zrezygnowała z mężczyzn. Prawdę mówiąc, wcale mnie nie zaskakuje, że Vickie nic nie powiedziała o ich związku. Był to ścisły sekret. Dorothy uważała, że jeżeli się roznie- sie, iż jest biseksualna, będzie to oznaczać koniec jej kariery. Chciała też chronić Vickie. Dorothy była ambitną biznesmenką i doskonale wiedziała, jak się bronić przed seksizmem. Uważała jednak, że ujawnienie biseksualizmu spowoduje jej upadek. Jej zdaniem, jako lesbijka nigdy nie awansowałaby wysoko w świecie finansowych korporacji. – Reynolds kiwnął głową. – Prawdopodobnie miała rację...

– Czy kiedykolwiek mówiła coś o siostrze Dennisa Ackleya?

– Nie.

– Wiedział pan o tym, że Ackley szantażował Dorothy? Tym razem Reynolds był zaskoczony.

– Dlaczego? Z powodu jej orientacji seksualnej?

– Nie wiem. Podejrzewam, że byłby to dobry pretekst. Czy Dorothy albo Kittrrie wspomniały kiedykolwiek o Margie Simon?

– Nie.

– A o Nancy Segal? Lindzie Mancera? Helenie Saulnier? Reynolds trzy razy pokręcił głową.

– Czy z tego, co pan wie, Dorothy albo Vickie chadzały do barów, klubów albo siedzib organizacji lesbijskich?

– Nie chadzały. Nie ma co do tego wątpliwości. Nie miały nic wspólnego z tak zwaną „sceną”. – Odwrócił wzrok, popatrzył na sosny i Palma stwierdziła, że ma rewelacyjny profil. Był naprawdę

przystojny. Odwrócił się ku niej. – Coś pani powiem. Kiedy jako tako poradziłem sobie z szokiem i zacząłem patrzeć na Dorothy Samenov z nieco innej perspektywy, spotykaliśmy się jeszcze przez miesiąc czy dwa. Teraz uważam, że próbowała pozbyć się mnie jak najłagodniej i uratować naszą przyjaźń, ale przebywaliśmy ze sobą z przyjemnością. Było nam ze sobą dobrze nawet bez seksu. W tym czasie poznałem Vickie. Ich kontakty, przynajmniej w mojej obecności, przypominały związek starego, konserwatywnego małżeństwa. Od czasu do czasu spędzaliśmy we troje całe popołudnie u Dorothy – wyłącznie na rozmowie. Gadaliśmy, o czym tylko się dało, dowiedziałem się jednak wtedy, co oznacza być w naszym społeczeństwie „innym”. Słuchałem godzinami ich rozmów i dowiedziałem się, że praktycznie całe życie chodziłem po świecie z zamkniętymi oczami. Moje życie było – do dziś jest – kwintesencją status quo i nie miałem zielonego pojęcia, co oznacza nie należeć do systemu. Dowiedziałem się tego dopiero, kiedy zakochałem się w kimś, kto nie był jego częścią.

Aż do tej chwili Reynolds mówił o „romansie” i to, że się przyznał do miłości, Palma uznała za znaczące. Poznanie Dorothy Samenov głęboko wstrząsnęło światem Gila Reynoldsa i jego stoicka, pełna determinacji chęć konfrontacji z własnym sumieniem nie zmieniała faktu, że uczucia do kobiety nie będącej jego żoną był w stanie określić jako miłość jedynie pod postacią nieświadomego przejęzyczenia.

Palma znów poczuła się niezręcznie, że musi dotknąć tematu,

który mógł zabolec Reynoldsa.

– Mam jeszcze kilka pytań. Co Dorothy powiedziała panu o sadomasochizmie?

Reynolds kiwnął głową, otworzył usta, zamknął je, zawahał się.

– Chyba już wygadałem się o Vickie. Chyba nie chciałyby, aby wyszło to na jaw. Ich lesbijski związek.

– To nie ma znaczenia. Gdybym nie dowiedziała się tego od pana, dowiedziałabym się od kogoś innego. To praktycznie niemożliwe, utrzymać coś podobnego w tajemnicy w trakcie śledztwa o morderstwo. Takie rzeczy zawsze wychodzą wtedy na jaw.

Reynolds ponownie kiwnął głową, nie przyjął jednak próby Palmy uspokojenia jego sumienia za dobrą monetę. Mimo to zaczął mówić.

– Sadomasochizm... był istotą ich związku. Próbowaly mi to wyjaśnić, ale było mi to tak... obce... choć udawałem, że rozumiem i próbowałem ich nie osądzać. Twierdziły, że doskonale się przy tym rozumieją, nie mają nic wspólnego z zawstydzaniem i poniżaniem się, jedynie z czerpaniem przyjemności z bólu... – Przerwał, nie wiedząc co dalej mówić. Wzruszył ramionami. – Nie wiem co jeszcze. Niezbyt byłem zadowolony dowiadywaniem się dalszych szczegółów.

– O ile pan wie, robiły to we dwie i nie było innych osób? Kiwnął głową.

– Tak twierdziły. – Popatrzył na swoje dłonie.

– Uwierzył im pan?

– Czy to ważne?

– Chciałabym wiedzieć, co mówi panu intuicja.

Nie odpowiedział od razu, przez dłuższą chwilę wodził wzrokiem po biurku, jakby mógł ujrzeć odpowiedź między papierami.

– Sądzę, że mogli w tym uczestniczyć mężczyźni.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Chciała się pani dowiedzieć, co mi mówi intuicja. – Popatrzył na Palmę z miną, z której wynikało, że nie zamierza więcej na ten temat mówić. – Nie umiem tego udowodnić.

Rozdział dwudziesty

Jadąc na południe Palma przez cały czas zastanawiała się nad zachowaniem Gila Reynoldsa, nad jego melancholią, połączoną z akceptacją własnej trudnej sytuacji. Próbowała sobie wyobrazić, jakim szokiem musiało być dla niego dowiedzenie się, że Dorothy Samenov jest biseksualna, i ile odwagi kosztowało go pogodzenie się z tym, że kiedy się spotykali, w jej życiu były nie tylko kobiety, ale i inni mężczyźni. W sumie wyglądało na to, że Gil Reynolds, decydując się na związek z Dorothy Samenov, sporo stracił.

Kiedy Palma wchodziła do wydziału zabójstw, dochodziła dwunasta. Omijając grupki policjantów i cywili, dotarła po kilku minutach do swojego boksu. Byli w nim wszyscy trzej. Birley – nieco rozczochrany – pakował do kartonowych pudeł znalezione u Dorothy Samenov dokumenty. Koszula wyszła mu ze spodni. Birley mówił coś do Cushinga. Leeland – oparty o framugę drzwi – machnął do Palmy, kiedy weszła, i uśmiechnął się do niej. Rozwalony w jej fotelu Cushing zignorował przybycie koleżanki, jedynie łaskawie odsunął nogę, by mogła podejść do swojego biurka. Wszyscy wyglądali, jakby spali o wiele za krótko.

– Cześć, mała – odezwał się Birley przerywając rozmowę z Cushingiem. Cushing omdlewającym gestem wstał z fotela i pchnął go w kierunku Palmy.

Dostrzegła na biurku szarą kopertę z Quantico.

– Coś nowego? – zapytała ignorując chamstwo Cushinga. Le-

niwie okrążył biurko i oparł się ramieniem o szafkę z aktami.

Trochę – powiedział Birley. Palma usiadła, zdjęła pantofle i otworzyła puszkę pepsi, którą przyniosła sobie z automatu w hali głównej. – Sprawdziłem resztę dokumentacji finansowej, ale nie ma w niej nic ciekawego poza dowodami wpłat na rzecz Louise Ackley. Wszystkie listy – a jest ich sporo – pochodzą od rodziny w Karolinie. Nie znalazłem w nich niczego, co mogłoby nam pomóc. Nie było listów od „istotnych innych osób”. Pudło. Ciekawy jest jednak notes z adresami. Poza firmami usługowymi jest w nim kilka nazwisk i adresów mężczyzn. Obdzwoniłem ich rano. – Zaczął przeglądać notes. – Fryzjer, masażysta, elektryk, hodowca dalmatyńczyków, sprzedawca używanych samochodów, hydraulik, spec od naprawy telewizorów, pracownicy wideoteki i księgarni. Jest jeszcze kilkanaście kobiet, ale wymienionych jedynie z imienia, a numery ich telefonów muszą być zakodowane, ponieważ żaden numer nie odpowiada. Musimy znaleźć kogoś, kto je odszyfruje. Mnie nic nie mówią.

– Może ja spróbuję? – spytał Leeland. Birley rzucił mu notes.

– Próbuj. Moim zdaniem imiona też są zakodowane. Poza tym, że jest tam Marge, Nancy i Linda.

– Czy była Sandra? – spytała Palma.

– Nie pamiętam. Masz na myśli Moser?

– Tak.

– Znalazłaś jakiś związek? Palma napiła się pepsi.

– Nie, to tylko taki pomysł. – Popatrzyła na Leelanda. – A co ty

masz? Goląc się rano, Leeland zaciął się pod nosem i w ciągu dnia udało mu się rozdrapać ranę do sporych rozmiarów. Raz za razem dotykał jej grzbietem palca wskazującego.

– Rozmawiałem z komisją zwolnień warunkowych w Austin i mają nam przysłać akta więzienne Ackleya. – Leeland zamknął notes Samenov i popatrzył na Palmę wielkimi, smętnymi oczami. – Szukają go, bo zniknął, przestał się zgłaszać do kuratora. Do tego doszły sprawy z Dallas. Siedząc w zakładzie Ramsey w Huntsville kolegował się z dość ponurymi typkami, wszyscy jeszcze siedzą. Z wyjątkiem niejakiego Dwayne’a Selly’ego, który odsiadywał wyrok za brutalne pobicie, wyszedł miesiąc po Ackleyu i przyjechał do Houston. Spotkali się tu nieraz. Na Selly’ego też jest wystawiony nakaz aresztowania – za złamanie zasad zwolnienia warunkowego. Od kilku miesięcy nikt jednak o nim nie słyszał. – Leeland znów dotknął nosa. – Umieściłem Ackleya w komputerze i jego nazwisko będzie w najbliższym spisie poszukiwanych. To wszystko.

Palma popatrzyła na Cushinga.

– No dobrze. – Cushing wyjął z ust spinacz i zwrócił się do Palmy. – Rozmawiałem z oficerem z Dallas, który prowadzi sprawę Ackleya. Ostatnio widziano go z kryminalistą Clyde’em Barbishem, w dniu kiedy Barbish napadł i zranił studentkę Southern Methodist University, Debbie Snider. Została zgwałcona przez dwóch mężczyzn, ale na podstawie zdjęć umie zidentyfikować tylko jednego. Drugi cały czas stał za nią i kiedy zaszedł ją od przodu, zakrył jej twarz sukienką. Ackley był w albumie razem z Barbishem, ale nie

wskazała na niego.

– Czy policja w Dallas uważa, że zrobili to razem?

Tak podejrzewają. Odbyłem też długą rozmowę z pewnym dobrym człowiekiem z ich centrali analiz przestępstw – dodał Cushing.

– Jest tam od wieków, to taki koleś z fotograficzną pamięcią. Opisałem mu to, co wiedziałem, i pogadaliśmy o kilkunastu innych sprawach. Wydaje się, że żadna nie pasuje do naszej, ale kilka jest ciekawych. W jednym z zabójstw kobieta, której odcięto lewy sutek – nie prawy jak u Moser – była blondynką, ale nie nałożono jej makiżażu, a ciało zostało rozłożone w seksualnie jednoznacznej pozie, nie jak w przypadkach Moser i Samenov. Została znaleziona w opuszczonym domu w jednej z najgorszych dzielnic miasta. W całkiem innym terenie niż lubi nasz chłopiec.

– Ciekawe jednak – wtrącił Leeland – że ten uniwersytet metodystów znajduje się w jednej z najlepszych dzielnic Dallas.

– Snider zgwałcono ósmego, a Moser zamordowano trzynastego – stwierdził Birley. – To tylko pięć dni odstępu.

– Jedno miejsce jest oddalone od drugiego tylko o kilka godzin jazdy samochodem – powiedziała Palma. – Co z Walkerem Bristollem?

– No tak – odparł Cushing patrząc na Leelanda. – Donny z nim rozmawiał. Spokojne oczy Leelanda zwróciły się na chwilę na Cushinga i przejął od niego pałeczkę.

– Bristol jest wiceprezesem National Security Bank. Coś koło czterdziestki. Żonaty, nie ma dzieci. Twierdzi, że spotykał się

z Samenov dwa lata przed małżeństwem. Potem widywał ją jedynie przypadkowo. Nie ma pojęcia o jej zainteresowaniach sado-maso, od trzech lat praktycznie nie ma z nią kontaktu. Nie zna Dennisa Ackleya. – Leeland szurnął stopą i ponownie dotknął palcem nosa. – Uważam, że kłamie. Był bardzo ostrożny w słowach, dość poruszony, ale starał się niczego po sobie nie pokazać. Powinniśmy zebrać na jego temat nieco informacji i znów z nim porozmawiać. Jeżeli chodzi o Dirka jakiegoś tam, to próbuje go znaleźć kobieta z registratury uniwersytetu Houston.

– A co u ciebie? – spytał Birley. – Dorwałaś swoich?

– Tak – odparła Palma biorąc z pudełka na biurku chusteczkę i wycierając wilgotne miejsce, gdzie stała puszka pepsi. – Mam kilka niespodzianek.

Opowiedziała o wszystkich rozmowach, jakie przeprowadziła – z Kittrie w jej mieszkaniu, gdzie byli Isenberg i Saulnier, z Lindą Mancera, Louise Ackley i w końcu Gilem Reynoldsem, który ujawnił główną rewelację.

– Lesbije! – krzyknął Cushing udając niedowierzanie. – Te lalki to lesbije? Z Lindą Mancera nie wiem... – roześmiał się i pokręcił głową – ale Marge Simon to niezła cizia. Co za marnotrawstwo! – Znów zachichotał i popatrzył na Leelanda. – Ale mi się to podoba!

– Nic nie wiemy na temat Simon i Lindy Mancera – uściśliła Palma. – Informacja dotyczy jedynie Kittrie i Samenov.

– Cholera! – stwierdził Cushing ciągle się uśmiechając. – Wcale mnie to nie zaskakuje. Mogę się założyć, że wszystkie dają sobie

nawzajem dupy.

– Wyjaśniałoby to, dlaczego Samenov wpisała do notatnika tylko imiona – stwierdził Birley.

– Wygląda to na skomplikowany system. – Leeland popatrzył na Palmę. – Czy Reynolds rzeczywiście sądzi, że aż tak bardzo się z tym kryły?

Takie sprawiał wrażenie. – Palma dopiła pepsa. Nie rozumiała do końca, dlaczego tak ją boli, że kręcącego ciągle głową Cushinga bawi aspekt lesbijski. – Moim zdaniem nie możemy zakładać, że Marge Simon, Nancy Segal i Linda Mancera to lesbijki, ale nawet gdyby nimi były, nie wiem, jak miałyby to pchnąć śledztwo do przodu. Jak dotąd nie odkryliśmy żadnego związku między nimi a Dennisem Ackleyem. Na razie wszyscy o nim mówią, jakby był trędowaty. Chyba żeby uznać je za potencjalne ofiary.

– Co mamy sądzić o Sandrze Moser? – spytał Birley. – Że była ukrytą biseksualistką?

– Chyba musimy to założyć. Biorąc pod uwagę skład grupy...

– Sprzęt sado-maso był jej – powiedział Cushing.

– Nie ma tu żadnej Sandry – wtrącił Leeland, który znów przeglądał notes.

– Jak Ackley ją poznał? – spytał Birley.

– To musiało wyglądać tak... – zaczął spekulować Cushing. – Samenov kłamała Reynoldsowi, że jej mąż to skurwieli. Ackley i Samenov robią wspólnie sado-maso. Kto miał zrobić zdjęcia Samenov? Znajdowała kobiety, lesbije, do trójkątów. Zabawili się we

dwoje z Moser i umarła, może niechący. Podrobili to pod robotę psychologa, żeby zamącić śledztwo. Potem Ackley zabił Samenov, bo była jedynym świadkiem. Wie to i owo o przestępstwie, wie, jak sprzątać po morderstwie. Żeby dalej zamącić, ustawił wszystko jak za pierwszym razem.

– Gdyby Samenov kłamała Reynoldsowi o tym, że Ackley to skurwiel – skontrowała Palma – oznaczałoby to, że tak samo kłamią na jego temat Louise Ackley, Linda Mancera i Vickie Kittrie. Sądzę, że jego akta policyjne i więzienne mają jasną wymowę.

– No tak, może – nie rezygnował Cushing. – Czyli gość jest skurwielem. Tym prawdopodobiejsze, że razem z byłą żoną kręcili sztuczki sado-maso.

– Robisz dość zasadniczy błąd – stwierdziła Palma. – Nie wygląda na to, by którakolwiek z tych kobiet chciała mieć z nim do czynienia.

– Bzdura! Nie wiesz tego. Ludzie robią różne rzeczy.

– Myślę, że powinniśmy raczej zająć się odczytaniem tego notesu – wtrącił Birley. – I porozmawiać z każdą z wymienionych osób.

– Założę się, że kobiety niewiele nam dadzą – uznała Palma. – Główną wartością tego notesu jest fakt, że wymienia mężczyzn. Wszystko wskazuje jak na razie na Ackley a, ale jeżeli to nie on? Jest ośmiu albo dziesięciu mężczyzn, których powinniśmy sprawdzić. Czy coś ich łączy z Sandrą Moser? Czy mechanik Samenov naprawiał też telewizor Moser? Czy Samenov kupowała kasety wi-

deo w tym samym sklepie co Moser? Czy przychodził do nich ten sam hydraulik?

– Masz rację – stwierdził Birley. – Musimy sprawdzić księgi klientów tych ludzi. Powinniśmy do tego mieć oczy otwarte na nazwiska kobiet, jakie się w nich pojawiają.

Zadzwoił telefon. Dzwoniono do Cushinga, który rzucił do słuchawki „tak” i „świetnie” i odłożył ją.

– Soronno ma dla nas niektóre wyniki badań laboratoryjnych – powiedział wstając i idąc do drzwi. – Zaraz wracam.

Kiedy Cushing wyszedł, Birley otworzył pudełko z lunchem i zaczął jeść bez większego apetytu. Zaoferował Leelandowi ciastko, ten jednak odmówił twierdząc, że już jadł. Palmie burczało w brzuchu, zmusiła się jednak do zapomnienia o głodzie i przejrzała notatki z rozmowy z Reynoldsem.

Cushing wkrótce był z powrotem. Wrócił z raportem i puszką coli. Każda cola Cushinga była nieco inna niż w momencie opuszczania fabryki – nieco ulewał z puszki i uzupełniał ją rumem. Uważał, że nikt o tym nie wie, ale Palma i Birley już dawno go rozgryźli i uważali, że nie jest to także tajemnicą dla Leelanda.

– Świetnie – powiedział, pchając przed sobą fotel maszynistki z hali ogólnej. – Mamy kilka bardzo ciekawych spraw...

Obrócił fotel i usiadł okrakiem, opadł piersią na oparcie, nogi wyciągnął w kierunku Palmy. Była to postawa typowego *macho*, jego zdaniem z mnóstwem seksappealu. Palma uważała za żałosne, że Cushing ciągle się do niej przymierza, stale się nadyma i puszy.

Ściśnięcie mu członka musiało uszkodzić jego osobowość. Może naprawdę miał mózg między nogami.

– Odciski palców: w łazience i sypialni znaleziono wyłącznie odciski palców Samenov. Kilka odcisków innych osób znaleziono w dalszych częściach mieszkania. To samo dotyczy odcisków dłoni. Odciski stóp: mamy dwa, oba kobiece, po obu stronach bidetu. Na znalezionych na krześle ubraniach nie znaleziono niczego. Grupa krwi Samenov: ABO-zero, PGM-dwa, EAP-BA, Hp-jeden. Masa ludzi taką ma. Jest jeszcze częściej spotykana od grupy krwi Moser. Wszystkie próbki krwi z prześcieradła i wszystkie ślady na ręcznikach odpowiadają tym cechom. Włosy: nieznanne. Badanie prześcieradła wykazało obecność pięciu długich blond włosów z głowy. Cztery są identyczne z włosami Samenov, piąty jest jednoznacznie inny. Trzy kolejne włosy znaleziono na dywanie po prawej stronie łóżka, przy szafie – wszystkie są identyczne z włosami Samenov. Dwa kolejne włosy znaleziono w nogach łóżka – jeden Samenov, drugi nie. Dwa włosy były po lewej stronie łóżka, w kierunku łazienki – żaden nie był podobny do włosów Samenov. Z czterech włosów nieznanego pochodzenia trzy są takie same, czwarty inny. Pod paznokciami znaleziono jedynie ślady mydła identycznego z mydłem w łazience Samenov. Usta: znaleziono włókna bawełny pasujące do ręczników z łazienki Samenov. We wszystkich innych łazienkach w domu ręczniki miały inne kolory. Wymazy z ust, pochwy i odbytu: brak śladów kwaśnej fosfatazy, czyli nie ma nasienia. Tak samo jak u Moser. Włosy łonowe: czesanie ujawniło obecność

dziewięciu włosów łonowych, z których pięć nie pochodzi od Samenov. Wszystkie obce włosy są telogenowe, czyli pochodzą z trzeciego okresu cyklu rozwojowego włosa, okresu spoczynku, nie było więc komórek z pochewki włosowej, na podstawie których można by ustalić grupę krwi. Z pięciu nie znanych włosów trzy pochodziły od tej samej osoby i wyglądają na włosy z okolicy pachwy, pozostałe dwa wyglądają na pochodzące od innego osobnika, raczej z okolicy łonowej. Ponieważ jedynymi nie zidentyfikowanymi włosami, znalezionymi na miejscu śmierci Moser, były dwa włosy z brwi, porównanie nie było możliwe. Ślady ugryzień: u Samenov są wyraźne, ponieważ jednak ślady u Moser były niewyraźne, porównanie nie jest możliwe. Ponieważ Samenov została tak samo jak Moser umyta, nie było śladów śliny. Kosmetyki: kosmetyki na twarzy Samenov różnią się od znalezionych w jej pokoju, są jednak identyczne z kosmetykami na twarzy Sandry Moser. Wygląda na to, jakby skurwiel przynosił swój sprzęt. To wszystko – stwierdził Cushing i rzucając raport na biurko Birleya, łyknął coli.

Czyli że Samenov odbyła stosunek z dwiema osobami – stwierdził Birley biorąc do ręki raport. – W którymś momencie po ostatniej kąpiel... Może to oznaczać różnicę ośmiu do dziesięciu godzin, w zależności od tego, czy miała zwyczaj kąpać się wieczorem czy rano.

– W tak długim odcinku kolejne stosunki mogły być odległe w czasie albo mieć miejsce równocześnie... – powiedział Leeland.

– Czy wszystkie włosy są blond? – spytał Birley.

– Każdy jeden. Dokładnie jednak mówiąc, w różnych odcieniach.

– Tak jak brwi Moser.

– Dobrze podejrzewam, że nie byli w stanie określić marki użytych kosmetyków? – spytała Palma.

– Pytałem. Nic z tego.

– Cholera. Cienizna – stwierdził Birley. – Facet przynosi własne pęta, kosmetyki, sprzęta po sobie jak zawodowa pielęgniarka...

– Jest niezły w robieniu makijażu – dodał Leeland. – Wygląda na to, że wkłada w to serce. Może pracuje w domu pogrzebowym, salonie kosmetycznym... albo to transwestyta...

– Może pracuje w teatrze – wtrąciła Palma. – Jako aktor albo charakteryzator.

– Równie dobrze może być amatorem – skontrował Cushing. – Kimś, kto po prostu lubi malować siebie i innych.

– Masz rację – przyznał Birley i wrzucił pusty kubek do kosza – ale tak samo dobrze może być treserem pcheł i spać z wiewiórkami. To, co robi, może nie mieć absolutnie niczego wspólnego z jego zawodem. Tacy jak on... cholera jasna, kto w ogóle wie, jak tacy jak on żyją...

– A Dennis Ackley? – zapytał Leeland. – Czy wiemy albo mamy powód podejrzewać, by miał cokolwiek wspólnego z makijażem?

– Ale skąd! – parsknął Cushing. – To zwykły kutas.

– Co tak naprawdę wiemy o sprawcy? – Palma zaczynała się

denerwować. – Jest blondynem.

– Nie tak szybko! – przerwał Birley. – Nie ma nic potwierdzającego jego kontakt seksualny z Samenov. Jedynie jego włosy łonowe splątały się z jej, ale nie ma dowodu na penetrację – nigdzie.

– Nie musiał w nią wnikać, John – stwierdziła Palma.

– No dobrze. – Birley uniósł w górę dłoń. – Nie zapominajmy jednak, że była biseksualna. Wyobrażam sobie, że między kobietami dochodzi do intensywnego pocierania. Włos może być kobiecy.

– Każmy zrobić test na ustalenie płci – powiedziała Palma.

– Nic z tego – odparł Cushing. – Przypomnij sobie, że to włosy telogenowe, z trzeciego okresu cyklu rozwojowego. Brak komórek z pochewki włosa. Nawet gdyby były, test DNA potrwałby tygodnie. Poza tym nie jest tani.

Palma popatrzyła na Birley a, rozczarowanie musiało jasno się odbić na jej twarzy.

– Nic o nim nie wiemy – niemal przepaszająco rzekł Birley. – Przynajmniej jeśli chodzi o pewniki.

No dobrze, musimy jednak coś robić dalej – stwierdziła Palma. Popatrzyła na Leelanda, nie chciała dać Cushingowi satysfakcji. – Don, może obaj z Cushem zaczniecie sprawdzać pierwszą połowę mężczyzn z notesu Samenov, spróbujecie powiązać ich z Moser? – Leeland skinął głową i odwróciła się do Birleya. – John, my byśmy posprawdzali resztę. Możemy też spróbować sprawdzić, czy Samenov i Moser nie miały tych samych lekarzy, dentystów i tym podobne. Birley kiwnął głową.

– Jasne. Biorę to na siebie.

– A ja pojedę do Kittrie i wezmę od niej próbki włosów. Jeżeli te nieznane pochodzą od niej, prawdopodobne, że miały seks po wyjściu z baru, znacznie bliżej momentu śmierci. Może coś ukrywa.

Ponownie zadzwonił telefon – tym razem ktoś chciał rozmawiać z Leelandem. Po chwili przerwał, poprosił o akta i przytrzymując słuchawkę pod brodą, przerzucił parę kartek. Podał szereg dat, posłuchał, podał kilka następnych, znów posłuchał i zaczął coś szybko notować.

– A niech mnie... – pomrukiwał. – Na pewno? A niech mnie... – Podkreślił coś. – Nie, bardzo dziękujemy. Oczywiście, będziemy wdzięczni za potwierdzenie na piśmie. Może się pan założyć. Oczywiście, jeżeli pan przyjedzie, stawiam kurczaka. Świetnie, cześć. – Odwrócił się do pozostałych, pokręcił głową i popatrzył w notatki. Zatknął ołówek za ucho i musnął dłonią wąsy. – To był Texas Ranger John Deaton, a dzwonił z McAllen w Valley. Od kilku dni nie miał ścisłego kontaktu ze swoim komisariatem, bowiem pojechał zająć się podwójnym morderstwem niedaleko Los Ebanos nad samą granicą i wrócił dopiero w nocy. Rano, kiedy sprawdzał najnowsze listy gończe, zauważył, że Dallas szuka Ackleya i kiedy do nich zadzwonił, dali mu nasz numer. Twierdzi, że we wtorek, tydzień temu – Leeland popatrzył na kalendarz – dwudziestego trzeciego, trzy dni po gwałcie na Snider w Dallas, Dennis Ackley i Clyde Barbish napadli na sklep z alkoholem w Mercedes, niecałe dwadzieścia kilometrów od granicy. Napad im się nie udał, doszło do strzelaniny,

Barbish dostał kulę, uciekł i więcej go nie widziano. Ackley zabił dwóch pracowników, przy czym jeden z nich strzelił niemal równocześnie i trafił go z karabinu prosto w twarz. Dwa dni przed śmiercią Dorothy Samenov.

Rozdział dwudziesty pierwszy

– Gdyby ojciec kazał mi wypić truciznę, zrobiłabym to – stwierdziła. – Tyle dla mnie znaczył. Nie zastanawiałabym się przez sekundę.

Mary Lowe mówiła o swoim ojczyźnie, o tym ile zaczął znaczyć dla niej i jej matki, gdy wyzwolił ich z tułaczki po południowych stanach, gdzie matka podejmowała kolejne prace, a Mary próbowała przyzwyczaić się do bezustannych zmian pokojów i mieszkań, wynajmowanych w pensjonatach i trzeciorzędnych domach. Broussard natychmiast zauważył przejęzyczenie, kiedy zamiast „ojczym” powiedziała „ojciec”. Z jakiegoś powodu zaniepokoiło go to, natychmiast wróciło mu złe przeczucie z poprzedniej sesji.

– Staliśmy się sobie bardzo bliscy. Chodziłam wtedy do trzeciej klasy. Straciłam rok z powodu podróży z matką, byłam więc starsza od reszty dzieci.

Mary była szczupła i elegancka jak paryska modelka i przykładła wielką wagę do mody. Jej zgrabne ciało powodowało, że cokolwiek na siebie włożyła, zamieniało się w dzieło haute couture, zwracano na nią uwagę wszędzie, gdzie się pojawiła. Naprawdę była wyjątkową kobietą i Broussard bez trudu mógł sobie wyobrazić, że to, co ma pod sukienką, jest podobnie inspirujące. Wiele czasu spędził nad wyobrażaniem sobie tej „inspiracji”. Jej najdrobniejszych szczegółów. Poza zdrowym zachwycaniem się jej anatomią,

niezwykle cenił jej gust. Lubił oglądać, jak się ubierała, i nigdy nie widział najdrobniejszego szczegółu, który nie byłby na miejscu.

Dziś ściągnęła do tyłu gęste blond włosy i związała je na karku białym koronkowym szalem. Miała na sobie podobną nieco do komiży sukienkę ze sztucznego jedwabiu w kunsztownie rozmieszczony wzór z czarnych i białych kropek ozdobioną białym, wykończonym koronką kołnierzem, sięgającym linii piersi. Pończochy miała śnieżnobiałe, pantofle – stojące teraz pod kozetką – koloru kości słoniowej. Leżała, z jedną ręką wzdłuż tułowia, a drugą położoną na szczupłej talii.

– Stał się moim najlepszym przyjacielem – ciągnęła. Jej prawa dłoń dotykała spódnicy. – Pływaliśmy razem w naszym basenie, świetnie się przy tym bawiąc. Wie pan – kto szybciej przepłynie kawałek pod wodą, kto za jednym nurkowaniem wyciągnie z dna po głębszej stronie więcej monet, kto zrobi pod wodą więcej przewrotów. Matka albo czytała w leżaku na brzegu, albo drzemała w domku plażowym. Oglądaliśmy dużo telewizji, jedliśmy rozwaleni na kanapie lub na podłodze pizzę albo prażoną kukurydzę. Lubił, kiedy przytulałam się do niego albo kładłam mu głowę na kolanach. Często tak zasypiałam. Matka siedziała w wielkim fotelu, malowała paznokcie albo czytała czasopisma, często gdzieś po prostu wychodziła. Razem też gotowaliśmy. Lubił gotować i nauczył mnie, jak pomagać w kuchni. Wszystko, co wiem o gotowaniu, wiem od niego, nie od matki. Właściwie nie pamiętam jej w kuchni. Nie interesowała się kuchnią.

Leżąca na talii dłoni wyprostowała się i Broussard zauważył, że Mary delikatnie przyciskają do brzucha – jakby ją lekko zabolalo albo chciała usunąć napięcie. Popatrzył na jej twarz, na lekkie zaczerwienienia oczu, leciutko asymetryczne usta ze śladem dołeczka z jednej strony. Między brwiami pojawiło się jednak drobne napięcie – początek zmarszczki na czole.

– Był moim ojcem.

Broussard znowu zwrócił uwagę na sformułowanie, choć nie było teraz jasne, czy użyła słowa w rozumieniu „Był moim drugim ojcem”, „Był dla mnie niczym ojciec” czy „Stał się dla mnie ojcem”.

– Kochał mnie. Mówił mi to i czułam się wtedy wspaniale. Bardzo chciałam być kochaną, chciałam, aby mi to okazywano. Przebywał ze mną tak dużo, że wytworzył się między nami szczególny związek emocjonalny. Rozwinęło się to bardzo szybko, była bowiem we mnie pustka i błyskawicznie ją wypełnił. Stałam się jego „małą dziewczynką”. Równocześnie, ponieważ moje „potrzeby emocjonalne” zostały zaspokojone, matka zaczęła się coraz bardziej ode mnie oddalać. Nie wyglądało na to, by bardzo się nim interesowała. Moja symbioza z ojcem zdawała się być dla niej niczym... wyzwolenie... przyzwolenie na zajmowanie się bardziej sobą, folgowanie swoim narcystycznym potrzebom. Coraz bardziej się od nas oddalała, koncentrowała na sobie, puszyła jak samotny biały ptak. Była piękna... i tak egoistyczna.

Mary przerwała i dłoni leżącej wzdłuż ciała ręki złapała skraj sukienki. Nie wygładzała jej, nie poprawiała, jedynie chwyciła ka-

wałek materiału między kciuk a palec wskazujący. Palce na brzuchu poruszały się drobnymi ruchami, ale nieprzerwanie.

– Chciałam, by ojciec też wiedział, że go kocham. Nie chciałam, by mnie kiedykolwiek porzucił albo oddalił się jak matka. Pamiętam, jak bardzo się bałam, że mogłoby do tego dojść. Pewnego popołudnia poszłam na zakupy z koleżanką ze szkoły i jej matką i wtedy kupiłam swoje pierwsze bikini. Było w kolorze akwamaryny, a kiedy je kupowałam, wyobrażałam sobie, jak pięknie będzie wyglądać w błękitnej wodzie naszego basenu. Nie mogłam się doczekać, kiedy pójdę w nim pływać. Wyobrażałam sobie, jak będę piękna, zlewając się kolorem z wodą. Uwielbiałam wtedy określone barwy, sam ich widok sprawiał mi przyjemność. W lecie często pływaliliśmy wieczorami i bardzo to lubiłam, gdyż światła pod wodą wyglądały tak egzotycznie... Tego wieczora włożyłam nowe bikini do gry z ojcem w piłkę wodną. Szaleliśmy, w końcu złapałam piłkę i uciekłam mu.

Gonił mnie, śmiał się, w końcu złapał i... zaczął trzymać... jakoś inaczej. Już nie pamiętam, jak było z początku. Nie czułam tego nigdy przedtem, nigdy o tym nie myślałam, natychmiast jednak wiedziałam, co to jest... było twarde i przytykał to do mnie od tyłu, wciskał mnie sobie w krocze. Czułam, jak pociera tym czymś długim między moimi pośladkami i nagle jego dłonie wsunęły się za mój biustonosz i zaczął miętosić mi sutki, masować je, ścisnąć w palcach. – Mary przerwała i przełknęła ślinę, jej oczy wpatrywały się w dziwny obraz. – Byłam tak zaskoczona... że nawet sienie poru-

szylaam. Myślałam tylko: „Co to jest?”, „Co on robi?”, a on po chwili zadrżał i mocno mnie do siebie przycisnął. Kręciło mi się w głowie. Było to coś nie z tej ziemi – nic nie rozumiałam i nie podobało mi się. Chyba zaczęłam się wyrwać, ale zaczął się śmiać, odepchnął mnie udając, że dalej się bawimy i podpłynął do brzegu basenu.

Nerwowe ruchy palców Mary zdradzały jej podniecenie i skłaniały Broussarda, by patrzył na jej twarz. Drobną zmarszczka pomiędzy brwiami przemieniła się w poważnego marsa, mina Mary nie sugerowała jednak, że jest zdenerwowana, wyglądała raczej, jakby wsłuchiwała się w dalekie, słabe dźwięki. Broussard obserwował dalej. Przez lata nasłuchiwał się sporo podobnych opowieści i zastanawiał się zarówno, jak poradziła sobie z problemem w dzieciństwie oraz jak zinterpretuje go teraz. Nie odzywał się, choć nieco irytowało go wspomnienie własnego podniecenia. Potępienie się nie miało jednak sensu. W sumie jego reakcja była normalnym zjawiskiem biologicznym. To, że mówiła, jakby była dzieckiem, nie miało znaczenia. A może miało – i właśnie to go dręczyło?

Chodziło jednak o coś więcej niż o złamanie konwencji. Emocje, które pojawiły się w nim przy opowieści Mary Lowe, były echem tego samego, co czuł pięć lat temu do Bernadine. Nie tylko dostrzegwał w swoim wnętrzu znajome drżenie, lecz także natrętny lęk. Poczucie poruszania się po mglistych peryferiach moralnych granic, które pojawiło się w pierwszych miesiącach sesji z Bernadine, pojawiło się znowu – przy pełnych bólu wspomnieniach z dzieciństwa Mary. Norweski malarz Edward Munch określił

to kiedyś mianem „dręczących kolorów odeszły eh dni”...

Mary nie od razu zaczęła mówić dalej. Broussard spojrział na zegar stojący na kominku i stwierdził, że milczała siedemnaście minut. Tak jak zwykle i on milczał, obserwował, zauważył, że Mary poruszyła nogami, niemal tak samo nerwowo jak palcami, bardzo jednak nieznacznie – jak ktoś, kto zbyt długo leżał w tej samej pozycji. Szybko jednak odzyskała panowanie nad sobą. Wielką siłą woli ujarzmiła ciało, uspokoiła drżenie i wkrótce na tyle nad sobą panowała, że mogła kontynuować.

– Zaraz jak tylko się wyrwałam, odwróciłam się do matki, która siedziała z drugiego końca basenu, z nogami w wodzie i czasopiśmem w dłoni. Niczego nie zauważyła. Popatrzyłam na ojca, na co zmarszczył czoło i pokręcił głową dając do zrozumienia, żebym nic nie mówiła. Chyba wiedział, co mi chodzi po głowie. Byłam oszołomiona tym, co zrobił, a teraz jeszcze chciał, żebym milczała. To było naprawdę... dziwne. – Mary zdawała się nie móc znaleźć lepszego określenia swoich ówczesnych emocji. – Chciał, żeby matka się o niczym nie dowiedziała.

O tym, co zrobił. Nawet mój dziecięcy umysł pojmował, jak okropną rzecz mi nakazywał, że jest to coś na kształt punktu zwrotnego. Wyrażając zgodę, stałabym się jego współniczką. Gdybym się zgodziła, dzielilibyśmy wspólną tajemnicę. Stałam dalej w wodzie, patrzyłam na matkę, powoli poruszającą zanurzonymi do połowy łydek nogami, zaczytaną w czasopiśmie. Za moimi plecami ojciec zaczął wołać mnie po imieniu, w jego śmiechu było zmieszanie.

Stojąc między nimi, próbowałam zrozumieć, o co chodzi. Dlaczego tak dziwnie mi było z tym, co zrobił? Co on w ogóle zrobił? Co takiego jest w moich sutkach, że nie powinien mnie tam dotykać, co jest z tą jego twardą rzeczą, że nie powinien był robić tego, co zrobił? Co właściwie zrobił? Pocałował mnie w usta i pościskał pupę. Co w tym niezwykłego? Było przyjemne... Wiedziałam, że nigdy by mnie nie skrzywdził. Wiedziałam, że mnie kocha. Wiedziałam też, że jeżeli powiem o tym, co się stało, będzie to dla nas obojga niemiłe. Popsułoby wszystko.

W ciągu kilkudziesięciu sekund Mary Lowe wprowadziła się w stan wielkiego wzburzenia i nie była w stanie dłużej leżeć. Gwałtownie usiadła i zwiesiła nogi z kozetki. Przeciągnęła dłonią po twarzy.

– Przepraszam, czy mogłabym dostać wilgotny ręcznik?

– Oczywiście.

Broussard odłożył notes, poszedł do łazienki, zmoczył ręcznik i wrócił do Mary Lowe. Twarz miała zaczerwienioną i dość ciężko oddychała. Wzięła ręcznik, podziękowała i położyła go sobie na twarzy, nie zwracając uwagi na makijaż. Po chwili uniosła ręcznik. Doktor stał przed nią i przyglądał się, stwierdzając, że jej wzburzenie go podnieca. Ignorując jego bliskość, włożyła ręcznik w dekolt, głęboko między piersi. Broussard przyglądał się z nie ukrywanym zachwytem. Nagle zamarła i popatrzyła na niego. Opuściła wzrok na jego krocze, ale marynarka zakrywała wybrzuszenie. Nieważne. Wiedziała. Oboje rozumieli, o co chodzi. Bez słowa rzuciła w niego

ręcznikiem. Uśmiechnął się, zaniósł go do łazienki, powiesił na umywalce i wrócił do gabinetu. Mary Lowe siedziała z torebką na kolanach i poprawiała makijaż. Broussard usiadł w fotelu i przyglądał się jej. Po jakimś czasie zapytał:

- Uważa pani, że ten incydent wydarzył się przypadkowo?
- Co ma pan na myśli?
- Czy zastanawiała się pani, że mogła w jakiś sposób spowodować ojczyrna?

Jej wzrok gwałtownie przeniósł się z lusterka w dłoni na niego. Poczł się, jakby go spoliczkowała.

– Czasami dzieci, dziewczynki, bywają nieświadomie prowokujące – dodał Broussard. – Może chciała pani, by coś takiego się wydarzyło. Dlaczego kupiła pani dwuczęściowy kostium? Musi pani przyznać, że znacznie więcej pokazuje, jest bardziej...

Lowe opuściła lusterko, zatrzasnęła je i włożyła do torebki. Popatrzyła na Broussarda.

– Byłam dzieckiem. Broussard uśmiechnął się.

– Oczywiście, ale czy uważa pani, że dzieci są stuprocentowo niewinne... w tego typu sprawach? Czasami nawet jako dorośli nie wiemy, dlaczego robimy niektóre rzeczy. Kierują nami nieświadome impulsy i czasami, póki nie skończymy danej czynności, nie zdajemy sobie sprawy, co tak naprawdę się dzieje. Dopiero potem dociera do nas, że stało się więcej, niż się wydawało na pierwszy rzut oka. Czy nigdy się pani nie zastanawiała nad tym, że – może nieświadomie – chciała, by ten incydent się przydarzył?

Mary Lowe wstała z kozetki i popatrzyła na Broussarda.

– To nie był incydent.

Rozdział dwudziesty drugi

Vickie Kittrie nie wróciła do pracy w środę i jej szef powiedział Palmie, że poprosiła o tydzień „chorobowego”. Nie było jej też w domu. Palma znalazła ją w Olympii, u Heleny Saulnier.

Tak więc znów siedziały we trzy w salonie Saulnier. Przedpołudniowe słońce rzucało blask koloru polerowanego mosiądzu na ciemną terakotową posadzkę pomieszczenia, wychodzącego na pełne palm i tropikalnych roślin patio. Może przypadkiem, może z powodu nieświadomej potrzeby powtarzania precedensów, Palma i Kittrie siedziały na tych samych miejscach co dwa dni wcześniej. Patrzyły na siebie przez pokryty złotymi kafelkami stolik do kawy, tyle tylko że Saulnier tym razem nie przeprosiła, lecz usiadła na fotelu między nimi. Obie kobiety były ubrane po domowemu – Kittrie w białe szorty i białą sportową koszulę, Saulnier, tak jak poprzednio, w sarong i górę od czarnego bikini. Obie wyglądały na zmartwione trzecią wizytą Palmy w ciągu trzech dni. Kittrie była jak zwykle zalekńniona, tym razem jednak i Saulnier wyglądała na poważnie zaniepokojoną. Palma uznała, że to dobra okazja, by od razu przejść do sedna. Już zbyt długo zachowywała się delikatnie.

– Powiem wprost – zaczęła patrząc na obie, ale zatrzymując wzrok na Kittrie. – Wiemy, że była pani kochanką Dorothy Same-nov. – Choć Kittrie spojrzała na nią zaskoczona, a na jej policzki natychmiast wypłynął rumieniec, nie zamierzała przerywać. – Wiem, że Dorothy zależało na zachowaniu w tajemnicy faktu biseksualności

i wiem, że jej były mąż ją z tego powodu szantażował. Poza tym on także nie żyje. – Kittrie opadła szczęką. – Zginął przypadkiem, zastrzelony podczas napadu na sklep z alkoholem. Muszę przyznać, że był naszym głównym – i jedynym – podejrzanym, ale teraz nie jesteśmy nawet na milimetr bliżej rozwikłania tej sprawy niż dwa dni temu, kiedy po raz pierwszy weszłam do mieszkania Dorothy. Muszę dodać, że mniej więcej miesiąc przed śmiercią Dorothy, w niemal identyczny sposób została zamordowana inna kobieta. – Tym razem Saulnier i Kittrie wyraźnie się zaniepokoiły. – Pytałam panią o nią podczas naszej pierwszej rozmowy. Nazywała się Sandra Moser.

– Pamiętam – powiedziała Kittrie kiwając głową. – Ale nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

– Została znaleziona w hotelu Doubletree w Post Oak. Pisano o tym w gazetach.

– Przypominam sobie – wtrąciła Saulnier. – Nie skojarzyłam tych spraw. Została zamordowana... w ten sam sposób?

Palma skinęła głową i otworzyła kopertę, którą przyniosła ze sobą. Wyjęła zdjęcie Moser i kopie trzech czarno-białych zdjęć nie zidentyfikowanej kobiety z manekinem.

– Czy rozpoznaje pani którąś z tych kobiet?

Vickie nie była chyba tak bystra, za jaką chciała uchodzić, więc kiedy przyjrzała się zdjęciom, szybko popatrzyła na Saulnier, udającą, że niczego nie zauważa. Saulnier spojrzała na Palmę, pokręciła głową i wzruszyła ramionami. Twarz Vickie była pozbawiona wyra-

zu jak u imbecyla.

Palma gotowała się w środku, ale udawała obojętność. Wydawało jej się absurdalne, że musi marnować czas na szarady.

– Powiem pani, co sądzę, a na tym założeniu opiera się nasze śledztwo. Jesteście grupą biseksualistek – spojrzeniem na Saulnier dała do zrozumienia, że i ją do niej zalicza – która z powodów zawodowych albo innych chce zachować w ścisłym sekrecie swoją bi – albo homoseksualność. Spotykacie się prywatnie, choć publicznie zachowujecie dystans. Być może tak oddzieliłyście swoją prywatność od pracy zawodowej, że niektóre z was znają te same kobiety nie wiedząc o tym. W każdym razie kilka z was – też nie zdając sobie z tego sprawy – zna tego, kto zamordował Sandrę Moser i Dorothy. On będzie zabijał dalej. Jest to pewne, ponieważ żadna z was nie chce z nami współpracować i nie mamy żadnego tropu. Krąży po mieście – mąż, kumpel, kochanek, przyjaciel, fryzjer, hydraulik, dyrektor – kimkolwiek jest i na pewno znów zaatakuje. Dopóki będziecie utrzymywać to idiotyczne konspiracyjne milczenie, skazujecie swoje koleżanki na śmierć.

Palma przerwała i przyjrzała się obu. Kittrrie wierciła się jak uczennica, która dostała burę, jej młodzieńcze piersi nawet jednak nie zmuszane tworzyły pośrodku uwodzicielskie zagłębienie, a kręcone włosy otaczały twarz w sposób, który – nawet bez zmarszczonego tak jak w tej chwili czoła – musiał robić wrażenie na mężczyznach. Saulnier zrozumiała.

– Czy ta druga kobieta też była biseksualna? – spytała.

– Nie wiemy. – Palmę męczyła ta zabawa. Kiwnęła głową w kierunku zdjęć. – To ta blondynka. Mamy nadzieję, że pomogą nam panie to wyjaśnić.

– Nie znam jej – odparła Saulnier. Potem nachyliła się nad zdjęciami i wskazała palcem na kobietę z manekinem. – Ale znam tę. – Spokojnie popatrzyła na Palmę. – Jest pani pewna wątku biseksualnego?

– Niczego nie jestem pewna. To założenie.

Saulnier skinęła głową i opadła na fotel. Rozwinął się jej sarong, ukazując spory kawałek opalanej skóry po wewnętrznej stronie uda. Nie poprawiła odwiniętego materiału. Jedyne jej oczy i zmarszczki wokół ust zdradzały, o ile jest starsza od Kittrie i Palmy. Bez najmniejszej wątpliwości dotarła do niej waga słów Palmy i wyważała je z czymś, czego Palma mogła się jedynie domyślać.

– To nie jest „społeczność” – powiedziała w końcu – ale coś bardzo zbliżonego.

Vickie Kittrie sięgnęła po papierosy, a Saulnier podciągnęła się na fotelu, przez co sarong niemal do końca się odwinął, ukazując nagie ciało niemal po biodra. Widać było nawet skraj ciemnego trójkąta między jej udami. Jej postawa zdawała się symbolizować poddanie – Palma wygrała i nie było powodu dalej się ukrywać. Palma zastanawiała się, o czym myśli Saulnier. Czy naprawdę tak dobrze czuła się nago, że zdecydowała się na ten ekshibicjonistyczny pokaz? A może chodziło o wciągnięcie Palmy w krąg „damskiego”

erotyzmu? Może motywy Saulnier były jednak bardziej egoistyczne – może podniecało ją obserwowanie reakcji Palmy, która nie miała gdzie odwrócić wzroku od ostentacyjnego pokazu i musiała oglądać nagie ciało w całej okazałości?

– W zasadzie to Dorothy założyła tę... grupę, pięć lub sześć lat temu – zaczęła Saulnier, rzucając szybkie spojrzenie Kittrii. – W dzieciństwie była seksualnie wykorzystywana i aby tego uniknąć, w wieku piętnastu lat uciekła z domu. Aż do końca szkoły mieszkała w schronisku dla młodzieży. Była bystra, odważna i dostała stypendium do koledżu. Tam poznała Louise Ackley i odkryła w sobie pociąg seksualny do kobiet. – Saulnier przerwała, jakby chciała coś wyjaśnić, zmieniła jednak zdanie i kontynuowała poprzedni wątek. Palmie przypomniał się pijany klnący mężczyzna w mieszkaniu Ackley. – Dorothy szybko zrozumiała, że musi ukrywać ten aspekt swojego życia. Wtedy zaczęła tworzyć prototyp „sieci”. W czasie studiów poznała brata Louise i z niezrozumiałych przyczyn wyszła za niego za mąż. Wie pani, jak to się skończyło. Dorothy i Louise kontynuowały jednak dalej swój związek. Oczywiście kłamałam, mówiąc, że niewiele ją znam. Byłyśmy sobie bardzo bliskie, w końcu mieszkaliśmy przez ulicę. Na krótki czas zostaliśmy kochankami, ale okazało się, że jesteśmy zbyt podobne do siebie. W każdym razie Louise była przez wiele lat jej kochanką, za plecami Dennisa. To taki palant, tak skoncentrowany na sobie, że nie orientował się, co jest grane. Któregoś dnia nakrył je razem. Od tego momentu zaczęła je szantażować. Z wyjątkiem kontaktu z Dennisem,

Dorothy była niezależna i kuta na cztery nogi. Robiła karierę, mimo że Dennis wisiał jej kamieniem u szyi, nawet po rozwodzie. Tak więc zaczęła rozbudowywać sieć mającą za zadanie pomóc tym lesbijkom i biseksualistkom, które chciały zachować w tajemnicy swoją orientację seksualną, dyskretnie nawiązać kontakty z im podobnymi. Wiele tego typu kobiet jest na wysokich stanowiskach i mogłyby je potracić, gdyby wyszły na jaw szczegóły ich życia erotycznego. Niejedna ma męża i uważa się za szczęśliwe ich małżeństwo – jeżeli to nie sprzeczność wewnętrzna. Nie chcą rezygnować z rodziny, ale pragną tego, co mogą dostać jedynie od drugiej kobiety. Wiele pochodzi z wyższych sfer. – Skinęła głową. – Ma pani rację, tajemnica działania tego systemu polega na oddzieleniu prywatności od życia zawodowego. Spotykając się z kimś pierwszy raz, nie używamy prawdziwych nazwisk, niektóre nie używają ich nigdy. Jeżeli zapisujemy nazwiska i numery telefonów, zawsze są kodowane. Każda z nas ma swój własny kod.

– Zna pani kod Dorothy?

– Nie, i na tym polega dowcip – rzeczowo powiedziała Saulnier. – Nigdy nie chadzamy w publiczne miejsca dla lesbijek i nie ujawniamy się jako lesbijki. Są wśród nas kobiety w różnym wieku, jest nawet kilka starszych osób, choć trzeba przyznać, że bardzo dobrze zakonserwowanych. Mają takie dochody, że stacje na samodzielność. Większość z nas jest bardzo kobieca. – Saulnier pozwoliła sobie na kwaśny uśmiech. – W naszej szczególnej sieci prawdziwa kobieta, która poszukuje innej kobiety, poszukuje prawdziwej kobie-

ty.

Saulnier przerwała, jakby chciała dać do zrozumienia, że to wszystko.

– Jak duża jest ta grupa?

– Nie wiem. Mogłabym wymienić z pamięci kilkadziesiąt osób, ale o wielu nie mam pojęcia.

– Jak działa ta sieć?

Saulnier kiwnęła głową, jakby spodziewała się pytania, ale minę miała spokojną.

– Widzi pani, w tym właśnie problem... Niektóre z członkiń są... na eksponowanych stanowiskach. Albo ich mężowie są na eksponowanych stanowiskach... i nie mają pojęcia o grupie ani o potrzebach swoich żon. – Przesunęła palcem po ciemnej, mocno wygiętej brwi i odwróciła spojrzenie. Zastanawiała się, przygryzała od wewnątrz policzek. – To delikatna sprawa. Naprawdę nie wiem, co robić.

– Musi pani jedynie wziąć pod uwagę, że ktoś być może dowiedział się o waszej sieci – odparła Palma. – I nie spodobała mu się. Może mąż, może syn, przyjaciel albo kochanek którejś z kobiet. Musi pani to założyć. Ktoś się do was dobrał.

Saulnier wyprostowała się i przeciągnęła drobną dłonią po nagich żebrach. Znowu rzuciła szybkie spojrzenie Kittrii. Vickie siedziała ze splecionymi na piersi ramionami, gryząc kciuk i wpatrywała się w Saulnier. Palma popatrzyła na Vickie.

– Vickie, mówiła pani, że kilka razy spotkała u Dorothy Gila

Reynoldsa. Wiem, że miał z nią romans przez niemal rok. Co pani o nim sądzi?

– Jest w porządku. To miły facet.

– Jak zareagował, kiedy się dowiedział, że Dorothy jest biseksualna?

– Nieco przesadnie.

Palma podejrzewała, że to bardzo łagodne stwierdzenie.

– Co to znaczy?

– Wiem to tylko od Dorothy, a powiedziała, że przebił pięścią ściankę działową. Potem zniszczył kilka jej rzeczy.

– Jakie?

– Perfumy i kosmetyki. To, co stało w sypialni. Chyba właśnie tam byli, kiedy mu powiedziała.

– Często gwałtownie wybuchał?

– Nie sądzę.

– Czy Dorothy wspominała o tym, jak znokautował Dennisa Ackleya? Vickie skinęła głową.

– Co się stało?

– Dennis uderzył Dorothy, kiedy Gil był w mieszkaniu i Gil rzucił się na niego.

– Raz uderzył i pozbawił go przytomności? Vickie wzruszyła ramionami.

– Nie, według Dorothy było trochę inaczej. Odbyła się regularna bijatyka i musiała odciągać Gila od Dennisa, Gil prawie urwał mu ucho i trzeba było je szyć. Podobno Gil o mało go nie zatłukł.

– Na mnie wywarł wrażenie niemal dżentelmena – stwierdziła Palma. – Jakie ma pani o nim zdanie?

– Takie samo, ale jest w nim też i druga strona. Czasami trochę się go bałam, choć nie wiem dlaczego. Wydawało mi się, że tak samo dobrze mogłam to być ja...

Palma nie mogła uwierzyć w jej słowa.

– Dlaczego uważa pani, że Dorothy i ta druga kobieta mogły znać mordercę? – spytała Saulnier. – Może były przypadkowymi ofiarami? Nawet nie ma pani dowodu na to, że ta druga była biseksualna.

– Fakt, nie mamy pewności, ale Sandra Moser poszła z własnej woli do hotelu, zameldowała się pod fałszywym nazwiskiem, bez dwóch zdań, aby spotkać się z kimś, kogo znała. Wszystko wskazuje na to, że Dorothy też znała swojego zabójcę. Wpuściła go z własnej woli do domu. Nie ma śladów włamania. Nie było walki, śladu oporu.

– Ale powiedziała pani, kiedy rozmawialiśmy ostatnio, że została uduszona. Musiało dojść do walki.

Palma pokręciła głową.

– W ten sposób dochodzimy do następnego szczegółu, o którym chciałam porozmawiać. Zarówno Moser, jak i Dorothy zostały uduszone... paskiem, prawdopodobnie tym samym. Zostały przedtem przywiązane za nadgarstki i kostki – jak mówiłam – bez stawiania oporu. Pozwoliły sprawcy się przywiązać. Obie zostały okaleczone w podobny sposób. W obu domach znaleziono ukryte akcesoria

sadomasochistyczne. Czy wiele kobiet z waszej grupy interesuje się podobnymi praktykami?

Saulnier z pełnym przekonaniem pokręciła głową.

– Podejrzewam, że to, co znaleźliście, było używane do celów autoerotycznych.

Palma była na to przygotowana. Wzięła kopertę i wyjęła cztery kolorowe zdjęcia przywiązanej do łóżka Samenov i zamaskowanego oprawcy. Rozłożyła fotografie na stoliku i popatrzyła na Vickie i Saulnier. Saulnier zbaraniała, Kittrie zbladła, spuściła oczy i zaczęła nerwowo zaciągać się papierosem.

– Vickie, rozumiem, że ma pani coś na ten temat do powiedzenia.

Mina Saulnier błyskawicznie się zmieniła, ukrywając zaskoczenie, jej oczy zdradzały jednak niewiarę. Niby mimochodem odwróciła się do Kittrie, która kręciła opuszczoną głową. Kiedy Saulnier dostrzegła, że Vickie coś ukrywa, natychmiast postanowiła jej bronić.

– Momencik! – rzuciła. – Czego pani właściwie chce?

– Chcę się dowiedzieć, kim jest mężczyzna prowadzący z Dorothy tak brutalną grę seksualną. – Palma mówiła to do Vickie, ignorowała opiekuńczą postawę Saulnier. – Chcę wiedzieć, kim jest człowiek w masce.

– Nie! – zawyła Kittrie, starając się mówić tonem zdecydowanym. – Nie. Mężczyźni? Nie!

– Vickie, wiemy, że brali w tym udział mężczyźni. – Palma

uniosła głos, naciągając prawdę. Chciała wykorzystać tę możliwość do końca, zaraz jednak się pohamowała, by nie przegiąć.

Kittrie nie zaczęła płakać. Dzień dodatkowego odpoczynku wzmocnił jej nerwy, może także determinację.

– Nie interesuje mnie, co pani sądzi, że wie – odparła unosząc głos. – Byłyśmy tylko... we dwie... kiedy mnie poprosiła... o coś. Zgodziłam się.

– Jak to? To pani zrobiła te zdjęcia?

– Nie, mówię o czymś podobnym jak na tych zdjęciach. Dorothy lubiła takie rzeczy.

– To widać. Chcę znać nazwiska mężczyzn.

– A ja powtarzam, że nie było żadnych mężczyzn.

– W takim razie to kto? – Palma wbiła palec w postać na zdjęciu.

– Nie mam pojęcia. – Kittrie szybko rzuciła okiem na ciągle jeszcze zdumioną Saulnier.

Palma świdrowała ją wzrokiem. Niech to cholera... wierzyła jej. Splątanie dziewczyny i jej irytacja oznaczały dla Palmy poczucie bezradności w obliczu niemożliwych do spełnienia zadań. Palma wierzyła, równocześnie coś jej jednak mówiło, że Vickie traci grunt pod nogami. Nikt się nie odzywał, Saulnier, w dalszym ciągu oszołomiona, podwinęła nogi pod siebie, owinęła je sarongiem i zastanawiała się nad czymś, nad czym jeszcze nigdy w życiu nie myślała. Niechętnie odwróciła oczy od Kittrie i popatrzyła na Palmę.

– Proszę pani, jestem przerażona, ale nie umiem się zdobyć na

wymienienie nazwisk. Proszę mi pozwolić porozmawiać z kilkoma kobietami... Szczerze mówiąc, wątpię, by którakolwiek zaryzykowała i zaczęła mówić, proszę mi jednak pozwolić spróbować. – Popatrzyła na zdjęcia na stoliku. – Proszę pozwolić mi porozmawiać z nią. – Wskazała palcem na kobietę na zdjęciu.

– Niech pani też weźmie zdjęcia Sandry Moser. Musimy dowiedzieć się więcej o tym, kogo przy tym zdjęciu widziała. Może być nam pani bardzo pomocna.

Znów zapadła cisza. Po scenie, która właśnie się odbyła, Palma zwlekała z następnym krokiem.

– Jest jeszcze jedno. W laboratorium stwierdzono, że w pokoju Dorothy i na jej ciele były włosy dwóch obcych osób. – Obie kobiety popatrzyły na Palmę z niedowierzaniem. Kittrrie robiła wrażenie, jakby miała się rozplakać. – Którąś z nich może być zabójca. Przy dalszych badaniach mieszkania mogą się odnaleźć kolejne włosy. – Nie było to zbyt wielkim kłamstwem. Popatrzyła na Kittrrie. – Ponieważ była pani kochanką Dorothy i często u niej bywała, musimy wiedzieć, które z tych włosów są ewentualnie pani. Potrzebujemy próbek.

– Boże... – jęknęła Saulnier. Wyglądało na to, że ma ochotę za protestować i Palma obawiała się, że zaprotestuje w imieniu Vickie.

– Nie ma sprawy. Co mam zrobić? – odparła spokojnie Vickie.

Saulnier pokręciła głową, jakby nie była w stanie uwierzyć w głupotę Vickie.

– Muszę dostać od pani po pięć włosów z różnych części gło-

wy. Z przodu, z tyłu, z obu stron i z czubka. Dziesięć z górnego brzegu owłosienia łonowego i dziesięć z okolicy pochwy. Muszą być wyrwane, nie obcięte i muszę być świadkiem, że pochodzą od pani. Mam ze sobą plastikowe torebeczki i zapiszę na każdej miejsce, skąd pobrano włosy. Jeżeli pani chce, możemy iść do łazienki.

– Wszystko jedno. Możemy zrobić to tutaj.

Saulnier pomagała, Palma oznakowywała torebki i po kilku minutach dwadzieścia pięć długich włosów z głowy było zapakowanych. Kittrie rozpięła szorty, zdjęła je, potem różowe majtki i usiadła na kanapie. Ze schyloną głową, ostrożnie wrywała skręcone włosy z górnego brzegu trójkąta – jeszcze wolniej i ostrożniej zrobiła to samo pomiędzy nogami. Palma podstawiała torebeczki i Kittrie po jednym wrzuciła włosy do środka.

Kiedy Kittrie się ubierała, Palma oznakowała torebki, owinęła je gumką i schowała. Potem – z wyjątkiem zdjęcia Sandry Moser – powkładała fotografie do koperty, wstała i zaczekała, aż Vickie Kittrie skończy się ubierać.

– Dziękuję, że zechciała nam pani pomóc. To było naprawdę ważne.

– Nie ma sprawy. – Kittrie nie wyglądała już na złą, jedynie na pokonaną. Palma chętnie by jeszcze coś powiedziała, ale nie wiedziała co. Dziewczyna stanowiła tak dziwną mieszaninę niewinności i kręctwa, że nie było wiadomo, jak się z nią obchodzić.

Palma odwróciła się do Saulnier.

– Ma pani jeszcze moją wizytówkę i numer telefonu?

Saulnier skinęła głową, na co Palma odwróciła się i ruszyła ku wyjściu. Saulnier poszła za nią do drzwi. Palma sama otworzyła sobie drzwi i nie odwracając się ku Saulnier, powiedziała:

– Niech pani zbyt długo nie czeka ze skorzystaniem z niej.

Po tych słowach wyszła do ogrodu pełnego palm i rabat pełnych jaskrawych lwich paszczy.

Rozdział dwudziesty trzeci

Siedziała z matką na huśtawce i słuchała o najnowszych horrorach z sąsiedztwa. Średni syn Cynthii Ortiz został aresztowany za gwałt na dziewczynie w Mayfair i mówi się, że zwariował od kokainy. Najmłodsza córka Limaresów wychodzi za mąż i mówi się, że jest w trzecim miesiącu ciąży. Doris de Ajofin porzuciła męża i mówi się, że jej nowy facet jest związany z handlem *coca* w Cali. Rodrigo Ruiz został po raz trzeci aresztowany za nagabywanie dziewczynki w parku i mówi się, że tym razem pójdzie za kratki. Operacja usunięcia macicy Mariany Flandrau została przez lekarzy spaprana i mówi się, że zamierza ich skarżyć o dwa miliony dolarów. Najmłodsza córka Juana de Cosa, Lupita, zmarła i leży w Capilla de Tristeza, i mówi się, że wystarczy nachylić się nisko nad trumną, to widać ślady wkluc na jej przedramionach. Mówi się, że chłopak Lupity próbował popełnić samobójstwo.

W *barrio* mówiło się wiele rzeczy i podczas gdy Palma słuchała opowieści o ludziach, na których spadło nieszczęście, którym los zmienił życie, myślała o Helenie Saulnier i Vickie Kittrie, które zmieniły swe życie w las zakodowanych nazwisk i starych jak ludzkość seksualnych aberracji. Myślała o długich, nagich udach Saulnier, najwrażliwszych w miejscach gdzie ich krzywizna zakręcała ku ciemnemu trójkątowi, ukazanemu we fragmencie przez odwinięty sarong, zastanawiała się nad jej motywami i bezwstydnie seksualnym podtekstem jej zachowania. Palma nie rozumiała takich kobiet.

Kiedy pracowała w obyczaj owce, poznała znacznie więcej, niż chciała drugą stronę świata homoseksualnych kobiet – bary i kluby dla lesbijek, brutalny świat udawanej nieustępliwości, który wydał jej się gorzki i pełen rozpacz.

Helena Saulnier reprezentowała jednak sobą całkiem co innego. Dla Palmy nie było niespodzianką, że prawdziwa kobieta, która chce kobiety, chce prawdziwej kobiety. Wiedziała, że stereotypowe, udające supertwardzielki, babony w skórze i kochające je dziewczęce kobietki to jedynie wąski, kruchy margines kobiecego homoseksualizmu, ale przedstawiony przez Saulnier obraz tak szerokiego rozpowszechnienia bi – i homoseksualizmu wśród kobiet klas średniej i wyższej był dla niej nowością. Irytowało ją, że dotychczas nawet nie brała pod uwagę istnienia tego ukrytego świata. Prowadzący podwójne życie – czasem skutecznie, zazwyczaj jednak z katastrofalnymi skutkami – biseksualny mąż i ojciec pojawia się od dawna w typologiach współczesnych nauk społecznych. Charakterystyczne, że nawet przy opisie faktów dotyczących seksualizmu człowieka – nieistotne czy akceptowanych przez ogół czy nie – kobiety jeszcze nie osiągnęły równouprawnienia. Od tak dawna nie zauważa się i nie uznaje pełnienia przez kobiety tyłu „normalniejszych” ról społecznych, iż nawet nie dziwi, że wręcz nie do pomyślenia jest, by mogły hołdować tym dewiacjom seksualnym, które przypisuje się – jak na ironię – zniewieściałym mężczyznom.

Popołudniowy upał mijał i cieniste podwórze, którego ścieżki obrzeżały liliowe konwalniki, wypełniał słodki aromat żółtego kwie-

cia meksykańskiego szczodrzeńca. Palma jednym uchem słuchała plotek matki o najnowszych przerażających wydarzeniach w *barrio* i dumiała o Vickie Kittrie, kapryśnej mieszance niewinności i przebiegłości, która zdawała się kryć w sobie więcej perfidii niż cwana matrona. Przypomniało jej się, z jaką obojętnością Vickie zdejmowała różowe majteczki, bez wahania pokazała blade ciało wokół najintymniejszych miejsc, nachyliła się do przodu i patrząc zza bujnych piersi o sutkach różowych jak majtki, zaczęła wyrwać włosy z malinowego ciała z naturalnością i zimną krwią kogoś, komu młodość i geny dały ciało nie wymagające skromności.

Ponadto wszystkie te kobiety... Kilkadziesiąt mogła wymienić z pamięci i jeszcze było przynajmniej kilkadziesiąt dalszych. Kobiety, których szczęściem były zapach, smak i dotyk innych kobiet, które w innych kobietach adorowały nawet to, co same posiadały, pożądały ich i brały je z taką samą – a może wręcz większą – pasją i bezgranicznym oddaniem, z jakimi wychowywały synów i córki. Ukryte życie, podwójne życie, setki kamuflaży, a wszystko to tym bardziej intrygujące, że żadna z tych kobiet nie żyła na marginesie, lecz w centrum społeczeństwa i Palma podejrzewała, że gdyby weszła do pomieszczenia pełnego członkiń „grupy”, poczułaby się natychmiast jak u siebie – jakby znała każdą z nich od lat.

Dzięki szóstemu zmysłowi, jaki w samoobronie, dla zachowania zdrowia psychicznego, wytwarza się u dorosłych dzieci gadatliwych rodziców, myśli Palmy łatwo zaczynały wędrować, ale też natychmiast wracały do tu i teraz. Matka przestała mówić. Wyjęła

z wielkiej kieszeni białą chusteczkę i zaczęła ścierać pot z czoła i karku.

– A więc mamy prawdziwe lato – powiedziała po chwili. – Koniec z folgowaniem. Nie będzie chłodnych dni. – Pomachała chusteczką przy twarzy, aby się ochłodzić.

Palma popatrzyła na profil matki i przypomniało jej się, jak wyglądał, kiedy patrzyła na nią w dzieciństwie. Matka wiele się nie zmieniła, a może Palma jedynie chciała, aby tak było. Obserwowanie starzenia się rodzica było dla niej niezwykle. Ojciec zmarł zbyt młodo, by mogła to obserwować u niego, ale obserwowanie posuwającej się krok po kroku po linii czasu matki upokarzało. Życie po kolei zabierało to, co dawało przez lata. Taka jest natura rzeczy, tyle tylko że niewielu ludzi rozumie, na jak krótko dostaje się dary i pojmuje to dopiero na widok odbierania ich komuś, kogo się kocha.

– Mamo, czy znałaś kiedyś jakąś homoseksualną kobietę?

Matka w dalszym ciągu machała chusteczką, nie okazała niczym, że uważa pytanie za niezwykle, zenujące albo nie na miejscu.

– Homoseksualną? – spytała przekręcając nieco głowę i kierując wzrok ku cętkowanemu cieniowi pod wodnymi dębami, pekanowcami i surmiami. Palma wiedziała, że matka potraktuje pytanie spokojnie. Nigdy nie była pruderyjna ani nie udawała, że życie jest inne, niż sądzą normalni ludzie.

– Mam taką sprawę – odpowiedziała Palma, natychmiast myśląc o ojcu. On zawsze w ten sposób zaczynał rozmowy z matką. O sprawach, które go drażniły, mówił więcej niż każdy inny detek-

tyw. Dla niego Florencia była pomostem do zdrowia psychicznego. Palma pamiętała, jak wchodziła późnym wieczorem do salonu albo na werandę i zastawała ich zagłębionych w dyskusji. Matka czesała włosy albo popijała wodę z lodem lub lemoniadę, ojciec był bez butów, koszulę miał wypuszczoną na spodnie, nogi opierał na podnóżku albo na krześle, a jego namaszczone, łagodny głos dobiegał gdzieś z głębin potężnej jak beczka klatki piersiowej. Zaczęłyby: „Mam taką sprawę”, a Florencia zamilkłaby i zamarła, jakby nie chciała mu przeszkadzać, cokolwiek właśnie robiła albo zamierzała, szło w zapomnienie, zniknęło i poświęcała się całkowicie słuchaniu jego opowieści. – Zabito ostatnio dwie kobiety i tak się składa, że obie były biseksualne. Jedna z ofiar miała męża i dwoje dzieci. W trakcie śledztwa odkryłam grupę kobiet podobnych do ofiar, coś na kształt tajemnej organizacji, której członkinie prowadzą podwójne życie. Wiele z nich, może nawet większość, ma mężów i rodziny. Większość pochodzi z klas średniej i wyższej...

Palma przerwała. Nie wiedziała, czego oczekuje od matki, i nie wiedziała, co powiedzieć dalej. Nie mogła opisać sprawy. To nie miało sensu. Poczula się głupio, że w ogóle zaczęła na ten temat mówić, tak był odległy od tego, czym żyła matka.

– W sześćdziesiątym ósmym – powiedziała matka – kilka kobiet zamieszkało w dwóch niedaleko siebie położonych domach... zapomniałam na jakiej ulicy... w okolicy parku Magnolia. Były tam kilka lat i potem się wyprowadziły.

– Rozumiem, że były mężatkami.

Matka przestała machać chusteczką, wytarła pot z policzków, naciągnęła skórę na skroniach ruchem, którego musiała nauczyć się tak dawno temu, że był naturalny jak oddychanie. Odwróciła wzrok od rzucającego cień dachu z liści i zaczęła się przyglądać trzem gołębiom, skaczącym wokół fontanny otoczonej obsypanym pomarańczowoczerwonymi kwiatami milinem amerykańskim.

– Dwie – powiedziała matka odkładając chusteczkę w podolek i odpychając się stopą od kamieni, aby huśtawka znów zaczęła się bujać. – Jedna nie żyje, druga jest zbyt stara, aby na jej temat plotkować.

– Tutaj?

– Tutaj.

– Dobrze je znałaś?

– Bardzo dobrze. – Matka obserwowała nakrapiane gołębie ze stoickim spokojem. Palma wiedziała, że jej myśli wracają do przeszłości, zbierają wspomnienia, tak jak wiatr zbiera ciemne chmury, aby nabrać mocy na urodzenie deszczu. – Lara Prieto i Christine Wolfe – powiedziała zupełnie obojętnie.

Dla Palmy był to szok. Pani Prieto była żoną właściciela sklepu spożywczego, piękną kobietą o śniadej cerze, żyjącą na uboczu i poza sklepem nie mającą wiele kontaktu z sąsiadami. Christine Wolfe była aniołem stróżem dzielnicy. Jej mąż świetnie prosperował w biznesie, a ona znakomicie organizowała liczne bazyry kościelne, imprezy dobroczynne i karnawałowe. Można ją było określić mianem miejscowej „damy z towarzystwa” i choć odkąd Palma była

w stanie sięgnąć pamięcią, mieszkała w *barrio*, miała zbyt wiele pieniędzy, aby reszta tutejszych kobiet mogła ją zaakceptować jako swoją. Była naprawdę bardzo uprzejma i kulturalna, ale jej pieniądze wzniosły niemożliwą do przekroczenia barierę. Za pieniądze można dostać wiele, ale nie wszystko.

– I one były kochankami? – Palma nie była w stanie uwierzyć. Nie umiała sobie wyobrazić obu kobiet w tak odmiennych rolach.

Matka Palmy powoli, z namysłem, skinęła głową.

– Były.

– Skąd wiesz?

Przez twarz Florencii przemknął wyraz skrępowania.

– Skąd? Widziałam je razem.

Palnę zaskoczył melancholijny ton w głosie matki.

– Widziałaś je razem?

W kościele świętego Antoniego, na zakrystii, w dniu jego święta. Dawno temu. Musiałaś mieć wtedy osiem, może dziewięć lat. Bardzo dawno temu. Pamiętasz Lydię Saldano? Obiecałam jej, że postawię za nią świece przy ołtarzu. Zadzwoiła poprzedniego wieczora i powiedziała, że nie może jechać sama, bo jej brat umiera w Wiktorii. – Matka przerwała i powoli pokręciła głową, przypominając sobie dawne zdarzenia. – Byłam jakiś czas na łące, na której odbywał się festyn, ale w końcu poszłam do kościoła. Weszłam tylnym wejściem do pomieszczenia za ołtarzem. Było tam oczywiście pusto, wszystkie okna z witrażami były pootwierane, doskonale więc słyszałam dobiegające z łąki odgłosy festynu. Kiedy szłam

przez kościół, usłyszałam dźwięk, jakby ktoś drapał w podłogę albo coś po niej ciągnął, i wydało mi się, że słyszę ciche głosy. Dobiały z zakrystii. Nie zastanawiałam się, co to może być, myślałam o czymś zupełnie innym, nie pamiętam o czym, w każdym razie skręcałam w tamtym kierunku. Kiedy wyszłam z nawy, okazało się, że drzwi do zakrystii są otwarte. W ułamku sekundy zobaczyłam je w środku. Na pewno mnie nie słyszały. – Zrobiła przerwę. Obserwowała gołębie, które dziobały trawę wokół fontanny. – Byłam zaskoczona. Wyobrazasz to sobie? Były całkiem nagie, a ich ubrania i bielizna leżały porozrzucone na podłodze. Byłam osłupiała, zamarłam jak słup soli i obserwowałam je. Lara. Cicha, łagodna Lara dominowała, a Christine... chyba była *niña*. Tak jakby zamieniły się nagle osobowościami. Natychmiast to zauważyłam i – choć nie wiem dlaczego – było to nie mniej szokujące od widoku tego, co robią. To, jak się dotykały, było zmysłowe, bardzo czułe i pomysłowe. Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałam. – Zrobiła znów przerwę. – Słyszałam ich namiętne oddechy, szepty i posykiwania. We wpadającym przez wysokie okna popołudniowym świetle widziałam pot na ich ciałach. Muszę przyznać – dodała z szelmowskim uśmiechem – że patrzyłam tak długo, jak tylko się dało, aż padły wycieńczone. Było to dla mnie jak objawienie. Oczywiście niezupełnie zgodne z wolą Boga, ale jednak objawienie.

Palma nie wiedziała, co powiedzieć. Matka zdawała się pamiętać tamto zdarzenie tak dokładnie, aż nasuwało się pytanie, jak często myślała o nim w ciągu minionych lat. I dlaczego.

– Przez wiele tygodni nie byłam w stanie zapomnieć o tym, co widziałam – odezwała się ponownie Florencia. – Przyłapywałam się na dumaniu o tym w dzień i w nocy. Nigdy nikomu nie opowiedziałam, co widziałam, nawet twojemu ojcu. Jakimś dziwnym sposobem uważałam, że przez to, iż przypadkiem się tam akurat zjawiłam i postanowiłam w tajemnicy oglądać ich smutną namiętność, powinienam lojalnie milczeć. Obserwując je dwie przez kolejne lata w normalnym życiu, wiedziałam, że pokazują społeczeństwu, mężom, rodzinom, jedynie maski. Musiały bardzo cierpieć, ukrywanie przed światem tak dużej części siebie musiało wiele je kosztować. Wiem, że ich związek trwał do śmierci Lary. Nikt nigdy nic nie zauważył, ja jednak wiedziałam że tak jest. Widziałam drobiazgi, które miały tak naprawdę wielkie znaczenie. Były tak różne charakterem, że kiedy przypadkiem znalazły się razem w tym samym miejscu, nikt niczego nie zauważał – ale ja tak. Widziałam, jak spotykają się ich spojrzenia, jak przechodząc, muskają się dłońmi. Widziałam, jak kilka razy wymieniły się karteczkami.

Coś załopotało w trawie przy fontannie i gołębnie odleciały z furkotem. Nie odleciały jednak daleko – przesiadły się na wyższe gałęzie surmii.

– I jak ci z tym było? – spytała Palma, która zdążyła się już otrząsnąć z zaskoczenia, że słyszy podobną historię od własnej matki.

– Z ich miłością?

– Z homoseksualizmem. Starsza pani wzruszyła ramionami.

– Mówi się, że to rozpusta i grzech. To dziwne. Co miałam czuć? Żal? Może tak, ale to samo czułabym wobec dwojga nieszczęśliwie zakochanych ludzi odmiennej płci. Miałam je potępiać? Kościół twierdzi, że to obrzydliwe, ale przykro mi, bo choć wiem, że za takimi sprawami kryje się więcej, niż widziałam, to, co oglądałam, nie było obrzydliwe, może więc obrzydliwe jest w tym wszystkim co innego? – Znów wzięła do ręki chusteczkę i otarła czoło. – Muszę jednak mimo wszystko przyznać, że chyba jestem nieco uprzedzona, wyobrażenie miłości dwóch kobiet nigdy mnie bowiem nie odstręczało tak jak w przypadku dwóch mężczyzn. Kiedy ujrzałam ją w naturze, też nie poczułam niesmaku. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że jestem kobietą i lepiej umiem sobie wyobrazić skomplikowane kobiece uczucia i pokrętne drogi, jakimi krążą. Przez wiele lat dużo myślałam o Larze i Christine i nie potępiałam ich. Odebrałam sobie prawo do tego, odkąd przestałam być przemądrzałą gówniara. Jak miałabym je potępiać? Nie wiem za co.

Palma popatrzyła na matkę. Nigdy by się nie domyśliła, że coś podobnego kryje się w jej głowie. Nawet przez chwilę nie pomyślałaby, że matka choć przez sekundę w życiu zastanawiała się nad takim problemem. Dałaby wiele, mogąc się na chwilę zamienić z nią myślami. Palma mogła ją zapytać, o czym w tej chwili myśli, ale nikt, nawet ktoś tak uczciwy jak jej matka, nigdy nie odpowiada na niektóre pytania ze stuprocentową szczerością. Po kilkudziesięciu sekundach jeden z gołębi wrócił na skraj fontanny, za nim przyleciał drugi.

– Coś ci jeszcze powiem, Carmen, coś, co zrozumiałam po wielu latach. Kobieta jest w pierwszym rzędzie człowiekiem... dopiero potem kobietą. Nie wolno o tym zapominać.

Rozdział dwudziesty czwarty

Nim skończyła czytać materiały od Sandera Granta, minęła ósma. Palma siedziała przy stole w jadalni, popijała soave, podkreślała ołówkiem lub przepisywała interesujące ją fragmenty. Wracając do domu kupiła trochę różnych sałatek i teraz na stole leżał stosik pustych plastikowych pudełek, widelców i serwetek. Postawiła obok siebie telefon.

Rozprostowała ramiona, poruszała nimi, pokręciła głową. Miała ochotę na kawę, ale nie chciało jej się robić. Popatrzyła po rozrzuconych na stole kartkach, popodkreślanych, z masą notatek na marginesach. Były to kserokopie z prawie wszystkich najważniejszych czasopism fachowych: z *American Journal of Psychiatry*, *Journal of Interpersonal Violence*, *Medical Science and the Law*, *Journal of Clinical Psychology*, *New England Journal of Medicine*, *Journal of Forensic Sciences*, *Bulletin of the American Academy of Psychiatry and the Law* i kilku innych. Wiele z nich napisał Sander Grant, a większości pozostałych był współautorem. Były to niezwykle dokumenty, pozwalające na zaskakujący wgląd w psychologię oraz zachowania zabójców na tle seksualnym. Sander Grant musiał być świadkiem niejednego z opisanych koszmarów. Właśnie doszła do wniosku, że na pewno zaczeka do jutra i zadzwoni do niej do pracy, kiedy zabrzęczał telefon. Odsunęła kserokopie, podniosła słuchawkę, odsunęła zużyte serwetki i otworzyła notes na nowej stronie.

– Halo.

– Sander Grant przy aparacie.

– Już przestałam mieć nadzieję.

– Przepraszam. – W jego głosie brzmiało znużenie. – Jesteśmy zawaleni robotą. Co u was? Znaleźliście coś, co mogłoby nam dać nowe wskazówki?

– Możliwe. Dowiedzieliśmy się dziś, że Dorothy Samenov była biseksualna, ale głównie homoseksualna. Vickie Kirttrie, dziewczyna, która ją znalazła, była jej kochanką. Samenov miała męża, ale rozwiodła się sześć lat temu. Spotykała się z mężczyznami do zeszłego roku, potem przeszła wyłącznie na kobiety.

– Co z Moser?

– Nie wiemy nic nowego, ale robimy, co się da. Jedyne, co je jak na razie łączy, to akcesoria sado-maso i to, że mąż Samenov pracuje w firmie, która kupuje programy komputerowe od firmy, gdzie pracowała Samenov.

– Dobrze – odparł Grant. – Powiem teraz, jaka jest nasza opinia, potem wrócimy do pani. Przeczytała pani artykuły?

– Tak.

– To dobrze. Chcę podkreślić, że to, co powiem, to ogólności, ale może jest w nich coś, na czym będziecie się mogli oprzeć, co podpowie wam kierunek działania. – Bez czekania na jakikolwiek komentarz, zaczął. – Na pierwszy rzut oka obie ofiary wydają się przynależeć do kategorii niskiego ryzyka. Moser była żoną i matką z górnej strefy klasy średniej, udzielała się w sprawach społeczności lokalnej i wypełniała obowiązki rodzinne. Samenov była dobrym

fachowcem, należała do górnej strefy klasy średniej, nie chadzała do barów dla samotnych i nie umawiała się zbyt często z mężczyznami. Obie mieszkały i obie zabito w strefach niskiej przestępczości. Aspekt biseksualny wydaje się przemawiać przeciwko próbie zakwalifikowania ich do grupy niskiego ryzyka, ale nie jestem tego aż tak pewien. Statystycznie biorąc, biseksualne kobiety stanowią grupę niskiego ryzyka – oczywiście jedynie w porównaniu do tego typu mężczyzn – zwłaszcza jeżeli nie mają nic wspólnego z lesbijskim światkiem. Dobrze, to na pierwszy rzut oka. Jeżeli jednak dodamy fakt znalezienia w domu obu ofiar akcesoriów sado-maso, obraz gwałtownie się zmienia. Już samo posiadanie czegoś takiego automatycznie każe zaklasyfikować człowieka do grupy nieco wyższego ryzyka. Dokonanie tego jest konieczne, nawet jeżeli nie wiemy, do czego te przedmioty były używane. Nieważne, czy pełniły rolę autoerotyczną, służyły do spotęgowania niewinnych fantazji podczas gry seksualnej czy do sprawiania bólu. Jeżeli udałoby się ustalić, że któraś z kobiet wykorzystywała te akcesoria do jednego z dwóch pierwszych celów, być może dałoby się ją umieścić z powrotem w kategorii niskiego ryzyka, jeżeli jednak wykorzystywała je do trzeciego celu, musi znaleźć się w grupie wysokiego ryzyka, ponieważ prowadziła podwójne życie, a to „drugie” odgrywało się w środowisku wysokiego ryzyka.

Na chwilę zapadła cisza i Palmie wydawało się, że Grant coś pi-je.

– W normalnym przypadku mówimy o seryjnym zabójcy dopie-

ro po trzech morderstwach, między którymi miały miejsce okresy „ochłodzenia”. Mogą one trwać dni, tygodnie, lata. Choć w tym przypadku mamy do czynienia z dwiema ofiarami, uważam, że ze względu na charakterystyczny sposób działania, możemy zakładać istnienie seryjnego zabójcy. Dość nieprawdopodobne, aby te sprawy nie były ze sobą powiązane, w dodatku widać tu cechy zachowania, które uznaje się obecnie za typowe dla seryjnego zabójcy seksualnego. Ten człowiek nie zabija w ramach kryminalnego przedsięwzięcia, nie zabija z egoizmu, w wyniku kłótni rodzinnej, w samoobronie ani w celu zdobycia narkotyków. Zabija z motywów seksualnych, z powodów, które są istotne jedynie dla niego. W obu przypadkach podejmowane przez sprawcę ryzyko było średnie albo wręcz niskie. W przypadku Moser nie było prawdopodobieństwa pojawienia się obsługi hotelowej przez wiele godzin, w przypadku Samenov ryzyka takiego nie było nawet przez kilka dni. Obie ofiary zamordowano pomiędzy ósmą a dziesiątą wieczór. Zabójca miał dość czasu na realizację każdej fantazji, jaką uznał za konieczną dla zaspokojenia się, i mimo to był na miejscu na tyle krótko, że nie ryzykował, że zostanie odkryty. Oczywiście biorąc pod uwagę istniejące warunki. – Grant znów przerwał, aby się napić. – To gorąca herbata, nie whisky – wyjaśnił. – Whisky może napiję się potem – dodał ze śmiechem. – Jest tam pani jeszcze? Zasuвам, więc jeśli to konieczne, proszę mnie zastopować.

– Nie trzeba, wszystko gra. Robię notatki.

Niespodziewana dygresja o herbacie i whisky oraz troskliwe

pytanie, czy nie za szybko mówi, zaskoczyły Palmę. Dotychczas zachowanie Granta było grzeczne, ale bezosobowe, więc wyrobiła sobie na jego temat określone zdanie. Teraz ten obraz złagodniał. Miło było słyszeć troskę w męskim głosie – dawno nie słyszała. Chciała podziękować za troskę, ale niemal już zapomniała, jak to się robi i zanim zdążyła się odezwać, przerwał ciszę.

– Dobrze. Jeżeli chodzi o sceneryę, jestem głupi. Podstawowy problem polega na tym, że nie wiemy, czy Moser też była biseksualna. Gdybyśmy mieli jasność w tym zakresie, można by zacząć wyciągać pierwsze wnioski na temat osobowości sprawcy. Na razie jednak nie wiemy, czy – oczywiście z punktu widzenia sprawcy – biseksualizm Samenov był jedynie przypadkiem, czy świadomie wybiera na ofiary biseksualne kobiety. Gdybyśmy to wiedzieli, zmodyfikowałoby to znacząco sposób odczytywania jego osobowości. Ponieważ nie chcę podsuwać pani błędnych sugestii, dam sobie na razie spokój z rekonstrukcją przebiegu zbrodni. Uważam, że wiem zbyt mało, aby to robić. Wiem za to dość, by umieć określić, że ma pani do czynienia z tak zwanym „zorganizowanym” sprawcą, choć nie wolno zapominać, że mimo rozdzielania przez nasze metody tworzenia profili na „zorganizowanych” i „niezorganizowanych” zabójców seksualnych, w rzeczywistości mamy do czynienia zawsze z cechami mieszanymi. Pod tym pojęciem, którego używam, mam więc na myśli, że w przypadku mordercy, z którym mamy tutaj do czynienia, dominują cechy „zorganizowanego” działania. Przejrzyjmy teraz listę cech miejsca zbrodni „zorganizowanego” sprawcy.

Palma przerzuciła kilka kartek na stole i znalazła artykuł dotyczący zorganizowanych i niezorganizowanych morderstw. Opisowano w nim cechy zachowania i cechy miejsca zbrodni – słuchając Granta chciała mieć listę przed oczami.

– Zabójstwa zostały zaplanowane – zaczął wyliczać Grant. – Moser działała zgodnie z dokonaną uprzednio umową, na co wskazuje zameldowanie się w hotelu pod fałszywym nazwiskiem. W obu przypadkach sprawca przyniósł własne pęta, przyrząd do cięcia i kosmetyki. Wiedział, co będzie robił i czego do tego potrzebuje. Nie pozostawił na miejscu zbrodni żadnego narzędzia ani innych śladów. Niczego nie zapomniał w pośpiechu, nie położył przez przypadek pęt ani ostrych narzędzi tam, gdzie nie zaplanował. Personifikuje ofiary – obie były blondynkami w podobnym wieku. Obie zostały w szczególny sposób umalowane. Porównywała pani ich zdjęcia?

– Tak.

– I co?

– Obie miały makijaż w tym samym odcieniu, taką samą fryzurę. Róż był też ten sam.

– Makijaż był identyczny. Sposób, w jaki go nakładał, też był identyczny. Zrobił taki sam łuk przy brwiach, malując usta szminką zrobił takie same zagłębienie przy górnej wardze, nawet u Samenov, u której naturalny kontur wargi jest inny. Jakby na twarzy ofiary malował drugą twarz. Wygląda na to, że kobiety muszą pasować do określonego „typu”, kiedy jednak całkowicie nad nimi zapanuje,

„poprawia” ich wygląd doprowadzając go za pomocą makijażu do obrazu zgodnego z takim, jaki nosi w wyobraźni. Zabójca panuje nad sytuacją. Obie kobiety pozwoliły się związać za kostki i nadgarstki. Zostały pobite po unieruchomieniu, nie przedtem. Wygląd miejsca zbrodni odzwierciedla całkowite panowanie zabójcy nad sytuacją, o tym samym świadczy użycie pęt, złożone pieczołowicie ubranie, skrupulatne posprzątanie po sobie. Kiedy detektywi widzą tego typu „skrupulatność” na miejscu zbrodni, czasami przychodzi im na myśl... były więzień. Ktoś przyzwyczajony sprzątać po sobie, zacierać ślady, tyle tylko, że w przypadku zabójstw na tle seksualnym należy brać pod uwagę, iż część „skrupulatności” może się brać nie ze sprytu, lecz oznaczać kompulsywność, natręctwa. Ktoś taki może być skrupulatny dla zaspokojenia wewnętrznej potrzeby, może nawet przymusu. Zabójca zaczyna być agresywny jeszcze za życia ofiary. W obu przypadkach uderzenia w twarz, sińce i otarcia okolicy pochwy oraz ugryzienia zostały dokonane na żywym człowieku. W obu przypadkach jest jeden wyjątek. Sekcja wykazała, że sutek Moser został obcięty pośmiertnie, może dlatego, że było to pierwsze jego zabójstwo i jeszcze nie opanował techniki, poza tym... ma pani przed sobą zdjęcia?

– Nie.

– Ja właśnie na nie patrzę. Wokół sutka znajdują się niepewne cięcia, jakby zadrapania, co wskazuje na to, że to, co zamierza, jest dla niego nowością. Czasami nawet dla takich jak on pierwsze w życiu okaleczenie człowieka jest trudne. Wahanie trwa jednak

krótko i potem wszystko idzie mu jak z płatka. W przypadku Same-nov już niemal w stu procentach odpowiada charakterystyce zorganizowanego mordercy. Okalecza ją przed śmiercią, kneblując dla stłumienia krzyku. Z wyjątkiem powiek. Usunął je po śmierci ofiary tylko dlatego, że przedtem nie był w stanie odpowiednio umocować jej głowy, a było dla niego ważne nie spaprać tego akurat szczegółu.

Grant przerwał, jednak tylko po to, aby jego słowa wywarły większe wrażenie. Palma szybko poprawiła słuchawkę w dołku między obojczykiem a brodą. Zmarszczyła brwi. „...przedtem nie był w stanie odpowiednio umocować jej głowy... było dla niego ważne nie spaprać tego akurat szczegółu...” Na jakiej podstawie mówił coś podobnego?

– Najważniejsze w przypadku zorganizowanego sprawcy są fantazja i rytuał – odezwał się ponownie Grant. – Należy o tym pamiętać, ponieważ jest to okno, przez które można zaglądać do jego umysłu. Wszędzie mamy tego dowody – kolor włosów ofiar, użycie szczególnego rodzaju pęt, które z pewnością robi sam, charakterystyczny makijaż, kosmetyki, które z pewnością sam zestawił, specyficzne ułożenie ciał, usunięcie powiek, czyli znacznie „ważniejsza” amputacja niż usunięcie sutka. Facet ma specyficzną wyobraźnię. Przy następnym morderstwie proszę się dobrze przyjrzeć – prawdopodobnie zrobi z ofiarą coś nowego, co „udoskonaliliby” jego fantazje. Teraz kilka anomalii. Po pierwsze: zorganizowany sprawca zazwyczaj ukrywa ciało, ponieważ w odróżnieniu od niezorganizowanych, którzy często tego chcą, nie chce zostać odkryty. Aby to

zrobić, trzeba przenosić ciało, czego tu nie zrobiono. Po drugie: zorganizowani przestępcy często nie znają swoich ofiar, choć śledzą je przez wiele godzin lub dni przed zabójstwem. Ich ofiarami są „namierzeni” obcy. Tutaj wszystko wskazuje na to, że zabójca znał obie ofiary. Moser przyjechała do hotelu, aby się z nim spotkać, Samenov najwyraźniej wpuściła go do domu. Nie były to dla niego obce osoby. Grant przerwał, by znów napić się herbaty. Palma była mu wdzięczna za przerwę. Notowała najszybciej, jak umiała i po kilku stronach nerwowych, pospiesznych notatek oraz strząłek, obwódek, podkreśleń, wykrzykników i otoczonych linią słów, bolała ją dłoń. Grant wyrzucał z siebie ogromne ilości informacji.

– Kogo więc szukacie? – zaczął ponownie. Był bezlitosny. – Najogólniej biorąc, doświadczenie mówi, że zabójstwa na tle seksualnym są wyłącznością mężczyzn. Nigdy jeszcze nie spotkano się z zabójczynią na tle seksualnym. Kobiety dokonują wszystkich innych rodzajów zabójstw, ale nie o motywach seksualnych. Tak więc możemy od razu wyeliminować z kręgu podejrzanych połowę populacji. Sprawcy przestępstw seksualnych są w przeważającej ilości tej samej rasy co ofiary. Nie zawsze, ale zazwyczaj tak jest. Tak więc dopóki nie dowiemy się niczego więcej, zakładamy, że mamy do czynienia z białym mężczyzną. Jest to osobnik o intelekcie powyżej średniej, seksualnie sprawny i społecznie zintegrowany. Pracuje raczej na stanowisku wymagającym kwalifikacji, wątpliwe, aby był robotnikiem. Prawdopodobne, że jest pierwszym albo drugim dzieckiem. Przed dokonaniem przestępstw najprawdopodobniej spożywa

alkohol, przeszedł ciężką sytuację stresową taką jak rozwód, utrata pracy, tragedia życiowa, co wyzwoliło jego zachowanie. Bardziej niż prawdopodobne, że mieszka z kimś na stałe i jest mobilny, niemal na pewno ma samochód. Śledzi swoje czyny w prasie i być może próbuje się nawet włączyć w śledztwo jako pomocny świadek albo informator ujawniający nieistotny szczegół. Gdyby znaleźć go teraz w domu, najprawdopodobniej okazałoby się, że ma dotyczące jego przestępstw wycinki z prasy. Możliwe, że ma też w domu „pamiątki” po ofiarach – biżuterię, fragmenty odzieży, może nawet kawałki ciała. – Grant głośno westchnął i Palma usłyszała w słuchawce brzdęk filiżanki. – Pytania.

Boże drogi...

– Nie mam, wszystko jasne.

Przez kilka chwil panowało milczenie, potem Grant się roześmiał. Był to radosny śmiech, bez śladu nerwowości.

– To chyba mogę trochę odsapnąć.

– Jest tego całe mnóstwo do przemyślenia. Dwa pytania – powiedziała Palma. – Pierwsze: jaka informacja w tej chwili najbardziej by panu pomogła?

Czy Sandra Moser była biseksualna. Powiedziałyby nam to wiele o sprawcy. Może dałoby wręcz kluczową o nim informację. Tak się składa, że w trakcie tworzenia profilu sprawców zabójstw na tle seksualnym, im dziwniejsze są ich zachowania na miejscu zbrodni albo okoliczności towarzyszące, tym bardziej ułatwia nam to pracę. Anomalie zawierają więcej informacji, ponieważ ujawniają

nietypowe zachowania. Są dla danego człowieka tak charakterystyczne jak grupy krwi. Niech pani nigdy nie zapomina, że zachowanie odzwierciedla osobowość. To, co robi, świadczy o tym, jak myśli.

– Jaką dałby mi pan teraz najważniejszą radę?

– Powinna pani spróbować wejść w jego umysł – odparł bez wahania Grant. – Wszystko, co pani robi, każda informacja, jakiej pani poszukuje albo jaką dostaje, każda osoba, z którą rozmawia, każde pytanie, jakie pani zadaje – wszystko powinno być postrzegane przez pryzmat tego zadania. Jeżeli uda się pani myśleć tak jak on, przewidywać, co zrobi, wtedy go pani dostanie i rozwiąże część swojego problemu.

– Słucham? „Część” mojego problemu?

– O, to taki nasz wewnętrzny dowcip. Jeżeli nie zacznie pani myśleć jak on, będzie pani miała problem. Jeżeli zacznie pani myśleć jak on, też będzie pani miała problem, tyle że innej natury.

Palma nic na to nie powiedziała. Nie było to dowcipne i nagle zrozumiała, że naprawdę nic w tym dowcipnego.

– Wczuwanie się w umysły tego typu ludzi nie jest przyjemne – kontynuował Grant. – Do tego... nie wiem, ale... może dla pani jako kobiety jest to jeszcze bardziej bolesne ze względu na ofiary. A może okaże się to plusem? Chyba najwięcej zależy w tej sprawie od pani osobowości.

Od jej osobowości? Znów szczęknęła filiżanka i Grant dodał:

– Biuro nie zatrudnia w naszej komórce kobiet-analityków,

choć mamy kilka, które przeszły kurs tworzenia profili. Sprawa jest taka, że zabójstwa na tle seksualnym to wyłącznie domena mężczyzn i z wyjątkiem zabójstw homoseksualistów, ofiarami są wyłącznie kobiety albo dzieci. Mężczyźni przeciwko kobietom, mężczyźni przeciwko dzieciom, mężczyźni przeciw wszystkim, nawet przeciwko sobie samym. Próbuje się to rekonstruować i dostaje się hopla.

– Dawno pan się tym zajmuje?

– Od lat – odparł ogólnie, choć Palma nie odnosiła wrażenia, że chce cokolwiek ukryć. Najprawdopodobniej po prostu to określenie miało dla niego inne znaczenie. Nagle zmienił temat. – Wie pani co? Dam pani mój domowy numer. Ma pani moje służbowe numery?

– Mam.

– Świetnie. Chciałbym, żeby dzwoniła pani do mnie do domu wyłącznie w przypadku kolejnego morderstwa, ale wtedy natychmiast. Chciałbym wiedzieć, czy przy następnym dojdzie do znaczącej zmiany scenariusza.

W uszach Palmy zabrzmiało to, jakby nie miał najmniejszej wątpliwości, że będą kolejne ofiary. Podał jej swój numer telefonu i zapisała go w notesie, obwodząc kilkoma grubymi kreskami. Potem, kiedy mówił o tym, że w przyszłym tygodniu nie będzie go kilka dni w pracy, Palma zaczęła się zastanawiać, jak Grant wygląda. Po głosie szacowała go na czterdzieści trzy do czterdziestu pięciu lat.

Chętnie zadałaby mu kilka osobistych pytań: czy jest żonaty, czy ma rodzinę, czy lubi swoją pracę, gdzie się wychował, od kiedy pracuje w FBI, ale miała świadomość, że każda tego typu sugestia

oznaczałoby przerwanie połączenia, a jeszcze nie chciała kończyć rozmowy.

– Wspominał pan o anomaliach. To, że nie ukrył ciała, nigdzie go nie przeniósł, że ofiary najprawdopodobniej go znały. Jak mam to interpretować? Jak mam to wykorzystać?

– Dobre pytanie. To istotne fakty, zwłaszcza ostatni. Jest niezwykle, by seryjny morderca seksualny znał swoje ofiary i stąd może to też być kluczowy punkt. Chyba dobrze pani zrobiła zabierając się za sprawdzanie nazwisk mężczyzn z notesu Samenov. To dobry początek.

– Ale...

– Ale nie uważam, żeby znalazła pani jego nazwisko wśród „ogólnych” usług. Znaczący się, wśród pracowników serwisu sprzętu rtv, hydraulików, elektryków. Mam na myśli, jak prawdopodobne jest, aby jakakolwiek grupa ludzi – w tym przypadku luźno zorganizowana grupa biseksualnych kobiet, o ile w ogóle okaże się to rozpatrywaną kategorią – miała tego samego elektryka czy hydraulika? Ja mam innych niż moi koledzy z pracy. Choćby dlatego, że mieszkamy w różnych częściach miasta. Gdybyśmy nawet polecali sobie hydraulika, raczej dotyczyłoby to tej samej firmy, nie osoby. Sądzę więc, że powinna pani raczej sprawdzać tych, którzy pod jakimś względem mogą mieć związek z ich biseksualizmem. Na przykład fryzjerów. Czy któraś z pozostałych kobiet ma dalmatyńczyka? Czy masażysta ma biseksualnych klientów? Rozumie pani, związek musi być specyficzny – nie ogólny.

- A jeżeli aspekt biseksualizmu nie jest istotny?
- Jeżeli to przypadek, czeka panią bardzo długie śledztwo.

A kolejna okazja na zrobienie postępów będzie bardzo kosztowna.

- Kolejne zwłoki.
- Zgadza się. Musimy zobaczyć, co zrobi następnym razem.

Rozdział dwudziesty piąty

Palma odłożyła słuchawkę i wbiła wzrok w rozrzucone na stole kartki z notatkami, serwetki, puste opakowania po sałatkach i popodkreślane artykuły, które przysłał Grant. Wzięła do ręki kieliszek z reszką soave i ciężko oparła się na krześle. Znowu poczuła napięcie w barkach, co oznaczało, że jeżeli nie odpręży się, zaraz zacznie ją boleć głowa. Mogła wziąć proszek, który dostała od lekarza na podobne okazje, ale wolała mieć poczucie, że może poradzić sobie sama. Na pewno pomógłby długi, ciepły prysznic z masażem wodnym, a potem trochę ćwiczeń rozciągających na dywanie, ale nie chciało jej się poświęcać na to czasu. Zdecydowała się na trzeci sposób: wino. Jeżeli wypije go dość, zaśnie jak po dramaminie.

Wstała, podeszła do lodówki, wzięła wino i naląła sobie kolejny kieliszek. Odstawiła butelkę i stojąc na środku kuchni, popijała. Myślała o Grancie. Z początku myślała o napisanych przez niego artykułach, dopiero po chwili zaczęła myśleć o jego głosie. Jego powolny, dolatujący jakby z dna klatki piersiowej baryton kojarzył jej się z kimś wysokim, kogo trudno wytrącić z równowagi, kto zna się na rzeczy. Wybrał sobie ponury zawód i Palma dziwiła się, jak sobie radził z jego wymogami.

Ekspertyza, którą przedstawił, wynosiła go w oczach Palmy ponad poziom przeciętnego detektywa. Palma nie wiedziała, ilu morderców, z którymi miała do czynienia, było „normalnych”, ale podejrzewała, że większość pasowałaby do tej kategorii. Tylko kilku

można by określić mianem „chorych psychicznie” w rozumieniu kodeksu karnego stanu Teksas. Wedle kodeksu był to osobnik, który w momencie popełniania przestępstwa, o które się go oskarża, z powodu choroby psychicznej albo zaburzenia umysłowego, nie był świadom nieprawidłowości czynu albo nie był w stanie dostosować swego zachowania do kanonów prawa. Podejrzewała, że większość sprawców, z którymi miał do czynienia Grant, należała do tej kategorii. Mordercy na tle seksualnym, zwłaszcza seryjni, często bronią się za pomocą paragrafu o niepoczytalności. Można wręcz odnieść wrażenie, że społeczeństwo uważa, iż „normalni” umysłowo są niezdolni do popełnienia podobnych zbrodni. Wszyscy „prawdziwi” wariaci, których Palma widziała przez lata pracy, byli winni masowych morderstw albo zabójstw na tle seksualnym. Zajmowanie się wyłącznie tego typu przestępstwami, spędzanie dni i nocy na „myśleniu jak oni” musiało być niezwykle stresujące.

Popatrzyła na zegarek. Dwadzieścia po dziewiątej. Wypiła jeszcze trochę wina i poszła do jadalni posprzątać. Odniosła telefon do kuchni i zabrała się za oddzielanie śmieci od dokumentów. Kiedy skończyła, dołała sobie wina, wzięła artykuły i notatki pod pachę, pogasiła światła, posprawdzała zamki i poszła do sypialni na piętro.

Odstawiła kieliszek, rzuciła artykuły na łóżko i zdjęła sukienkę. Kiedy otwierała drzwi szafy, ujrzała w lustrze swe odbicie. Po rozmowie z Grantem nie miała jednak ochoty na zachwyty nad własnym ciałem – po głowie snuły się jej całkiem inne obrazy i aż na-
zbyt łatwe było widzenie siebie z twarzą Samenov. Musiała zmusić

się do myślenia o czymś innym.

Włożyła górę piżamy, wskoczyła do łóżka, ułożyła sobie pod plecami poduszki i zaczęła przepisywać notatki. Raz za razem popijała wino albo sprawdzała jakiś szczegół w artykułach Granta. Piętnaście po dziesiątej wróciła na dół po kolejny kieliszek wina i wracając na górę, doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że idzie wolniej, zaczyna odczuwać efekty wina. Była zadowolona, ale jeszcze nie czuła się senna. Ponure treści artykułów i rozmowa z Grantem dały jej zbyt wiele do myślenia.

Wróciła i odsunęła papiery na bok. Dotarło do niej, że jest rozpalona. Czasami wino powodowało u niej taki stan. Zdjęła piżamę, wypila kolejny łyk wina i odstawiła kieliszek.

Zabójstwa zostały zaplanowane.

Brak na miejscu zbrodni narzędzia i innych śladów.

Znał ofiary.

Personifikuje ofiary.

Panuje nad sytuacją.

Okalecza ofiary za życia.

Jej głowa unosiła się, pływała. Bolący kark leżał na poduszce jak w kołysce, co jeszcze nasilało wrażenie lekkości.

Najważniejsze są fantazja i rytuał.

Osobnik o intelekcie powyżej średniej.

Przeszedł ciężką sytuację stresową.

Mieszka z kimś na stałe.

Próbuje się włączyć w śledztwo.

Ma w domu „pamiątki” po ofiarach... kawałki ciała.

Zachowanie odzwierciedla osobowość.

To, co robi, świadczy o tym, jak myśli.

Próbować wejść w jego umysł.

Matka siedziała sama na huśtawce, patrzyła prosto przed siebie i mówiła. Huśtawka poruszała się bez jej udziału. Matka była drobna, w porównaniu z wielką huśtawką wyglądała jak dziecko. Wiatr szarpał skraj jej znoszonej ogrodowej sukienki. Coś mówiła... Sprawa jest taka, że w Huehuetenango ktoś morduje zakonnice... Celeste musi myć ciała i mierzyć im temperaturę... Nie ma pewności, że nie żyją, dopóki czerwony słupek w termometrze, który trzeba włożyć do pochwy, nie przejdzie w błękit. Podobno następuje to nagle. W jednej chwili jest czerwony. Potem nagle błękitnieje i człowiek nie żyje. Coś w tym stylu. Celeste ubiera każdą z martwych zakonnice w wykrochmalony, żółty habit ze spiczastym kornetem, a potem zanoszą ją na szczyt góry na otoczoną stromymi skałami łączkę i kładzie obok pozostałych martwych zakonnice. Leżą tam teraz cztery, na kamiennych marach, w górze kłębi się mgła, a Celeste śpiewa i jej głos rozlega się echem po zarośniętych dżunglą dolinach. Matka twierdzi, że wie, kto zabija zakonnice. Wie, ponieważ weszła do umysłu mordercy i obserwowała jego oczami, jak zabija. W którymś momencie Palma stanęła w drzwiach maleńkiej kamiennej zakonnej celi i patrzyła, jak mężczyzna zabija mieszkającą tam zakonnice. Był nagi i stanął nad siostrą, która poza kornetem na głowie też była naga. Miała otwarte oczy i patrzyła prosto w ciemny sufit, podczas

gdy mężczyzna, wygięty tak, że Palma widziała napinające skórę kręgi, obwąchiwał brzuch zakonnicy. Chciała zobaczyć, co właściwie robi, ale jego blade plecy i pośladki zasłaniały jej widok. Potem zauważyła siedzącą w potylicy mężczyzny, odwracającą się od niej, mikroskopijną figurkę matki. Wydawane przez mężczyznę odgłosy węszenia zrobiły się głośniejsze i ujrzała, że nagie nogi zakonnicy poruszają się, dygocą. Zakonnica odwróciła wzrok ku Palmie i popatrzyła na nią ze słabym uśmiechem, niemal równocześnie odwróciła się ku niej maleńka figurka matki w głowie mężczyzny. Powiedziała, że mężczyzna zaraz skończy, i kazała patrzeć na jego biodra. Palma popatrzyła i ujrzała kobiece biodra, połączone z męskimi plecami i barkami. Sprawa jest taka – powiedziała matka – że kobiety są w pierwszym rzędzie ludźmi, a kobietami w drugim, a mężczyźni też są w pierwszym rzędzie ludźmi. Potem na ścianę za zakonnica zaczęła tryskać krew, z miejsca gdzie robił to coś, co robił, a zakonnica znów zaczęła patrzeć na sufit i czekać, aż skończy. Figurka matki wyczarowała skądś termometr i wyciągnęła go do Palmy, ale był zbyt mały, by mogła go chwycić. Matka zaczęła krzyczeć. Jej usta były maleńką czarną dziurką i krzyczała... krzyczała... krzyczała...

Kiedy do Palmy dotarło, że to dzwonek telefonu, wyciągnęła gwałtownie rękę i przewróciła kieliszek z winem. Był pusty – nie pamiętała, kiedy go dopiła. Zegarek pokazywał za dwadzieścia drugą. Była spocona i walcząc ze słuchawką czuła lekkie nudności.

– Halo. – Przetoczyła się na papiery, jej piersi przyciskały kart-

ki do prześcieradła. Nie pamiętała, czy powiedziała już „halo”. Dla spokoju powtórzyła: – Halo.

– Mówię z detektyw Palmą? – Zapytał kobiecy głos.

– Przy aparacie.

Cholera. Co za zakichany sen.

– Nazywam się Claire. To ja jestem na zdjęciach, które znalazła pani w mieszkaniu Dorothy. – Zapadła chwila ciszy, jakby kobieta czekała na odpowiedź. – Chciałabym z panią porozmawiać.

– Oczywiście. Kiedy?

– Teraz byłoby najlepiej.

– Teraz? – Boże drogi! Oczywiście. – Dobrze. Gdzie?

– W centrum medycznym. Wie pani, gdzie jest Baylor College of Medicine?

– Wiem.

– A DeBakey Center?

– Też wiem.

– Wzdłuż Berner Street rosną drzewa i jest przystanek autobusowy... nie, zna pani pasaż handlowy za University of Texas Medical School?

– Znam.

– Będę siedziała na jednej z ławek. Znajdziemy się.

– Musi mi pani dać dwadzieścia minut.

– Oczywiście. Połączenie zostało przerwane.

Palma odłożyła słuchawkę i zaczęła się przygotowywać do wyjścia. Przeczotała się przez papiery na łóżku i spuściła nogi na pod-

łogę. Boże drogi! Co za cholerny sen! Nienawidziła podobnych snów, takich chorobliwych majaków. Nie podobało jej się, że takie rzeczy mogą się rodzić w jej głowie. Wstała chwiejąc się i poczłapała do łazienki. Umyła się, ubrała, wzięła z szuflady SIG-Sauera, sprawdziła go i wsadziła do torebki. Kiedy wybiegała z domu, okazało się, że jest mgiełka.

Wyjechała na University Boulevard i skręciła w lewo. Po kilkunastu sekundach mijała stadion campusu Rice University, potem boisko baseballowe i stadion lekkoatletyczny. Przy Main campus uniwersytecki styka się z obejmującym ponad dwieście hektarów terenem Texas Medical Center, który wraz z kompleksem szpitalnym, laboratoriami badawczymi i uczelnią medyczną stanowi miasteczko zamieszkiwane przez około dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Przyjechawszy na umówione miejsce, Palma zaczęła lustrować teren, oświetlany zmaconym przez mgłę światłem lamp rtęciowych i poprzecinany poszarpanymi cieniami potężnych drzew. Według zegarka na tablicy rozdzielczej była druga i Palma nie chciała tracić czasu, odstawiając samochód na publiczny parking. Zaczęła szukać alejki dla dostawców albo parkingu dla personelu, szybko coś znalazła tuż przy bibliotece imienia Jonesa i zatrzymała się tam. Obeszła bibliotekę, doszła do południowego skraju pasażu handlowego i popatrzyła w kierunku budynku Akademii. Granitowy bruk błyszczał wilgocią i Palma pożałowała, że nie wzięła ze sobą płaszcza przeciwdeszczowego. Na widocznych pobliskich ławkach nikt nie

siedział, a mgła zasłaniała dalszy widok. Mogła jedynie przejść wzdłuż centrum handlowego z nadzieją, że kobieta, z którą rozmawiała, zobaczy ją i się pokaże. W tym momencie otworzyło się tylne wejście Akademii i z oświetlonego holu wyszła postać w białym kitlu, z przerzuconym przez ramię plecakiem, i zaczęła iść przez plac. Sądząc po wieku, była to studentka. Palma właśnie ruszyła w kierunku środkowej części centrum, kiedy z kępy dębów obok uliczki dobiegł do niej głos.

– Detektyw Palma?

Zatrzymała się i popatrzyła ku drzewom, dostrzegając wiatę przystanku oraz siedzącą na ławce w środku samotną postać. Podeszła w tamtym kierunku.

– Przynajmniej jest tu sucho – powiedziała kobieta na przywitaniu. – Nazywam się Claire. – Wyciągnęła rękę, nie wstając.

Palma podała swoją, próbując dostrzec twarz Claire, ta jednak skryła głowę w cieniu. Palma zrozumiała i usiadła na drugim końcu ławki.

– Przepraszam, że musiała pani przyjeżdżać o tej porze. Do tego jeszcze ta mgła, ale obawiam się, że to jedyna pora, kiedy mogę z panią rozmawiać.

– Nic się nie stało. Cieszę się, że pani zadzwoniła. – Palma przeciągnęła palcami przez włosy, czując, jak są wilgotne. Światło znajdującej się jakieś dwadzieścia pięć metrów od nich ręcioviej lampy było filtrowane przez listowie drzew i plastikowy daszek wiaty, co tworzyło grę cieni i powodowało, że twarz Claire wydawa-

ła się owinięta woalką. Oczy Palmy szybko się jednak zaadaptowały do warunków i rozpoznała ją jako osobę ze zdjęć. Musiała dochodzić pięćdziesiątki, ale czarne włosy i ostry kontur nosa nadawały jej twarzy dziewczęcy wygląd. Była ubrana w garnitur, miała dobrze zrobiony makijaż i nieco biżuterii, więc Palma wywnioskowała, że najprawdopodobniej pracuje gdzieś w kompleksie medycznym na nocną zmianę. Palma zauważyła też, że Claire ma obrączkę.

– Zadzwoiła do mnie Helena – powiedziała Claire. Założyła nogę na nogę i odwróciła się twarzą do Palmy. – Rozumiem, że znaleziono moje zdjęcia.

– Zgadza się.

– Nie wiedziałam, że jeszcze krążą. – Uwaga miała zabrzmieć obojętnie, ale słychać w niej było nerwowy ton.

– Czy Helena Saulnier przekazała pani treść naszej rozmowy?

– Tak. Chyba przekazała mi wszystko.

Palma skinęła głową. Claire (Palma nie wierzyła, że to prawdziwe imię) sięgnęła to torebki po papierosy. Wzięła jednego nie częstując Palmy, zapaliła go zapalniczką, której płomień był zbyt mały, aby oświetlić jej twarz, i wydmuchała chmurę dymu, który natychmiast zmieszał się z mgłą. W odróżnieniu od większości kobiet, które po założeniu nogi na nogę nerwowo kiwają górną, Claire siedziała bez ruchu. Wyglądała na bardzo opanowaną, nie spieszącą się do mówienia.

– Dlaczego pani do mnie zadzwoniła? – spytała w końcu Palma.

Claire jeszcze przez chwilę patrzyła na nią w milczeniu i Palmie

przeszła przez głowę myśl, że jej rozmówczyni wcale nie jest tak pewna siebie.

– Pomyślałam, że może będę w stanie pomóc.

– W jaki sposób?

– Znałam Sandrę Moser. Możliwe że... byłam chyba ostatnią osobą... z naszej grupy... która była z nią przed śmiercią.

Rozdział dwudziesty szósty

Claire zamilkła. Paliła, przy którymś ruchu dłoni błyszczący paznokciec odbił refleks światła.

– Czyli była lesbijką?

– Była biseksualna – poprawiła Claire. – Większość z nas jest biseksualna.

– Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

Claire znów się zawahała, patrzyła na Palmę, opierała na kolanie dłoń z papierosem, z czubka którego unosił się w górę pasek błękitnego dymu. Palma popatrzyła na nią i zrozumiała, o co chodzi.

– Nie mogę dać pani tych zdjęć. Są dowodem w śledztwie o morderstwo. To nie wchodzi w rachubę.

Claire odwróciła głowę i popatrzyła przez plastikową ściankę na mokry bruk na placu. Sprawiała wrażenie, że stara się uspokoić. Znów zaciągnęła się papierosem.

– To miał być żart – stwierdziła w końcu. – Od razu wiedziałam, że to błąd. Cóż, moja wina. Nigdy nie powinnam się była dać w to wciągnąć.

– Dorothy?

– Skąd, Vickie.

– Kittrie?

Claire skinęła głową, jej postawa i sposób, w jaki wypowiedziała imię Kittrie, pokazywały, ile jest w niej goryczy.

– Dlaczego chciała, żeby pani to zrobiła?

Claire nie odpowiedziała od razu, zdawała się szukać uzasadnienia.

– Dorothy zawsze miała do mnie szczególną słabość. Kilka lat temu byliśmy kochankami, ale Dorothy chciała zrobić z tego stały związek. Wiedziała, że nie mogę się na to zgodzić. Miałam wtedy rodzinę, pracę, na dodatek byłoby to sprzeczne z filozofią naszej grupy. Celem jej istnienia nie jest rozbijanie rodzin i niszczenie karier zawodowych, ale Dorothy nie chciała ustąpić, stawała się coraz bardziej wymagająca. W końcu musiałam zupełnie zerwać z nią kontakt. Zrozumiała sytuację, ale nigdy się z nią do końca nie pogodziła. Pytała kogo się dało, co robię, czy jestem szczęśliwa, z kim się spotykam. Takie rzeczy. – Wzruszyła ramionami. – Potem, kiedy rozwinął się związek Dorothy i Vickie, zaczęło mi się wydawać, że już nic mi nie grozi ze strony Dorothy, więc przestałam jej unikać. Poznałam Vickie. Była niby fajna, ale od początku wydała mi się nieco dziwna, co okazało się prawdą. Któregoś wieczora przyszłam na przyjęcie w Tanglewood. Była tam Vickie, bez Dorothy, która musiała na kilka dni wyjechać z miasta. Po zbyt wielu drinkach, kiedy prawie wszyscy wyszli, Vickie zapędziła mnie w jakiś kąt i zaczęła opowiadać, że Dorothy ciągle mnie pragnie i bez przerwy o mnie mówi. Namówiła mnie na pozowanie z manekinem, jak twierdziła, aby „dodać nieco pieprzu” ich seksowi. Byłam dość pijana... może też nieco skłaniałam się ku Vickie i zgodziłam się. Wystrój sadystyczny był oczywiście jej pomysłem.

– Kiedy te zdjęcia zostały zrobione?

– Pół roku, może siedem miesięcy temu. Kiedy Vickie zaczęła wciągać Dorothy w sadomasochizm.

– Vickie? Zdawało mi się, że to Dorothy była motorem. Claire uśmiechnęła się gorzko.

– Wie to pani od Vickie? Palma skinęła głową.

– Niech pani posłucha. Ta dziewczyneczka ma szczególną umiejętność do ściągania na ludzi kłopotów. Jeszcze u nikogo nie widziałam tak popaprzanych skłonności seksualnych. Nie wiem, co się robi z dziećmi w lasach Luizjany, ale ona jest upiorna.

– Co ma pani na myśli?

– Ma szczególne gusta. Tak jak większość z nas, lubi też mężczyzn, ale z nimi interesuje ją jedynie sado-maso. Z mężczyznami jest zawsze na górze, z kobietami na dole. Wie pani co nieco o sadomasochizmie?

Palma wiedziała dość, by zdawać sobie sprawę z tego, że wie za mało. Kiedy pracowała w obyczaj owce, sądziła, że poznała wszystkie możliwe dewiacje seksualne. Kiedy poszła do wydziału zabójstw, okazało się, że namiętności morderców są często ściśle połączone z seksualizmem, choć do momentu dokonania czynu zwykle nieświadomie. Jakimś sposobem, w najgłębszych otchłaniach psychiki, wszystko łączy się poprzez impulsy, których nikt do końca nie rozumie. Wystarczająco okropny jest już sam fakt istnienia związków między impulsem mordowania a erotyzmem.

– Wiem, że „góra” to agresor, a „dół” to ofiara – odpowiedziała Palma. Zamierzała przy tym pozostać. Za każdym razem, kiedy

kolejna osoba „wyjaśniała” jej, jak jest „naprawdę”, okazywało się, że każdy rozumie to inaczej.

Tak jest w trakcie „gry” – odparła Claire. – Taki jest scenariusz, ale w rzeczywistości wszystko krąży wokół osoby na dole, cała zabawa służy jej zadowoleniu. Słownictwo, którego używam, nie jest może zbyt eleganckie, ale w końcu pochodzi od ludzi, których słownik nie jest zbyt wyszukany. W każdym razie góra ma realizować określoną rolę i robić to, co chce dół. Jeżeli przeprowadza się to jak należy, wszystko jest ustalone przedtem. Dół mówi, czego chce – biczowania, cięcia, gorącego wosku, duszenia, bicia pięścią, polewania wodą czy co tam jeszcze – i dokładnie ustala rozwój wydarzeń aż do finału. Ustala też słowo, którego wypowiedzenie przerywa całą akcję. Tak zwane bezpieczne słowo. Cały dramat jest zaaranżowany dla osiągnięcia satysfakcji przez dół, równocześnie jednak góra ma przyjemność poprzez dawanie dołowi tego, czego on chce. W idealnym przypadku przyjemność zatacza pełen krąg. Choć istnieje wiele kobiet, które chcą być tylko na górze albo tylko na dole, większość bez problemu jest w stanie zmienić rolę, aby zadowolić swoją partnerkę. Podstawowe znaczenie ma zaufanie do góry. Jeżeli nie jest się w stanie zaufać rozsądkowi góry, szaleństwem jest dać się związać i pozwolić dobierać się do siebie brzytwą. Góra musi być w stanie od początku do końca panować nad swoimi emocjami, w innym przypadku „kara” może posunąć się za daleko. W tym celu stworzono instytucję „bezpiecznego słowa”, dzięki któremu góra dostaje informację, że dla dołu skończyła się psychodrama, a zaczęła

rzeczywistość. Zwykły scenariusz jest taki, że góra zaczyna „karać” dół i po jakimś czasie dół zaczyna błagać o zaprzestanie, choć w rzeczywistości tego chce, udaje, że to, co się dzieje, odbywa się „wbrew jej woli”, podczas gdy jest zachwycona. Nieważne jak bardzo dół prosi o przerwanie „karania”, zadaniem góry jest kontynuowanie zaplanowanych działań, aż dół osiągnie pożądany przez siebie poziom przyjemności albo wypowie bezpieczne słowo dla zasygnalizowania, że sprawa wymyka się spod kontroli i wykracza poza jej potrzeby.

Palma obserwowała Claire, która nachyliła się do torebki po kolejnego papierosa, a potem znów odchyliła w cień. Poruszała się wdzięcznie, kobieco i Palma przypomniała sobie uwagę Heleny Saulnier, że prawdziwa kobieta, która chce kobiety, chce prawdziwej kobiety.

– Wobec kobiet Vickie jest w porządku – ponownie odezwała się Claire – jednak z mężczyznami nie można jej ufać.

– To znaczy?

– To znaczy, że jest śmiertelnie niebezpieczna.

– Zna pani jakichś mężczyzn, z którymi miała do czynienia?

– Już pani rozmawiała z jednym z nich. Gil Reynolds.

Palma poczuła, jak na twarz wyływa jej rumieniec. Skurwiel! Łasił się jak pies, aby zyskać jej sympatię, potem powiedział, że „uważa”, iż Samenov i Kittrie „mogły się” kontaktować z mężczyznami. Naprawdę wierzył w to, że go nie rozgryzie, czy okazywał pogardę?

– Kolejny to Walker Bristol. Vickie o mało go nie zabiła. Opo-
wiadała mi po fakcie, że mało brakowało, a pozwoliłaby mu się wy-
krwawić. Wzniosła się na szczyt wściekłości i zachowywała się
wobec niego jak furia. Walker ma co prawda skłonność do teatralnej
przesady, ale twierdził, że Vickie ma gdzieś w środku robaka, który
zjada ją od wewnątrz, co potraktowałam jako ironiczną trawę stację
Freuda, ale po tym incydencie znienawidził ją z całego serca.

– Jeżeli Kittrie była z mężczyznami zawsze na górze, to Rey-
nolds musiał być dołem.

– Cóż, z psychoseksualnego punktu widzenia to niedorozwinię-
ty krety. Wie pani o tym, że był w Wietnamie snajperem? Powie-
dział kiedyś Vickie, że widząc w lunecie wybuchające głowy... do-
stawał orgazmu. Powinno to pani co nieco powiedzieć na jego temat.
Myślę, że Vickie nie posunęła się z nim nigdy tak daleko jak
z Bristolem, ponieważ się bała, że mógłby ją potem zabić. Żywią
względem siebie taki niezdrowy szacunek. Czasami... czasami uwa-
żam, że są bardziej do siebie podobni niż jakakolwiek inna para, jaką
pознаłam w tym chorym świecie.

– Po jakim względem?

Claire głęboko się zaciągnęła i zatrzymała dym w płucach. Po-
patrzyła na Palmę.

– Są niemoralni. – Słowa powoli wypłynęły z jej ust razem
z dymem. Jeżeli zamierzała wywołać swoją odpowiedź upiorny
nastrój, udało jej się to znakomicie. Palma zrozumiała, że udawana
pokora Reynoldsa była jedynie zjadliwym cynizmem. Patrząc retro-

spektywnie, wydał jej się szczególnie zepsuty.

– Czy Bristol albo Reynolds zmieniali kiedykolwiek rolę i stawali się „karcicielami”?

– Reynolds tak. To jego naturalne zachowanie. Moim zdaniem pozwalał się biczować Kittrie tylko dlatego, żeby się przed nim roz- bierała. Inaczej nie dotknęłaby go.

– Zna pani jakies kobiety, które karał?

Claire się wahała i przez chwilę Palma obawiała się, że odmówi odpowiedzi. Na szczęście po minucie powiedziała:

– Nie znam. Musi się pani tego dowiedzieć od kogoś innego. W tym zakresie znane przeze mnie pogłoski są z trzeciej ręki.

Tym razem Palma nie uwierzyła. Nawet w cieniu dostrzegła zmianę w postawie Claire. Pytanie przekraczało granicę odpowiedzialności, jaką była gotowa podjąć.

– Rozumie pani, gdzie to prowadzi – spokojnie stwierdziła Palma. – Muszę się więcej dowiedzieć na jego temat. Może mogłaby mi pani podać nazwisko kogoś, kto może wiedzieć więcej, kogoś, kto zaprowadzi mnie do kogoś następnego...

– Rozmawiała pani z Lindą Mancera. – Nie było to pytanie.

– I co?

– Niech pani jeszcze raz z nią porozmawia.

Po drugiej stronie placu ktoś zakaszłał i obie odwróciły głowy w tamtą stronę. Była to kolejna studentka w białym kitlu, dżinsach i sportowych butach, zdążająca do drzwi, przez które kilkanaście minut wcześniej wyszła jej koleżanka. Znów odkaszlnęła, splunęła

obok drzwi, otworzyła je i zniknęła w oświetlonym wnętrzu.

– Co pani wie o Helenie Saulnier?

– Jest prostolinijną, psychologicznie niezbyt skomplikowaną osobą. Nienawidzi mężczyzn. Tydzień po tym jak drugie z jej dzieci wyprowadziło się z domu na studia, porzuciła po dwudziestu sześciu latach niczego nie spodziewającego się męża. Czuje potężną odrazę do wszystkiego, co ma penisa.

– Jak więc toleruje Nathana Isenberga?

Claire w połowie drogi do ust zatrzymała dłoń z papierosem i gwałtownym ruchem skrzyła głowę, by popatrzeć na Palmę. Przez chwilę patrzyła na nią wybałuszonymi oczami i nagle zaczęła się śmiać. Jej głos poleciał w dal przez wilgotne powietrze i odbił się wielokrotnym echem od pobliskich budynków.

– Boże jedyny! W jakim my świecie żyjemy?! – Rzuciła niedopałek na ziemię i zdusiła go czubkiem buta. – Przepraszam... – Znów się zaśmiała. – Nathan nie ma penisu. To Natalie Isenberg.

Palma przyjrzała się roześmianej Claire. Claire, która nie była Claire, śmiała się z Nathana, który nie był Nathanem. Przy tych ludziach pojęcie „dziwactwo” traciło jakiegokolwiek znaczenie.

– A co z Sandrą Moser? – Dopiero teraz Palmie przypomniało się, że musi o nią zapytać.

Claire, która przez chwilę siedziała pochylona do przodu, znów wróciła do cienia. Tym razem jej założona na nogę noga bujała się. Splotła ręce pod biustem.

– Czytałam gazety – odparła. – To musiało być obrzydliwe. By-

łam z nią kilka razy. Była słodziutka i miała takie śliczne, miękkie ciało. Lubiła używać ust, była w tym świetna. Ale odkryła ją Vickie i... polubiła. Dorothy nie była względem Vickie zbyt wymagająca, właściwie to po jakimś czasie zaczęła tolerować wszystko, co Vickie wyprawia. Mężczyzn, kobiety, sado-maso. Wszystko. Wiedziała, że nie zapanuje nad nią, nie może żądać od niej wierności pod jakąkolwiek postacią. Kiedy Vickie przyjechała do Houston i wkręciła się do grupy, jej niepohamowana seksualność była czymś na kształt sensacji. Przed jej pojawieniem się byliśmy dość stateczną bandą. Wyłącznie kobiecą, biseksualną, unikałyśmy klubów, żadna z nas nie była zbyt nakręcona. Nasze romanse smakowały jak zakazany owoc i dla większości z nas było to wystarczającą podniecię. O ile wiem, żadna z nas nie potrzebowała do szczęścia niebezpieczeństwa i nie stwarzała go sobie, ale Vickie wszystko zmieniła. Wprowadziła w działanie grupy styl, o jakim większość z nas przedtem nie śniła. Nagle wszędzie zaczęły się pojawiać sekrety, a w kolejne związki zaczęła się wkradać atmosfera perwersji i grozy. Sandra zawsze była nieco zbyt rozbawiona i Kittrie szybko odkryła, że byłaby gotowa na ryzyko. Wciągnęła ją więc w sado-maso. Vickie nauczyła ją być na górze i Sandrze się spodobało. Potem Vickie skontaktowała ją z Reynoldsem i Bristolem, i wkrótce dotarło do mnie kilka mrożących krew w żyłach historii. Śmierć Sandry wygląda mi na ich kontynuację. Nie znam szczegółów, ale sądzę, że ktoś stracił panowanie nad sobą.

– Dwa razy?

Claire wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, to nie moje podwórko.

Przez chwilę milczała i Palma słyszała, jak z dachu wiaty skapują krople wody.

– Kto mógłby być pani zdaniem zdolny do czegoś takiego?

Claire zapatrzyła się w ciemność za rtęciową latarnią. Pokręciła głową.

– Kto mógłby je zabić? Nie wiem. Nie znam nikogo, kto mógłby je zabić w sposób, w jaki, moim zdaniem, zostały zabite. Tyle tylko że nikt z nas nie zna nikogo, kto byłby do czegoś takiego zdolny. Znamy ludzi jedynie do tego stopnia, do jakiego chcą się nam ujawnić. – Wzruszyła ramionami. – Kiedy policja rozmawia z sąsiadami, każdy twierdzi: „Był wspaniałym sąsiadem. Spokojnym, zrównoważonym. Nigdy nikomu nie sprawiał kłopotów. Nie mogę uwierzyć, że to chodzi o niego”. No tak, bo w momencie czynu to nie był ten sam człowiek.

Miała całkowitą rację. Dokładnie ten rodzaj pozornej przeciętności powoduje, że tacy jak ten, kto zabił Dorothy Samenov, są tak przerażający.

– Proszę pani – powiedziała Claire znów patrząc na Palmę. – Mam dwóch chłopców w średniej szkole. Mąż jest chirurgiem okulistą z praktyką prywatną, a ja... ginekologiem... na Boga! Rozumie pani, co te zdjęcia mogą zrobić ze mną i moją rodziną? – Głos lekko jej drżał. – Rozumiem pani obowiązki i to że... nic pani nie może zrobić, ale współpracuję... choć nic mi pani nie obiecała względem

zdjęć. Jeżeli... jeżeli istnieje jakakolwiek możliwość, by coś z nimi zrobić, spróbuje mi pani pomóc? Nie szukam usprawiedliwień, że je zrobiłam... wiem, jakie to było głupie... ale miały nie być rozpo-wszechniane. To nie miało być... Nie chcę, aby moje życie zostało zniszczone przez te zdjęcia.

Choć twarz Claire była w dalszym ciągu w cieniu, Palma wyraźnie widziała malujący się na niej lęk, który dotychczas udawało jej się jako tako ukrywać. Współczuła Claire. Zaskakujące, ale prawdę jej współczuła.

– Zrobię, co się da – odparła Palma. – Nie mogę obiecać, że nie obejrzy zdjęć żaden inny detektyw, ale zapewniam panią, że nie wydostaną się poza wydział. Kiedy będzie po wszystkim... oddam je pani.

Claire wsunęła głowę jeszcze głębiej w cień i przez jakiś czas nic nie mówiła.

– Jeżeli mogłabym pani... jeszcze w czymś... pomóc – powiedziała w końcu. – Wiem, że to brzmi, jakbym bardziej martwiła się swoimi zdjęciami niż śmiercią Dorothy i Sandry, ale one już odeszły, prawda... a ja nie. Mój mąż jeszcze istnieje. Moja rodzina też.

Palma skinęła głową i wstała.

– Wie pani, jak się ze mną skontaktować. Gdyby miała pani coś nowego albo chciała tylko porozmawiać to... mieszkam sama.

Claire kiwnęła głową, ale nie wstała, by Palma nie dostrzegła jej twarzy. Palma wyszła we mgłę, która zrobiła się bardzo gęsta, i ruszyła szybkim krokiem przez plac. Po wejściu w cień rzucany

przez budynek biblioteki odwróciła się za siebie. Z wiaty wylatywała strużka dymu i natychmiast mieszała się z tańczącą mgłą.

Rozdział dwudziesty siódmy

Czwartek, 1 czerwca

Palma zadzwoniła na domowy numer Lindy Mancera z samego rana, przed jej wyjściem do pracy. Kiedy powiedziała jej, że sprawa jest pilna i muszą się spotkać jak najszybciej, Mancera bez trudu się zgodziła. Tym razem jednak – tak samo jak Andrew Moser – nie chciała, by Palma przyszła do niej do pracy. Zaprosiła ją do domu, który znajdował się w zachodnim Houston, w północnym Tanglewood, niedaleko Woodway.

Mancera mieszkała w jednym z dwóch nowoczesnych piętrowych budynków, stojących na sporej, otoczonej murem posiadłości – z otwieraną na kartę magnetyczną potężną bramą z kutego żelaza – o pretensjonalnej nazwie *Cour Jardin*. Palma opuściła boczną szybę i sięgnęła po wiszącą obok czytnika kart słuchawkę, ale ponieważ brama już zaczęła się otwierać, wjechała.

Choć nie było to wielkie, bogate osiedle, teren znakomicie utrzymywano. Ułożona z cegieł jezdnia jeszcze nie wyschła od porannego polewania, na obramowujących ją konwalnikach, ołowiankach i paprociach jeszcze migotały krople, które musiały pochodzić z włączających się przed świtem zraszaczy. Domy stały skosem do drogi, oba frontem do niej. Tak jak została poinstruowana, Palma zaparkowała przed lewym. Kiedy wysiadła z samochodu, natychmiast owionął ją zapach lasu i wilgotnej ziemi. Poszła do drzwi wejściowych chodnikiem, obsadzonym po obu stronach metrowym

żywoplotem. Nad głową, przez całą wysokość piętra, widziała szklaną ścianę, zza której miało się znakomity widok na cały teren i porośniętą drzewami ulicę za bramą.

Palma zadzwoniła dwa razy. Drzwi otworzyła jej postawna Murzynka, nieco wyższa od Palmy, o włosach zaplecionych w gruby warkocz, przerzucony przez nagie ramię. Miała na sobie bluzkę z gniecionej bawełny w kolorze kości słoniowej i pasującą spódnicę, sięgającą niemal stóp w sandałach. Usta miała pomalowane jaskrawym szkarłatem, z uszu zwisały jej kolczyki z oprawionej w złoto kości słoniowej.

– Cześć, jestem Bessa – powiedziała z nieznacznym uśmiechem. – Proszę wejść. Linda właśnie robi kawę i ma mokre ręce. – Mówiła z akcentem, mogła pochodzić z Jamajki i wymówiła swoje imię „Beysa”.

Przeszły przez pomalowany na biało salon z białymi meblami, jadalnię – też z widokiem na ogród i weszły do kuchni, gdzie Linda Mancera stała obok kontuaru do serwowania śniadań i wycierała ręce.

– Witam. Za sekundę będzie kawa. Ma pani ochotę na sok pomarańczowy albo coś do jedzenia?

Palma podziękowała. Mancera była ubrana bardziej po domowemu od Bessy – w dopasowaną perłową jedwabną tunikę. Nie miała makijażu i choć uczesała włosy, nie były spięte jak do pracy. Była swobodna – tak jak u siebie w biurze – ale wyraźnie zaintrygowana, dlaczego Palma chce się z nią tak nagle znów widzieć. Jesz-

cze przez chwilę stały w kuchni, Mancera przecięła na pół grapefruta i zrobiła tosta Bessie, która zniknęła i dopiero po chwili pojawiła się z torebką i skórzaną teczką na akta.

– Bessa pracuje dla innej agencji reklamowej – wyjaśniła z uśmiechem Mancera. – Tak między nami, jesteśmy specjalistkami w wymienianiu się plotkami z branży.

Bessa zjadła śniadanie, wzięła torebkę, pożegnała się z Palmą, pocałowała Lindę na pożegnanie i wyszła. Poszły wtedy do salonu i Palma przedstawiła pokrótce, do czego doszła w trakcie śledztwa. Słyszając to, Mancera straciła nieco swobody, jedynie pokiwała głową na informację, że Palma już wie o lesbijskiej „sieci”. Wyglądało na to, że się tego spodziewała. Kiedy jednak Palma zaczęła mówić o sadomasochistycznych aspektach kontaktów kobiet z grupy, zrobiła się niewyraźna. Kręciła się w fotelu, przesuwała nogi to tu, to tam, w końcu podwinęła je pod siebie.

– Wczoraj wieczór – mówiła Palma – dowiedziałam się o związku Gila Reynoldsa z Kittrie oraz o tym, że miał sadystyczne kontakty z innymi kobietami. W trakcie naszej poprzedniej rozmowy twierdziła pani, że nie zna nikogo o nazwisku Gil Reynolds, ale w świetle posiadanych przez mnie informacji uważam, że mnie pani okłamała. W tej sprawie, jak i w innych. Rozumiem jednak, dlaczego to pani zrobiła, ale chciałabym się dowiedzieć wszystkiego, co wie pani o Reynoldsie.

Mancera nie spieszyła się. Odstawiła filiżankę z kawą na niski stolik, oparła lewe ramię na oparciu fotela, prawą dłonią zaczęła

masować stopę.

– Wątpię, by pani rozumiała, o co tu chodzi – powiedziała w końcu. – Cóż, w każdym razie jest pani w środku. – Pokręciła głową. – Te kobiety... niełatwo zrozumieć. Gdyby Reynolds pani nic nie powiedział, wątpię, by któraś z nas cokolwiek pani zdradziła. – Popatrzyła na Palmę. – Cieszę się, że nie była to żadna z nas. – Wzięła do ręki filiżankę i wypła łyk kawy. – Bez względu na to, z kim pani wczoraj rozmawiała, osoba ta musiała dać pani dość dokładny opis Reynoldsa. Popeniłam błąd, że nie wymieniałam od razu jego nazwiska. Wiedziałam jednak, że przez niego odkryłaby pani naszą grupę.

Nagle Palma nie wytrzymała.

– Niech to wszyscy diabli! Co to ma znaczyć?! Kiedy rozmawiałyśmy poprzednim razem, doskonale pani wiedziała, że obie ofiary były biseksualne i najprawdopodobniej ma to związek z ich śmiercią. Nie przeraża to żadnej z was? Nie rozumiem, co chciała pani osiągnąć milczeniem. Ten człowiek uderzy ponownie. Czy to pani nie przeraża?

– Przeraża, ale jesteśmy przyzwyczajone, że się nas straszy – odpowiedziała obojętnie Mancera. – Nie aż tak, ale wiemy, co to strach. Jeżeli się nad tym dobrze zastanowić... czasami śmierć nie jest gorsza od zrujnowanego życia. Wszystkie z nas żyją na co dzień w strachu przed tą drugą ewentualnością. Niezbyt nam zależy na odsłonieniu się przed światem tylko po to, aby się dowiedzieć, kto spośród nas nam zagraża. Do pewnego stopnia jesteśmy gotowe na

podejmowanie ryzyka.

– Do pewnego stopnia? Naprawdę? Do jakiego? Aż do morderstwa? Mancera patrzyła na Palmę, mrużąc oczy. Chciała, by Palma zrozumiała jej punkt widzenia.

– Czy jest pani sobie w stanie wyobrazić chodzenie po świecie z psychologicznym garbem wielkości innego człowieka? Tak to jest, jeżeli jest się lesbijką albo biseksualistką. Jeżeli chcemy uczestniczyć w głównym nurcie życia społecznego, nie możemy być uczciwe. Chcąc, by zaakceptowano nasze talenty i możliwości, musimy ukrywać połowę siebie. Inaczej pokazałybyśmy garb i wkrótce odkryły, że jest on jedyną rzeczą, jaką inni w nas widzą.

Złość Lindy była cicha, ale potężna. Będąc człowiekiem, który musi stale walczyć o przetrwanie, nauczyła się nad nią panować, ukrywać ją, tak jak ukrywała swą seksualność. Uśmiechała się łagodnie, lodowato, na koniec położyła szczupłą dłoń na swej pięknej szyi.

– Społeczeństwo nie zauważa tylko, że i tak już uczestniczymy w głównym nurcie życia społecznego. Poznałyśmy wartość bycia niewidzialnym. Jesteśmy lekarkami, nauczycielkami, dyrektorkami, maklerami nieruchomości i... detektywami, w dalszym jednak ciągu nosimy na plecach psychologiczny garb i możemy się go pozbyć jedynie będąc wśród siebie podobnych. Do tego celu służyła nasza grupa. Była jedynym miejscem, gdzie każda z nas mogła się poczuć swobodnie, ponieważ wszystkie byłyśmy podobne. Jedynym zaś powodem, dlaczego tam nam świetnie szło, była tajność – dzięki

temu byliśmy chronione. – Mancera znów wzięła filiżankę, ale kawa już wystygła, więc odstawiła ją. Popatrzyła na Palmę. – Pyta pani, jak możemy milczeć? Jest szansa, że złapie pani mordercę, nie ma jednak szansy, aby po naszym odtajnieniu się społeczeństwo zwróciło nam nasz status.

– Niestety tak się składa, że bez waszej pomocy nie ma szansy, byśmy złapali mordercę.

Mancera wstała.

– Muszę się napić świeżej kawy. Pani też?

Palma miała ochotę walnąć ją na odlew i rzucić z powrotem na fotel, ale powstrzymała się i poszła do kuchni. Mancera wylała zimną kawę do zlewu.

– Musi mi pani obiecać, że jeżeli sprawa dostanie się do prasy, nie zostaną ujawnione szczegóły, po których będzie można mnie rozpoznać. Pod żadnym pozorem nie może się pojawić w prasie moje nazwisko. – Wzięła dzbanek, dołała kawy Palmie, potem sobie.

– Nie mogę tego obiecać. W akta sprawy może mieć wgląd każdy pracownik wydziału zabójstw, każdy pracujący nad sprawą detektyw i z pewnością kilka osób z administracji. Teraz zajmuje się nią czworo detektywów, jeżeli jednak doszłoby do kolejnego morderstwa, jestem pewna, że chciałoby wetknąć w nie nos więcej osób.

– Uważa pani, że zrobił to Gil Reynolds?

– Nie wiem. Wiem o nim tylko tyle, że lubi bić kobiety. To raczej nie jest przyjemne.

Mancera popatrzyła na widoczne za ramieniem Palmy drzewa.

Palma dostrzegła, jak zwęża jej się tęczęwka, miała szkła kontaktowe. Mancera przełknęła.

– Denise Reynolds rozwiodła się z mężem, ponieważ ją bił. Wytrzymała to przez lata, póki nie zaczął tego robić na oczach synów. Któregoś wieczora – chłopcy byli w szkole – pobił ją tak, że trafiła do szpitala.

– To powinno być w aktach – odparła Palma. – Nie ma, prawda?

– Twierdziła, że została napadnięta na ulicy i trwała przy tej wersji. Wszyscy wiedzieli, że to nieprawda, ale trzymała się jej jak liny ratunkowej. Kiedy wyszła ze szpitala, rozwiodła się z nim z powodu niezgodności charakterów. – Mancera popatrzyła na filizankę i pokręciła nią. Wyglądała na wzburzoną. – Zanim się rozwiedli, może na rok przedtem, wstąpiła do naszej grupy. Niejedna z nas była bitą żoną. – Mancera znów przerwała, jakby się zastanawiała, co dalej powiedzieć. – Zakładam, że nie jest pani ani biseksualistką, ani lesbijką. Nie wiem, jak dobrze jest pani poinformowana, zapewniam jednak, że „lesbijka jako taka” nie istnieje, tak samo jak „normalna kobieta jako taka”. Zarówno kobiecy homo-, jak i biseksualizm zawiera tyle samo filozofii, etyki, stylów życia i poglądów politycznych jak „heteroseksualizm”. Nie jesteśmy jednomyślną masą. – Przed następnymi słowami zawahała się na chwilę. – Od pojawienia się u mnie pierwszych potrzeb seksualnych wiedziałam, że wolę kobiety. Miałam normalne, szczęśliwe dzieciństwo bez fizycznego ani psychicznego znęcania się. Kocham moich rodzi-

ców i rodzeństwo i oni kochają mnie. Dobrze mi z tym, jaka jestem, oczywiście pomijając to, że w pracy muszę żyć w nieprawdziwym świecie, udawać, jak bardzo pochlebia mi adoracja mężczyzn, z którymi pracuję, i nie mogę okazywać przyjemności, jaką czerpię z bycia wśród kobiet. Moje preferencje seksualne są jednak moją prywatną sprawą i tak powinno pozostać. Nie decydują one o moich poglądach politycznych, preferowanej religii ani moralności. Nie dominują mojego życia. Gdybym nie była zmuszona nieustająco bawić się w chowanego, seks znacznie straciłby na ważności w hierarchii moich życiowych spraw. Przestałby być czymś tak istotnym. Istnieją inne znacznie ważniejsze moralnie sprawy.

Mancera napiła się kawy. Nie wiadomo, dokąd ten wywód dążył, ale przynajmniej mówiła. Spowodowanie, by człowiek, z którym prowadzi się wywiad, mówił, to często połowa sukcesu.

– Przed chwilą użyłam określenia „znęcać się”. Niejedna kobieta zostaje lesbijką, ponieważ znęcano się nad nią w dzieciństwie albo w trakcie małżeństwa. Wiele kobiet będzie temu gwałtownie zaprzeczać, ale raczej w ramach tak zwanej „polityki feministycznej”, gdyż nie chcą przypisywać swojej orientacji seksualnej temu, co kiedyś zrobili im mężczyźni. Uważają, że oddałyby im w ten sposób władzę, pogodziły się z faktem, że lesbijki są tym, czym są, z powodu mężczyzn. Twierdzą więc, że ich orientacja seksualna wynika z ich wolnego wyboru i nie lubią określenia „lesbijka”. Wolą „homoseksualna”. Uważają, że „lesbijka” niesie ze sobą zbyt wiele negatywnych skojarzeń, przeniesionych z epoki wiktoriańskiej. – Pokręciła

głową. – Poznałam wiele kobiet w średnim wieku, które miały pierwsze doświadczenie lesbijskie po rozwodzie z bijącym je mężem i które odrzucały wszystko co męskie. Inne wybierały lesbijskie życie z powodów politycznych, jako odpowiedź na „patriarchalny heteroseksizm”. Nie ma jednego powodu zostania homo. Dla Denise Reynolds zainteresowanie miłością z kobietami wynikało głównie z wytworzonej z biegiem lat niechęci do mężczyzn. Dla niej gra szła o zdrowie psychiczne. Musiała gdzieś znaleźć ciepło i miłość, i tak się zdarzyło, że znalazła to u innych kobiet. W kontakcie z nimi nic jej nie groziło, pojawiała się nadzieja na osiągnięcie szczęścia. Potem Gil dowiedział się o tym i zabrał jej synów „ze względów moralnych”. Mieszkają teraz u jego rodziny.

– A co się stało z Denise?

– Zniknęła.

Palma zmarszczyła czoło.

– Jak to? Odeszła, aby zacząć nowe życie?

– Nie wiemy. Kiedy to się stało, mieszkała sama, zanim się więc ktokolwiek o czymkolwiek dowiedział, minął tydzień.

– Poinformowano policję? Mancera kiwnęła głową.

– Przyjęto meldunek o zaginięciu, tyle że nic z tego nie wynikło. Okazało się, że z mieszkania zniknęła walizka, pieniądze i sporo ubrania. Zniknął samochód. Moim zdaniem policja uznała, że pojechała za zabranymi jej chłopcami. Nie było jakichkolwiek dowodów przestępstwa.

– Ale pani to nie przekonuje?

– Nie.

– Jak Reynolds nawiązał kontakt z Dorothy Samenov?

Reynolds pojawiał się wszędzie. Zaczynało to wyglądać na teatr jednego aktora.

– To w tym wszystkim najdziwniejsze. Denise była znana w grupie pod nazwiskiem Kapłan. Zmieniła je po rozwodzie. Niedługo po jej zniknięciu Reynolds pojawił się z Dorothy, która była bardzo aktywna biseksualnie, więc nikogo nie dziwiło jej pojawianie się z mężczyznami. Nikt z nas nie skojarzył go jednak z Denise. Wkrótce pojawiła się jednak Kittrie i Dorothy była nią zachwycona. Właśnie otrząsała się po rozstaniu z ostatnią kochanką i Reynolds z Kittrie pojawili się jak na zawołanie.

Palma uważała, że to niezwykła historia. Dorothy Samenov, kolumna feministycznej stabilności, coraz bardziej wyglądała na wrak emocjonalny. Wykorzystywano ją seksualnie w dzieciństwie, była bita przez męża, szantażowana, szła do łóżka z każdym mężczyzną i każdą kobietą, jacy się nawinęli, została ofiarą młodziutkiej dziewczyny, której perwersje seksualne zasługiwały na osobny rozdział u Krafft-Ebbinga, a na koniec została ofiarą morderstwa. Palma widziała już niejedną Dorothy Samenov.

– Jak to pogodzić z sadystycznym zachowaniem Reynoldsa wobec kobiet? Mancera skinęła głową, widocznie uznała, że już dość wprowadzenia.

– Byłam wtedy z pewną kobietą... Terry. Mieszkała z koleżanką, bez podtekstów seksualnych, były jedynie dobrymi

przyjaciółkami. Okazało się, że ta koleżanka jest od lat partnerką Reynoldsa w grach sado-maso. Czasami uczestniczyła w tym Kittrie i... robili paskudne rzeczy.

– Terry dowiedziała się o tym od koleżanki i powiedziała o tym pani.

– Zgadza się. Ale nic pani o tym nie powiem, niech sama pani z nią porozmawia. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie podoba mi się to. Dla większości lesbijek, których związki są monogamiczne i opierają się na miłości, tego typu kobiety są godne pogardy. Najgorszym, co mogło się przydarzyć Dorothy Samenov i naszej grupie, był nie Gil Reynolds, lecz Vickie Kittrie. Bez Vickie Gil by nie zaistniał. Nie zostałby z Dorothy. Ona nie była taka zła. Była słaba i udręczona, ale nie zła. Potrzebowała miłości i stałego oparcia, nie schizoidalnej Vickie Kittrie.

– Dlaczego pani zdaniem kobieta, z którą rozmawiałam wczoraj wieczorem, nie posłała mnie w pierwszym rzędzie do koleżanki Terry?

– Nie wiem. A kto to był? Palma pokręciła głową.

– Jak nazywała się ta koleżanka?

– Louise Ackley.

– Boże...

– Tak, wiem – odparła Mancera, aby załagodzić Palmę, zminimalizować straty. – Udawałam głupią, kiedy we wtorek zapytała mnie pani w pracy o sado-maso, ale byłam zaskoczona. Musiałam przemyśleć sprawę.

– Po wyjściu od pani byłam u Louise.

– W jakim była stanie?

– Pijana. Ogólnie w kiepskim. Mancera pokręciła głową.

– Proszę pani, jestem pani coś winna i na ile mogę, chcę pomóc rozwikłać ten chaos. Naprawdę. Przepraszam, że sprawiłam kłopot. Jutro wieczór przychodzi do mnie na drinka kilka kobiet. Do miasta przyjechało kilka przyjaciółek, z którymi znamy się od lat i zaprosimy trochę gości. Może pani wpadnie? Takie spotkania nie są niczym niezwykłym i nowe osoby są normalką. Wystarczy się przedstawić imieniem. Nikt nie musi nic wiedzieć. Zajmę się tym, by Terry przyszła i żebyście mogły porozmawiać na osobności. Nikt nic nie zauważy, nikogo nic nie będzie obchodzić. To pójdzie jak z płatka, a da pani okazję poznać jeszcze kilka z nas – bez maski z pani i naszej strony.

Palma nie wahała się.

– Dobrze, biorę panią za słowo, ale mój zawód nie może być tajemnicą poliszynela. Nie chcę, żeby ktokolwiek poza Bessą i Terry wiedział, kim jestem.

– Zgoda – odparła Mancera i uśmiechnęła się w ciepły, miły sposób, co natychmiast spodobało się Palmie. Po chwili jednak poczuła się odrobinę zażenowana.

Rozdział dwudziesty ósmy

Palma zatrzymała się na stacji benzynowej przy Woodway i zadzwoniła do Louise Ackley do domu. Nikt nie podnosił słuchawki. Sądząc, że może wróciła do pracy (choć powrót w czwartek byłby dziwny), Palma zadzwoniła do Maritime Guaranty, gdzie powiedziano jej, że Ackley się nie pojawiła.

Czekała. Musiała z nią porozmawiać. Chciała przed kolejną rozmową z Reynoldsem poznać każdy szczegół jego repertuaru seksualnego, każdy załamek i fałdek jego umysłu. Gdyby okazało się to konieczne, zamknęłaby się z Louise w jej ponurym domku i kupiła jej tyle piwa, by zaczęła mówić, a gdyby to nic nie dało, zapłaciłaby z własnej kieszeni za dobowe – czy ile by ono trwało – odtrucie, aby doprowadzić ją do stanu, w którym mogłaby w miarę świadomie opowiedzieć o sadystycznych zabawach Reynoldsa. Po tym, co dowiedziała się od Claire i Lindy, Palma była pewna, że gdzieś pośród chorobliwych majaków znalazłaby jakiś trop – coś na kształt behawioralnych odcisków palców – dotyczący śmierci Sandry Moser i Dorothy Samenov.

Ponownie wrzuciła ćwiartkę do automatu i wykręciła numer, ale ponownie nie odbierano. Mało brakowało, a natychmiast pojechałaby do Ackley, zdawała sobie jednak sprawę, jak mało brakuje, aby przesadziła z ilością podejmowanych zobowiązań. Leżące w samochodzie próbki włosów Kittrie powinny już dawno być w laboratorium. Rozmowy – wieczorna z Grantem, nocna z Claire

i z Lindą przyniosły nowe informacje, które powinny się jak najszybciej znaleźć w raporcie. Branie na siebie kolejnych zadań byłoby nierozsądne.

Palma wróciła Memoriał Drive, mijając po drodze dziesiątki pocących się w upale biegaczy. Jedni z nich ciężko sunęli, inni podążali przed siebie wielkimi susami, jeszcze inni dreptali albo wręcz maszerowali między krętą ulicą a gęstymi piniami Memoriał Parku, biegnącego od West Loop w kierunku centrum.

Myślała o Vickie Kittrie. Palmę mocno zaskoczyło, że dziewczyna, która wyzwala u Saulnier tak opiekuńcze instynkty, może być (jeżeli informacje od Claire i Lindy są rzetelne) źródłem takiego zła. Co tkwiło we wnętrzu tej dziewczyny z wiochy w Luizjanie i jakie musiało być jej życie, że w tak młodym wieku wiedziała aż tyle o ciemnej stronie erotyki? Pojawiało się przy tym oczywiście pytanie, czy Claire była uczciwa. Najważniejsze jednak, co z jej opowieści miało służyć zamęczeniu już i tak niezwykle skomplikowanego śledztwa. Palma nie byłaby zaskoczona, gdyby dowiedziała się od kogoś następnego, że „psikus” Claire był dobrze przemyślany. Jakie by to jednak miało znaczenie, gdyby kłamała? Jedyne świadczyłoby to o tym, że Palma weszła jeszcze krok w głąb cierpkiej otchłani świata sadomasochizmu.

Zwolniła, skręciła kilka razy i już była przy komendzie. Wjechała do garażu, zaparkowała i poszła do laboratorium wypełnić zlecenie wykonania badania porównawczego włosów. Potem udała się do swojego boksu.

Hol wypełniała wielka grupa ludzi, wyglądających na członków archaicznych hipisowskich rodzin. Środze doświadczone życiem kobiety ledwie mogły utrzymać w ryzach kilka rozbestwionych dzieciaków, podczas gdy trzej mocno „pachnący” mężczyźni z sumiastymi wąsami i owiniętymi bandanami głowami wyklócili się z kilkoma policjantami o to, czy ich „pojazdy” mają ważny przegląd techniczny.

Birleya nie było w boksie, ale zostawił wiadomość, że jedzie do mieszkania Andrew Mosera porozmawiać z matką Sandry. Dzieci były w szkole i Andrew powiedział, że jego macocha będzie wiedziała, gdzie znaleźć nazwiska i telefony lekarzy Sandry. Moser poprosił jedynie, aby Birley nie zadawał pytań przez telefon, lecz przyjechał osobiście.

Leeland pojechał na uniwersytet, Cushing biegał po mieście i rozmawiał z fryzjerami.

Palma naląła sobie kolejną kawę. U Lindy wypła trzy, ale aby nie stracić przytomności, będzie musiała pić do wieczora kawę za kawą. Czowała pod powiekami kaszę i kiedy włączyła komputer, zanim jej wzrok przyzwyczał się do obrazu na monitorze, musiała przy-mrużyć na chwilę oczy. Wyjęła z torebki notes, otworzyła go na notatkach z rozmowy z Kittrie i Saulnier i zaczęła pisać.

Pisała bez przerwy, aż doszła do końca notatek i wydrukowała dwie kopie. Jedną zostawiła w przegródce Frischa i odmeldowała się, informując, że jedzie porozmawiać z Louise Ackley.

O wpół do trzeciej wydarła z garażu służbowy samochód i była

z powrotem w drodze.

Kiedy dojechała pod dom Louise Ackley, zbliżało się wpół do czwartej. Drzwi frontowe były otwarte. Palma nie widziała, czy kot leży na fotelu czy na werandzie. Wzięła z samochodu walkie-talkie i wysiadła. Miała nadzieję, że Louise nie padła pijana w sypialni i zareaguje na dzwonek, ale w sumie nie było to aż tak ważne. Postanowiła, że tak czy owak wejdzie do środka.

Kota nie było na ogrodowym fotelu – najwyraźniej udał się na polowanie. Na poduszce na fotelu leżała ta, którą złapał ostatnio. Miała obgryziony ogon, poza tym wyglądała, jakby spała. Jedynymi widocznymi śladami, że kot się z nią bawił, były zmierzwione, wilgotne kawałki sierści. Palma nieraz widziała, że koty śmiertelnie ranią mysz, unieruchamiają ją, a potem w ramach ponurej zabawy obserwują, jak próbuje uciekać, przy okazji podgryzając ją, kiedy mają taki kaprys.

Może to trwać godzinami, całe popołudnie albo nawet noc, kiedy jednak mysz zdycha, przestają się nią interesować.

Palma popatrzyła na mysz i wyciągnęła rękę, by wziąć poduszkę, zmieniła jednak zdanie i podeszła do wejścia. Mimo dość intensywnego pukania nikt w środku nie zareagował, Palma sięgnęła więc do klamki, niemal czekając na ostrą reprimendę Louise Ackley. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

– Pani Ackley...

Stała już prawie na środku salonu. Nic się tu nie zmieniło. Na stoliku stały trzy puste butelki po piwie, z popielniczki tak samo jak

poprzednim razem wysypywały się niedopałki, a parapet za kanapą był zastawiony bursztynowymi butelkami. Nawet – ciągle pracujący – wentylator stał w tym samym miejscu, raz za razem, wraz ze swoim monotonnym ruchem to w lewo, to w prawo – przeganiając po podłodze kłęby kurzu.

Kiedy do Palmy dotarł odór ekskrementów, jej serce ogarnęło przerażenie i nagle poczuła skurcz serca. Jej ręka automatycznie powędrowała do torebki i chwyciła SIG-Sauera, a rosnący poziom adrenaliny we krwi zaczął wyostrzać jej zmysły. Najciszej jak umiała, zsunęła torebkę z ramienia i odbezpieczyła broń. Podeszła do ściany naprzeciwko kanapy, pod którą siedziała w czasie poprzedniego pobytu, na krok od drzwi prowadzących do sypialni, gdzie pijany kompan Ackley zwałił się z jękiem na łóżko. Odór ekskrementów był tutaj wyraźniejszy, do tego wyraźnie zmieszany ze zgnilizną. Palma najchętniej uciekłaby i wezwała pomoc, ale na razie nie było dowodu, że coś jest nie w porządku.

Próbowała przypomnieć sobie ulicę przed domem. Jakie stały tam samochody? Jak daleko od domu? Nowe czy stare? Nic się nie działo, ale była to niewielka ulga. Naprzeciwko miała drzwi do kuchni – widziała stojący pod ścianą stół z surowego drewna, na nim otwarty słoik dżemu. Obok stołu widać było kolejne otwarte drzwi, prowadzące najprawdopodobniej do łazienki, za którą powinien być krótki korytarzyk i następna sypialnia. Palma wzięła głęboki wdech i wysunęła głowę za róg. Ujrzała kawałek łóżka, ze skotłowaną i wilgotną pościelą. Słychać było krążące po pokoju muchy. Farba na

framudze drzwi, gdzie Palma stała, była brudna, stara i łuszczyła się przy dotyku. Poza bzykaniem much, w całym domu panowała zupełna cisza. Palma wysunęła się zza osłony framugi, zrobiła krok do sypialni i znów stanęła.

Louise Ackley leżała na łóżku, na plecach. Brudny podkoszulek podwinął się tak, że odsłaniał nagie uda, jedna noga była zgięta w kolanie, ramiona rozrzucone na boki. Brakowało połowy twarzy – na ścianie widniała krwawa plama, a Ackley zdawała się patrzeć na Palmę przez chmurę brzęczących much jednym okiem, wypchniętym nieco z oczodołu. Leżała na poduszkach, tak że po strzale, który do niej oddano, krew rozlała się tak, że otoczyła ramiona i głowę niczym ciemna galareta, nad którą kłębiły się muchy.

Palma zamarła. Ciężko oddychała przez zaciśnięte zęby, jedynie lekko rozchyliła usta, by nie czuć tak smrodu. Samobójstwo? Nie widać było żadnej broni. Drzwi znajdującej się po jej prawej ręce szafy były otwarte. Rozejrzała się po podłodze w poszukiwaniu narzędzia. Niczego nie było. Popatrzyła na drzwi drugiej sypialni, potem przez drzwi naprzeciwko do kuchni. Na zlewozmywaku stały nie umyte naczynia i otwarta puszka chili. Przysunęła się do łóżka i zaczęła szukać broni w skłębionej pościeli, ale i tu nic nie dostrzegła. Boże drogi... żadnej broni świadczącej o samobójstwie. Boże drogi... Palmie waliło serce i czuła się jak bezbronna osoba, która weszła do pomieszczenia, gdzie czai się morderca. Dotarł do niej widok krzepnącej krwi... a więc zabójstwo zostało dokonane niedawno... Nie mogła w to uwierzyć.

W dalszym ciągu oddychając przez zaciśnięte zęby, obeszła łóżko i wyszła na korytarz. Poszła sprawdzić łazienkę. Ackley utrzymywała dom jak fi ej a, ale widać było, że łazienki nie splądrowano. Otwarta została i opróżniona szafa w korytarzu. Kiedy Palma weszła do drugiej sypialni, nagle zamarła, oparła się plecami o ścianę i odruchowo wycelowała trzymany oburącz pistolet w mężczyznę na podłodze. Leżał jednak twarzą do dołu, był nagi, jedną rękę przykrywał tułów, druga była wyciągnięta, kurczowo zaciśnięta na parze brudnych kalesonów. Palma natychmiast dostrzegła niewielką ranę w gęstwinie czarnych włosów na jego potylicy i domyśliła się, że twarz, leżąca na skraju wyświechtanego dywanika, który wchłonął krew jak bibuła, będzie podobna do twarzy Louise Ackley. Palma nagle oprzytomniała i gwałtownym ruchem obróciła lufę SIG-Sauera w kierunku ostatniej zamkniętej w tym domu szafy. Jej drzwi były dokładnie zamknięte. Przełknęła ślinę i ruszyła w kierunku zabitego mężczyzny. Boże, to nie miało sensu... zaczęła wycofywać się tyłem z sypialni, potem korytarzem ku salonowi. Kiedy zaczęła szukać walkie-talkie, nogi niemal odmówiły jej posłuszeństwa. Stojąc tak, by móc widzieć drzwi sypialni, wezwała wsparcie.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

– Jesteś wściekły, prawda?

– Nie bądź niemądra, Bernadine.

– Jesteś. Jesteś... taki chłodny.

– Zawsze taki jestem. To moja druga natura, moje zawodowe ja. – Nie podobało mu się, że żartuje z niego.

– Tak, ale nigdy nie sprawiasz takiego wrażenia. Teraz tak. Ta sprawa cię denerwuje.

– Bernadine, czy naprawdę uważasz, że jeszcze nigdy nie zetknąłem się ze związkiem lesbijskim? – Fakt, miałem wśród pacjentek lesbijki, ale z żadną nie utrzymywał pięcioletniego związku. To była jednak różnica. Beznamiętny obiektywizm nadawał się do prowadzenia analizy, ale Bernadine, do cholery, była jego kochanką!

– Ale nie z takim – odparła ze śmiechem.

Jak zawsze przy spotkaniu z Bernadine mieli w dłoniach po drinku – tym razem jej ulubione whisky – i zamiast położyć się na kozetce, usiadła w fotelu naprzeciw niego. Jeszcze nigdy tego nie robiła. Zawsze wolała kozetkę i to z tych samych powodów co on – jej leżenie tworzyło bardziej erotyczny nastrój. Taka pozycja była naprawdę sugestywna, a Bernadine umiała przybrać maksymalnie prowokującą postawę.

– Nieraz dyskutowaliśmy o twoich kochankach – stwierdził Broussard.

– Ale nie o kobietach.

Miała stuprocentową rację, ale mimo że kręciło mu się w głowie, nie mógł przyznać, że stanowi to dla niego różnicę.

– Z pewnością zdążyłaś przez te wszystkie lata zrozumieć, Bernadine, że to nie stanowi różnicy. Jeżeli to dla ciebie ważne, znaczące, pomogę ci to zanalizować, zrozumieć siebie lepiej w świetle tej sprawy. – Słowa te niemal go dławily, zwłaszcza wypowiedane wobec Bernadine. Już dawno pozostawili podobne treści za sobą, a teraz znów chciała, by zachowywał się jak psychiatra. Po tylu latach intymności mierziło go to. Było charakterystyczne, że Bernadine nie zauważa trudności realizacji tego, co proponuje. Chciała cofnąć czas i zacząć od początku, ponieważ uznała, że w miłości z drugą kobietą odkryła coś, co wstrząsa posadami Ziemi. Wydawało się jej, że kryje się w tym rozwiązanie jej problemów. Bernadine zawsze próbowała znaleźć rozwiązanie swoich problemów rękami innych ludzi. Nigdy nie zrozumiała ani nie zaakceptowała faktu, że musi wejrzeć w siebie. Popatrzyła na Broussarda znad okularów. Uśmiechała się.

– Wiesz, to już jakiś czas trwa – powiedziała. – I nic nie wyczułam. Kilka razy przychodziłam do ciebie zaraz po tym, jak byłam z nią. Miałam was oboje w ciągu godziny.

Broussard nie mógł uwierzyć i w ułamku sekundy przemknęły mu przez głowę wspomnienia kilku ostatnich spotkań. Próbował przypomnieć sobie, o których mogła mówić, kiedy czuł w niej odmianę. Popijał stoliczną, aby ukryć fakt, że musi często przełykać ślinę. Nie powinna była tego ujawniać. Nie czuła, że to obraźliwe?

Używała przed przyjściem do niego kobiety jako afrodyzjaka, jakby potrzebowała czegoś do przygotowania się na kontakt z nim. To było poniżające. Popatrzył na jej uśmiechniętą twarz i zadał sobie pytanie, czy będzie w stanie przejść nad tym do porządku dziennego. Wyrażnie miała ochotę o tym rozmawiać i czuł zaciskającą mu się wokół gardła klaustrofobiczną pętlę. Zasmucało go, jak niewrażliwa się okazała, nieświadoma duchowych więzów, jakie ich łączyły i uczyniły go częścią niej, jakby byli ciałem z jednego ciała.

– Cóż, jeżeli nie chcesz o tym rozmawiać... – stwierdziła odstawiając szklankę.

– Bernadine, daj spokój... – Z niejakim trudem, ale zachował spokojny, patriarchalny ton. – Przecież wiesz, że wyobrażanie sobie, iż źle się czuję z powodu tego, co powiedziałaś, to projekcja, wymówka, aby uniknąć rozmowy, podczas gdy tak naprawdę chodzi o twoją wewnętrzną niechęć. – Prosty sposobem odwrócić kota ogonem.

Nie! Nie wolno ci tak mówić! – Bernadine pochyliła tułów do przodu. Otworzyła usta, aby coś jeszcze dodać, ale zrezygnowała. Zmarszczyła czoło, przyspiliła Broussarda wzrokiem, zaraz jednak uśmiech wrócił na jej usta, powoli się odprężyła i wygodnie usiadła. Zabrzmiał jej aksamitny śmiech. – No dobrze – powiedziała i nie spuszczając z Broussarda wzroku, dotknęła językiem powierzchni whisky. – To nie był mój pierwszy kontakt z kobietą. – Powoli pokręciła głową. – Opowiem ci kolejną historię. Kiedy chodziłam do koledżu, a była to uczelnia żeńska, mieszkałam w jednym pokoju

z koleżanką, z którą się nieźle dogadywałam. Mieszkałyśmy ze sobą tylko przez mój pierwszy semestr, potem przeniósła się na inną uczelnię. Dzień przed końcem tego semestru poszłyśmy w kilkanaście dziewczyn do miasteczka i przy wielkich ilościach alkoholu i papierosów wspominałyśmy minione pół roku. Paula była nieco smutna, ponieważ widziała nas po raz ostatni. Wróciłyśmy do domu bardzo późno, napite i zmęczone, i natychmiast padłyśmy do łóżek. Natychmiast zasnęłam, nie wiem więc, ile minęło czasu, nim się obudziłam stwierdzając, że Paula leży w moim łóżku. Była naga i pieściła moje piersi. Spałam tylko w majtkach i po chwili zaczęła mi je zdejmować. Nie zaprotestowałam. Przez długi czas leżałyśmy bez ruchu, jedynie się obejmując. Z początku byłam całkowicie bierna, pozwalałam się pieścić, dotykać moje piersi, masować między nogami. Po jakimś czasie zaczęłam ją dotykać, bardzo delikatnie, przy czym każde muśnięcie okazywało się niezwykle przyjemnym odkryciem, które było dla mnie zaskakująco przyjemne. Pamiętam, że krążyło mi po głowie, jakie to dziwaczne, dotykać w ten sposób innej dziewczyny. Było to jak dotykanie samej siebie, tyle tylko że moje ciało straciło czucie i całe skoncentrowało się w rękach. Znałam kobiece ciało od środka, nie od zewnątrz. Pamiętam szczególnie dwie rzeczy: ciężar jej piersi i delikatną zmianę powierzchni sutek oraz niewielkie zagłębienie w udach, tuż przy samym kroczu. Mnie samą podniecał dotyk w tym miejscu, wiedziałam więc, co robię Pauli i jak musi to odczuwać. To, co robiłyśmy, było najniezwyklejszą – i równocześnie najnaturalniejszą – rzeczą na

świecie. – Bernadine popatrzyła na swoją szklankę, pchnęła palcem pływające w niej kostki lodu. – Miałam już wtedy za sobą pierwsze doświadczenia z mężczyznami. Jak wiesz, zaczęły się dość wcześnie, zdawałam więc już sobie sprawę z tego, że różnie reaguję na różne rodzaje podnieć. Mimo to Paula okazała się odkryciem. Była to wyjątkowa noc i nawet przez sekundę nie spałam. Po kilku godzinach Paula zasnęła w moich ramionach, ja jednak nie mogłam zasnąć. Leżałam i patrzyłam na nią. Nawet i to było podniecające. Byłam już nawykła do widzenia swojego ciała przy innym człowieku, o całkiem innym ciele, odmiennej skórze i różnym wyglądzie, ale oglądanie kogoś identycznego, przytulonego do mnie udami, brzuchem, piersią – było niezwykle. Widok kobiecego ciała przy moim spodobał mi się. Jakby bardziej do mnie... pasowało.

Broussard słuchał z potulną miną i choć nie umiałby wytłumaczyć, dlaczego to robi, co jakiś czas kiwał głową. W środku czuł jednak, że rozrywa go na strzępy. Miał wrażenie, że każdy akt seksualny, jaki odbył w ciągu minionych pięciu lat z Bernadine – a nie było ich mało – był z jej strony świadomym oszustwem. Dręczyło go, że w czasie ich kontaktów porównywała seks z nim z seksem z Pauline i uznawała, że w seksie z nim czegoś brakuje. Wyobrażał sobie Bernadine, leżącą pierś w pierś, pępek w pępek, łono w łono z tą dziewczyną i patrzącą na nią błyszczącymi, bezdennymi oczami z takim samym zainteresowaniem i taką samą nieokiełznaną przyjemnością, z jaką patrzyła tyle razy na niego – na nich. Nie umiał sobie wyobrazić żadnego ruchu, pieszczoty ani gestu, które wolałby

okazywać komuś bardziej niż Bernadine, obserwującej ich erotyczny rytuał z nieprzemijającą od lat przyjemnością. Ta jej postawa była dla niego tak samo erotyczna jak nagość – głównie z tego powodu nie mógł od pięciu lat oprzeć się tej kobiecie.

Grzechot lodu w pustej szklance przywołał go do rzeczywistości. Bernadine dopiła whisky.

– Na tym się jednak skończyło – powiedziała. – Rano odprowadziłam Paulę na pociąg i machałam jej, kiedy odjeżdżała. Nigdy więcej jej nie widziałam. – Chwilę się zastanowiła. – Nie wiem, dlaczego skończyło się na tym jednym incydencie... to znaczy do niedawna. Był to najlepszy seks, jaki kiedykolwiek miałam, a mimo to nie pomyślałam o powtórzeniu go z inną kobietą. Był czymś zastrzeżonym tylko dla Pauli i dla mnie. Przez wiele lat moje fantazje seksualne opierały się głównie na wspomnieniach tamtej nocy. – Popatrzyła na Broussarda. – Chyba chciałabym przeanalizować, dlaczego aż do niedawna nie miałam innych doświadczeń lesbijskich.

Broussard potrzebował chwili, aby się pozbierać – obraz dwóch nagich kobiet powracał natrętnie.

– Czy kiedykolwiek podczas tego epizodu myślałaś o dniu, w którym przyłapałaś ciotkę z kochanką? – Pytanie sformułował niemal odruchowo, uchroniło go od okazania, że jest zmieszany.

Bernadine odstawiła pustą szklankę na podłogę, ściągnęła pantofle, wstała i podeszła do kozetki, na której się położyła. Broussard był nie mniej zaskoczony, niż gdyby wyskoczyła przez okno. Co to

miało znaczyć?

– Wiesz, że nie – odparła unosząc biodra, aby poprawić sukienkę na pośladkach i jak najwygodniej się położyć. – Potem tak. Pierwszy raz przypomniał mi się tamten dzień, kiedy wracałam na kampus po odprowadzeniu Pauli. Byłam zaskoczona. Całkowicie zaskoczona. Znakomicie pamiętam, jakie zrobiło to wtedy na mnie wrażenie. Wiesz, co mnie wtedy opętało? Chciałam dowiedzieć się, kim była kobieta, którą widziałam u ciotki. Zaczęłam się wręcz zastanawiać nad tym, czy nie pójść do ciotki, by opowiedzieć jej o wszystkim, zapytać o nazwisko tamtej kobiety i spróbować ją znaleźć. Przez kilka lat drążyła mnie ta romantyczna fantazja. – Bernadine uśmiechnęła się. – Boże drogi, szkoda, że tego nie zrobiłam. Tak sobie teraz pomyślałam, że gdyby mi się udało ją odnaleźć, najprawdopodobniej okazałoby się, że jest młodsza niż ja teraz. Wtedy miałam dziewiętnaście lat i mogłybyśmy mieć taki romans... – Jej uśmiech zbladł. – To byłoby całkiem realne. Mogło się zdarzyć. Jaka szkoda.

Bernadine znów przerwała, Broussard dalej się nie odzywał. Tym razem nie czuł potrzeby zapełniania ciszy słowami. Obmacywał swoją pacjentkę wzrokiem jak pawian łapskami. Miał wrażenie, jakby widział nową klientkę, nie znał jej i musiał od początku przechodzić rytuał nawiązywania kontaktu. Cały potężny fragment jej osobowości okazał się zupełnie inny, niż dotychczas sądził, i przestała być kimś, z kim od pięciu lat odbywał sesje analityczne – i sypiał. Co tu się działo? Miał przyjąć jak nigdy nic to, co ujawniła?

Miał się pogodzić z jej biseksualizmem? Miał poddać analizie jej homofobię? Lesbijską etiologię i kompleks Persefony? Miał zacząć rozpatrywać jej seksualne zaburzenia funkcjonalne pod kątem homoseksualnym? A co z socjalizacją lesbijską? Z lesbijskim feminizmem? Z lesbijskim orgazmem? Z polityką lesbijskiej seksualności? Z lesbijskim poczuciem siły?

– W każdym razie – odezwała się znowu, przerywając ponurą zadumę Broussarda – niemal całe życie spędziłam w niesatysfakcjonujących mnie związkach hetero, zawsze starając się spełnić potrzeby innych ludzi, próbując być dla kogoś odmiennego ode mnie kimś, kim nie byłam. – Popatrzyła na Broussarda. – Jestem dobra, prawda? W seksie. – Zaczekała, aż odpowie, co zrobił smętnym skinieniem głowy. – Wiem, że tak jest... – powiedziała, ponownie odwracając głowę ku ścianie ze szkła – ale wiesz co? Nigdy do końca nie zrozumiałam, czego mężczyźni chcą w trakcie seksu.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Bernadine?

Że nigdy nie było to, czego chciałam. Zawsze kiedy kończyłam z mężczyzną, miałam wrażenie: „Znów czegoś zabrakło”, ale nigdy nie umiałam określić czego. Do czego tak naprawdę dążyliśmy? Po seksie mężczyźni zawsze wyglądają na zadowolonych tym, co otrzymali, dla mnie jednak orgazm nie był wystarczający, nie oznaczał końca. Zawsze miałam wrażenie, że nie osiągnęliśmy czegoś, co moglibyśmy.

Broussard słuchał załamany. Przechodząc z roli kochanki

w rolę pacjentki, tyle że pacjentki, która spała z terapeutą, nie wiedząc o tym, dobijała go. Jej zachowanie odbierało mu męskość skuteczniej niż kastracja.

– Poznałam tę kobietę mniej więcej miesiąc temu. Nie było to przypadkowe spotkanie, choć z początku tak sądziłam. Jechałam do ciebie i zatrzymałam się na stacji benzynowej w Woodway, aby zatankować. Kiedy pracownik nalewał benzynę, weszłam do budynku po gumę do żucia. Musiała iść za mną. Pamiętam, że jej samochód zatrzymał się przy sąsiednim dystrybutorze, pamiętam, że weszła do sklepu i poszła za mną między regały. Ponieważ nie mogłam znaleźć tej gumy, co chciałam, podeszła. Skojarzyłam wszystko później, wtedy nie zwracałam na to uwagi. Kiedy wyciągnęłam rękę po gumę, ona też wyciągnęła swoją, położyła mi dłoń na mojej i tak zamarła. Nie poruszyłam się, popatrzyłam na nią i spojrzałam we wbite we mnie oczy. Jej dłoń delikatnie obejmowała moją. Nagle pomyślałam o Pauli – po raz pierwszy od dawna. Uśmiechnęła się i ja też.

Delikatny głos Bernadine lekko zachryplł i kiedy przerwała, wyraźnie przepełniały ją emocje. Broussard słuchał zmiany tonu jej głosu z narastającym przerażeniem. Choć sposób, w jaki mówiła, coś w nim wzbudzał, uważał, że jest nieprzyzwoity.

Bernadine odchrząknęła i kontynuowała.

– Zamieniłyśmy kilka słów. Od razu było widać, że jest znacznie ode mnie młodsza, później dowiedziałam się, że dziesięć lat. Miała na sobie biały strój jak do tenisa, który znakomicie podkreślał

jej figurę. Było mi trochę niezręcznie i zaczerwieniłam się, ale ona doskonale nad sobą panowała, jakby ten nieskrywany flirt był dla niej codziennością. Ktokolwiek by nas obserwował, nie zauważyłby nic niezwykłego. W tym, co robiłyśmy, nie było niczego niestosownego, moim zdaniem nikt nie zwrócił na nas uwagi. Czułam jednak płynące między nami napięcie i spiekłam raka. Bardzo spokojnie zasugerowała, abym wyrwała z książeczki czekowej pozostający po wyrwaniu czeku odcinek, to będzie miała mój adres, nazwisko i numer telefonu. Stwierdziła, że to najprostsze. Widocznie miała w tym doświadczenie. Nie zapytałam o jej dane, sama też mi ich nie dała. Kiedy zrobiłam, o co poprosiła, uśmiechnęła się i podziękowała. Kiedy odchodziła, mijając mnie położyła mi rękę w krocze. Byłam zbyt zaskoczona, aby za nią wyjść. Zamarłam przy regale, plecami do ludzi – w sklepie było jeszcze kilka osób – i czekałam. Dziewczyna wyszła, a ja nie miałam ani pojęcia, kim jest ani czy jeszcze ją kiedyś zobaczę.

Broussard przyglądał się, jak Bernadine Mello zaczyna swój rytuał. Lubiła się rozbierać bardziej od jakiegokolwiek ze znanych mu kobiet i umiała to robić z klasą. W zakresie techniki zdejmowania z siebie ubrania, nie mogła się z nią równać nawet najbardziej doświadczona striptizerka. Rozbieranie się było w jej wykonaniu dlatego tak szczególne, ponieważ z rzadko osiąganą przez striptizerki subtelnością udawało jej się okazać, że robi to tak samo dla swojej, jak dla jego przyjemności.

Przestała mówić, ale raz na jakiś czas wydawała z siebie zmy-

słowe odgłosy – kiedy jej naga skóra po raz pierwszy dotknęła skóry kozetki, kiedy rzuciła za siebie sukienkę, kiedy spojrzała między swoje nogi i dostrzegła swoje odbicie w szybie, skąpane zielonym światłem późnego popołudnia.

Niewiele mógł zrobić. Nieważne, jak bardzo mierzyła go jej opowieść, nie był w stanie odmówić. Musiał zapomnieć, ale widok Bernadine szybko odsuwał wszystko, co mogłoby mu przeszkodzić. Zdolność dokonywania tego leżała w jej naturze i przyzwalał, by to z nim robiła.

Obserwował ją i powoli, mechanicznie się rozbierał. Zdjął buty i włożył do środka prawidła, potem powiesił na wieszaku marynarkę, wielokrotnie powtarzanymi ruchami, nawet bez potrzeby odwracania od Bernadine oczu, złożył pieczęlowicie, w kancik spodnie i koszulę i położył je na krześle. Wiedział, że Bernadine zdaje sobie sprawę z każdego jego ruchu i wie, że ma czas na to, co zaplanowała. Obserwował, jak wodzi dłońmi po swoim ciele – tak dokładnie po jego myśli, jakby je prowadził, jakby to wręcz były jego dłonie. Patrzył, jak Bernadine obserwuje się w zielonej szybie ze szczególnym, niezafałszowanym, rozmarzonym zaciekawieniem własnym ciałem. Kiedy się rozebrał, obszedł kozetkę i usiadł na podłodze opierając się plecami o szybę, zasłaniając jej odbicie na szkle i popatrzył w górę niemal spomiędzy jej nóg. Obserwował każdy szczegół jej ciała i powoli, tak jak tyle razy przedtem, oboje zaczęli się poruszać dokładnie tak jak należało, wspólnie spełniać rytuał, który im bardziej ich głowy obejmowała mgła pokrętnego podniecenia, tym

bardziej stawał się ich drugą naturą.

W ostatniej chwili, w tym ułamku sekundy, w którym miał przystawić twarz do jej twarzy, spojrzeć jej w oczy i w momencie kulminacji napiętności spaść w głębiny bezdenne, pozbawionego barw świata, zauważył zaskoczony, że tym razem opuściła powieki.

Rozdział trzydziesty

Za dwadzieścia ósma, kiedy nad miastem zapadał przepęlniony wilgocią zmrok, uliczne latarnie budziły się do życia, a świerszcze, kryjące się w mokrej trawie i rowach odwadniających tę dość kiepskiej części południowego Bellaire, na miejscu byli jeszcze wszyscy. Tylko Louise Ackley i kiedyś przystojny Lalo Montalvo odjechali furgonetką do kostnicy. Ich cuchnące ciała schowano do plastikowych worków, które wkrótce otworzy koroner, aby zrobić z nimi to, co niewielu ludzi godzi się robić etatowo.

Okazało się, że Louise Ackley z upodobaniem przechowywała listy. Zaskoczyło to Palmę, ale też zasmuciło, bowiem przechowywane przez Louise listy były w większości zapisami tragedii i Palma zastanawiała się, jak puste musiało być życie kogoś, kto zachowywał takie pamiątki. W mieszkaniu znaleziono wiele kartonów po butach, pełnych listów ułożonych w chronologicznym porządku. Wiele było w cienkich, poźółkłych kopertach, wiele złożono ciaśniej dla zaoszczędzenia miejsca, jedne były pisane długopisem, inne ołówkiem, niektóre na maszynie. Niemal wszystkie pochodziły od brata Louise Ackley albo od Dorothy Samenov. Niemal wszystkie były dowodem sięgającej dzieciństwa hańby, kroniką życia dzieci, którym odebrano dzieciństwo, kazirodztwa, z powodu którego Louise cierpiała z rąk ojca i brata nie mniej od ofiar pogromu. Jej ojciec zmarł w końcu szpitalu psychiatrycznym, a matka, wobec której Louise czuła jadowitą i szczególną nienawiść za to, że w zasadzie przyzwalała na

kazirodcze akty wobec córki, zniknęła. Choć czasami brata i siostrę rozdzielały namiętności (te same, które potem wielokrotnie znów ich łączyły), byli nierozzerwalni zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Ich związek służył realizacji nieszczęsnych potrzeb, a kosztująca wiele walka o przeżycie miała charakter rozpaczliwej szarpaniny.

Dorothy Samenov wkroczyła między tę udręczoną parę w sposób tak naturalny, jakby była ich siostrą. Albo Helena Saulnier okłamała Palmę, albo sama została okłamana, listy ujawniały bowiem, że Dennis Ackley od początku wiedział o związku żony i siostry. W rzeczywistości od samego początku był to trójkąt, a zmiany konstelacji były nie do zauważenia. Brak granic i odrzucenie wszelkich barier spowodowało jednak wykształcenie się u każdego z nich skomplikowanej, posiadającej potężną siłę sieci emocjonalnej, przez co nigdy nie byli w stanie uporządkować swoich uczuć względem siebie ani poukładać sprzecznych namiętności, jakie czuli wobec siebie nawzajem.

Dziwne, że wszyscy takim namiętnie pisali listy, ale pudła były rzeczywistością. Na tysiącach kartek papieru rozwodzili się na temat tego, co robią, i otwarcie dyskutowali o sprawach, o których inni ludzie jedynie wspominają – jeżeli w ogóle – w zawołowanych aluzjach albo które przepędzają w najdalsze zakamarki swoich umysłów z nadzieją, że nigdy stamtąd się nie wyrwą.

Niestety, cała korespondencja, jaką zachowała Louise Ackley, pochodziła od osób, które już nie żyły i nic w niej nie zawierało najmniejszej wskazówki co do okoliczności śmierci kogokolwiek

z ich trojga. Więcej – poza listami w domu nie było niczego, co wskazywałoby na biseksualizm Louise Ackley albo jej skłonność do sadomasochizmu. Właśnie brak tego był podejrzany.

– Jeszcze się nie spotkałem z tym, by w takich przypadkach niczego nie było w domu – stwierdził Birley. – Zawsze są zdjęcia albo akcesoria, czasopisma, nieoficjalna literatura. Cokolwiek!

Stali w nieporządnym salonie Louise Ackley: Birley, Palma, Cushing, Leeland i Frisch. W brudnym domku zapalone były wszystkie światła, pokoje wypełniali detektywi i oficerowie, włącznie z porucznikiem popołudniowej zmiany, Arveyem Corbeilem i jego dwoma detektywami – Gordym Hawsem i Lew Marleyem – którzy przyjechali pierwsi na wezwanie Palmy. Zgodzono się, że przejmą od niej oba morderstwa. Formalnie biorąc, zostały odkryte na ich zmianie, a ponieważ wedle wstępnej oceny nie miały bezpośredniego związku z zabójstwami biseksualistek, Frisch i tak dałby je komu innemu, żeby Palma mogła się skoncentrować na seryjnym zabójcy. Byli też jeszcze technicy – dwaj – i kilku mundurowych policjantów, zajmujących się zabezpieczeniem terenu.

– Sądzicie, że zadaniem sprawcy było zabranie czegoś? – spytał Frisch. Wyglądał na wycieńczonego, rzadkie włosy kleiły mu się do głowy. Wiosna okazała się dla wydziału zabójstw wariacka – kolumbijskie i jamajskie gangi handlarzy narkotyków strzelały do siebie na potęgę z broni maszynowej i morderstwo, które właśnie odkryli, nie było jedynym zmartwieniem Frischa. W tym jednak momencie ta sprawa nie mogła wymknąć mu się z ręki.

– Czegoś... tak... czegoś... – wymamrotał Birley, westchnął i podciągnął spodnie. W mieszkaniu było piekielnie gorąco. Nie było klimatyzacji i choć wentylator pracował bez przerwy, wilgotne powietrze, które zasysał z zewnątrz, szybko się ogrzewało i mieszało się z odorem krwi dochodzącym z obu pokoi.

– Istnieją dwie możliwości – stwierdziła Palma. – Claire: mogła obawiać się czegoś więcej niż tylko zdjęć albo mogła się bać, że jest ich więcej. Mogła zatrudnić kogoś. Reynolds: to on jest na zdjęciach, mógł się obawiać, że Ackley ujawni ich związek. Też mógł kogoś zatrudnić do załatwienia roboty.

– Claire знаła Ackley? – spytał Leeland. Stał z rękami w kieszeniach i przyglądał się kartonom z listami, które właśnie przejrzeni.

– Nie wiem.

– Taak... – Cushing wyjął chusteczkę i wycierał błyszczącą od potu twarz. – Jeżeli panny z tej grupy są rzeczywiście na topie, to mamy cały klub podejrzanych. Jeżeli prasa coś wywacha, to niejedna dama będzie miała ręce pełne roboty, żeby jej nazwisko zachowano w dyskrekcji.

– Pytanie brzmi, co te morderstwa mają wspólnego z zabójstwami biseksualistek? – powiedział Frisch. – Mogą być przypadkowe, ale mogą też być ściśle z nimi związane.

– Uważasz, że ten sam facet, który robi to, co zrobił z tamtymi dwoma, podjąłby się czegoś takiego jak tutaj? – spytał Leeland przekrzywiając głowę w kierunku sypialni.

– Co to ma za znaczenie? – zaprotestował Cushing. Kiedy skończył wycierać twarz chustką, odruchowo przetarł ją jeszcze raz rękawem, jakby miał na sobie nie jedwabną koszulę, lecz bawełnianą bluzę. – To tutaj zostało zrobione, aby ktoś się zamknął. Może nie ma to bezpośredniego związku z zabójstwami biseksualistek, ale na pewno ma związek z tym, że w sprawie ich zabójstw prowadzone jest intensywne śledztwo i ktoś się przestraszył, że ujawni coś, czego by nie chciał. Najprawdopodobniej coś co ma związek z czyimiś zainteresowaniami seksualnymi. Nasz sprawca po prostu uniósł nieco zasłonę, za którą ukrywa się kto inny.

Palma niechętnie przyznawała mu rację, ale Cushing trafił chyba w sedno. Lalo i Louise byli odpryskiem albo całkiem inną sprawą. Nie mieli bezpośredniego związku ze śmiercią Moser i Samenov.

– Popieram to stanowisko – stwierdziła. – Z jedną poprawką. Linda Mancera uważa, że sadomasochistyczny związek Gila Reynoldsa i Louise Ackley był dość ostry. Nawet na tle przeciętnych układów sado-maso. Moim zdaniem w sposobie traktowania Luise Ackley przez Reynoldsa mogło istnieć coś zagrażającego w razie ujawnienia. Lalo wybrał jedynie nieodpowiedni dzień, żeby się z nią upić, ale Louise... – Palma przeciągnęła dłonią przez włosy. Tęskniła za wanną i łykiem świeżego powietrza. – Louise zapytała mnie, w jaki dokładnie sposób zabito Dorothy. Odparłam, że nie wolno mi mówić o szczegółach, na co stwierdziła, co by było, gdyby coś wydało jej się znajome? Kiedy spytałam, na przykład co, odparła, że nie

wie i znów zaczęła płakać.

– Cholera... – mruknął Leeland.

– Może miałam rozwiązanie przed nosem. – Palma czuła się nieswojo, ale była realistką i doskonale wiedziała, że wyrzucanie sobie czegokolwiek po czasie nie ma sensu. Lecz mimo wszystko może boleć.

– Uważasz, że to robota Reynoldsa? – spytał Frisch.

– Jak najbardziej. Oczywiście nie wykonanie, ale wynajęcie kogoś. Kiedy zaczniemy go przepytować, na pewno okaże się, że ma alibi.

– Zabił Moser i Samenov i bał się, że Louise rozpozna szczegóły techniki morderstwa? – spytał Birley.

Palma skinęła głową.

– Sądzę, że tak właśnie było. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– No dobrze – odezwał się w końcu Frisch. – Corbeil zajmie się tym dalej. Dziś już nic więcej nie zdziałamy. Pomóżcie mi zanieść te kartony do samochodu i jedźcie do domów. Zabierzemy się do sprawy na nowo od rana. Wszyscy jesteśmy zmęczeni jak cholera. Ja też. Skończmy na dziś.

– Corbeil przy aparacie. Arvey.

Patrzyła na świecące cyferki budzika. Nie pamiętała, by podnosiła słuchawkę.

– Obudziłaś się, Palma?

– Tak, słucham. – Nie wiadomo po co, ale starała się, by jej głos zabrzmiał energicznie. – Mów, Arvey. – Cyferki na budziku

pokazywały drugą trzydzieści siedem.

– Chyba mamy następną robotę twojego wariata, Palma.
W Villages, w Hunters Creek.

– Skąd wiesz? – Głos załamał jej się jak chłopcu z mutacją.

– Skąd wiem? Gliniarz z Hunters Creek, który znalazł się na miejscu, rozpoznał na pierwszy rzut oka styl działania. Nikt nigdy tego nie robi, ale ten dla odmiany czytał nasze teleksy. Zadzwoił do swojego szefa, a ten zadzwonił do nas. Proszą, byśmy przyjechali, nie chcą mieć z tym nic wspólnego.

– Boże... – Palmie kręciło się w głowie i musiała na kilka sekund oprzeć głowę o poduszkę.

– Adres brzmi... – powiedział Corbeil i przedyskutował go dwa razy. – Zapisłaś?

– Zapisalam.

Hunters Creek. Czują, jakby owinięto jej ciało ołowianym pancerzem. Zdawało jej się, że zaraz wypuści z dłoni słuchawkę.

– Dzwonię teraz do Karla – powiedział Corbeil. – Spotkamy się na miejscu.

– Ar... Arvey... – wydukała Palma. Jej umysł powoli się budził.
– Wezwalesz techników?

– Jasne.

– Czyją ekipę?

– Czyją? Hm... Jaya Knappa.

– Arvey, powiedz mu, żeby niczego nie dotykał. Żeby absolutnie nic nie robił. Zadzwoię po LeBruna. Zajmował się poprzednimi

przypadkami i... chcemy, żeby zajął się i tym. Zgoda?

– Dobrze, załatwię to. Zaraz powiem im wszystko przez radio.

Jeszcze przez chwilę siedziała na łóżku, potem ściągnęła piżamę i zadzwoniła do Birleya i Julie LeBruna.

W niecałe piętnaście minut była na Southwest Freeway, jechała z pootwieranymi oknami, aby oprzytomnieć. Cholera, nawet nie spytała o nazwisko ofiary. A przecież nie była obojętna, w rzeczywistości czuła się coraz bardziej związana z ofiarami i potencjalnymi ofiarami – jakby były skazanym na stracenie tajemnym związkiem, który ona mogła uratować przed pogromem.

Hunter Wood Drive znajdowało się mniej więcej kilometr od domu Andrew Mosera. Domy były tu duże i drogie, cofnięte od ulicy między gęste sosny i dęby, niewidoczne na tle nocnego nieba. Adres był łatwy do znalezienia. Przed wjazdem do posiadłości stał miejscowy radiowóz, za bramą, czyli za dwiema kolumnami z wapienia, zwieńczonymi latarniami o przyćmionym świetle, widać było czerwone i błękitne blaski policyjnych „kogutów”. Palma okazała legitymację, zajęła pod dom i stanęła za składającą się z sześciu, może siedmiu samochodów, grupką. Pokazała odznakę stojącym przed domem mundurowym i weszła do środka.

W korytarzu stał Corbeil i rozmawiał z dwoma detektywami.

– Boże, Palma, przyleciałaś helikopterem? – Kiwnął głową w kierunku otwartych drzwi salonu, w którym widać było gigantyczny kominek, dwie kanapy i kilka foteli. W jednym z nich siedział komendant policji Hunters Creek i rozmawiał z siwym męż-

czynną w ciemnym garniturze. Siwy trzymał w dłoni szklanekę z drinkiem i raz za razem przeciągał dłonią po gęstych włosach. – To jej mąż – wyjaśnił Corbeil. – Właśnie wrócił z podróży służbowej do San Francisco. – Ruszył przed siebie i Palma poszła za nim. – Przyjechał do domu prosto z lotniska, był tu nieco po pierwszej. – Zaczęli wchodzić kręconymi schodami o masywnej poręczy z kutego żelaza. Palma wyjęła z torebki spinkę do włosów i spróbowała ściągnąć włosy, które rozwiały jej się w drodze. – Twierdzi, że od samego ślubu mają osobne sypialnie, od kilku lat. Sypialnie sąpo przeciwnych końcach korytarza. Jego jest tutaj... – minęli kolejne otwarte masywne drzwi, za którymi widać było kolejny salon – ...a jej tutaj. – Corbeil dyszał. – Twierdzi, że bez względu na to, jak późno wraca spoza miasta, zawsze do niej zagląda.

Doszli do końca korytarza i weszli do saloniku, gdzie Jay Knapp rozmawiał z jakimś detektywem i Dee Quinnem, inspektorem z wydziału anatomopatologii. Corbeil zapraszającym gestem wyciągnął rękę w kierunku kolejnych otwartych drzwi, Palma minęła salonik i weszła do sypialni.

Pokój był urządzony na czerwono – czerwony był dywan, tapicerka na meblach i jedna ze ścian, na której wisiało sięgające od podłogi do sufitu, zrobione na płótnie malowidło, przedstawiające ze szczegółami indiańskie drzewo życia. Na ścianie nad toaletką zastawioną wielką ilością buteleczek z kosmetykami i zdjęć w czarnych, złotych i ciemnoczerwonych ramach, wisiało wielkie lustro. Łóżko w stylu empire miało na każdym rogu kolumnę i jedwabne zasłony,

związane teraz tak, że trzy strony były odsłonięte.

Tak jak poprzednio, z łóżka zdjęto wszystko poza prześciera-
dłem (z czerwonej satyny), na którym kobieta leżała w znajomej
„katakalkowej” pozycji. Z odległości kilku kroków jej twarz wyda-
wała się identyczna jak twarze Moser i Samenov, jakby została na-
malowana przy użyciu tego samego szablonu. Kiedy jednak Palma
podeszła bliżej, natychmiast dostrzegła, że makijaż był właściwie
maską. Twarz tak zmasakrowano, że rysy niemal zostały zatarte.
Twarz wyglądała tym okropniej, że jedynymi wyraźnymi elementa-
mi na upiornie groteskowej, topornej, jakby ugniecionej z plasteliny
powierzchni, były pozbawione powiek, wbite w przestrzeń oczy.

Włosy kobiety nie były de facto blond, ich kolor wpadał w róż,
a włosy łonowe wyraźnie ciemniejsze. Nie była tak szczupła jak
Moser i Samenov, choć przy wysokich, krągłych biodrach i pełnych
piersiach musiała być atrakcyjna. Przy bladej, niemal świecącej
skórze rany po obcięciu sutków wyglądały szczególnie ponuro. Za
życia denatki musiały być różowe, nie brązowe. Ponieważ śmierć
nastąpiła niedawno, a w pokoju panowała umiarkowana temperatura,
rany były jeszcze otwarte i wilgotne.

Palma obeszła powoli łóżko i obejrzała kobietę pod różnymi ką-
tami. Zauważyła pomalowane paznokcie u nóg. Nachyliła się
i powąchała. Lakier był świeży – najprawdopodobniej położony
przez mordercę po ułożeniu ciała. Obeszła łóżko i obwąchała prawą
dłoń kobiety. I tu lakier na paznokciach był świeży. Poczula coś
jeszcze. Obwąchała dokładniej dłoń, potem nadgarstek. Olejek ką-

pielowy. Zaczęła obwąchiwać ciało w różnych miejscach i wszędzie czuć było olejek. Było jednak pewne, że morderca nie kąpał martwej. Albo więc kąpała się tuż przed pojawieniem się sprawcy, albo zrobił jej tak zwaną „suchą kąpiel”, czyli wysmarował ciało, gdy już była martwa. Palma zapamiętała, aby sprawdzić, czy w łazience ofiary znajduje się ten właśnie rodzaj olejku do kąpieli i czy są jego ślady na ręcznikach.

Ślady po pętach na szyi, kostkach i nadgarstkach były takie same jak u poprzednich ofiar. Ugryzienia wyglądały znacznie poważniej – morderca przegryzał i rozszarpał skórę. W trzech miejscach: na lewej piersi, po wewnętrznej stronie lewego uda i po prawej stronie krocza wyszarpano kawałki ciała. Odgryziono przynajmniej dwa centymetry prawej wargi sromowej i Palma zauważyła to bez dotykania ciała tylko dlatego, że sprawca nieco zmodyfikował pozycję ofiary – jej nogi nie zostały dokładnie zsunięte. Palma przez dłuższy czas przyglądała się tej zmianie, ponieważ jej troska o stan zwłok stawała się niemal obsesją. Zaczynała uważać, że nic – nie zależnie od znaczenia tego elementu – nie jest w tych morderstwach przypadkowe. Możliwe, że waga, jaką sprawca przywiązuje do określonego szczegółu, stoi w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do wielkości detalu, co oznaczałoby, że im mniej uwagi coś na siebie zwraca, tym większe ma znaczenie. Delikatne rozsuniecie nóg wydawało się jednak naprawdę przypadkowe – z tym że jednak odsłaniało odgryziony kawałek sromu.

Następne było dziwaczne obejście się z pępkiem. Znowu spraw-

ca tak powgryzał się zarówno górnymi, jak i dolnymi zębami, by utworzyć dokładny krąg śladów, a ponieważ poza gryzieniem ssał – tak mocno, że krew podeszła pod skórę – tkanka wewnątrz koła przebarwiła się na czarno. Skąd ta fascynacja pępkiem? Nie tylko się nad nim znęcał, ale robił to z taką rytualną dokładnością, że musiało to coś znaczyć. Choć pozostałe ugryzienia wydawały się rozrzucone po ciele przypadkowo – oczywiście z wyjątkiem faktu, że znajdowały się w miejscach mających konotację seksualną – dominujące ślady wokół pępka od razu ściągnęły na siebie uwagę Palmy.

Palma wyprostowała się, cofnęła dwa kroki i obeszała łóżko kilka razy to w jedną, to w drugą stronę, starając się pozostawiać w takiej odległości, by nie wdeptać w dywan mogących leżeć na nim włosów. Czerwone satynowe prześcieradło tworzyło niecodzienne tło dla leżącego ciała i dzięki niemu Palma dostrzegła coś, czego nie widziała w poprzednich przypadkach. Zapamiętała, aby sprawdzić pod tym kątem zdjęcia Moser i Samenov. Stała przy łóżku po lewej ręce kobiety i nachyliła się. Prześcieradło nie było wszędzie gładkie, wzdłuż lewego boku kobiety zostało załamane, a z lewej strony, w okolicy bioder, wgniecione. Palma zastanowiła się nad kątami załamań. Boże drogi...

Położył się obok niej.

Co wtedy robił?

Związał ją i tortuował, okaleczył ją i dręczył za życia, udusił ją, a potem umył ciało i wkładając w to wielki wysiłek, dokładnie, w bardzo specyficzny sposób, umalował. Co robił potem? Na pewno

znów nie będzie spermy. Nie znajdą innych wydzielin poza śluzem z pochwy ofiary, który mógł rozmazać się na prześcieradle w trakcie ich gry, zanim morderca zaczął robić swoje. Co więc to znaczyło? Dlaczego się obok niej położył?

Palma przełknęła. Jak sformułowała to Claire? „...z psychoseksualnego punktu widzenia to niedorozwinięty kretyń”.

W korytarzu rozległ się hałas i Palma rozpoznała głosy Birleya i Frischa. Kiedy weszli, zamilkli. W milczeniu popatrzyli na Palmę, potem na martwą kobietę. Frisch stanął półtora metra przed łóżkiem, ale Birley podszedł bardzo blisko i jego doświadczony wzrok zaczął notować podobieństwa do poprzednich zabójstw. Pokręcił głową. Palma popatrzyła na Frischa – miał minę porucznika, który wie, że tkwi po pas w kłopotach.

– Chcę, żeby przyjechał tu Sander Grant. Jeszcze nikt z nas nie widział czegoś podobnego. To bardzo ciemna woda, Karl.

Frisch podszedł na sztywnych nogach do łóżka.

– A niech mnie...

– Ona ma rację – powiedział Birley. – Popatrz tylko na to...

– A niech mnie... – Szczupłe ramiona Frischa wygięły się pod dziwnym kątem. Ścisnął w rękę włączony radiotelefon.

– Zadzwoń do niego – zaproponowała Palma i wyszła do saloniku zadzwonić. W drzwiach do sypialni stał Corbeil, z korytarza zagłądali ciekawscy. Le-Brun jeszcze nie przyjechał.

Wykręcając numer Granta, Palma popatrzyła na Corbeila, potem na grupkę na korytarzu.

– Muszę być przez chwilę sama – powiedziała, na co Corbeil wyszedł na korytarz, kazał wszystkim zejść na parter i przeciągnąć u szczytu schodów taśmę. Palma czekała, aż Grant podniesie słuchawkę, i nagle coś jej się przypomniało.

– Jak ona się nazywa?

– Jak się nazywa? Mello... Bernadine.

– Słucham – odezwał się w tym momencie Grant.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział trzydziesty pierwszy

Piątek, 2 czerwca

– Zobaczysz – powiedział Clay Garrett, mrużąc oczy w zamyśleniu, aby przebić się wzrokiem przez widoczny w świetle reflektorów deszcz. Skręcali właśnie w bulwar Johna F. Kennedy’ego, prowadzący od południa na lotnisko Houston Intercontinental. Nadjeżdżające z przeciwka samochody oślepiały, tworzyły na mokrej szybie zdradliwe cienie. – Sander ma dość poważne usposobienie. Wieki temu, zanim przeszedł do tego, co robi teraz, pracowałem z nim w tej samej delegaturze terenowej. Pewnie tak jak większość z nas wcale się nie zmienił, może jedynie wyraźniejsze stały się cechy jego charakteru. – Garrett uśmiechnął się.

Palma czekała, co powie jeszcze, obserwowała deszcz, widoczny na tle jasnego, szerokiego korytarza wyciętego w piniowym lesie. Przejeżdżali pod wielkimi zielonymi tablicami, oznajmiającymi, jaki samolot ląduje przy którym terminalu. Z lewej strony znajdowały się terminale cargo: Aramco, Conoco, Tenneco, Shell, Exxon...

– Jest... uprzejmy. To dżentelmen, ale nietatwo się z nim zaprzyjaźnić.

Houston Intercontinental znajduje się na północy od miasta, przy niezbyt gęstym ruchu pół godziny jazdy od centrum. Prawie dojeżdżali i Palma przed chwilą zaczęła zadawać pytania. Obudziła się pół godziny przed przyjazdem Garretta, nic więc dziwnego, że przez całą drogę niemal drzemała. Miała długi i pełen wrażeń dzień

i była nieco oszołomiona, co zdarzało jej się zawsze, kiedy szła spać późnym popołudniem, a budziła się po zmroku. Została w domu Bernadine Mello, póki Julie LeBrun nie skończył pracy i nie zabrał tego, co znalazł, do laboratorium. Kiedy ciało Bernadine odjechało do kostnicy, Palma spędziła dzień na przeglądaniu z Birleyem jej rzeczy.

Najnowsze morderstwo zmieniło tok śledztwa, ale wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że tak będzie, kiedy zabójca znów uderzy. W ciągu kilku godzin środki masowego przekazu wywęchały pismo nosem a z góry wiadomo, że bez względu na to, jak dyskretny będzie wydział zabójstw, nigdy nie da się na dłuższą metę ukryć sensacji. Śmierć Bernadine Mello ujawniła, że coś się dzieje, i choć media nie wiedziały wiele, dziennikarze szybko skojarzyli ten przypadek z niedawnymi zabójstwami trzech innych kobiet w rejonie West Houston. Artykuły z pierwszych stron, radio i telewizja bez wahania używały pojęć: „psychopata” i „seryjny morderca”. Doniesienia były krótkie, ale dziennikarze poczuli świeże mięso i wyruszyli na łowy.

Karl Frisch szybko stworzył grupę specjalną i powoływał zadania. Doświadczenie Dona Leelanda jako analityka przestępstw spowodowało, że został przykuty do biurka jako koordynator. Miał zbierać nowe informacje, docierające od czterech zespołów śledczych grupy specjalnej, z których każdy zajmował się jednym zabójstwem. (Śmierć Ackley i Montalvo traktowano jako jedną sprawę). Miał przyjmować i analizować ich raporty oraz wszelkie nowości

dotyczące podejrzanych, ofiar, świadków i dowodów, szukać związków między poszczególnymi tropami, stworzyć dla każdej ofiary i świadka akta (ze zdjęciami), tworzyć wykresy i diagramy postępów w każdej sprawie, kontrolować zmiany statusu podejrzanych oraz koordynować prowadzenie rozmów z już raz przesłuchiwanyymi osobami w celu uniknięcia podwójnych kontaktów i niedopatrzeń. Jules LeBrun został wyznaczony do pilnowania i magazynowania dowodów i miał też być łącznikiem z Barbarą Soronno w laboratorium. Cushing dostał nowego partnera i miał się skoncentrować na mężczyznach z notesu Dorothy Samenov i wszelkich wynikających z rozmów z nimi tropach. Zadania rozłączyły Palmę i Birleya. Ponieważ już to robił z Moser i Samenov, Birley miał sprawdzić lekarzy Bernadine oraz zapoznać Manny'ego Childsa i Joego Garro z poprzednimi sprawami, żeby mogli się zająć Bernadine Mello. Frisch miał być odpowiedzialny za kontakty z mediami i ustalać z Leelandem, które nieistotne fakty, wystarczająco „ładne”, można podać dziennikarzom, żeby byli zadowoleni. Kapitan miał być teraz tarczą strzelniczą polityków i administracji policji. Nikt mu nie zazdrościł.

Palma miała ponownie pojechać do Saulnier i spróbować wydobyć od niej jak najwięcej nazwisk kobiet z grupy (z nazwiskiem Claire włącznie) oraz spróbować ustalić, czy Bernadine Mello do niej należała. Zanim jednak wszystko poustalano, zrobiła się pierwsza i Palma musiała wrócić do domu, by przespać się dwie godziny. Miała wrażenie, że dopiero zdjęła ubranie, a już dzwonił Garrett, że

jest w drodze. O czwartej jechali mokrymi, ciemniejącymi ulicami na lotnisko po Sandera Granta i mającego mu towarzyszyć agenta – Roberta Hausera.

– Sander też nie miał lekko – powiedział Garrett pochylając tułów do przodu, aby móc czytać przemykające nad autostradą tablice. – Ma dwie córki, bliźniaczki. Kilka lat temu... ee, trzy, może trochę więcej, jego żona zmarła na raka. To był jeden z tych przypadków, kiedy idzie się na badanie okresowe, odkrywają, że człowiek jest chory, i w trzy miesiące jest po nim. Wszystko działo się tuż przed wyjazdem dziewcząt do koledżu. Postanowiły, że zaczekają rok albo przynajmniej jeden semestr, ale Sander kazał im jechać. Wiedział, że będzie im łatwiej, kiedy pojadą w nowe miejsce, a nie będą snuć się z nim po domu. Tak więc pojechały, dla niego zaczęło się jednak piekło. Miał dom pełen kobiet, a gdy minęło pół roku, był sam.

Przejechali pod wiaduktem dokładnie w momencie, kiedy z przeraźliwym jękiem przelatywał nad nimi pękaty, ciężki samolot. Garrett skręcił w jeden z podjazdów, prowadzący do terminalu B. Wziął przy szlabanie bilet parkingowy i zaparkował przed samym wejściem do terminalu. Zgasił silnik, ale nie wysiadał.

– Dostał depresji. Dziewczyny były w Nowym Jorku – w Columbii – więc nie mogły zbyt często przyjeżdżać. Sander doszedł do takiego stanu, że nie mógł wysiedzieć w domu. Mieszkał wtedy gdzieś koło Fredericksburga, w wielkim starym domu, ponieważ było stamtąd blisko do Quantico. Bliźniaczki głównie tam się wychowywały, ale nie był w stanie dłużej tam wytrzymać. Sprzedał

dom i przeprowadził się do Waszyngtonu. Jest stamtąd niezły dojazd do Quantico międzystanową dziewięćdziesiąt pięć. – Garrett chwilę pomilczał, potem zaczął stukać kluczykiem o kierownicę. – Nie wiem dokładnie, co się stało, ale krążyły plotki, że miał coś z jakąś Chiną... żoną dyplomaty. Ożenił się z nią, ale sądzę, że... kompletnie do niego nie pasowała. Była z niej lalka jak z obrazka i Grant szalał za nią. Potem wszystko się rozleciało. Nie wiem... znów znam tylko plotki. Na tym polega problem, że Sander nigdy nie dzielił się niczym z nikim. Z Marne było inaczej, jej zawierał wszystko i kiedy umarła, stracił równowagę. A w jego zawodzie... jak u patologa, trupy od śniadania do kolacji. Na dodatek Sander i jego chłopcy nie tylko mają ciała, ale babrzą się w psychice. Patolog wychodzi z pracy i to, co robił, zostaje w kostnicy, a tacy jak Sander noszą wszystko ze sobą w głowach. – Garrett spojrział na Palmę. – Ale chyba już ma to za sobą. Chinę i tak dalej.

– Ile to trwało? Garrett pokręcił głową.

– Dokładnie nie wiem – odparł wyciągając rękę ku klamce.

Przeszli przez zatłoczoną halę, minęli strefę niedostępną dla normalnych pasażerów i podeszli do samych bramek.

– Jest Hauser – stwierdził Garrett patrząc na zegarek. – Wcześniej przylecieli.

Podeszli do młodego, przystojnego mężczyzny o gęstych, krótko ostrzyżonych włosach, który stał przy kilku walizkach na skraju strefy dla wysiadających. Rozpoznał Garretta, wziął do ust ostatni kęs batona, który właśnie jadł, i pomachał. Kiedy podchodzili, koń-

czył żuć i wyciągał przed siebie rękę.

Garrett przedstawił go Palmie i przeprosił za spóźnienie.

– Ależ przylecieliśmy kwadrans wcześniej – odparł Hauser. – Wiatr od tyłu. – Wskazał brodą na kąt z telefonami. – Sander jest tam.

Na dwóch ścianach wisiało kilkanaście automatów, jeden szereg był umieszczony tak, że z miejsca, gdzie stała Palma, widać było rozmawiających, drugi tak, że widziała tylko nogi. Zaczęła szukać Granta w pierwszym szeregu, ale żaden z mężczyzn jej nie pasował. W drugim szeregu widziała parę nóg w dżinsach, parę w oliwkowych roboczych spodniach, dwie w spodniach od garnituru. Kiedy skoncentrowała się na obu parach nóg od garnituru, zwróciła uwagę, że jeden z rozmawiających obserwuje ją. Kiedy spostrzegł, że patrzy na niego, nie odwrócił oczu. Udała, że nic nie zauważyła, zlustrowała halę przyłotów i odwróciła się do Hausera i Garretta. Hauser przyglądał się jej.

– Idzie – powiedział i Palma oraz Garrett odwrócili się, by zobaczyć przeciskającego się przez tłum mężczyznę w dwurzędowym garniturze. Marynarkę miał rozpiętą, właśnie wkładał do wewnętrznej kieszeni portfel. Palma oszacowała go na metr osiemdziesiąt osiem, metr dziewięćdziesiąt i niecałe osiemdziesiąt kilo. Ciemne włosy siwiały, nosił je nieco dłuższe, niż Palma się spodziewała, i szeszywał je do tyłu, tak że na skroniach siwizna była wyraźnie widoczna. Miał krótko przystrzyżone wąsy, dużo ciemniejsze od włosów. Nos prosty i zgrabny, choć należałoby raczej powiedzieć, że

kiedyś był prosty, ponieważ wyraźny garb informował o złamaniu, może nawet niejednym. Jego oczy były nieco zapadnięte, a w ich kącikach porobiły się wyraźne zmarszczki. Szedł z wyprostowanymi ramionami, co nie miało jednak w sobie nic z wojskowego drylu, wręcz sugerowało swobodny, luźny styl bycia. Kiedy podszedł, uśmiechnął się i wyciągnął dłoń – najpierw do Palmy.

– Pani detektyw Palma. Miło poznać osobiście. – Odwrócił się do Garretta. – Clay, dziękuję, że po nas przyjechałeś.

Kiedy ruszyli, Palma zaczęła przeproszać.

– Proszę wybaczyć tak nagle wezwanie, ale bałam się, że wmknie się to nam z rąk.

– Nie ma sprawy. Często jesteśmy nagle wzywani. Coś nowego od rana? Szli we dwoje nieco z przodu i Palma musiała robić długie kroki, aby za nim nadążyć. Opowiedziała mu o utworzeniu grupy specjalnej i jej strukturze.

– Dobry pomysł. Będzie łatwiej pracować. Mam dla pani trochę materiałów od jednego z naszych analityków. Niewiele, ale kilka spraw będzie pani musiała sprawdzić. Coś w Nowym Orleanie, coś w Nashville, coś daleko, w Los Angeles.

Kiedy przechodzili przez główny hol, zostali kilka razy rozdzieleni i kiedy znów się odnaleźli, okazało się, że Garrett i Hauser są przed nimi.

– Jak pani to wytrzymuje? – spytał Grant omijając dwie stewardesy.

– Jeszcze nie wiem.

– Cóż, może to wszystko aż tak długo nie potrwa – stwierdził Grant z uśmiechem.

– Już zbyt długo trwa. To moja pierwsza taka sprawa, ale nie podoba mi się, co w związku z nią czuję. Nie mówiąc o braku snu.

Tym razem Grant nie odpowiedział. Palma miała ochotę na niego spojrzeć, ale właśnie doszli do drzwi. W drodze do miasta Palma opowiedziała o Bernadine Mello.

– Miała czterdzieści dwa lata, jej mąż, Raymond Mello, ma sześćdziesiąt. Jest inżynierem budowlanym. Zbił majątek patentując metodę badania wytrzymałości stali konstrukcyjnej na rozciąganie i do dziś dużo w związku z tym jeździ. Wzięli ślub jakieś dwa lata temu. Zanim wyszła za niego, trzy razy się rozwodziła, on był raz żonaty. Jego zdaniem ich małżeństwo się rozpadło. Mello jest dość otwarty i przyznaje szczerze, że spodziewał się po tym małżeństwie czegoś innego. Oboje mieli kochanków, z tym że jej adwokat wynajął detektywa, aby znalazł dowody jego niewierności. Podejrzewa, że chciała zażądać odszkodowania za rozwód z jego winy. Nie miał konkretnych podejrzeń co do mężczyzn, z którymi go zdradzała, z wyjątkiem jednego – jej psychiatry. Kiedy go zapytaliśmy, czy kiedykolwiek podejrzewał, że jego żona może być biseksualna, zrobił dość głupią minę. Nie znaleźliśmy w jej domu niczego, co by to potwierdzało.

– Jak zareagował na jej śmierć?

– Moim zdaniem był naprawdę w szoku.

– Jak długo jego żona chadzała do psychiatry?

– Pięć lat.

– Czy romans z psychiatrą zaczął się przed ich ślubem?

– Twierdzi, że tak uważa.

– W takim razie psychiatra powinien panią oświecić w kwestii biseksualizmu. Dla nas może się okazać przydatniejszy od niej. Ile ma lat?

– Nie wiem.

– Jeszcze z nim nie rozmawiano?

– Nie.

– Ponieważ ona nie żyje, przestała obowiązywać tajemnica lekarska. Doktor może się okazać kopalnią złota, jeżeli chodzi o tropy, zwłaszcza jeżeli istnieje związek między nią a tą kobiecą organizacją.

Kiedy Palma mówiła, Grant przysunął się do skraju siedzenia. Z powodu krążącej burzy i wiszących nisko chmur, niebo było ciemne i ponure, a twarz Granta niemal ciągle niewidoczna, rozjaśniana jedynie na sekundy światłem mijanych latarni. Słuchając go i patrząc mu w oczy, Palma miała wrażenie, że jego wzrok funkcjonuje na innym poziomie świadomości niż mowa. To, co mówił, zdawało sienie odzwierciedlać jego osobowości.

Choć Sander Grant od pierwszej chwili zachowywał się jak sympatyczny, przystępny człowiek, Palma zdawała sobie sprawę, że nie wolno ufać temu wrażeniu. Z każdym kilometrem, pokonywanym prowadzącą do miasta autostradą, Palma dochodziła coraz bardziej do wniosku, że furtką do poznania Granta są jego oczy,

a uprzejmość, z jaką przywitał się z nią na lotnisku, była jedynie fasadą okazywaną ze względów zawodowych. Zastanawiała się, od kiedy nosi tę maskę i czy kiedykolwiek ją zdejmie. Miała nadzieję, że czasem to robi, że zrobi to wkrótce i potem da sobie spokój z udawaniem. Nie uśmiechała jej się perspektywa współpracy z kimś, kto będzie trzymał ją na dystans i udawał kordialnego. Tak samo nie miała ochoty czekać na moment, kiedy z powodu napięcia, rywalizacji albo egoizmu zrzuci maskę niespodziewanie i pokaże jej to, co ukrywają oczy.

Nagle – nie wiadomo, zasadnie czy nie – perspektywa współpracy z Sanderem Grantem wywołała w Palmie niepokój. Innego rodzaju niż wyzwalany przez morderstwa, tajemnicę których miał pomóc jej rozwikłać.

Rozdział trzydziesty drugi

Doktor Dominick Broussard stał – z czarnym parasolem nad głową – na wychodzącym na ogród tarasie swego dwupiętrowego domu i patrzył na mgłę, kłębiącą się w rozrzuconych po trawniku robiniach i judaszowcach. Nie zwracając uwagi na wielkiego brązowego labradora, doktor zszedł z tarasu i ruszył kamienną ścieżką biegnącą przez całą niemal posiadłość do mniejszego budynku, stanowiącego architektoniczne odzwierciedlenie dużego domu i służącego mu za biuro. Domek, który nazywał pretensjonalnie „studium”, stał bliżej zalewu niż główny budynek i otaczały go gęsto drzewa, ciągnące się jeszcze spory kawałek do końca działki. Od frontu dużego budynku też rósł gęsty las, zapewniając doktorowi odosobnienie. Jak często sobie powtarzał – tak potrzebną mu prywatność.

Przez ostatnie pół godziny doktor Broussard znajdował się w stanie, który można by określić jako emocjonalne swobodne spądanie. Śmierć Bernadine Mello – spikerka azjatyckiego pochodzenia z południowych wiadomości powiedziała: „Morderstwo” – zepchnęła go w otchłań rozpaczy. Wiadomość niemal zwała go z nóg, zachował jednak na tyle przytomności umysłu, aby zadzwonić w trzy miejsca i odwołać popołudniowe sesje. Udało mu się skontaktować z dwiema pacjentkami, ale Evelyn Towne już wyszła z domu, żeby przed spotkaniem z nim zjeść z koleżanką lunch. Nie był w stanie jej powiadomić.

Nie patrząc nawet na kanapkę, którą zrobiła mu służąca, Broussard wziął parasol i wyszedł na zewnątrz. Początkowo zamierzał iść do studia, teraz jednak szedł bez celu przez trawnik, aż dotarł do jednej ze ścieżek ograniczających posiadłość. Ruszył przed siebie. Kiedy znalazł się pod osłoną drzew, złożył parasol, zdjął płaszcz i przerzucił go przez ramię, potem rozluźnił krawat. W górze deszcz bębnił o wielkie liście surmii, a odgłos uderzających kropeł był tak donośny, że Broussard nie słyszał własnych kroków na żwirze.

Labrador szedł cały czas za nim. Krążyli bez celu ścieżkami, aż sierść psa przemokła, gęste włosy Broussarda zlepły się w jedną masę, a koszula przykleiła mu się do ciała. Staął. Wbił wzrok w ścieżkę przed sobą, patrzył na błyszczące w deszczu, niemal migoczące liście. Musiał wyciągnąć dłoń i oprzeć się o pień najbliższego drzewa. Powoli opadł na nie całym ciałem i zaczął płakać. Ponieważ nie było to w jego zwyczaju, z początku wydobywał z siebie jedynie dziwaczne, chrapliwe dźwięki. Pies usiadł na mokrej ścieżce i z wielkim zainteresowaniem i wywalonym językiem obserwował spokojny niczym jogin, jak deszcz układa na wodzie zalewu wzory regularne jak mandale. Broussard, którego umysł wypełniały po brzegi pączkujące jak bąble obrazy, stał ogarnięty całkowicie nieoczekiwanym poczuciem przerażającej samotności i dziwnym egoizmem, który powodował, że bardziej było mu żal siebie niż Bernadine i łkał jak dziecko.

Stał oparty o drzewo, zamyślony, aż całkowicie przemókł, a jego ubranie zrobiło się ciężkie i lepkie, i mimo duchoty poczuł

pełnący w górę kręgosłupa lodowaty dreszcz, który objął nieprzyjemnym uściskiem całe plecy. W końcu odsunął się od drzewa, odgarnął włosy z czoła i ruszył przed siebie. Po minucie dotarł razem z labradorem do tylnych drzwi biurowego domku i zatrzymał się chwilę na ganku, aby zdjąć przesiąknięte wodą obuwie. Tylnym wejściem mógł wchodzić do gabinetu nie będąc widzianym przez pacjentów, którzy parkowali samochody na ścieżce przed budynkiem i wchodzili frontowymi drzwiami.

Niezwykle spokojny labrador położył się na ganku z potężnym westchnieniem, a Broussard wszedł do ciemnego korytarza, skąd wchodziło się do gabinetu. Przez szklaną ścianę z widokiem na zalew widać było unoszący się tuż nad ziemią opar – jakby Georges Seurat namalował obraz, na którym szczegóły poruszają się niezauważenie, ale wystarczająco szybko, by po kilku minutach można było stwierdzić, że w widoku dokonana się zmiana. Opar – właściwie niemal już mgła – był gęsty i równocześnie zwiewny, zdawał się być to przed, to za drzewami, powodował, że zalew raz był widoczny, raz znikał w przypominającym ducha obłoku.

Broussard poszedł do łazienki, zdjął przemoczone ubranie i wziął gorący prysznic. Aż do mycia włosów udało mu się zachować czysty umysł. Nie chciał myśleć ani o martwej, ani o żywej Bernadine. Po kąpieli ubrał się w zapasowe ubranie – szare spodnie, bladobłękitną koszulę, granatowy krawat. Nie zwracał sobie głowy marynarką. Nalał sobie whisky z lodem i kiedy podszedł ze szklanką do okna, dotarło do niego, że trzyma w ręku ulubionego drinka Ber-

nadine. Dewars był dla niej niczym nektar. Jak dziwnie, jak surrealistycznie się poczuł, słysząc nazwisko Bernadine w wiadomościach i widząc jej zdjęcie.

Żadnych podejrzanych.

Kończył drinka, kiedy trzasnęły frontowe drzwi i oprzytomniawszy, z zaskoczeniem stwierdził, że nie zapalił światła.

– Dominick? Jesteś tu? Evelyn.

– Tak, jestem tutaj! – Zapalił lampy na biurku, potem kilka innych światel. W gabinecie nie było żyrandola na suficie, Broussard wolał dyskretniejsze oświetlenie, jakie zapewniały małe lampki. Słyszając kroki w korytarzyku, szybko dopił drinka. Evelyn stanęła w drzwiach, kiedy domykał barek.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Tak po ciemku?

– Właśnie przyszedłem z lunchu i zapalałem światło. – Przez ułamek sekundy miał ochotę wyrzucić z siebie, że Bernadine nie żyje, natychmiast jednak impuls mu przeszedł i Broussard wiedział, że nigdy tego nie zrobi.

Evelyn popatrzyła na niego uważnie i podeszła do okna, gdzie przed chwilą stał doktor. Patrzyła na deszcz wystarczająco długo, aby zaciekało go jej milczenie, i wystarczająco długo, aby oboje uświadomili sobie wypełniające ciszę drobne dźwięki: tykanie zegara na regale, krople kapiące z okapu dachu na szklaną ścianę, odgłosy ich oddechów, wirowanie ich myśli.

Evelyn Towne była jedyną pacjentką Broussarda, którą darzył

prawdziwym szacunkiem. Uważał, że właściwie nie kwalifikuje się do psychoanalizy i nie krył tego przed nią, ale kiedy to powiedział, tylko się jednak roześmiała i zbyła jego uwagę. Pomijając, że Evelyn (wymawiała swoje imię przeciągając pierwszą głoskę) miała sympatyczny charakter i zrównoważony temperament, Broussard uważał ją za osobę poważną. Dzięki nieprzeciętnej inteligencji i zmysłowi obserwacji nie należała do kobiet zachwyconych samym dźwiękiem własnego głosu. Dobra materialnie liczyły się dla niej, ale nie były pretekstem do żartowania sobie z innych ani zadzierania nosa. Pozycja społeczna nic dla niej nie znaczyła, przykładała jednak wagę do stosownego zachowania i doceniała je wszędzie, gdzie się z nim spotykała – nieistotne, czy wśród meksykańskich *vaqueros*, pracujących na rozrzuconych wzdłuż południowej granicy ranczach męża, czy u ludzi ze szczytów społecznych, jakich spotykała krążąc w kręgach elity społecznej Houston.

Dzięki wysokiemu wzrostowi i wyprostowanej postawie, mimo czterdziestu ośmiu lat, wyglądała na mniej, tym bardziej że przetykane siwizną ciemnokasztanowe włosy miała dłuższe niż większość kobiet w jej wieku. Dbała o siebie i nosiła ten sam rozmiar ubrań co w wieku dwudziestu pięciu lat. Broussard nigdy nie widział jej bez kolczyków, a wszystkie, jakie nosiła, były z perłą. Przez trzy lata ich spotkań zakładała najróżniejsze – we wszelkich możliwych kolorach, kształtach, wielkościach i oprawach. Dziś miała w uszach asymetryczne krople, dość małe, matowoszare.

Z gracją – prawdopodobnie tak samo wrodzoną jak jej ekscen-

tryczna osobowość – Evelyn odwróciła się od okna i usiadła w jednym z dwóch skórzanych foteli. Była jedną z niewielu jego pacjentek, która odmawiała kładzenia się na kozetce. Broussard usiadł w swoim fotelu, skrzyżował nogi i patrzył na Evelyn. Miała na sobie sukienkę z granatowego jedwabiu, na tyle rozpiętą pod szyją, aby zasugerować głęboki dekollet. Nie miała nic na szyi – nigdy nie nosiła naszyjników. Świeżo pomalowała paznokcie, tym samym kolorem czerwieni co usta, a kiedy odsunęła ze skroni pasmo włosów, na nadgarstku zamigotała bransoletka ze starego złota z perłami i grawerunkami.

– Wydrukowano kolejny mój wiersz – powiedziała poprawiając skraj sukienki. – W *Daedalusie*.

– Gratulacje. Długi?

– Dlaczego pytasz?

– Z ciekawości.

– Ale dlaczego pytasz właśnie o to? – Evelyn nie lubiła, kiedy był nieprecyzyjny.

– Ostatni twój wiersz był długi. Jeżeli dobrze pamiętam, siedemdziesiąt sześć wersów. – Na pewno spodoba jej się, że to pamięta. – Znacznie dłuższy niż poprzednie. Byłem ciekaw, czy kontynuujesz ten trend, czy tamto było wyjątkiem.

– Ten ma czternaście – odparła z uśmiechem.

– A więc sonet.

– Trzymasz rękę na pulsie.

– Forma Szekspira czy Petrarki?

– Petrarki. Czyżbyś wiedział, czym się różnią?

– Tylko to, że szekspirowskie mają inny podział wersów.

Znów się roześmiała, otwartym, prawdziwym śmiechem, który tak bardzo lubił, ponieważ była to jedyna nieskomplikowana w niej rzecz.

– Boże, Dominicku, przez chwilę pomyślałam, że naprawdę się na czymś znasz! – Przestała się śmiać i zaczęła powoli wodzić wzrokiem po blacie jego biurka, pełnym figurek i zdjęć kobiet z historii mitologii i religii. Jak na oko Broussarda, w jej zachowaniu był dziś dystans, ułamek sekundy zbyt wcześnie przerwany śmiech o czymś informował, nie do końca spokojne oczy coś oznaczały. Evelyn nie należała do kobiet, które można zrozumieć, można ją było poznać jedynie przez obserwację. Choć pozornie nie stawiała oporu, ukrywała przed nim więcej niż inne pacjentki. Po dziś dzień była dla niego wielką tajemnicą, nawet po trzech latach nie umiał powiedzieć, dlaczego do niego przyszła.

– O czym jest?

Evelyn już od chwili przyglądała mu się czekając na to pytanie.

– O seksie i śmierci.

Evelyn nie pisywała kiczów, patrzyła poważnie, więc Broussard nie wiedział, jaką przybrać minę. Na szczęście uratowała go.

– O seksie, ponieważ ostatnio dużo o nim myślałam – wyjaśniła. Odpowiedź była dla niej typowa – prosto z mostu, ale tak prowokacyjna, że natychmiast wyzwalała kolejne pytanie. – A o śmierci, ponieważ chcę się od niej wyzwolić. Chcę, żeby dała mi spokój do

momentu, aż będzie miała sprawę bezpośrednio do mnie.

Mąż Evelyn, Gerald, dwanaście lat od niej starszy, niemal przez dwa lata umierał na raka. Broussard wiedział, że Evelyn spędziła przy nim wiele czasu i żeby nie musiał umierać w szpitalu, przerobiła dom w River Oak niemal na klinikę. Tyle tylko że nie chciał umrzeć. Smutna ceremonia przeciągała się groteskowo i skończyła dopiero dwa miesiące temu.

– Oczywiście napisałam wiersz jeszcze przed jego śmiercią. Przyjęcie i przygotowanie czegokolwiek do druku trwa miesiącami i z jakiegoś powodu zapomniano mnie poinformować, że praca została przyjęta. Wczoraj przysłano mi egzemplarz czasopisma, usiadłam w holu i natychmiast przeczytałam wiersz. Dziwne, ale przeczytanie go tak z miejsca, bez przygotowania emocjonalnego, zamknęło proces umierania Geralda bardziej niż jego faktyczna śmierć. Może to się wzięło stąd, że umierał tak długo, a wiersz ma... tylko czternaście linijek... Chciałabym o tym porozmawiać.

– O wierszu?

– O jego temacie.

Broussard zaczął, aż Evelyn skrzyżuje nogi i znów poprawi skraj sukienki. Przypominanie sobie, co jest pod spodem, sprawiało mu przyjemność, choć nie pławił się w wywołanych tą myślą erotycznych skojarzeniach jak w przypadku innych pacjentek. Z Evelyn sprawa miała się inaczej.

– Chcesz usłyszeć coś bardzo prymitywnego? – spytała z dziwnym, niemal łagodnym uśmiechem. – „Rak” Geralda to był

syfilis. – Przerwała i wzruszyła smętnie ramionami. – Nie, nigdy nic mi nie groziło. To była „kiła utajona późna” i zanim została zdiagnozowana, choroba tkwiła w ciele Geralda już wiele lat. Kiedy odkryto chorobę, wkroczyła w trzecie, śmiertelne stadium. – Evelyn muskała palcami bransoletkę na nadgarstku. – W pewnym okresie importował na rancza duże ilości bydła. Uważał, że może... w trakcie którejś z podróży do Argentyny... w Guatreche... albo w Villa Regina...

Broussard był zaskoczony, ale nie informacją o syfilisie Geralda. Wiedział, że syfilis utajony nie daje objawów aż do końcowego stadium i zanim objawi swą obecność, skazany na śmierć człowiek nosi go w sobie nawet przez dziesięciolecia. W normalnym przypadku trudno jest przekazać chorobę innej osobie. W „normalnym” przypadku. Evelyn powiedziała, że nigdy nic jej nie groziło. Jak więc przez tyle lat wyglądały jej kontakty seksualne z mężem? Jak to możliwe, że przez trzy lata prowadził jej analizę i nigdy nie zauważył najdrobniejszej wskazówki sugerującej coś tak niezwykłego? Był załamany. Nagle przypomniało mu się to, co ujawniła Bernadine. Boże najdroższy, czyżby tak mało wiedział o kobietach? Nie... choć musiał przyznać, że pozostawał pewien margines tych, których intelekt albo osobowość go fascynowały i które realizowały się w większej ilości wymiarów, niż umiał dostrzec. To właśnie te studiował, do nich czuł pociąg, wręcz je kochał, ich wnętrze było bowiem najbardziej zbliżone do archetypu.

– Domyślam się, o czym myślisz – odezwała się Evelyn.

Broussard podejrzewał, że może tak być. O ile atrakcyjność

Bernadine polegała głównie na intuicyjnym, nie skażonym kulturowo podejściu do seksu, Evelyn – przy podobnie fascynującej osobowości – znajdowała się na przeciwległym krańcu skali.

Bardzo szybko po rozpoczęciu prowadzenia jej psychoanalizy zrozumiał, że jest nieprzeciętna. Była poetką, w dodatku taką, której prace regularnie publikowano, urodziła się w zamożnej rodzinie i bogato wyszła za mąż, znakomicie wyglądała, była pełna gracji (choć nieco zbyt mieszczańska), nie interesowała jej towarzyska paplanina, nie miała dzieci i obojętnie podchodziła do grania znaczącej roli w tych sferach społecznych, gdzie dzięki posiadanemu majątkowi mogłaby zdobyć wysoką pozycję. Czasami zachowywała się z dystansem, tylko jednak dlatego, że przywiązywała wielką wagę do zachowania szerokiego zakresu prywatności, ale wybrała go na swojego analityka i zażądała szczególnej formy konsultacji, wykluczającej stosowanie standardowych technik. Jej prośba wymagała dość swobodnego podejścia do pojęcia „psychoanaliza”.

Choć natychmiast go oczarowała, Broussard był na tyle mądry, że nie próbował jej uwodzić. Zamiast tego stosował subtelne sztuczki, mające za zadanie zasugerować, że jego uczucia względem niej są być może poważniejszej natury, niż pozwalał sobie ujawnić. W dalszym jednak ciągu zachowywał dystans, nigdy nie okazał najmniejszego objawu zaangażowania. Któregoś dnia, osiem miesięcy od ich pierwszego spotkania, przyszła na sesję i zaproponowała mu romans. „W ściśle zakreślonych ramach”. Da mu sześć „okazji” i może dowolnie wybierać terminy, musi się jedynie zmieścić

w trzech miesiącach. Broussard nigdy by się tego nie spodziewał, nigdy w życiu nie dostał tak oryginalnej propozycji. Okazało się jednak, że to dopiero początek niespodzianek. O ile seksualna energia Bernadine Mello była najnaturalniejsza, najmniej spaczona kulturowo, z jaką się spotkał, to seksualność Evelyn była najbardziej wyszukana. Ku jego bezbrzeżnemu zdziwieniu, ta dość mieszczkańska i znakomicie ułożona kobieta pokazała mu niezwykle wyrafinowane przyjemności i nie tylko była w sprawach seksu kreatywna jak mało kto, ale także bardzo doświadczona.

Wszystko odbyło się w ciągu trzech tygodni sierpnia. Dostarczyły one Broussardowi ogromnej wiedzy na temat Evelyn i krańcowo zmieniły typ ich kontaktów. Wyjątkowość ich romansu wynikała mniej z faktu, że oddawała mu się w wyjątkowy sposób, z tak ogromną i prawdziwą pasją, że aż zawstydził się swego cynicznego sposobu dążenia do omotania jej, a bardziej stąd, że dokonała mądrego wyboru i jej oddanie było ograniczone w czasie, a więc automatycznie więcej warte. Sprawa miała z góry wyznaczony początek i koniec, więc wiedział, że w parne sierpniowe wieczory przeżywają szczyt tego, co mogło między nimi zaistnieć. Przypominało to dar nieśmiertelności. Ich wspólne przeżycia miały się nigdy nie zestarzeć, nie rozwodzić, nie przemienić – jak zawsze bywa z płomiennymi romansami – w „zimny piec”. Evelyn doskonale rozumiała, jaki los gotuje podobnym związkom czas i zamiast pozwolić, aby tak się stało w ich przypadku, oszukała przeznaczenie. Była to bardzo mądra decyzja.

Przypomnienie sobie ich wspólnych tygodni zajęło Broussardowi jedynie kilka sekund, akurat tyle, na ile zamilkła Evelyn.

– Naprawdę nie wiem, dlaczego zdecydowałam się o tym powiedzieć – zaczęła po przerwie. – Ani dlaczego to zrobiłam tak głupio i mimochodem.

– Nie jesteś szczerą.

Evelyn znów skierowała wzrok na przedmioty na jego biurku, oparła rękę na skraju blatu i dotknęła dłonią pośladków jednej z większych postaci – pociemniałej, pokrytej patyną figurki bogini Lakszmi, której biodra były załamane w typowej manierze hinduskiej sztuki starożytnej. Pośladki Lakszmi były tak samo krągłe jak jej nagie piersi i Evelyn wodziła po nich palcami, delikatnie zataczała na nich kółeczka.

– Niewiele wiesz o kobietach, Dominicku.

Już nieraz dyskutowali na ten temat. Zazwyczaj jej słowa miały ton łagodnej nagany, czasem ironii, niekiedy kryła się w nich gorycz, zawsze jednak były wstępem do ujawnienia jakiejś rewelacji.

– Wydaje mi się, że mam w tym zakresie pewien wgląd.

Evelyn – jakby nie usłyszała, co powiedział, obserwowała swoje palce, dotykające gładkich krągłości bogini.

– Pewien... wgląd... – Kiwnęła głową. Przesunęła palec i zatrzymała go między nogami bogini. Podniosła wzrok, by się przekonać, czy Broussard ją obserwuje. – Jak twoim zdaniem zareagowałam na informację, że Gerald nie umiera na raka, ale na syfilis?

– Nie wiedziałś tego od początku?

Pokręciła głową. W dalszym ciągu trzymała palec pomiędzy nogami Lakszmi.

– Jak się dowiedziałas?

– Powiedział mi, kiedy przywieźliśmy go ze szpitala do domu. Aż do tego momentu lekarze spiskowali z nim, choć już wtedy wiedzieli, że choroba jest śmiertelna. Kiedy znalazł się w domu, powiedział im, że chce mi ujawnić prawdę. – Odsunęła palec wskazujący od figurki i zaczęła pocierać go o kciuk, jakby zrobił się wilgotny. Wracając pamięcią do wspomnień, przestała obserwować Broussarda i zapatrzyła się w przestrzeń. – Miał na stałe pielęgniarkę i pewnego dnia – o trzeciej po południu, co wydało mi się dość dziwne o tej porze – poprosił, by wyszła i żebym przyszła do jego pokoju. Opowiadałam ci już o Geraldzie – był bardzo kulturalnym mężczyzną. Dżentelmenem i delikatnym człowiekiem. Każdego traktował z jednakowym szacunkiem. Kiedy się nad tym zastanowię, uważam, że kierował się w tym zakresie szczególną filozofią. Była wiosna i leżał w pokoju z dużą ilością okien, który wyglądał niemal jak szklarnia, zwłaszcza że za oknami kwitły azalie. Teraz, kiedy widzę takie kolory, myślę o syfilisie. Dziwne, jak różne rzeczy zapadają w pamięć... – Złożyła dłonie na kolanach. – Powiedział mi o sprawie najdelikatniej, jak umiał. O tym, od kiedy to najprawdopodobniej ma, i o tym, jak się zaraził. Mówił, jak go zasmuca, że muszę razem z nim przechodzić tyle cierpień. Mówił o swoim i o naszym wspólnym życiu. Był to bardzo delikatny monolog... naprawdę. Nie odezwałam się słowem. Kiedy skończył, podeszłam

do jego łóżka. Wokół nas roztaczał się świat azalii, co w panujących warunkach było dość żenujące. Pocałowałam go. Prosto w usta. Wepchnęłam mu język w usta i dałam najbardziej erotyczny, najczulszy pocałunek, jaki kiedykolwiek ode mnie otrzymał. Potem odwróciłam się i wyszłam z pokoju. Poszłam prosto do siebie na górę, spakowałam walizkę i w ciągu godziny wyjechałam, nie mówiąc nikomu dokąd. – Oddychała płytko, najwyraźniej zapomniawszy o istnieniu Broussarda. – Nie było mnie dziewięć dni. Ani razu do niego nie zadzwoniłam ani nie poinformowałam, gdzie jestem. Kiedy wróciłam – pojawiłam się nieoczekiwanie – poświęcałam się dla niego, pielęgnowałam go, zajmowałam się nim, myłam go, czyściłam, karmiłam, czytałam mu, a kiedy nie było nic innego do roboty, siedziałam obok. Byłam z nim przez każdą chwilę, jaka mu pozostała, także kiedy umierał pięć miesięcy później. – Przerwała i jej wzrok powędrował do Broussarda. – Nigdy nie zapytał, gdzie byłam, co robiłam ani dlaczego.

W ciszy, która zapadła, Broussard obserwował dłonie poetki, delikatnie wygięte w nadgarstkach, a okiem wyobraźni widział pokój pełen okien i blask azalii.

– Nie mam pojęcia, dlaczego go w taki właśnie sposób pocałowałam – powiedziała i Broussard widział, jak dręczy ją wspomnienie tamtej chwili. Jeszcze nigdy nie widział jej tak wstrząśniętej i wiedział, że ujawnianie się przed nim kosztuje ją więcej niż kogokolwiek innego. – Bóg jedyny wie, jak bardzo tego żałowałam.

Broussard patrzył na Evelyn.

– Podejrzewam, że żadne z was nic na ten temat nigdy nie wiedziało.

– Oczywiście, że nie. Sądzę, że wiedział, dlaczego to zrobiłam.

– I to cię martwi.

– Straszliwie. Jeżeli ja tego nie rozumiem, jak on mógł?

– Mówisz o zmarłym, Evelyn.

– No to co?

– Jest po wszystkim. Odszedł i nigdy się nie dowiesz, co na ten temat sądził.

– Na Boga, Dominicku! Znam tę logikę. Boll mnie ta druga sprawa.

W głosie Evelyn zabrzmiała nuta niepokoju, ale na jej twarzy malowała się złość. Była najwyraźniej niezadowolona z faktu, że jej pocałunek mógł ujawniać więcej z jej podświadomości, niż sobie życzyła. W jej przypadku było intrygujące, jak kobieta może z takim uporem poszukiwać we wszystkim racjonalnej podstawy. Nie była jednak aż tak bardzo logiczna i tak zdyscyplinowana, jak chciałyby wyglądać. Było w niej zbyt wiele z poetki, umiała się zagubić w zapamiętaniu.

– Jaka druga sprawa?

Opadła w fotel i odwróciła wzrok. Potem znów na niego popatrzyła, w końcu zaczęła się przyglądać statuetkom na biurku.

– Nie wiem.

Wymijająca odpowiedź. Dał jej się chwilę pogotować na wolnym ogniu. Odplynął myślami w dal. Popatrzył na perły w jej

uszech. Evelyn była prawdziwą pięknoscią. Mężczyzna jej wyboru nie mógł być zimnym kochankiem. Osoba tak przywiązująca wagę do intensywności przeżyć nigdy by do tego nie dopuściła.

– Dlaczego nigdy nic ci nie groziło z powodu choroby Geralda?

– spytał nieoczekiwanie Broussard.

Odwróciła głowę ku niemu i jej wzrok zawisł na nim jak ołów.

– Jezu... – W jej głosie było głębokie poczucie obrazy.

– Czy to temat tabu? – Nagle poczuł złość. Jak śmiała udawać urażoną? – Powiedziałaś, że nigdy ci nie groziło zarażenie.

Pokręciła głową.

– Nic takiego nie powiedziałam.

Broussard uważnie się jej przyjrzał. Tym zaprzeczeniem okazała swą małość. Wyróżniająca ją spośród innych ludzi dumna postawa, wyniosła pewność siebie, cechująca każde jej słowo i zachowanie, jej śmiech, a nawet sposób uprawiania miłości – wszystko to rozprysnęło się w ułamku sekundy niczym delikatny kryształ. Broussard nie spodziewał się, że Evelyn skapitułuje i zaprze się siebie. Tak jak każdy inny człowiek, odczuwała wstyd i uczucie to okazało się w jej przypadku tak silne, że wołała zaryzykować własne ja, niż ujawnić źródło wstydu.

Broussard też zrobił coś, co go samego zaskoczyło – wycofał się. Bez względu na to, co sądził o podświadomości i drzemających w niej demonach, bez względu na to, co należało ujawnić, aby dać Evelyn szansę na osiągnięcie spokoju po uprzedniej konfrontacji, przestało go to interesować. Nie miał odwagi przeprowadzać jej

przez oczyszczający ogień. Nie chciał uczestniczyć w wyzwoleniu, ponieważ też musiałby za nie zapłacić, i nagle poczuł, że ma dość grzebania się w głębinach udręczonej psychiki. Tej podróży przez piekło się nie podejmie; postanowił, że dla Evelyn Towne nie będzie Wergiliuszem. Zdawał sobie sprawę, że jej poszukiwania – zwłaszcza przy tym poziomie lęku – będą jeszcze bardzo długie. Ileż czasu potrzebowała na dotarcie do tego punktu, gdzie była dziś... Nie pomoże Evelyn. Wolał zostawić ją na pastwę lęków, a gdyby prawda wyszła na jaw, raczej ją potępić, niż zaryzykować własne zdrowie psychiczne. Czyżby naprawdę był zobowiązany do ryzykowania swojego „ja” tylko po to, aby dać tej kobiecie nadzieję? Kto powinien być w pierwszym rzędzie stracony, a kto ocalony? Zajmował się nią długo, ale nadszedł czas na przesiew. Evelyn Towne stanie się ofiarą historii. W innym czasie, innym miejscu, może by dostała szansę. Jeszcze chwila i być może skoczyłby z nią na głęboką wodę, ale czas minął. Nie dojdzie do konfrontacji Evelyn Towne z własną podświadomością, do podróży w głąb siebie w towarzystwie doświadczonego partnera. Zamierzał pozwolić swej pacjentce odejść, aby uratować siebie.

– Nieważne – powiedział kręcąc głową. – Byłem zmęczony, może źle zrozumiałem.

Evelyn Towne popatrzyła na niego z rozpaczą. Z nagłym przerażeniem dotarło do niego, że pojęła. Wiedziała, że zostawił ją samą sobie.

Rozdział trzydziesty trzeci

Zaparkowali przy krawężniku pod zadaszonym wejściem do Hyatt Regency, Palma i Garrett usiedli w holu, a Grant i Hauser poszli do swoich pokojów. Grant chciał maksymalnie wykorzystać czas i prosił, aby od razu jechali do wydziału, żeby jak najszybciej obejrzeć zdjęcia Bernadine Mello i „wyczuć”, jak jej przypadek ma się do poprzednich. Chciał też obejrzeć zdjęcia Ackley i Montalvo. Choć były to innego typu zabójstwa, Grantowi zależało na zapoznaniu się z nimi na wypadek, gdyby okazało się, że mają związek z morderstwami trzech kobiet. Z hotelu do komisariatu było niedaleko – dziesięć przecznic plus krótki spacer w deszczu przez parking.

Zaczęła się właśnie popołudniowa zmiana i jedyna para detektywów pojechała na Navigation Boulevard, zająć się sprawą strzelaniny w knajpie. Don Leeland umieścił swoją centralę koordynacyjną w pakamerze, wykorzystywanej od reorganizacji wydziału, która odbyła się kilka lat temu, na magazyn zużytego sprzętu. W tutejszym wydziale zabójstw zawsze najcenniejszym dobrem była przestrzeń, napchano więc do „magazynu” sporo zakurzonych starych biurek, przestarzałych komputerów i zdezelowanych metalowych szafek na akta, które teraz zagracały i tak już wąskie przejścia i powodowały, że spora część wielkiej hali wyglądała jak miejsce licytacji mienia uratowanego z pożaru.

Leeland poszedł do domu trochę się przespać. Przy komputerze siedziała detektyw Nancy Castle, którą Leeland ściągnął z sekcji

analiz – wpisywała zarówno nazwiska, które Childs i Garro dostarczyli w związku ze sprawą Mello, jak i dane schodzące wraz z bieżącymi raportami. Jednym z plusów publicznego nagłośnienia takich spektakularnych spraw jest to, że zaraz po ujawnieniu przez policję pieczołowicie wybranych faktów zwykle pojawia się mnóstwo informacji od ludności. Do osiągnięcia decydującego postępu w śledztwie wystarczy czasem jedna, za to dobra wskazówka. Metodyczny Leeland ustalił system, dzięki któremu na każdej zmianie przyjmowaniem informacji od ludności zajmował się jeden i ten sam człowiek. Opracował też specjalny formularz, wzorowany na używanym przez grupę specjalną w King County w stanie Waszyngton, która zajmowała się serią zabójstw w Green River. Ułatwiał on znajdowanie odnośników oraz tworzenie hierarchii informacji i podejrzanych. Z każdą godziną docierało coraz więcej informacji od ludności i należało je natychmiast komputeryzować. Nawet o tej porze w kącie siedział mundurowy policjant, rozmawiał z kimś przez telefon i robił notatki.

Od momentu wejścia do wydziału Palma wyczuła zmianę w swobodnym zachowaniu Granta. Rozejrzał się szybko wokół, kiedy mu przedstawiano Nancy Castle, uśmiechnął się do niej, ale nic nie powiedział. Jego zainteresowanie dotyczyło wyłącznie akt Bernadine Mello. Castle wyjęła teczkę z zamkniętej na klucz szafki i Palma, Grant oraz Hauser udali się do pokoiku Palmy, a Garrett poszedł po kawę.

Grant zdjął płaszcz i powiesił go na oparciu krzesła Palmy, po-

dał fotografie Hauserowi, a sam zaczął czytać akta. Hauser wziął się za zdjęcia – dla ułatwienia poukładane i chronologicznie ponumerowane. Obaj odwrócili się plecami do Palmy, najwyraźniej nie chcieli, by im przeszkadzano. Nie wychodziła jednak, usiadła i czekała na pytania. Po kilku minutach Garrett przyszedł z kawą, ale Grant i Hauser nie podnieśli głów. Sięgnęli po kubki automatycznie, nie patrząc. Wkrótce zamienili się materiałami.

Palma siedziała w milczeniu. Garrett chodził na zewnątrz i zagadywał przechodzących detektywów. Grant długo oglądał zdjęcia Bernadine Mello, porównywał rany fotografowane w różnym świetle i pod różnymi kątami. Następnie zrobił notatki, odwrócił się do Palmy i założył nogę na nogę.

– Które elementy są tu nowe? – spytał. Zauważyła, że w jego piwnych oczach widać jasnozielone plamki.

– Ugryzienia wokół pępka. Były już poprzednio, ale tym razem jakby poświęcił tej czynności więcej czasu. Mocniej ssał. Skoncentrował się znacznie bardziej na pępku. Uderzenia na twarzy są poważniejsze. To też nie jest nowe, ale zwraca uwagę. – Grant skinął głową i Palmie wydało się, że widzi wokół jego oczu wesole drgania. – Zmarszczki na prześcieradle. Wyglądają, jakby się obok niej położył, moim zdaniem była to ostatnia rzecz, jaką zrobił przed wyjściem. Zauważyłam je teraz po raz pierwszy dzięki czerwieni prześcieradła, ale sprawdziłam i okazało się, że były też na prześcieradłach Moser i Samenov. Choć powinnam, wtedy nic nie zauważyłam, gdyż byłam zbyt skoncentrowana na ogólnym widoku.

Grant wzruszył ramionami, jakby każdy miał prawo nie zauważyć.

– Moim zdaniem fakt, że kładzie się obok nich, ma znaczenie – dodała Palma. Grant patrzył na nią i Palma miała wrażenie, że czyta w jej myślach. Czuła się podobnie na ulicy, kiedy niektórzy mężczyźni rozbierali ją w myślach i wyobraźnią sięgali piersi, brzucha i ud. Zwykle nie zwracała na takie zachowania uwagi, czasami jednak trafiał się ktoś, kto wydawał się naprawdę zaglądać jej pod sukienkę i siłą wyobraźni wnikać w najintymniejsze zakątki jej ciała. Podobne wrażenie miała na widok łagodnego uśmiechu Granta, choć ani na chwilę nie przestawał jej patrzeć w oczy. Dla niego najintymniejszym miejscem nie były jej piersi ani krocze.

– Dlaczego twoim zdaniem tak zrobił?

Popatrzyła na niego i zawahała się przed udzieleniem odpowiedzi. Kątem oka zauważyła, jak Hauser patrzy na Granta, i zrozumiała, że nie są jednak równi w hierarchii zawodowej. Grant był zwierzchnikiem Hausera.

– Podejrzewam, że się... przy niej podniecał... może onanizował – choć nie znaleziono śladów nasienia.

– Dlaczego nałożył jej makijaż, ułożył włosy – tym razem z użyciem lakieru... pomalował paznokcie i tak dalej?

– Żeby wyglądała w określony sposób – odparła Palma przypominając sobie ich rozmowę telefoniczną sprzed dwóch dni. – Żeby pasowała do jego fantazji.

– Fantazji... – Grant dziobnął palcem wskazującym powietrze. –

Podejdz tutaj. – Wziął zdjęcia od Hausera i przytrzymał je tak, aby wszyscy troje je widzieli. Wybrał jedno, zrobione od strony stóp, tak że sylwetka została nieco skrócona i wyglądała jak blady, martwy Chrystus pędzla Holbeina. Pozbawione sutek piersi Bernadine Mello były zmysłowe jak za życia, a włosy łonowe znacznie ciemniejsze od jasnych włosów na głowie, wyglądały jak wielka rana. – Zazwyczaj tego typu zbrodnia jest zaburzeniem ustalonego obyczaju. Nawet jeżeli obserwator z zewnątrz sądzi, że została dokonana w szczególnych warunkach, to dla uczestników zdarzenia nie były one niczym niezwykłym. Robili coś, co sprawiało im satysfakcję, powtarzali scenariusz któryś już raz. Dla nich była to rutyna. – Grant znów wyciągnął palec w kierunku fotografii. – W zabójstwach na tle seksualnym, w których ofiarą jest osoba początkowo dobrowolnie uczestnicząca w wydarzeniu – często prostytutka – istnieją praktycznie dwie możliwości przebiegu akcji. Scenariusz numer jeden ma doprowadzić do obopólnego zadowolenia. Zabójca realizował go już setki razy – w rzeczywistości i w wyobraźni, tyle tylko że bez nieszczęśliwego finału. W drugim scenariuszu, to co się dzieje, służy wyłącznie zaspokojeniu popędów zabójcy. Musimy spróbować odzielić te warianty i ustalić, w którym momencie się rozchodzą. – Palec Granta wychylił się w lewo. – W którym momencie skończyła się przyjemność dla Bernadine Mello... – palec wychylił się w prawo – ...a zaczęła dla mordercy? – Czubek palca dotknął fotografii. – Potem musimy ustalić chronologię scenariusza mordercy, dzięki temu będziemy mogli zacząć ustalać jego osobowość.

Grant zamilkł, zapatrzony w zdjęcie. Palma stała tuż obok, dość blisko, aby móc obserwować niezauważalnie na pierwszy rzut oka szczegóły: kark i ramiona Granta nie były umięśnione jak u młodzieńca, lecz raczej obciążone ciężarem doświadczenia, dłonie miał tak wielkie, że bez trudu mogłaby skryć w niej swoją. Z tak małej odległości nie mogła obserwować jego rysów, ale zdążyła im się przyjrzeć przedtem, kiedy studiował zdjęcia. Silny zarost mimo porannego golenia już zaczynał się ukazywać. Wąsy miał tak starannie przystrzyżone, że wyglądały na wyrzeźbione. Szczeka rysowała się mocno, co przy złamanym nosie dawało w efekcie ekranowy wzorec surowego angielskiego oficera.

– Pokój hotelowy został już przekazany do użytku? – spytał Grant. Palma przez chwilę nie rozumiała, o co mu chodzi.

– O! W Doubletree. Tak.

– A mieszkanie Samenov?

– Jeszcze jest zamknięte.

– Czyli możemy je obejrzeć?

– Możemy.

– Czy Bob mógłby dostać akta Moser i Samenov? Dołączył w ostatniej chwili i nie zdążył się z nimi zapoznać.

– Oczywiście.

– Czy moglibyśmy pojechać do Samenov jeszcze dziś? Także do Mello? Po kilku minutach przyniesiono akta i Robert Hauser zabrał się za nie przy świeżej filiżance mocnej kawy. Grant poszedł na chwilę do Arveya Corbeila, aby spełnić konieczny rytuał

i zaliczyć rozmowę z oficerem dyżurnym. Rano będzie musiał złożyć wizytę kapitanowi. Palma zauważyła, że jest w tej grze dobry. Nie występował z pozycji agenta specjalnego FBI, ale też nie próbował udawać kumpla, gdyż na to nie zapracował i takie zachowanie natychmiast uprzedziłoby zawsze podejrzliwych detektywów z wydziału zabójstw. Nie udawał waźniaka i jego bezpretensjonalny styl został natychmiast odpowiednio doceniony.

Piętnaście po siódmej Palma i Grant znów szli do samochodu. Padał drobny deszczyk. Kiedy przecinali parking, w powietrzu czuć było zapach oleju, jakim przesiąknięty był cement, oraz woń zatęchłej wody unoszący się z nad martwych odnóg rzeki.

– Boże drogi, nie ochładza się u was wieczorem?

– Niewiele.

– Deszcz też nic nie pomaga?

– Jeszcze nigdy nie byłeś w Houston?

– Dawno temu, w latach sześćdziesiątych. Ale w grudniu.

– No tak, czerwiec to trzeci miesiąc co do ilości opadów. Także trzeci jeżeli chodzi o temperaturę. Przewodniki określają klimat Houston jako „wilgotny podzwrotnikowy”. Wybrzeże, aż do Mobile w Alabamie, ma najwyższe w Stanach letnie temperatury. – Uśmiechnęła się do niego. – Polubisz ten klimat.

Rozdział trzydziesty czwarty

Kiedy wsiedli, szyby natychmiast zarosły się od wewnątrz i klimatyzacja wysuszyła je, dopiero kiedy przejeżdżali Memorial Drive przez Cleveland Park. Za ich plecami wznosiły się migoczące w deszczu wieżowce, sprawiające wrażenie tworów rodem z innego świata.

Grant milczał i Palma podejrzewała, że cała podróż upłynie w ciszy, będzie bowiem rozmyślał nad tym, co ujrzał na zdjęciach Bernadine Mello. Nie przeszkadzało jej to, nie czuła potrzeby prowadzenia konwersacji.

– Jak się czujesz w tym wszystkim? – spytał nieoczekiwanie. Była zaskoczona pytaniem, nie spodziewała się, że Grant je zada.

– Nie musisz chyba okazywać na siłę „zawodowego podejścia” – odparła zwalniając nieco, aby utrzymać odpowiednią odległość od jadącego przed nimi samochodu. – Ciężko przychodzi mi zachowanie obiektywizmu... chyba już nawet go straciłam. Ten facet to wszystko, o czym mogę myśleć. Minęły cztery dni od znalezienia Dorothy Samenov i zarazem od momentu, kiedy dotarło do mnie, z czym mamy do czynienia, a wydaje mi się, jakby od tej chwili minął miesiąc. Wczoraj znalazłam Ackley i Montalvo, dziś rano pojawiła się Bernadine Mello. – Palma zdjęła nieco nogę z gazu, wjechali bowiem w gęstą mgłę i przez chwilę sunęli przez pozbawioną wymiarów białawą przestrzeń. Dopiero po chwili jakieś dwadzieścia metrów w przodzie pojawił się punkt orientacyjny – tylne

światła samochodu przed nimi. – Nie jestem nowicjuską, jeżeli chodzi o przestępstwa na tle seksualnym. Widziałam już efekty działania różnych świrów i kilka porąbanych na kawałki kobiet, widziałam sporo rozlanej krwi, ale nic tak przerażającego. Nie wiem... próbowałam wczuć się w jego styl myślenia, zanotowałam wszystko, co mi mówiłeś przez telefon, ale...

Grant się odezwał dopiero po dłuższej chwili.

– Co z tego, co on robi, najbardziej cię nęka?

– Jako policjantkę czy jako kobietę?

– Jako kobietę.

Palma nie spodziewała podobnego pytania.

– Ugryzienia. To co robi z pępkiem. Wygryzienie Bernadine Mello kawałka ciała z okolicy sromu.

– Ugryzienia są dość klasyczne w tego typu zabójstwach.

– Wiem.

Przejechali kilka skrzyżowań, zjechali z autostrady i skręcili na południe. W deszczu błyskały nad nimi światła pojedynczych samochodów.

– Zaczyna zjadać kawałki ofiar, prawda?

– Jestem gotów się założyć, że zaczął już za pierwszym razem.

– Sutki? Powieki?

– Jeszcze nigdy nie spotkałem się z podobnym traktowaniem powiek. To jeden z najciekawszych elementów tych spraw.

– W jakim znaczeniu?

– Widziałem już niemal każdy fragment ciała jako obiekt obse-

sji, ale jeszcze nigdy nie spotkałem się z tak erotycznym potraktowaniem powiek. Nie zaskakuje mnie nic, co robią z narządami płciowymi i ich okolicą. Widywałem macice usuwane tak fachowo, jakby robił to chirurg, tak samo jajniki. Czasami ci faceci mają zaskakującą wiedzę na temat anatomii, co wynika głównie z ciekawości. Wielu z nich nigdy nie miało zadowolających kontaktów z kobietami – albo faktycznie byli odrzucani przez rówieśniczki, albo tak im się wydawało, stąd ich wiedza o kobietach jest mizerna, dużo poniżej średniej. Nie wiedzą o nich wiele, więc kobiety są obiektem ich zainteresowania, zwykle niezdrowego. Czasem można by wręcz twierdzić, że mają ochotę porozkładać kobietę na kawałki i dowiedzieć się, co to właściwie jest. Tyle tylko że ich ciekawość ogranicza się zwykle do narządów płciowych i piersi. Chcą ich dotykać, czuć je i smakować. Od zewnątrz i od wewnątrz.

Grant przerwał i Palma poczuła na sobie jego wzrok.

– Mów dalej.

– Taak, powieki to jednak całkiem inna sprawa. To wskazuje na określone zaburzenia, co może stanowić ważną dla nas wskazówkę. Ponieważ kontekst seksualny tego okaleczenia nie od razu jest jasny, musi się tu kryć jakaś symbolika. A jeśli to nie symbol seksualny? Może mamy do czynienia z anomalią anomalii, nową psychologią, nowym gatunkiem zwierzęcia? Choć w tym zakresie jestem sceptyczny. Moim zdaniem mamy do czynienia z mordercą ze szczególnego rodzaju odchyłką, nie ze szczególnego rodzaju mordercą.

Palma zjechała przy Post Oak, przecięła San Felipe i wjechała

w serce szykownej dzielnicy. Z prawej strony dominował otoczony palmami nowy Saks Pavilion, tuż za nim, przy końcu bulwaru, w deszczowym mroku wyrastał wieżowiec Transco Tower. Palma spojrzała we wsteczne lusterko, zwolniła i wskazała palcem w lewo na fasadę hotelu Doubletree.

– Tam znaleziono Sandrę Moser. Na siódmym piętrze, z prawej strony, w jednym z pokoi, których okna wychodzą na tę stronę. Zasłony były odsunięte. Gdyby ktoś siedział w jednym z biur, którego okna wychodzą na Two Post Oak Central – powiedziała, kiwając głową w kierunku biurowca po prawej – mógłby wszystko sobie obejrzeć.

Grant milczał. Pochylił tułów do przodu i przyjrzał się budynkowi. Palma niemal zatrzymała samochód.

– Możesz tu zaparkować?

Wjechała na parking przed Pavilion i zatrzymała się tuż przed okalającym go pasem zieleni. Był stąd widok na bulwar i hotele po drugiej stronie ulicy.

– Możesz mi powiedzieć, które to okno?

Mogła. Kilka dni temu stała na tym parkingu i podobnie jak on teraz, wpatrywała się w hotel z samochodu.

– Ósma kondygnacja nie licząc holu, ósme okno w prawo od szklanej kurtyny. Ciekawy zbieg okoliczności.

Grant skinął głową, ale nie odezwał się. Policzył i zapatrzył się w okno, identyczne z otaczającymi go dwustu dziewięćdziesięcioma innymi... z wyjątkiem tego, co stało się za nim niemal dokładnie

dwadzieścia trzy noce temu. Grant pochylił się do przodu, uniósł oczy w górę i zamarł – tak blisko szyby, że jego oddech osadził się na niej owalem pary.

– Zastanawiam się, czy kiedy tamtego dnia weszłaś tam i ją zobaczyłaś, miałaś jakiś przebłysk, że będzie to całkiem inna sprawa... niezwykła sprawa?

Pochylony do przodu, nie mógł widzieć jej nawet kątem oka, więc wykorzystała okazję na przestudiowanie jego profilu. Widziała szczesane do tyłu siwe pasma na skroniach i niewielki garbek na nosie.

– Ze względu na sposób, w jaki została ułożona, domyśliłam się dość szybko, że będziemy mieć kłopoty. Nie podejrzewałam jednak, że sprawa okaże się aż tak poważna.

Grant skinął głową i nie odwracając oczu od hotelu, opadł do tyłu.

– No dobrze...

W mieszkaniu Dorothy Samenov było ciepło i dość duszno. Policja tak ustawiła termostat, że klimatyzator jedynie nieco łagodził temperaturę. Siostra Samenov i jej mąż mieli przyjechać do miasta w przyszłym tygodniu, wystawić mieszkanie na sprzedaż, na razie jednak wszystko wyglądało tak jak w momencie, kiedy wyszła policja – nikt nawet nie pościerał płam tlenku żelaza.

W drodze od samochodu Grant trzymał nad głową płaszcz. Gdy tylko wszedł do środka, rzucił go na krzesło i udał się prosto do sypialni, jakby już nieraz bywał w tym mieszkaniu. Zatrzymał się

w drzwiach i rozejrzał, potem poszedł do łazienki. Zajrzał do kabiny prysznicowej i popatrzył na podłogę przy bidencie, gdzie LeBrun znalazł odciski stóp. Odwrócił się, otworzył apteczkę i zaczął sprawdzać jej zawartość. Przekręcał buteleczki, aby przeczytać etykiety nawet na opakowaniach o charakterystycznych dla określonych produktów kształtach, zostawiał je etykietkami do przodu.

W końcu wetknął ręce do kieszeni i zapatrzył się w zawartość apteczki.

– Z tego miejsca można się dowiedzieć wielu rzeczy o człowieku – stwierdził. Wyciągnął rękę, wyjął płaski, przezroczysty plastikowy pojemnik, uniósł go na wysokość oczu i przeczytał etykietkę. – „*Eez-Thru*. Patentowane przewlekadło z nitką do czyszczenia zębów”. Kilka lat temu mieliśmy gwałt dziecka z morderstwem. Głównymi podejrzanymi byli dwaj mieszkający razem dwudziestoparoletni bliźniacy. Nie wiedzieliśmy, czy sprawcą jest jeden z nich, czy obaj, ani czy jeśli jest jeden, to drugi wie. Psychiczny związek między nimi był naprawdę dziwny. Choć obaj byli błyskotliwi, nie różnili się niemal charakterami. Kiedy sprofilowaliśmy pierwszego i uznaliśmy, że może pasować, drugi natychmiast przejął jego cechy, jakby się pozamieniali. Nie miałem zielonego pojęcia, co się dzieje. Nic na nich nie mieliśmy. Byliśmy pewni, że sprawcą jest jeden z nich, ale z powodu ich przedziwnej relacji nie byłem w stanie ustalić strategii działania wyprzedzającego. – Wyjął rękę z kieszeni i sięgnął po opakowanie pigułek antykoncepcyjnych. Sprawdził, ile zostało wyjętych, poobracał opakowaniem

w palcach i odłożył je na półkę. – Na miejscu zbrodni znaleźliśmy mniej więcej półtoracentymetrowy kawałek plastiku, ale nikt nie wiedział, co to może być. Nie umieliśmy go w żaden sposób umiejscowić, nie wiadomo było, czy ma jakiegokolwiek znaczenie. Wszyscy prędzej czy później przestali o nim myśleć i plastik wyładował na dnie pudła z dowodami. Pewnego dnia razem z kolegą poszedłem porozmawiać z braćmi. Na miejscu zapytałem, czy mogę iść do łazienki i, oczywiście, nikt nie miał nic przeciwko temu. Mieli osobne, ale identyczne łazienki i wszedłem do pierwszej z brzegu, nie wiedząc nawet, do którego z braci należy. Dyskretnie otworzyłem apteczkę i zacząłem ją przeglądać. Kiedy natrafiłem na podobne pudełeczko, zajrzałem do środka i od razu wiedziałem, co mamy wśród dowodów. Jeden z braci miał mostek. Te przewlekadła są tak zrobione, żeby można się było dostać nitką do czyszczenia zębów za mostek. Kiedy to odkryłem, zaczęliśmy z nimi rozmawiać, jakbyśmy wiedzieli, który jest mordercą. Gość przyznał się po trzydziestu sześciu godzinach. – Znow sięgnął do apteczki, dotknął kilku tubek i słoiczka, wziął słoiczek i postawił go obok tubek. – Trzy różne rodzaje środka do znieczuleń miejscowych... Okazało się, że nieustannie czyścił mostek i zawsze miał przy sobie takie przewlekadło. Nie wiem, dlaczego nie znaleźliśmy nitki, ale ten kawałek plastiku nam wystarczył. Był pewnikiem w układance. Nigdy nie wiadomo, co może zaważyć. – Grant zamknął apteczkę i wyszedł z łazienki gasząc światło. Obszedł puste łóżko, stanął na chwilę, aby przyjrzeć się plamom na materacu, i zbliżył się do szafy. – Gdzie

leżało jej ubranie?

– Na krześle obok łóżka.

– Ciekawe. Dlaczego go nie powiesił? Szafa jest tuż obok. Pamiętam ze zdjęć, że złożył ubranie dokładnie – wyłogi na prawo, kieszeń bluzki tuż nad załamaniem. Bardzo precyzyjnie. Można wręcz pomyśleć: po wojskowemu, ale byłby to błąd. W wojsku ubranie składa się inaczej. To samo było z ubraniem Mello. Złożone nie po wojskowemu, ale bardzo precyzyjnie.

Nie wyjmując rąk z kieszeni, Grant przejrzał kosmetyki na komodzie, poprzestawiane przez LeBruna podczas zbierania odcisków palców. Tak samo jak z buteleczkami w apteczce i tu poprzekręcał każdy krem i lakier tak, że etykiety znajdowały się z przodu.

Kiedy to robił, Palma przyjrzała się łóżku i spróbowała sobie przypomnieć Dorothy Samenov. Ciężkie, gorące powietrze w pokoju było zupełnie inne niż chłód, jaki zapamiętała z dnia, kiedy ją znaleziono. Przeszło jej przez myśl, jak łaskawy okazał się dla Dorothy fakt, że niska temperatura służyła lepiej celom mordercy. Przez cztery dni bez chłodzenia z jej ciałem porobiłyby się obrzydliwe rzeczy. Przynajmniej to poniżenie zostało jej oszczędzone. Jakby chłód okazał nie zamierzoną uprzejmość.

Grant podszedł do szafy, by przejrzeć sukienki. Zaczął od lewej strony, oglądał każdą po kolei, co jakiś czas którąś wyjmował i oglądał, jakby robił zakupy. Potem kucnął i wziął się za przeglądanie butów. Otwierał każde pudełko w głębi szafy. Dorothy miała masę rzeczy i zajęło mu to trochę czasu. Kiedy skończył, wstał,

cofnął się i rozejrzał po sypialni. Znów popatrzył na komodę, podszedł, z kilku buteleczek odkręcił zakrętki, powąchał zawartość i poodstawiał je na miejsce.

Podszedł do łóżka i usiadł na nim. Popatrzył na otwartą szafę. Nieobecny myślami, prawą dłonią nacisnął materac, sprawdzając jego twardość.

Potem wstał, znów podszedł do komody, otworzył górną szufladę i zaczął przerzucać leżące w niej rzeczy. Tak jak z sukienkami i butami w szafie, był bardzo skrupulatny – jak nieufny klient. Kiedy dotarł do bielizny, nie przyspieszył dla przyzwoitości tempa przeglądu, oglądał każdą sztukę tak samo uważnie, czasami unosił w górę majtki, koszulkę albo biustonosz, kilka razy potarł materiał między palcami. Raz nawet, na krótką chwilę, przytknął majtki do twarzy. Gest zaskoczył Palmę i odwróciła szybko głowę, zaraz jednak poczuła wstyd, z powodu tej reakcji, jak również z powodu tego, co zrobił Grant.

– Akcesoria sado-maso były w górnej szufladzie? – spytał nie odwracając się.

– Tak, zdjęcia też.

Grant skinął głową, zastanowił się, znów popatrzył na zawartość szuflady.

– Wiesz, człowiek żyje i latami nosi w sobie bagaż... określone założenia... dotyczące tak kobiet, jak i mężczyzn. Są wygodne, nie zdarza się bowiem nic, co by im zaprzeczało, ale pewnego dnia coś trafia człowieka prosto w twarz... bum!... i mit pryska. – Zamknął

szufladę, odwrócił się i popatrzył na Palmę. – Uważam, że wygoda opinii to bardzo niebezpieczna rzecz. – Uśmiechnął się kwaśno, być może z samego siebie. – Jedźmy do Mello.

Rozdział trzydziesty piąty

Kiedy Palma ruszyła spod domu Samenov i wjechała w Amberly Court, spojrzała przez ulicę ku domowi Heleny Saulnier. Choć było pięć po ósmej, światła w domu były zgaszone. Nie miała wątpliwości, że przez cały czas ich pobytu u Dorothy Helena patrzyła zza firanek.

Do domu Bernadine Mello musieli przejechać prawie trzy kilometry mokrymi, wysadzanymi piniami ulicami. Przecięli Buffalo Bayou, potem zawrócili do Hunterwood, znów niemal dojechali do wody i dopiero wtedy ujrzeli strzegące wjazdu do domu Bernadine kolumny. Przed bramą stał radiowóz z Hunters Creek i zanim pijący kawę policjanci ich wpuścili, dokładnie obejrzeliby dokumenty Palmy i Granta.

Kiedy podjeżdżali pod dom, zasłonięty od ulicy krzewami, trawami i piniami, pod oponami zgrzytał żwir. Paliło się jedynie światło przed wejściem, okna były ciemne i ponure jak otaczająca noc.

Palma natychmiast po wejściu zapaliła światła w holu, a Grant, tak jak przedtem, ruszył bez słowa komentarza schodami w górę, jakby doskonale wiedział, gdzie znajduje się sypialnia. Zaintrygowana jego niezawodnym instynktem, Palma bez pytania poszła za nim, patrząc jak podczas wchodzenia po schodach szacuje dom. Kiedy doszedł do korytarza, przy którym znajdowały się pokoje państwa Mello, bez trudu znalazł kontakt i zapalił światło. Minął uchylone drzwi do ciemnego gabinetu Raymonda Mello i podeszedł

do następnych otwartych drzwi. Wsunął w głąb pomieszczenia prawą rękę i zapalił światło.

– Sporo miejsca – stwierdził mimochodem. Rozejrzył się po saloniku i poszedł dalej – do sypialni. Znów przed wejściem wyciągnął w głąb pokoju rękę i zapalił światło. Ponieważ widział zdjęcia z miejsca zbrodni, nie skomentował słowem pokrytych czerwonym materiałem ścian i rzucającego się w oczy „Drzewa życia”. Widywał już dziwniejsze rzeczy.

Tak jak u Samenov, poszedł do łazienki – luksusowego pomieszczenia w marmurze i szkle z kafelkowanym prysznicem, tak wielkim i ozdobnym jakby przeniesiono go prosto z łaźni Herculanium. Grant zauważył to, ale nie zatrzymał się nawet na chwilę – szedł do wbudowanego w ścianę długiego marmurowego stołu, nad którym znajdowały się szklane półki, wypełnione nieprzebraną ilością leków i kosmetyków. Natychmiast zabrał się do roboty.

Palma przyglądała mu się stojąc pod przeciwległą ścianą. Przeglądał buteleczki i słoiczki skrupulatnie, przypadkowo – takie przynajmniej odniosła wrażenie – otwierając niektóre, by powąchać zawartość albo wetknąć palec i potrzeć krem albo płyn między kciukiem a palcem wskazującym. Palma w dalszym ciągu traktowała go jak mistrza, ale kiedy tak stał w płaszczu, otoczony szkłem i marmurem damskiego pokoju, wydawał się całkiem nie na miejscu. Wyglądał na ostatnią osobę na świecie, zdolną zrozumieć kobietę, która mieszkała w tym otoczeniu.

– Czasami – powiedział nie przerywając inspekcji dóbr Mello –

idę do dużej apteki i wędruję między półkami. Można się w ten sposób wiele nauczyć, zarówno o ludzkim ciele, jak i umyśle. O tym, co ludzie robią dla siebie, może dlatego, że muszą, może dlatego, że są hipochondrykami. A może dlatego, że mają obsesję na punkcie swojego wyglądu, zapachu, wrażenia jakie sprawiają? Amerykanie wydają masę pieniędzy na preparaty do ciała. Podobno... – mruknął, odkręcając pokrywkę małej ametystowej buteleczki i wachając zawartość – podobno w dwutysięcznym dziesiątym roku średnia połowa życia Amerykanina ma przypadać w trzydziestym dziewiątym roku życia.

Palma poszła za Grantem do purpurowej sypialni. Tak samo metodycznie jak u Samenov, przeglądał szafy i szuflady Mello i od czasu do czasu rzucał jakiś komentarz. Tutaj lustracja zajęła mu więcej czasu, ponieważ wszystkiego było więcej, ale nie tracił ani muszu, nie niecierpliwił się ani niczego w pośpiechu nie pominął. Zachowywał się, jakby miał na to, co sobie zaplanował, czas do końca świata. Palma obserwowała każdy jego ruch. Zwracała uwagę, na co on zwraca uwagę, zapamiętywała, przy czym zatrzymuje się na dłużej, co wydaje mu się mało ważne albo całkiem nieistotne. Patrzyła, którym częściom garderoby poświęca więcej uwagi, które sztuki bielizny pociera między palcami, które majtki unosi w górę, którą koszulkę przeciągnął po twarzy. Bardzo szybko stał się dla niej tak intrygujący jak morderca, którego ducha starał się wywołać.

– Tutaj nie było żadnych sprzętów sado-maso? – spytał zamykając ostatnią szufladę.

– Niebyło.

– Jeżeliby się okazało, że należała do grupy Samenov, będzie pod tym względem nieco odmienna, prawda?

Palma skinęła głową.

Grant wsunął ręce do kieszeni i zamyślony, wolnym krokiem podszedł do okna z widokiem na ogród. Odsunął na bok zasłonę, patrzył chwilę, potem włożył rękę z powrotem do kieszeni i odwrócił się do Palmy. Podszedł do niej.

– Z tym psychoanalitykiem sprawa ma się tak, że – oczywiście jeżeli to nie on jest sprawcą – może dać nam wiedzę nie tylko o Mello, ale też o innych członkiniach grupy, oczywiście pod warunkiem że Mello do niej należała. Musi wiedzieć, czy Mello miała skłonności sadomasochistyczne. Może wie o jej romansach z innymi kobietami, może też z mężczyznami. Wydusimy z niego wszystko, każde słowo, jakie jej mówił, bowiem ujawnienie, że sypiał z nią tyle lat, mogłoby mu narobić masę kłopotów. Najprawdopodobniej robił to samo z innymi pacjentkami, więc sprawa jest poważna i mogłaby zrujnować jego karierę. Powinnaś pomachać tym doktorowi przed oczami i dać do zrozumienia, że jeżeli chce pohandlować, musi wywalić wszystko, co wie o Mello. Wie o niej dość, żeby położyć nam jej umysł na tacy i właśnie o to powinnaś go poprosić. Potrzebujemy kompletnych danych na jej temat, każdego nazwiska, jakie wspomniała, opisu, jak lubiła się kochać – przy zapalonych światełkach, przy zgaszonych, w butach na wysokim obcasie z czarnymi balonami przywiązanymi do palców stóp i przebitymi przez sutki

igłami – wszystko. Wydobądź z niego wszelkie najobleśniejse szczegóły.

Kiedy Grant to mówił, jego twarz zastygła w nieruchomą maskę, a zatroskaną minę, z jaką przeszukiwał pomieszczenie, zastąpił bardziej mroczny wyraz. Popatrzył na Palmę, wszedł do łazienki i pogasił w niej światła. Kiedy z niej wyszedł, splótł ramiona na piersi i przygarbił się. Stał na środku pokoju myśląc o czymś.

– Nic jeszcze nie wspomniałaś o podejrzanych.

– Powiedziałaś, że nie chcesz o nich słuchać.

– No tak... – odparł niemal się uśmiechając. – Czy w świetle ogólnych wskazówek, które podałem ci przez telefon, istnieją jacyś kandydaci?

– Jeden.

Podniósł głowę, natychmiast zainteresowany.

– Pasuje do schematu, który omawialiśmy?

– O ile jestem w stanie prawidłowo ocenić, mniej więcej w połowie cech. Jeszcze nie wiemy zbyt wiele na jego temat.

Grant uniósł lekko brodę.

– Kilka szczegółów można dodać – powiedział patrząc na łóżko, jakby Mello ciągle jeszcze tam leżała. – Z początku sądziłem, że masakruje im twarze, ponieważ znał każdą z nich, i to intymnie. To taka stara prawda, w którą się wierzy w wydziałach zabójstw. Wręcz uważałem, że z jedną był spokrewniony, a druga była w tajemnicy jego kochanką. – Pokręcił głową. – Myliłem się jednak. Nic takiego sienie potwierdziło i z pewnością nie potwierdzi. Możliwe, że zna

kobiety, które zabija, ale nie ma to nic wspólnego z masakrowaniem ich twarzy. Jest to wynik jego fantazji – odbywa intymny kontakt z kobietą, którą ofiara się staje. Niszczy po kawałku postać, jaką widzi w swojej ofierze. To, co robi, nie ma nic wspólnego z tym, czym one są naprawdę. – Wzruszył ramionami. – Patrząc wstecz, może się to wydawać oczywiste, ale z jakiegoś powodu nie potraktowałem tego od początku jako istotne. Może zbyt się starałem znaleźć odpowiedź i pomieszały mi się schematy zachowania zabójców motywowanych seksualnie z pozostałymi. – Przeciągnął dłonią po twarzy i kciukiem oraz palcem wskazującym dotknął końców wąsów po obu stronach ust. – Jest tu jednak jeszcze coś, czego nie mogę uchwycić. Facet zabija kogoś, kogo kocha, i twarz tej osoby widzi, kiedy maluje ofiarę.

– Kogoś, kogo kocha? Nie kogoś, kogo nie lubi, względem kogo nagromadził złość, wobec kogo czuje nienawiść?

– Miłość, nienawiść, pożądanie, odraza... dla części spośród takich jak on to jedno i to samo. Tory, po których poruszają się ich emocje, przypominają układ elektryczny w którym nastąpiło spięcie. Rzadko wiedzą, co ich napędza, więc pozostawiają na miejscach zbrodni sprzeczne komunikaty. Ich emocje są tak pochrzaniowane, że nie wiedzą, co robią.

– A co z resztą? Olejkiem do kąpieli, perfumami?

– Nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że używa tych samych kosmetyków, tego samego odcienia szminki, tego samego zapachu, olejku do kąpieli, różu i tak dalej co ONA. Boże, możliwe

nawet, że używa jej kosmetyków!

– Kogo?

– Jeżeli jest kawalerem i mieszka z rodzicami, swojej matki. Żony. Kochanki. Ona wychodzi, on pożycza sobie jej kosmetyki i idzie na łowy późnymi wieczorami, kiedy ona ma spotkanie jakiejś organizacji obywatelskiej, może kurs tańca. Coś, co powoduje, że w czwartek wieczór nie ma jej w domu.

– Musiałoby jej nie być trzy albo cztery godziny.

– Nie widzę w tym nic niezwykłego. Istnieje wiele zajęć, które zajmują z dojazdem mniej więcej tyle czasu.

Palma pomyślała o Reynoldsie. Twierdził, że mieszka sam. Przyjęła to na wiarę, ale mógł mieć dziewczynę. Walker Bristol był żonaty i choć nie wiedzieli o nim wiele, miał na pewno dość ekstrawaganckich zachcianek, żeby zakwalifikować się do rzymskiego cyrku i całkiem możliwe, że jego głowa aż pękała od nienawiści. Kto wie, kogo Cushing odkryje wśród ludzi wymienionych w notesie Samenov? A co z mężem Claire? Z rozmowy z nią wynikało, że regularnie zdarza jej się pracować w nocy.

Nagle, niczym cios w czoło, uderzył ją pewien fakt. Rany boskie! Jak mogła nie zauważyć tego tak długo? Bujała w obłokach? Zapamiętała, aby to koniecznie sprawdzić. Skarciła się w myśli za tępotę i w tym momencie dotarł do niej głos Granta.

– Halo! Coś ci się przypomniało, wpadłaś na jakiś pomysł? Palma pokręciła głową. Niezbyt podobał jej się ton Granta.

– Próbuję tylko poskładać to i owo do kupy. – Nie obchodziło

ją, że zabrzmiało to wymijająco, ale nie zamierzała za każdym razem, kiedy wpadnie jej coś do głowy, natychmiast o tym bębnić. Z drugiej strony, czego się czepiała? W końcu nie był arogancki ani wyniosły, jedynie uprzejmy. Dlaczego nie chciała zdradzić, co myśleli?

Grant po chwili skinął głową.

– To dobrze – stwierdził. – Chodźmy.

Wracali tą samą drogą, którą przyszli. Grant gasił światła, tak że mrok sunął za nimi niczym ostrożny czarny pies, a olbrzymi dom ciemniał kawałek za kawałkiem, aż wrócił do pierwotnego stanu. Wkrótce znów byli na Memoriał Drive. Deszcz przemienił się w skłębiony opar. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał za dziesięć dziesiątą; Grant rozluźnił krawat, opadł na oparcie i zamilkł. Palma zastanawiała się, o czym jej towarzysz myśli, miała jednak tak niewielką chęć pytać, jak on odpowiadać. Przyspieszyła, minęli lesiste posiadłości Duchesne Academy i St. Mary Seminary. Kierowali się ku West Loop.

Grant wyglądał przez okno, a Palmie krążyły po głowie różne myśli. Nie rozumiała samej siebie, zwłaszcza dlaczego jest wobec niego tak przekorna. Wmawianie sobie, jaka jest sprytna, było głupotą. Nawet jeżeli miała do tego prawo na płaszczyźnie osobistej, nie było w najmniejszym stopniu uzasadnione z punktu widzenia zawodowego. Sama sobie rzucała kłodę pod nogi, i to akurat w zakresie, w którym naprawdę go potrzebowała. Znała mężczyzn i wiedziała, że jeżeli nie zacznie pytać i nie spowoduje, że dzielenie się z nią

pomysłami zacznie mu sprawiać przyjemność, raz-dwa może się okazać wyłączona z kręgu osób, którym udzielać będzie informacji. Grant w naturalny sposób wykorzysta „wymogi procedury” i zamiast jej, najważniejsze przemyślenia będzie przekazywał Frischowi. Już widywała podobne sytuacje. Jeżeli pozwoli, by sprawa wymknęła się jej z rąk, będzie mogła mieć pretensje wyłącznie do siebie.

– Prawie dziesiąta – stwierdziła. – Masz ochotę coś zjeść? Chyba od lunchu nic nie jadłeś. – Usiłowała mówić tonem obojętnym, żeby nie zauważył jej niepokoju ani babskiej przebiegłości.

– Jasne, dobrze byłoby coś zjeść.

– Po drodze do centrum jest dobry bar. Mają świetne jedzenie, a za kawę gwarantuję.

Popatrzył na nią uważnie.

– Co?

Dziwny żart. Czyżby już się wpakowała? Spróbowała uratować sytuację, tchnąć w następną kwestię nieco więcej życia, tylko jednak tyle, aby się nie zapędzić.

– Że nie zaśniesz od amerykańskiej szarlotki „Jak u mamy”, jeżeli nie przeszkadza ci, że „mama” jest byłą nauczycielką, a kucharzem nie Amerykanin, lecz Polak.

Grant uśmiechnął się.

– No dobrze. Zobaczmy, co określicie w Houston mianem kawy.

O tej późnej porze w Meaux’s Grille siedzieli całkiem inni goście niż za dnia. W środku było kilku cichych, stałych bywalców

całodobowych barów, restauracyjek przy parkingach dla TIR-ów i tym podobnych lokali. Ci przychodzący na papierosa i kawę osobnicy wyglądają, jakby nosili w sercach zadawniony żal, a ich nieruchomy, czekający na świt wzrok zdradzał, jak bardzo boją się snu i pojawiających się w nim upiorów. Ci nieliczni, dziwni ludzie stonią od towarzystwa i pożądamy samotności, gdyż najlepiej się w niej czują.

Palma i Grant usiedli we wnęce przy frontowym oknie. Nocną zmianę obsługiwała ekipa z Salwadoru: kucharz, który wyglądał jak bandzior, występujący we wszystkich meksykańskich filmach, jakie Palma widziała w dzieciństwie, pomocnik tak piękny, że dawno powinien był zostać gwiazdorem, i kelnerka imieniem Lupę o przepięknych, prościutkich białych zębach, która pewnego późnego wieczora, kiedy w lokalu było kompletnie pusto, wyznała Palmie ze łzami w oczach, że z całego jej oddziału partyzantów działającego w górach wokół Chalatenango była najlepsza, absolutnie najlepsza w postępowaniu się garotą.

Oboje – prawie nic nie mówiąc – zjedli porcję „specjalności lokalu”, potem Lupę przyniosła im kawę i szarlotkę dla Granta, który pochłonął połowę, opadł plecami na oparcie, wziął łyk kawy i głęboko westchnął.

– Dokładnie o to chodziło... – stwierdził i wytarł serwetką wąsy.
– Znakomite. – Rozejrzał się wokół, popatrzył chwilę na stojącą za barem Lupę, potem po kolei obejrzał sobie siedzących w lokalu gości. – Twój stały lokal?

– Tak jakby. Mieszkam niedaleko stąd – odparła z uśmiechem.
– To dobre miejsce na śniadanie, też wieczorem, kiedy w domu jest za mało, a wszędzie indziej za dużo ludzi.

– Nie masz męża?

– Jestem rozwiedziona. Od pół roku.

– To w dalszym ciągu drażliwy temat?

– Właściwie nie – skłamała. – Skończyło się, zanim się skończyło. Wiedziałam, że trzeba zrobić cięcie o wiele wcześniej, niż się zdecydowałam.

Grant kiwnął głową. Napił się kawy i wyjrzał chwilę przez okno.

– Ja byłem żonaty dwadzieścia trzy lata. Zmarła niedawno po krótkiej chorobie. Może miałaś szczęście, że nie zainwestowałaś aż tyle w wasz związek. Tyle lat i nic...

Palnę zaskoczyło to oświadczenie.

– Dwie córki nazywasz niczym?

Oczy Granta zmatowiały, ale patrzył obojętnie.

– Przeprowadziłaś mały wywiad, co?

– Nie wywiad. Słyszałam, o czym mówią.

– No tak... – powiedział z rozczarowaniem w głosie.

Palma żałowała, że nie umie utrzymać języka za zębami. Właśnie złamała daną sobie obietnicę, aby nieco odpuścić w stosunku do Granta.

– Posłuchaj, to nie tak... Nie chciałam... to po prostu... źle zabrzmiało. Grant zrobił głową ruch mogący oznaczać: „Dajmy sobie

spokój”.

– Moja wina. Powinienem być być mądrzejszy. – Wypił łyk kawy i wskazał głową na dwie siedzące po przeciwnej stronie sali studentki. – Kiedy weszliśmy, przypomniały mi się córki. Są w Columbii. Na wydziale dziennikarstwa. Zamierzają dać światu popalić.

Palmę zasmuciło jego stwierdzenie, nie wiedziała, co powiedzieć.

– Wracając do ciebie, jesteś od czterech lat w wydziale zabójstw. Jak ci się tam podoba?

– Podobno to ja przeprowadziłam wywiad.

– Byłaś obiektem szczegółowego badania, jakie FBI przeprowadza z kandydatami do pracy. Zadzwoiłem do przyjaciela, powiedziałem, że mam pracować z niejaką Palmą, i spytałem, co o niej wie. – Uśmiechały się tylko jego oczy. Teraz on musiał zakamufłować napięcie.

– Podoba mi się. Mój ojciec był detektywem w tym wydziale. Zawsze marzyłam o tym, żeby pracować razem z nim, ale nic z tego nie wyszło.

– Taak, masz dobrą reputację.

Rany... Reputacja była w jej zawodzie ważną sprawą. Jeżeli szczęśliwie miało się dobrą, wieść o tym roznosiła się daleko. Dobra opinia otwierała człowiekowi drzwi, umożliwiała to i owo. Jeżeli miał to być komplement, to miał więcej klasy niż komentarze na temat ładnych oczu.

Chepe podkręcił w kuchni radio i salę wypełniły piskliwe, szarpane tony *conjunto*. Śliczny pomocnik wykonał kilka miękkich, łagodnych obrotów i kiedy Lupe szła do kuchni, położył jej łapę na pośladkach. Dziewczyna udała, że nie zauważyła chamskiego gestu, nawet nie drgnęła. Chłopak miał szczęście, że pracował na nocnej zmianie – Laurę z pewnością zauważyłaby, co zrobił, i wyrzuciła go z pracy.

– Dostanie się do wydziału zabójstw zajęło mi trochę czasu – powiedziała Palma. – Dwa lata w mundurze, dwa w obyczaj owce, dwa w przestępstwach seksualnych. Ale teraz mam wrażenie, że znalazłam się na właściwym miejscu.

– Tata wiedział, jakie masz plany zawodowe?

– Oczywiście. W opinii matki to była wręcz jego „wina”. Uwielbiałam, kiedy opowiadał, jak coś odkrył, wpadł na pomysł, że coś jest tak a nie inaczej, albo w jaki sposób wyjaśnił sytuację. Mawiał: „Dobry detektyw czasami musi wchodzić tylnymi drzwiami. Trzeba umieć sobie wyobrazić, co się nie wydarzyło”. Nauczył mnie, że „Dobry kłamca jest w stanie sprawić, że zignorujesz dowody”. O świadkach uważał, że „są jedną z największych wad systemu sprawiedliwości”. – Roześmiała się. – Mówił wiele różnych rzeczy.

– Zakładam, że twój mąż nie był gliną.

Nie wiedziała, jak potraktować to „zakładam”.

– Nie był. Ale nie dlatego się rozeszliśmy. Poszło o sprawy poważniejszej natury.

Grant pokiwał głową i choć patrzył na Palmę, myślami był

gdzie indziej. Jeżeli coś nie przykuwało dostatecznie jego uwagi, z łatwością przychodziło mu skierować myśli gdzie indziej. Jasne, jej byłe małżeństwo nie stanowiło fascynującego tematu. Jednak kiedy przestał się interesować jej odpowiedzią, nim skończyła mówić, poczuła się jak pod zimnym prysznicem. Współpraca z Grantem nie zapowiadała się gładko. W najmniejszym stopniu.

Rozdział trzydziesty szósty

Dochodziło dziesięć po jedenastej. Palma wysadziła Granta przy Hyatt Regency i podjechała do pobliskiej budki telefonicznej. Zadzwoniła do wydziału patologii sądowej hrabstwa Harris i poprosiła do aparatu Dee Quinn.

– Dee? Hm, chyba wyszła... – Mężczyzna przy aparacie odwrócił się do kogoś i zamienił z nim kilka słów. – Co? Aha, proszę chwilę poczekać.

Quinn przejęła słuchawkę.

– Dee, Carmen Palma przy aparacie.

– Cześć, Carmen. Złapałaś mnie w ostatniej chwili. Właśnie szłam na sekcję.

– Masz minutę?

– Mów.

– Mam małżeństwo lekarzy. Różnych specjalności. Nie znam nazwisk, nie wiem, czy ona w pracy używa nazwiska panińskiego czy po mężu. Czy istnieje jakiś spis, który można by przeszukać i ustalić na przykład powtarzający się adres?

– To niełatwe. – Dee była wysoką, szczupłą dwudziestoparolatką, niezwykle naturalną i wiecznie zaintrygowaną nowościami swojego zawodu. Palma jeszcze nigdy nie widziała u niej innej fryzury niż koński ogon. – W mieście jest kilka tysięcy lekarzy i sędzę, że jest wśród nich sporo małżeństw.

– Czy istnieje ich spis?

– Mamy księgę Towarzystwa Lekarskiego hrabstwa Harris, ale nie wszyscy lekarze do niego należą.

– Co zawiera ta księga?

– Nazwisko, adres, numer telefonu, imię małżonka. Nie znasz nazwisk?

– Nie. Wiem tylko, że on jest okulistą, a ona ginekologiem. Napomknęła o tym, kiedy rozmawialiśmy.

– Przez telefon?

– Co?

– Wiesz jak wygląda?

– Tak, widziałam ją.

– Masz szczęście. W księdze są zdjęcia.

– Fantastycznie! Masz u siebie egzemplarz?

– Jasne.

– Mogę wpaść i przejrzeć?

– Oczywiście, ale nie będzie mnie. Zostawię książkę u Dolores.

– Dzięki, Dee. Bardzo ci dziękuję.

Tylne wejście do wydziału medycyny sądowej jest na noc zamknięte i kiedy Palma zapukała, w okienku pojawiła się puciołowata twarz Dolores, która uśmiechnęła się, rozpoznawszy gościa, otworzyła drzwi i wpuściła Palmę do jaskrawo oświetlonego holu kostnicy. Poza Dolores nie było tu nikogo; dała Palmie książkę, zaproponowała kawę, a kiedy ta odmówiła, wróciła do czytania *People*. Palma otworzyła księgę na pierwszej stronie.

Przerzucała kartki, oglądała kolejne setki zdjęć i zanim doszła

do połowy, gwałtownie się zatrzymała. Z niewielkiej, czarno-białej fotografii patrzyły na nią oczy Claire. Nazywała się doktor Alison Shore i była profesorem ginekologii w Baylor College of Medicine. Choć przy słabej jakości zdjęcia trudno było dokładnie ocenić kolor jej włosów, doktor Shore nie była brunetką. Z jasnymi włosami wydawała się Palmie nie tylko ładniejsza, ale wręcz młodsza. Była naprawdę ładną kobietą.

Na sąsiedniej stronie znajdowało się zdjęcie doktora Morgana Shore'a, okulisty.

Kiedy Palma wjeżdżała na podwórze domu Lindy Mancera, zegarek na desce rozdzielczej wskazywał za dziesięć dwunastą. Zadzwoiła do niej z przeprosinami, że nie mogła przyjechać, jak się umawiały, na co Mancera zaczęła nalegać, żeby jeszcze wpadła. Stwierdziła, że spotkanie późno się zaczęło i przyjęcie skończy się na pewno grubo po drugiej.

Owalne podwórze przed domem Lindy było pełne samochodów i Palma musiała zaparkować przed bramą, obok kilku aut na podjeździe. Odświeżyła sobie twarz i dłonie nawilżaną jednorazową chusteczką, przyczesła się i użyła nieco perfumowanego lotion. Więcej nie mogła w tej chwili zrobić. Miała za sobą naprawdę paskudny dzień.

Wysiadła z samochodu i otworzyła parasolkę. Choć przestało padać, nadpływała mgła tak gęsta, że z liści rosnących wzdłuż ulicy drzew skapywały krople wody i Palma widziała, jak światła budynku przed nią zaciągają się półprzezroczystą zasłoną. Przeszła przez

otwartą bramę, przecisnęła się między samochodami. Światła były zapalone we wszystkich oknach mieszkania Lindy i znalazłszy nieco bliżej, Palma usłyszała kobiece śmiechy. Samą ją to zdziwiło, ale tuż zanim nacisnęła dzwonek, poczuła w brzuchu drzenie lekkiego niepokoju. Zaczęła się przysłuchiwać, ale w głosach wewnątrz nie nastąpiła najmniejsza zmiana, nagle jednak drzwi się otworzyły i stanęła w nich Linda Mancera – w kwiecistej ażurowej sukience, uśmiechnięta tak promiennie, że Palma natychmiast zapomniała o zdenerwowaniu.

– Świetnie, że przyszłaś! – zawołała robiąc krok do tyłu. – Już się obawiałam, że coś ci w ostatniej chwili wypadnie.

Wzięła od Palmy parasolkę, odstawiła ją w kąt do innych i zaprowadziła gościa do salonu, gdzie w większych i mniejszych grupkach stało i siedziało ze trzydzieści kobiet, popijających drinki i zajadających przekąski. Grała łagodna muzyka – Palma zaryzykowała w myśli, że to Antonio Carlos Jobim – głównym celem wieczoru były bowiem rozmowy. Atmosfera znacznie różniła się od normalnego koktajlu, podczas którego ludzie stawali obok siebie, żeby krzyknąć, a nie dlatego, żeby być blisko. Tutaj bliskość nie była spowodowana hałasem.

Szybki rzut okiem wykazał, że obecne są kobiety od dwudziestu do pięćdziesięciu lat. Podobnie jak wiek, różne były stroje – od czarnej wieczorowej sukni po bawełniane szorty i młodzieżowe podkoszulki. Było sporo par – jedne trzymały się pod ręce, jedna partnerka ujmowała dłoń drugiej, w jeszcze innych jedna kobieta obejmowała

drugą czule w talii. Gesty były tak dyskretne, że nie zwróciłyby większej uwagi na przyjęciu „heteroseksualnym”, tutaj jednak znajdowały się same kobiety i wszechobecne, choć drobne oznaki czułości wywoływały inne wrażenie. Nie było jednak ani prostackiego obmacywania się, ani „głębokich” pocałunków, co Palma widywała na spotkaniach homoseksualistów mężczyzn. Gdyby została tu zaproszona z informacją, że znajdzie się na spotkaniu kobiecej grupy miłośniczek ogrodnictwa, nie dostrzegłaby niczego, co wywołałoby w niej podejrzenie, że trafiła pod zły adres.

– Oto nasza jaskinia rozpusty – cicho powiedziała Mancera, kiedy ruszyły przez salon. – Niektóre wpadły po spędzeniu dnia z mężem i dziećmi, inne postarały się mieć dziś wolny wieczór, jeszcze inne pojedą stąd dalej. Niektóre przyjechały parami... wybierając ten wieczór na wspólne wyjście.

Obecne kobiety można by umieścić na szczycie dziesięciopunktowej męskiej skali oceny atrakcyjności kobiet i fakt ten mówił Palmie o zebranych towarzystwie nie mniej niż ceny stojących na zewnątrz samochodów. Czyżby Mancera nie miała ani jednej niepozornej czy uboższej koleżanki? Kiedy skończyły powolny marsz przez morze perfum i strzępków rozmów o kinach, restauracjach, dzieciach oraz szefach i weszły do kuchni, gdzie Bessa robiła drinki, Palma poczuła się wyjątkowo zaniedbana.

Bessa zapytała, czego Palma się napije, i uzyskawszy odpowiedź, zaczęła jej robić drinka. Tak jak Mancera, była w letniej sukience, utrzymanej jednak w barwach czerwieni i oranżu, co podkre-

ślało jej kakaową cerę w sposób, na który istniało tylko jedno słowo: erotyczny. Kiedy robiła drinka, uśmiechnęła się, kiedy podawała szklaneczkę, pieszczotliwie musnęła palcami dłoń Palmy, choć może tylko jej się tak wydało, nikt bowiem nie zwrócił na to uwagi. Palma poczuła, że załomotało jej serce, i odwróciła się bez słowa od smagłej Jamajki.

– Jak widzisz – powiedziała Mancera, kiedy znów podeszła – to dość niewinna grupa. Wszystkie są normalnymi, zintegrowanymi społecznie kobietami i chcą, by tak zostało. Są może nieco mieszczańskie, zdaniem Heleny Saulnier, ponad połowa ma mężów albo stałych kochanków. Nie są ich całym życiem, ale dość ważnym elementem.

– Tyle tylko że ci mężczyźni nic nie wiedzą o tym, co się tutaj dzieje. Mancera pokręciła głową.

– Widzisz tę kobietę z czerwonym paskiem, która rozmawia z brunetką? Jej narzeczony wie, że sypia z kobietami. Postanowiła mu się ujawnić, kiedy mieli zamieszkać razem. Uznała, że gdyby miałyby się okazać, że nie umie zaakceptować jej potrzeb, chce o tym wiedzieć z góry. Nie znam żadnej innej, która by tak postąpiła i choć on sobie z tym radzi, osobiście nie sądzę, by to długo potrwało. Dla niego może się okazać zbyt trudne. Ta dziewczyna to jednoosobowa mniejszość, na dodatek jej facet nie ma pojęcia o istnieniu grupy... – Mancera rozejrzała się uważnie po pokoju. Odwróciła się plecami do centrum salonu i popatrzyła na Palmę. – Widzisz te dwie pary stojące za mną, przy oknie?

Palma skinęła głową.

– Para zwrócona plecami do nas dostała odmowę od piątej agencji, zajmującej się pośrednictwem przy adopcji. Są od ośmiu lat razem, ale nie mogą przekonać nikogo, że to stały związek i nawet bez mężczyzny jako wzorca są w stanie zapewnić dziecku psychologicznie zrównoważony dom. Możesz chyba wyobrazić sobie argumenty obu stron. Przedstawiają raz za razem pełen ich zestaw. Kobieta z twojej prawej została ostatnio sztucznie zapłodniona. Dawcą jest brat jej partnerki. Dopiero czwarty lekarz zgodził się przeprowadzić zapłodnienie. Pojawiły się te same argumenty – że dziecko wychowywane przez lesbijki może wytworzyć nieodpowiednie postawy wobec mężczyzn, a brak wzorcowego schematu kobieto-mężczyzna spowoduje zaburzenia w kształtowaniu się prawidłowej samooceny. – Pokręciła głową. – Nie wiem. Czytałam wyniki różnych badań, każda strona przedstawia różne statystyki.

– A co z kobietami, które mają dwie rodziny? Co się mówi na ten temat? Mancera uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Mają podwójną ilość problemów. Gdybyś porozmawiała tutaj, użyto by podobnych argumentów i przytoczono analogiczne przykłady jak wśród heteroseksualistów, ale musisz pamiętać, kim są te kobiety. Pójdiesz na kolację z przyjaciółkami Saulnier, dyskusja na ten temat przebiegnie w całkiem inny sposób.

– Która z nich to Terry? Mancera popatrzyła nieswojo.

– Nie ma jej. Już wyszła. Ale jest gotowa rozmawiać. Tutaj, jutro. Chce się spotkać z tobą u mnie z kilku powodów. Mieszka teraz

z mężczyzną, myśli nawet o małżeństwie i boi się jak diabli Gila Reynoldsa. Nie chce ściągnąć uwagi na swoje mieszkanie, obawia się bowiem, że Reynolds może je obserwować i zechce potem porozmawiać z jej narzeczonym.

Palma popatrzyła na Lindę, ciekawa, czy Terry rzeczywiście była i wyszła, czy Mancera jedynie tak powiedziała, żeby ściągnąć ją na przyjęcie.

– Podejrzewam, że wiesz o Louise. I o Bernadine Mello. Mancera kiwnęła głową.

– Już to przerabialiśmy. Ich śmierć była niemal przez godzinę jedynym tematem. Każda z nas wyraziła swój pogląd.

– Wyraziła pogląd?

– Wszystkie jesteście przerażone, ale uważam... może zabrzmi to bezduszenie... panuje ogólne wrażenie, że nas to nie dotyczy.

– Słucham?

– Uważamy, że ofiary należą do „bandy” Vickie Kittrie. To, co się dzieje, to rozgrywka sado-maso. Choć wszystkie uważamy, że sprawa jest okropna i smutna, żadna z nas nie czuje się zagrożona. Być może ofiary są biseksualne, ale ważniejszy jest kontakt z „bandą bólu”. Ty uważasz, że kluczem do sprawy jest biseksualizm, ale tak nie jest. Chodzi o ból i ludzi, którzy muszą go odczuwać przy seksie.

– I uważacie, że to te osoby są ofiarami?

– Tak. Zresztą one zawsze są ofiarami. Znasz życiorys Kittrie?

Palma pokręciła głową.

– Coś okropnego. Wychowywała się w zabitym deskami zakąt-

ku Luizjany. Już jej przyjście na świat było przeżarte trucizną, dzieciństwo nie mniej. Jej ojcem jest jej brat. Mąż matki, ojciec brata-ojca, wykorzystywał Vickie seksualnie od trzeciego roku życia. Matka kryła go. Kiedy Vickie miała jedenaście lat, jej brat, czyli jej ojciec, zaczął z nią współżyć i obaj mężczyźni dzielili się nią, aż skończyła piętnaście lat. Wtedy została zbiorowo zgwałcona przez rodzinny gang – wujów, kuzynów – którzy obrabiali ją przez dwa dni w taki sposób, że gdybyś usłyszała szczegóły, przestałabyś wierzyć w istnienie Boga. Vickie wtedy przestała w niego wierzyć. Uciekła z domu, jeżeli można tak nazwać tamto miejsce, i przyjechała do Houston. Przy jej urodzie i przeszłości, nietrudno sobie wyobrazić, jaki tryb życia zaczęła tu prowadzić. Dorothy spotkała ją w barze dla lesbijek, kiedy Vickie miała dziewiętnaście lat. – Mancera westchnęła. – Zaopiekowała się nią najlepiej jak umiała, sądzę jednak, że sama miała zbyt spaprane życie, by móc zostać czyjąś opiekunką. Vickie jest osobą przekraczającą wszelkie granice – nieważne jak zdefiniowane. Jej życie nigdy nie przebiegało prawidłowo i nie wyobrażam sobie, aby kiedykolwiek mogło wejść na normalne tory.

– A co z Heleną Saulnier? Robiła wrażenie, jakby też chciała otoczyć Vickie opieką.

– Żał mi jej. Zakochała się w Vickie, ale nie chce się do tego przyznać, nawet przed sobą. Masz rację, uważa się za opiekunkę Vickie i wykazuje wobec niej bezbrzeżną cierpliwość, znacznie większą niż Dorothy. Upodobania lesbijskie Heleny mają charakter

polityczny, jest w większym stopniu „walcząca” niż Vickie, co dodaje jej namiętności moralnej i sensu, którego kompletnie brak w chorobliwym hedonizmie Vickie. Helena chciałaby być adwokatem Vickie, kimś przemawiającym w jej imieniu, kiedy Vickie nie jest w stanie tego robić sama, a także zapewniać ją, że bez względu na to co przeszła, jest dla niej ważna i żaden grzech Vickie nie jest w stanie tego zmienić. Swego rodzaju staroświecką szlachetnością Helena chce zapęłnić próżnię w sercu Vickie. To klasyczny przykład walki z wiatrakami.

– A co z Bernadine Mello?

– Nie znałyśmy jej. Widziałyśmy, oczywiście, zdjęcie w gazecie, ale nikt z nas jej nie rozpoznał. Nie znamy wszystkich kobiet, z którymi ma do czynienia Vickie, nie znamy jej mężczyzn. Poza tym nazwiska są zakodowane. Jeżeli była w grupie nowa, z pewnością jeszcze używała pseudonimu.

– A jeżeli nie miała nic wspólnego z Vickie? Twarz Lindy była bez wyrazu.

– Chcesz powiedzieć, że tak było?

– Chcę powiedzieć, że tak uważamy – stwierdziła Palma nie do końca szczerze. Mancera przyjrzała się Palmie, zajrzała jej w oczy, jakby umiała czytać przyszłość ze źrenic albo rysów twarzy.

– Bo ja wiem... – odparła po chwili. – Nie mam zdania. – Nagle się uśmiechnęła i wzięła Palmę pod rękę. – Przyglądają nam się ukradkiem. Powinam cię przedstawić przynajmniej kilku osobom. Przesadziłyśmy z przebywaniem tylko we dwie. – Z tymi słowami,

zgrabnie przeciskając się przez tłum, zaczęła kierować Palmę w kierunku salonu.

Przyciśnięta do Lindy, czując przez cienki materiał dotyk jej sprężystych piersi, Palma poznała elitę „grupy” Dorothy Samenov. Podobne kobiety mogłaby spotkać w wielu innych miejscach, ale w końcu – pomijając strefę seksu – nie różniły się niczym od milionów innych kobiet. Palma naprawdę miała ochotę poznać jak najwięcej z nich i choć przedstawiano je samym imieniem, bez trudu mogła na podstawie strzępów prowadzonych rozmów dojść do wniosku, że seksualizm nie jest najważniejszym tematem. Ich zmartwienia dotyczyły tego samego co wszystkich kobiet ich warstwy społecznej i Palma odniosła wrażenie, że dla wielu z nich znacznie ważniejszą cechą, wyróżniającą je spośród innych kobiet, jest nie seksualność, ale pozycja społeczna. Były pod niemal każdym względem jądrem klasy średniej. Palma pamiętała słowa Lindy, że zainteresowanie kobietami nie określa jej jako osoby i jest to jedynie część jej ja – jak rasa, wyznawana religia albo wykonywany zawód.

Podczas gdy Mancera oprowadzała japo salonie, przedstawiała, pozwalała jej sprawdzić na własne oczy, w jakim typie są zebrane kobiety, Palma nie mogła pozbyć się wrażenia, że w ich spojrzeniach kryje się coś więcej niż zwykła ciekawość. Wiedziała, że kobiety umieją być surowymi sędziami wobec innych kobiet, umieją nawet z daleka rzucać im szacujące spojrzenia, lustrują je od stóp do głów, mierzą je na bardzo precyzyjnej, sobie tylko znanej skali. Zdawała sobie sprawę, że kobiety są mistrzyniami sztuki uwodzenia tak do-

kładnie, jak zdawała sobie sprawę z dotyku piersi Mancery, z tego, że – w niezauważalny dla nikogo innego sposób – od czasu do czasu wygina ona plecy, aby mocniej przycisnąć biust do jej ramienia, z delikatnego masującego ruchu trzymających jej dłoń palców oraz z charakterystycznego sposobu, w jaki Mancera, kiedy nachylała się, aby porozmawiać z kimś siedzącym albo odwracała się, aby wzrokiem poszukać kogoś innego w tłumie, przyciągała dłoń Palmy do wnętrza swego uda tak, żeby je nią musnąć. Te miłośniczki kobiet może i należały do klasy średniej, ale klasa średnia też ma namiętności mogące wypchnąć swoich przedstawicieli poza nawias wygodnego samozadowolenia. Nawet członkowie klasy średniej – może wręcz szczególnie oni – miewają takie tajemnice, że woleliby umrzeć, niż je ujawnić.

Jakiś czas potem Palma szła chodnikiem od drzwi domu Mancery niepomna mokrego żywopłotu, który nasączał skraj jej sukienki i chłostał nogi. Zapomniała o rozłożeniu parasolki, więc nic jej nie chroniło przed gęstą mgłą, sunącą po mieście niczym gorący, wilgotny oddech, zraszający włosy i tworzący aureole wokół ulicznych latarni. Jej serce łomotało, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Pełen kobiet pokój podążył za nią przez podwórze jak cień i objął ciasno niczym mgła. Otworzyła drzwi samochodu, szybko wsiadła i zatrzasnęła je za sobą. Ciągle jeszcze słyszała ciche głosy i delikatne muśnięcia rąk. Uruchomiła wóz, włączyła klimatyzację, ustawiła ją na maksimum i przysunęła twarz do jednego z wylotów powietrza. Rozpięła górne cztery guziki sukienki i skierowała na

dekolt drugą dyszę wylotu powietrza. Boże drogi...

Kiedy powietrze zaczęło chłodzić jej spoconą skórę, spróbowała przestać myśleć o wrażeniu, jakie wywołał dotyk wnętrza uda Lindy. Musiała przyznać, że nie był jej obojętny. Została zaskoczona, dała się złapać. Została bez ceregieli wzięta pod rękę i ruszyły przed siebie uśmiechnięte, zaciekawione kolejnymi spotkaniami, udające... udając... Nic by się nie stało, gdyby Mancera prowadziła ją od grupy do grupy trzymając cały czas jej dłoń w swoich, ona jednak to ją puściła, by dotknąć pleców Palmy, to wzięła jej dłoń i położyła ją sobie na talii, to znów ujęła jej dłoń w swoją. Za każdym razem doprowadzała do kontaktu dłoni Palmy z inną częścią swojego ciepłego ciała – delikatnym skrajem piersi, twardym mięśniem po wewnętrznej stronie uda – i każdy kolejny kontakt uzupełniał wrażenie, jakie musi ono być całe. Dokładniej mówiąc – zwiększał ciekawość, pożądanie wiedzy... a może... po prostu... pożądanie.

Od początku wiedziała, co Mancera robi. Nie po raz pierwszy w życiu kokietowała ją kobieta, choć należało przyznać, że Linda robiła to bardzo umiejętnie. Palmie nie podobały się towarzyszące współczesnym randkom rytuały godowe, wręcz miała do nich awersję. Po części wynikało to z jej licznych doświadczeń z natrętą nieszczerością ludzi samotnych, po części z charakteru, a po części – niestety musiała to przyznać – przyszło z wiekiem. Magik z umiejętnością wypowiedziania wielu gładkich słówek mógł zauroczyć dwudziestodwulatkę, ale na kobiecie trzydziestotrzyletniej wywierał mizerne wrażenie. Bez względu jednak na powody, Palma

niezbyt tolerowała preseksualne rytuały wielu współczesnych sobie mieszkańców wielkiego miasta, dla których seks był rozrywką traktowaną tak lekko jak pójście do kina albo na mecz. Ta ostrożność nie uchroniła jej co prawda przed Brianem ani nie uodporniła na pojawianie się zaskakujących emocji, jak na przykład kilka minut temu z Lindą. Bez względu na to jak była ostrożna, pozostawała przecież tworem chemicznym a – kolejny dowód dopiero co otrzymała – chemia ciała nie zawsze idzie w parze z wolą. To, że zareagowała na zawikłaną seksualność Lindy, było dla Palmy dość poruszające.

Wyjęła z torebki nawilżaną chusteczkę jednorazową i przetarła nią spoczone czoło oraz szczyty piersi. Zimne powietrze z klimatyzacji powodowało, że dotyk mokrej chusteczki stał się lodowaty. Wsadziła zużyty papierek do śmietniczki, wrzuciła bieg i oddaliła się od świętujących w *Cour Jardin* kobiet.

Rozdział trzydziesty siódmy

Sobota, 3 czerwca

Choć był weekend, Palmę o wpół do ósmej rano obudził telefon z biura Frischa. Na dziewiątą ustalono spotkanie grupy specjalnej. Wstała z łóżka i nie patrząc w lustro, poszła prosto do łazienki. Odkręciła wodę i położyła się na plecach na kafelkowanej ławeczce przy ścianie. Był to pomysł Briana, bez dwóch zdań lepiej było leżeć na ławeczce, niż siedzieć na podłodze prysznicza, co jej się zdarzało, gdy wracała do domu nad ranem i była zbyt wycieńczona, by utrzymać się na nogach.

Położyła się na chłodnych kafelkach, zsunęła włosy do tyłu i przyglądała się wodzie, spływającej z brzucha na boki i między nogi. Choć spała niemal pięć godzin, czuła zmęczenie. Dokładniej mówiąc – spędziła pięć godzin w łóżku, gdyż spała znacznie krócej. Przewracała się z boku na bok i nie mogła przestać myśleć o Grancie, o tym, czy będą w stanie razem pracować, dumiała o gestach Lindy i swoich wobec niej emocjach, myślała o bogatym w doświadczenia, choć krótkim życiu Vickie Kittrier i o tym, jaki wywierała wpływ na otaczające ją kobiety. Myślała o Helenie Saulnier i jej współczuciu, jej dobroci uszlachetniającej tych, którzy wiedzą, czemu służy. Kochanie niekochanych wymaga odwagi i prawości, w dzisiejszym świecie coraz rzadszych, tak niecodzienny jak obrazy świętych i aniołów. Kiedy Palma osiągała stan półświadomości, aktorzy teatru wyobraźni mieszały się w różnych kon-

stelacjach, budziła się, leżała myśląc o którymś z nich, o wszystkich razem albo o sobie, w końcu znów zasypiała.

Kiedy uświadomiła sobie, która godzina, usiadła na ławeczce i umyła włosy. Na koniec zlała się lodowatą wodą. Miała nadzieję, że nie ma zapuchniętych oczu, kiedy jednak wyszła z kabiny i spojrzała w lustro, spełniły się jej najgorsze oczekiwania. Boże drogi... Wyglądała o dziesięć lat starzej. Przynajmniej dziesięć. No cóż, nic na to nie poradzi. Niech to diabli wezmą.

Szybko wysuszyła włosy (oczywiście, nie miała czasu, by sto razy przeciągnąć szczotką ani na podobne ekstrawagancje), ubrała się w jedną z lepszych sukienek, chwyciła księgę Towarzystwa Lekarskiego i wypadła z domu.

Podczas śniadania w Meaux's jeszcze raz przeczytała wpis o doktor Alison Shore. Znakomita kariera akademicka zapewniła jej katedrę w Baylor i odkąd zaczęła tam pracować, zdobyła szereg krajowych nagród oraz tytułów akademickich, otrzymała także przewodnictwo komisji nauki jednego z fakultetów. Doktor Shore nie była trzpiotką i Palma nie mogła się nadziwić, że przy takim nawale obowiązków i dwóch dorastających synach ma jeszcze czas na tego typu rozrywkę, jakiej oddawała się w kręgu przyjaciółek Samenov.

Pan doktor Shore był człowiekiem równie wybitnym jak żona. On też należał do zarządów licznych towarzystw lekarskich, jeździł regularnie na kongresy przedstawiając prace z zakresu chirurgii okulistycznej albo w celu zapoznania się z wprowadzanymi

w innych krajach nowymi pionierskimi metodami terapeutycznymi. Miał tak samo znakomitą przeszłość akademicką. Trudno było o bardziej zaangażowane zawodowo małżeństwo, bardziej się „realizujące” – oczywiście w nowoczesnym rozumieniu tego słowa.

W wydziale zabójstw nie czuło się leniwej atmosfery, panującej zazwyczaj na zmianach weekendowych. Tworzący grupę specjalną detektywi pracowali na okrągło, biorąc tylko tyle wolnego, aby od czasu do czasu przespać się kilka godzin albo coś zjeść. Frisch w piątek późnym wieczorem odbył późną konferencję z kapitanem, komendantem wydziału zabójstw i dyżurnym zastępcą szefa wydziału kontroli, w efekcie czego powierzono mu oficjalnie pieczę nad działaniem grupy specjalnej i do momentu zakończenia sprawy został zwolniony z innych obowiązków. Grupa specjalna miała działać na pełen gaz i detektywi, którzy dołączyli do niej w ciągu dwóch ostatnich dni, rozpiezchli się we wszystkich kierunkach, w jakie prowadziły ich istniejące tropy. Informacje sływały szybko i robiło się coraz ważniejsze, aby każdy na bieżąco utrzymywał kontakt z punktem koordynacyjnym Dona Leelanda.

Spotkanie w gabinecie Frischa było pierwszym, w którym uczestniczyła cała grupa specjalna: Cushing i jego nowy partner Richard Boucher, Birley i Palma, Leeland i Nancy Castle, Gordy Haws i Lew Marley, którzy przejęli prowadzenie sprawy Louise Ackley i Lalo Montalvo, Manny Childs i Joe Garro, którzy zajmowali się głównie sprawą Mello. Frisch chciał, aby każdy zespół zrekapitulował swoje ostatnie osiągnięcia, streścił, które tropy się rozmyły,

a które się rozwijały albo były jeszcze niejasne, którzy podejrzani mieli wystarczające alibi i jakie pozostawały możliwości.

Zaczęto od najstarszych tropów.

Cushing i Richard Boucher przebili się do połowy przez listę mężczyzn w notesie Samenov.

– Fryzjer, masażysta, elektryk, hodowca dalmatyńczyków i sprzedawca używanych samochodów mają alibi – zaczął Cushing.
– Wszyscy są sprawdzeni. Jedynym, który znał pozostałe dwie ofiary poza Samenov, jest sprzedawca samochodów. Sprzedał samochód Dennisowi Ackleyowi i spotkał Louise raz, kiedy przychodził do niego po pieniądze, i raz po kluczyki. Pewnego wieczora wypił kilka drinków z Ackleyami i innymi ludźmi, którzy przyszli do Dennisa. Nie pamięta nazwisk.

Cushing mówił siedząc na krześle, klepał swoją kwestię skwaszonym, monotonnym głosem. Może był niezadowolony z faktu, że to Leeland dostał stanowisko koordynatora. Wszystko, co spływało, przechodziło przez jego pulchne łapy, czyli że nikt nie wiedział więcej o stanie dochodzenia od Leelanda i Nancy Castle. Oboje zaś byli małowówni i nie należeli do ludzi, których Cushing mógłby omotać przy szklaneczce whisky i wydusić z nich trochę plotek. Najprawdopodobniej nawet nie zechcieliby pić z nim whisky.

– Ja mam coś ładnego – odezwał się Birley, kończąc pączka. – Przez pięć miesięcy osiemdziesiątego piątego roku doktor Dominick Broussard, zaufany psychiatra i wieloletni kochanek Bernadine Mello, był psychiatrą Sandry Moser. Wedle słów jej męża, Broussarda

poleciała Sandrze koleżanka, ale nie pamięta nazwiska, nawet nie wie, czy je kiedykolwiek znał. Podobno zgłosiła się do doktora Broussarda z powodu „zaburzeń lękowych”. Andrew Moser twierdzi, że nie umie powiedzieć nic więcej, gdyż nie pamięta szczegółów. O ile się orientuje, po tym pięciomiesięcznym okresie Sandra nie spotykała się więcej z doktorem.

– O ile się orientuje – wtrąciła Palma.

– Co z Samenov? – spytał Frisch.

– Sprawdziłem jej zapiski. Nie ma nic o Broussardzie.

– Ale jeszcze nie rozmawiałeś z doktorem?

– Jeszcze nie. Frisch coś zanotował.

– Dobrze. Gordy, co macie z Lew w sprawie Louise Ackley i Lalo Montalvo?

– Może to być interesujące – odparł Haws.

On i Marley od dawna pracowali razem, każdy z nich miał dwanaście lat stażu w zabójstwach, obaj byli weteranami wydziału. W pracy zachowywali się jak prawa i lewa ręka, jeden wiedział, co myśli drugi, należeli do tego typu policjantów, którzy zawsze zrobią swoje, jeżeli zostawi im się trochę czasu i nie dopytuje, czy działali zgodnie z regulaminem. Obaj dochodzili do pięćdziesiątki. Haws był wyższy i przygarbiony, dzień w dzień zużywał dwie paczki gumy do żucia, czasami zmieniając smak malutkich twardych prostokątów. Od kilku lat przestał zwracać uwagę na swoją tuszę, która zmieniała jego wygląd – musiał nosić pasek pod wielkim brzuchem, spodnie wisały mu na biodrach, a w kroku robił się wór. Marley należał do

ludzi, którzy nie muszą się martwić o dietę. Był szczupły jak młodzieniaszek, za to tak wyłysiał, że wianuszek włosów wokół jego głowy przypominał tonsurę. Nosił zwykle garnitury z lekkiej bawełny albo sportowe kurtki i – tytułem rekompensaty – obfite bokobrody, niemodne przynajmniej od dziesięciu lat. Zestawieni razem, byli obrazą mody i przekleństwem łobuzów.

– Kiedy przeczesywaliśmy okolicę, natrafiliśmy na oryginała, sparaliżowanego dziadka, który nazywa się Jerry Sayles i mieszka po drugiej stronie ulicy, trzy domy od Ackley. – Marley przerwał i wetknął do ust kolejną pastylkę gumy. – Twierdzi, że widział „dziwnego gościa” parkującego niemal naprzeciw jego domu w dniu, kiedy zginęli Ackley i Montalvo. Twierdzi, że oglądał w telewizji program Geralco Rivery – coś o kobiecie z ciążą pozamaciczną – kiedy zwrócił uwagę na przybysza, ponieważ odgłos silnika był inny niż wszystkich znanych mu samochodów. Jerry zna odgłosy wszystkich samochodów z sąsiedztwa. – Haws uśmiechnął się krzywo. – W każdym razie kiedy wyjrzał, facet właśnie zatrzaśkiwał drzwi starego buicka z siedemdziesiątego czwartego. Jerry popatrzył za nim, zdziwił się, kto to taki, i zobaczył, że gość skręca ku domowi Louise. Przestał się tym przejmować, bowiem „ta kobieta” miewała przeróżnych gości. Dalej oglądał show, kiedy jednak tuż przed końcem programu Geraldo zaczęły się reklamówki, znów wyjrzał przez okno i zobaczył, jak facet szybko wraca do samochodu. Jerry twierdzi, że w tej okolicy nikt nie chadza szybko – z wyjątkiem machających łokciami bab, które biegają rano po uli-

cach. Ponoć facet wsiadł do wozu i odjechał, aż spod starego buicka się zakurzyło.

Haws skończył i Marley przejął wątek, jakby to razem ćwiczyli.

– Mamy rysopis – powiedział, przeciągając dłońią po czole. Kapelusz, który od niedawna nosił w pracy, zrobił swoje. – Przejrzeliśmy wszystkie nazwiska, jakie pojawiły się w wyniku rozmów z ludźmi, wzięliśmy zdjęcia z akt i wróciliśmy wieczorem. Sayles wskazał na Clyde’a Barbisha, kumpla Dennisa Ackleya, którego szukają w Dallas za gwałt na studentce. Sayles wskazał go bez chwili wahania. Nie miał najmniejszych wątpliwości. Kiedy go spytaliśmy, czy widział kogoś innego z osób na zdjęciach, wskazał na Gila Reynoldsa.

– Kiedy widział go po raz ostatni? – spytała Palma.

– Kilka tygodni temu, ale dokładnie nie umie określić dnia. Pamięta jednak, że widział go pięć, może sześć razy.

– W jakim odcinku czasu? – Palma była zdenerwowana niedokładnością Marleya. – W ostatnim roku? W ciągu dwóch lat? Sześć razy w ciągu minionego miesiąca?

Marley uważnie popatrzył na Palmę.

– Pytaliśmy, Carmen – odparł spokojnie, dając do zrozumienia, że chyba powinna się nieco uspokoić. – W ciągu pięciu, może sześciu miesięcy. Nie pamięta dokładnie. Powiedział, że nie robi notatek na temat każdej pojawiającej się w okolicy osoby. To nie jego interes.

– Cholera! – Frisch skrzywił się. – Dobra, Lew, ogłośmy ogól-

nostanowe poszukiwania Barbisha. Zażądaj maksymalnego zakresu i zanim komunikat zostanie nadany, niech radiowcy się ze mną porozumieją. Zaczniij też przy dusząc jego kumpli. Wątpię, by skurwiel był na tyle głupi, żeby zostać w mieście, ale trzeba spróbować i tego.

– Popatrzyl na Hawsa. – Co powiedzieli balistycy?

– To, z czego korzystał, to niezła armata. Pistolet samopowtarzalny Colt Combat Commander kaliber 45 ACP, najprawdopodobniej z tłumikiem, do tego pociski Sierra z wgłębieniem wierzchołkowym, typu Power Jacket. Te zabaweczki są w stanie naprawdę niezłe narozrabiać. Nie kupił ich przypadkiem. Wiedział, co kupuje i jakie efekty wywołują.

Frisch z irytacją pokręcił głową.

– Manny, Joe. Co macie na temat Mello?

Manny Childs i Joe Garro byli dość nowi w wydziale, pracowali w nim po dwa lata, przenieśli się jednak do Houston z innych wydziałów zabójstw – Childs z Buffalo, a Garro z Los Angeles.

– Rozmawialiśmy z dwoma z trzech byłych mężów Bernadine Mello – odparł Garro. – Tymi, którzy mieszkają w Houston. Ostatni, czyli pierwszy w kolejności, mieszka na Hawajach. Drugi mąż, pan Waring, nie widział jej od pięciu lat. Jej śmierć nim wstrząsnęła, ale po chwili rozmowy stwierdził, że w zasadzie to nie aż tak dziwne, że coś podobnego jej się przydarzyło. Jego zdaniem była dość ekscentryczną osobą. – Garro zapalił papierosa, przejrzał notatki, napił się kawy. Palił, jakby były lata czterdzieste i nikt jeszcze nie słyisał o raku płuc. – Nie wie nic o jej biseksualnych kontaktach, ale uważa,

że była „uzależniona” od seksu. Chodziła stale podniecona i chętna do kontaktu fizycznego, przez co miała sporo kłopotów, zachowywała się bowiem jak suka podczas ciecзки, bez przerwy szukająca partnera, machająca ogonem na każdego samca. Przyznał, że zdradzał ją w trakcie małżeństwa, ale zaczął to robić, dopiero gdy się dowiedział, że miewa kochanków. Choć „w pewnym zakresie” warto było z nią żyć, uznał, że to żadne życie i się rozwiedli. Wygląda na to, że nieźle go wypatroszyła. – Garro popukał papierosa palcem wskazującym i strząsnął popiół do czarnej plastikowej popielniczki, którą przyniósł ze sobą. – Mąż numer trzy nazywa się Ted Lesko. Wyszła za niego półtora roku po rozwodzie numer dwa. Aha, Waring jest właścicielem sieci barów szybkiej obsługi. Zamożny człowiek. Lesko zajmuje się handlem nieruchomościami w okolicy terenów NASA. Pośredniczył kilka lat temu w sprzedaży szeregu tamtejszych budynków i zarobił na tym kupę forsy. Wzięli ślub dwa i pół roku temu. Lesko mocno wstrząsnęła jej śmierć, dowiedział się o tym z gazety. Twierdzi, że po rozwodzie dalej ją kochał, bez żadnych oczekiwań, ot tak. Rozwód był pomysłem Bernadine, Ted dał jej sporą odprawę. Nie dlatego, że o nią walczyła, sam uznał, że tak należy. Nie wyobrażam sobie, żeby ją kiedykolwiek uderzył – powiedział Garro spoglądając na Palmę, potem na Frischa. – Przez całą rozmowę siłą powstrzymywał łzy. Prawda, Manny? Facet naprawdę ją kochał, choć opowiadał różne rzeczy o tym, jakie robiła mu numery. Twierdził, że nie mogła nic na to poradzić, po prostu miała taki charakter. Obsypywał ją prezentami, ale nie starczały. Miał wraże-

nie, że dobra materialne niezbyt wiele dla niej znaczą. Nigdy nie była zadowolona do końca z żadnego prezentu ani mężczyzny. To było coś bardzo smutnego.

– Czyli rozeszli się przyjaźnie, tak? – spytała Palma. – Widywał ją potem?

– Spotykali się czasami za plecami trzeciego męża. Nie szanuje zbyttnio Mello, twierdzi, że facet jest zboczony. Oczywiście natychmiast zaczęliśmy drążyć, ale miał na myśli tylko to, że Mello po prostu tak samo bez przerwy skakał na boki jak Bernadine. Z tego, co mówił, wynika, że od początku była to dość zwariowana para. Nigdy nie kierowali się jakimikolwiek zasadami, Bernadine od początku była nieszczęśliwa. Mello nigdy się nie krył ze swoimi romansami, wręcz się nimi chwalił. Lesko podobno nie widział Bernadine od kilku miesięcy. Alibi Waringa jest potwierdzone, tak samo Mello. Lesko twierdzi, że pracował przy swojej łodzi w Houston Yacht Club, ale jeszcze tego nie sprawdziliśmy. Na tym skończyliśmy, żeby iść się chwilę przespać.

Frisch coś zaczął notować i jeszcze pisząc, zapytał:

– Co z tobą, Carmen?

Palma popatrzyła na Birleya.

– Sprawdzalesz rzeczy Samenov. Jak się nazywał jej ginekolog?

Birley popatrzył w notatki.

– Doktor Alison Shore.

– Czy była jeszcze czymś ginekologiem?

Birley skinął głową i popatrzył z zaciekawieniem. Wiedział, że

Palma do czegoś dąży.

– Tak. Moser.

Palma wyjaśniła, w jaki sposób odkryła tożsamość Claire, i przedstawiła kilka zawartych w księdze lekarzy faktów na temat doktor Shore.

– To by wyjaśniało jej ostrożność z ujawnianiem nazwiska – stwierdziła Palma. – Ma sporo do stracenia. Jest jednak jeszcze inny powód. Jej mężem jest doktor Morgan Shore, chirurg oftalmolog.

Minęły dwie sekundy nim padło:

– A niech to cholera...

Nagle każdy miał coś do powiedzenia, musiał odkasznąć, mruknąć albo zakląć. Richard Boucher stwierdził:

– Chirurg oftalmolog... specjalista operacji oczu. – Drugie stwierdzenie było przeznaczone dla Cushinga, który siedział nie rozumiejąc, o co chodzi, i jedynie marszczył czoło.

– Nie wiem nic na jego temat – powiedziała w kierunku Frischa Palma. – Z tego, co mówiła jego żona, zakładam, że nic nie wie o jej biseksualizmie. Tak jak i ona jest poważnym autorytetem lekarskim, bardzo znanym w środowisku. Wpadłam na to wszystko dopiero dziś rano i jeszcze nie miałam czasu na sprawdzenie alibi ani innych danych.

– Z lekarzem będzie łatwa sprawa – stwierdził Leeland. – Mają tak wypełniony czas, że z notesu sekretarki albo z kart chorób dowiemy się, gdzie był niemal co do godziny.

– Albo gdzie miał być – wtrącił Birley.

– Musimy być bardzo ostrożni – stwierdził Frisch. – Zabierz się za to delikatnie, Carmen. Jeżeli przecieknie, że próbujemy przygwoździć znanego lekarza jako maniaka seksualnego, musimy mieć dla mediów coś konkretniejszego od przypadkowej zbieżności, że operuje oczy. W związku z tym zatrzymujemy dalej wiadomość o obcięciu powiek Samenov i Mello. Media i tak robią wokół sprawy tyle hałasu, że szefostwo powoli dostaje skrętu kiszek.

Jeszcze jedno – powiedziała Palma i streściła – choć z lekkim retuszem – przebieg wizyty u Lindy Mancera. Bardzo interesujące były miny obecnych mężczyzn, kiedy opisywała kobiety z przyjęcia. Większość policjantów styka się w swej pracy z całkiem innym typem lesbijek. Mają doświadczenia z parami złożonymi z dominującego „babona” oraz podległej dziewczyneczki-laleczki, których pełno w okolicy Montrose, czyli z kobietami, otwarcie przyznającymi się do przynależności do „zboczonej” kontrkultury. Nie bardzo jednak mogło im się zmieścić w głowie, że istnieje „niewidoczna” klasa homo – i biseksualistek oraz że kobiecy homoseksualizm jest dość popularny wśród żon mieszkających na przedmieściach yuppies oraz świetnie zarabiających kobiet na wysokich stanowiskach.

– Jesteś pewna, że te lalki nie miały się nieco z rzeczywistością? – spytał z uśmiechem Cushing. – Wiesz, było ich tam sporo i może po prostu nieco przesadziły z opisywaniem łączącej je przyjaźni.

– Dlaczego tak uważasz?

– No cóż, bo jeszcze nigdy o czymś podobnym nie słyszałem.

– Jeszcze nigdy nie słyszałeś o niczym podobnym? Sądzisz, że powinieneś być pierwszym, kogo się o informuje podobnych zjawiskach? – Palma poczuła, jak wzbiera w niej złość. Cushing uważał, że jest pępkiem świata. – Nie rozumiem, jak doszedłeś do takiego wniosku, Cush. To sprawa kobiet, nie mężczyzn. Dokładniej mówiąc, kobiet, które nie chcą mieć z mężczyznami do czynienia. Dlaczego uważasz, że akurat ty powinieneś coś na ten temat wiedzieć? To dość bezczelne, nawet jak na ciebie.

– Gdyby to było aż tak szeroko rozpowszechnione, wszyscy byśmy już o tym wiedzieli – nie popuszczał Cushing, ale przestał się uśmiechać.

Palma pokiwała głową.

– Może i wiesz, o czym mówisz, Cush. Nic dziwnego dla kogoś, kto jako jeden z pierwszych ujawnił, że gros męskich biseksualistów w całych Stanach ma rodziny i prowadzi podwójne życie. – Palma zmrużyła oczy. – Jak to jest, że tyle wiesz o społeczności homoseksualistów?

– Wracając do sedna... – szybko wtrącił Frisch, kiedy Gordy Haws parsknął, a Cushing zrobił się czerwony jak burak. – Wracając do sedna, Carmen...

– Sedno jest takie, że mamy liczącą się grupę „niewidzialnych” biseksualistek, a wewnątrz tej grupy frakcję miłośniczek sado-maso. Mancera uważa, że potencjalnymi ofiarami są członkinie tej frakcji.

– Uważasz, że to ma sens? – spytał Birley. Palma pokręciła

głową.

– Nie sądzę, żeby tylko one były celami ataków.

– Ze względu na Mello?

– Tak.

– Uważasz, że nie okaże się, by miała związek z pozostałymi?

– Według mnie nie znajdziemy takich powiązań. Moim zdaniem ten wyjątek stawia pod znakiem zapytania całą teorię. Teoria Lindy służy, moim zdaniem, dodaniu sobie animuszu. Te kobiety nie chcą się przyznać do tego, że mogą stać się ofiarami. Wiara, że sprawa nie ma z nimi nic wspólnego, ułatwia im życie.

– Nam też wiele by to ułatwiło, gdyby okazało się prawdą! – zawołał Garro gasząc papierosa. – No dobrze. Może nie wszystkie ofiary miały do czynienia z sado, ale trzy na cztery to sporo. W dalszym ciągu bym uważał, że należy bardzo dobrze się temu przyjrzeć.

– Nie mam zamiaru spierać się z tobą – odparła Palma. – Jutro chcę rozmawiać z przyjaciółką Lindy. Wygląda na to, że była wystarczająco zaprzyjaźniona z Louise Ackley, aby móc ocenić, co miało miejsce między nią a Reynoldsem. Gdyby mogła nam powiedzieć o „technice” Reynoldsa, może pchnie to sprawę dalej.

– Powinnaś sprawdzić akta wojskowe Reynoldsa – poradził Birley. – Może w związku z jego odchyłkami znajdziesz jakąś ciekawą opinię psychologiczną z czasów, kiedy był snajperem.

Palma zanotowała to sobie. Birley był szczwanym lisem.

Wszyscy zdali relacje i czekali na to, co powie Frisch. Ktoś za-

kaszlał, ktoś inny szurnął nogą, stuknęła filiżanka. Frisch wpatrywał się w biurko. Był jedyną znaną Palmie osobą, która uważała, że potrzeba okazywania „odpowiedniej” postawy ciała to przesąd. Wychodził z założenia, że jeżeli w danej chwili jakaś kończyzna nie musi wykonywać ruchu, może sobie spokojnie odpoczywać w takiej pozycji, na jaką ma ochotę. Palma rozejrzała się po obecnych. Czeka-no, popijano kawę, robiono notatki.

– No dobra – odezwał się w końcu. – Istnieje kilka możliwości. Zacznijmy je zawęzić, skoncentrujmy się na kilku wybranych osobach. Dostaliśmy do pomocy dwóch agentów z Quantico, analityków z jednostki badania osobowości. Wszyscy chyba wiemy, czym się zajmują, zapoznamy się więc z ich opinią. Nie byli obecni, ponieważ do momentu przedstawienia pierwszej analizy zbierają dane osobiście na miejscu zbrodni oraz bezpośrednio z raportów, po zapoznaniu się z ich oceną będziemy jednak mogli wymienić się z nimi opiniami. – Frisch wstał i wziął do ręki plik papierów, które leżały na rogu jego biurka. – Oto wstępna analiza Sandera Granta. – Rozdał dokumenty. – Zapoznajcie się z nią i kiedy skończycie, przyjdzie tu. Pytajcie go, o co tylko chcecie.

Rozdział trzydziesty ósmy

Grant siedział na skraju biurka. Założył rękę na rękę, jedną nogę zwiesił, drugą postawił na podłodze. Znajdował się po przeciwnej stronie pokoju niż pozostali detektywi, odwrócenii w jego kierunku. Był świeżo ogolony, siwiejące włosy na skroniach szesał do tyłu, przystrzygł wąsy. Miał na sobie świeżo wyprasowany dwurzędowy garnitur z rozpiętą dla wygody marynarką i choć nie spał prawie całą noc, nie wyglądał wiele gorzej niż wieczorem poprzedniego dnia.

Frisch przedstawił go zebranym, po czym Grant wygłosił tekst, który Palmie wydał się standardową przemową na temat sensu wykorzystania analizy miejsca zbrodni oraz psychologii behawioralnej do sporządzania profili osobowościowych brutalnych przestępców, podkreślając przy tym, że technika ta nie ma za zadanie zastąpić rzetelnej, metodycznej policyjnej pracy operacyjnej, a jest w procesie śledczym jedynie instrumentem pomocniczym. Przyznał, że technikę należy umieszczać raczej w kręgu sztuki niż nauki, i dodał, że o ile o niego chodzi, to gdyby spotkał człowieka, który pomógłby mu łapać morderców poprzez malowanie motylków, to dopóki metoda okazałaby się skuteczna, wykorzystywałby ją bez wahania. Dopóki coś działa, nie interesuje go, czy jest naukowe, artystyczne czy spirytystyczne.

– Współpracowałem z wieloma różnymi agencjami zajmującymi się strzeżeniem prawa i mam pełną świadomość, że nasza technika nie jest powszechnie aprobowana. – Rozejrzał się po obecnych. –

Wiem, że jest sporo sceptyków. Ale to nawet lepiej. Nie twierdzę, że znaleźliśmy odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie pojawiły się w śledztwie. Tak jak badanie „genetycznego odciska palca”, jest to technika pomocnicza i jedynie tak dobra jak detektyw, który ją wykorzystuje, oraz zdobyte przez niego pozostałe informacje. Poza tym technika ta nie jest nieomylna. Jestem człowiekiem, zabójca jest człowiekiem i to daje dwa razy więcej człowieczeństwa, niż wystarczy do spaprania każdej stuprocentowej metody. Możecie albo ją zaakceptować, albo odrzucić, zanim jednak ją odrzucimy, upewnijcie się, że nie ma wam nic do zaoferowania. – Przeciągnął dłonią po ustach i wąsach. – Próbujemy znaleźć zabójcę trzech kobiet i wszystko wskazuje na to, że nawet jeżeli wykorzystamy wszystkie dostępne możliwości, zabije jeszcze jedną lub dwie, więc mamy obowiązek zastosować każdą dostępną technikę śledczą. Jeżeli postanowicie odrzucić moją metodę, upewnijcie się dobrze, czy będziecie mogli spojrzeć sobie w lustrze w oczy, gdyby miało się okazać, że się pomyliliście.

Grant wziął styropianowy kubek i napił się kawy. Rozejrzał się po obecnych detektywach, nie zatrzymując długo przy nikim. Palma była zaskoczona jego słowami i tonem. Jego słowa nie były słowami biurokraty i podejrzewała, że inni podobnie odebrali jego uwagi, rozmawiał jednak ze starymi wygami i nikt nie zamierzał dopuścić, by czyjaś gadka popsowała mu nastrój. Nie spiesząc się z przerwaniem ciszy, Grant znów napił się kawy i w dalszym ciągu lustrował obecnych. Była to bardzo ciekawa sytuacja – detektywi nie zamierzali

okazać po sobie, że akceptują pouczenie, a Grant nie zamierzał dać się zepchnąć na pozycję mądrali z Quantico. W końcu odstawił kubek.

– No dobrze, dostaliście mój profil oraz ocenę przestępstwa. Przejdźmy do pytań. Palma szybko przeczytała otrzymany dokument, większość z zawartych tam treści znała bowiem z przeprowadzonych w ciągu ostatnich dni telefonicznych rozmów z Grantem. Musiał go pisać w samolocie w drodze do Houston, dołączając na miejscu jedynie kilka ostatnich opinii, sformułowanych ostatecznie po analizie okoliczności śmierci Mello. Dokument był dość długi – miał piętnaście stron.

– Jedno generalne pytanie. – Gordy Haws siedział rozwalony na krześle, wypychając do przodu brzuszysko. – Zajmujemy się z Lew zabójstwami Ackley i Montalvo. Ponieważ nie wspomina się o nich w tym dokumencie, jaki widzisz związek tych śmierci z pozostałymi?

Grant kiwnął głową, zanim Haws skończył.

– Jest jasne, że Ackley i Montalvo zostali zabici z innych powodów niż pozostałe kobiety, ze względu jednak na to, kim była Louise Ackley, oraz z uwagi na czas jej śmierci nie możemy wykluczyć prawdopodobieństwa związku. Mogę założyć, że nie zabił ich ten sam mężczyzna, który zamordował pozostałe kobiety. Nie twierdę, że te zabójstwa nie mają ze sobą związku, lecz uważam, że całej piątki nie załatwiła jedna i ta sama osoba. Zabójstwo Ackley-Montalvo ma dla mnie wszelkie cechy roboty na zlecenie. Uregulo-

wania rachunków. Zero emocji. Facet, który trzymał pistolet, nie myśli kutasem. Wszedł, zabił i wyszedł. Załatwił robotę. – Grant poprawił się na biurku. – Za pomocą mojej techniki nie jestem w stanie określić, czy ta sprawa ma cokolwiek wspólnego z Moser, Samenov albo Mello, choć z drugiej strony – wszystko, czego dowiecie się w trakcie prowadzenia śledztwa, może okazać się przydatne. Podobno w kontaktach z Gilem Reynoldsem Louise Ackley była „na dole”... rozumiesz, co z tego wynika. Oczywiście, może to fałszywa informacja. Albo półfałszywa. Jej śmierć mogła też być przypadkowa, nie związana z pozostałymi – ot, luźny wątek, częsty w śledztwach.

Palma zauważyła, że Grant specjalnie używa bezceremonialnego słownictwa. Jakby rozgryźł Hawsa i wiedział, że lubi używać podobnych określeń. Taki język Gordy Haws natychmiast rozumiał i dobrze zapamiętywał. Oczywiście, zrozumiałby także pojęcie „agresja motywowana psychoseksualnie”, ale wtedy nie pamiętałby, że wyszło od Granta. Dostosowując się do manieri myślowej i językowej Hawsa – bez przedrzeźniania go – Grant zarabiał u niego punkty, przestawał być „mądrą z Quantico”, a stawał sienie zagrażającym partnerem, kolegą myśliwym.

Manny Childs przerzucił trzymane w ręku kartki, zmarszczył czoło i popatrzył na podłogę.

– Hm... rozumiem, skąd wyciągasz niektóre wnioski, ale musiałbyś mi wyjaśnić, dlaczego twoim zdaniem facet jest żonaty i ma dzieci.

I tym razem Grant skinął głową, zanim Manny skończył pytanie.

– Jasne. Po zapoznaniu się z setkami podobnych przypadków okazało się, że większość zorganizowanych morderców – a uważamy, że ten sprawca podpada pod tę kategorię – mieszka ze stałym partnerem i jest sprawny seksualnie. – Grant uniósł w górę zaciśniętą pięść. – Zatrzymajmy się chwilę nad tymi dwiema możliwościami. – Podniósł zaciśniętą w pięść drugą dłoń. – We wszystkich przypadkach powtarzają się szczegóły związane z czasem. Wszystkich trzech morderstw dokonano w czwartek wieczór. Dane laboratoryjne sugerują, że zgon następował za każdym razem „prawdopodobnie” około dziesiątej. Jeżeli dobrze pamiętam, Moser widziano po raz ostatni za dwadzieścia ósma, Samenov dwadzieścia po szóstej, a Mello wpół do siódmej, czyli dwie do trzech godzin przed śmiercią. To bardzo precyzyjny – i stały – schemat czasowy, zarówno jeżeli chodzi o dzień, jak i o godzinę. Jeżeli przyjmiesz sugerowane przez statystykę założenie, że facet mieszka ze stałą partnerką – wyciągnął do przodu lewą pięść – musisz zadać sobie pytanie, czy ten dokładny schemat czasowy pasuje raczej do żonatego mężczyzny, który ma dzieci, czy do mężczyzny, który mieszka z narzeczoną albo kolegą... nie z partnerem homoseksualnym. – Wyciągnął do przodu prawą pięść. – Mężczyzna bez rodziny bez trudu mógłby w tych godzinach przebywać poza domem częściej niż jeden dzień w tygodniu, gdyż jego życie nie jest ujęte w tak stałe ramy. Trudno byłoby ci mnie przekonać, że to jedyne godziny w tygodniu, które

ma wolne. Ojcowie i mężowie mają jednak obowiązki, jakich nie wyobraża sobie bezdzietny kawaler: kolacje o stałej porze, żeby rodzina nie wypadła z codziennej rutyny, obowiązki domowe, które nie mogą zaczekać do weekendu, pomoc dzieciom w lekcjach, mnóstwo spraw, które trzeba robić z dziećmi i dla dzieci, zanim pójdą spać – czyli około dziesiątej. Raz w tygodniu ma jednak czas zarezerwowany dla siebie: na tenisa, na kręgle, na pokerka z przyjaciółmi, na zebranie Klubu Rotarian czy coś w tym stylu. Musi wyjść określonego dnia o określonej godzinie. Ponieważ jest porządnym obywatelem, nie idzie potem z kumplami na wódkę, lecz wraca mniej więcej o tej samej godzinie. Samotny mężczyzna miałby inne możliwości, mógłby być bardziej elastyczny, a oznaczałoby to najprawdopodobniej, że przynajmniej jedno z morderstw odbiegałoby od schematu. Inną możliwością jest oczywiście to, że nie ma żadnego schematu czasowego i zbieżność jest przypadkowa, ale przemawia przeciwko temu rachunek prawdopodobieństwa. W tym zaś stadium śledztwa, proszę państwa, musimy stawiać na prawdopodobieństwa.

– Zsunął pięści i splótł palce w mocnym uścisku.

– A gdyby to był ktoś, kto pracuje w nocy? – spytał Childs. – Kto musi się zjawić w pracy dopiero o jedenastej, dwunastej?

– W takim razie dlaczego czwartki?

Childs popatrzył na Granta i wzruszył ramionami.

– Też nad tym myślałem – odparł Grant – ale cały scenariusz musi do siebie pasować, nie tylko poszczególne części. Nie jestem w stanie wymyślić innego rozsądnego powodu, dlaczego miałby

zabijać akurat tego jednego dnia w tygodniu. Czwartek wieczór to krytyczny element i każdy scenariusz, jaki wymyślimy, musi go uwzględniać. Nie ominiemy go. – Grant wstał, skrzyżował ramiona na piersi i pogłaskał palcem wąsy. – Oczywiście może się okazać, że to ty miałeś w tym zakresie rację, ponieważ jest coś, czego jeszcze nie znamy, ale biorąc pod uwagę posiadane dane, mój scenariusz tutaj lepiej się sprawdza. Jeszcze jedno: nasze doświadczenie wskazuje na to, że zorganizowani sprawcy często mają dobry albo ponadprzeciętny intelekt oraz pracują na stanowiskach wymagających wysokich kwalifikacji. Niezorganizowani mają intelekt przeciętny albo poniżej średniej i raczej nie najlepszą przeszłość zawodową. Generalnie zaś – tu Grant uśmiechnął się krzywo – z wyjątkiem pracy policyjnej, nocna praca jest domeną ludzi niewykwalifikowanych. Dlatego jeżeli zgodzimy się co do tego, że mamy do czynienia ze zorganizowanym mordercą, musimy znaleźć jakąś przyczynę – inną niż praca – dla której wychodzi z domu co czwartek wieczór. Przynajmniej dlaczego wyszedł w te trzy czwartkowe wieczory. – Grant przerwał, zapatrzył się w podłogę myśląc nad czymś. – Jeszcze jedno. Przyjrzyj się tabelom, które dołączyłem do części dotyczącej cech profili zorganizowanych i niezorganizowanych przestępców. Zorganizowani sprawcy są zwykle społecznie dostosowani. To na pierwszy rzut oka przyjemne, gładkie typy, nie wywołujące przeżenienia, a ofiary – każda pochodziła z górnej strefy warstwy średniej i mieszkała w „lepszej części” miasta – najwyraźniej wyraziły zgodę na spotkanie ze sprawcą. Każda z nich czuła się w jego towarzystwie

dobrze. – Głos Granta złagodniał, podkreślając logikę argumentacji.
– To człowiek z ich kręgów. Dały mu się związać! Nie wygląda na to, żeby pozwoliły zrobić to komuś spoza swojego kręgu towarzyskiego, jakiemuś obszarpańcowi z ulicy. Czyli że nasz poszukiwany nie jest wyrzutkiem, członkiem subkultury. Jest tak „normalny”, że gwarantuję wam, że kiedy go znajdziemy, już nigdy nie będziecie ze spokojem patrzeć na własnych sąsiadów.

– A dlaczego „sprawny seksualnie”? – spytał Joe Garro.

– Tak jest! – Grant zrobił kolejną przerwę, wziął kubek do ręki i napił się kawy. – Niesprawność seksualna idzie często w parze z frustracjami typowymi dla spontanicznych zabójstw na tle seksualnym. W wypadku niezorganizowanego zabójcy, przy niezorganizowanym miejscu zbrodni. Nasz poszukiwany kontroluje jednak wszystko aż do przesady. Fakt, jego motywacje zabijania są najprawdopodobniej seksualne, ale to głęboko zakorzenione popędy, nic z tego, co można zaspokoić porwaniem kobiety, zabiciem jej i odbyciem z jej ciałem stosunku. To dość prymitywne odruchy, jego są zaś nieco bardziej skomplikowane. To, co z nimi robi, robi przed ich śmiercią. Ważne jest dla niego sadystyczne znęcanie się... chce, aby ofiara czuła ból i wiedziała, że on wie, że ona go czuje oraz sprawia mu to przyjemność.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, Grant znów napił się kawy. Rozejrzał się, czekając na kolejne pytania. Wyraźnie lubił wyjaśniać swoją drogę rozumowania, ujawniać ukryte cechy analizowanego obiektu, które co prawda jedynie sobie wyobrażał, ale strukturę któ-

rych znakomicie znał.

– Ja mam pytanie – odezwał się Cushing. Palma już od jakiegoś czasu zastanawiała się, jak długo będzie się hamował, nim wbije Grantowi szpilę. – W punkcie „zachowanie postofensywne” piszesz, że prawdopodobnie zabójca powrócił na któreś albo na wszystkie miejsca zbrodni w celu wzięcia „pamiątek”. Nie bardzo się zgadzam. Jest tak dokładny, tak metodyczny, że nie wydaje mi się logiczne, aby ktoś, kto tak dokładnie sprząta miejsce zbrodni jak on, coś takiego robił. Żeby ryzykował kolejne zbliżenie się do miejsca zdarzenia. Powrót tam, gdzie działał, albo wzięcie czegoś, co łączyłoby go z ofiarą, jest dość ryzykowne.

Grant znów napił się kawy, ale zdaniem Palmy nie dlatego, by chciał mu się pić, ale dla zdobycia kilku dodatkowych sekund na ocenę Cushinga, który nawet nie próbował ukryć wyzywającego tonu, sugerującego, że zdaje sobie sprawę ze słabego punktu w logice Granta.

Grant jednak dobrze wiedział, jak sobie z nim poradzić.

– Masz rację – odparł, odstawił kawę i podszedł do Cushinga, aby mówić bezpośrednio do niego. – To dobra uwaga. To rzeczywiście nielogiczne zachowanie i wiąże się z kolejnym istotnym czynnikiem, o którym wspominałem w analizie. Chciałbym go podkreślić i wydaje mi się, że akurat tutaj należy to maksymalnie podkreślić. Chodzi o znaczenie, jakie morderca przywiązuje do utrzymania fantazji, która wyzwoliła akt przestępczy. Ani dla mnie, ani dla ciebie to zachowanie nie wydaje się logiczne, ponieważ nie myślimy

jak on, ale dla niego jest logiczne, ponieważ służy określonemu celowi. – Grant przerwał dla lepszego efektu, odszedł trzy kroki, rozejrzał się po obecnych i dźgnął powietrze palcem wskazującym. – Celem tym jest utrzymanie podniecenia, jakie daje mordowanie. Jego potrzeba utrzymania podniecenia jest tak silna, że przewyższa instynkt samozachowawczy. Ta fantazja jest wszechwładna. Powrotna miejsce zbrodni i zatrzymywanie „pamiątek”, które można obejrzeć, dotknąć, powąchać i posmakować, dostarcza bodźców, pozwalających na ponowne przeżycie aktu zabijania, stworzenia na nowo podniecenia, jakie wywołał. – Grant podszedł ponownie do Cushinga, popatrzył na niego, zacisnął wargi i mówił dalej z pasją. – Spotykałem się z tym, że tacy jak on wracali do zwłok szesnaście, osiemnaście, dwadzieścia godzin po morderstwie, aby odciąć i zabrać piersi. Jeden wracał tygodniami i oddawał się nekrofilii w nieprawdopodobny sposób. Czasami pożądanie fizycznego kontaktu ze zwłokami jest tak silne, że przekracza wszelkie granice zdrowego rozsądku. Czasami wracają tylko po to, aby popatrzeć, jak policja znajduje ciało. Wtedy mają wrażenie, że w dalszym ciągu panują nad fantazją, że ona trwa dalej w ich głowach. Z tego samego powodu przechowują „pamiątki” – majtki, biustonosze, biżuterię, części ciała. Widywałem stopy, piersi, wnętrzności w puszkach, słoiki krwi. Jeden ze sprawców trzymał w zamrażarce stopy ofiary w pantoflach na wysokim obcasie. Nasz poszukiwany najprawdopodobniej przechowuje sutki. Wyjmuje je z pudełka, czy tego, w czym je trzyma, i bawi się nimi, liże albo coś w tym stylu. To katalizatory,

które ożywiają fantazję, a przecież fantazja go napędza i utrzymuje w gotowości do czynu. W jego przypadku fantazja jest wszechwładna.

Grant kończył przemowę stojąc krok przed Cushingiem. Ręce trzymał w kieszeni, szerokie barki nieco mu opadły. Robił wrażenie potężnego, ale główna jego siła zdawała się koncentrować w oczach.

Nagle odwrócił się na pięcie i wrócił do biurka, gdzie zostawił kawę. Stojąc plecami do reszty, wziął kubek i napił się.

– Wyjaśnijmy sobie jedno – powiedział odwracając się. – Przedmioty, które trzymają ci mordercy, są zdefiniowane poprzez ich znaczenie, ale nie dla nas, lecz dla nich. W większości przypadków „pamiątki” zachowują niezorganizowani mordercy, działający pod wpływem chwilowego impulsu, zorganizowany zabójca zachowuje „trofea”, coś symbolizującego efektywne zakończenie „akcji”, dowód jego umiejętności. W tym jednak przypadku, choć mamy najprawdopodobniej do czynienia ze zorganizowanym sprawcą, uważam, że fantazja tak go opanowuje, iż musimy określać to, co zbiera, jako „pamiątki”. Coś, co pomaga mu przeżyć morderstwo na nowo.

– Boże drogi... – jęknął Richard Boucher. Był najmłodszym detektywem z obecnych i jeszcze nigdy nie prowadził śledztwa w sprawie motywowanego seksualnie zabójstwa. Słowa Granta otwierały przed nim kompletnie nowy świat, a nie był to świat dla wrażliwych ludzi.

Jeszcze przez godzinę zadawano pytania, niektóre powtarzano,

aby zrobić notatki, proszono Granta o szczegółowe wyjaśnienia, głębsze wniknięcie w szczegóły, spekulacje. W czasie przerwy część poszła do toalety, inni po nową kawę, potem zajęto się próbą rekonstrukcji zabójstw w kolejności chronologicznej. Leeland przyniósł rysunki i Grant dedukował, w jaki sposób sprawca mógł poruszać się po miejscach zbrodni. Wskazał na nasilanie się agresji sprawy i zwiększanie częstotliwości morderstw, spekulując, jak w tym kontekście może wyglądać przyszłość.

W tej fazie swoje jedyne pytanie dnia zadał Birley. Palma zauważyła, że od początku niewiele notował, wiedziała jednak, że kiedy się koncentruje, jest w stanie wyłącznie słuchać. Grant wyraźnie go zafascynował, Palma kilka razy zauważyła, że Birley potakując kiwa głową.

– Z początku nie chciałeś nic wiedzieć o podejrzanych – zaczął. Miał rozluźniony krawat, a brak snu wyraźnie odbijał się na jego twarzy, głębokimi zmarszczki wokół oczu postarzały go o lata i wskazywały, ile czasu spędził w towarzystwie śmierci. – Kiedy będziemy mogli z tobą na ich temat porozmawiać? Wygląda na to, że moglibyśmy skorzystać uzyskując od ciebie informacje zwrotne na ich temat. Jak długo jeszcze zamierzasz zachowywać dystans?

– Jeszcze kilka godzin – natychmiast odparł Grant. – Chcę najpierw obejrzeć taśmy wideo z miejsc zbrodni. Da wam to jeszcze nieco czasu na zajęcie się tym czy innym problemem i być może zawężenie nieco listy podejrzanych. Moim zdaniem cała ta sprawa lada chwila nabierze tempa. Coś się rozpęda. – Popatrzył na Fri-

scha. – Może tak być? Obejrzę taśmy i kiedy skończę, będę do waszej dyspozycji.

– Jeżeli o mnie chodzi, może być – odparł Frisch. – Zgłoście się wszyscy do Leelanda po przydział pracy, żeby z nikim nie rozmawiać dwa razy. Wiem, że niektórzy podejrzani są na listach u kilku osób, ustalcie więc, kto się kim zajmie. Kiedy to ustalicie, zostawcie wiadomości u Leelanda albo Castle. Dowiedzcie się też u nich, jak ma się sprawa z informacjami od ludności. Schodzą non stop i niektórymi trzeba się zająć.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Palma powoli zbierała swoje rzeczy, Grant zaraz jednak zaczął rozmawiać z Frischem i kapitanem McCombem, który też brał udział w odprawie. Nie chciała wyjść ostatnia, wyrzuciła więc kubek po kawie do pojemnika przy drzwiach i wymaszerowała energicznym krokiem do sali ogólnej. Kiedy dyskretnie spojrzała przez ramię, zobaczyła Granta z lekko przekrzywioną głową, zasłuchanego w słowa kapitana.

– Jedziesz do Shore? – zagadał ją zza pleców Birley.

– Do Claire – odparła idąc do ich gabinetu. – Mógłbyś mi pomóc z jej mężem?

– Sprawdzić jego alibi?

– Tak. Nie chcę, żeby się dowiedziała, że go sprawdzamy. Dzwoniłam rano do Akademii i powiedzieli mi, że Claire ma rano wykład. – Popatrzyła na zegarek. – Ma być w swoim gabinecie mniej więcej godzinę po spotkaniu ze studentami i zamierzam ją zaskoczyć.

– Zaatakować go wprost? Obawiam się, że nie mamy zbyt wiele czasu na igraszki.

– Jak uważasz. Po mojej rozmowie z Claire to nie będzie już grać roli.

– Ale nie chcesz, żebym zdradził mu jej słodką tajemnicę?

– Nie.

– No dobrze...

Baylor College of Medicine znajduje się na końcu M. D. Anderson Boulevard, niemal w samym centrum olbrzymiego Texas Medical Center. Główna budowla składa się z trzech wieżowców, co z daleka przypomina rzymską cyfrę trzy, między środkowym wieżowcem a obydwoma bocznymi znajdują się pełne zieleni podwórza. Palma zaparkowała przed szpitalem i podeszła do południowego wejścia. W powietrzu unosiła się lekka mgiełka. Znalazła nazwisko SHORE na tablicy informacyjnej i ruszyła długimi korytarzami w stronę wydziału położnictwa i ginekologii, gdzie kłębił się tłum studentów, a mieszanka młodości i akademickiej atmosfery robiła miłsze wrażenie od higienicznych, błyszczących sal szpitala. Według uzyskanej informacji, doktor Shore od piętnastu minut powinna być w swoim gabinecie. Palma minęła szereg ponumerowanych drzwi, otworzyła jedno z nich mniej więcej pośrodku zatłoczonego korytarza.

Sekretariat był porządnie utrzymany, ale nie wyglądał na miejsce do odpoczywania. Jakiś mężczyzna właśnie przywiózł trzy kartony na wózku dwukołowym. Postawił je na biurku sekretarki. Ona sama – kobieta około pięćdziesiątki, w rogowych okularach do czytania – rozmawiała przez telefon. Skinęła gościowi głową i uśmiechnęła się, podpisała formularz odbioru przesyłki i zapewniła osobę, z którą rozmawiała, że wyniki testów zostaną umieszczone na tablicy informacyjnej do południa w środę. Dostawca wyszedł, sekretarka zmarszczyła czoło, popatrzyła ponownie na Palmę, wzniosła oczy do góry, podziękowała rozmówcy, że był uprzejmy za-

dzwonić, i odłożyła słuchawkę.

– Przepraszam. W czym mogę pomóc?

– Chciałabym się widzieć z doktor Shore. Nazywam się Carmen Palma. Nie jestem umówiona.

– Czy pani doktor zna cel pani wizyty?

– Tak.

– Sekundę. – Podniosła słuchawkę, nacisnęła dwa przyciski. – Pani doktor, przyszła pani Carmen Palma i chciałaby z panią rozmawiać. Tak. Carmen... Palma...

Palma kiwnęła głową, że nazwisko się zgadza. Sekretarka zmarszczyła czoło i odłożyła słuchawkę.

– Zaraz do pani wyjdzie.

W głębi korytarza trzasnęły drzwi i Palma ujrzała doktor Shore. Zbliżała się spokojnie, bez pośpiechu i bez śladu nerwowości. Metr przed wylotem korytarza, gdzie sekretarka jej nie widziała, powiedziała: „Pani Palma”, zrobiła zapraszający gest dłonią, odwróciła się i zaczęła wracać. Kiedy weszły do jej gabinetu, zaczęła, aż Palma zamknie drzwi, obeszła biurko, splótła ramiona na piersi i zamarła.

– Chyba powinnam była przewidzieć, że tak się stanie. – Twarz miała bladą jak płótno. – Dlaczego pani nie zadzwoniła? Po co pani przyszła?

Okna za jej plecami z widokiem na budynki kompleksu medycznego wpuszczały do gabinetu przytłumione, szare światło. Doktor Shore miała zdecydowanie blond włosy, była też młodsza, niż Palmie wydało się, kiedy rozmawiały na ciemnym przystanku. Moż-

liwe, że nieco postarzyła ją ciemna peruka. Była atrakcyjną kobietą. Palma nigdy nie podejrzewała, że w tak młodym wieku zdążyła zrobić tak znakomitą karierę zawodową czy wychowywać dwóch dorastających synów.

– Były kolejne morderstwa.

Shore położyła dłonie na oparciu krzesła.

– Wiem. Czytam gazety.

– Znała pani Bernadine Mello?

Shore pokręciła głową. Spięte w kok włosy i kolczyki z pojedynczych pereł dyskretnie, ale wystarczająco podkreślały elegancję jej szmaragdowej jedwabnej sukienki. Promieniowała chłodnym intelektem i erotyzmem, co z pewnością zapewniało jej stały komplet słuchaczy na wykładach. Była wyraźnie wściekła.

– Co pani pomyślała, przeczytawszy o Louise Ackley?

– Co sobie pomyślałam?! – Pytanie zbiło ją z pantałyku i potraktowała je jako absurdalne. Pokręciła głową i odwróciła wzrok.

– To ja ją znalazłam. Tak jak pani sugerowała, poszłam ponownie do Lindy Mancera, która posłała mnie do Louise, ale zostałam uprzedzona. Nie zdążyła wstać z łóżka. Usiadła, ktoś strzelił i jej mózg rozbryzgał się po ścianie.

Shore popatrzyła na Palmę rozszerzonymi oczami. Nie z przerażenia ani z zaskoczenia, ale dla powstrzymania łez.

– Dlaczego mi pani nie powiedziała, że była zarówno lekarzem Dorothy Samenov, jak i Sandry Moser?

– Nie pytała pani.

– Powiedziała pani wiele rzeczy, o które nie pytałam. Nie zapominam, że to pani nawiązała ze mną kontakt, ale muszę stwierdzić, że udzieliła mi pani informacji bardzo wybiórczo. Każe mi to zachować ostrożność.

– Oczywiście, że byłam wybiórcza. Boże! – Uderzyła pięścią w oparcie krzesła. – Co pani sobie myśli przychodząc tutaj?! Przecież mogłybyśmy spotkać się w każdym innym miejscu.

Palma zignorowała jej wybuch. Sięgnęła do torebki i wyjęła zdjęcia Samenov z zamaskowanym mężczyzną, podeszła do biurka i podała je Shore. Stały bardzo blisko siebie.

– Rozpoznaje pani tego mężczyznę?

Shore wzięła zdjęcia i zauważywszy, co przedstawiają, zakłęła pod nosem. Szybko, nerwowo przejrzała fotografie.

– Mam rozpoznać człowieka w czymś takim na głowie?

– Lepiej będzie, jeżeli ktoś zacznie sobie coś przypominać. – Palma z trudem zapanowała nad sobą. Wbiła wzrok w Shore. – Powiedzmy sobie uczciwie jedno. Nie jestem bezduszną, ale nie jestem też idiotką. Jeżeli uznam, że mogłoby to powstrzymać mordercę od zaatakowania kolejnej kobiety, nie zawaham się ani sekundy z ujawnieniem tożsamości pani ani kogokolwiek innego z waszego kręgu. Nie będę się tym przejmować w najmniejszym stopniu. Nie dążę do tego, ale nie pozostawiacie mi innego wyboru. Muszę też uczciwie przyznać, że nie podoba mi się, iż wyżej ceni pani własną karierę niż życie innych kobiet. Jak może pani w takiej sytuacji

ukrywać istotne informacje?

Zdjęcia w dłoniach Shore drżały i siłą powstrzymywała łyż wściekłości i rozgoryczenia. Szczęki miała tak ściśnięte, że nie była w stanie nic powiedzieć. Kiedy się odezwała, głos miała spokojny, ale nieco chrapliwy od nagromadzonych emocji. Ścisnęła zdjęcia w zbielałej dłoni i przyciskała tułów do oparcia krzesła. W końcu rzuciła zdjęcia na biurko.

– Nie uczestniczę ani nie akceptuję tego rodzaju gier seksualnych. Już pani mówiłam, od początku wyrzucałam sobie, że wyraziłam zgodę na zrobienie sobie takich zdjęć. Żałuję tego – z powodu Vickie Kittrie wielu ludzi żałuje własnych czynów – ale nie dam się obciążyć tym sadomasochistycznym szmelcem. Nie uczestniczę w tych obrzydlistwach. – Wpatrywała się w Palmę, drżały jej usta, płuca walczyły o utrzymanie kontroli nad oddechem. – Reynolds. Bristol. Dorothy, Vickie, Sandra. Ich destruktywność jest odrażająca, w jakiegokolwiek formie się ujawnia. Neguje życie. Nie pozwolę na to, aby wrzucano mnie do jednego garnka z tego typu mentalnością. Jestem lekarzem, na Boga! – Przerwała na chwilę. – Nie wiem, czego pani ode mnie oczekuje.

Pokręciła głową, skrzyżowała ramiona, podeszła do okna i zapatrzyła się na ogromne popielate, nisko wiszące chmury, ciągnące za sobą strugi deszczu.

– Chcę znać nazwiska kobiet, które pozwalały Gilowi Reynoldsowi się „karać” – odparła Palma. – Nie interesują mnie delikatne rozróżnienia typów waszej seksualności ani czy opiera się na czys-

tych pobudkach czy niskich. Przyciskałabym panią do muru także, gdyby była pani zakonnica, która odmawia pomocy w śledztwie. Moje zachowanie nie ma nic wspólnego z pani skłonnościami ani preferencjami, wynika z tego, że po mieście krąży morderca, którego należy powstrzymać.

Na kilka minut zapadła głucha cisza. Shore wyglądała przez okno. Zerwał się wiatr i o szybę zabębniły pierwsze krople, z początku nieliczne, niewidoczne, coraz jednak gęstsze. Shore odwróciła się.

- Jedyne trzy, które znałam, nie żyją.
- Moser, Samenov i Ackley? Shore skinęła głową.
- Nie znała pani Bernadine Mello?
- Nie.

Palma poczuła napięcie w dole brzucha. Ta sprawa nie miała symetrii. Nic nie zataczało kręgów, a wśród splątanych wątków, z których układała się kompozycja pięciu śmierci, nie było widać żadnej struktury.

– Wiedziała pani o przyjaciółce Lindy Mancera o imieniu Terry. Dlatego odesłała mnie pani do Lindy.

Shore skinęła głową, podeszła do biurka i otworzyła pudełko z papierosami. Wyjęła jednego i zapaliła.

- Zna pani Terry? – spytała Palma.
- Widziałam ją raz.

Palma pochyliła się nad biurkiem i zaczęła zbierać zdjęcia. Shore drgnęła, jakby chciała jej pomóc, natychmiast jednak zastygła

w bezruchu. Palma włożyła zdjęcia do torebki i popatrzyła Shore w oczy.

– Jest pani w stu procentach pewna, że mąż nic nie wie o pani kontaktach z kobietami?

Ponieważ już sądziła, że nic jej nie grozi, tak bezpośrednio postawione pytanie całkiem ją zaskoczyło. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Znieruchomiała, w milczeniu wpatrywała się w Carmen. Jeszcze nigdy nie spotkała się z tym, by komuś na tak długo odebrało mowę. W końcu Shore opuściła rękę i zdusiła papierosa w popielniczce z rżniętego kryształu. Kiedy to robiła, lekko przekrzywiła głowę. Podniosła wzrok i znów skrzyżowała ramiona. Z jej twarzy zniknęły gorycz i kalkulacja, nie była to mina lekarza, profesora ani chłodnego profesjonalisty.

– Jeden raz – trzy, może cztery lata temu – wydawało mi się, że coś podejrzewa – odparła pozbawionym emocji głosem. – Może tak i było, jeżeli jednak rzeczywiście coś podejrzewał, jakoś sobie z tym poradził. Wątpliwości albo podejrzewania nie należą do tematów, którymi się ze mną dzieli. Po prostu miałam takie wrażenie, nie jestem w stanie teraz nawet przypomnieć sobie, co je wywołało. – Obeszła biurko, stanęła blisko niego i przycisnęła uda do kantu, oparła się czubkami palców na ciemnym mahoniowym blacie. Stała do Palmy niemal profilem. – To dobry człowiek – powiedziała próbując się uśmiechnąć, jednak usta jej drżały. – Jest znakomitym fachowcem. Solidnym i odpowiedzialnym. Daje mi poczucie bezpieczeństwa,

zapewnił mi też stabilność materialną. Poprzez polisy ubezpieczeniowe, akcje, obligacje, udziały w funduszach rentowych. Zawsze robi to co najlepsze dla mnie i chłopców. – Mówiła to, jakby sprawdzała jakąś listę, jak kobieta chcąc upewnić się co do plusów jednego z wielu kandydatów do jej ręki. – Jest dobry i uczciwy. Nawet gdyby wiedział o moich innych kontaktach, oddałabym w jego ręce swoje życie, bez wahania dałabym mu się operować.

Palma była zaskoczona widokiem wielkiej łyzy, która nagle pojawiła się w kąciuku oka doktor Shore, potoczyła się w dół policzka jak kulka rtęci i spadła, robiąc ciemniejszą plamę na szmaragdowym jedwabiu sukienki.

– Gdzieś... kiedyś... w łonie... – doktor Shore wyraźnie już łkała – w kołysce... przy piersi... nie dostał tego, czego potrzebował. Nigdy mu nie pokazano... albo nie udało mu się nauczyć... najważniejszej rzeczy. Czulego wyrażania swojego „ja”, okazywania miłości dotykiem i oddechem... swoich fantazji i namiętności. Wiem, że mnie kocha, powiedział mi o tym przed laty. Mam na to dowody... poprzez sposób, w jaki dba o moje potrzeby finansowe, mój komfort fizyczny. – Odkaszlnęła, popatrzyła przez okno, potem na własne dłonie, których palce delikatnie dotykały powierzchni drewna. – Zostałam specjalistką położnictwa i ginekologii wyłącznie dlatego, że nie umiał mi okazać miłości. Poznaliśmy się na uczelni. Był wtedy dokładnie taki sam jak teraz, jedynie ja byłam młodsza, nie wiedziałam, jacy naprawdę są mężczyźni. Wydawało mi się, że jego dystans to męskość, wręcz romantyzm. Nie byłam wystarczająco

dojrzała, aby móc wyobrazić sobie, że taką postawę zachowa do końca życia. Zakładałam, że jest w nim czułość, i moje emocje będą w stanie wydobyć ją na wierzch. W każdym razie wzięliśmy ślub. Przerwałam studia, kiedy byłam w ciąży z Markiem. Nasz drugi syn, Daniel, miał pięć lat, kiedy podjęłam je ponownie. W tym czasie już wiedziałam, w co się wpakowałam. Szalałam z samotności, tęsknoty i niezdecydowania. Istniały różne możliwości. Rozwód. Romanse. Mogłam zostać matką, która traci swoje „ja”, poświęcając się dla męża i dzieci. Opuszczenie go byłoby okrucieństwem. Nie zasłużył na tak wielkie odrzucenie... tylko dlatego że... nie jest w stanie okazywać uczuć. To niby coś drobnego, ale miewa ogromne konsekwencje... Zająłam się własną karierą zawodową. Pracowałam jak szalona. Niczego nie zaniedbywałam – ani męża, ani dzieci, ani kariery i udawało mi się to bardzo długo. Oszukiwałam się przez ponad dziesięć lat. Nie miałam ani jednego romansu. Nie wiedziałam, co to płacziwe litowanie się nad sobą. Staliśmy się wyjątkową rodziną, dotkniętą złotym palcem dobrobytu oraz zawodowego sukcesu. On był znakomity i ja byłam znakomita. Chłopcy chowali się zdrowo, byli inteligentni i śliczni. Tak sądzę... – Popatrzyła na zdjęcie na biurku i słabo się uśmiechnęła. – Sześć lat temu – chłopcy właśnie zaczęli szkołę średnią – przeżyłam załamanie nerwowe. Jakoby bez powodu. Ot, przypadek. Poszłam na psychoterapię do „najlepszego psychiatry”, jak określał go Morgan. Odwiedzałam go regularnie, kłamałam, i zviałam najszybciej, jak tylko się dało. Szybko „wróciłam do równowagi”.

– Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak się nazywał ten psychiatra?

– Przepraszam, ale to tajemnica lekarska.

– Wiem, ale Sandra Moser i Bernadine Mello miały tego samego psychoanalityka. Shore przełknęła ślinę. Jej spojrzenie znieruchomiało.

– Doktor Leo Chesler.

– Nie ten sam. Proszę kontynuować. Shore ponownie przełknęła ślinę.

– W czasie „leczenia” poznałam niezwykle wrażliwą pielęgniarkę. Odmieniła moje życie. Nie ma jej tu teraz, przeprowadziła się do innego miasta, ale poznała mnie z kilkoma kobietami z kręgu Dorothy Samenov. Był to okres przed pojawieniem się Vickie Kitarie. Nikt z nas nie wiedział o smutnej historii Dorothy i Ackleyów. Jeżeli chodzi o tego typu... tragedie, wszystkie byłyśmy jak niewinne dziewczęta. – Zwróciła się teraz do Palmy: – Nie oczekuję, że pani mnie zrozumie, ale prawda jest taka, że wolę podwójne życie od życia bez uczuć. To smutne, że nie mogę otrzymać ich od męża, ale nie potępiam go. On nie blokuje emocji z okrucieństwa, jedynie w jego osobowości jest jakaś pustka, brak, którego nikt z nas nie jest w stanie zrozumieć. Już przed laty doszłam do wniosku, że Bóg nie tworzy idealnych ludzi, lecz złamanych, okaleczonych, niedoskonałych. Uważam, że aby stać się pełnym człowiekiem, musimy związać się z drugim niedoskonałym człowiekiem. Jeżeli się nad tym zastanowić, to wcale nie taki głupi plan. Zrobiłam to z Morganem.

Kocham go i on wie o tym. Nie odmawiam mu niczego, seksualnie ani w żadnym innym zakresie. Potrzebuje mnie i jestem szczęśliwa, że mogę dać mu to, co posiadam. Tego jednak, czego on mi nie może dać, muszę szukać gdzie indziej. To konieczne, bym mogła przeżyć. Czy to zdrada? Tak. Czy to gorsze od rozbicia rodziny, zranienia jego i chłopców, zniszczenia dwóch karier zawodowych i szczęścia, jakie daje nam bycie rodziną? Wątpię. To mój sposób na życie. Można mnie potępić, ale nie wiem, czy ten, kto by to zrobił, miałby do tego prawo.

Ten długi, spokojny monolog mógł służyć wielu celom – uzyskaniu zrozumienia, odsunięciu od siebie opinii osoby nieczulej, mogła bowiem uważać, że Palma tak ją traktuje. Na pewno była to też próba szczerzej rozmowy. Znakomita, poparta okazaniem swoich licznych słabości. To, że nie od początku była szczerą, miało powód w strachu.

Palma skinęła głową i zatrzasnęła torebkę.

– A co będzie z kobietami, które czeka śmierć? Na twarzy Shore ukazał się wyraz rozczarowania.

– Nie daje nam pani szans, prawda? – Kiedy przyglądała palcami włosy, mignął pierścionek z perłą. – Od dnia, w którym dowiedziałyśmy się o śmierci Dorothy, pozostajemy w ścisłym kontakcie. Nie sądzę, by choć jedna z nas nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

– Bernadine Mello została zamordowana przedwczoraj wieczorem. Nie wie pani, czy należała do waszego kręgu?

– Już mówiłam, że jesteśmy podzielone na grupki, ale to oczywiste, że wszystkie chciałybyśmy wiedzieć, kto miał kontakt z zabitymi. Nikt, z kim rozmawiałam, nie znał jej. Podejrzewam jednak, że gdyby ktoś z grupy ją znał, wiedziałabym o tym. Odkąd to wszystko się zaczęło, utrzymujemy ze sobą stały i ścisły kontakt.

Palma kiwnęła głową.

– Dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić swój czas. Shore zatrzymała ją, kładąc dłoń na ramieniu Palmy.

– Wspominała pani o Morganie.

– Musimy sprawdzić każdego. Nie wolno nam zakładać niczyjej niewinności. Twarz Shore wyraźnie zdradzała niepokój.

– Może pani nie uwierzy – dodała Palma – ale naprawdę staramy się być dyskretni. Element biseksualizmu jest utrzymywany przez nas w tajemnicy. Uważamy to za korzystne z kilku powodów.

Doktor Alison Shore ponownie splotła ramiona na piersi i Palma wyszła z jej gabinetu.

Rozdział czterdziesty

Palma stanęła przy wielkich frontowych oknach holu Baylor College of Medicine. Zapinała pasek płaszcza i obserwowała gnane wichrem smugi deszczu, smagającego stojące na parkingu samochody. Popatrzyła na zegarek. Za pół godziny miała umówione spotkanie z Lindą Mancera i Terry. Postanowiła poczekać jeszcze kilka minut w nadziei, że ulewa przycichnie. Choć teraz wiatr uderzał w gwałtownych podmuchach, spadał z ciemnego nieba, wściekle siekąc strugami deszczu, to na pewno nie potrwa już długo. Palma myślała o Alison Shore i zastanawiała się, co tamta kobieta zrobiła po jej wyjściu. Zamyśliła się nad tym, ile kobiet w samym Houston jest związanych z mężczyzną, z którym nie może porozmawiać, ile robi to samo co Alison Shore – zastanawia się nad swoimi życiowymi celami, przemyśliwa, czy trzymać się, czy też opuścić tego, kto nigdy ich nie zrozumie.

Kiedy Shore mówiła, że w końcu pogodziła się z niemożliwym do przełamania dystansem, Palmie mimo woli przypominały się sceny z własnego małżeństwa. Opowieści o wyobcowaniu, jakich w ostatnim tygodniu wysłuchiwała od kobiet i mężczyzn, z którymi rozmawiała, zdawały się dowodzić niezgodności płci, czegoś tak trywialnego, że nie warto było o tym wspominać. Dysharmonia osobowości mężczyzny i kobiety oraz różnica ocen, co jest dobre, a co złe, wydaje się tak stara jak sam gatunek ludzki i choć mężczyźni oraz kobiety muszą zwracać na siebie uwagę od tysiącleci,

nie są chyba dziś bliżsi porozumienia niż w zamierzchłych czasach.

Morderstwo na tle seksualnym jest apogeum niedopasowania płci i w nim ów prastary antagonizm osiąga monstualne rozmiary, mityczny poziom zepsucia. Archetypowe wyobrażenie mężczyzny – agresora i kobiety – ofiary zostało dawno zmitologizowane, krąży przez wieki i kultury w wielu przewrotnych postaciach, po wsze czasy zakorzenione w umysłach mężczyzn i kobiet od Persefony po Picassa.

Widząc, że deszcz słabnie, Palma podniosła kołnierz, pchnęła ciężkie drzwi i wyszła w parny mrok wiosennej burzy.

Kiedy zwalniała przed bramą domu Lindy, natychmiast rzuciło jej się w oczy wiśniowe ferrari. Kiedy brama się otworzyła, wjechała i zaparkowała obok sportowego samochodu. Nie spieszyła się z wysiadaniem, poprawiła płaszcz i zajrzała do kremowego, wyściełanego skórą wnętrza ferrari. Zwróciło jej uwagę, jak równomiernie układają się krople na doskonale wypolerowanej karoserii. Od czasów, kiedy Terry mieszkała z Louise Ackley w mizernym szeregowym domku w Bellaire, jej życie musiało się wyraźnie zmienić na lepsze.

Idąc do frontowych drzwi, Palma starała się nie zwracać uwagi na lekki ucisk w żołądku. Już postanowiła, że będzie się zachowywać tak, jakby minionego wieczora nic się nie wydarzyło. Uważała, że może plan nie jest zbyt oryginalny, ale przynajmniej inteligentny. Choć zdarzyło się wiele, nie miała nastroju na gierki. Nie był na nie czas, a pod żadnym pozorem nie zamierzała włączać się do gry,

którą zainicjowała Mancera.

Nacisnęła dzwonek, po chwili Linda otworzyła drzwi. Miała na sobie kremową lnianą spódnicę i bluzkę i uśmiechała się, choć przepraszała, jakby zrozumiała, że wczoraj nieco przesadziła. Kiedy się witały, uważnie przyglądała się Palmie – jakby chciała zbadać nastrój policjantki, na szczęście po chwili było po wszystkim i poszły do salonu, gdzie na kanapie siedziała Bessa, ubrana w podkreślającą jej szczupłą figurę bladożółtą kombinację szortów i bluzko-gorsetu.

W ogromnym fotelu po jej prawej ręce siedziała nieduża, spoglądająca przerażonym wzrokiem blondyneczka ubrana w prostą różową sukienkę. Wyglądała niezwykle krucho. Kiedy Mancera przedstawiała sobie panie, dziewczyna wstała i wyciągnęła drobną, delikatną dłoń, nerwowo się uśmiechnęła i zaraz usiadła z powrotem, aby znów się bawić błękitnym kamiennym jajkiem, które wzięła ze stolika przed sobą. Choć były ubrane całkiem zwyczajnie, stroje trzech przyjaciółek świadczyły, że ich dochód kilkakrotnie przekracza zarobki Palmy.

– Zakładam, że Linda wprowadziła panią w sprawę – zaczęła Palma siadając naprzeciwko Terry. Mancera usiadła na kanapie obok Bessy i oparła oliwkowe ramię na nagim udzie Jamajki. Terry, której nazwisko nie padło, skinęła głową. Unikała wzroku Palmy. – Przejdę od razu do rzeczy – powiedziała Palma i nieduże oczy Terry, malowane tak, że wydawały się wielkie, spoczęły na niej. – To bardzo ważne, aby potraktowała pani naszą rozmowę poufnie. W chwili

obecnej przekazanie komukolwiek tego, o czym rozmawiamy, może się bardzo źle skończyć. – Mówiąc to, Palma popatrzyła po kolei na obecne kobiety, na koniec jednak skoncentrowała wzrok na Terry. – Gil Reynolds jest podejrzany. Nie jest jedynym, ale jednym z kilku. Przy każdym morderstwie ofiara została zmasakrowana w specyficzny sposób. Po części w bardzo specyficzny. – Przerwała, aby ich wyobraźnia mogła chwilę popracować. – Rozumiem, że Louise Ackley opowiadała pani o swoich sesjach „dyscypliny” z Gilem Reynoldsem? – spytała Palma i Terry ponownie skinęła głową. Musiała mieć około dwudziestu siedmiu, może ośmiu lat, czyli tyle samo co Vickie Kittrie. – Chciałabym, aby pani możliwie dokładnie opisała, jakie Reynolds odgrywał scenariusze. Czy lubił coś szczególnie, jakąś określoną technikę albo typ kontaktu? Istniało coś, co było dla niego szczególnie ważne? Czy w epizodach z Louise wykorzystywany był jakiś ulubiony przedmiot albo czy mieli ulubioną „grę”?

Terry przełknęła i kiwnęła głową, że rozumie, ale nie zaczęła od razu mówić. W dalszym ciągu bawiła się kamiennym jajkiem, jej szczupłe palce obracały je, gładkały gładką, owalną powierzchnię.

– Nie zawsze było tak samo – stwierdziła w końcu. – Nie odgrywali rutynowego scenariusza, w którym wszystko jest dokładnie ustalone z góry. Była pani w mieszkaniu Louise... i nie znalazła tam nic rodem ze średniowiecznej izby tortur. Nie interesowało ich odgrywanie scen ani nie potrzebowali akcesoriów i właśnie to odróżniało ich od tego, co zwykle się... w tych sprawach... widuje. – Po-

chyliła tułów do przodu, odstawiła błękitne jajko i wzięła beżowe nakrapiane brązowo. Palma zauważyła, że Mancera i Bessa wymieniły się spojrzeniami. – Odróżniali się także tym, że ich spotkania nie miały choreografii. W najmniejszym stopniu nie udawali, że liczą się potrzeby Louise. Nie mieli bezpiecznych słów. Była to nie owijana w bawełnę, od początku ostra zabawa. Reynolds lubił ranić, Louise chciała być raniona. Nie robił nic szczególnego ani niecodziennego, co zaspokoiłoby jej potrzeby, jedynie to, na co sam miał ochotę. Pozostawiała mu wolną rękę, przez co właściwie okazywała mu ślepą wiarę, że jej nie zabije ani nie okaleczy. Było to jak wkładanie głowy w paszczę tego akurat lwa w klatce, którego impulsów nie da się przewidzieć. Coś jak rosyjska ruletka – sadomasochizm bez ograniczeń z nieprzewidywalnym końcem, ale obojgu tak się podobało.

Terry zrobiła z palca wskazującego i kciuka kółko, i przesunęła przez nie powoli jajko. Potem przepchnęła je z powrotem, znacznie wolniej i z namysłem. Palma spojrzała na Lindę, która przyglądała się manipulującym jajkiem drobnym palcom Terry. Kiedy Palma spojrzała na Besse, okazało się, że Jamajka obserwuje ją z wielką powagą.

– Nie wiem, czy miał fetysze – odezwała się znów Terry. – Przynajmniej Louise o niczym takim nie mówiła. Zazwyczaj wiedziała, kiedy przyjdzie, choć nigdy nie wiedziała, co się stanie. Umiał być okrutny fizycznie, a kiedy lepiej poznał Dorothy, wiele z tego, co się od niej dowiedział, wykorzystywał do psychicznego

znęcania się nad Louise. Aby ją zranić, mówił o kazirodztwie i tym podobne.

– Zdawało mi się, że Reynolds najpierw poznał Dorothy.

– Nie, Gil najpierw poznał Dennisa Ackleya i kilku jego popapranych kumpli. Nie wiem, w jaki sposób, ale to przez nich poznał Louise. Dorothy poznał przez Louise.

Wynikało z tego, że Reynolds naopowiadał Palmie sporo kłamstw. Skurwiel był w tym niezły, tak dobry, że przez jakiś czas wcale nie myślała o nim jako o podejrzanym. Przypomniała jej się maksyma ojca: „Przestępstwo nie zawsze da się pogodzić ze sprawcą”. Oznaczało to, że nigdy nie wolno uwierzyć, że ktoś „nie byłby w stanie tego zrobić”. Powtarzał także: „Dobry kłamca jest w stanie sprawić, że zignorujesz dowody.” Palma zachowała się jak nowicjusz.

– Czasami zastanawiałam się, dlaczego Louise opowiadała mi to wszystko – powiedziała Terry. – Niekiedy mówienie o tym sprawiło jej ogromny ból, mimo to chciała opowiadać. Ze wszystkich osób, jakie znam, Louise miała najniższy poziom samooceny. Wciąż wymyślała sobie kary. Jestem pewna, że jej uczestnictwo w sprawach sado-maso właśnie temu służyło, karaniu się i przez opowiadanie mi o wszystkim, jeszcze nasilała efekty. Nigdy nie byłam w stanie przyzwyczaić się do tego, co opowiadała, nie byłam w stanie zrozumieć, jak może pozwolić, aby robił z nią to wszystko.

– Trzymała jajko w dłoni i przyglądała mu się. Nie lubiła patrzeć w oczy. Praktycznie cały czas unikała wzroku Palmy. – Wydaje mi

się, że powtarzało się kilka elementów. Niektóre epizody kończyły się tym, że ją wiązał, podczas innych ciął nożem, żyłką albo szkłem, jeszcze inne były wybitnie skatologiczne. – Popatrzyła na Palmę, aby sprawdzić, czy użyła znanego jej słowa. Kiedy Palma skinęła głową, ciągnęła dalej. – Ona nigdy nie wiedziała, czego się spodziewać, czasami łączył różne rzeczy, zawsze jednak zostawiał ją „bez zakończenia”. – Przerwała i na jej twarzy ukazał się wyraz zaskoczenia. – Może właśnie to był jego „podpis” – coś co robił zawsze. Zawsze pozostawiał ją poniżoną, jak wyrzucony na brzeg śmieć. Zostawała w pętach, krwawiąca, pobrudzona odchodami. Nigdy nie miał dość poniżania jej i zawsze zostawiał ją w tragicznym stanie. Nie pamiętam, aby wspominała o jakimś jego ulubionym obiekcie, szczególnej technice albo wybranym scenariuszu. Pamiętam, że wszystko nawracało. Mówiła, że jest całkiem nieobliczalny i zboczony.

– Którą ze wszystkich jej opowieści zapamiętała pani szczególnie? Terry nie musiała się długo zastanawiać.

– Była taka jedna rzecz, którą zrobił z nią dwa, może trzy razy. Pod jej domem było miejsce, że kiedy zaparkowało się tam samochód, a ona w określony sposób odsunęła zasłonę w oknie, dało się obserwować przez okno sypialni głowę łóżka. Była to wążutka szparka, niewidoczna gołym okiem, ale Reynolds wszystko przemyślał. Podjeżdżał w nocy pod jej dom i dzwonił do niej z telefonu komórkowego, a potem patrzył przez lunetkę karabinka snajperskiego, jak Louise przestawia meble i odsuwa zasłonę, aby miał widok.

Kiedy wszystko było gotowe, wchodził do mieszkania i przyklejał jej powieki przezroczystym przylepcem aby... no wie pani... – Terry zademonstrowała to na własnych oczach podciągając zewnętrzne kąćki w górę. – Żeby wyglądała orientalnie. Potem wracał do samochodu, siadał w ciemności i obserwował ją przez lunetkę karabinu. Miała za zadanie robić podniecający striptiz. Kiedy w końcu się rozebrała, musiała robić różne rzeczy, jakie na gorąco dla niej wymyślał, seksualne czynności z całkiem przypadkowymi przedmiotami. Kończyła przedstawienie rozbiciem oczoło pojemnika z czerwoną farbą. Reynolds obserwował wszystko przez lunetkę, potem bez słowa odjeżdżał.

Kiedy skończyła, zapanowała głucha cisza. Mancera i Bessa wpatrywały się w drobną blondynkę, zahipnotyzowane jej obrazowym opisem zwyrodniałego związku. Zgoda Louise Ackley na chorobliwe wymagania Reynoldsa ujawniała, że z nich dwojga ona była bardziej anormalna. Jej nienawiść do samej siebie musiała być niezwykła.

– Często próbowałam sobie wyobrazić, co musiało krążyć w jej głowie w trakcie ich „spotkań” – odezwała się znów Terry, jakby czytała w myślach Palmy. – Zazwyczaj zaczynała opowiadać dopiero późnym wieczorem, kiedy trochę sobie wypijała. Jej opowieści wpływały z niej tylko w nocy – jak duchy. Możliwe, że w dzień lepiej sobie radziła z demonami. – Terry zamyśliła się na chwilę, popatrzyła na swoje dłonie, potem skrzywiła z rezygnacją usta i mówiła dalej. – Była jeszcze jedna przedziwna rzecz, jaką robił,

może najbardziej zboczona. Była związana z oczami Louise.

Palma poczuła skurcz w żołądku.

– Z oczami?

– Tak. Coś przedziwnego. Pewnego razu pojawił się u niej nie zapowiedziany, mniej więcej o jedenastej wieczór. Przyniósł ze sobą zestaw szminek teatralnych, kazał jej usiąść, zamknąć oczy i zabrał się za malowanie. Twierdziła, że zajęło mu to sporo czasu, wszystko robił bowiem z niezwykłą precyzją. Kiedy skończył, popryskał jej oczy nietoksyczną fiksatywą, aby farba się nie rozmasowała, kiedy otworzy oczy. Kiedy skończył, natychmiast wyszedł. Wtedy Louise poszła do łazienki się umyć i sprawdziła w lustrze, co jej namalował. Okazało się, że namalował na powiekach drugie oczy. Białka, tęczęwki w takim samym kolorze jak jej naturalna tęczęwka, źrenice. Bardzo szczegółowo. Rysunek był ponoć tak realistyczny, że miało się wrażenie, że Louise ma bez przerwy otwarte oczy.

– Czy to jedyny szczegół, jaki pamięta pani w związku z oczami? Terry skinęła głową.

– Chyba tak.

– Proszę spróbować sobie przypomnieć.

Terry popatrzyła na Palmę, skojarzyła, że za pytaniem o oczy musi się kryć coś ważnego dla śledztwa.

– To... naprawdę wszystko, co sobie przypominam.

– Czy Louise mówiła, co wtedy dokładnie zrobił? Terry popatrzyła na jajko w dłoni.

– Nie jestem pewna... Chyba ja związał. Związał i pobił. – Po-

wiedzenie tego przyszło jej z trudem. Pokręciła głową, zastanawiała się. – Chyba tak... po prostu ją pobił.

Wyglądało na to, że nie ma ochoty mówić dalej. W dalszym ciągu unikając wzroku Palmy, odłożyła nakrapiane jajko i wzięła inne – jasnoturkusowe z rdzawymi plamkami. Było nieco większe od poprzedniego i zamknęła je w dłoni. – Nie umiała dać sobie rady z myślą o kazirodztwie. Wie pani o tym?

Palma skinęła głową.

Terry przez chwilę zatrzymała wzrok na Palmie, potem znów spuściła oczy i zaczęła obserwować jajko.

– Mówiła, że są takie dni, kiedy umie o tym zapomnieć, ale nigdy na długo. Dennis był zawsze obecny. Traktował ją jak swoją kochankę. Nie znam przypadku, aby mu odmówiła. To było nie do wiary. Ona po prostu była urodzoną ofiarą.

Nie! Nie ma „urodzonych” ofiar – nieoczekiwanie wtrąciła Bessa. Niemal to wykrzyczała, jej jamajski akcent ciął pojedyncze sylaby, podkreślane szybkimi ruchami długiej ręki. – Posłuchaj, dziewczyno! Zabił ją właśnie taki sposób myślenia. Okłamywała się. Na Boga, jeżeli w tym wszystkim istnieje jakakolwiek prawda, to brzmi ona, że wina leży zupełnie gdzie indziej! – Bessa wstała nerwowo, wzięła papierosa i zapaliła go złotą zapalniczką. Usiadła z powrotem na kanapie, skrzyżowała nogi i spojrzała na Palmę. Mancera odsunęła się od niej i popatrzyły na siebie z Terry, jakby wiedziały, co teraz nastąpi. Bessa zaciągnęła się kilka razy i zwróciła się do Palmy. – Posłuchaj. Wszystkie te kobiety, te ofiary, to ofiary molestowania

seksualnego w dzieciństwie. Dorothy. Sandra. Louise. Vickie, Mary, Giną, Virginia, Meg. Każda jedna, która bawi się w sado-maso, była w dzieciństwie wykorzystywana seksualnie. Kazirodztwo. To jedyna prawdziwa tajemnica tych kobiet. Kazirodztwo. – Bessa nerwowo ssała papierosa. – Nie wiem, co ten wariat na ten temat wie, jeżeli wie cokolwiek, ale powiem ci, że to naprawdę dziwne, jak Kittrie udało się je wyśledzić. – Pokręciła głową, wpatrzona w Lindę.

– Zanim zjawiała się pani wczoraj na przyjęciu, szeroko omawiałyśmy problem – wyjaśniła Palmie Mancera. – Niektóre z nas uważają, że to wątek przewodni tych morderstw, jest jednak wiele kobiet, które nie chcą o tym nic słyszeć.

– Dlaczego?

– Mimo ogromnej ilości literatury, jaka krąży na ten temat w środowisku lesbijek, jest on dla nas w dalszym ciągu tak samo tabu jak dla reszty społeczeństwa – wyjaśniła Mancera. – Wstyd nigdy nie był modny.

– W jakim znaczeniu miałby to być motyw przewodni?

– W tym, że jest wspólnym mianownikiem każdego zabójstwa. No i sado-maso.

– Chce pani powiedzieć, że istnieje związek pomiędzy obydwoma zjawiskami?

– No... nie do końca, ale...

– Bo istnieje! – przerwała Bessa kierując słowa do Mancery. – Istnieje jednoznaczny związek, ale nikt nie chce o tym mówić, ponieważ sprawa nie jest dla kobiet przyjemna. Polityka! Wszelkiego

typu wykorzystywanie nas przez mężczyzn trwało tak długo i było tak przerażające, że w naszym obłudnym poczuciu bycia ofiarami stałyśmy się kołtuńskie! Dotyczy to zwłaszcza tych bardziej „walczących” spośród nas, tych spod znaku „penis-to-szatan”. Niech je cholera weźmie. One nie mają odpowiedniego dystansu. – Następnie zwróciła się do Lindy i Terry. – Nie uważamy tak, dlaczego więc pozwalamy, by te kobiety wymuszały na nas milczenie? – Odwróciła się znów do Palmy. – Prawda jest taka, że w całym kraju rosnącym problemem jest agresja wewnątrz społeczności lesbijek. Kobiety biją kobiety, kochanka maltretuje fizycznie kochankę. Zdarza się to tak często, że problem został ogólnie zauważony, tak nas to jednak zawstydza, że milczymy. Nie chce nam przejść przez gardło, że pod tym względem kobiety zachowują się tak samo jak mężczyźni. – Bessa pochyliła się do przodu, zdusiła niedopałek w popielniczce i popatrzyła na Palmę. – Coś ci powiem. Starając się dorównać mężczyznom, nieco za bardzo obciążyliśmy szale. Prawda jest taka, że nie jesteśmy w niczym gorsze od mężczyzn, ale i w niczym nie jesteśmy lepsze. Nie mamy wcale lepszego poczucia sprawiedliwości, nasza zdolność współczucia nie jest mocniejsza, nasze duchowe wizje nie są bardziej święte. Jesteśmy w stanie kierować się takimi samymi uprzedzeniami co mężczyźni, umiemy być tak samo bezlitosne i złe. – Znów przerwała, nie odwracała jednak oczu od Palmy. – I tak samo agresywne. – Podniosła dwa palce. – Przez dwa lata pracowałam w Waszyngtonie w organizacji zajmującej się działalnością dobroczynną dla dzieci i widziałam, jakim piekłem może być

dzieciństwo. Fakt, w większości przypadków wykorzystywania seksualnego sprawcami są mężczyźni, ale to nie jest całkowita prawda. Widziałam także matki, traktujące swoje dzieci jak zwierzęta, widziałam, jak wykorzystują je seksualnie, torturują i mordują. Zdarzało się to o wiele częściej, niż sobie mogłam wyobrazić. Zmieniło to moje poglądy na temat „świętości” macierzyństwa oraz „wrodzonej” gotowości i zdolności kobiety do czułości i opieki.

Palma nie była pewna, czy Bessa ją popiera, ale mówiła zdecydowanym tonem, jakby prowadziła wykład i Palma poczuła łaskotanie, które pojawia się, kiedy ma się nowy, szczególnie ciekawy pomysł. Jej myśli skakały od długiej rozmowy telefonicznej, którą odbyła z Grantem, do dzisiejszej porannej odprawy, od rozmowy z Claire do ostatniej rozmowy z matką, od treści listów Ackley-Samenov-Ackley do sceny śmierci Bernadine Mello, od uwagi Granta, że wygoda poglądów to bardzo niebezpieczna rzecz, do jego opinii, że zabójca nie zabija kobiety, która jest z nim obecna fizycznie, ale tę, którą tworzy na podstawie zdeformowanego obrazu matki. Choć nie wiedziała, dlaczego ani co z tego wyniknie, kawałki układały się coraz szybciej – jak iskry, poprzedzające powstanie nieuniknionego łuku elektrycznego.

– Seksualne wykorzystywanie dzieci to szczególnie rodzaj zwyrodnienia – stwierdziła Bessa powoli i łagodnie, angielski akcent czynił jej słowa dobitniejszymi. – Nie zapominajmy, że w każdym z nas tkwi potencjał okrucieństwa, nie bagatelizujmy też faktu, do jakiego stopnia okrucieństwo wypacza duszę dziecka.

Przez dłuższą chwilę Bessa patrzyła Palmie prosto w oczy. Carmen miała wrażenie, że Jamajka – nie zdając sobie z tego sprawy – wzniciła ostatnią iskrę i teraz już tylko do Palmy należy, by impulsem woli i rozumu przemienić ją w ideę.

Nie było to jednak możliwe, ponieważ zaskoczyło ją napięcie promieniujące od Lindy i Terry, których co prawda nie widziała, ale których niepokój był wyraźnie fizycznie wyczuwalny. Nie wiedziała, jak poprowadzić rozmowę, nie chciała też, aby stracony został dobitny monolog Bessy, postanowiła więc sięgnąć do torebki i wyjęła trzy zdjęcia rozciągniętej na łóżku Dorothy Samenov, której towarzyszyła pozująca do aparatu zakapturzona postać. Podała je Lindzie.

– Chciałabym, żeby mi panie powiedziały, czy rozpoznają zakapturzonego mężczyznę albo czy wiedzą, gdzie zostały zrobione te zdjęcia.

– Boże... – szepnęła Mancera patrząc na pierwszą fotografię. Pokręciła głową, zmarszczyła czoło i obejrzała wszystkie po kolei. Zachowywała się przy tym, jakby jeszcze nigdy w życiu nie widziała podobnych scen. Na jej twarzy odmalowały się kolejno różne uczucia – zaskoczenie, ciekawość i współczucie dla Dorothy, której ciało w świetle flesza taniego aparatu zdawało się pozbawione krwi jak truchło. Po obejrzeniu podawała zdjęcia Bessie. Kiedy, wyraźnie wstrząśnięta, podała jej ostatnie, sięgnęła po kawę i papierosa. – Ja nic nie rozpoznaję. Skąd to pani ma?

– Znaleźliśmy w szufladzie komody w sypialni Dorothy.

– Nie... nic mi nie mówią. Przykro mi... naprawdę.

Bessa była znacznie bardziej opanowana. Popatrzyła na zdjęcia obojętnie, rzeczowo, pokręciła głową i podała fotografie Terry. Terry była nimi zaskoczona.

– No tak... – powiedziała przekrzywiając głowę przy trzecim zdjęciu. – To mieszkanie Mirel Farr. To jej „lochy”.

Palma wbiła w nią wzrok.

– Mirel Farr?

– Tak jest. Jest zawodową domina. Dennis Ackley znał ją. Była kiedyś dziewczyną jednego z jego kumpli.

– Jak się nazywał?

Terry odchyliła głowę do tyłu i zmrużyła oczy, aby się zastanowić.

– Barber... Barbish. Coś tam Barbish.

– Clyde?

– Tak, zgadza się! Clyde Barbish.

– Czy Dorothy często chadzała do tej Mirel Farr? – Palma starała się nie okazywać podniecenia.

– Nieczęsto. – Terry pokręciła głową i znów popatrzyła na zdjęcia. – Myślałam dotychczas, że nigdy tam nie była. Chadzali do niej Dennis, Barbish i Reynolds, ale nigdy nie słyszałam, że Dorothy też. Może to tylko po prostu nigdy nie wyszło na jaw. – Wstała i oddała zdjęcia Palmie.

– Czy Reynolds znał Barbisha?

– Oczywiście. Reynolds łąził z nimi wszędzie. On tylko mieszka w elegantszej części miasta, ale charakter ma tak samo oblesny

jak oni.

Palma nie była w stanie uwierzyć w swe szczęście.

– Czy wie pani, jak mogłabym się z nią skontaktować?

– Nie wiem, ale jeśli ma pani notes i rzeczy Dorothy, znajdzie ją pod kodem Alyson.

Palma zanotowała, potem wyjęła z torebki dwie wizytówki i położyła je na stoliku.

– Gdyby któraś z pań usłyszała, że Bernadine Mello była jednak związana z grupą, chętnie bym o tym porozmawiała. – Popatrzyła na Terry. – Dziękuję za pomoc. Może się zdarzyć, że będę jeszcze chciała z którąś z pań porozmawiać. – Wstała. – Proszę bez wahania do mnie dzwonić w każdej sprawie. O dowolnej porze. Jeżeli mnie nie będzie, proszę zostawić mi wiadomość w domu albo w pracy.

Do drzwi odprowadziła ją Linda i kiedy wyszły na werandę, zamknęła za nimi drzwi.

– Przepraszam, że... – zaczęła niepewnie – wczoraj wieczór zachowałam się może nieco... zbyt poufale. Powinna być mądrzejsza, ale składam to na karb tego, że zanim pani przyszła, trochę za dużo wypiałam.

Palma uśmiechnęła się do niej.

– Nic się nie stało. Nie wałkujmy tego. Mancera uniosła brew i kiwnęła z uznaniem głową.

– Nie chcę pani odstraszyć. Chciałabym, byśmy pozostali w przyjaźni.

– Ja też.

Pożegnanie było najzupełniej poprawne, co sprawiło Palmie ogromną ulgę. Już nieraz czuła podobne napięcie w kontaktach z mężczyznami, ale jeszcze nigdy z kobietą: koniecznie musiała powiedzieć sobie, że ich kontakt opiera się nie na seksie, lecz na przyjaźni. Była zaskoczona, przypominając sobie, jak często miała w życiu do czynienia z podobną sytuacją i jak trudne jest osiągnięcie w tym zakresie obopólnej ugody.

Myśl o geście Lindy szybko jednak została zepchnięta na bok przez podniecenie, wynikające z łańcucha pomysłów, dla których katalizatorem były słowa Bessy. Idąc szybkim krokiem, Palma próbowała poukładać kawałki łamigłówek, stworzyć teorię, do której by pasowały i która wyjaśniłaby sprzeczność poszczególnych dowodów, co coraz bardziej doskwierało Palmie.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Teraz, kiedy śmierć kobiet wyszła na jaw, wszyscy dziennikarze grzebali w ich życiorysach, zajmowali się „śledztwem”, odpytywali świadków, tropili rodziny ofiar i generalnie mącili detektywom wodę. Gazety publikowały całostronicowe artykuły o ofiarach, oczywiście ze zdjęciami i fragmentami życiorysów oraz mapkami, na których zaznaczono miejsca, gdzie znaleziono ciała.

Liczba zabójstw w tak krótkim czasie oraz fakt, że ofiary należały do klasy średniej, wywołały takie zainteresowanie, że łącznie do odbierania informacji od ludności nie milkło ani na chwilę. Childs i Garro zrezygnowali z wyjazdu do Houston Yacht Club, gdzie mieli sprawdzić alibi Teda Lesko, i zabrali się za przeglądanie protokołów. Kiedy Palma przyjechała do wydziału, Cushing i Boucher wrócili właśnie z kolejnej rundy sprawdzania nazwisk z notesu Samenov. Ktoś przyniósł kanapki i wszyscy poszli do gabinetu Frischa na zaimprovizowaną odprawę.

Palma właśnie skończyła opowiadać o rozmowach z doktor Alison Shore oraz Terry i rozglądała się po obecnych. Cushing zjadł jedynie kilka solonych chipsów, wyraźnie preferując „podrasowaną” colę, a Haws, który przed chwilą spałaszował kanapkę Cushinga z szynką i serem, kończył właśnie połowę kanapki Marleya. Garro, zamiast jeść, palił papierosa, a Leeland – obłożony notatnikami – konsumował hamburgera. Hauser wydrapywał resztki jogurtu z kubka, Grant, niezbyt zainteresowany swoją kanapką

z tuńczykiem, siedział zwrócony do Birleya i słuchał, co ten mówi. Wszyscy byli niewyspani i doskonale wiedzieli, że ten stan może potrwać jeszcze dłużej.

– ...tak więc doktor Morgan Shore jest czysty – mówił Birley. – Kiedy zabito Moser i Samenov, krążył po szpitalu i robił obchód.

– Reynolds twierdzi, że w czasie kiedy zabito Moser, siedział sam w domu – stwierdził Frisch. – A co z Moserem? Gdzie był, kiedy ktoś zabił jego żonę?

– Nie pytałam go o to – odpowiedziała Palma. – Rozmawiałam z nim na samym początku i jeszcze nie wiedzieliśmy, o co pytać.

Frisch popatrzył na Granta, siedzącego na niewygodnym, metalowym krześle. Miał koszulę z krótkim rękawem, ręce wbił w kieszenie spodni, założył nogę na nogę i wyciągnął je przed siebie. Na jego udach leżała tekturowa teczka. Miał bardzo zmęczone oczy i Palmie wydawało się, że bardziej skrzywił mu się nos. Spędził przedpołudnie na przeglądaniu taśm i zdjęć z miejsc zbrodni, robieniu notatek i rozmowie z Hauserem. Z uwagą wysłuchał raportu Palmy na temat relacji Terry, co Reynolds robił z Louise Ackley.

– Kiedy rozmawiałas z Reynoldsem, jak się zachowywał? – zapytał.

– Był pewny siebie. Sprawiał wrażenie bezpośredniego i całkowicie szczerego. Otwarcie przyznał, że to z jego winy rozpadła się jego rodzina – w wyniku romansu z Dorothy Samenov. Nie szukał wymówek. Powiedział, że sporo czasu zajęło mu, zanim był w stanie wziąć odpowiedzialność za to na siebie. W dalszym ciągu

nosi obrączkę, jakby z sentymentu, dla przywołania miłych wspomnień. Jezu...

Grant uśmiechnął się, jakby Palma opisała starego kumpla o opinii hulaki.

– Czujesz się głupio, że dałaś mu się omotać? Palmę zaskoczył osobisty ton pytania.

– No... tak. Muszę przyznać, że tak. Grant uśmiechnął się znowu.

– Jeżeli kiedyś znowu przydarzy ci się natrafić na kogoś podobnego, znów dasz się nabrać. To jedna z ich najbardziej przerażających cech. Znakomicie się przystosowują. Nie możesz mieć do siebie pretensji za to, że nie zauważyłaś czegoś, czego nie ma. – Grant wzruszył ramionami. – Dopiero potem poznałaś inne informacje na jego temat.

– Zgadza się. Najpierw od Claire.

– Czy wspomniała o tym, by Reynolds chwalił się, że był snajperem? Palma pokręciła głową.

– Nic takiego nie mówiła. Powiedziała mi jednak, że jeśli chcę dowiedzieć się więcej o sadystycznych zapędach Reynoldsa, powinienam porozmawiać z Lindą. Mancera zaś przekazała mnie do Terry.

– Wygląda to na szczęśliwy traf. – Grant popatrzył na teczkę. – Reynolds wygląda nieźle. Posiada większość cech, które pasują do profilu.

Palma cicho jęknęła. Dlaczego wcześniej nie przyszło jej to do głowy? Im bardziej Grant popierał kandydaturę Reynoldsa, tym

bardziej jej koncepcja będzie nie na miejscu.

– Jeżeli jednak okaże się, że na czas któregoś z morderstw ma porządne alibi, będziemy musieli dać mu spokój niezależnie od tego, jak ładnie do wszystkiego pasuje. – Grant wyjął rękę z kieszeni i dotknął teczki. – Jak na razie nie mamy żadnego dowodu na jego związek z którymkolwiek z przestępstw. Wiemy, że przestępca jest niezwykle ostrożny i jeżeli zostanie teraz zaalarmowany, natychmiast pozbędzie się wszystkiego, co wskazywałoby na jego winę. Gdyby teraz przestał zabijać – a nieraz bywało podobnie – nie mamy na niego nic. – Grant popatrzył na Frischa. – Uważam, że powinniśmy zachować przed nim w całkowitej tajemnicy, że jest głównym podejrzanym. Teraz jest z siebie bardzo zadowolony. Nikt nie przyszedł do niego na drugą rozmowę, prawdopodobnie więc uważa, że nie jest na pierwszej linii. Czuje się bezpiecznie. Pewnie. Pławi się w swoich fantazjach, bawi się nimi. Ale... – Grant uniósł ostrzegawczo palec – jego okresy ochłodzenia są coraz krótsze, co oznacza, że jego wyobraźnia eskaluje, pracuje coraz intensywniej. Im bardziej oddala się od rzeczywistości, tym bardziej rośnie prawdopodobieństwo nieostrożności z jego strony, zwłaszcza że uważa, iż jest poza podejrzeniem. Ostrzeżenie go mogłoby zadziałać jak otępliwiający policzek, a jego najgorszym wrogiem i naszym najlepszym sprzymierzeńcem jest teraz jego pewność siebie. Gdybyśmy mogli jeszcze więcej się o nim dowiedzieć, może udałoby się to wykorzystać.

– Jak więc proponujesz go teraz traktować? – spytał Frisch.

– Obejmijcie go stałą obserwacją. Załóżcie mu podsłuch

w mieszkaniu i w samochodzie. Zdobądźcie nakaz rewizji i przeszukajcie mieszkanie w czasie jego nieobecności. Podajcie sędziemu jako powód przeszukania poszukiwanie „trofeów”, choć wątpię, aby miał w domu cokolwiek wiążącego go bezpośrednio z morderstwami. – Grant pokiwał głową, jakby wiedział, o czym myślą obecni. – Tak, wiem, co przedtem mówiłem, ale po przejrzeniu taśm zaczynam mieć wrażenie, że mamy tu do czynienia z wyjątkiem. „Zdobyte” trofea mają dla niego szczególne znaczenie i uważam, że trzyma je w szczególnym, dobrze ukrytym miejscu. Nie może dopuścić do tego, żeby znalazła je któraś z kobiet, które spędzają u niego noc. Te „trofea” są dla niego święte. Kiedy nadchodzi czas na fantazjowanie, wyjmuję je uroczyście z ukrycia. Jeżeli chodzi o podsłuch, mam nadzieję, że uda nam się przejąć jego rozmowę z Barbishem.

– Jaki jest więc prawdziwy cel rewizji?

– Są dwa. Po pierwsze, chciałbym mieć dokładne zdjęcia wszystkich pomieszczeń, mebli, książek, zawartości szuflad, szaf, wszystkiego, co tylko da się sfotografować. Może będziemy mieć szczęście i znajdziemy trofea. Jest jednak szczywany i wszystko wskazuje na to, że nie znajdziemy dowodów, aby go przyłapać – chyba że wpłyniemy odpowiednio na jego psychikę i mu odbije. Tacy jak on są jednak niezwykle opanowani i nie jest to łatwe. Dlatego zanim wykonamy jakikolwiek ruch mający wpłynąć na jego działanie, musimy dobrze się przygotować. To, co robi, robi bez śladu poczucia winy. Wątpię, aby był wrażliwy na stres, póki więc

nie będziemy o nim wiedzieć więcej, trudno będzie wywierać na niego presję. Po drugie, chcę zdobyć próbkę jego zapachu.

Grant na tym skończył, nikt nie miał w tym względzie pytań. Znów odezwał się Leeland.

– Carmen już go sprawdzała w danych obyczajówki, wywiadu wojskowego i wszystkich innych komputerach. Nic z tego nie wynikało. Zamierzam jeszcze zamówić jego akta wojskowe, żeby sprawdzić, czy w związku ze swoją robotą w Wietnamie miał jakieś problemy z przełożonymi.

Bardzo dobrze. – Grant wziął notes i zaczął coś pisać. – Powinniśmy też zebrać nieco informacji na temat Denise Reynolds Kapłan. Zwłaszcza z okresu kiedy nosiła nazwisko Kapłan. Zdobądźcie zgłoszenie jej zaginięcia. Sprawdźcie, czy kiedykolwiek miała kontakty seksualne z którąkolwiek z ofiar. Potrzebne jest nam jej dobre zdjęcie, żeby sprawdzić, czy była podobna do ofiar po umalowaniu przez zabójcę. Spróbujcie się dowiedzieć, które kobiety z grupy Samenov były jej kochankami i czy pamiętają cokolwiek, co mówiła na temat związku z Reynoldsem. Dowiedzcie się wszystkiego na temat jej osobowości.

– A co ze sprawdzeniem jego alibi w wieczory morderstw? – spytał Birley. Grant zmarszczył twarz i przechylił głowę na bok, aby podkreślić trudność decyzji w tym zakresie.

– Boję się go ostrzec. – Popatrzył na Frischa, potem na Palmę i Birleya. – Jeszcze bym się z tym wstrzymał. Zaczekajmy i zobaczymy, czego dowiemy się w najbliższej przyszłości.

– Jedna sprawa – powiedział Garro zapalając kolejnego papierosa. – Wiemy, że Moser, Samenov i Louise Ackley robiły z Reynoldsem dość ostre kawałki. Nie wiemy, czy Mello też. Nawet nie wiemy, czy go znała.

– To prawda – zgodził się Lew Marley. – Wygląda mi na to, że jeżeli są w grupie inne kobiety, które miały z nim kontakt, im właśnie grozi największe niebezpieczeństwo. Wróci do nich.

Grant zrobił kolejną notatkę.

– Ponieważ wszystkie rozmawiały o sprawie, nie sądzisz chyba, że Reynoldsowi mogłoby się udać z którąkolwiek z nich umówić? Wyobrażam sobie, że podejrzewają go tak samo jak i my. Może się okazać, że został wypchnięty poza krąg, co stanie się dla niego źródłem niezadowolenia, na co bardzo liczę.

– Nie jestem o tym przekonany – stwierdził Birley pogryzając kawałek marynowanej cebulki. – Nie wyobrażam sobie, aby nie miał dostępu do jeszcze innych kobiet. Może znać je przez Mirel Farr, mógł je poznać w barze albo na ulicy. Czy nie powinniśmy dać Farr zdjęcia Mello, aby sprawdzić ich związek?

– To na pewno. – Grant głaskał się po wąsach i wyglądał przez okno. – Zastanawiam się tylko, czy z zachowaniem Reynoldsa ma związek fakt, że wszystkie te kobiety były w dzieciństwie ofiarami wykorzystywania seksualnego. Czy mógł o tym wiedzieć? Ciekawe, co z Bernadine Mello, zwłaszcza gdyby rzeczywiście się okazało, że nie była członkinią grupy. Chciałbym dowiedzieć się czegoś o jej dzieciństwie.

- Doktor Broussard – wtrąciła Palma. Grant skinął głową.
- Taak... Powinniśmy z nim porozmawiać. Dzisiaj.
- Chciałabym postawić pewien temat pod dyskusję – powiedziała Palma.

Grant skończył pisać w notesie i podniósł na nią wzrok. Kątem oka dostrzegła, że ręka Cushinga zatrzymuje się w połowie drogi do ust niosąc puszkę z colą. Pozostali patrzyli z lekkim zaskoczeniem. Robiła, co mogła, aby nie okazać wahania. Nie chciała, aby któryś z nich domyślił się, jak niepewne się czuje, choć jeszcze tak niedawno, po rozmowie w domu Lindy, była przekonana o swojej racji. Wtedy, w jednej chwili objawienia, wszystkie elementy łamigłówki wskoczyły na miejsce.

Popatrzyła na Granta.

– Kiedy jechaliśmy wczoraj do Samenov, powiedziałeś, że mamy do czynienia nie ze szczególnego rodzaju mordercą, a z mordercą ze szczególnego rodzaju odchyłką. Uważam jednak, że mamy do czynienia ze szczególnego rodzaju mordercą... różniącym się od standardu w podobnych przestępstwach. – Przerwała na chwilę, choć nie powinna. – Uważam, że morderca jest kobietą.

Minęło kilka sekund ciszy, po których Cushing rzucił sarkastyczne: „O kurwa...”, a Gordy Haws prychnął. Na twarzy Granta nie drgnął ani jeden mięsień, jedynie skinął głową, aby mówić dalej. Z chęcią zobaczyłaby minę Birleya albo Leelanda. Może na ich twarzach było coś innego niż wzgarda, wyniosłość lub zmuszanie się do taktownego zachowania wobec koleżanki.

Palma była jednak przygotowana do dyskusji.

– Zacznijmy od stanu ciała. Użyto kosmetyków, olejku do kąpieli, lakieru do paznokci. Przy założeniu, że użyła ich kobieta, przestaje to być szokujące. Biorąc pod uwagę niecodzienny stan psychiczny sprawczyni, byłoby to wręcz „naturalne” zachowanie. Ubrania ofiar zostały skrupulatnie złożone. Jak sam powiedziałaś, nie w sposób „wojskowy”, bardziej w stylu typowym dla osoby kompulsywnej. Może dla kogoś, dla kogo sprzątanie stało się „drugim ja”? Żony, matki, kogoś nauczonego skrupulatności, która potem została wykoślawiona przez chorobliwą osobowość. To samo dotyczyłoby skrupulatności w pozostałych działaniach oraz mycie zwłok. Ofiary spotykały się z zabójcą dobrowolnie. Żadna kobieta z grupy Samenov ani żadna im podobna nie zawahałaby się przed spotkaniem z inną kobietą. Nie byłby potrzebny żaden przymus. Nie wiązałoby się z tym najmniejsze ryzyko. W takim przypadku nie byłoby nawet szansy na pojawienie się „podskórnego” poczucia zagrożenia, wyzwalanego z powodu ostatnich wydarzeń przez obecność nawet najmiłszego mężczyzny. Wymieniłaś szereg anomalii – mówiła zwracając się w dalszym ciągu do Granta – zachowań nie pasujących do zwykłej charakterystyki zorganizowanego przestępcy, które byłyby jednak logiczne, jeżeli sprawcą jest kobieta: ofiary nie były namierzonymi obcymi. Kobiety nie prześladują innych kobiet, zabójczym należy do grupy Samenov i znała wszystkie ofiary, co jest też kolejnym powodem, dlaczego spotkały się z nią z wolnej woli. Ciała ofiar nie zostały ukryte. Bo nie było potrzeby. Morderstw nie doko-

nano w ustronnych miejscach publicznych, takich jak park, brzeg jeziora czy nie uczęszczana droga, typowych dla gwałtów przeprowadzanych przez mężczyzn. To logiczne, aby kobieta, zwłaszcza działająca w strefie „grupy”, spotykała się ze swoimi ofiarami w hotelu albo w domu. W miejscu „prywatnym”. Nie przeniesiono nigdzie ciał ofiar. Też nie było potrzeby, a może dlatego, że wymagałoby to siły przerastającej możliwości kobiety. Zabójczym obeszła tę przeszkodę wykorzystując zamiast mięśni mózg – wybrała takie miejsca, w których dla uniknięcia przez dłuższy czas odkrycia ciała nie jest konieczne usuwanie go. Bajka, że kobiety są zbyt delikatne do tego typu agresywnych zachowań, woła używać trucizny i wynajmować płatnych zabójców, nie da się utrzymać w kontekście faktu, że mamy tu do czynienia z entuzjastkami najostrożniejszych wariantów sadomasochizmu, przyzwyczajonymi do używania więzów. Są nawykłe do stosowania przemocy, poznały najrozmaitsze jej formy i wyrażają zgodę na uczestniczenie w wykorzystujących ją „grach”, są nimi wręcz zachwycone. Mamy zeznanie doktor Shore, że sado-maso Vickie Kirtzie było tak gwałtowne, że niemal „zagrożająca śmiercią” i że o mało nie zabiła Walkera Bristola.

Ktoś znów parsknął śmiechem – pewnie Cushing albo Haws – jedyni na tyle beczelni, by zamiast milczeniem, wyrażać swą opinię co do babskich majaków śmiechem. Palma nie zawahała się jednak nawet na sekundę.

– Ugryzienia. Przyznam, że z początku mnie zwiódły, ponieważ w przypadku przestępstw na tle seksualnym są zwykle kojarzone

z męską agresją. Myślałam o nich z męskiej perspektywy, ponieważ uczyli mnie – choć najlepsi, włączając w to Johna oraz mojego ojca – ale mężczyźni. Przyszła mi jednak w pewnym momencie myśl, że można spojrzeć na te ugryzienia inaczej. Nie da się zaprzeczyć, że podobne ugryzienia mogą zostać dokonane równie dobrze przez mężczyznę, jak i przez kobietę. Zaświtało mi, że pasują one do jednego ze starych schematów na temat walczących, agresywnych kobiet – które kopią, drapią i... gryzą. Brak spermy na miejscu zbrodni. Zdaję sobie sprawę, że w przestępstwach na tle seksualnym często nie znajduje się na miejscu zbrodni spermy, ale moja teoria inaczej wyjaśnia, dlaczego w tych przypadkach tak było. Czas. Wspomniałam, że czwartek wieczór może być jedynym w tygodniu wolnym wieczorem sprawcy. To samo dotyczy kobiety. Klubowy wieczór. Aerobic. Moser poszła na spotkanie ze sprawcą w sportowym ubraniu, czyli najprawdopodobniej szła na aerobic. – Palma przerwała, ani na chwilę nie odwracając oczu od Granta. – Żaden z dowodów, jaki znaleźliśmy, nie wyklucza jako sprawcy kobiety. Wręcz nie ma nic, co wskazywałoby jednoznacznie na mężczyznę. Znaleźliśmy jeden jedyny włos, na tyle krótki, że może być męski. Wszystkie inne poza włosami łonowymi są długie i blond.

Skończyła, spięta w oczekiwaniu paraliżującej ciszy, która z pewnością będzie trwała, dopóki Grant nie przemyśli odpowiedzi. Zamiast niego odezwał się jednak Cushing, łasy na możliwość dokonania zemsty.

– O rany... – zaczął. – Chyba coś w tym jest, mam jednak swoją

teorię, wcale nie gorszą. Uważam, że to był orangutan impotent. Dlatego nie było spermy. W czwartki wieczór zoo jest zamknięte. Do tego wielkie zęby. To szczególny...

– Stul pysk, Cush! – warknął Frisch, zamykając mu usta. Uśmiezki na kilku twarzach zamarły.

Palma nie odwracała wzroku od Granta, który z rozmyślną obojętnością wpatrywał się w teczkę na swoich kolanach i czekał, aż miejscowi pozałatwiają sprawy między sobą. Palmie nie przeszkadzały szczeniackie wygłupy Cushinga, liczyło się jedynie, jak jej wypowiedź potraktują Grant i pozostali. Ciekawiło ją, jak bardzo na ich opinię wpłynie patrzenie na świat przez „męskie okulary”. W końcu Grant podniósł głowę.

– Wszystko, co powiedziałaś, to racja. Na pierwszy rzut oka. – W ten sposób zgrabnie zakwalifikował wypowiedź Palmy jako teorię zdolnego, ale ucznia. Najwyraźniej istniało coś widocznego dopiero na drugi rzut oka. – Wszystko, o czym mówiłaś, robi rozsądne wrażenie. – ...Robi... wrażenie... – Jak już jednak mówiłem, mamy tutaj do czynienia z prawdopodobieństwami. To trochę jak w sądzie. Aby coś przyjąć, musimy mieć precedens. – Przerwał na kilka sekund. – Pracuję w wydziale nauk behawioralnych w Quantico od początku tego programu i jeszcze nigdy nie spotkałem się z tym, aby kobieta dokonała brutalnego seksualnie motywowanego zabójstwa.

– Skąd wiesz? – Palmie nie udało się uniknąć wyzywającego tonu.

Grant uniół brwi, z początku z zaskoczenia, potem dla podkre-

ślenia, jak można próbować podważać dowody.

– Nigdy się z czymś takim nie spotkaliśmy.

– Wyjaśniliście każdą sprawę, którą się zajmowaliście? Rocznie mamy w kraju osiemnaście do dwudziestu tysięcy zabójstw – powiedziała Palma. – Mniej więcej jedna czwarta pozostaje nie wyjaśniona. To cztery i pół do pięciu tysięcy przypadków. Rocznie. To oznacza tylko w minionym dziesięcioleciu prawie pięćdziesiąt tysięcy nie wyjaśnionych morderstw. Wiele z nich jest dokonywanych na tle seksualnym. Nie wiem, ile dokładnie procent, ale dane FBI obrazują stały wzrost udziału tego typu przestępstw w ogólnej liczbie. Czy chcesz mi powiedzieć, że wiesz, iż żadne z nie rozwiązanych morderstw na tle seksualnym nie zostało popełnione przez kobietę?

– Nie. Nie twierzę tego. Powiedziałem tylko, że nie spotkaliśmy się z zabójcą kobietą.

– Wracamy w ten sposób do mojego poprzedniego pytania: Skąd wiesz, że jeszcze nigdy się z czymś takim nie spotkaliście? – Choć nie odwracała spojrzenia od Granta, Palma czuła teraz, że zwróciła na siebie ogólną uwagę. Kątem oka widziała, że Leeland, chyba najchłodniejszy analityk w całym wydziale, zamarł w fotelu. – Wiem, z historycznego punktu widzenia, wszyscy seksualnie motywowani przestępcy, nad jakimi pracowaliście, byli mężczyznami. To prawda, jesteście najlepsi w rozpoznawaniu „seryjnego mordercy”, „mordercy z lubieżności” czy „zabójcy z pobudek seksualnych”, ale jesteś przekonany, że to naprawdę wyczerpuje temat?

Grant czekał. Jego głęboko osadzone oczy wpatrywały się

w Palmę z chłodną obojętnością weterana. Wszyscy milczeli.

– Kiedy przeglądałeś mieszkanie Dorothy Samenov, powiedziałeś coś, co zapadło mi głęboko – odezwała się w końcu Palma. – Powiedziałeś, że ludzie robią latami określone założenia dotyczące zarówno kobiet, jak i mężczyzn i noszą je w sobie jak bagaż, nie zdarza się bowiem nic, co by im zaprzeczało, ale pewnego dnia coś trafia człowieka prosto w twarz i mit pryska. Wygoda opinii to ponoć bardzo niebezpieczna rzecz, w takim razie spróbuj spojrzeć na swój program z innej perspektywy. – Palma wyrzuciła to z siebie bardzo szybko. Nie chciała, aby jej przerwano, musiała powiedzieć swoje, zanim straci rozpęd. – Psychologiczne ramy analizy przestępstw na tle seksualnym zostały stworzone na podstawie danych, które uzyskałeś ze szczegółowych wywiadów przeprowadzonych w ciągu wielu lat z trzydziestoma zabójcami na tle seksualnym. Rozwijalesz tę bazę danych rozmawiając z kolejnymi sprawcami. Samymi mężczyznami, tak więc, wykorzystywany do analizy behawioralny model opiera się wyłącznie na psychologii mężczyzny. Wszyscy analitycy w Quantico to mężczyźni. Co dzieje się, kiedy wasi analitycy natrafiają na przypadek nie pasujący do stworzonego przez was modelu behawioralnego?

Grant był niezwykle skupiony. Ani razu nawet nie mrugnął okiem.

– Czy analityk mężczyzna, nie starałby się – czy i ty sam nie próbowałbyś – wyjaśnić odmiennego zachowania sprawcy jako anomalii w ramach istniejącego behawioralnego modelu, dotyczące-

go zachowania męskiego? Wynikające z naśladownictwa systemu prawnego opieranie się na precedensach, powodujące przekonanie, że tylko mężczyźni dokonują seksualnie motywowanych zabójstw, jest tak głęboko zakorzenione w umysłach detektywów – też głównie mężczyzn – że choć nie rozumieją tego, co ujrzeli na miejscu zbrodni, automatycznie zakładają ciągle jedno i to samo. Czy komuś z was przyszłoby do głowy – Palma po raz pierwszy rozejrzała się po sali – że dlatego nie jesteście w stanie wytłumaczyć różnych rzeczy na miejscach zbrodni, ponieważ są skutkiem działania nie mężczyzny, lecz kobiety? Wątpię. – Zwróciła się ponownie do Granta. – Sam udowodniłeś to podejście, mówiąc, że nie mamy do czynienia ze szczególnego rodzaju zabójcą, lecz jedynie standardowym zabójcą-mężczyzną „ze szczególnego rodzaju odchyłką”, której jeszcze nie umiesz określić. Nawet tobie nie przyszło do głowy, że nie rozumiesz tego, co widzisz, ponieważ zabójca myśli i działa nie jak mężczyzna, lecz jak kobieta.

Rozdział czterdziesty drugi

Po wyjściu Evelyn Towne Broussard z trudem przetrwał popołudnie i kilka godzin nocy. Przed północą musiał sięgnąć po librium, po czym zapadł w dziwny, pozbawiony snów stan poza czasem, w którym przebywał aż do szarego brzasku, podmalowanego leniwym pluskaniem deszczu. Był wygłodniały i zjadł ogromne śniadanie, ale zaraz po nim popadł w głębokie przygnębienie. Bitą godzinę stał na środku pokoju wyglądając na zewnątrz, obserwując powolnie sunącą mgłę, zagęszczającą się przy wodzie i obejmującą gęste listowie przy brzegu. Potem odebrał telefon na linii, której numer był zarezerwowany dla najbardziej zaufanych pacjentów. Ponieważ odwołał wczorajszą sesję, dziś koniecznie chciała z nim rozmawiać Mary Lowe. Panowała nad sobą, ale była wyraźnie napięta. Zdziwił go jej telefon, fakt, że szukała go dzień po odwołanej sesji świadczył o tym, że jest w nagłej potrzebie – nigdy nie przyznałaby tego wprost. Zgodził się na spotkanie.

Wkrótce usłyszał otwieranie frontowych drzwi studia. Gdyby to była jakakolwiek inna pacjentka, nie zgodziłby się jej przyjąć, wiedział, że nawet z Mary będzie miał problemy z koncentracją. Może jednak wystarczy jego milczenie, żeby była zadowolona. Często się zdarzało, że oczekiwano od niego jedynie bycia ludzkim uchem, otworem bez duszy, sądów ani opinii, czymś, w co można wrzucić swoje niepewności, błędy, ciemne sprawy z życia erotycznego, lubieżne marzenia.

Kiedy się odezwała, w dalszym ciągu stał wyglądając przez okno.

– Dziękuję, że zgodził się pan mnie przyjąć.

Odwrócił się i ujrzał ją we framudze otwartych drzwi. Rozpinała płaszcz.

– Nie ma za co – odparł, patrząc jak zdejmuje płaszcz i wiesza go na mosiężnym haczyku na ścianie za kozetką. Miała na sobie sukienkę z krótkimi rękawami z błękitnego sztucznego jedwabiu w białe wzorki przypominające płatki kwiatów. Pojedynczy sznur kremowych pereł układał się między wybrzuszeniami piersi niczym krople.

– Chciałabym porozmawiać – powiedziała nie wiadomo dlaczego.

Skinął głową, na co podeszła do kozetki, zdjęła pantofle, położyła się i lekko uniosła biodra, aby poprawić sukienkę. Broussard uważał, że jest idealną kobietą do freudowskiej kozetki. Mary od początku akceptowała pozycję, choć jak dotychczas zdawała się ona nie mieć wpływu na jej postępy. Mimo to nigdy nie wahała się położyć i przyjąć pozycję osoby analizowanej. Przynajmniej zewnętrznie.

Broussard usiadł w swoim fotelu, ustawionym tak, by nie widziała go z kozetki, i czekał, aż oddech Mary Lowe się uspokoi. Wyciągnął rękę do przełączników magnetofonu i włączył nagrywanie. W przypominającej pudełko od cygar obudowie, na półce, gdzie w rzeczywistości znajdował się magnetofon, zapłonęła czerwona

lampa. Broussard wziął do ręki notes, zdjął skuwkę z pióra i czekał, jaki temat musiała tak nagle z nim przedyskutować.

– Sprawa rozwinęła się niecodziennie – odezwała się po minucie Mary Lowe. Zaczęła *in medias res* i Broussard musiał sobie przypomnieć, o czym to mówili w środę... o tym jak ojciec po raz pierwszy dotknął jej seksualnie... w basenie... doprowadzając się pod wodą do orgazmu przez pocieranie o jej pośladki. – Przez pewien czas zachowywałam wobec niego dystans. Choć udawał, że nic się nie stało. Wiedziałam, że coś się stało. Był jednak uprzejmy, naprawdę przemiły i nie miałam powodu sądzić, że mnie nie kocha. To, co się stało w basenie... może było to zwykłe „złe zachowanie”... albo coś takiego. Może nawet nic aż tak poważnego. – Mary trzymała ręce wzdłuż ciała i Broussard widział tylko jedną z nich. Przyglądał się przedramieniu i dłoni. Mary Lowe naprawdę była piękna. Przez chwilę przemknął mu przez myśl obraz Bernadine i omal nie załkał. – Następnym razem... oglądaliśmy telewizję. Dokładnie wszystko pamiętam. Wiele wspomnień zdążyło się przez lata zatrzeć, ale wtedy po raz pierwszy dotknął mojej pochwy... więc pamiętam. Było to nie więcej niż tydzień po zdarzeniu w basenie. Leżeliśmy we dwoje na kanapie i jedliśmy popcorn. Miałam na sobie szlafrok, ale pod spodem tylko majtki, bo niedługo powinnam iść spać. Kukurydza była solona, z masłem... naprawdę się postarał, żeby była jak należy. Oglądaliśmy *G. E. Theater*, oparłam się o niego i wtedy nastąpiła przerwa na reklamę. Kobieta stała przed lodówką i za chwilę miała pokazać, co jest w środku. On właśnie

zjadł kilka ziaren kukurydzy i miał śliską od masła dłoń, sięgnął mi między nogi i wsunął dwa palce pod majtki w kroku. – Mary prze-rwała, jej drobne palce poruszały się po materiale sukienki, jakby powtarzała wprawkę na fortepian. – Skamieniałam. Pamiętam, że całe moje ciało zaczęło buczeć i zalała mnie fala gorąca, a potem zimna. Choć chciałam tego z całego serca, nie byłam w stanie ode-rwać oczu od kobiety przy lodówce. Nie ruszałam się. Byłam zbyt młoda, aby mieć włosy łonowe, i jego palce bez trudu krążyły wokół mojej pochwy. Pamiętam, jak się bałam, że zaraz zemdleję. Nie przerywał, robił się coraz bardziej natarczywy i tak samo jak w basenie, poczułam, że przyciska do mnie biodra. W końcu szybko włożył palec we mnie i zamarł. Nie znałam wszystkich... sygnałów, ale na tym się skończyło. – Mary obracała językiem w ustach, starała się go zwilżyć. Chyba jej się nie udało, ale zaczęła znów mówić. – Potem siedział przez minutę bez ruchu. Wyjął dłoń z moich majtek, wstał i poszedł do łazienki. Nie odwróciłam wzroku od telewizora, nie przestałam jeść kukurydzy. Starłam się nie myśleć o tym, co się stało. Wydawało mi się, że jeżeli przestanę jeść kukurydzę, będę musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Po niedługim czasie wrócił i usiadł na kanapie, ale kawałek dalej. Nie próbował się zbliżyć i tak obejrzeliliśmy program do końca, a potem poszliśmy spać.

Broussard obserwował profil Mary Lowe. Kiedy przestała mó-wić, skierował wzrok na jej dłoń. Zebrała w nią garść sukienki i ścisnęła pięść. Podciągnęła skraj za kolano.

– Poszłam do łóżka i czekałam, ale żadne z nich nie przyszło

pocałować mnie na dobranoc. Chyba się wstydził. Kiedy byłam pewna, że oboje śpią, poszłam do łazienki i umyłam się między nogami, szorowałam się namydloną szmatką, aż skóra zaczęła piec, potem się wytarłam i pokropiłam perfumami, żeby usunąć zapach masła. Potem wróciłam do łóżka i leżałam długo wpatrując się w ciemność, na koniec zaczęłam płakać i płakałam, póki nie zasnęłam.

Mary puściła sukienkę i Broussard znów zaczął patrzeć na jej profil. Przez jej skroń biegł od oka w dół nieco ciemniejszy ślad po łzie, który nikał w jasnych włosach. Broussardowi przypomniały się opowieści Bernadine, historie jakie snuła. Była wytrawnym gawędziarzem, Szeherezadą, ale opowiadając nie po to, aby uratować życie, lecz aby nie zostać porwaną przez ciemne wichry szaleństwa. To właśnie robiły wszystkie – mówiły, aby się uratować – tyle tylko, że on nie był sultanem, zamienionym na oswobodziciela egzekutorem, który po tysiącu i jednej nocy mógł ogłosić je wybawicielkami swojej płci i puścić wolno. We współczesnym życiu nie ma miejsca na tak romantyczne zakończenia. Jego pacjentki nie mogły się wykupić ani sprytem, ani za pomocą wyzwolonej rozpaczą pasji.

– Miesiąc albo dwa później zaczął przychodzić do mojej sypialni – kontynuowała, znów zaciskając w pięści skraj sukienki, jeszcze dalej ją podciągając, aż do początku uda. – Z początku tylko późną nocą. Budziłam się i czułam, jak podnosi koldrę, a potem jego nagie ciało wślizguje się do mnie. Nauczył mnie, jak mam go onaniżować, podczas gdy bawił się moją pochwą. Był przy tym bardzo

delikatny. Nie ranił mnie. Mówił, jak bardzo mnie kocha i wierzy, że też go kocham. Że w ten sposób możemy okazywać sobie miłość. Mówił, że sprawianie przyjemności drugiej osobie to dzielenie się z nią tym, co najważniejsze, i takie jest sedno miłości. Oczywiście musiał od początku zakładać, że to, co robię, sprawia mi przyjemność. Nigdy nie zapytał, a ja bałam się powiedzieć, że tak nie jest. Nie wiem, dlaczego się bałam, bo niczym nie groził. Jego członek... – Przerwała, opanowana wspomnieniem dziwnego tworu, jakim musiał być dla umysłu dziecka. – Nigdy przedtem nie widziałam niczego podobnego, nigdy nawet nie wyobrażałam sobie, że coś takiego może istnieć. Taki mały dziwny twór... Czasami przychodził do mnie, kiedy jeszcze nie dostał wzrodu i kazał się pobudzać. Była to tak dziwna część anatomii, wystająca z niego pod brzuchem, że do niczego nie pasowała. Zawsze uważałam, że jest tak nie na miejscu... umieszczona nie tam, gdzie trzeba, na dodatek mająca własne życie, zmieniająca kształt... Tak wtedy myślałam. Trochę byłam ciekawa, ale głównie czułam odrazę do tego czegoś, jego oleistych wydzielin i lepkiej, śmierdzącej cieczy, która potem wylaływała z czubka. – Przerwała, a jej nie widzące oczy szklily się, jakby była zahipnotyzowana, co często się zdarza, kiedy człowiek zagłębi się w swoją przeszłość. Byłam dzieckiem. Nie miał prawa mnie w to wprowadzać, nawet najdelikatniej. Nie miałam pojęcia, co się z nim dzieje, ale szybko nauczyłam się nienawidzić sygnałów, które miały stać mi się tak znajome. Byłam tylko dzieckiem. Nie rozumiałam, ale uzyskałam smutną wiedzę na temat jego rozkoszy,

poznałam jęki i posapywania, jakie z siebie wydawał, kiedy szarpałam jego członek. Byłam tylko dzieckiem, ale szybko zrozumiałam, co oznacza słowo „pożałowania godny”. To on stał się ucieleśnieniem tego pojęcia. Gdy obcowałam z nim w te ciemne noce, dusiła mnie ohyda i smutek tego, co ze mną robił.

Mary znów przerwała. Broussard powiódł za jej wzrokiem, ale patrzyła w pustą przestrzeń. Zdawało mu się, że patrzy na korony drzew. Co mogła tam widzieć? Dlaczego przestała mówić? Czekał. Miała lekko otwarte usta, przy jednym kąciku utworzył się dołeczek. Walczyła o panowanie nad oddechem, jej oczy lekko się rozszerzyły, jakby w ten sposób płuca mogły łatwiej odzyskać rytm.

– Nauczyłam się uciekać duchem od tego, co się dzieje, myśleniem o czymś innym – znów zaczęła Mary. – Była to dziecięca próba ucieczki, taki sen na jawie. Myślałam o scenach z filmów, które oglądałam. *Dźwięki muzyki*. Przy premierze tego filmu miałam jedenaście lat. Oglądałam go pięć razy i uciekałam w jego niewinną treść przez wiele, bardzo wiele nocy, kiedy majstrowałam przy nim. Julie Andrews ucieleśniała całą słodycz, jaką można było sobie wyobrazić w człowieku. Była taka dobra. Poza tym nie była splamiona niczym podobnym do tego, co odbywało się w moim życiu. – Pokręciła głową. – W szkole miałam raz coś na kształt załamania nerwowego. Wtedy wykładowcy w szkołach publicznych nie byli jeszcze szkoleni w rozpoznawaniu objawów tego, co przechodziłam, była jednak taka nauczycielka, która... się domyśliła. Próbowała mnie skierować do grupy prowadzonej przez opiekę społeczną. Mówiła, że nie je-

stem sama. Że inne dziewczęta... też przez coś podobnego przechodzą. Mogłabym z nimi porozmawiać, dostać jakieś rady. Mogłabym podzielić się swoimi sprawami z innymi dziewczętami, wysłuchać ich historii. Okropne. Z tym że dla mnie to nie było żadne rozwiązanie. Nie znajdowałam żadnej ulgi w wiedzy, że inni mają podobne do mnie problemy. Nie rozumiałam, co pocieszającego ma być w tym, że istniały inne dzieci tak samo wykorzystywane i chore jak ja. Nie pocieszyłoby mnie nawet, gdyby okazało się, że moja najlepsza przyjaciółka przechodzi to samo co ja i rozumie moje zagubienie, obrzydzenie oraz rozpaczliwe pożądanie bycia kochaną inaczej, niż byłam kochana. Nie życzyłam sobie tego typu „pociechy”. Chciałam myśleć o przepięknych łąkach Alp Szwajcarskich i Julie Andrews śpiewającej „Szarotkę” pod pełnym białych chmur błękitnym niebem. Julie Andrews nie wiedziała nic o moim życiu i tego właśnie chciałam. Szukałam drogi ucieczki, a nie towarzystwa innych molestowanych, samotnych dziewczynek, które mogłyby mi opowiedzieć, że wiedzą, co to znaczy szarpać po nocy członek ojca i równocześnie rozpaczliwie się starać myśleć o czymś innym – czymkolwiek innym.

Przerwała, jakby pojawiła jej się jakaś inna myśl i to na niej skoncentrowała uwagę. Słuchając innej melodii, należącej do innej opowieści, lekko rozchyliła wargi. Po chwili znów zaczęła mówić.

– Potem przeszliśmy do fellatio. Nie wiedziałam... do czego to musi doprowadzić. Wydawało mi się, że jeżeli będę robić, co chce, w którymś momencie to go zadowolą i da mi spokój. Dzieci nic nie

wiedzą o naturze popędu seksualnego, a już na pewno nie takiego jak u niego. Nie mogłam wiedzieć... po prostu nie mogłam... nie mog...łam... nie mo...

Ku zaskoczeniu Broussarda Mary zaczęła się jąkać i przerwała opowiadanie. Zaskowytała. Było to chyba najlepsze określenie dźwięku, jaki z siebie wydała, choć upiorne kwilenie przypominało też pisk kota. Można się w nim było też doszukać seksualnego wydźwięku, zwłaszcza że dłonią, w której ścisnęła skraj sukienki – podciągniętej niezwykle wysoko – Mary ugniatała udo. Po kilku minutach odzyskała panowanie nad sobą i kontynuowała opowieść.

– Oczywiście na tym się nie skończyło i po jakimś czasie zaczął we mnie wchodzić. Przez długi czas skrupulatnie pracował nad dojściem do tego etapu. Kiedy się teraz nad tym zastanowię, uważam, że zachował się w tym zakresie naprawdę sprytnie. Był niezwykle zaabsorbowany swoim ciałem i chciał, żebym tak samo się nim fascynowała. Wtedy, oczywiście, nie zauważałam tego, ale teraz uważam, że jego fascynacja własnym członkiem miała wszelkie cechy przedpokwitaniowej niedojrzałości. To było w sumie godne pożalowania, ale wtedy... był moim ojcem i sam ten fakt sprawiał, że miał większy na mnie wpływ niż ktokolwiek inny. Jeżeli coś mi mówił, to choć niedobrze mi się od tego robiło, wykonywałam polecenie. Jednak ciągle płakałam. Boże, ileż ja płakałam... Sny na jawie przestały wystarczać. Nie były w stanie dać zapomnienia o stosunkach. Z początku znów byłam... kompletnie oziębiała. Nie pomyślałby pan, co? Dzieciak, który regularnie bierze do ust członek ojca... nie powi-

nien być „zaskoczony” przejściem do klasycznego stosunku, prawda? Ja jednak byłam. Nie wiedziałam, że wszystkie poprzednie zdarzenia... prowadzą do określonego celu. Początkowo kładł członek na moim brzuchu, kazał go macać i wytryskał gorącym płynem. Niesamowite. Potem zaczął dotykać nim najróżniejszych miejsc na ciele, co wkrótce skończyło się na ustach i wtedy przyszła myśl, że już zawsze tak będzie chciał. Było to coś najgorszego w życiu. Nie mogłam w to uwierzyć. Nic gorszego nie mogłam sobie wyobrazić. To był kraniec... ale nie, zaraz posunął się dalej. Teraz chciał włożyć to tam, po co chodzi się do łazienki. Sama myśl o tym przerażała. To niemożliwe. To jest za duże. Zaczynał wciskać to na siłę i jedyne, co pozostało, to oderwać się myślą od ciała. Chce się już tylko, żeby szybko zrobił to, co chce, bo wtedy będzie po wszystkim. Potem, po pewnym czasie wiesz, że zaraz znów przyjdzie, strach zaczyna się od nowa. Ile jeszcze miejsc może wymyślić, by to tam położyć? Ile jeszcze rzeczy może kazać zrobić? Nigdy nie przestaje się myśleć o tym, że zaraz wydarzy się coś jeszcze gorszego, że wymyśli coś jeszcze bardziej groteskowego. Dziecko... rozumie pan... dziecko nie ma pojęcia o postępie wydarzeń w... tych sprawach... widzi jedynie, że niesamowitość wydarzeń ciągle narasta... a razem z nią strach i upokorzenie... oraz okropny, potworny smutek.

Za oknami zaszeleścił wiatr, niebo pociemniało, a drzewa zarżały i zakołysały się, najwyższe gałęzie przygięły zaatakowane gwałtownym deszczem, który ponuro zahuczał w liściach. Wysoko w górze nad miastem przelatywał wściekły wichur.

Mary Lowe przestała mówić – było to jedno z jej niemożliwych do przewidzenia zamilknięć – i leżała bez ruchu obserwując zmieniające się światło, ogarniające drzewa po przejściu gwałtownego podmuchu. Straszna historia o ojcu, wydarzenia, które wywarły piętno na całym jej życiu – nic z tego nie wzruszyło Broussarda. Słuchał bez empatii, wpatrując się w jej odsłonięte udo, jakby było fizycznym ekwiwalentem jej syreniego śpiewu, tak nieodparcie kuszącym objawem piękna, że pozbawił go emocji i powagi. Dziecięce lęki, które nosiła w sobie do dziś niczym nocne koszmary, nie trąciły w sercu Broussarda struny współczucia, przynajmniej nie tak mocno jak – choć w nieco odmienny sposób – widok jej długiego, nagiego uda.

– Zaraz po tym, jak zaczął odbywać ze mną regularne stosunki, nastąpiła znacząca zmiana w układach między nami. – Oczy Mary w dalszym ciągu spoglądały ku ciemnemu niebu, nie było w nich jednak zrozumienia, raczej rozmarzenie. – Zaczął przychodzić do mnie we wcześniejszych godzinach. Co noc zamykałam drzwi w nadziei, że go to może zniechęci. Raz zamknęłam je nawet na klucz, ale następnego dnia przyszedł odebrać mnie osobiście ze szkoły – zwykle wracałam do domu z koleżankami – i zrobił taką scenę płaczu, jęczenia i powtarzania, że już go nie kocham, że nie jestem wdzięczna za nowe życie, jakie nam zapewnił, aż udało mu się wbić mi do głowy, że jeżeli zacznę mu odmawiać, to nas zostawi. Wieczorem nie zamknęłam drzwi. – Mary powoli skinęła głową, jakby chciała coś podkreślić. – W tamtych latach doszedł nowy ele-

ment, nowy strach. To, że jeżeli nie pozwolę mu robić tego, co chce, to nas zostawi. Nie chciałam być za to odpowiedzialna. Nie chciałam, aby przeze mnie matka musiała wrócić do pracy w knajpach, znów mieszkać w tanich apartamentach i płakać do późna w nocy, aż zmorzy ją sen. Zaczęłam traktować siebie jako trzymający nas razem klej. Szczęście mojej matki oraz istnienie nas trojga jako „rodziny” zależało ode mnie. Jeżeli chciałam, żeby wszystko pozostało, jak było, musiałam dawać mu, czego chciał. W pewnym sensie stałam się matką. Tylko ja z nim współżyłam. Tylko ja gotowałam z nim w kuchni i sprzątałam z nim po posiłkach. Tylko ja byłam obiektem jego zainteresowania. W nocy odwracałam się jednak do ściany i modliłam, żeby nie rozległ się dźwięk przekręcanej klamki. Co wieczór kładłam się do łóżka ze skurczonym żołądkiem, ze strachem, że lada chwila się obudzę, a on będzie leżał obok, przyciskając do mnie nagie ciało. – Pobudzona, ścisnęła skraj sukienki w obu dłoniach, ciągnęła go, szarpała, najwyraźniej nieświadoma, że odsłoniła całe uda. Możliwe, że materiał stał się dla niej czymś na kształt zasłony bezpieczeństwa, którą chciała wokół siebie rozpostrzeć. Broussard miał nadzieję, że podciągnie sukienkę na tyle wysoko, że uda mu się zobaczyć jej majtki. – Zaczęłam mieć koszmary nocne. Były to obrzydliwe, przerażające sceny pełne obrazów, których nie rozumiałam i nie chcę pamiętać. W mojej dziecięcej wyobraźni uważałam, że jestem karana za to, co ze mną robi. Że to ja jestem karana. Tak właśnie myśli dziecko: jest karane za to, co mu się robi. Wiedziałam instynktownie, że to, co robimy, jest złe

i ponieważ czułam się brudna, automatycznie przyjmowałam na siebie winę. Czasem jednak miałam wątpliwości... co do mojej winy. Przyjmowanie na siebie tak wielkiej winy to ogromny ciężar, więc potrzebowałam nieco ulgi. Zaczęłam więc zadawać sobie pytanie, co właściwie się dzieje i dlaczego. Jeżeli jestem karana, to przez kogo? Przez Boga? Naprawdę przez Boga? Czy to on przysłała mi we śnie te koszmary? Dziecko nie jest głupie, wiedziałam więc, że jestem z założenia niewinną istotą. Pomyślałam sobie: Czy Bóg naprawdę chce, abym coś takiego przeżywała? A co z moim ojcem? Co z jego członkiem, obmacującymi mnie palcami, jego językiem i tymi litrami... nasienia, które na mnie rozlewał? I to za to Bóg mnie karze? Wtedy przestałam wierzyć w Boga. Stwierdziłam, że ktoś się co do niego bardzo pomylił. – Znow przerwała na chwilę. – Do tego te koszmary... Stały się tak straszne, że aby ich uniknąć, całymi nocami nie spałam. Zaczęłam zasypiać na lekcjach, szybko pogorszyły się moje stopnie. Przez mniej więcej pół roku wizje były nie do zniesienia, potem jednak zaczęły słabnąć. Nim to jednak nastąpiło, były tak wyraźne, że mogłabym je rysować. Określone postacie nawracały i wiedziałam, kiedy się pojawią oraz jaką będą grać rolę w dręczeniu mnie. Bałam się ich tak samo jak jego nocnych wizyt. Aż do dziś, kiedy miewam złe sny, powracają te same postacie. – Zamilkła. – Zadziwiająca rzecz z tymi snami stała się wiele lat później. Pojawiające się w nich postacie były dość groteskowe, w sporej części były to wyolbrzymione, obrzydliwe interpretacje narządów płciowych, ich personifikacje... śliniace się, wierzące się, pęczniejące

i zaduszające wszystko wokół. Było to dla mnie przerażające. Rano, kiedy robiło się jasno, czułam się tym gorzej splamiona i winna, ponieważ te twory pochodziły z mojej głowy. Uważałam, że nikt na świecie poza mną nie jest w stanie wyobrazić sobie niczego podobnego. Pewnego razu – byłam wtedy w koledżu – poszłam na objazdową wystawę obrazów współczesnych artystów z Wielkiej Brytanii i na ścianie – pamiętam, że była szara – wisiały portrety postaci z moich snów, pędzla niejakiej Sybylle Ruppert. Byłam jak zaczarowana. Zemdląłam na środku muzealnej sali, przed cyklem „Trzecia płęć”.

Mary otworzyła dłonie, szeroko rozpostarła palce i mocno przycisnęła materiał sukienki do brzucha. Ponieważ całkowicie odśloniła nogi, Broussard zauważył, że nie trzyma ich prosto, lecz że obronnym gestem skrzyła kolana lekko ku sobie. Był to nieznaczny, nieświadomy ruch, ale mówił bardzo wiele. Powoli się jednak odprężyła, nogi się wyprostowały i znów zaczęła mówić.

– W każdym razie, z biegiem czasu coraz trudniej przychodziło mi kontaktować się z koleżankami ze szkoły. Miałam wrażenie, że nie żyją, lecz... fruwają w obłokach, że ich życie jest takie trywialne... Uczestniczyły w najróżniejszych zajęciach pozaszkolnych, w których nie mogłam brać udziału, ponieważ ojciec chciał, żebym natychmiast wracała do domu. Chciał, żebym poza szkołą bez przerwy siedziała w domu, tak więc coraz bardziej oddalałam się od koleżanek, stawałam coraz bardziej wyizolowana. Nie chciał, żebym interesowała się cokolwiek poza nim. Dusiałam się, ale był dla

mnie miły i... – Popatrzyła na Broussarda. Szczęśliwie, patrzył właśnie przez okno. – Nieraz tak już mówiłam, prawda?

Słucham? – odparł pytaniem. Broussard nigdy się nie obawiał, że może zostać przyłapany na nieuwadze. Dla jego pacjentek nie było nic podejrzanego w tym, że czasami sprawia wrażenie zdekoncentrowanego, uważały bowiem, że to technika terapeutyczna. Może uważały, że to zmodyfikowana metoda sokratyczna, specyficzna freudowska metoda zadawania pytań.

– Że był dla mnie miły.

– Tak. Trzy albo cztery razy.

– Bo był miły, tyle tylko, że zbytnio się mną zajmował. Byłam dziewczynką, chciałam mieć koleżanki, ale on opanował mnie psychicznie, emocjonalnie, pod każdym względem. – Znów zapadła na chwilę cisza. – Zaczęłam go okłamywać. Nie było to nic wielkiego, tyle tylko że przestałam mówić prawdę. Nie liczył się dla mnie temat, kłamałam dla zasady. Na przykład pytał, co chciałabym obejrzeć wieczorem w telewizji, więc wymieniałam nazwę programu, o którym wiedział, że go nie lubię. Z początku dziwnie na mnie patrzył, ale dalej robiłam swoje. Oglądałam programy, których nie lubiłam. Kiedy brał mnie na zakupy, kłamałam na temat, jakie podobają mi się ubrania, co kończyło się na tym, że kupował te, na które nie miałam ochoty. A potem je nosiłam. Kłamałam na temat potraw, które lubię. Kłamałam na temat tego, gdzie odłożyłam nożyczki, czy zamknęłam bramę, czy chcę jeszcze herbaty i czy jest mi zimno albo gorąco. Choć musiałam się przełamywać, zaczęłam okłamywać

koleżanki w szkole. Oczywiście bardzo często prawda wychodziła na jaw, przez co jeszcze bardziej wyobcowywałam się ze środowiska. – Mary położyła prawą dłoń płasko na udzie, lewa w dalszym ciągu ścisnęła skraj sukienki. Nadgarstek miała lekko zgięty, jakby chciała skromnie unieść ją dalej. – Wiem, dlaczego kłamałam. Dużo nad tym myślałam. Kłamstwo nadawało mojemu życiu sens, dawało mi poczucie panowania nad własnym życiem. Zdarzało się wtedy, kiedy ja tego chciałam, i nie następowało, kiedy nie chciałam. Kłamałam dla siebie, nie dla kogoś. Był to zakres, w którym nie byłam bezradna. Wręcz przeciwnie – byłam wszechmocna. Kiedy kłamałam, stawałam się władczynią przeznaczenia, choć oczywiście w drobnych sprawach. Coś następowało albo nie następowało, ponieważ tak mówiłam, a mogłam używać swej władzy, przy kim tylko chciałam i nikt nie mógł mi jej odebrać. Reagując na moje kłamstwa, ludzie robili coś, czego inaczej by nie zrobili. Był to sposób na manipulowanie ludźmi i szybko doszłam do punktu, w którym wolałam kłamać, niż mówić prawdę. Robiłam wiele, żeby nakłamać. Kiedy miałam dwanaście i trzynaście lat, przechodziłam zły okres. Stałam się bardzo skryta i wyizolowana, cały czas śniłam na jawie. Sny na jawie stały się moim głównym zajęciem – sądzę, że jeszcze jednym sposobem na uzyskanie panowania nad moim własnym „światem”. Tylko to mi pozostało, prawdziwy świat stał się bowiem zbyt szalony. Różnię się z ojcem przemieniłby świat każdej dziewczyny w halucynację.

Broussard popatrzył na Mary Lowe. Rzadko używała wulgar-

nych słów. Był to znak pogardy – wobec siebie samej i tego, co robiła. Sięgnęła palcem pod skraj uniesionej sukienki i podrapała się delikatnie po pachwinie. Broussard nagle poczuł rozpaczliwą ochotę ujrzenia jej nagich bioder.

– Pewnej nocy, po tym jak nie spałam kilka nocy z rzędu, aby uniknąć sennych koszmarów, straciłam wolę walki. Wycieńczona, odjechałam. Spałam tak głęboko, że nie poczułam, że muszę iść do toalety i zmoczyłam łóżko. W nocy przyszedł do mnie i włożył pod kołdrę. Wściekły i oburzony, obudził mnie, a potem wypadł z pokoju. Choć byłam półprzytomna, dotarło do mnie znaczenie tego wydarzenia. Następnego nocy natychmiast po wejściu do łóżka zsiadałam się, wiedząc, że w ten sposób będę mogła spokojnie spać. Sprawa funkcjonowała znakomicie mniej więcej przez dwa tygodnie. Miałam taki deficyt snu, że bez problemu przyzwyczaiałam się do zapachu i wilgoci. Choć pod koniec pierwszego tygodnia na biodrach i udach pojawiło się okropne podrażnienie, niczym się nie przejmowałam. Zdawało mi się, że znalazłam rozwiązanie wszystkich moich problemów. Którejś nocy przyszedł płacząc i jęcząc, wyjąc, dlaczego mu to robię, czy już go nie kocham i nie chcę, żeby było między nami miło. Dlaczego sikam w łóżko? Kazał mi wstać i podał zwilżony ręcznik, abym się umyła. Patrzył, jak się myję, i narzekał, że „zachowałam się jak zwierzę”. Tej nocy wziął mnie na podłódze, opierając mi głowę o skrzynkę z zabawkami i był dość brutalny. Umiałam odczytać tego typu komunikaty. Następnego wieczora przyszedł do suchego łóżka.

Mary Lowe zagryzła wargi, asymetryczny dołeczek w kąciku jej ust zniknął. Broussard był przekonany, że jej zęby są zaciśnięte tak samo jak jej serce. Patrzył na najwyżej odsłonięte miejsce na udzie. Poprawił się w fotelu, świadom, że jego naprężony członek to niegodziwa reakcja.

Niezdolność zachowania chłodu wobec zmysłowości pacjentek była dowodem jego porażki jako analityka. Oczywiście, nieraz próbowały go uwieść. Jest to element zjawiska przeniesienia, które można porównać do pełnej wlotów i upadków jazdy, w czasie której analityk nie ma jednak prawa tracić na każdym trudniejszym zakręcie zimnej krwi. Prowadził już niejedną psychoanalizę i należało od niego oczekiwać panowania nad sobą. Patrząc, jak Mary drapie się w miejscu, gdzie mięsień przechodzi w krocze, Broussardowi przyszła do głowy myśl, że kiedy ma się do czynienia z takimi kobietami jak Mary Lowe, chłodne myślenie znika jak sen w jaskrawym słońcu.

Rozdział czterdziesty trzeci

Tym razem nikt się nie poruszył, aby przerwać ciszę. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszała Palma, był jej własny głos, oznajmiający Sanderowi Grantowi, że psychologiczny model, wykorzystywany przez Wydział Nauk Behawioralnych FBI do analizy osobowości szczególnie agresywnych przestępców, jest błędny. W bardziej oficjalnej sytuacji byłoby to śmiałe, wręcz bezczelne oskarżenie, Palma nagle odniosła wrażenie, że ta wypowiedź, która padła w „biegu” i „w ogniu walki”, mogła zostać odebrana jako efekt niezrównowagi. Po chwili jednak zakłopotanie wywołane własną śmiałością wywołało w niej złość, ta zaś pomogła przetrzymać denerwujące milczenie, które nawet twardego detektywa mogło zmusić do dodania paru zdań, osłabiających jednoznaczność deklaracji. Palma jednak milczała, wpatrywała się w Granta, do którego skierowała ostatnie słowa.

Nie potrafiła ocenić, jak długo siedzieli w milczeniu, choć z pewnością nie trwało to aż tak długo, jak mogło się wydawać. Grant obserwował ją, miała wrażenie, że jego spojrzenie ciąży na niej niczym płyty ołowiu. Złamany nos nadawał jego twarzy, przypominającej portret z galerii brytyjskich przodków, nieco bardziej swojski wyraz, choć jednak nie pozbawiał autorytetu, zdobytego w sposób najbardziej godny szacunku, czyli poprzez lata doświadczenia. Obserwując go, Palma czuła – choć wbrew woli – że milcząc, wcale nie chce jej poniżyć. Zastanawiał się, a wiedziała na

podstawie wielu godzin, jakie spędziła z nim na miejscach zbrodni, że kiedy myśli, nie interesuje go, jakie robi wrażenie na otoczeniu.

Ledwie odwracając od niej wzrok, uniósł lewą rękę, podciągnął rękaw i popatrzył na zegarek. Opuścił rękę i znów spojrzął prosto na Palmę.

– Nie zgadzam się z tobą – powiedział, jakby stwierdzał obojętny fakt. Odwrócił się do Frischa. – Chciałbym osobiście przesłuchać doktora Broussarda. Jeżeli to możliwe, chciałbym, abyś był obecny przy tym ty oraz detektyw Palma.

– Bardzo proszę – odparła Palma. Było to sprytne, ale nie zamierzała dać mu się tak łatwo wyłgać. – Nie chciałabym jednak tak po prostu zostawić sprawy, o której mówiłam. Chętnie usłyszałabym coś więcej poza tym, że się ze mną nie zgadzasz.

– Gdybyśmy rozmawiali czysto teoretycznie, spierali się akademicko, powiedziałabym, że twoja teoria jest tak samo wartościowa jak każda inna – odparł Grant starając się, aby to nie zabrzmiało protekcyjnie. – Rozmawiamy jednak o faktach. O prawdopodobieństwach. Faktem jest zaś to, że prawdopodobieństwo, iż w naszym przypadku mordercą jest kobieta, wynosi zero. Nie wiem, co tu więcej powiedzieć. Po prostu nie ma nic takiego w kartach.

– Uważasz, że nic z tego, co powiedziałam, nie ma wartości?

– Ma, oczywiście. Jeżeli potraktuje się twoją wersję teoretyczną i zignoruje historyczne fakty zebrane na podstawie podobnych przypadków.

– Znane historyczne fakty.

– Dobrze, niech będzie. Znane fakty. Jak już jednak powiedziałem, wychodzenie poza fakty to spekulacja.

– Działasz niezgodnie z tym, co sam rano powiedziałeś – chłodno stwierdziła Palma. Niemal czuła, jak Frischowi przyspiesza się tętno, to samo zresztą działo się z jej własnym. Coraz głębiej pchała palce między drzwi, ale napędzało ją oburzenie. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że Grant ją lekceważy i każdego z obecnych mężczyzn wysłuchałby uważniej. – Powiedziałeś nam dziś rano, że stosowana przez ciebie metodologia to bardziej sztuka niż nauka. Powiedziałeś, że dopóki jakaś metoda działa, nie interesuje cię, czy jest naukowa, artystyczna czy spirytystyczna. Sądzę, że moje spojrzenie na tę sprawę nie jest głupsze od malowania motylków. Podkreśliłeś, że nie powinniśmy odrzucać twojej metody bez zastanowienia, wręcz próbowałeś wywołać w nas poczucie winy twierdząc, że zanim ją odrzucimy, powinniśmy się dobrze upewnić, czy sami będziemy mogli potem spojrzeć sobie w oczy. Aby móc stwierdzić, czy metoda działa, czy nie, należy ją dobrze poznać. Dać jej szansę. Świetnie. Uważam, że powinieneś praktykować to, co propagujesz.

Grant chłodno przyglądał się Palmie.

– Nie ja kieruję śledztwem – odparł spokojnie. A więc, zastosował w ostateczności męską broń, nieracjonalny instrument, po który sięgali wszyscy, kiedy już nie mieli argumentów: obojętność. Okazał jej swą wyższość, co zirytowało Palmę jeszcze bardziej. – Przyjechałem na twoją prośbę. Znam się na czymś, co uznałaś za

przydatne dla siebie. Zmieniłaś zdanie?

– Nie odwracaj kota ogonem. – Palma nie zamierzała się poddać. – Chcę jedynie, abyś w swej analizie wziął pod uwagę zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Wygląda na to, że mamy do czynienia ze sprawą, której okoliczności sugerują, że nie jest to nieracjonalne żądanie.

Grant był nieprzenikniony. Palma nie wiedziała, czy teraz wybuchnie gniewem, czy śmiechem. Jej atak nie wytrącił go z równowagi. Nie miała wrażenia, by obawiał się, że przez konfrontację z nią straci twarz. Zazwyczaj kiedy zaszła tak daleko, doskonale zdawała sobie sprawę, iż mężczyzna dochodzi do wniosku, że jego ego może doznać uszczerbku, ale Grant był ponad to. Nic z tego, co mówiła, nie powodowało zmiany w wyrazie jego oczu albo zachowania i była niemal pewna, że jego opanowanie nie jest wymuszone. Po prostu Grant był znacznie bardziej pewny siebie, niż jej się wydawało.

Pokiwał powoli głową.

– No dobrze. Coś w tym jest. Chciałbym tę sprawę przedyskutować dokładniej. Zanim jednak ustalimy, jak wykorzystać to, co przedstawiłaś, może zabierzmy się do roboty?

Przerwał i czekał na reakcję Palmy. Bez sarkazmu, po prostu czekał. Nie było w jego postawie śladu nieuprzejmości. Jeżeli zastał na nią pułapkę, Palma nie umiałaby znaleźć żadnego ku temu powodu. Miał rację. Czego właściwie oczekiwała – że wszyscy rzucają dotychczasową robotę i zaczną pracować pod całkiem nowym

kątem?

– Oczywiście – odparła. Grant popatrzył na Frischa.

– Co ty na to? Frisch skinął głową.

– Ruszajmy do roboty. – Rozejrzał się po obecnych w pokoju detektywach, którzy w trakcie perory Palmy nawet nie mruknęli słówkiem. – Coś jeszcze?

Gestem mającym oznaczać koniec rozmowy, Grant przejechał dłonią po teczce na kolanach.

– No to dobrze – stwierdził Frisch. – Porozdzielajmy zadania.

Zwijając papierek po kanapce, Palma z trudem utrzymywała spokój. Dolatywał do niej głos Frischa. Kiedy popatrzyła na Granta, stwierdziła, że przygląda się jej, a zmarszczki w kąciach jego oczu przez chwilę ułożyły się w coś, co – gdyby do tego dopuścił – mogłoby przerodzić się w uśmiech.

Popołudnie spędziła przy komputerze na uzupełnianiu raportów oraz rozmowie z Leelandem, mającej na celu sprawdzenie, czy któraś z informacji, jakie uzyskali, ma odzwierciedlenie wśród informacji od ludności. Denerwowała ją konieczność poświęcania czasu na papierkową robotę – jakby do momentu, póki nie wróci na ulicę, śledztwo zamierało.

Oczywista, że tak nie było. Childs i Garro poszli do domu prześpać się kilka godzin, ale Reynoldsa pilnowali Cushing i Boucher. Haws i Marley pojechali do domu Mello poszukać zdjęć, do których mógł mieć dostęp Reynolds, aby pokazać je Mirel Farr w celu stwierdzenia, czy znała Bernadine Mello, wie o jej udziale w seksie

sado-maso albo o tym, czy znał ją Reynolds. Mieli też do niej kilka pytań na temat miejsca pobytu Clyde'a Barbisha. Birley zajął się zaginioną Denise Reynolds Kapłan – sprawdzał jej akta w wydziale osób zaginionych, miał też porozmawiać z kobietami z grupy Same-nov, które mogły ją znać.

Było dwadzieścia po trzeciej i Palmie burczało już w żołądku, kiedy wreszcie zjawił się Grant. Był sam, miał rozluźniony krawat, płaszcz przerzucił przez rękę.

– Możesz na chwilę przerwać? – spytał. – Chciałbym spróbować złapać Broussarda.

– Oczywiście. Pójdę tylko po swoje rzeczy.

Grant poszedł za nią do jej boksu i spokojnie przyglądał się, jak bierze z biurka SIG-Sauera, wkłada pistolet do torebki i zarzuca ją na ramię.

– Przepraszam, ale będę musiała przedtem coś zjeść. Możemy zatrzymać się na chwilę gdziekolwiek.

– Niezły pomysł.

– A co z Hauserem? Też by coś chciał? Grant pokręcił głową.

– Hauser właśnie wraca do Quantico. Wydarzyło się coś niespodziewanego. Dla niego ta sprawa i tak była tylko wycieczką, zwolnieniem na chwilę od nieustannego szkolenia młodych pracowników. Nie był zbyt uszczęśliwiony, że musi tak szybko wracać.

– Próbowaleś już kuchni meksykańskiej?

– Nie.

– No to chodźmy.

Kiedy Palma i Grant szli między rosnącymi na placyku przed Cafe Tropical palmami i bananowcami, migoczące w szarym popołudniowym powietrzu wilgotne, gęste listowie powodowało, że różowa pokryta stiukiem fasada wyglądała jak wyblakła. Zapach smażonego ryżu i placków zbożowych poczuli na długo przed wejściem, a kiedy kelner prowadził ich do stolika z widokiem na skąpany deszczem dziedziniec, Palma niemal poczuła na języku smak chłodnego piwa. Poleciła Grantowi kilka dań i zaproponowała pacifico. Kelner natychmiast przyniósł dwie wysokie jasnobrązowe butelki z kanarkowożółtymi nalepkami.

– To jeden z twoich stałych lokali? – spytał Grant łykając pierwszy haust piwa.

– Właściwie nie. Zwykle jadam w miejscach bardziej „w dole rzeki”, jak mówi Birley. Wychowałam się w jednej z meksykańskich dzielnic miasta, gdzie nie ma różowych stiuków i eleganckich, wyłożonych kafelkami patio.

– Masz tam rodzinę?

– Moja matka mieszka tam do dziś. Także ciotki, wujowie i kuzyni. Mnóstwo kuzynów.

– To dobrze.

– A jak jest z twoją rodziną?

Grant pokręcił głową i znów łyknął piwa.

– Moi rodzice nie żyją, nie mam braci ani siostr. Obie siostry Marne mieszkają w Kalifornii. Zazwyczaj jestem sam z bliźniaczkami, ale teraz mają coraz więcej zainteresowań, coraz

częściej wychodzą z domu. Widzę, co się powoli zbliża – śluby, wyprowadzki – i wiem, że to naturalny bieg rzeczy. Niemniej niezbyt mi się to podoba.

Tym razem nie udało mu się przekonująco uśmiechnąć i pokrył zmieszanie wzruszeniem ramion, wyjrzał na dziedziniec i przyjrzał się bananowcom oraz obramiającym chodniki, jeszcze rozkwitłym, *Choisia ternata*.

Palma miała ochotę zapytać o Chinkę. Obserwowała jego profil w szarym świetle, próbowała wyobrazić go sobie jako uczestnika tajemniczego romansu, o którym wspominał Garrett. To jakoś nie pasowało do Granta, zresztą na pewno nie wyszło mu na dobre. Nie wyglądał na człowieka pogodzonego z samym sobą i Palma podejrzewała, że te burzliwe przeżycia musiały nieźle nim wstrząsnąć. Ciekawa była, dlaczego tak się stało.

Kelner przyniósł zamówione dania razem z dwiema dobrze ochłodzonymi butelkami pacifico. Kiedy zaczęli jeść, znów lunęło i dziedziniec zalały strumienie wody, która zadudniła o szerokie, zwieszające się ciężko liście bananowców. Grant przez kilka minut przyglądał im się, potem odwrócił głowę ku Palmie.

– Porozmawiajmy o twojej teorii.

– Co chcesz wiedzieć? – Palma była zaskoczona, że tak długo czekał z tym tematem.

– Kiedy przysła ci po raz pierwszy do głowy?

Palma nie spodziewała się tego pytania – w najgorszym przypadku było prymitywne, w najlepszym – wymijające. Do czego

dążył? Chciał ją uspokoić? Miał to być bardziej oficjalny ekwiwalent pytania: „Opowiedz mi o sobie”?

– Spodziewałaś się bardziej docieklivego pytania? Musiał to wyczytać z jej miny.

– Nie – skłamała.

Popatrzył na nią przez chwilę, ale nie miała dość przytomności umysłu, by powiedzieć więcej. Wzięła butelkę i wypila piwo do końca.

– Uważasz, że mam określone nastawienie do kobiet? – spytał Grant. Palma odstawiła butelkę.

– Zdaję sobie sprawę, że byłam nieco dęta, ale naprawdę uważam, że masz w tej sprawie klapki na oczach. Mam nadzieję, że nie odebrałaś tego, co powiedziałam, jako „feministyczny protest”. To była... jest niezgodność wyłącznie merytoryczna.

– Świetnie. Akceptuję to, choć nie sądzę, że mi uwierzysz. Pytanie, które postawiłem, było uczciwe. Po prostu chciałem wiedzieć, kiedy po raz pierwszy przyszło ci na myśl, że mordercą jest kobieta?

Musiła w duchu przyznać, że jego strzał był celny, nie zamierzała jednak dać mu satysfakcji ani się wycofać. Żeby nie milczeć, zaczęła odpowiadać.

– Chętnie bym powiedziała, że było to nagłe objawienie, ale to nieprawda. Z biegiem czasu zbierały się różne fakty i wrażenia, które do siebie nie pasowały. Przynajmniej dla mnie. Najpierw się okazało, że niektóre z kobiet z grupy sado-maso były w dzieciństwie molestowane seksualnie. Potem te... wstrząsające listy w domu Louise

Ackley. Historie rodem z gabinetów okropieństw. Żałosna opowieść Lindy o życiu Vickie Kittrie. Opowieść o Louise Ackley poniżanej przez Gila Reynoldsa. Apel Bessy o odrzucenie przemocy i nienawiści wobec mężczyzn, jej oskarżenie o molestowanie seksualne dzieci oraz przekonanie, że kobiety są w stanie być równie agresywne jak mężczyźni. – Wyrzała przez okno. Z zaskoczeniem stwierdziła, że deszcz przestał padać, a chmury nad niewielkim parkiem się rozstępują. Popołudniowe słońce barwiło liście na pomarańczowo, lśniły, jakby oblano je benzyną i podpalono. – Chcąc być uczciwą, muszę przyznać, że dość istotne było coś, co powiedziała kilka dni temu moja matka. Opowiedziała mi niezwykłą historię o dwóch kobietach, które znam od dzieciństwa, tyle że nie znałam ich naprawdę. W każdym razie kiedy skończyła i siedziałyśmy w milczeniu, stwierdziła, że kobiety są przede wszystkim ludźmi, dopiero potem kobietami. – Popatrzyła na Granta, niemal oczekując, że ujrzy w jego oczach błysk typowy dla kogoś, kto usłyszał niezwykłą rewelację, on jednak siedział w dalszym ciągu z obojętną miną, którą tak dobrze już znała, a która jej zdaniem miała tak niewiele wspólnego z „prawdziwym” Sanderem Grantem, co Grzmiący Głos z prawdziwym Czarownikiem z Oz. Nic w jego oczach nie błysnęło. Czekał, co będzie dalej. – Może kawy? – spytała, aby ukryć rozczarowanie. Kelner przyniósł kawę i sprzątnął naczynia ze stołu. Grant podał Palmie śmietankę, potem dolał trochę sobie. Starannie mieszał kawę, patrzył przy tym w filiżankę i Palma stwierdziła, że jego twarz powoli zalewa łagodne złote światło. Kiedy kafelki

na dziedzińcu zajarzyły się jak polerowany brąz, rysy Granta zaczęły wyglądać jak zakłęta w złocie maska.

– Uważam, że to zemsta – dodała. – Wykorzystywanego seksualnie dziecka, od lat duszącego w sobie wielką nienawiść, która jeszcze się pogłębia.

– Kogoś z grupy Samenov?

– Tak sądzę.

– Ale nie masz konkretnej podejrzanej.

– Kittrie. Ma dość powodów. Saulnier. „Fracja” Kittrie musi się składać kobiet żywiących nienawiść względem mężczyzn.

– Względem mężczyzn. Ale chyba masz jakieś wyjaśnienie, dlaczego w takim razie ofiarami są kobiety?

– Odpowiedź na to kryje się w jednym z twoich stwierdzeń.

Grant był mile zaskoczony. Palma uśmiechała się, choć nie przesadnie.

– Powiedziałeś, że morderca nie zabija kobiety, którą zabija, lecz kobietę, którą tworzy. Uważam, że pomysł jest dobry, ale płeć nie ta. Podejrzewam, że ma to związek z psychodramami odgrywanymi w scenariuszach sado-maso. Saulnier stwierdziła, że prawdziwa kobieta, która chce kobiety, chce prawdziwej kobiety. Może zabójczyni, należąca do grupy Kittrie – a wszystkie jej członkinie były w dzieciństwie wykorzystywane seksualnie – ma ulubiony scenariusz, gdzie jej partnerka jest „mężczyzną”, tym mężczyzną, który wprowadził ją w życie seksualne, kiedy była dziewczynką. Wykorzystywanie w dzieciństwie – jej „edukacja seksualna”, a tak

naprawdę pasmo udreńczeń – jest odgrywane w scenariuszu sado-maso, ofiara odgrywa mężczyznę. Dręczyciela wykorzystującego morderczynię w dzieciństwie. Scenariusz jest odgrywany jakby nigdy nic, tyle tylko że w pewnym momencie plan przestaje być realizowany. Sprawa kończy się źle. Potem „on” jest myty i „robiony z powrotem” na kobietę. Może to być próba uczynienia niebyłym tego, co „poszło nie tak”. Morderczyni de facto zajmuje się ofiarą. Myje ją, czyści z krwi. Obmywa olejkami. Czesze jej włosy, może w sposób, w jaki lubiła. Pryska je lakierem. Nakłada makijaż – pieczołowicie, fachowo, aby nie popełnić żadnego błędu. Układa ciało. Początkowo myślałam, że to pozycja jak do trumny, ale nie jestem teraz tak pewna. Chyba chodzi tu o coś innego. Poduszka, włosy na poduszce, perfumy. – Palma pokręciła głową. – Potem kładzie się obok. Mówi do niej, może dotyka ran, przeprasza, opowiada o sobie. Mówi o swoim cierpieniu, próbuje wytłumaczyć, dlaczego musiała zrobić to, co zrobiła. Chce zostać naprawdę zrozumiana. Płacze. Gdyby tylko... albo gdyby nie... Nie wiem dokładnie. Sądzę, że tak to się mniej więcej odbywa.

– Dlaczego robi makijaż za każdym razem na podobieństwo tej samej kobiety? To musi mieć jakieś znaczenie.

– Na pewno, choć jeszcze nie mam na odpowiedzi. Może to kobieta idealna? Matka morderczyni?

Grant zaczął powoli kręcić głową.

– To mnie nie przekonuje. Kiedy pojawia się coś, co nie pasuje do naszego modelu, zwykle nie uciekamy się do wniosku, że odkry-

liśmy nowy gatunek. Raczej skłaniamy się do uznania, że coś nie tak zinterpretowaliśmy, że patrzymy na coś niewłaściwie.

Palma skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Wyglądała na dziedziniec pijąc kawę. Niebo się oczyściło, że mimo nisko stojącego słońca było jeszcze dość jasno. Płytki na dziedzińcu zaczynały parować. Grant bawił się łyżeczką i Palma po chwili stwierdziła, że podobają jej się jego oczy – nawet zmarszczki w kącikach.

– A co z Reynoldsem? – spytał Grant unosząc głowę. – Jaki masz teraz na niego pogląd? Zmieniłaś o nim zdanie?

Palma skinęła głową.

– Wiesz dlaczego? Kiedy po raz pierwszy zauważyłam zmarszczki na purpurowej jedwabnej pościeli Bernadine Mello, od razu wiedziałam, że są ważne, niezwykle ważne. Kiedy wróciłam do wydziału i popatrzyłam na zdjęcia z hotelu Doubletree i z mieszkania Samenov, wiedziałam, że nie zauważyliśmy istotnego dla zabójcy elementu. Istotnego, ponieważ był drobny, ale sprawca zwracał szczególną uwagę na to, aby się powtórzył. Potem, kiedy minęło nieco czasu i zaczęłam rozumieć, co te zmarszczki znaczą... że zabójca kładzie się obok ofiary w akcie współczucia, opieki, wtedy zaczęłam mieć wątpliwości co do Reynoldsa.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie wierzę, aby umiał komukolwiek współczuć, nawet w najbardziej pokrętny sposób. Nie ma w nim nic poza nienawiścią. Nie mam wątpliwości co do tego, że Haws i Marley prędzej czy później znajdą jego związek ze śmiercią Louise Ackley

i Lalo Montalvo, ale ze śmiercią tych kobiet... Wątpię. Każde z trzech morderstw ma w sobie coś tak subtelnie skomplikowanego, że wątpię, by Reynolds umiał wymyślić coś w tym stylu.

– Dlatego że nie ma tak skomplikowanej psychiki?

– Nie, ponieważ nie jest dość subtelny. – Palma popatrzyła na dziedziniec, aby zebrać myśli. – Kiedy Terry opowiadała mi o radości, z jaką Reynolds poniżał Louise Ackley, podkreśliła, że zawsze „zostawiał ją bez zakończenia”. Zawsze porzucał ją „jak wyrzucony na brzeg śmieć”, w pętach, krwawiącą, pobrudzoną odchodami. Miało to jeszcze bardziej ją poniżyć, okazać, iż traktuje ją jako zero i może sobie iść, zostawiając ją nagą, powiazaną i cuchnącą.

Dziedziniec parował, a popołudniowe światło zalewało niskie palmy, bananowce i białe ketmie miedzianym światłem, które nie wiadomo dlaczego wydało się Palmie boleśnie smutne. Popatrzyła na Granta, który ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku.

– Czy to pasuje do kogoś, kto myje swoje ofiary? – spytała Palma. – Czesze im włosy, perfumuje je, obmywa olejkami, a na koniec kładzie się obok, aby szeptem przeproszać? Reynolds nie ma w sobie tyle delikatności. Nie jest zdolny okazywać delikatności zwłokom tuż po śmierci.

Grant w dalszym ciągu siedział nieruchomo jak pomnik. Po dłuższej chwili powiedział:

– Naprawdę zaangażowałaś się w sprawę, co?

– Tak. Zaangażowałam się.

Po raz pierwszy odkąd się poznali, zdawało się jej, że widzi w nim wahanie, nie umiała jednak określić, czego dotyczy. Choć wyraził się nie wprost, miała świadomość, że chyba go przekonała.

– Mimo to muszę się upewnić. Musimy zdobyć nakaz rewizji w jego domu.

– Już wypełniłam konieczne formularze – powiedziała Palma. – Frisch właśnie wiezie je do sędziego Arensa. Kiedy wrócimy, nakaz będzie czekał.

– To dobrze – stwierdził Grant patrząc uważnie na Palmę.

– Nie dzwoniłeś do Broussarda, aby się z nim umówić? – spytała. Grant pokręcił głową.

– To dobrze.

Rozdział czterdziesty czwarty

Jechali mokrymi i parującymi ulicami Woodway. Chmury deszczowe odpływały na zachód. Kiedy odpłynęły na tyle, aby odsłonić niebo, słońce właśnie zapadało za pinie, a jezdnie pokrywały wydłużone cienie. Deszcz umył miasto, które wydawało się teraz znacznie bardziej przestrzenne, jakby oglądane przez stereoskop.

Wjechali na teren posiadłości doktora Dominicka Broussarda i od razu skręcili w prawo, ku budynekowi oddzielnemu zagajnikiem od domu. Podjazd zakreślał przed „pracownią” koło, stał tu czarny mercedes 560SL. Palma zatrzymała się za luksusowym autem i zgasła silnik.

– Jakieś siedemdziesiąt tysięcy w blasze i farbie – stwierdził Grant. – Myślisz, że to jego?

– Jeżeli nasze dane są prawidłowe, to nie.

– Przyjmuje w weekendy?

– Sekretarka twierdzi, że nie.

Kiedy Grant kątem oka spojrzął na Palmę, wyjaśniła:

– Rozmawiałam z nią wczoraj. Na wypadek gdybym kiedyś potrzebowała psychiatry. Zrobiła na mnie wrażenie dziewczyny do wszystkiego, zajmującej się wszystkimi jego sprawami. Popłotkowałyśmy sobie trochę i zorientowałam się co do ogólnych zasad, według których pracuje Broussard. Mimo wszystko nie chciała rozmawiać ze mną na temat cen za konsultacje. W tym celu należy się umówić z doktorem osobiście. Stwierdziłam, że choć doktor Broussard

sard został mi polecony, trochę mnie krępuje „rozmawianie o tym wszystkim” z mężczyzną i spytałam, czy prowadzi dużo kobiet, na co okazało się, że obecnie wszyscy jego klienci z wyjątkiem dwóch to kobiety.

Grant znów skinął głową.

– Skąd wiedziałaś, że będzie tu, a nie u siebie w domu? – spytał wyjmując długopis, aby zapisać numer mercedesa.

– Nie wiedziałam. Chciałam tylko rzucić okiem na miejsce, gdzie przyjmuje pacjentów.

Grant odwrócił się i popatrzył ponownie na fronton „studia”. Podobnie jak dom, był to budynek z cegły w stylu „mniej więcej” georgiańskim. Ściany gęsto porastał bluszcz, a prowadzące do drzwi wejściowych kamienne schodki pokrywała warstwa liści, opadłych w trakcie intensywnych deszczów minionych dwu dni. Z dachu jeszcze skapywały krople.

– No to sprawdzmy, czy jest zajęty.

Wysiedli, Palma schowała do torebki radiotelefon i przekreśliła kluczyk w drzwiczkach samochodu. Ponieważ przy wejściu nie było dzwonka, Grant nacisnął ozdobną klamkę z brązu i pchnął drzwi. W poczekalni nie paliło się światło, jedynie „czarna” żarówka w wielkim szklanym pojemniku z orchideami, zajmującym niemal całą ścianę naprzeciwko wejścia. Zimna, upiorna poświata nieco rozświetlała przedwieczorny mrok, przesączający się przez dwa wychodzące na podjazd okna. Grant zajrzał w otwarte drzwi, prowadzące do sekretariatu, wyglądającego raczej jak pokój dozorczy, a nie

recepja. Najprawdopodobniej Broussard chciał, aby jego klienci mieli wrażenie, że przychodzą nie do kliniki, lecz do domu. Grant popatrzył na Palmę, wzruszył ramionami i wszedł do sekretariatu. Palma ruszyła w głąb korytarza: z prawej strony lekko uchylone drzwi ukazywały łazienkę, drzwi z lewej były zamknięte i płynęło spod nich światło, na wprost miała oszklone podwójne drzwi, prowadzące do alkowy, w której spał wielki labrador. Nim rozejrzała się do końca, drzwi po lewej zaczęły się powoli otwierać i Palma syknęła na Granta, cofnęła się szybko do holu, zapukała we framugę i wyciągnęła odznakę.

– Halo, jest tu kto? Halo? – Znów popatrzyła na Granta, wróciła do korytarza i popatrzyła w lewo. – Halo? – Na tle padającego przez okna alkowy ciemnego światła zobaczyła mężczyznę o potężnej klatce piersiowej, unoszącego pistolet. Szybko się cofnęła. – Policja! – zawołała. – Rzuć broń! Policja! – Wystawiła przed siebie odznakę. Grant stał już przy niej, też z wyjętą bronią i marszcząc czoło starał się domyślić, o co właściwie chodzi.

– Policja! – krzyknął i zaczął się rozglądać.

– Skąd... skąd mam wiedzieć że jesteście z policji? – zapytał dość niepewnie Broussard.

– Proszę popatrzeć na odznakę! – zawołała Palma potrząsając dłonią. Zapaliło się światło. – Sierżant Carmen Palma, wydział policji Houston.

– Widzę! – odkrzyknął Broussard. – W porządku, widzę!

– Proszę odłożyć broń i upewnić się, że została zabezpieczona!

– Oczywiście – odparł Broussard. – Proszę bardzo, kładę pistolet na podłodze. Grant wszedł do korytarza, wyciągając przed siebie odznakę FBI, Palma za nim. Broussard, mocno zdezorientowany, stał obok otwartych drzwi gabinetu, pistolet leżał przed nim na podłodze.

– Boże drogi... – westchnął, kiedy się zbliżyli. – Co wy wyprawiacie?

– Przyszliśmy z panem porozmawiać – odparła Palma. – Drzwi były otwarte. To pański gabinet, prawda?

– Oczywiście, ale należy się umówić.

– Czy zawsze wychodzi pan do niespodziewanych gości z bronią w ręku?

– Mam w gabinecie cichy alarm, który się włącza, kiedy ktoś otworzy frontowe drzwi. Nie spodziewałem się nikogo. Kiedy światełko się zapaliło i nikt się nie odezwał, pomyślałem, że to włamanie. W soboty zwykle mnie tu nie ma.

– Przepraszam, zdawało mi się, że zachowuję się wystarczająco głośno – odparła Palma, nie chcąc drażnić tematu.

Broussard popatrzył sceptycznie najpierw na nią, potem na Granta.

– Agent specjalny Sander Grant, FBI. Jeżeli ma pan chwilę, chętnie zamienilibyśmy z panem kilka słów. – Wyjął z pistoletu Broussarda magazynek. – Ma pan na to pozwolenie?

– Oczywiście! Cholera jasna, nie macie zwyczaju przedtem dzwonić? – W dalszym ciągu był dość roztrzęsiony i próbował zapa-

nować nad nerwami.

– Byliśmy zajęci, a właśnie niedaleko przejeżdżaliśmy... – wyjaśniła Palma.

– Boże drogi... – jęknął Broussard.

Grant oddał Broussardowi pistolet, zatrzymał jednak magazynek.

– Ma pan w gabinecie pacjenta?

Mina Broussarda gwałtownie się zmieniła, jakby nagle sobie o tym przypomniał. Cofnął się o krok i zamknął drzwi.

– Mam. O czym chcecie ze mną rozmawiać?

– O Bernadine Mello – odparł Grant.

– Boże drogi... Jezu. – Broussard nagle znów się zmienił. – Biedna... Posłuchajcie... – Odwrócił się do Granta. – Możecie kilka minut zaczekać w poczekalni?

Czekali, zapaliwszy światło. Dopiero po siedmiu minutach rozległ się trzask tylnych drzwi i do mercedesa szybkim krokiem podeszła zasłaniająca się płaszczem kobieta. Palma zbliżyła się do okna, ale było zbyt ciemno, więc nie mogła dostrzec twarzy. Kobieta otworzyła drzwi, szybko wślizgnęła się do środka i odjechała. W tym samym niemal momencie do poczekalni wszedł doktor Dominick Broussard.

Poszli do jego gabinetu, pachnącego delikatnie damskimi perfumami, Broussard – znacznie spokojniejszy – usiadł za biurkiem, przyznał, że słyszał o śmierci Bernadine Mello we wczorajszych wiadomościach i czytał o nieszczęściu w porannej gazecie. Panował

nad gestami i twarzą, ale niezbyt nad głosem, który – choć raz za razem odchrząkiwał – zachryplł i czasem go zawodził. Przyznał, że Bernadine była jego pacjentką przez pięć lat i prowadził ją z powodu chronicznej depresji oraz licznych innych objawów, w tym nadużywania alkoholu.

– Czy pan się specjalizuje w jakiejś dziedzinie? – spytała Palma.

– Właściwie nie – odparł Broussard, kolejny raz odchrząkując.
– Nie koncentruję się na szczególnym typie zaburzeń, tak się jednak z biegiem lat jakoś stało, że głównie przyjmuję kobiety.

– Jaką stosuje pan metodę? Istnieje wiele szkół psychoterapii, prawda? – spytała Palma.

Broussard chwilę się zastanowił, co wydało się Palmie dziwne.

– Jestem psychoterapeutą o orientacji psychodynamicznej, w odróżnieniu od terapii interpersonalnej, humanistycznej, kognitywnej, behawioralnej albo doradztwa. Moje poglądy na zaburzenia psychiczne opierają się na teorii psychoanalitycznej, i to klasycznej... nie na nowszych i... popularniejszych teoriach. – Popatrzył na Palmę.
– Wie pani co nieco o psychoterapii?

– Praktycznie nic. Broussard skinął głową.

– Zakładam, że zaburzenia neurotyczne, emocjonalne i interpersonalne są wynikiem nieświadomych konfliktów wewnętrznych... zwykle zainicjowanych w dzieciństwie. Analityk freudowski stara się zrekonstruować osobowość swojego pacjenta poprzez wyeliminowanie tych wewnętrznych konfliktów. Dokonuje się

tego poprzez umożliwienie pacjentowi zagłębienia się we własną nieświadomość, ujawnienie wspomnień i uczuć oraz uzyskanie wglądu we własne problemy. – Broussard mówił bardzo starannie, ale tak jakby nie poświęcał swoim słowom nadmiernej uwagi. Było jasne, że już nieraz wprowadzał w swoją metodę, prawdopodobnie pacjentów albo kandydatów na pacjentów. – Efektywność tej metody opiera się w znacznym stopniu na zjawisku zwanym „przeniesienie”. Kiedy pacjent z biegiem czasu przyzwyczaja się do analityka, zaczyna postrzegać go w określony sposób, projektować na niego cechy osób z własnej przeszłości. Chodzi tu głównie o cechy, które wywołują u pacjenta niedostosowane reakcje. Poprzez odpowiednie zadawanie pytań, analityk ma za zadanie przeprowadzić pacjenta przez proces reedukacji emocjonalnej, w trakcie której uczy się on bardziej realistycznego postrzegania siebie i świata oraz optymalnych zachowań. Choć brzmi to prosto, proces jest żmudny. Bardzo czasochłonny... i drogi. Niestety klasyczna psychoanaliza nie jest już w modzie. Niewiele osób jest w stanie poświęcić terapii tyle czasu. Najnowsze trendy idą w kierunku krótkoterminowych terapii psychodynamicznych, nie skoncentrowanych na pełnym poznaniu psychiki, lecz na konkretnych, wyizolowanych problemach. Nie ma w nich czasu na poznawanie podświadomości, powolne uzyskiwanie wglądu. Przeniesienie, co prawda, jest w dalszym ciągu istotne, ale analityk musi być w swym działaniu znacznie szybszy. Stara metoda została adaptowana do nowych czasów.

– Nie ma pan pacjentek, które wybrały działanie długotermino-

we? Broussard uśmiechnął się powoli.

– Mam. Kilka. Bernadine Mello była jedną z nich. Są też inne.

– Jeżeli czytał pan w prasie o śmierci pani Mello, z pewnością wie, że policja sądzi, iż została zamordowana przez kogoś, kto zabił jeszcze kilka innych kobiet.

Mina Broussarda spoważniała, jego smagła twarz jeszcze pociemniała. Sardoniczny uśmiech został zastąpiony czymś, co dla Palmy oznaczało nie współczucie, lecz obrzydzenie.

– Przejdę do sedna – powiedziała Palma. – Uważamy, że mógłby pan nam pomóc zrozumieć sposób myślenia zabójcy.

Twarz Broussarda zadrżała w sposób typowy dla kogoś, kto został zaskoczony i uważa, że może ukryć ten fakt za fasadą kamiennej miny. Niewiele osób jest w stanie tego dokonać i mimo dużego doświadczenia w rozmawianiu z ludźmi, Broussard do nich nie należał. Choć wyraz twarzy zmienił się niewiele i w trudny do opisanego sposób, było to wyraźne. Palma sięgnęła do torebki i wyjęła notesik, do którego zajrzała.

– Bernadine Mello była pańską pacjentką od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku?

Broussard skinął głową, oczy miał odrobinę bardziej wylupiaście niż zwykle.

– Posiadane przez panią dane są z pewnością prawidłowe... – wyjąkał. – Aby to potwierdzić, musiałbym sprawdzić akta. – Dał w ten sposób do zrozumienia, że wie, skąd wzięli posiadane informacje.

– A Sandra Moser była pańską pacjentką od maja do września osiemdziesiątego piątego?

Tym razem Broussard nie odpowiedział tak szybko.

– Musiałbym sprawdzić w kartotece. To samo dotyczy Dorothy Samenov. Palma poczuła, że się czerwieni, poczuła dziwny ucisk w żołądku. Jezu. Samenov też? Udało jej się nie spojrzeć na Granta, poczuła jednak – albo tylko jej się tak wydało – że chciwie połknął tak nieoczekiwanie ujawnioną informację. Popatrzyła znów do notesu.

– Nie mam danych na jej temat. Byłoby dużym problemem, gdyby nam je pan podał?

Broussard pokręcił głową i odwrócił się z fotelem do stolika obok. Włączył komputer, zaczekał, wcisnął kilka klawiszy i powiedział:

– Pierwszy raz konsultowałem Dorothy Ann Samenov czternastego lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, ostatni raz dwunastego grudnia osiemdziesiątego czwartego.

Nie gasząc komputera, odwrócił się do policjantów. Palma, specjalnie każąc Broussardowi czekać, popatrzyła w notes i w końcu zapytała:

– Kiedy zauważył pan po raz pierwszy, że wszystkie ofiary były pańskimi klientkami?

– Dziś rano.

– Nie przypomniał pan sobie nazwiska Sandry Moser czytając o jej śmierci?

– Oczywiście, że je sobie przypomniałem, ale to było pierwsze morderstwo. Pomyślałem, jakie to niezwykle, że ginie moja pacjentka. Jeszcze nigdy mi się coś takiego nie przydarzyło. Miałem samobójców, ale nie ofiary zabójstw. Tak więc się zdziwiłem, przeczytałem wszystko na temat przebiegu sprawy, ale na tym koniec. O Dorothy Samenov dowiedziałem się dopiero z dzisiejszej prasy, wymieniono w niej wszystkie trzy nazwiska. Wtedy sprawa stała się jasna.

Palma wiedziała, że Grant pamięta, iż poza jednozdaniową notatką któregoś dnia, śmierć Dorothy Samenov była do dziś rano utrzymywana w tajemnicy.

– Z pewnością się nas pan spodziewał – stwierdziła Palma i Broussard pokiwał głową. – Pomogłoby nam, gdyby przekazał nam pan trochę informacji o tych kobietach. Czy pańskim zdaniem miały jakąś skłonność, która zwiększałaby ryzyko zostania tego typu ofiarami? Czy widzi pan jakiś wspólny wątek?

Broussard oparł przedramiona na biurku, splótł palce i zaczął się przyglądać paznokciom. Na w miarę pustej strefie pośrodku biurka znajdowały się zwykle sprzęty – telefon, kalendarz, lampa, stojak na pióra i ołówki, po obu stronach rąk Broussarda biurko było jednak zapełnione dziesiątkami przeróżnych figurek. Wiele było antycznych – z gliny, brązu, marmuru i żeliwa, inne zrobiono z różnokolorowych kamieni – czarnych, ciemnopurpurowych, kobaltowych lub zielonkawych. Wszystkie figurki przedstawiały kobiety.

Broussard uniósł głowę, aby odpowiedzieć, i zauważył, że Pal-

ma obserwuje jego kolekcję. Przekrzywił głowę.

– Rozpoznaje pani którąś z postaci?

– Świętą Katarzynę.

– O, chodziła pani do szkoły zakonnej?

– Tak.

– No tak, dobra i nieszczęśliwa Katarzyna. Wszystkie te postacie pochodzą z mitów wielu kultur i z różnych epok od antyku po współczesność.

Broussard popatrzył na Granta i znów na Palmę. Dotknął jednej z figurek – marmurowej.

– To jest stupiersiasta Artemida z Efezu, córka Zeusa i Leto, jedna z najważniejszych bogiń greckich, czczona na całym świecie.

– Dotknął figurki, którą rozpoznała Palma. – A to stoicka święta Katarzyna z Aleksandrii, która została skazana na łamanie kołem, wpatruje się łagodnie w wieczność poprzez szprychy koła z jaskrawo żyłkowanego kamienia. – Palec przesunął się. – Leda z brązu, obejmująca masywnymi udami potężne, pierzaste ciało Zeusa-łabędzia, by począć kolejną kobietę, której legendarna uroda miała spowodować spuszczenie na wodę tysiąca statków. Tutaj błada marmurowa Psyche obejmuje biseksualnego Erosa, ta czarna, wąska w pasie i pełnopiersiasta figurka to Córka Niebios, małżonka Sziwy – Parwati, ta obok niej to zrobiona ze steatytu Tlazolteotl, w religii azteckiej jedna z bogiń-matek, której wykrzywiona grymasem twarz przedstawia ból rodzenia, a spomiędzy jej rozchylonych nóg wysuwają się z przesadnie wielkiej pochwy głowa i ramiona rasy, którą rodzi. –

Przerwał i położył rękę obok drugiej, spoczywającej bez ruchu na blacie biurka. Kolekcja zawierała figurki w najróżniejszych kolorach, deseniach, formach, zrobione z najróżniejszych materiałów, przedstawiające paletę kobiecych archetypów od wdzięcznych po wulgarne, od dumnych po skromne, od świętych po sataniczne. – Zawsze kiedy o nich mówię, rozmarzam się. Zbieram je od czasów studenckich – powiedział Broussard z bladym uśmiechem. – Kobiety całego życia... – Zaraz po tym zmarszczył czoło i popatrzył na Palmę: – Dwie sprawy. Zdaję sobie sprawę, że to ja jestem wspólnym mianownikiem, a z powodu określonego rodzaju kontaktu, jaki miałem z tymi kobietami, znajduję się w sytuacji, którą można by określić „kompromitującą”. Sprawdzę w kalendarzu, ale możliwe, że nie będę w stanie przedstawić alibi na wszystkie daty morderstw... jeżeli w ogóle mi się uda przedstawić je dla którejkolwiek. Poza tym... podejrzewam, że mąż Bernadine przekazał wam, iż mój związek z nią wykraczał poza ramy zwykłej relacji lekarz-pacjent. Wiem, że jeżeli zechcecie zająć się tym jako wykroczeniem przeciwko etyce lekarskiej, moja kariera jest zagrożona. – Broussard opadł na oparcie fotela i bez lęku popatrzył na Palmę, potem na Granta. Pokręcił głową. – Sprawa miała się nieco inaczej. Nie twierdzą, że ją kochałem. To było bardzo skomplikowane. Nie wiem, czy wolno mi to tak nazywać, ale nasz związek był... trwały. Przetrwał pięć lat i trzech miesięcy. Brałem honorarium, oczywiście, choć przez półtora roku zrezygnowałem z niego. W dalszym jednak ciągu widywaliśmy się trzy razy w tygodniu i kontynuowałem jej analizę. Pewnego dnia

zaczęła mi znów płacić, twierdząc, że niezależnie od naszego związku, zasługuję na to. – Uśmiechnął się smutno i popatrzył na Palmę. – I miała rację. Bernadine miała swobodne podejście zarówno do pieniędzy, jak i do seksu i tak chyba było dobrze. Miała duże zapasy jednego i drugiego.

Broussard przerwał, aby usłyszeć, co na ten temat sądzą.

– Obchodzą nas morderstwa – odparł Grant, dając do zrozumienia, że nie zamierzają się zajmować szczegółami etyki zawodowej Broussarda. Doktor powoli skinął głową, być może zastanawiał się, jak stwierdzenie Granta ma się do jego osoby i co odpowiedzieć.

– Mogę państwu przedstawić jeszcze kilka wspólnych mianowników poza moją osobą – stwierdził w końcu – ważne jednak, byście nie zapominali, że choć poszukujące porady psychiatry kobiety wykazują wiele podobieństw w symptomatyce, ich życie może być całkiem odmienne. Nie ma precyzyjnych sposobów na rozróżnianie specyfiki objawów. Przede wszystkim zaś nie należy wyciągać wniosków na podstawie ogólników.

Rozdział czterdziesty piąty

– Wszystkie trzy cechowało szerokie spektrum zaburzeń lękowych: napady lęku, fobie, zaburzenia obsesyjno-kompulsywne – zaczął Broussard. Choć miał tylko jedno sobotnie spotkanie, jego krawat, który można by nazwać „sportowym”, został starannie dobrany do spodni. – Miały zaburzenia nastroju, co objawiało się przygnębieniem, spadkiem napędu, pesymizmem, poczuciem bez nadziei. Wszystkie były wykorzystywane seksualnie w dzieciństwie i wszystkie były biseksualne. Jeżeli chodzi o ten ostatni punkt, w przypadku Bernadine dowiedziałem się o tym bardzo niedawno. Poza tym ta skłonność była u niej długo uśpiona. W koledżu została uwiedziona przez koleżankę i z tego co mówiła – a nie miałem powodu jej nie wierzyć – sprawa powtórzyła się dopiero niedawno, z poznaną na stacji benzynowej kobietą. Zbliżyła się ona do Bernadine anonimowo, potem nawiązała z nią ponownie kontakt. Doszło do spotkania i romans się zaczął. Myślę, że był dość poważny.

– Jak niedawno? – spytała Palma.

– Trzy, może cztery tygodnie temu.

– Mógłby pan być dokładniejszy?

– Musiałbym zajrzeć do notatek.

– Poprosimy pana o to później. Co z pozostałymi dwiema?

– Samenov była biseksualna od czasów studenckich. Pierwsze doświadczenie Moser miało miejsce tuż po ukończeniu koledżu,

kiedy zaczęła karierę zawodową, i powtarzały się one pod postacią krótkotrwałych romansów aż do małżeństwa.

– Czy w ich zachowaniach seksualnych było coś niezwykłego – poza biseksualizmem – co wykraczało poza normę?

Entuzjazm Bernadine był... niezwykły. Nie uważam jej za nimfomaniakalną w klinicznym sensie, ale była uzależniona od seksu. Uważała, że to jedyny sposób, w jaki ludzie okazują sobie miłość. Miłość nieerotyczna stanowiła dla niej niezrozumiałe zjawisko. Dorothy Samenov cechowało z nich trzech najprawdopodobniej największe splątanie seksualne. Można by wręcz określić, że miała podwójną osobowość. W życiu publiczno-zawodowym była dojrzała, agresywna, samosterowna i zdyscyplinowana, w życiu osobistym... właściwie seksualnym, bo o nie tu chodzi... słaba, regresywna, niedojrzała i łatwa do manipulacji. Kompletnie nierozsądna, niezdolna do podjęcia dojrzałej decyzji. W kontaktach z ludźmi przyjmowała nieustannie rolę ofiary... obu płci.

– Z jakiego powodu zgłosiła się do pana?

– Cierpiała z powodu nocnych napadów lęku i bezsenności. Koniec końców wynikały one z wyparcia problematyki bycia wykorzystywaną seksualnie w dzieciństwie, jej nieumiejętności poradzenia sobie z pamięcią tej sprawy. Przepracowaliśmy to. Wśród kobiet w jej wieku spotykam się dość często z podobną problematyką. Molestowanie seksualne dzieci jest znacznie bardziej rozpowszechnione, niż społeczeństwo gotowe to przyznać. – Ostatnie zdanie było skierowane bezpośrednio do Palmy. – Byłaby pani zdziwiona do-

wiedziawszy się, jaki procent kobiet żyje z czymś podobnym, choć zagrzebały problem w swej podświadomości tak głęboko, że deformuje ich życie.

– A Sandra Moser?

– Dość podobny przypadek, tyle tylko że miała męża i prowadziła podwójne życie. Związany z tym stres musiał być zbyt wielki i ujawnił się pod postacią zaburzeń lękowych, wywierających silny wpływ na pożycie małżeńskie. W ten sposób trafiła do mnie.

Palma zrobiła notatkę, choć mało prawdopodobne, by zapomniała cokolwiek z tego, co Broussard mówił. Bardzo chciałaby wiedzieć, o czym myśli Grant. Siedział założywszy nogę na nogę i też notował, Palma podejrzewała jednak, że robił tak bardziej po to, aby nie sprawiać wrażenia uważnego obserwatora, co mogłoby denerwować Broussarda.

– Czy któraś z nich wspominała, że brała udział w praktykach sado-maso? – spytała.

Broussard zmarszczył czoło i niemal wydusił z siebie krótkie:

– Nie.

– Czy zaskoczyłoby pana, gdyby okazało się, że tak było?

– Gdyby dotyczyło to wszystkich trzech, tak. Nie wierzę, by w tego typu praktykach brała udział Bernadine. W przypadku Same-nov nie byłoby to zaskakujące. Bez trudu mogę ją sobie wyobrazić w masochistycznej roli. Moser... nie, nie sądzę, choć możliwe, że i ona poszła w tym kierunku. Proszę pamiętać, że jedną widywałem w osiemdziesiątym czwartym, a drugą w osiemdziesiątym piątym.

Od tego czasu mogło się mnóstwo wydarzyć. Niestabilność osobowości to potężny katalizator.

– Czy to oznacza, że nie ma pan wrażenia, by wiele im pomógł? Uważa pan, że po pańskiej terapii były w dalszym ciągu niestabilne?

Broussard niemal się uśmiechnął, jakby wiedział, iż Palma sądzi, że go przyłapała, i zamierzał wyjaśnić nieporozumienie.

– Niestabilność to pojęcie względne. Jak wspomniałem przed chwilą, niewiele osób jest w dzisiejszych czasach gotowych do podjęcia wysiłku rzetelnej eksploracji własnej psychiki. Dzisiejsi ludzie są zainteresowani naprawą na poczekaniu. Dorothy Samenov chciała się uwolnić od nachodzących ją w snach demonów i kiedy tak się stało, przerwała terapię, uznając, że jest „wyleczona”. Sandra Moser chciała się pozbyć depresji i zaburzeń popędu, czyli inaczej mówiąc, oziębłości wobec męża. Kiedy te objawy zniknęły, też zakończyła terapię jako „wyleczona”. Obie w dalszym ciągu miały bardzo poważne problemy psychologiczne, ponieważ jednak objawy zniknęły, uznały, że zniknęły także problemy źródłowe. Jedynie zaś ścisnęły balon.

– Nie rozumiem.

– Jeżeli ściśnie się wybrzuszenie nadmiernie napompowanego balonu, zniknie ono, ale balon natychmiast wybrzuszony się w innym miejscu. Przypuszczam, że „wybrzuszenia” – to znaczy objawy – jakie pojawiły się u nich po przerwaniu wizyt, były jednak „normalniejsze”. Lęk może przejść w nadużywanie alkoholu, nadmierne sięganie po leki antydepresyjne, przejadanie się, ekscesywny seks,

owrządzenia przewodu pokarmowego. Te formy „niestabilności” są tak częste w naszym społeczeństwie, że mamy skłonność do uważania ich za „normalne”. Tak normalne, że nie wymagające leczenia, nie mówiąc już o konsultacji z psychiatrą.

Broussard wzruszył ramionami i uniół na chwilę brwi.

– Ilu ma pan pacjentów, doktorze? – Grant zadał pytanie spokojnym, cichym głosem.

Broussard chwilę w milczeniu mu się przyglądał.

– Jeżeli nie jest to absolutnie konieczne... wołałbym nie mówić.

– Dlaczego?

– Nie widzę tu związku ze sprawą... jeżeli dobrze rozumiem pańskie pytanie. Grant kiwnął głową.

– Może więc mógłby nam pan mniej więcej określić procent pańskich pacjentek mających problemy podobne do tych, jakimi cechowały się trzy zamordowane kobiety?

– Większość. Powiedziałbym – osiemdziesiąt procent przypadków.

– Zaburzenia lękowe, zaburzenia nastroju, zaburzenia seksualne... o to chodzi, tak?

– Tak. Do tego problemy z alkoholem i lekami w różnych stadiach uzależnienia.

Grant ponownie skinął głową, tym razem jednak nie spojrzął w notes. Cały czas patrzył na Broussarda.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, jaki procent jest ofiarą seksualnego wykorzystywania w dzieciństwie?

Broussard zawahał się, może niepewny, czy ujawniając to, nie naruszy tajemnicy lekarskiej.

– Też większość. Prawdę mówiąc, w tej chwili nie przypominam sobie żadnej z moich pacjentek, która nie byłaby w dzieciństwie wykorzystywana seksualnie.

Palma nie przerywała, czekała, aż Grant skończy stawiać pytania.

– Czy uważa pan, że większość psychiatrów ma wśród swoich pacjentów tak wysoki procent osób wykorzystywanych seksualnie w dzieciństwie?

Jeżeli tak jak ja przyjmują o wiele więcej kobiet niż mężczyzn, uważam to za możliwe. Jak powiedziałem, opinia publiczna byłaby zaszokowana informacją, ile dziewczynek przechodziło w dzieciństwie podobny koszmar. Ma on różny wpływ na dalsze życie, ale zawsze jest niekorzystny. Niektórym kobietom można pomóc, innym nie.

– Czy uważa pan, że ten właśnie czynnik – wykorzystywanie seksualne w dzieciństwie – mógłby być w tych trzech sprawach ważnym wspólnym wątkiem?

Broussarda zaskoczyło to pytanie i ponownie zastanowił się dłuższą chwilę.

– Sądzę, że tak... Myśli pan, że mógłby być ważniejszym wątkiem od innych?

– Właśnie. Najważniejszym. Broussard wzruszył ramionami.

– Dlaczego pyta pana o to akurat mnie?

– Ponieważ jest pan psychiatrą, badaczem ludzkich umysłów, znawcą ich natury. Pomyślałem, że może rozumie pan sposób myślenia tego człowieka.

Broussard w dalszym ciągu zadawał się nie rozumieć Granta.

– Ale ja nic nie wiem o... tych przypadkach, o samych zabójstwach. Z pewnością macie różne dowody jego zachowania, z których możecie wyciągać różne wnioski.

– To prawda, mamy.

– Gdybym poznał jakieś szczegóły, wtedy może... mógłbym pospekulować, zastanowić się...

– Oczywiście, doskonale pana rozumiem, niestety nie możemy niczego ujawnić. Miałem nadzieję, że może... zechce pan się zabawić w czysto intelektualną grę. Na ile wykorzystywanie seksualne w dzieciństwie mogłoby grać rolę w przypadku, z którym mamy do czynienia? Bo ja wiem... czy zabójca mógł być wykorzystywany seksualnie w dzieciństwie, a to, co robi, to coś na kształt zemsty? Wiadomo, że w większości przypadków seksualnego molestowania dzieci sprawcami są mężczyźni, dlaczego więc zabija kobiety? Może sam molestuje seksualnie dzieci? Jeżeli tak, dlaczego nie zabija dzieci? Dlaczego dorosłe kobiety?

Wygląda na to, że już pan założył, iż wiodącym wątkiem tych spraw jest seksualne wykorzystywanie w dzieciństwie – stwierdził Broussard. – No dobrze. Po pierwsze, nie zgodziłbym się z pańskim założeniem, że „w większości przypadków seksualnego molestowania dzieci sprawcami są mężczyźni”. – Pokręcił głową. – W tysiąc

osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku Freud ogłosił sławną – czy raczej sławetną – „teorię uwiedzenia”. Na wykładzie dla wiedeńskiego Towarzystwa Psychiatrii i Neurologii, opublikowanym jako praca pod tytułem *O etiologu hysterii* stwierdził, że odkrył u swoich pacjentów trzy warianty wykorzystywania seksualnego w dzieciństwie i że najliczniejsze są tu przypadki, „w których opiekująca się dzieckiem dorosła osoba – niania, mamka, guwernantka, nauczyciel, niestety także aż nazbyt często bliski członek rodziny – wprowadziła dziecko w praktyki seksualne i... często przez lata je z nim utrzymywała”. – Zawiesił dla efektu głos. – Nie ojcowie. Nawet nie głównie mężczyźni. Później oczywiście, i to bardzo szybko, Freud odrzucił uwiedzenie jako źródło wszystkich nerwic, w dalszym jednak ciągu twierdził, że ich część wynika z tego „częstszego niż się sądzi” dziecięcego doświadczenia, dziwnym jednak trafem zarówno on sam, jak i jego uczniowie za głównego sprawcę zaczęli uważać „ojca”. Nie do końca wiadomo, jak doszło u niego do tak gwałtownej zmiany poglądów, faktem pozostaje jednak, że już nigdy więcej nie umieszczano kobiet wśród „nikczemników”. – Broussard uśmiechnął się. – To znaczy do niedawna. Ruch wyzwolenia kobiet pozwolił większej liczbie ludzi obserwować życie z innych niż dotychczas pozycji. Niektórzy psychologowie, psychiatrzy, pracownicy socjalni, doradcy zaczęli dostrzegać w prowadzonych przez siebie sprawach realia, na które przymykano oko, i wychodzić poza – zazwyczaj nieświadomy – męski sposób postrzegania rzeczywistości, typowy dla wielu profesjonalistów,

w tym i kobiet. Dam przykład. Czternastolatka jest uwodzona przez mężczyznę: molestowanie seksualne dziecka. Czternastolatek jest uwodzony przez kobietę: co za szczęściarz! Każdy mu zazdrości. Dlaczego? Ponieważ jest to objaw męskiego rytuału stawania się mężczyzną, który nieraz opiewano w literaturze i filmie. Widzi pan jakąś różnicę między jednym a drugim? Umiałby mi pan wyjaśnić, dlaczego w przypadku dziewczynki mamy do czynienia z przestępstwem, a w przypadku chłopca z wspnianiałym doświadczeniem, którego miłe wspomnienie będzie towarzyszyć młodzieńcowi w drodze do dorosłości? Jest to nic innego jak kolejny objaw podwójnej moralności, jaką się kierujemy. Nasze kierujące się męskimi normami społeczeństwo nie jest w stanie uwierzyć, że uwodzająca chłopca kobieta może mieć złe intencje. Przecież kobiety to karmicielki, prawda? Opiekunki, nie dręczycielki. Jeżeli zbliżają się do kogoś, robią to z czułością. Każdy wie, że przekażą chłopcu dar własnej seksualności, w żadnym wypadku nie zabiorą mu nic dla swej egoistycznej przyjemności. Czy mężczyźni byłiby w stanie działać tak samo? Skądże znowu! Ich zachłanne lędźwie znają jedynie żądę! – Przerwał i popatrzył na swoich rozmówców. – Jesteście oboje tego samego zdania? A może innego? – Zaczekał wystarczająco długo, aby puenta dotarła, uśmiechał się przy tym, jakby uważał, że przyłapał obydwójce na opisywanej przez siebie podwójnej moralności. – W każdym razie pojawiają się pierwsze sygnały, że fachowcy zaczynają odrzucać stare przesady. Jedno z większych badań, jakie ostatnio przeprowadzono na dorosłych mężczyznach, wykorzy-

stywanych seksualnie w dzieciństwie, wykazało, że jedynie dwadzieścia pięć procent z nich było molestowanych przez mężczyzn. Pozostali byli uwodzeni przez kobiety – siedem procent przez matki, piętnaście procent przez ciotki, piętnaście procent przez przyjaciółki matki i sąsiadki, reszta przez siostry, macochy, kuzynki i nauczycielki. W ponad trzech czwartych przypadków kobiety odbywały ze swoimi ofiarami seks oralny, w sześćdziesięciu dwóch procentach dochodziło do klasycznego stosunku, trzydzieści sześć procent chłopców było wykorzystywanych przez dwie kobiety naraz, dwadzieścia trzy procent stwierdziło, że było fizycznie karanych – sięgało to od policzkowania i uderzeń dłońią po zachowania rytualne i sadystyczne. W ponad połowie przypadków molestowanie trwało ponad rok. – Broussard ponownie przerwał. – Czy brzmi to w jakimkolwiek stopniu inaczej niż opisy „prerażających” przestępstw dokonywanych na dziewczynkach? – Znów pokręcił głową i sam sobie odpowiedział: – Kolejny raz mamy tu do czynienia z podwójną moralnością. Mężczyźni chcą od kobiet określonych rzeczy – bycia Madonną albo kochanką. Matką Boską albo dziwką. Nigdy jednak, przenigdy, nie chcą tego razem w tej samej kobiecie. Chcą, aby matka ich dzieci była święta, a kochanka wręcz przeciwnie. Mężczyźni, oczywiście, są w stanie być partnerem zarówno dla jednej, jak i drugiej. Bez trudu mogą być dobrym ojcem z kochanką na boku. Żaden problem. Kiedy jednak okaże się, że kobieta jest jednym i drugim, wali im się świat. Wydaje im się to wbrew naturze. – Pokręcił głową, jakby miał do czynienia z niesfornymi dziećmi. –

To oczywiście iluzja, że kobiety i mężczyźni są w tych sprawach inni. Wręcz błędem jest założenie, że w ogóle się różnią – z wyjątkiem sposobu, w jaki zostali nauczeni zachowywać się w określonym społeczeństwie i w określonej kulturze. To jest jednak zachowanie wyuczone. Głęboko we wnętrzu, mężczyźni i kobiety są do siebie bardzo podobni. Zarówno jeśli idzie o dobre cechy jak i złe.

Kiedy tym razem przerwał, uśmiechnął się i zapatrzył w Granta, który zapomniał udawać, że notuje, i wpatrywał się w doktora za fascynowany. Możliwe, że Broussard uśmiechał się z powodu miny Granta.

– Punkt drugi – rzekł Broussard, widząc zainteresowanie Granta. – Osoby wykorzystujące dzieci seksualnie są w swoich zachowaniach „czułe”. Ich narcyzm domaga się miłości i próbują doprowadzić do powstania „miłości”. Kilka minut temu zadaliście pytanie, czy wiem o skłonności którejś z ofiar do praktyk sado-masochistycznych. Wnioskuje z tego, że zabójstwa zawierały w sobie ten element. Ponieważ zaś nie jest to zachowanie typowe dla osób wykorzystujących dzieci, zakładałbym, że sprawca nie należy do tej grupy.

– Przed chwilą powiedział pan jednak – wtrąciła Palma – że... w dwudziestu trzech procentach przypadków chłopców molestowanych seksualnie przez kobiety dochodziło do zachowań sadystycznych.

Tym razem uśmiech Broussarda był ironiczny i doktor kiwnął

głową, jakby stwierdzenie Palmy było potwierdzeniem ogólnie znanego faktu. Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, Grant wtrącił:

– Czy skończył pan omawianie punktu drugiego?

– Punkt drugi, tak... – powiedział Broussard unosząc w górę dwa palce. – Fantazja. Sadomasochiści są napędzani fantazjami, imaginowanym odgrywaniem ról. „Gra to sedno”. Stymulują ich określone działania, gesty, strój, słowa. To samo dotyczy zabójców na tle seksualnym, z wyjątkiem pedofili. Nie sądzę, by wasz zabójca okazał się pedofilem.

– Świetnie. Załóżmy, że odrzucamy tę możliwość – stwierdził Grant powoli, z wielką ciekawością obserwując Broussarda. – Jak wyobraża pan sobie jego osobowość?

Wydawało się, że Broussarda irytuje upór Granta w ogólności, a jego pytanie w szczególności.

– Moim zdaniem jest w stanie odpowiedzieć na to każdy uważny czytelnik gazet albo magazynów publikujących reportaże z prawdziwych przestępstw. To dobrze opisany typ osobowości, niemal standard. Introspektywny, samotny, drobiazgowy, skłonny do natręctw, zadufany w sobie. Wobec znajomych rzadko okazuje agresję. „Idealny” sąsiad, miły facet, w którym w rzeczywistości kryją się złogi głęboko skrywanej agresji. Jako pacjent psychiatryczny albo więzień jest idealnym pensjonariuszem, nigdy nie sprawia kłopotów, prędzej czy później zostaje funkcyjnym albo dostaje przepustki za dobre zachowanie. Najprawdopodobniej jest impotentem i czuje niższość wobec kobiet. Ma dziwaczne zainteresowania,

o których jego przyjaciele – choć powinienem raczej powiedzieć „znajomi” – nie mają pojęcia. Regularnie się onanizuje i kupuje czasopisma pornograficzne. Najprawdopodobniej przechodzi okresowo fazy lękowe albo depresyjne.

Broussard oparł dłonie o blat biurka.

– Dobrze – stwierdził Grant. – A co pan, jako psychiatra, może o nim powiedzieć?

Broussard przyjrzał się dłuższą chwilę Grantowi. Zmrużył lekko oczy, jakby nie tylko oceniał pytanie, ale samego Granta, może nawet podejrzewał, że chce go do czegoś sprowokować.

– W zasadzie nic.

– Nie mógłby pan pospekulować?

– Mógłbym, ale nie rozumiem, czemu miałoby to służyć.

– Zrozumieniu, doktorze Broussard. Osiąga się je słuchając ludzi. Umiem sobie wyobrazić, że jestem motywowanym seksualnie zabójcą i dzięki temu jestem w stanie wiele się dowiedzieć – zarówno o sobie, jak i o sprawcy – ale uważam, że dowiem się więcej, jeżeli wyobrazi sobie sprawcę psychiatra z wieloletnim klinicznym doświadczeniem.

– Głównie z kobietami.

– Przepraszam?

– Moje kliniczne doświadczenie dotyczy głównie kobiet.

– Tym lepiej.

Broussard nie odwracał wzroku od Granta, jego oczy zdawały się szacować znaczenie i ryzyko wyzwania. Kąciki ust lekko mu

opadły, co musiało oznaczać toczący się w nim konflikt. W końcu odwrócił głowę, wziął spomiędzy kilkudziesięciu statuetek czarną figurkę i postawił ją przed sobą.

– Hinduska bogini Kali – powiedział. Figurka przypominała szkielet i była szkaradna. Stała przykucnięta nad swoim mężem Sziwą, wrywała i zjadała mu wnętrzności, a na szyi miała różaniec z czaszek. – Dawczyni życia i pożeraczka własnych dzieci... Niektórzy mężczyźni, może nawet wielu, miewają różnego stopnia sadystryczne fantazje, jednak tylko niewielki procent je realizuje. Jeżeli jestem jednym z nich, to dlaczego? Jakie czynniki powodują, że realizuję to, z czym większość mężczyzn jedynie flirtuje? Mało prawdopodobne, by istniał jeden uniwersalny czynnik. Może byłem w dzieciństwie albo w okresie pokwitania obiektem seksualnych napaści? Może mój pierwszy orgazm miał miejsce w trakcie takiej właśnie napaści i nagle stwierdziłem, że w środku ponizającego zdarzenia odczuwam przyjemność? Pozostawiłoby to na mojej psychice niezbywalną bliznę i już na zawsze związało jeden z najbardziej elementarnych popędów życiowych – coś, co powinno być z założenia dobre i miłe – z czymś ordynarnym i sadystrycznym. Już zawsze utożsamiałbym oba zjawiska – okrucieństwo i orgazm – ponieważ moja niewykształcona psychika omyłkowo dostrzegła między nimi związek przyczynowo-skutkowy. To zdarzenie, które miało miejsce w momencie decydującym o wykształceniu się mojej orientacji seksualnej, spowodowałoby... skłonność do perwersji.

W gabinecie paliła się tylko jedna lampka – na biurku,

w dodatku z dość ciemnym kloszem – co powodowało, że zapadający zmrok kładł na figurkach mitycznych kobiet tajemnicze cienie, a twarz doktora rozjaśniała jedynie słaba poświata. Z każdą minutą Palmę i Granta obejmował coraz gęstszy mrok.

– Przy wkroczeniu w wiek pokwitania moje kontakty społeczne i seksualne byłyby niezadowolające. W kontaktach z płcią przeciwną nic nie wydawałoby mi się „takie jak powinno”. Od początku czułbym się źle, a wraz z wiekiem moje niezadowolenie jeszcze by się nasilało. Nie będąc zdolnym do panowania nad wydarzeniami w świecie rzeczywistym, zacząłbym fantazjować, tworzyć inny świat – taki, w którym panowałbym nad wszystkim. Zaczęłbym utrzymywać takie schematy myślenia i imaginacji oraz scenariusze dotyczące seksualności, które pasowałyby do moich doświadczeń. Takie, w których tylko ja panuję nad wszystkim i wszystkimi. Powtarzałbym te scenariusze raz za razem, w końcu ten styl myślenia i fantazjowania stałby się nawykiem i stwierdziłbym, że podniecam się seksualnie, kiedy fantazjuję o panowaniu i dominacji. Fantazje te stałyby się moimi jedynymi doświadczeniami seksualnymi. Ograniczałbym się tylko do nich. W końcu by mnie znudziły, ale szybko bym zauważył, że aby się podniecić, muszę zmieniać scenariusze na gwałtowniejsze i bardziej prowokacyjne. Odkryłbym, że zmiana dodaje pieprzu. Może nawet zacząłbym realizować scenariusze – śledząc kobiety z oddali i obserwując je, równocześnie wyobrażając sobie, że nad nimi dominuję i je poniżam. – Broussard pocierał połykającą Kali, patrzył na nią. Głos miał spokojny i pewny, jego mono-

log płynął coraz swobodniej. – Staję się odważniejszy. Idę za kobietą, włamuję się do jej domu podczas jej nieobecności i zostaję kilka godzin. Przymierzam jej ubrania. Albo wsuwam się nagi pod kołdrę na jej łóżku, wdychając unoszący się zapach perfum. Mogę ją „przypadkiem” spotkać w restauracji albo na stacji benzynowej i nawiązać rozmowę. Intymny kontakt z jej osobistymi rzeczami – jej bielizną, którą wkładałem na nagie ciało, jej kosmetykami, które nakładałem na swe nagie narządy płciowe – dodaje mi animuszu. Wiem coś, czego ona nie wie. Panuję nad przebiegiem naszych spotkań. Jestem czarujący, przepełniający mnie animusz nadaje mi swobody w zachowaniu. W grze między płciami mam przewagę, ponieważ dużo o niej wiem – jakiego używa mydła, jakich perfum, jakich podpasek. Idę z nią do niej. Jest mi łatwo, ponieważ wiem wszystko o mieszkaniu, choć muszę udawać, że jestem w nim po raz pierwszy. Zabawa bardzo mi się podoba, ta radość daje mi pewność siebie. Jestem pewny siebie i panuję nad wszystkim... aż do końca...

Broussard nagle przerwał w pół zdania i spojrzął na Granta, niemal już niewidocznego w mroku. Na zewnątrz liliowe popołudnie przemieniło się w ciepłą, purpurową ciemność, a leniwa woda zalewu w niknącym świetle wyglądała jak zgniły atrament.

Rozdział czterdziesty szósty

Mirel Farr mieszkała w dzielnicy niedaleko Astrodome, która od niepamiętnych czasów znajdowała się na skraju upadku. Kilka lat temu w końcu się stoczyła i wyglądało na to, że wszyscy właściciele domów w ciągu półtora roku postanowili sprzedać swe domy. Obecnie większość niewielkich budyneczków wynajmowano, a ponieważ zamieszkujący je ludzie nie inwestowali w nie pieniędzy, sami bowiem znajdowali się na skraju bankructwa, chałupki wyraźnie odzwierciedlały beznadziejność życia lokatorów. Trawniki były nie strzyżone, zachwaszczone i spalone na twardą, szaroburą szczecinę i nikt nie naprawiał krzywych chodników. Farba na elewacjach wyblakła, a gonty na dachach pokrzywiły się i spękały pod promieniami teksaskiego słońca. Kolejnym jednoznacznym sygnałem, że – jak stwierdził Gordy Haws – „wszystko szło w diabły”, było to, że ludzie parkowali w ogródkach przed domami.

Haws i Lew Marley zatrzymali służbowy samochód pod szerokim wachlarzem liści rosnącej meksykańskiej palmy, rosnącej po drugiej stronie ulicy, przy której stał dom Mirel Farr. Naga żarówka na werandzie rzucała na cementowe schody żółtawą poświatę. Przez chwilę przyglądali się domowi i zastanawiali, jak najlepiej porozmawiać z Farr. Właśnie kiedy postanowili, że Haws zajdzie dom od tyłu, a Marley zapuka od frontu, pojawił się czarny lincoln i wjechał na podjazd. Staął, zgasły jego reflektory i stał tak przez chwilę cichy i ciemny. Po minucie wysiadł z niego mężczyzna – głowę krył

w uniesionych ramionach, jakby chronił się przed deszczem – i podszedł szybkim krokiem do werandy. Bez pukania otworzył drzwi i wszedł do środka.

– Klient – stwierdził Marley drapiąc się po bokobrodach.

– Może warto go sprawdzić? – odparł Haws notując numer rejestracyjny i biorąc do ręki mikrofon krótkofalówki. Po kilku chwilach głośnik zaskrzeczał i z komputera drogówki dowiedzieli się nazwiska mężczyzny, jego adresu i stanu konta. Dane były nieciekawe – zwykły biznesmen z zachodniego Houston, który wpadł do Mirel na ekstrawagancką wieczorną rozrywkę.

– Trochę to potrwa – stwierdził Marley. – Chodźmy na hamburgera.

Wrzucił bieg i pojechali do South Main, gdzie kupili po hamburgerze w American Boy Cafe, prowadzonej przez trzech braci Wietnamczyków, biorących na serio wielokulturowość menu i oferujących między innymi podawane na podkładzie w wodorostów meduzę i kałamarnicę z gotowanymi na parze warzywami, stek z kurzej piersi z chrupkami i sosem, enchiladas z kury i mostek wołowy z grilla. Oczywiście zawsze były też hamburgery i frytki.

Marley i Haws kazali sobie zapakować hamburgery i frytki, po czym wrócili pod rosnącą naprzeciwko domu Farr meksykańską palmę i zabrali się za jedzenie. Okna mieli otwarte, aby wpuścić do środka trochę chłodnego powietrza, a radio ściszone, by wydobywające się z niego dźwięki nie roznosiły się w ciszy nocnej.

Nie minął kwadrans, a w oknie Hawsa nieoczekiwanie pojawił się pysk olbrzymiego mieszańca. Pies mocno pachniał mokrą sierścią, oparł wielkie, zabłocone łapy o krawędź okna i bezwstydnie zaczął wyciągać łeb w kierunku hamburgera w dłoni policjanta, równocześnie oblizując niezwykle długim jęzorem krwistoczerwone fafle. Po nieskutecznej próbie odpędzenia psa Haws w końcu zaferował po dolarze dwóm przechodzącym meksykańskim wyrostkom, jeżeli wzięliby jakiś pasek i odciągnęli bydlę. Dzieciaki natychmiast schowały pieniądze i pry snęły w ciemność, a pies znów znalazł się w oknie, zaśliniając wszystko wokół. Klnąc, Haws wziął papierek od hamburgera, wsypał do niego obie wzięte z baru torebeczki pieprzu i wystawił go w kierunku psa, który natychmiast zagłębił tam nos. Po sekundzie bydlę przestało oddychać, przewróciło ślepiami i kichnęło, opryskując śliną roześmianą gębę Hawsa, odrzuciło łeb do tyłu i wałąc łbem to w dolną, to w górną krawędź okna, zaczęło drapać pazurami lakier. Po następnych kilku sekundach wyprysnęło w ciemność, szczekając, sapiąc i rzucając łbem na boki jak wściekłe.

Haws i Marley wybuchnęli śmiechem, skończyli jeść, po czym Haws – choć Marley siedział cały czas obok – opowiedział mu, co się stało. Potem opowiedział mu to jeszcze kilka razy. Po jakimś czasie kundel wrócił, usiadł po drugiej stronie palmy i zaczął uważnie ich obserwować. Mimo usilnych prób, Marley owi nie udało się nakłonić go do podejścia do samochodu.

Wkrótce sprawa przestała być zabawna i opanowała ich nuda. Skończyli hamburgery, wypili po coli, zjedli lody, a facet w dalszym

ciągu nie wychodził.

– Jezzu... – jęknął Haws, po raz czwarty patrząc na zegarek. –

To już prawie godzina. Pewnie mu robi lewatywę.

– A niech go cholera – powiedział Marley i ułożył się wygodniej na siedzeniu.

– Wchodźmy.

– Chcesz im przerwać?

– A dlaczego nie?

– Przerzywałeś już kiedyś coś takiego?

– No... nie.

– Nie spodobałoby ci się.

– Ty też jeszcze czegoś takiego nie przerywałeś.

– Nie, ale Dick Paredes przerywał. To był błąd. Opowiadał mi.

– Powiedz.

– Cholera wie, co ona z nim teraz robi. Pewnie go związała i podwiesiła na jakimś haku, może przyczepiła mu coś do fiuta i wsadziła coś w tyłek, być może nawet napędzanego na prąd. Wpadniemy, gość się przestraszy, skoczy i coś sobie oderwie, rozewnie albo wypruje.

– Wypruje?

– Mówię ci, nie warto ryzykować. Zaraz wyjdzie. Zapadła na chwilę cisza.

– Co opowiadał Dick Paredes?

– To długa historia – odparł Marley wierząc się w fotelu, aby ułożyć się jak najwygodniej.

– Spieszmy się gdzieś? Marley niecierpliwie westchnął.

– Kiedy był w obyczaj owce, pewnego razu wpadli do takiego „studia” w trakcie akcji. Koleś był cały goły, z zasłoniętymi oczami, leżał na plecach z podciągniętymi do góry nogami, a na całym dupsku i na ptaku miał poprzypinane krokodylki. Od krokodylków odchodziły druty i szły do wielkiego akumulatora od ciężarówki, wiesz, takiego dwunastowoltowego, a baba przy potencjometrze też była goła, tyle że miała gumową maskę w kształcie świńskiego ryja i wrotki przy wysokich, sznurowanych butach. Paredes i jego zgraja wpadli do środka i tak ich wystraszyli, że tamci o mało się nie posrali. Wrotki wyprysnęły babie do przodu i spadła na butelkę po piwie – to nie bajer – aż cała weszła jej w dupę. Babsko zawyło i niechcący nacisnęło przycisk przy akumulatorze, wałąc faceta całym ładunkiem w zad i palanta.

Haws ryknął, ale Marley nawet nie drgnął.

– Sprawa kiepsko się skończyła, Gordy. Baba w świńskiej masce musiała przejść kupę operacji, bo szyjka od butelki odłamała się w niej w środku, a i tak do końca jej nie wyrzucili. Facet na podłodze stracił jedno jajo i spaliło mu koniec ptaka. Z tego co zostało, prawie wszystko musieli mu obciąć.

Haws znów zagadał, ale słysząc poważny ton Marleya, szybko jednak zamilkł. Jeżeli chodziło o seks, Marley zawsze był moralizatorem, a to, co opowiedział, poważną przestrogą dla każdego gliny, który chciałby wpadać do spelunki sado-maso w trakcie figli. Haws rozparł się, wyobrażał sobie to, co Marley właśnie opisał, śmiał się

w duchu i miał coraz większą ochotę wpaść natychmiast do domu Mirel Farr, żeby sprawdzić, co też by odkryli. Od czasu do czasu wyglądał przez okno i patrzył na potężnego kundla, obserwującego ich z cienia pod palmą.

Po kolejnej półgodzinie frontowe drzwi się otworzyły i mężczyzna wyszedł. Teraz też krył głowę w ramionach.

– No, no, wygląda na zde gustowanego, co, Lew? – stwierdził Haws. Mężczyzna szybkim krokiem podszedł do samochodu, wsiadł i odjechał. Haws i Marley wysiedli, a kiedy Marley zamykał wóz, Haws po raz ostatni spróbował przywołać kundla, który jednak szybko wycofał się dalej w cień i zaczął groźnie warczeć. Chichocząc, Haws obszedł samochód i poszli do domu Farr. Marley zaczekał, aż jego partner zajdzie dom od tyłu, wszedł na werandę, otworzył pierwsze drzwi, z moskitierą i zapukał. Białe światło powodowało, że jego wychudzona twarz wyglądała jak oblicze człowieka chorego na malarię. Zanim drzwi się otwarły, musiał jeszcze trzy razy głośno zapukać. Pojawiła się w nich kobieta w szlafroku, wyglądająca na dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć lat. Pokazał jej odznakę.

– Pani Farr?

– Tak. – Marszczyła mocno czoło.

– Detektyw Lew Marley, policja Houston. Chciałbym z panią chwilę porozmawiać.

– Ze mną?

– Tak, z panią.

– O czym? – Miała rozjaśniane włosy, wzdłuż przedziałka wi-
dać było mniej więcej dwa centymetry ciemnego odrostu.

– Czy mógłbym wejść?

– Ma pan nakaz?

– Nie potrzebuję nakazu, proszę pani. Chcę tylko z panią po-
rozmawiać.

– Ale ja nie chcę z panem rozmawiać – mruknęła i zaczęła za-
mykać drzwi, jednak Marley szybko zastawił je stopą.

– Mogę poprosić o dowieszenie nakazu przez radio. To zajmie
więcej czasu i tylko mnie wkurzy.

Kobieta popatrzyła na niego. Pozbawione życia włosy otaczały
smutną twarz, o płaskich kościach policzkowych oraz bladej
i plamistej cerze. Jej górna warga była długa jak u owcy, a przez
lewą część twarzy raz za razem przebiegał odbierający jej resztkę
urody tik. Po uwadze Marleya skrzywiła się demonstrując zmęczenie
i cofnęła. Aby wejść, sam musiał sobie otworzyć drzwi. Za drzwiami
znajdował się niewielki salonik, skąpo umeblowany dwiema popla-
mionymi kanapami, kilkoma niskimi stolikami, lampami, telewizo-
rem i magnetowidem.

– Jest pani sama? – spytał cicho.

– Tak.

– Gdzie są tylne drzwi?

– W kuchni.

Marley zrobił gest głową, aby poszła przed nim, i kiedy weszli
do wyłożonej żółtymi kafelkami kuchenki, kazał jej gestem otwo-

rzyć drzwi wyjściowe, sam stał w drzwiach patrząc w prowadzący w głąb domu korytarzyk.

– Cześć! – rzucił Haws, kiedy Farr otworzyła drzwi. – Ma pani ciastka?

– Pieprz się.

– Proszę pokazać nam dom – powiedział Marley bardzo oficjalnie.

Nie zabrało to wiele czasu. Przeszli przez jadalnię, minęli łazienkę i weszli do sypialni, która wyglądała jak sypialnia, a potem do drugiej, która nie wyglądała jak sypialnia. Ze ściany naprzeciwko drzwi wychodził kwadratowy podest o wysokości mniej więcej trzydziestu centymetrów i bokach długości dwa i pół metra. Do ściany nad podestem były przymocowane stalowe kółka oraz najróżniejsze bloczki i klamry. Ze ściany, z której wychodził podest, na długość podwyższenia wystawał kloc surowego drewna, podparty u końca, także zaopatrzony w kółka i bloczki. Na podeście stało kilka ławek. Na jednej ze ścian znajdował się „arsenał”, zawierający różnego rodzaju i różnej wielkości pejcze, łańcuchy i sznury, skórzane pasy, gumowe węże oraz rozmaite klamry. W kącie pokoju stała szafa pełna skórzanych i gumowych ubrań, na stojaku obok suszyło się kilka podobnych strojów. Poza tym w pokoju było kilka krzeseł.

Marley usiadł na jednym z nich i dał Farr znak, żeby zrobiła tak samo. Usiadła. Haws przycupnął na podeście i zaczął się rozglądać. Wyjął z kieszeni paczkę gumy do życia i wysypał sobie na dłoń kilka pastylek. Farr wyjęła paczkę salemów, zapaliła jednego i rzuciła

papierową zapalną na podłogę. Może brało się to stąd, że właśnie skończyła sesję z anonimowym klientem, ale wyglądała na krańcowo wycieńzoną i niezwykle zdenerwowaną. Nie sprawiała wrażenia osoby szczególnie zainteresowanej prowadzeniem zdrowego trybu życia.

– Słuchaj, Mirel – zaczął Marley patrząc jej w oczy – nie jesteśmy zainteresowani wsadzaniem cię za to. W najmniejszym stopniu. Za chwilę sobie pójdziemy i na tym się skończy, ale mamy nadzieję, że nie będziesz nic przed nami ukrywać.

Haws kiwnął głową i popatrzył na skrzyżowane nogi Mirel Farr, w miejscu gdzie szlafrok zsuwał jej się z kolan. Podejrzał, że robi to specjalnie. Czemu nie? Bez trudu mógł zajrzeć w dekolt luźnego szlafroka. Mirel nie miała szansy wygrać konkursu na Miss Dużego Biustu.

– Przejdę do rzeczy – znów odezwał się Marley. Mirel nie odwracała wzroku od Hawsa. – Mówiąc prosto z mostu, aby oszczędzić nieco czasu, chcemy, żebyś nam powiedziała to, co już trochę wiemy, i trochę tego, czego jeszcze nie wiemy. Powiemy ci, co już wiemy, na co ty nam powiesz to, czego jeszcze nie wiemy. Zgoda?

Mirel Farr strzepnęła popiół z papierosa w kierunku Marleya i choć zrobiła to tak, by nie miał się do czego przyczepić, odrobina spadła mu na nogawkę.

– No dobrze. Wiemy, że Sandra Moser bywała u ciebie, żeby poćwiczyć troszkę w twojej salce gimnastycznej. Wiemy, że Vickie Kittrie też tu bywała, tak samo Dorothy Samenov. Wiemy, że bywał

tu Gil Reynolds. Czasem z nimi, czasem sam. Wiemy też, że jesteś mniej lub bardziej zaprzyjaźniona z Clyde'em Barbishem. Wiemy też, że słyszałaś, co przydarzyło się ostatnio kilku z wymienionych osób. – Marley przyglądał się jej z zadowoloną miną. – W porządku? Zacznijmy od prostych pytań, na które odpowiesz „tak” lub „nie”. – Sięgnął do kieszeni i wyjął dwa zdjęcia Bernadine Mello. Podał je Farr, która położyła je sobie na kolanie. – Znasz ją?

Farr popatrzyła na zdjęcia przysuwając je jak krótkowidz i przekrzywiając przy tym głowę, jakby miało to cokolwiek dać.

– Nie znam. Nigdy nie widziałam.

– Na pewno?

– Na sto procent.

– A gdyby miała ciemne włosy? – wtrącił Haws.

Wyjął z kieszeni flamaster i zaczął na zdjęciu zamalowywać jasne włosy Mello. Równocześnie dłoń przytrzymał zdjęcia na nagim kolanie. Kiedy skończył retusz, dokładniej ułożył zdjęcia na udzie Farr. Kiedy Haws malował, dziewczyna siedziała bez ruchu, jedynie mimowolnie masowała palcem udo. Przyglądała się Hawsowi z zimnym, złym błyskiem w oku i kiedy skończył, powiodła za nim wzrokiem, patrząc jak siada ponownie na podeście. Nie spojrzała ponownie na zdjęcia Mello.

– Nie znam jej – powiedziała do Marleya, ale nie podniosła zdjęć, by mu je oddać.

Marley skinął głową i zabrał zdjęcia, ostrożnie, za same rożki, aby na pewno nie dotknąć kolana Farr.

– Nie wiemy też, jakie scenariusze sado-maso preferował Gil Reynolds. Kiedy widziałas go po raz ostatni? Kiedy widziałas po raz ostatni Clyde'a Barbisha? Jak dobrze Barbish znał Reynoldsa? No dobrze... na razie tyle.

– Dlaczego uważa pan, że znam odpowiedzi na te pytania? – spytała Farr z wyraźnym teksaskim akcentem.

– Mówiłem ci, że sporo wiemy.

– Naprawdę? – Farr sceptycznie pokiwała głową, zaciągnęła się papierosem i zrobiła minę, jakby miała się rozplakać. Jeszcze chwilę pomilczała, pokiwała nogą, nad jej kolanem ukazało się kilka świeżych sińców. W końcu wyrzuciła z siebie: – Lubił biczować kobiety. Mniej więcej pięć tygodni temu. Mniej więcej trzy miesiące temu. Znali się dość dobrze przez Dennisa Ackleya.

– Ooo... – jęknął Haws. – Nieźle.

– Znakomicie – powiedział Marley z wzorcową cierpliwością. – Teraz przejdziemy do nieco dokładniejszego przedstawienia sprawy.

– Gdzie zaparkowaliście? – nieoczekiwanie spytała Farr.

– Po drugiej stronie ulicy.

– Radiowozem?

– Nie oznakowanym.

– To dobrze. Ach, gówno z tym. Nie mogę wam wszystkiego ot tak opowiedzieć. Jeżeli to się... chyba wiecie, jacy ci ludzie są? Ba-wię się w to od siedmiu lat i to moi klienci. Jeżeli wyjdzie na jaw, że rozmawiałam z glinami, nawet Murzyn do mnie nie przyjdzie.

– Nie masz wielkiego wyboru, Mirel – stwierdził Marley tonem

starszego brata, który przyniósł siostrze złe wieści, ale cały czas jej współczuje.

– No dobrze – odparła Mirel Farr łamiącym się głosem. – No dobrze... Otuliła się szlafrokiem. Zrezygnowała z bezczelnego, wyzywającego stylu.

Wbiła wzrok w żującego gumę Hawsa. Musieli chwilę poczekać, nim zaczęła mówić.

Rozdział czterdziesty siódmy

– Większość z przychodzących tu facetów to masochiści. Lubią być zastraszeni i poniżani, a każdy ma swoją ulubioną metodę bycia karanym i zdominowanym – zaczęła Mirel. – To samo dotyczy większości dziewczyn. Sana dole – czyli w roli maso. To synonimy. Takie były zarówno Moser, Dorothy, jak i Louise Ackley. Większość taka jest. Vickie też jest na dole, ale z Reynoldsem jest na górze. Dziwna para. Nieźle pokręcona. Reynolds był z nią zawsze maso, ze wszystkimi innymi tylko sado. Vickie jest jedyną z grupy Samenov, która czasami idzie na ulicę po świeże mięso. Bierze wtedy ze sobą kolorową chusteczkę – każdy kolor każdego dnia oznacza co innego – wsadzają sobie do prawej tylnej kieszeni, żeby pokazać, że jest na dole, i rusza w miasto. Krąży po lokalach, znajduje dziewczyny, które mają ochotę na to, na co akurat ona ma ochotę, i przyprowadza je tutaj.

– Dlaczego nie zabiera ich do domu? – spytał Marley. – Zdawało mi się, że masz stałą klientelę.

– Człowieku, bierze się, co leci – powiedziała Mirel patrząc na niego, jakby nie miał o niczym pojęcia. – Po pierwsze, mam sprzęt, po drugie, Vickie nie chciała, żeby Dorothy dowiedziała się, że chadza po lokalach. Głównie jednak przychodzi tutaj, ponieważ jest na dole. Nie zna dziewczyn, które przyprowadza, i nie wie, czy można im ufać, dlatego przyglądam się zabawie, żeby któraś z tych dziwek jej nie zatłukła. A lubi ryzyko. Czasami nawet nie ustala ani reguł,

ani bezpiecznego słowa. Rzuca się w zabawę jak na głęboką wodę, aby raz-dwa zacząć szaleć. Wtedy naprawdę mnie potrzebuje. Kiedy dzwoni i prosi, żebym była widzem, wiem, że zapowiada się dzika impreza i wszystko może się przytrafić. Przyglądam się wtedy przez weneckie lustro z mojej sypialni. – Wskazała brodą wielkie lustro na ścianie naprzeciwko podestu. Zapaliła następnego papierosa i zaciągnęła się kilka razy.

– O jakie zabawy chodzi? – spytał Marley.

Uwielbia pięść w genitaliach, dupolizanie, złoty deszcz, a kiedy dobrze jej odbije, zabawy z ciotą, kupą albo ostre biczowanie. Czerwona chusteczka, granatowa, żółta, brązowa, czarna. Do wyboru, do koloru. Patrzę na wszystko, nie robi mi. Jestem w tym już tak długo, że znam się na tych sprawach lepiej od lekarzy i wiem, kiedy coś posuwa się za daleko. Rozpoznaję odpowiednie sygnały. Część z tych dziwek nie ma zielonego pojęcia, za co się bierze, część z nich daje się porwać i nie martwi efektami. Czasami razem z... Barbishem, co mi tam, znam go... przyglądamy się razem i pijamy piwo. To lepsze widowisko od show Lettermana.

Przerwała.

– A co z Reynoldsem? Jaki to typ?

– Sado. To jego specjalność. Cały czas. Dawniej miewałam z nim kłopoty, ponieważ nie zawsze godziłam się na to, co chciał. – Popatrzyła na Marleya. – Żeby być uczciwą, powiem, że wiele razy Clyde mnie pilnował. Reynolds nic nie wiedział, inaczej by mnie zabił. Clyde siedział za szybą, jak ja przy Vickie, i obserwował go.

Reynolds nie jest stabilny. – Pokręciła głową. – Oj, nie jest.

– Czy Barbish musiał go kiedyś powstrzymać?

– Nie.

– Powiedziałaś „dawniej”. Teraz już nie masz z nim kłopotów?

– Nie, bo przestałam się z nim zadawać. Miałam wrażenie, że muszę. Szkoda, bo płacił jak nikt.

– Jak na to zareagował?

– Na to, że z nim zerwałam? Wkurzył się jak cholera. Któregoś wieczoru strasznie się o to pozarliśmy, ale co miał zrobić? Zagroziłam, że wezwę gliny, i faktycznie bym to zrobiła, ale na szczęście trochę to uspokoilo skurwiela.

– Posłuchaj, musimy się dowiedzieć, co najbardziej lubił – powiedział Marley przeciągając dłoń po łysiejącej czaszce. – Czy fascynowała go jakaś szczególna część kobiecego ciała? Nie chodzi o zwykłe, raczej o niecodzienne, rozumiesz? Nie musi to być... część mająca związek z seksem...

– Prawdę powiedziawszy... – Mirel przerwała i wybałuszyła oczy. Wszyscy usłyszeli to samo i cała trójka popatrzyła ku drzwiom. Zaszleściły załuzje w tylnych drzwiach, które po chwili cicho trzasnęły.

– Mirel. Hej, Mirel! – rozległ się męski głos i o linoleum korytarza zastukały kroki.

Farr skoczyła na nogi.

– Clyde! Gliny! Gli...

Marley trzasnął ją z całej siły pięścią, przeleciała przez krzesło

przykrywając się nogami. Zanim wstał, już miał w dłoni czterdziestkępiątkę i po sekundzie biegł obok Hawsa. Wypadł z pokoju pierwszy, zza zakrętu wyleciał tak szybko, że huknął z rozpędu w ścianę i jedynie nastawił uszy na tupot stóp Barbisha, który właśnie wbiegł do kuchni. Haws biegł też zbyt szybko, minął wejście do kuchni, co okazało się dla niego szczęśliwe, gdyż Barbish wystrzelił w nie trzy razy, odłupując ze ściany korytarza placki wielkości dłoni. Marley, który znów biegł, na dźwięk strzałów przyhamował, ale nie mógł pokonać praw fizyki. Rozpędzony ślizgał się po drewnianej podłodze i sunąc prosto w linię ognia wył: „Ranyranyranyrany!” Zatrzymał się dokładnie w otwartych drzwiach i zaczął strzelać na oślep do środka w nadziei, że zmusi Barbisha do wstrzymania ognia, póki sam nie znajdzie kryjówki.

Kiedy Marley zauważył, że Barbish uciekł, Haws gnał przez salon i po chwili wypadł na dwór, w ciemną noc. Musiał zapomnieć, że na podwórzu jest błoto, wyraźnie bowiem zamierzał strzelać w biegu. Skoczył z werandy. Niestety, kiedy wylądował, nogi mu się rozjechały i poleciał na plecy, walnął potężnie o ziemię i stracił na chwilę oddech. Kiedy podnosił się na kolana, całkowicie go zatkało, bowiem Barbish stanął przy krawężniku, odwrócił się do niego i strzelił.

Haws padł postrzelony akurat w momencie, kiedy Marley wbiegł na werandę.

– Jezus Maria, Gordy!

Marley natychmiast dostrzegł uciekającego Barbisha. Podniósł

swojego smith-wessona i błyskawicznie zrobił dwa dublety. Barbish nie zdążył dobiec do drugiego krawężnika, dotarł tam sunąc na brzuchu, zatrzymując się o betonowy kant twarzą. Kiedy Marley podbiegał do Hawsa, ten właśnie próbował siadać.

– Skurwysyn! – zawył.

– Gordy! Gordy! – wołał Marley, jakby miał się rozpłakać.

– Jezu! – wył Haws. – Noga... to tylko noga. Lew! Nie daj mu wstać... skuj go! Idź go skuć!

Marley skoczył na nogi, przebiegł przez trawnik, przez ulicę i dopadł do Barbisha, który właśnie próbował podnieść głowę. Marley trafił go z zamachu kopniakiem, godnym mistrza futbolu, i głowa leżącego zadudniła jak arbuz, ale nie pękła na pół, lecz trzasnęła o krawężnik, ponownie wyłączając Barbisha z akcji. Napędzany mnóstwem adrenaliny, Marley zaczął się rozglądać za czterdziestką-piątką Barbisha, nie mógł jej jednak nigdzie znaleźć, wrócił więc do nieprzytomnego i skuł mu ręce na plecach. Zostawił go tak i wrócił do Hawsa, który z jękiem trzymał się za lewą nogę tuż nad kolanem i krzyczał do zabłoconego radiotelefonu.

– Tak, tak! Dwie karetki!... Nie pojedę w tej samej!... Lew! Lew, gdzie go trafiłem?!

– O cholera! – odparł Marley, wstał i wrócił na ulicę, podszedł do Barbisha, wsunął pod niego stopę i przerzucił go na plecy. Miał on zakrwawioną twarz, od kopniaka Marleya leciała mu krew z ucha, jedyną raną na twarzy był jednak tylko podrapany nos, którym przejechał się po mokrej jezdni. Trafił go tylko jeden z czterech strażów

Marleya – w zgięciu nogi. Łydka leżała wykręcona pod nienaturalnym kątem, co oznaczało, że pocisk strzaskał kolano. Kumple z więzienia będą go do końca życia wołać: „Kulas”. Marley właśnie miał się odwrócić, kiedy ujrzał wystającą spod biodra Barbisha lufę colta commandera. – A to skurwy... – zaklął, ponownie wsunął pod niego stopę i uniósł na tyle, by móc wyjąć rewolwer. Zabezpieczył broń, popatrzył chwilę na Barbisha, zamachnął się i kopnął go tak w zranioną łydkę, że stopa przekręciła się o sto osiemdziesiąt stopni w stosunku do normalnej pozycji. Potem pobiegł z powrotem do Hawsa.

– Gdzie go trafiłem? – jęknął Haws ściskając nogę. Był blady jak duch.

– Nawet nie strzeliłeś, Gordy. Ale załatwiłem mu kolano. Haws popatrzył ze zdumieniem na swojego partnera.

– Co?! Nie strzeliłem? – Puścił kolano, skłonił się ku ziemi, podniósł z zabłoconej ziemi swoją broń i wbił w nią wzrok. – O cholera! A to skurwysyn! Nawet nie strzeliłem? – Znów potężnie jęknął i opadł na plecy, nie zwracając uwagi na dobiegający z radiotelefonu piskliwy skrzek dyspozytorki.

Sąsiedzi uznali, że strzelanina się skończyła, zauważyli, że są do oglądania dwaj ranni, więc powychodzili z domów. Krąg wokół miejsca zdarzenia szybko się zacieśnił. W oddali rozlegały się ze wszystkich kierunków syreny.

– Zaraz odjadę – jęknął Haws i zamknął oczy. Mocno krwawił, nasączając ziemię i trawę wokół siebie na kolor, który w słabym

światle latarni był bardzo zbliżony do czerni.

– Nie... – Marley odłożył swój pistolet i rewolwer Barbisha na ziemię i objął ranę Hawsa dłońmi. Haws zawył i wybałuszył oczy. – Powstrzymuję krwawienie. Gordy! Podnieś rękę i wskaż nią na latarnię! – wrzasnął, starając się utrzymać partnera przytomnego, by nie doznał wstrząsu. Dziwne, ale Haws zrobił, co mu kazano, okazało się jednak, że ciągle trzyma w dłoni colta. – Rozmawiałeś z dyspozytorką?

– Tak... – zaskrzeczał Haws i ręka zaczęła mu opadać.

– Gordy, ty draniu! Celuj w latarnię!

Ręka Hawsa i niklowany colt znów powędrowały w górę. W takiej pozycji zastała ich zgraja radiowozów, która po chwili otoczyła dom Mirel Farr. Wyprysnęła zza nich karetka, wjechała na chodnik, potem na trawę i zatrzymała się obok Hawsa i Marleya.

Palma i Grant wracali od Broussarda i kiedy usłyszeli gorączkowe wezwanie Hawsa żądającego dwóch karetek, przejeżdżali właśnie przez skrzyżowanie San Felipe z Kirby Drive. Palma natychmiast skręciła w prawo, w Kirby i pojechali najszybciej jak mogli na południe.

Wokół miejsca zdarzenia zebrał się gęsty tłum, a parkujące wszędzie radiowozy blokowały ulicę. Strzelanina z udziałem oficera policji zawsze ściąga ich mnóstwo; prawie wszystkie miały włączone światła na dachach i czerwono-błękitne migotania nadawały okolicy karnawałowej atmosfery. Palma i Grant przepchnęli się przez tłum, pokazali odznaki i zostali przepuszczeni przez łańcuch mundu-

rowych. Technicy od zabezpieczania śladów jeszcze nie przyjechali i Palma była pierwsza z nadjeżdżających detektywów. Rozejrzała się i dostrzegła Marleya, opartego o karetkę, do której pakowano Hawsa. Kiedy drzwi się zatrzasnęły, Marley zaraz zauważył Palmę i wyszedł jej naprzeciw.

– Jak Haws?

– Miał farta – sucho odpowiedział Marley. – To Barbish. – Odwrócił się i popatrzył na drugą stronę ulicy, gdzie załoga drugiej karetki miała nieco więcej roboty przy wyciąganiu nieprzytomnego z ryszotaka. Marley cierpliwie opowiedział, co się stało. – Kula minęła kość, ale trafiła arterię, więc krwawi jak prosiak. Nic mu nie będzie – stwierdził w końcu i przeciągnął dłonią przez rzadkie włosy. – O cholera... chyba trochę się trzęsę.

Palma i Grant poszli za nim na werandę domu Farr, gdzie usiadł. Kiedy weszli w krąg światła, Palma dostrzegła, że ma na ubraniu wielkie plamy błota, a buty oblepione, jakby wracał z poligonu. Marley wskazał brodą na Barbisha.

– Skurwiel też jest ugotowany. Rozprułem mu kolano. – Popatrzył na Palmę. – Potem dałem kopa w łeb. – Popatrzył na Granta. – To tak między nami. Niech sanitariusze się martwią. Może przerobiłem go na warzywo.

– Czy Farr powiedziała coś o Reynoldsie? – spytała Palma. Marley pokręcił głową.

– Tylko tyle że jest narwany i lubi bić kobiety. Niewiele zdążyła powiedzieć, bo wpadł Barbish. Powinniśmy z nią szczerze pogadać.

dać. Założę się o pensję, że pozwalała mu u siebie mieszkać i powinniśmy to wykorzystać do wyciągnięcia z niej więcej na temat układów Barbisha z Reynoldsem. Z tego jak mówi, uważam, że mogą mieć znacznie więcej wspólnego, niż nam się śni.

Przyjechało kilka następnych wozów policyjnych. Wysiedli z nich Frisch, kapitan McComb i dwóch detektywów z sekcji specjalnej, zajmującej się strzelaninami z udziałem funkcjonariuszy policji, i zaczęli się przebijać przez tłum. Palma położyła Marleyowi dłoń na ramieniu.

– Trzymaj się, Lew. – Powiedziawszy to, odeszła z Grantem, zostawiając Marleya nowo przybyłym, by kolejny raz zrelacjonował przebieg wydarzeń. W najbliższym czasie będzie musiał powtarzać swoją historię częściej, niż to było potrzebne.

– Carmen! – zawołał Frisch do odchodzącej Palmy i wyjął z kieszeni kopertę. Kiedy podeszła, powiedział: – Nakaz rewizji u Reynoldsa. – Podał Palmie kopertę. – Rozmawiałem piętnaście minut temu Artem i mówi, że razem z Boucherem śledzili Reynoldsa do samego Galveston. Pojechał na kolację z kobietą, do Le Bateau, nad samą wodą. Kiedy rozmawialiśmy, właśnie wypili po drinku i zamówili jedzenie. Zaraz po tym jak wyszedł z domu, weszli nasi ludzie i założyli podsłuch. Zanim wejdziecie do mieszkania, porozum się z Leelandem przez furgonetkę techników, żeby było wiadomo, co jest grane. – Dał Palmie klucz. – Zrobili go ludzie od podsłuchu. Kiedy skończycie, oddaj go Leelandowi.

– A co z samochodem Reynoldsa? Frisch pokręcił głową.

– Nie zdążyli. Powinni zamontować coś dziś w nocy. Jeżeli natchmiast ruszycie, będziecie mieli przynajmniej dwie godziny. To chyba dość czasu. – Popatrzył na Granta. – Załatwcie to jak należy. – Odwrócił się i odszedł do Marleya.

– No to chodźmy – stwierdził Grant. – Przy tym, co mamy robić, nie ma pojęcia „dość czasu”.

Wsiadli w samochód, pojechali do Ballaire Boulevard, stamtąd do West Loop. Palma porozumiała się przez radio z Leelandem i poprosiła go o przekazanie podsłuchującym mieszkanie technikom, że jadą. Leeland kazał im się przedstawić zaraz po wejściu do mieszkania oraz przy wychodzeniu.

Zaparkowali wśród gęsto stojących samochodów pod grubym, potężnie rozgałęzionym dębem, rosnącym jakieś pięćdziesiąt metrów od rżęciowej latarni, oświetlającej parking przed Saint Regis Tower. Choć każdy mieszkaniec budynku miał prawo wykupić w podziemnym garażu kilka miejsc do parkowania, w weekendy na parkingu przed wieżowcem zawsze stało mnóstwo samochodów. W wielu miejscach rosły na nim rozłożyste dęby i miejsca parkingowe po nimi były szczególnie pożądane, ponieważ zapewniały cień następnego dnia, gdy wnętrza wystawionych na działanie promieni słonecznych wozów rozpalały się do czerwoności.

Wysiadając, Palma wzięła z tylnego siedzenia pożyczony z laboratorium fotograficznego aparat i pomaszrowali w kierunku pięćdziesięciopięciopiętrowego drapacza chmur, po chwili wchodząc do wyłożonego marmurem, przeszklonego holu. Pojechali na dwu-

dzieste szóste piętro i poszli do mieszkania Reynoldsa. Natychmiast po wejściu Palma głośno i wyraźnie zaanonsowała podsłuchującym technikom ich przybycie i zidentyfikowała się. Jeszcze zanim jej wzrok zaadaptował się do mroku korytarza, stwierdziła, że Grant zniknął. Nie było go. Otworzyła usta, aby go zawołać, ale natychmiast przyłapała się na tym, że technicy mogliby dojść do wniosku, iż się pogubiła, więc dała sobie spokój.

Stała w ciemnym korytarzu mając dziwne wrażenie, że tkwi po uszy w bagnie. Niczego nie słyszała, niczego nie widziała i nagle opanowało ją nieracjonalne poczucie, że nie tylko Grant zniknął, ale że coś poszło nie tak, a ona zaraz natrafi na jakąś niespodziankę. Otrząsnęła się. Łatwo jest dopuścić do tego, aby wyobraźnia zaczęła szaleć i dyktować człowiekowi swoje prawa, by kazała robić coś nierozważnego. Palma nie miała jednak pojęcia, co robić. Czekać w holu? Iść się za nim rozejrzeć? Po ciemku? Wyglądało na to, że Grantowi światło nie było potrzebne. Może powinna najpierw przyzwyczaić wzrok do ciemności? Po dwóch minutach zrobiło się o tyle lepiej, że była w stanie rozpoznawać kształty mebli, choć oczywiście nie dostrzegała szczegółów. Co on robił?

Przeszła przez hol i ruszyła ku drzwiom, które musiały prowadzić do salonu. Na tle sięgającego od podłogi do sufitu panoramicznego okna widziała kanapę, fotele, palmę na podłodze. Kiedy się rozglądała, dostrzegła na marmurowej podłodze słabą poświatę. Ruszyła w kierunku światła, obeszła róg i dostrzegła drzwi – prawdopodobnie sypialni – spod których wydobywało się szerokie jasne

pasmo. Trzymając aparat tak, aby w nic nie uderzył, ostrożnie stawiła stopy, szła, jakby brodziła w wodzie do kolan. Idąc, miała dziwaczne wrażenie, że kiedy otworzy drzwi, wkroczy w dotychczas nieznany sobie wymiar, zobaczy coś dotychczas w jej życiu niespotykanego.

Niemal musiała się zmusić, aby przed naciśnięciem klamki nie zapukać. Kiedy pchnęła drzwi, jej oczom ukazał się klęczący przy wielkim łóżku Sander Grant. Musiał słyszeć otwieranie drzwi, jednak ani sienie odwrócił, ani nie odezwał, nie przerwał też tego, co robił. Nawet kiedy Palma podeszła, nie okazał, że ją widzi czy zdaje sobie sprawę z jej obecności.

Na łóżku przed nim stały dwa kwadratowe pudełka z wyblakłego, niemal białego drewna o boku mniej więcej trzydziści i wysokości dziesięć centymetrów. Oba pudełka były ozdobione orientalnymi motywami i z bliska widać było, że w wielu miejscach drewno pociemniało od częstego dotykania. Grant trzymał pierwsze pudełko, które zawierało cztery szufladki, wysuwające się z wszystkich czterech boków, ale na różnych wysokościach, tak że rozłożony przedmiot przypominał spiralne schody. Nie było widać żadnych uchwytów, zatrzasków, zamknięć i Grant przyglądał się drugiemu pudełku, aby rozgryźć metodę ich zamykania i otwierania.

Palma uklękła obok i przyjrzała się zawartości pierwszego pudełka. Dno każdej szufladki było wyłożone żółtym jedwabiem, do którego cienkimi drucikami przymocowano łuski karabinowe – w dwóch szeregach po pięć sztuk. Na każdej łusce były wygrawero-

wane data i miejsce. Tien Phuoc, 16 maja 1968; Thuan Minh, 4 czerwca 1968; Dak Ket, 15 czerwca 1968; Ta Gam, 17 czerwca 1968; Son Ha, 21 czerwca 1968. Druga szufladka: Rach Goi, 9 lipca 1968; Vi Thanh, 23 lipca 1968; Rang Rang, 3 sierpnia 1968; Don Sai, 10 sierpnia 1968.

Rozległ się cichy trzask i Grant otworzył szufladki drugiego pudełka. I te były wyłożone żółtym jedwabiem, i tu w każdej było po dziesięć łusek. Osada Chalang, 12 czerwca 1969; Osada Chalang, 13 czerwca 1969; Osada Chalang, 14 czerwca 1969; Bo Tuc, 20 czerwca 1969; TongNot, 25 grudnia 1969; DakMot Lop, 19 marca 1970; Ban Het, 22 marca 1970; Ban Phya Ha, 9 maja 1970; Polei Lang Louise Kram, 23 czerwca 1970. W sumie osiemdziesiąt łusek, tego samego kalibru, różniących się odrobinę kolorami metalu i oczywiście – datami.

Grant wpatrywał się w zawartość szufladek. Nie odezwał się, nie poruszył, jego twarz nie zdradzała, o czym myślał. Potem, bardzo ostrożnie, pozamykał szufladki. Wstał – w dalszym ciągu udając, że nie zauważa Palmy – wziął jedno z pudełek, zaniósł je do otwartej szafy i postawił na dnie, dokładnie sprawdzając, by postawić nóżki w znajdujące się w grubym dywanie wgłębienia. To samo zrobił z drugim pudełkiem, potem podszedł do łóżka i poprawił kapę. Palma stanęła z boku i zaczęła się przyglądać. Grant chodził po mieszkaniu w ten sam sposób jak u Mello i Samenov. Przejrzał zawartość szafy, sprawdził łazienkę i przepatrzył szuflady (jedna z nich była pełna pism i kaset porno). Z zaszępioną miną poszedł do drugiej sy-

pialni. Byłaumeblowana, choćnie używana, w przyległej do niej łazience nie było nawet ręczników ani mydła. Potem skierował swe kroki do salonu, zaciągnął zasłony, zapalił światło i zaczął po nim krążyć. Pomieszczenie było pełne orientalnych mebli i dzieł sztuki. Grant odkręcił każdy słoik i sprawdził zawartość każdego pojemnika. Pozaglądał pod siedzenia wyściełanych krzesel, porozpinał suwaki poszewek poduszek na kanapach i pozaglądał do nich. Wyjął po kolei wszystkie książki z regału i szybko, lecz starannie je przekartkował. Dłuższą chwilę spędził przy barku, sprawdzając, jakie alkohole są napoczęte, a jakich jest zapas.

W rogu pokoju stało otoczone regałami biurko. Grant otworzył wszystkie szuflady i przejrzał ich zawartość, potem ostrożnie pozaglądał do leżących na blacie kopert.

– Carmen, ile masz filmów?

– Cztery rolki po trzydzieści sześć zdjęć.

– Znakomicie. Sprawdźmy, ile musimy sfotografować stron z kalendarza. Przejrzał go kartka po kartce, zaczynając od ostatniego weekendu grudnia zeszłego roku. Na szczęście na każdej podwójnej stronie był jeden tydzień i wszystkie, aż po bieżący dzień, zmieściły się na jednym filmie. Nie było notatek na dalszych kartkach. Grant starannie odstawił kalendarz na miejsce i wziął się za notes z adresami. Wyglądał on na spis numerów prywatnych, większość wpisów zawierała przy numerze telefonu tylko imię, niekiedy pierwszą literę nazwiska. Zawartość notesu zmieściła się następnym dwóch rolkach filmu.

Potem Grant sprawdził kuchnię i właśnie sprawdzał w szafie w przedpokoju torbę z kijami golfowymi, kiedy Palma popatrzyła na zegarek. Byli w mieszkaniu od godziny i czterdziestu minut. Poszła do telefonu i zadzwoniła do Leelanda. Reynolds właśnie wyjechał z Galveston i wracał do miasta, znajdował się teraz mniej więcej pięć kilometrów od lotniska Hobby. Palma przekazała Grantowi, że mają jeszcze najwyżej pół godziny, na co ruszył na kolejny obchód – tym razem jakby zwiedzał muzeum. Pozapalał wszystkie światła i rozglądał się jak najdokładniej, przypatrując się jeszcze raz nawet tym rzeczom, które przedtem dokładnie sprawdził. Niczego tym razem nie dotykał, od czasu do czasu jedynie gasił którąś lampę, aby popatrzeć na pokój w zmienionym światłocieniu – przynajmniej tak to wyglądało. Powoli zbliżał się do wyjścia. Światła były pogaszone, zasłony w wychodzących na Post Oak oknach odsłonięte jak przy ich przybyciu.

Dwadzieścia pięć minut po otrzymaniu informacji, że mają jeszcze pół godziny, wyszli na korytarz i Grant zamknął drzwi.

Rozdział czterdziesty ósmy

Wrócili do komendy i zanieśli filmy do Jake'a Wellera, który miał dyżur w laboratorium, prosząc o takie powiększenia, aby dało się odczytać wszystkie dane z kalendarza i notatnika, do tego w dwóch kompletach, jeden dla Leelanda, drugi dla Palmy.

Potem zeszli na dół do wydziału zabójstw. Hol wypełniali dziennikarze, którzy natychmiast rozpoznali Palmę i zaczęli ją zatrzymywać „na dwa słowa”. W końcu Palmie i Grantowi udało się przebić do siebie, gdzie – dokładniej: w gabinecie Frischa – znajdował się kolejny tłumek, tyle że złożony z policyjnych oficjeli. Było ich tylu, że niektórzy stali na zewnątrz. Palma rozpoznała też kilku radnych i wysłanników burmistrza.

Palma z przodu, za nią Grant, ruszyli w kierunku wąskiego korytarzyka prowadzącego do centrali grupy specjalnej, gdzie sekretarka pisała na komputerze, Nancy Castle rozmawiała przez telefon, a Leeland coś czytał przy zawalonym papierami biurku. Było to chyba najcichsze miejsce na drugim piętrze.

Dowiedzieli się od Leelanda, że Haws i Barbish są na chirurgii – Haws na swoją prośbę w szpitalu metodystów, a wciąż nieprzytomny Barbish w Ben Taub. Hawsowi nic nie groziło, ale Barbish znajdował się w ciężkim stanie. Poza roztrzaskanym kolaniem doznał poważnego wstrząsu mózgu, do którego musiało dojść przy uderzeniu głową w krawężnik, kiedy został postrzelony. Głupi przypadek. Jeżeli Barbish umrze albo pozostanie mu trwały uraz, być może

nigdy nikt nie dowie się prawdy o śmierci Louise Ackley i Lalo Montalvo.

– A co z Mirel Farr? – spytała Palma.

– Też jest w szpitalu – odparł Leeland. – Drują jej szczękę. Złamała ją nie wiadomo jak w trakcie całego tego zamieszania. Nie znam szczegółów. Jest porucznik Corbeil i paru chłopaków z obyczajówki, myślę, że akta Farr od nich mogą nam trochę pomóc.

– Popatrzyl na Granta. – Macie coś od Reynoldsa?

– Nie sądzę, przynajmniej nic, z czego można by wyciągnąć natchmiastowe wnioski.

Dla Palmy była to nowość. W drodze z St. Regis Grant grzecznie, lecz konsekwentnie unikał odpowiedzi na jej pytania. Na razie dała spokój, ale nie zamierzała dać się zbyć. Grant będzie musiał puścić farbę.

– Carmen sfotografowała jego kalendarz i notes – dodał Grant.

– Filmy są właśnie w laboratorium i zaraz po wywołaniu dostaniesz komplet odbitek. Masz akta wojskowe Reynoldsa?

– Właśnie przyszły. – Leeland wyciągnął spod stery papierów szarą teczkę. Otworzył ją i zagryzł wąż. – Był w Wietnamie snajperem marynarki wojennej od lutego sześćdziesiątego ósmego do lipca siedemdziesiątego pierwszego. Trzy tury. Chciał odsłużyć czwartą, ale odmówiono mu i wysłano go do domu. Zwolniony ze służby we wrześniu siedemdziesiątego pierwszego. Ma na koncie... – Leeland zawiesił głos dla lepszego efektu – ...dziewięćdziesiąt jeden potwierdzonych trafień.

– Czy zwolniono go z honorami? – spytał Grant. Leeland skinął głową.

– Są w papierach jakieś analizy psychologiczne? Leeland pokręcił głową.

– Korpus zawsze kryje swoich.

– Masz jakieś wiadomości od Birleya? – spytała Palma.

– Prawdę powiedziawszy... – Leeland sięgnął do notesu i przewrócił w nim kartkę. – Jest teraz w Briar Grove i rozmawia z kobietą, która w ciągu ostatniego roku przed zniknięciem Denise Kaplan-Reynolds spędziła z nią masę czasu. To zdjęcie Denise – powiedział wyjmując z kolejnej teczki kolorową fotkę formatu dziesięć na piętnaście. – Jest blondynką, ale poza tym nie widzę wielkiego podobieństwa do ofiar.

Palma popatrzyła na Denise. Zdjęcie zrobiła pięć miesięcy przed jej zniknięciem jedna z członkiń grupy Samenov. Denise stała na pustej plaży, linia brzegowa ginęła za jej plecami w mglistym powietrzu. Wyglądało na to, że rzuca mewom jedzenie, bowiem tuż nad jej głową zawisły dwie sztuki. Na jej skórze widać było wyraźnie oznaki poparzenia słonecznego, wiatr znad zatoki odgarniał krótkie blond włosy na bok. Nie była szczególnie atrakcyjną kobietą, miała jednak miłą buzię i duże oczy, których zewnętrzne kąciaki nieco opadały, nadając twarzy wyraz smutku.

Palma podała zdjęcie Grantowi, który ujął je w dwie ręce i zaczął uważnie oglądać. Palma obserwowała drobne ruchy jego oczu, skaczących od szczegółu do szczegółu. W końcu zatrzymał

wzrok na twarzy Denise, uśmiechającej się z wahaniem, jakby na wyraźną prośbę fotografującej, i długo patrzył.

Znów nie dało się z jego twarzy nic odczytać, co powoli zaczynało działać Palmie na nerwy. Nie chodziło o to, że miał kamienną twarz, bo nie była pozbawiona wyrazu. Specyfika jego mimiki polegała na tym, że nie okazywał nigdy niczego, czego przedtem dobrze nie przemyślał i nie postanowił ujawnić. Kiedy spotkali się po raz pierwszy na lotnisku, uśmiechał się, tryskał humorem, był miły. Kiedy postawiła mu się w gabinecie Frischa, okazał pełną rozsądku powagę. Kiedy jedli lunch, nieco się rozluźnił, żeby przyglądzić jej nastroszone piórka. Problem nie polegał też na tym, że nie był spontaniczny. Jego zachowanie nigdy nie sprawiało wrażenia wymuszonego ani fałszywego. Palmę irytowało, że jego twarz stawała się najbardziej enigmatyczna, ukrywała najwięcej, kiedy jego umysł poruszał się po najciekawszych obszarach. Nie interesował jej Grant – towarzysz obiadu, poważny i zamyślony Grant czy Grant na luzie. Chciała mieć kontakt z Sanderem Grantem patrzącym na zdjęcie zaginionej Denise Kaplan-Reynolds, którego to, co widział, tak poruszyło, że uznał, iż należy ukryć emocje.

– Birley rozmawiał jeszcze z dwiema innymi kobietami, które utrzymywały z Kapłan kontakty seksualne – dodał Leeland przerywając ciszę. – Obie twierdzą, iż nic o tym nie wiedzą, by miała romans z którąkolwiek z ofiar. Birley jednak uważa, że kłamią, boją się mówić z powodu morderstw.

Nancy Castle odłożyła słuchawkę, popatrzyła na zegarek, zrobi-

ła notatkę i pomachała kartką w kierunku Leelanda.

– Dzwonił Garro. Przejął z Childsem Reynoldsa od Cushinga i Bouchera, i przyjechali za nim pod jego dom. Garro i Childs poszli do furgonetki podsłuchu, a jeden z techników zakłada podsłuch w samochodzie Reynoldsa. Zostają mu na karku.

– Cushing i Boucher jadą do domu? – spytał Leeland.

– Wrócą do pracy za sześć godzin.

– Rozmawialiśmy z Broussardem – poinformowała Leelanda Palma i przekazała ważniejsze szczegóły rozmowy.

– Chcesz powiedzieć, że wszystkie trzy ofiary były jego klientkami? Palma potaknęła.

– Cholera... Jakie zrobił na was wrażenie?

Palma odwróciła się do Granta. Nie zamierzała odpowiadać, chciała usłyszeć jego zdanie. Odwzajemnił spojrzenie – wiedział, o co chodzi.

– No dobrze, porozmawiajmy najpierw o mieszkaniu Reynoldsa – odparł Grant zwracając się do Leelanda. – Pamiętasz, jak mówiłem, że przejrzenie go i obfotografowanie coś mi o nim powie? Tak też się stało, ale nie takich informacji się spodziewałem. Znam paru ludzi, którzy byli snajperami w Wietnamie, i każdy z nich miał niezły intelekt, był skrupulatny, dokładny, niemal obsesyjny. Nie zaskoczyły mnie więc łuski – z wyjątkiem liczby, ale po tym jak Terry opowiedziała Carmen, że Reynolds obserwował Louise Ackley przez lunetkę karabinu, byłem niemal pewny, że znajdziemy podobne „pamiątki”, to co mnie jednak naprawdę zaskoczyło, to że po przeje-

rzeniu mieszkania Reynolds znacznie spadł w dół mojej listy podejrzanych.

Leeland popatrzył na Palmę, która nie odwracała wzroku od Granta.

– Kilka już razy mówiłem, że mordercy z motywów seksualnych często są zbieraczami „pamiątek”, ale łuski snajperskie sienie liczą. Przynajmniej nie w tym kontekście. Gdybyśmy mieli do czynienia z zabójcą snajperem, sprawa byłaby inna, tu jednak łuski są bez znaczenia. Bez wątplenia Reynolds ma poważne problemy z głową, ale nie związane z naszą sprawą. Nie mają one moim zdaniem związku z seryjnym zabijaniem.

– Czyli niczego nie znaleźliście? – Leeland nie był w stanie w uwierzyć. Miał oczy podpuchnięte z bezsenności, a grube policzki zrobiły się jakby bardziej wypukłe, co nadawało mu wygląd zaskoczzonego słonia morskiego.

– Jeżeli chodzi o rzeczy mające związek z prowadzoną przez nas sprawą, to pod tym względem mieszkanie było puste. Nie było w nim nic mającego dla nas znaczenie. Reynolds jest jednak kuty na cztery nogi – nie trzyma w domu żadnego albumu, niczego na temat swojej rodziny, żadnych listów... nic osobistego. To mieszkanie niewiele się różni od motelowego pokoju, w którym co noc śpi ktoś inny. Wyobrażam sobie, że karabin, o którym mówiła Terry, trzyma w biurze albo w bagażniku samochodu.

– Może tam też trzyma pamiątki? – spytał Leeland.

– Trudno mi to sobie wyobrazić – odparł Grant wyginając ple-

cy, aby rozluźnić mięśnie w okolicy lędźwi. – Trzymałby je w domu. Może dobrze schowane, ale w domu. Byliśmy tam nieco ponad dwie godziny, a mam spore doświadczenie w szukaniu podobnych „kolekcji”. Gdyby coś tam było, sądzę, że bym znalazł.

– Teraz Broussard... – powiedziała Palma, jakby chciała przypomnieć następny punkt.

Grant skinął głową.

– Oczywiście. Musimy go sobie dokładniej obejrzeć. Poza tym, co już mówiliśmy, kilka rzeczy, które powiedział, wywarło na mnie wrażenie. Na przykład fakty dotyczące seksualnego wykorzystywania dzieci... tak duży procentowo udział kobiet wśród sprawców. – Popatrzył na Palmę. – To musiało ci sprawić przyjemność. Faktem jest jednak, że nas się nie spodziewał, a nawet gdyby się spodziewał, wątpię, by umiał przewidzieć, o co będziemy pytać. Mimo to wyliczył procenty, jakby czytał z kartki. Mogą być tego dwa powody: albo te dane zrobiły na nim tak duże wrażenie, że je zapamiętał, albo szczególnie się interesuje tym właśnie tematem. Sądzę, że raczej to drugie.

– Od razu powiedział, że większość jego pacjentów to kobiety – przypomniała Palma. – Dla mnie wydaje się w związku z tym logiczne, że jest na bieżąco z piśmiennictwem w tym zakresie.

– Oczywiście. – Grant leniwie skinął głową, jakby się spodziewał, że Palma to powie. – Następny szczegół nie jest jednak aż tak łatwy do wyjaśnienia. Kiedy poprosiłem go o spekulację dotyczącą stylu myślenia naszego sprawcy, odmówił. Początkowo nie chciał

tego zrobić, kiedy się jednak zdecydował, wypowiadał się nie w trzeciej, lecz w pierwszej osobie. Fakt, że poprosiłem, aby wczuł się w zabójcę, mimo to wybór formy wydaje mi się ciekawy. W dodatku jego ocena była perfekcyjna, dokładna w każdym szczegółzie. Nie sądzę, by dało się to wyjaśnić jedynie tym, że jest psychiatrą. Psychologia kryminalna to bardzo wąska specjalizacja i nawet psychoanalityk musi sporo przeczytać, zanim będzie w stanie sypać jak z rękawa informacjami, jakimi uraczył nas dziś pan Broussard. Wiedza z tego zakresu była mu znakomicie znana – szczególnie typologia zabójców na tle seksualnym. – Grant był wyraźnie zadowolony. Najwyraźniej Broussard spełnił jego oczekiwania. – Najciekawsze jest w tym, że powiedział mi to wszystko bez oporu. Prosto z mostu. Nie próbował sypać piasku w oczy. Tak jakby mówił: „Proszę bardzo, oto moje życie, kładę karty na stół, ale nic ci to nie da, ponieważ i tak jestem od ciebie sprytniejszy”. Rzucił mi wyzwanie. A na to właśnie czekałem.

– Jeżeli się zastanowić, to znakomicie współpracował – stwierdziła Palma. – Opowiedział o ofiarach i od razu przyznał, że był lekarzem Samenov.

– Właśnie. Będziemy musieli sporo się nad nim napracować. – Grant bez zapowiedzi odwrócił się do Leelanda. – Coś nowego z laboratorium?

– O tak, proszę. – Leeland zaczął grzebać w papierach, aż znalazł żółtą teczkę. – LeBrun przyniósł ją tuż po piątej. – Otworzył teczkę i zapatrzył się w pierwszą kartkę. – Jak pamiętacie, znaleźli-

śmy na łóżku Dorothy Samenov pięć włosów łonowych. Trzy pochodziły od jednej osoby, dwa od innej. Te trzy pasują do włosów pobranych od Vickie Kittrie.

– A niech mnie... – mruknęła Palma. – W dalszym ciągu nie znamy jednak chronologii wydarzeń. Kąpiel albo prysznic najprawdopodobniej usunęłyby wszystkie włosy pozostawione przez partnerów seksualnych. Jeżeli kąpała się zwykle rano, to oznaczałoby, że mogła odbyć stosunek... powiedzmy między... szóstą rano a dziesiątą wieczór, kiedy ją zamordowano.

– Tak samo dobrze mogła się wykąpać po pracy – powiedział Grant. – W takim razie włosy pochodzą z odcinka czasowego nie dłuższego niż trzy godziny, zakładając, że powrót od Christofa i kąpiel zajęły jej trzy kwadranse.

– Ustalenie jej godzin pracy nie powinno być takie trudne – uznał Leeland. – Dość prawdopodobne, że praktycznie przez cały dzień była z ludźmi, co sugerowałoby, że aż do wyjazdu z klubu była „czysta”.

– Czyli oba stosunki odbyła w ciągu trzech ostatnich godzin – stwierdził Grant.

– Birley i Leeland od początku mieli koncepcję, że to mógł być trójkąt – powiedziała Palma.

– Tak, z tym że nie podejrzewałem, by jedną z partnerek okazała się Vickie Kittrie – odparł Leeland. – Cholera, nawet nie sądziłem, że to będą kobiety.

– W dalszym ciągu nie ma takiej pewności – powiedział Grant

biorąc do ręki raport. – W dalszym ciągu mamy dwa włosy nie zidentyfikowane, a zarówno Dorothy Samenov, jak i Vickie Kittrie to biseksualistki.

Palma była rozczarowana. Jeżeli Grant dostrzegał w jej teorii ziarno prawdy – a miała nadzieję, że eliminacja Reynoldsa jako głównego podejrzanego wskazywała na to, że dostrzegał – nie zamierzał tak łatwo zrezygnować z założenia, że sprawcą jest mężczyzna. Prawdę mówiąc, trudno się było tego po nim spodziewać.

– Wszystkie włosy były telogenowe?

– Tak – odparł Leeland. – Bez komórek pochodzących z pochewki włosa, bez możliwości przeprowadzenia badania DNA ani ustalenia płci nosiciela.

– Nie da się odrzucić, że Kittrie miała z nią kontakt trzy godziny przed zabójstwem – powiedział Grant.

– Chyba że Samenov wykąpała się wcześniej i spotkała się z Vickie w ciągu dnia – zaproponowała Palma. – Albo z jakiegoś powodu nie wykąpała się ani rano, ani poprzedniego wieczora i była z dwiema osobami naraz albo osobno w odstępie od dwudziestu czterech do trzydziestu sześciu godzin.

– Albo – dodał Leeland – ktoś podrzucił włosy Kittrie, albo i jedne, i drugie.

– Mógł to zrobić Reynolds i gdyby było trzeba, zrobiłby to – powiedziała Palma. – Miał dostęp do włosów Vickie.

Grant nie był już jednak zainteresowany Reynoldsem. W przyszłości mogły się pojawić fakty wykluczające albo – co było

bardziej prawdopodobne – potwierdzające jego związek z zabójstwami Louise Ackley i Lalo Montalvo, dla Granta Reynolds był już jednak poza sprawą seryjnych morderstw. Szybko zmienił zdanie, ale Grant nie marnował czasu na odgrzewanie błędnych koncepcji. Jego uwaga koncentrowała się teraz na Broussardzie.

– Z tego co wiemy, Broussard też mógł mieć do nich dostęp – stwierdził Grant. – Uważam, że jeżeli pogrzebiemy, okaże się, iż życie seksualne doktora kryje w sobie niejedną niespodziankę i nie spieszyłbym się z wykluczeniem, że któraś z ofiar miała z nim bliski kontakt.

– Jak realne jest założenie, że Broussard mógł coś podobnego wymyślić? – spytał Leeland.

– Ba, ktokolwiek zabija te kobiety, ma dość inteligencji i fantazji by wymyślić więcej, niż mogłoby wpaść nam do głowy. Mógłbym się założyć, że Broussard byłby zdolny do podłożenia włosów. – Grant chwilę się zastanowił, rzucił raport z laboratorium na biurko Leelanda, potem przysunął sobie krzesło i postawił stopę na łączącej nogi rozpórce. – Z drugiej strony musimy uważać, żeby nie przesadzić z fantazjowaniem. Łatwo się pogubić w spekulacjach. Już nieraz się w czymś takim zagalopowałem. Następuje to raz-dwa, zwłaszcza jeżeli ma się za przeciwnika kogoś naprawdę sprytnego. Nie możemy dopuścić, żeby sprawa nam się zagmatwała. – Popatrzył na Palmę, po raz pierwszy widziała, że się uśmiecha. – Będziemy musieli iść za radą twojego ojca, Carmen. Musimy ustalić, co nie miało miejsca.

Leeland z namysłem pokiwał głową, obserwując Granta zapartezowanego w wyrysowane na tablicy za biurkiem Leelanda diagramy wydarzeń.

– Masz rację – stwierdził w końcu. – Powiem ci tylko, że jeszcze nigdy nie widziałem nic podobnego. Fakty się kumulują, ale nic z nich nie wynika.

– Jeszcze wyniknie – zapewnił Grant. – Zawsze tak jest. Musimy zrobić sporo rzeczy i obawiam się, że będziemy musieli poczekać z kilkoma do poniedziałku. Musimy sprawdzić w Amerykańskim Towarzystwie Psychiatrycznym i Amerykańskim Towarzystwie Psychoanalitycznym, czy kiedykolwiek wysuwano jakiegokolwiek zarzuty pod adresem doktora Broussarda. Poza tym, choć mieszka w szpanerskiej okolicy, a są one zamieszkiwane przez ludzi, którzy dość niechętnie udzielają informacji o sąsiadach, powinniśmy wysłać parę osób, by popukały do różnych drzwi. Niech sprawdzą, czy Broussard ma gospozię. Cała tamtejsza służba jeździ tym samym autobusem, a rozmowa o pracodawcach jest nierzadko najlepszą rozrywką. Służący to znakomite źródło informacji. Musimy się o nim więcej dowiedzieć. Ciekawe też, że przyznał, iż prawdopodobnie nie ma na wieczory zabójstw alibi. To znaczy, że wie, iż go nie ma. Stwierdził to czytając artykuł o śmierci Mello, w którym opisano wszystkie trzy przypadki z podaniem dat. O rany, pękają mi plecy... – jęknął, odwrócił krzesło, o które opierał nogę, i usiadł na nim. – Boże... Musimy też coś zrobić z Vickie Kittrie.

Musimy wreszcie zacząć zaliczać ją do podejrzanych – stwier-

dziła Palma. – Znowu robimy co w naszej mocy, aby nie zauważać tego co oczywiste. Dla wyjaśnienia, skąd wzięły się jej włosy, wymyśliśmy wszelkie możliwe warianty przebiegu ostatniego dnia Samenov poza tym, że Vickie była obecna przy jej śmierci. To śmieszne. Dlaczego nie weźmiemy pod uwagę tego co oczywiste: że Kittrie była przy śmierci Samenov i być może to właśnie ona ją zabiła? Unikanie tej możliwości to naprawdę głupota.

– Ale Carmen, przecież dała ci swoje włosy łonowe bez słowa protestu – zaproponował Leeland.

– Daj spokój. A co miała zrobić, kazać mi zdobyć nakaz rewizji? Dopiero wtedy jej zachowanie zaczęłoby być podejrzanym.

– Zadzwoiła osobiście na policję – nie popuszczał Leeland. – Sama napisałaś w swoim raporcie, że była wstrząśnięta śmiercią Samenov. Kiedy zobaczyła ciało, zemdląca.

Palma popatrzyła na niego.

– Tak, tak napisałam, bo była wstrząśnięta, ale fakt, że zemdląca, nie jest powodem wyłączenia jej z kręgu podejrzanych. Znam wiele kobiet, które nie potrzebują powodu do płaczu. To ich pierwsza reakcja na każdą niespodziewaną sytuację. Vickie płakała za każdym razem, kiedy ją widziałam. Wierysz, że nowicjusz, który przy niej był, kiedy mdlała, umiałby odróżnić prawdziwe omdlenie od zagraneego? Rozmawiałam z nim i był nie mniej wstrząśnięty widokiem ciała niż Kittrie.

– To nie ma sensu – odezwał się Grant. – Chodź za nią. Zaczynaj sprawdzać jej alibi i drąż dalej. Sprawdź, czy zna Broussarda. Jaka

jest przy rozmowie?

– Trudna. Stosuje całą gamę sztuczek od współpracy po histериę. Bywa oporna, ale ani ordynarna, ani pseudomęska. Jest w zachowaniu stuprocentowo kobieca, jej niechęć do współpracy sprawia więc wrażenie uporu nastolatki. – Palma niby przepraszająco wykrzywiła wargi. – Przyznaję, że po tym czego dowiedzieliśmy się o niej w ciągu ostatnich dni, uważam, że jej zachowanie jest niezwykle wyrachowane. Przekonuje mnie to jeszcze bardziej, że błędem byłoby pomijanie jej jako podejrzaney tylko dlatego, że nie pasuje do schematu.

Grant zwiesił głowę.

– Musimy jak najszybciej porozmawiać z Mirel Farr – powiedział. – Powinna nam powiedzieć wiele o Kittrii. Chyba uda nam się ją przekonać, że ma wystarczająco dużo kłopotów i powinna współpracować chętniej niż z Marleyem i Hawsem. – Popatrzył na Leelanda. – Powiesz nam, kiedy lekarze pozwolą z nią rozmawiać?

Leeland skinął głową i zrobił sobie notkę.

– Najważniejsze jednak – stwierdził Grant – aby przez okrągłą dobę obserwować Broussarda. Stać nas na to? W jakim nastroju jest administracja? Dadzą pieniądze?

Leeland się skrzywił i wskazał głową w kierunku gabinetu Frischa.

– Właśnie debatują nad pieniędzmi. Mam wrażenie, że coś dadzą. Frisch podejrzewał, że będziemy potrzebować kilku zespołów nadzoru i wkalkulował to w plan budżetu. Nie uważasz, że powinni-

śmy śledzić Reynoldsa?

Grant pokręcił głową.

– Nie, choć jest w dalszym ciągu podejrzanym numer jeden w sprawie Ackley-Montalvo jako zleceniodawca Barbisha. Kiedy jutro się dowie, że Barbish siedzi, może podjąć jakąś akcję, na przykład dać nam jakiś cynk. Dobrze by było, gdyby wasi ludzie dostali się dziś do bagażnika wozu Reynoldsa, zanim usłyszy o wpadce Barbisha. Co z bronią Barbisha?

– Ten sam rodzaj co przy zabójstwie Ackley-Montalvo – odparł Leeland. – Na dokładne badanie musimy poczekać do rana.

– No dobrze... – powiedział Grant i wstał. – Będziesz mógł informować nas o wynikach obserwacji Broussarda?

Leeland skinął głową i zrobił kolejną notkę.

Wszystkie trzy telefony zadzwoniły równocześnie i Leeland, Castle oraz sekretarka podnieśli słuchawki.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Cudze sypialnie są niezwykle erotyczne. Wiem to od dzieciństwa, to wiedza z czasów znacznie wcześniejszych, nim stało się dla mnie jasne znaczenie słowa „erotyczne”. Jestem tu po raz pierwszy, o bardzo wczesnej godzinie – aby móc się nacieszyć subtelną, acz potężną rozkoszą wchodzenia bez pozwolenia do czyjś domu. Nie zapalam świateł. To dość stary dom i mieszkająca w nim kobieta oszczędza elektryczność, wyłączając klimatyzację i otwierając okna, wykorzystując niższą w nocy temperaturę oraz wilgoć po dopiero co spadłym deszczu.

Szybko przemierzam dom, sunę ostrożnie przez cętkowane plamy światła padającego z okien, wyobrażam sobie mieszkającą tu kobietę oraz sposób, w jaki się porusza przechodząc z pokoju do pokoju. Z początku unikam sypialni, nęcę swą żądzę jak striptizerka salę pełną pragnących podniety mężczyźni, świadomych, że to niezmienny rytuał. Jeszcze nie teraz. Każdy pokój poza sypialnią. Mijam ją, czuję jej przyciąganie, ale nie wolno jeszcze wejść. Jeszcze nie. Spojrzenia z dala na uchylone drzwi natychmiast wywołują między nogami pierwsze łaskotania, ale muszę iść do następnego pokoju, wolno mi tylko spojrzeć za siebie i wyobrazić sobie słodki ból, jaki mnie ogarnie, kiedy znajdę się po tamtej stronie.

Teraz stoję i zaglądam do sypialni. Przez brudne okna naprzeciwko, sprzed których odsunięto przezroczyste firanki, zaglądamy czarne kontury palmowych liści i do pokoju wpada bładniebieskie

światło, nabłyszczając gładkie powierzchnie tak, że wyglądają jak zrobione z porcelany. Pościel na nie zaślonym łóżku wygląda jak nasączona farbą.

Drzwi szafy są otwarte, podchodzę i czuję zwietrzały zapach perfum. Zapach perfum na wiszących w szafie ubraniach to szczególnego rodzaju aromat. To zapachowy ekwiwalent pasteli, bardziej pamięć zapachu niż zapach. Podchodzę i przeciągam dłonią po niebieskich ubraniach, wiszących przez całą szerokość szafy. Potem wdycham zapach mojej dłoni. Czuć jej zapach na swojej skórze, to jak fizyczne zjednoczenie z nią. Akt płciowy bez jej wiedzy – czuję się jak bóstwo, zdolne do ukrywania się pod postacią chmury albo złotego oparu, mogące w tym kształcie wnikać w nią, kiedy chcę i którędy chcę. Nie mogłaby mi odmówić.

Znajduję w szafie dwa puste wieszaki i zaczynam się rozbierać. Kiedy nie mam już nic na sobie, wieszam ubranie na wieszakach i umieszczam je pomiędzy jej ubraniami w szafie. Potem, kiedy zacznę się ubierać, będą pachnieć równie pastelowo jak jej ubrania.

W komodzie przy szafie jest wiele szuflad i otwieram je, znajduję bieliznę. Wyjmuję ją, sztuka po sztuce, i podnoszę pod niebieskie światło. Wszystko jest niebieskie – w jaśniejszych i ciemniejszych odcieniach, ale niebieskie. Biorę każdą rzecz między wargi i poruszając nimi, czuję gładkość materiału. Nylon i jedwab. Kiedy pocałowane zostało to co trzeba, wyjmuję wszystko z szuflad i rozwieszam na nich. Biustonosze umieszczam poziomo. Jest za mało szuflad, wieszam więc rzeczy na klamkach, obrazach

i lampach, na lustrze, krzesłach, gdzie tylko się da, aż wszystko jest rozwieszone, wszystko przeszło przez moje usta.

Podchodzę do nie posłanego łóżka, czuję wyraźnie podniecenie i co czyni z moim ciałem. Skłębione prześcieradła są chłodne, już dawno wyparowało z nich ciepło ciała, które leżało tu ostatnie. Zapach jednak trwa. Wsuwam się pomiędzy niebieskie prześcieradła i znów czuję mieszkającą tu kobietę. Znów jestem niczym bóstwo, nieśmiertelna niebieska istota, wchodząca w płęć nie znanej mi mieszkającej tu kobiety, a fałdy prześcieradeł są jak najintymniejsze fałdy jej ciała, jej płci. Owijam się prześcieradłami, wsuwam je sobie między nogi, pod pachy, tak że z niebieskiej pochwy wystaje mi tylko głowa. Twarz mi promienieje, w mej duszy nie ma śladu niepokoju i gnam pomiędzy nogami tej kobiety, w niej, wyglądając na świat i wyobrażając sobie, jak musimy wyglądać – wielka ona i maleńki ja.

Prześcieradła szybko się nagrzewają, zaczynają parzyć. Zlewa mnie pot, więc wychodzę, z obslizgłym niebieskim ciałem, jak po porodzie. Odkopuję daleko prześcieradła, ściągam resztę, odrzucam daleko do kąta. Potem kładę się na nagim łóżku, na jedynym, spodnim prześcieradle, jakie zostało, rozpościeram ręce i rozkładam nogi i leżę na samym środku łóżka, samotnie, czując jak wraz z parowaniem potu i pojawiającym się na skórze chłodem, każdy milimetr ciała obejmuje mrowienie. W dalszym jednak ciągu czuję zapach prześcieradeł, które są teraz nie tylko jej, ale i moje, mocą płynów wylanych na nie w trakcie mojego niebieskiego porodu

sprzed chwili.

Czekam.

Ona też ma klucz i słyszę, jak przekręca go w zamku. Choć już tu nie mieszka, bywa tu. Wstrzymuję oddech, wsłuchuję się w jej kroki na parkiecie. Zamyka za sobą drzwi. Nie pali się żadne światło, ona też żadnego nie zapali, wie, że nie wolno jej niczego zmieniać. Przyjmie do wiadomości wszystko, co zastanie. Jej kroki są jednak powolne, porusza się niepewnie, wykorzystując do orientacji każdy cień i jaśniejszą plamę. Kiedy wchodzi na dywan, zapada cisza, potem obcasy znów stukają o parkiet i dochodzi do otwartych drzwi sypialni, zatrzymuje się w nich. Światło jest w tym miejscu bardziej niebieskie, wyrazistsze. Wiem, że widzi mnie na łóżku. Znów zaczynam oddychać, mam zaciśnięte usta, ale chciwie wciążam powietrze nosem tak głośno, że na pewno słyszy przez pokój, jak to robię.

Kiedy ściąga pantofel, rozlega się stuknięcie. Drugie, kiedy spada drugi. Słyszę szelest ubrania, cichy odgłos przesuwanych przez dziurki guzików, trzask suwaka, kliknięcie zapinki i szum opadającego na podłogę materiału, potem stłumione klaśnięcie gumy o nagie ciało.

Kiedy przewracam się na bok, aby na nią popatrzeć, jest blisko, na wyciągnięcie ramion, skąpana w niebieskim świetle, padającym z okien za moimi plecami. Już zaczęła się dotykać, rozchyliła lekko nogi, jakby miała tam umieścić wiononczelę, prawy łokieć ma odsunięty od ciała, delikatnie drga od ruchu dłoni. Odrzuciła głowę do tyłu, włosy opadają jej na ramiona i plecy, a lewa dłoń obejmuje od

spodu ciężką pierś z sutkiem koloru indygo.

W dzieciństwie jednym z moich częstych zajęć było oglądanie tego samego w wykonaniu mojej matki. Dokładnie tego samego.

Widzę w bladym świetle, że się poci, jej dłoń porusza się szybciej, nogi rozsuwają się odrobinę dalej. Po jej skroniach spływają hiacyntowe strużki, jedna, druga po wygiętej w łuk szyi i toczą się ku ciemnogrnatowemu sutkowi, temu wolnemu, którego nie ścisła. Jej nogi coraz bardziej się rozchodzą, aż opada na kolana i dyszy tak jak ja po tych wielu minutach bezdechu, tyle tylko że z jej gardła wydobywają się dźwięki, pospieszne, smutne odgłosy, powodujące, że chce mi się płakać.

Odwracam się od niej ku niebieskim oknom i czarnym palmom. Czuję, jak nadchodzi, nadpływa, płynie daleko z głębi mojego serca, wpelza mi do piersi niczym zawodzący jęk, przeciska się przez moje zaciśnięte gardło, rozprasza gorączkowo po zmarszczkach twarzy i wnika mi w oczy. Leżę słuchając jej, coraz szybszego, gwałtownego, trzepoczącego zbliżania się jej orgazmu i kiedy do niego dochodzi, kiedy zaczyna jęczeć, jakby ją bito, łzy lecą z moich oczu strumieniami, czyste, hojne wytryski, które spływają mi po twarzy i zabierają mnie z powrotem do dni dzieciństwa, do opadającej z wycieńczenia na łóżko matki. Przez chwilę, przez klarowny, ulotny moment czuję się tak samo jak wtedy, moje emocje stają się kłębowiskiem strachu, pożądania i rozpaczy... i tęsknoty za czymś, czego nie udało mi się zrozumieć ani wtedy, ani nie rozumiem dziś.

Leżę bez ruchu. Jej głowa jest na łóżku, a bujne włosy dotykają

mojego biodra.

Robię dużo, aby dokładnie odtworzyć moje krótkie odczucie z dzieciństwa. To kosztuje tak wiele wysiłku i boję się, że któregoś dnia nie będę w stanie odtworzyć go tak dokładnie, jak pamiętam. Z biegiem czasu rekonstrukcja jest coraz trudniejsza i często przeżywam z tego powodu długie godziny strachu. Dlaczego odczucie chce mi umknąć? Jak będzie bez niego wyglądać moje życie? Samo myślenie o tym mnie przeraża. Czasami próbuję odtworzyć wrażenia z tamtej chwili poprzez wędrówkę myślą w owe dni dzieciństwa, w których odczucie się zrodziło, i muszę przyznać, że kilka razy mi się udało, ale coraz bardziej jest do tego potrzebna kobieta – tak młoda, jak młoda była moja matka, o tak bujnych piersiach jak jej, o tak gładkim i prężnym ciele jak było jej, kiedy po raz pierwszy mnie zaprosiła do dzielenia się z nią. To niezbędne. Konieczne jest także wszystko, co następuje potem. Rekonstrukcja udaje się jedynie, kiedy w głębi umysłu wiem, że dojdzie do tego, co następuje potem, choć nie oczekuję tego świadomie. To, co następuje potem, jest moim darem dla niej. Gorzko-słodkim. Myślę, że by to zrozumiała. Na pewno, gdyż to ona nauczyła mnie tego, co wiem, zrobiła ze mnie to, czym jestem. To ona zatarła granice między miłością i rozkoszą, odebrała mi dzieciństwo i nauczyła mnie, co oznacza zdrada na długo przedtem, zanim dziecko jest w stanie zrozumieć, co to oznacza.

Kobieta odzyskała teraz siły i czuję, jak łóżko drży od jej ruchów. Wstaje i podchodzi do torby, przyniesionej specjalnie dla niej,

odstawionej pod drzwiami. Słyszę, jak ją otwiera, jej dłonie przebie-
rają to, co trzymam w torbie. Wiem, co robi, i w moim ciele zaczyna
coraz szybciej krążyć gorący płyn, rozlewa się po wszystkich człon-
kach, aż zaczynam dygotać. Nie odwracam oczu od czarnych palm.

Kiedy czuję ruch łóżka, wiem, że kładzie się na gołe przeście-
radło. Łóżko zapada się nieco pod naciskiem jej kolan, które układa
po obu stronach mojego ciała. Rozglądam się. Jest wysoka, długono-
ga, ma pełne biodra i piersi. Uwielbiam jej piersi i widzę
w niebieskim świetle, że perli się jeszcze na nich pot. Brzuch ma
ściągnięty podnieceniem i szesuje do tyłu potargane włosy.
Z nadgarstków jej uniesionych rąk zwisają sznury i choć ich nie
widzę, wiem, że ma też sznury wokół kostek.

Jest wspaniała i czuję zbierający się w moim kroczu ból, ból,
który zawiedzie nas poza granice tego, co kiedykolwiek doświadczy-
ła. Unoszę się i obejmuję ją, otaczam ramionami jej pośladki, przy-
ciągam do siebie jej łono, czuję na szyi wilgoć i wdycham niepowtar-
zalny zapach jej potu. Przenoszę język wyżej, w górę brzucha, do
zagłębienia pępka. Otaczam go ustami i zaczynam ssać jak pierś,
a jej brzuch przyciska się do mojej twarzy, jej palce zagłębiają się
w moje włosy.

Nie zdaje sobie sprawy z tego, co zaraz z nią zrobię, choć uwa-
ża, iż wie, po co przyszła i co się wydarzy. To będzie coś wyjątko-
wego. Dla niej – niepowtarzalnego, dla mnie będzie to kolejny odcie-
nek, cena za jeszcze jedną możliwość przeżycia dręczącej mnie na-
miętności z dzieciństwa, cena za zachowanie jej żywej, choć spro-

wadziła na mnie więcej bólu, niż gdyby opanował mnie sam Szatan.

Rozdział pięćdziesiąty

Zanim udało im się przepchnąć przez zatłoczony korytarz, zjechać na dół, przejść przez hol i dotrzeć pod budynek administracji, gdzie Palma zaparkowała wbrew przepisom, było piętnaście po dziesiątej. Zanim padło pierwsze słowo, zdążyli dotrzeć do południowego objazdu centrum i Palma zjeżdżała na prawy pas, by skręcić w Southwest Freeway.

– Zmęczony? – spytała.

– To też – odparł Grant wyglądając przez okno.

– Masz ochotę zjeść szczególnego?

– Nie, ty zdecyduj. Zjem wszystko, co wybierzesz.

– W takim razie jadę do domu. Co powiesz na kanapki?

– Proszę bardzo. Kanapki będą znakomite. – Popatrzył na nią zaskoczony. – Chce ci się robić? Mnie wystarczy najprostszy barek.

– Mnie też, ale wolę pojechać do domu. Będziemy mogli zdjąć buty. Kiedy podchodzili pod drzwi jej mieszkania, Palma miała chwilę zawahania.

Grant tak dużo mówił o tym, ile można opowiedzieć o danej osobie na podstawie jej mieszkania, tego co trzyma na półkach i w szafach, w lodówce i apteczce w łazience, że nagle poczuła, jakby się obnażała, dawała mu przewagę nad sobą. Przewagę w czym? A niech to cholera...

Poprosiła, aby czuł się jak u siebie w domu. Odmówił, kiedy zaoferowała, że powiesi jego marynarkę, rzucił ją na oparcie krzesła

w jadalni.

– Tam jest pokój gościnny i łazienka. – Palma wskazała za schody i położyła torebkę na stole.

– Chętnie się umyję. Dzięki.

Grant wrócił, kiedy Palma wyciągnęła wszystko z lodówki i podwijała rękawy.

– W czym mogę pomóc?

– Nie trzeba. Nalej tylko sobie coś do picia. W lodówce jest trochę wina i piwa, chyba też mrożona herbata.

– A ty?

– Poproszę wino. Kieliszki są tu, na górze.

Grant nalał im po kieliszku wina i jeden z nich postawił Palmie na wyłożonym kafelkami kontuarze. Potem oparł się o szafkę i przyglądał, jak kroi rostbef i szynkę, a potem układa mięso na talerzu obok marynowanej cebulki, oliwek, sera, selera, pomidora i pokrojonego na plasterki jajka na twardo. Kiedy skończyła, zaczął podjadać. Żadne z nich się nie odzywało, co nie było dla Palmy krępujące, wręcz przyjemne. Nie miała nastroju na pogaduszki, a jeżeli on nie miał ochoty nic mówić, nie zamierzała się męczyć wymianą wymuszonych miłych słówek. Chętnie dowiedziałyby się, o czym Grant myśli, nie miała jednak ochoty wyciągać tego z niego na siłę, on zaś stał w milczeniu, od czasu do czasu sięgając po oliwkę albo pikla, wypijając łyk wina i myśląc.

– Jak ci się podoba samotność po okresie małżeństwa? – spytał bez wstępu. Beże drogi, co za pytanie... Skrzywiła głowę

i roześmiała się.

– To małżeństwo nie trwało aż tak długo.

– No, ale chyba się przyzwyczaiłaś do bycia we dwoje.

– O tak... – Skończyła kroić chleb. – Proszę. Zaczęli robić kanapki.

– Nie mam zbyt wielu okazji do porównań – powiedział Grant.

– Sporo kolegów, z którymi pracuję, jest rozwiedzionych. Czasami rozmawiają o swoich rozwodach, jak były niemiłe albo że pozostali z byłymi żonami w przyjacielskich układach. Trudno mi to sobie wyobrazić, wczuć się w ich sytuację.

– Trudno to sobie wyobrazić, nawet jeśli samemu się przeszło przez rozwód – odparła Palma pijając wino. Obserwowała Granta. Robił kanapkę jak ktoś, kto zrobił ich w życiu mnóstwo i nie musi się w pełni na tym koncentrować. Kiedy skończył, przekroił kromkę na skos.

– Ale przyzwyczaiłaś się na nowo mieszkać sama?

– Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego – powiedziała, stwierdzając w tym samym momencie, że w przypadku Granta tak nie jest. Mimo to kiwnął głową i dołał im wina.

Wzięli talerze, kieliszki i butelkę i poszli do salonu, gdzie usiedli przy niskim stoliku przed kanapą. Palma zdjęła pantofle. Grant uśmiechnął się, rozwiązał buty i też je zdjął. Potem wyciągnął koszulę ze spodni. Siedzieli tak oboje na podłodze, Palma oparta o krzesło, Grant o kanapę, z wyciągniętymi do przodu nogami, niemal stopa w stopę. Grant popijał wino. Po chwili popatrzył na Palmę i się

uśmiechnął.

– Oj, dziękuję.

Jedli przez kilka minut w milczeniu i Palma stwierdziła, że choć Grant intensywnie nad czymś дума, najwyraźniej dobrze się czuje. Była zadowolona, że trafiła proponując coś, co mu się spodobało. Wiedziała, że dużo podróżuje służbowo, a hotele, na które stać człowieka dysponującego państwową dietą, bywają naprawdę przygnębiające. Cieszyła się, że sprawiła mu przyjemność, było jej miło, kiedy stał w kuchni i podjadał z talerza, było miłe, że wyciągnął koszulę ze spodni. Zauważyła te drobiazgi, choć udawała, że nic nie widzi, każdy z nich był dla niej niczym wspomnienie raj, w którym nigdy nie była.

– Może mężczyźni i kobiety podchodzą do tych spraw inaczej – odezwał się w końcu Grant. Nie rozumiała, co ma na myśli, i musiał to zauważyć po jej minie. – Do przyzwyczajania się.

– Ach, to była tylko taka nieprzemyślana uwaga. Poza tym różnica to całkiem co innego...

– Innego od czego?

Palma poczuła się przyłapana.

– Tak tylko... myślałam...

– Wiem, co masz na myśli – odparł szybko, jakby żałował, że zadał pytanie. Palma popatrzyła na swoją kanapkę, odstawiła talerz i wzięła do ręki kieliszek.

– Jeżeli chodzi o samotność, to fakt, kobiety radzą sobie z nią lepiej – stwierdziła.

– Czytałem o tym. – Grant zaproponował jej kolejny kieliszek, ale machnęła ręką. Wypiła już trzy, podczas gdy on jeszcze nie skończył drugiego.

– Nie jestem zbyt dobry, jeśli chodzi o klasyczną męskość, ale zawsze uważałem, że jestem w stanie poradzić sobie z paroma sprawami, z którymi nie umie radzić sobie większość ludzi. Nie miało to jednak nic wspólnego z radzeniem sobie z samotnością. Kiedy na mnie spadła... zrobiłem się malutki. Nie spodziewałem się czegoś takiego. Nigdy w życiu. – Przerwał, roześmiał się jakby dla dodania sobie animuszu i napił się wina. – Nie bój się. Już przestałem litować się nad sobą.

Palma wbiła wzrok w kieliszek. Było jej przykro, że nagle był zażenowany i na pewno spróbuje unikać zbyt osobistych tematów, powiedzenia czegoś, co mogłoby ją znudzić albo dotknąć. Nie chciała, aby uciekał od tematu, który skłonił go do mówienia. O niczym nie chciała rozmawiać bardziej jak o nim, chciała nawet, aby mówił o Marne. Nie uraziłoby to jej. Nie byłaby to opowieść o dawnej narzeczonej, lecz coś zupełnie innego. Grant był kimś wyjątkowym i chciała wiedzieć, co ma do powiedzenia. Chciała wiedzieć, o czym postanowił opowiedzieć, a co wybrał jako tematy do ukrycia.

– To już trzy lata jak zmarła?

– I trzy miesiące.

– Myślałeś kiedyś o tym, aby znów się ożenić?

– Z tym jest ciekawie. Przez jakiś rok wcale o tym nie myślałem, wydawało mi się, że byłoby to jak zdrada albo nawet gorzej.

Potem zacząłem ciągle o tym myśleć. Uważałem, że muszę się ponownie ożenić. Wydawało mi się, że jeżeli tego nie zrobię, to zwariuję. Zacząłem wręcz panikować pod tym względem. Sprzedałem dom, w którym mieszkaliśmy tyle lat i gdzie wychowały się dziewczyny, i przeprowadziłem się do Waszyngtonu. Do Georgetown. To było jak koszmarny dowcip. Po tylu latach małżeństwa nie wiedziałem nawet, jak się umówić z kobietą. Pomysł z chodzeniem do barów albo klubów wydawał mi się śmieszny. Nie wyobrażałem sobie siebie w takiej roli. W dalszym ciągu zapraszali mnie starzy znajomi na te same przyjęcia, na które chadzaliśmy z Marne, ale teraz byłem samotny. Zaczęli więc zapraszać samotne kobiety – jakąś wdowę albo rozwódkę. W moim wieku. Na każdym przyjęciu ktoś taki się pojawiał. Rany boskie... – Uśmiechnął się na samo wspomnienie. – To było niesamowite.

– To znaczy, że nie spotykałeś się z nikim? Grant znów się napił wina.

– Z nikim dla mnie przewidzianym. Nie z koleżankami moich znajomych.

– Czyli chadzałeś na randki? Chodzisz do dziś?

– Tak, chadzałem – stwierdził chłodno.

Palma czekała, ale Grant milczał i nie wyglądało na to, by zamierzał kontynuować.

– I zrobił się skandal... – przerwała ciszę Palma. Strzelił ku niej oczami.

– Powiem ci, co wiem – szybko odparła Palma, natychmiast za-

uważając, jakie to ryzykowne i zamiast złamania barier i zbliżenia się, może go obrazić. Pamiętała jednak słowa Garretta, że Grant już jest ponad to. Poza tym chciała, aby się dowiedział, że nie wie o wszystkim. – Była żoną chińskiego dyplomaty. Piękną kobietą. Zakochałeś się w niej po uszy. Wzięliście ślub, ale miłość szybko się skończyła. To wszystko.

– Boże drogi... – Grant nie wyglądał na zaskoczonego, przerażonego ani urażonego. – Co za magiel. Nie wiem, czy dziwić się faktem, że dotarło to aż tutaj, czy tym, że z całej historii pozostał jedynie taki szkielecik.

Zaraz po tym, jak powiedziała, co wie, postanowiła, że nie będzie dalej drążyć tematu. Jeżeli nie będzie chciał mówić, to choć niechętnie, ale da mu spokój.

– Dziwi mnie, że nie wiesz więcej – powiedział powoli Grant. – A było sporo szczegółów. – Dokończył wino i odstawił kieliszek. Wyciągnął nogi przed siebie i splótł palce dłoni. – Poznałem ją na służbowym przyjęciu FBI, takiej imprezie, na jakie nigdy nie chodziłem za życia Marne. Wtedy jednak mieszkałem w Georgetown, dziewczynki były w Nowym Jorku, rzygać mi się chciało na widok grającego telewizora, a nie byłem się w stanie skoncentrować na książce. Tak więc postanowiłem się wybrać. Wymagany był czarny krawat – nie nosiłem nic takiego od piętnastu lat – poszedłem więc do krawca i zrobił wszystko jak należy. Uznałem, że nawet jeżeli nie wydarzy się nic innego, to popatrzę sobie na ludzi, i to w przyjemniejszym otoczeniu niż lotnisko. Przyjęcie było

w Georgetown, nie miałem więc daleko. Nie minęło dziesięć minut, stałem z obowiązkowym drinkiem w jednym ręku, a drugą dłonią w kieszeni, czując się stuprocentowo nie na miejscu, jak wpadłem na gościa, którego znałem, zanim poszedłem do Quantico. Pracował akurat w kontrwywiadzie i nie widzieliśmy się od lat. Dość długo rozmawialiśmy i w końcu musiał uznać, że czas pokręcić się po sali, wziął mnie więc pod ramię i zaczął przedstawiać różnym ludziom. Między innymi przedstawił mnie Chince. – Grant pobawił się chwilę zegarkiem, poprawił pasek. Dolał sobie wina i postawił kieliszek na kolanach. – Zwaliła mnie z nóg. Prawdę mówiąc, w tamtym czasie niewiele mi było do tego potrzeba. Była żoną... pracownika chińskiej ambasady. Ukończyła uniwersytet w Pekinie, potem Oksford, miała kilka stopni naukowych i kiedy się poznaliśmy, chodziła na wykłady na uniwersytet w Georgetown. Jej męża nie było na przyjęciu i z wielką niechęcią wracam myślą do tego, jak musiałem się wtedy zachowywać. Była zupełnym przeciwieństwem Marne. – Popatrzył na swój kieliszek, jakby porównanie fizycznego wyglądu obu kobiet wymuszyło mu się niechęć i jakby żałował, że coś podobnego powiedział. – Muszę uczciwie przyznać, że gdyby ktoś wtedy spróbował nas rozdzielić, zaryzykowałbym karierę, by dalej się z nią widywać. Nikt jednak nie próbował, nikt nie wiedział, co się dzieje, a przynajmniej tak mi się wydawało. Zachowywaliśmy się jak szaleńcy, pchała nas ku sobie nieodparta siła. Nie musieliśmy wcale tego mówić i nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy. W Waszyngtonie dobiegała końca zima i jest to pora, kiedy śnieg

zdaje się trwać wiecznie, a wszyscy zaczynają niespokojnie wyglądać wiosny. Spotykaliśmy się głównie u mnie, ponieważ mieszkalem sam i jeszcze niewielu sąsiadów mnie znało. Ona była mistrzynią dyskrecji. Mieliśmy dla siebie dużo czasu. – Grant musiał z emocji przełknąć, jednak aby mieć ku temu pretekst, szybko wziął łyk wina. – Spędzaliśmy długie wieczory w łóżku, obserwując, jak zmienia się światło w pokoju, a cienie na suficie wydłużają. Byłem... całkowicie... oczarowany. W naszym związku rzeczywistość przestała istnieć. I dla niej, i dla mnie. Kiedy się spotykaliśmy – u mnie albo na weekend w wiejskim domku w Wirginii, albo nawet w hotelu – przejście przez drzwi oznaczało dla każdego z nas wkroczenie w inny czas i w inną rzeczywistość. – Grant odchrząknął. – Nigdy jej nie pytałem, jak udaje jej się wykraść tyle godzin z życia, które prowadziła beze mnie. Na wiosnę nasz romans przestał być tajemnicą. I jej, i mnie zaczął stwarzać problemy. Zaczął jej grozić proces rozwodowy, ale nie powstrzymało to nas. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak... bezwzględny. Pewnego deszczowego popołudnia – było to w połowie kwietnia – została rozwódką. Wzięliśmy ślub w ciągu następnej doby. – Grant znów się napił wina, chwilę potrzymał je w ustach i przełknął. – Przez jakiś czas, chyba przez kilka miesięcy, wszystko było pięknie. Wróciła na uczelnię, ale romans miał pozostać jedynie romansem. Była błyskotliwa, inteligentna, ale jej niepożądana gwałtowność, która mnie podniecała i... rozpałała w trakcie kradzionych, wypełnionych seksem wieczorów, obserwowana przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, okazała się czymś

całkiem innym. Była piękna, ale nie dało się z nią żyć. Miała maniakalną osobowość. Przez cały dzień siedziała na uczelni, potem przez całą noc się uczyła, chodziła ciągle do teatru, kina, muzeum. Prawie wcale nie sypiała, była w ciągłym biegu. Tryskała wesołością, wręcz euforią, co było zaraźliwe dla znajomych, przyjaciół albo... kochanków. Przy bliższym poznaniu okazywało się jednak, że w jej nieustannym zapale jest coś patologicznego, potrzeba szukania czegoś, co prawda bliżej nie określonego, ale co na pewno znajdzie się tuż za horyzontem, co będzie w kolejnym wykładzie albo w następnej książce. Albo w następnym romansie. Mimo wszystko uważam, że mnie kochała. Gdyby umiała zastopować i nieco się nad wszystkim zastanowić... Nie byłem w stanie jej zadowolić, tak samo jak nie była w stanie zadowolić jej pojedyncza książka, sztuka teatralna czy przyjaźń. Nie minęło wiele czasu, jak zacząłem się dowiadywać o jej romansach. O mało mnie to nie zabiło, ale zacząłem ją wtedy dobrze rozumieć i nie umiałem jej potępiać za coś, na co nie miała wpływu. Nic się w tym nie dało zmienić i starałem się wytrzymać, choć wiedziałem, że jestem skazany tylko na ból.

Grant chyba skończył. Co prawda przedstawił sprawę w bardzo ogólnym zarysie, ale Palma była otumaniona, wręcz zaszokowana brutalną uczciwością, z jaką opisał swoje uczucia i niewierność Chinki. Jeżeli jednak sądził, że jato zadowoli, to grubo się mylił. Jedynie wyzwolił w niej setki pytań. Zadała jednak tylko jedno.

– Kochałeś ją?

Nawet nie drgnął, przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Jego mi-

na wskazywała, że przypomina sobie tamte czasy. W końcu powiedział:

– Ponad wszystko. – Popatrzył na Palmę. – Pięć miesięcy temu, teraz to już pół roku, dziesięć dni przed Bożym Narodzeniem, wróciłem około ósmej wieczór z pracy do domu. Było już od kilku godzin ciemno. Odeszła. Zostawiła list, który miał wszystko wyjaśnić, ale oczywiście niczemu nie służył. Napisała, że ma plany i marzenia, cele do zrealizowania i ludzi, z którymi zamierza je osiągnąć. W jej odejściu było coś niesamowitego. Niczego po sobie nie zostawiła. Nie... pozostał mi po niej najdrobniejszy przedmiot. Mogłoby się wydawać, że coś zostanie, nawet przez niedopatrzenie, grzebień, który wpadł za poduszkę na kanapie, pasek w szafie lub szufladzie, skarpetka... pilniczek do paznokci. Nie było nic. A rozglądałem się. Zabrała zdjęcia, które sobie robiliśmy. Nie było nawet jednego pasma włosów. Zniknęła, jakby nigdy nie istniała. – Znów pokręcił głową. – Dziewczynki pojechały na ferie zimowe do koleżanek. Niezłe miałem święta...

Popatrzył na Palmę bez śladu maskowania swej słabości wzruszeniem ramion albo zakłopotanym uśmiechem, że powiedział zbyt wiele. Powiedział, co powiedział, prosto z mostu, ze zwykłego zdziwienia, najwyraźniej bez obaw przed okazaniem uczuć, które nadchodzą po tragedii, kiedy człowiek już jest wyprany ze smutku oraz zmęczony cierpieniem i pierwsze oznaki obiektywizmu zaczynają zabarwiać pamięć oraz to, czego się doświadczyło. Wyglądało na to, jakby czuł ulgę, że miał teraz okazję opowiedzenia o sobie, i Palma

podejrzewała, że jeszcze nigdy tyle o tej sprawie nie powiedział.

– Co twoje córki sądzą o waszym małżeństwie?

Tym razem Grant się uśmiechnął, aczkolwiek nieco smutnawo.

– Traktowały je jak coś, czym faktycznie było. Widziały swoją macochę kilka razy. Nie powiem, by jej nie lubiły, po prostu wiedziały instynktownie, że to się musi zakończyć katastrofą. To były pierwsze święta od ich urodzenia, których nie spędziliśmy razem. Nie powiedziałem im, że odeszła. Nie mówiłem im o tym przez dwa miesiące. Dopiero niedawno zrozumiałem, dlaczego akurat wtedy pojechały na Boże Narodzenie do koleżanek. Półtora miesiąca przedtem odwiedziliśmy dziewczynki w Nowym Jorku i pewnie wtedy musiały wyczuć, że nasz związek się rozpada. Ulotniły się, bo chyba uznały, że będzie najlepiej, jeżeli nie będę miał świadków, jak wszystko mi się rozpieprzy. Znają mnie dobrze i miały rację. Jeżeli człowiek robi z siebie idiotę na wielką skalę, potrzebuje trochę czasu, aby wylizać rany. Porozmawiać z sobą samym, połapać zerwane oczka w delikatnej tkaninie, jaką jest psychika.

– I tak zrobiłeś?

Jeszcze to robię. Nie jestem tak odporny jak dawniej. – Parsknął niewesoło. – Ba, nigdy nie byłem tak odporny, jak sądziłem. Przez dwadzieścia trzy lata byłem uzależniony od Marne. Emocjonalnie uzależniony. Podświadomie chyba zdawałem sobie z tego sprawę, ale nigdy się do tego nie przyznawałem. Traktowałem ją jak coś oczywistego. Moja praca, ludzie, którymi się zajmuję, są tak cholernie dziwaczni, że człowiek bardziej niż czegokolwiek innego potrze-

buje stabilności psychicznej. Pragnie się normalności, potrzebuje jej, a Marne była moim stabilnym drugim „ja”. Angażując się w pracę, wczuwając w groteskowe umysły przez tak długo, że zaczynały mi drżeć ręce i nie mogłem się opanować, mogłem wrócić do domu, dać Marne potrzymać się za dłonie i wiadomo było, że wszystko będzie dobrze. Dopóki była, zawsze wiedziałem, że nie przekroczę granicy, zza której nie będę miał powrotu, zza której nie będzie mogła mnie ściągnąć. Nigdy nie musiałem się obawiać, że straci poczucie kierunku, kiedy jednak zmarła, musiałem się nauczyć nawigacji. Jak dotąd popełniłem masę błędów... ale coraz lepiej mi idzie. – Grant przerwał i popatrzył na Palmę. Przez krótki moment zdawał się nie tylko na nią patrzeć, ale po raz pierwszy naprawdę ją widzieć. Miała wrażenie, że jego wzrok dotyka jej twarzy jak opuszki palców niewidomego, zapamiętuje płaszczyzny i nierówności, krzywizny i strukturę twarzy. Po chwili to minęło i już tylko patrzył jej w oczy. – Poproszę jeszcze kieliszek. – Dołał sobie i podniósł butelkę pod światło. – Jeszcze trochę zostało. Co ty na to?

Palma kiwnęła głową i wbrew rozsądkowi wyciągnęła rękę z kieliszkiem. Nalawszy jej, Grant oparł się o kanapę i uśmiechnął pod wąsem.

– Dobrze, że zadałaś mi te pytania.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Zaczął, jakby to był tantryczny rytuał. W końcu było to powtórzenie tego, co odprawiano w tajnej sekcje Yratya – świętych nierządnic – przed *lingam-joni*, połączonym symbolem fallusa i genitaliów kobiety. Pamiętając o wielkiej duchowej energii kobiet, mężczyźni zdawali sobie sprawę, że mogą osiągnąć boskość jedynie poprzez seksualną i emocjonalną jedność z kapłankami Yratya. Właśnie to teraz robił. Jeszcze nigdy przedtem nie istniało tak idealne ucieleśnienie *lingam-joni*.

Była to jednak tylko ulotna fantazja i choć dokładna, to jednak tylko ekstrapolacja jego uczuć. Przy jego umiejętnościach niemal nie istniało nic, co mówił, widział albo robił, a nie miało mitycznego znaczenia. To, co robił teraz, było też idealnym przykładem na historyczność idei. Carl Gustav Jung mówiąc o animie powiedział, że każda matka i każda kochana kobieta jest zmuszana do bycia nosicielką i ucieleśnieniem tego wszechobecnego i ponadczasowego wyobrażenia, zawartego w naturze mężczyzny. Ów archetyp Kobiety jest w nim – żeńska część natury mężczyzny reprezentuje lojalność, bez której w interesie życia czasami musi się obyć, jest mu ona tak potrzebną przeciwwagą tej części ryzyka, walki i poświęceń, które przyniosły rozczarowanie, to ona jest pociechą za gorycz życia.

To wszystko było naprawdę zbyt doskonałe.

Sięgnął po pękaty słoik podkładu pod makijaż, wetknął w niego palec i zaczął rozprowadzać gładką masę pod oczami. Oczy były

bardzo ważne, może wręcz najważniejsze. Mówiono, że samym otwieraniem i zamykaniem oczu wielka bogini Sjakti może spowodować pojawianie się i znikanie wszechświatów. U syryjskiej bogini Mari oczy służyły do wnikania w głąb męskich dusz. Potęga oczu. Delikatnie, ostrożnie wmasowywał podkład. Oczy są bardzo delikatne.

Teraz pianka gruntująca. Spędził wiele czasu na poszukiwaniu odpowiedniej – na tyle delikatnej, aby pasowała do jego odcienia skóry, i wystarczająco kryjącej, by ukryć kontrastujące ciemne linie. Przez lata wprowadzono na tym polu wiele nowości, zarówno kremów, płynów, jak i pianek, ale do jego potrzeb najlepsza była pianka – akurat ta. Jej nałożenie też zabierało sporo czasu, ale z innych powodów. Musiał nałożyć ją daleko w głąb dekoltu, w odróżnieniu od wielu kobiet nie mógł skończyć odrobinę za krawędzią szczęki – ze względu na kolor. Bardzo dokładnie rozprowadzał piankę na czole i skroniach, wklepał odrobinę na skraju włosów.

Teraz podkład na powieki, aby cienie się nie przebarwiały.

Puder. Przezroczysty z połyskiem. Odrobinka dla podkreślenia makijażu. Pędzel tańczył wokół oczu, po policzkach, nosie, brodzie, musnął kąciaki ust. Niby nic, a jaka różnica.

Róż w pudrze. To jego ulubiony moment, przywracający nowej twarzy życie, ożywiający przemianę, nadający jej ducha. To czynność wymagająca wielkiej delikatności, efektem miał być bowiem pąs, a nie rumieńce rozgorączkowanej kurwy. Wiele kobiet właśnie w tym momencie zmienia się w dziwki. Uważają, że jeżeli trochę

jest dobrze, to więcej będzie lepiej. Nie – tu potrzebna jest delikatność.

Cień do powiek. Ile tu subtelności barw, odcieni, głębi kolorów i półtonów. Celem był pastelowy rysunek, przypominający stary film. Nie rzecz sama w sobie, lecz jej sugestia. Jeżeli obserwator najpierw zwraca uwagę na cień do powiek, oznacza to, że jest źle położony.

Konturówka do oczu. Szukał długo, zanim znalazł odpowiednią – z maleńkim miękkim pędzelkiem, który poprzez obracanie można było zwinąć w cienki jak igielka szpic. Włoski – tak cienkie i delikatne, że sunęły jak jeden – pozostawiały tuż przy gałce ocznej równą ciemnobrązową linię.

Tusz do rzęs. W tym nie ma nic wymyślnego. Wystarczy jeden płynny ruch szczoteczką po rzęsach i już są odpowiednio wygięte.

Kobieta już prawie istniała, niemal ją odtworzył. Z każdym drobnym ruchem coraz bardziej przepelniało go dobre samopoczucie i głęboki spokój, których nie próbował analizować. Po prostu przyjmował oba zjawiska, był za nie wdzięczny i traktował je jako szczególny dar płynący z głębin jego psychiki. Zniknęło przekleństwo, które gnieździło się tam od tak wielu lat. Pojawiająca się kobieta była tkwiącą w głębokich regionach jego animy częścią jego samego. Kiedyś walczył z jej chaosem. Bronił się przed nim i umierał z bólu, a próbując zrozumieć – cierpiał. Teraz jednak przekleństwo zniknęło.

Wziął srebrny grzebień i utapirował blond włosy, rozluźnił je

wokół twarzy. To, co dziś zrobił, było szczególnie udane. Widok mu się podobał. Niemal się uśmiechnął.

Wstał powoli i popatrzył na nowy francuski rozciągliwy biustonosz z wyszukаныmi koronkowymi wstawkami, który miał na sobie. Kupił rozmiar z najmniejszymi miseczkami i przez ciemną koronkę widział swoje sutki. Wykorzystanie opinającej ciało bielizny było eksperymentem, okazało się znakomitym. Stał bokiem do lustra i przyjrzał się swoim pośladkom i muskularnej klatce piersiowej, wypełniającej biustonosz. Wysunął do przodu nogę i zgiął ją w kolanie w doskonale wyuczonym geście skromności. Jezu, ale był zadowolony. Obserwując się, skłonił tułów do rogu łóżka i wziął stamtąd pas do pończoch – szarosrebrzysty, w kolorze jakiego szukał wieki. Wyrównał go i oglądając się cały czas w lustrze, włożył pierwszą nogę w pas. Kiedy się schylał, na twarz opadł mu seksownie sprężysty lok. Odrzucił go do tyłu szybkim ruchem głowy – uwielbiał to – i wszedł w pas drugą nogą. Podciągnął go do bioder i wyrównał.

Usiadł przed komodą i obserwując się cały czas w lustrze, wsunął palce stopy w pończochę. Przyglądał się, jak pończocha stopniowo obejmuje nogę, ciemny jedwab otacza ją powoli niczym gęsty płyn, aż do uda. Nie odwracając na sekundę wzroku od lustra, poprawił obydwoma rękoma pończochę i zapiął ją – najpierw z przodu, potem z tyłu.

Druga noga została ubrana błyskawicznie – w końcu miał lata doświadczenia. Pierwszą pończochę wkładał tak długo tylko dlatego,

że lubił oglądać swe płynne ruchy i ponieważ nigdy, przenigdy nie znudzi mu się dotyk jedwabiu na wyprostowanej nagiej nodze.

Wstał szybko, podszedł do łóżka i zdjął z wieszaka sukienkę. Na dzisiejszy wieczór wybrał prostą spódnicę z gniecionego jedwabiu i odpowiedni żakiet z lekko wutowanymi ramionami. Na przodach marynarki i jej dolnym skraju były nadrukowane białe tropikalne liście. Włożył spódnicę, potem żakiet i zapinając go, podszedł do lustra garderoby. Już przedtem zdecydował się na naszyjnik ze skręconych spiralnie sznurów białych i czarnych pereł, teraz szybko zapiął go na szyi. Przekrzywiając głowę to na jeden bok, to na drugi, wpiął w uszy wielkie kolczyki z pereł otoczonych drobnusieńkimi kawałeczkami onyksu. Na koniec włożył czarne trzewiki z cielęcej skóry na niskim obcasie. Wziął leżącą na komodzie torebkę z miękkiej skóry do noszenia pod pachą i ostatni raz popatrzył na siebie w lustrze. Widoczna w nim kobieta bardzo mu się podobała. Ponieważ po raz pierwszy tego dnia czuł się swobodnie, wolny od lęków i napięć, doktor Dominick Broussard pozwolił sobie na uśmiech do lustra, odwrócił się i ruszył na dół. Przejedzie się kawałek, wypije w jakimś słabo oświetlonym klubie kilka drinków i będzie się cieszył niemożliwym do opisanego wrażeniem, że po prostu jest sobą. Potem wróci do domu na kolację.

Jadł, oczywiście sam, kolację, którą Alice przygotowywała mu zawsze w sobotę rano, przed wyjściem na weekend do domu, dokładnie w południe. Odgrzał posiłek w kuchence mikrofalowej – zawsze była to obfita kolacja, dziś: cielęcina po baskijsku

z delikatnie gotowanymi warzywami – i postawił go na stole zastawionym rano też przez Alice. Czuł się znakomicie, więc otworzył drzwi na taras, zapalił świece i jedząc, obserwował opadający w dół trawnik i światła miasta, migoczące za czarnymi drzewami na przeciwległym brzegu. Choć dopiero przestało padać, było dość duszno, na szczęście nie tak gorąco. Właściwie na tyle ciepło, aby podkreślać tropikalny nastrój wieczoru. Włożył do zmieniacza kilka płyt z brazylijską muzyką – swoje ulubione rytmy i kobiece głosy – Alcione, Gal Costę, Elis Reginę.

Więcej pił, niż jadł, kiedy jednak miał już dość cielęciny po baskijsku, wziął butelkę Santa Sofia Valpolicella oraz kieliszek i wyszedł na taras, gdzie usiadł przy stolicku z kutego żelaza. Założył nogę na nogę, a kiedy podciągnął skraj spódnicy za kolano, poczuł na udach ciepłe powietrze, dotykające nagiej skóry między szczytem pończochy a dolnym brzegiem majtek. Kręciło mu się już trochę w głowie od wina. Podniecało go i przepelniało radością, że siedzi w ciemności, białe liście na materiale luksusowego ubrania obejmują go jak drobne dłonie, a głosy ciemnoskórych Brazylijek szemrzą i falują, toczą się, opadają i płyną w dal, może nawet dolatują do migoczących w oddali światła.

– Dominick!

Gwałtownie otworzył oczy i w tej samej chwili niemal stracił przytomność. Kobiece wołanie zadziało jak cios pałką w łeb.

– Dominick? – Tym razem był to zachrypły, pytający szept.

Próbował się zmusić do panowania nad sobą. To nie był sen.

Boże... Kieliszek wyslizgnął mu się z ręki i rozprysnął na tarasie. Zamarł. Brazylijskie głosy zniknęły i słyszał jedynie bicie własnego serca oraz świerszcze w zalewisku. Uważała, że Dominick to on, czy sądziła, że jest z Dominickiem, który stoi gdzieś na tarasie?

– To ja, Mary – znów odezwał się głos.

Jeszcze nie było jej widać zza otaczających taras krzaków. Dlaczego nie wychodziła zza nich? Uważała, że w czymś przeszkadza? Był jak skamieniały, nie mógł nawet odwrócić ku niej głowy, rozpoznawał jej ruchy jedynie po głosie. Próbować się z tego wykręcić?

Broussard opuścił nogę i poczuł pod cienką podeszwą okruchy szkła. Pożałował, że wypił tyle wina, bowiem nie mógł być teraz pewien swoich ruchów. Nie był pewien, że bez względu na to, co miałyby to być, zrobi to dobrze. Czy wyglądał na pijanego? Jak wyglądał? Co o nim myślała?

– Przepraszam, ale wiedziałam, że nie ma Alice i... zobaczyłam światło i poszłam wzdłuż muru. Pomyślałam, że może pana stąd zobaczę...

Nie był w stanie się poruszyć. Jego umysł był... pusty.

– Nie... nie obchodzi mnie... jeżeli... jest pan przebrany.

Boże Wszechmogący! Co za dziwne słowa. Ciekawe, jak długo tu była.

– W najmniejszym stopniu...

Cóż za dziwna reakcja na to co widzi. Próbował sobie wyobrazić, co widziała. Jego duch opuścił ciało i popłynął do miejsca, gdzie stała, i popatrzył na siebie – siedział wyprostowany jakby kij po-

łknął, zaciskał dłonie na poręczach żelaznego fotela, w blond peruce na głowie, wręcz fosforyzującej w ciemności.

– Nie będzie panu przeszkadzać, jeżeli wejść?

Nawet Bernadine nie widziała go „w sukni”. Mimo tylu lat zwariowanego seksu, nawet po tym jak przyszła do niego w męskim garniturze i z przypiętym sztucznym członkiem. Nawet wtedy, nawet po tym...

– Wchodzę – powiedziała z wahaniem.

Nie był w stanie wykrztusić słowa protestu. Pomijając, że nie wiedział, jakim miałby się odezwać głosem. Serce waliło mu tak mocno, że w każdej chwili oczekiwał, iż wybuchnie, a uszami tryśnie mu krew.

Jeszcze chwila i było za późno. Kątem prawego oka dostrzegł ruch na schodach za plecami. Miała na sobie jasną sukienkę do połowy łydki, chyba beżową, zapinaną na całej długości na guziczki i dzięki temu pozwalającą jej pokazać tyle nogi i biustu, na ile miała ochotę. Postawiła stopę na najniższym stopniu i uznał, że pokazuje dość sporo i jednego, i drugiego. Kiedy przyjrzał się dokładniej, powoli dotarło do niego, że wygląda na nieco rozkojarzoną, jest w niej coś wręcz niesamowitego. Miała nieco potargane włosy i bez dwóch zdań otaczała ją aura szaleńczej niepewności.

– Nie obchodzi mnie... nie obchodzi mnie pańska sukienka – powiedziała kładąc śliczną dłoń na poręcz i wchodząc na drugi stopień. – Muszę z panem porozmawiać... wiem, że to niegrzeczne, ale dziś po południu nie skończyłam... musieliśmy przerwać... przerwa-

no nam.

Nawet gdyby Broussard żył tak długo jak Tejrzejasz i miał się przemieniać z jednej płci w drugą i z powrotem, nigdy nie zapomniałby tej chwili.

– Widziałam się dziś z kimś... – powiedziała wchodząc na następny stopień. – Powinnam była powiedzieć... powiedzieć panu... więcej o dziewczynce, rozumie pan, o sobie i... jak to wygląda, nawet teraz. Kłamałam, a raczej to było niczym kłamstwo, ponieważ nigdy nie... prawda nie wyszła na jaw.

Weszła na następny stopień, poruszała się teraz z mniejszym wahaniem, szybciej. Broussard w dalszym ciągu siedział skamieniały, a musiał w końcu wydać z siebie jakiś dźwięk.

– To jednak nieważne – odezwała się znowu. – To kłamstwo. Wszystko mi jedno... od początku do końca... wszystko... jedno...

Brakowało jej do końca schodów jednego stopnia, była nie dalej jak pięć metrów, wystarczająco blisko, aby Broussard mógł wyraźnie widzieć jej twarz i wysiłek, z jakim stara się nad sobą panować. Jej sukienka była zrobiona z bawełnianego dżerseju, miała piękny krój – takich rzeczy Mary Lowe posiadała pełne szafy.

Podeszła jeszcze bliżej i teraz doskonale widział jej twarz w padającym zza jego pleców świetle. Stała tuż przed nim i spróbowała się uśmiechnąć, ale zadrżały jej policzki. Próbował odczytać wyraz oczu Mary, odgadnąć, co o nim myśli.

– Błędy są nieuniknione – powiedziała nie wiadomo dlaczego. Tak samo bez powodu skinął głową. – Jak długo, pańskim zdaniem,

powinnam była wpuszczać go co noc do swojej sypialni? – Powoli uklękła i podeszła do niego na kolanach. Złapała kraj jego spódnicy i zaczęła podciągać ją do góry. – Do dwunastych urodzin? Aż skończyłam trzynaście lat? Czternaście? – Podciągnęła mu spódnicę do skraju pończoch, do pasa od pończoch, do majtek, w końcu do talii. – Do piętnastego roku życia?

Broussard zaczął się gotować wewnątrz. Ile razy marzył o tym i tęsknił, aby coś takiego się stało, aby to ubranie – gładki jedwab, nylon i koronki, drobne prążkowane majtki, zatrzaski i zameczki – zaczęło zdejmować z niego jak teraz. Czuł, jak pas do pończoch przestaje uciskać nogi, jej palce wślizgują się w pończochy i ściągają je jak skórę, a powietrze znad zatoki obejmuje jego nagie uda.

Zamknął oczy, oko wyobraźni śledziło jednak zdejmowanie pasa i majtek. Był zachwycony wyobrażeniem, jakim widokiem musiała być dla niej jego mina.

– Do szesnastego roku życia? Do siedemnastego?

W tym momencie od pasa w dół istniało w nim już tylko podniecenie.

– Była jednak jeszcze jedna niespodzianka. – Jej głos się przesunął i Broussard otworzył oczy. – Nastąpiła... miałam dwanaście lat, ciągle dwanaście lat... najgorsza rzecz. Najgorsza z najgorszych.

Stała przed nim i zaczęła się rozbierać. Kiedy odpięła ostatni guzik sukienki, jej oczy wpiły się w niego w podobny sposób, jak robiła to Bernadine, tak jak lubił – szeroko otwarte na to, co będą

robić. Nieznacznym ruchem białych ramion odrzuciła sukienkę na ziemię i stała przed nim tak, jak wyobrażał ją sobie niezliczoną ilość razy. Ciało miała idealne, nieskalane. Nieskalane jak sama śmierć.

Podeszła jeszcze bliżej, położyła mu dłonie na barkach, aby stać pewnie, uniosła nogę i przełożyła ją pod poręczą fotela, potem szybko zrobiła to samo z drugą nogą i stojąc tak nad nim, na chwilę zamarła.

– Najgorsze polegało na tym – odezwała się ponownie, wzięła jego męskość do ręki i powoli zaczęła przysiądać. Nachylała się przy tym, aż poczuł na sobie jej pełne piersi i przyłożyła mu usta do ucha. Oddech miała ciepły, cieplejszy od powietrza znad zatoki. – Najgorsze zdarzyło się tej nocy kiedy... tatuś przyszedł do mnie do łóżka... i spodobało mi się...

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Niedziela, 4 czerwca

W sobotni wieczór Ben Taub General Hospital, największy dobroczynny szpital w mieście, znajdujący się na północnej granicy Texas Medical Center, przypomina linię frontu. W każdą sobotę. Janice Hardeman, instrumentariuszka na jednej z sal operacyjnych ostrego dyżuru, już od pięciu lat pracowała po pięć razy w tygodniu na nocnej zmianie. Przez ten czas widziała wiele nieszczeńć, ale satysfakcja z pomagania ludziom z nawiązką rekompensowała jej wysiłek i stres, jakiego doznawała na widok ran.

Do trzeciej nad ranem Janice Hardeman asystowała przy operacji pewnej dwudziestodwulatki, celem usunięcia z lewej piersi kolca do lodu, którego czubek przeszedł przez płuco i zatrzymał się półtora centymetra od zewnętrznej ściany prawej komory serca, a potem przy nieskutecznej próbie ratowania życia kobiety, która otrzymała postrzał w brzuch z rozerwaniem trzustki i jednej z tętnic w brzuchu. Miała za sobą bieg długimi, czystymi szpitalnymi korytarzami obok łóżka na kółkach, z kciukiem prawej ręki w rozplatanym gardle leżącego na nim mężczyzny, aby powstrzymać krwawienie z zewnętrznej tętnicy szyjnej, uczestniczyła przy porodzie uzależnionego od kokainy noworodka, który przyszedł na świat za pomocą cesarskiego cięcia, podczas gdy jego matka umierała w wywołanych crackiem drgawkach, brała udział w amputacji prawej ręki czterolatka, zmiażdżonej w wypadku samochodowym, a teraz szła do domu –

wcześniej niż zwykle, ponieważ zaczęła jej się miesiączka i wiedziała, że skurcze, które zaraz nadejdą, a które po raz pierwszy pojawiły się jakieś cztery, może pięć miesięcy temu, nie pozwolą jej ustać na nogach.

Kiedy szła po wypastowanej podłodze, jej pantofle głośno skrzypiały. Wyszła z dyżurki z radością, że nie jest matką chłopca i nie ona będzie mu musiała rano powiedzieć, co się stało z jego ręką. Martwiły ją te skurcze. Zawsze miała lekkie miesiączki, z wiekiem stawały się jednak coraz boleśniejsze. Skurcze trwały od osiemnastu do dwudziestu godzin – dokładnie to zapamiętała – i były niezwykle silne. Przynajmniej takie miała wrażenie, nie miała bowiem skali porównawczej.

Kiedy wychodziła ze szpitala tylnymi drzwiami, odór gorącego asfaltu i oleju silnikowego natychmiast zastąpił szpitalne opary alkoholu i środków dezynfekcyjnych. Ze śmietników, stojących przy drugim końcu budynku, dochodził smród zgnilizny i Janice poczuła mdłości. Ironia sytuacji spowodowała, że aż się roześmiała. Przez ostatnie sześć godzin wdychała smród krwi i wymiocin, moczu i kału, a nie wytrzymała zapaszku gnijących owoców.

Przeszła szybkim krokiem przez parking, stanęła przy samochodzie i zaczęła szukać w torebce kluczyków. Zazwyczaj pamiętała o tym, że należy mieć je w rękę już przy wyjściu z budynku, aby uniknąć stania na pustym parkingu, ale dziś o tym zapomniała. Chłopiec i skurcze w brzuchu zaburzyły jej koncentrację. Zbliżał się świt, powietrze było chłodne i Janice pomyślała, jakie to szczęście,

że może codziennie doświadczać tych wczesnoporannych godzin. Widząc miasto o tej porze, można niemal zrozumieć jego istotę. Widok milionów światełek migoczących na pobliskich wieżowcach pozwala inaczej wyczuć miasto. Nie zawsze jest surowe, zagonione, wstrętne i gorące. Nie zawsze jest bezlitosne.

Wsiadła do samochodu, zamknęła drzwi, opuściła po kilka centymetrów boczne szyby i ruszyła w kierunku domu. Mieszkała sama, na południowo-wschodnim skraju West University Place. Niedawno rozstała się ze swoim chłopakiem i na razie cieszyła się odzyskaną wolnością oraz tym, że nie musi się ciągle natykać na jego (czyste i brudne) ubrania, książki, płyty, grzebienie, skarpetki, ulubione ciastka, rower albo płatki śniadaniowe. Wszystko znów należało tylko do niej i wiedziała, gdzie co kładzie i dlaczego. Jeżeli poczuje się samotna, zaprosi kogoś albo pójdzie do przyjaciół, nie musząc się martwić, że on będzie się tam czuł nie chciany albo czy się pokłóca, albo czy zacznie być nieuprzejmy, ponieważ tak naprawdę nie miał ochoty iść, a jedynie nie potrafił zostać w domu i zająć się sobą. W skrócie – znów cieszyła się przyjemnościami płynącymi z bycia sobie sterem, żeglarzem...

Kiedy wjechała w ulicę, przy której mieszkała, gazeciarsz właśnie rozrzucał prasę po wilgotnych ogródkach. Od czasu do czasu rozlegał się cichy łoskot, informujący, że paczka gazet znów niechcący trafiła w drzewo albo wylądowała na schodach werandy. Wjechała na swój podjazd, wysiadła i zamknęła samochód. Czując w kościach zmęczenie, ruszyła w kierunku wejścia, po drodze pod-

niosła gazetę i po chwili stała przy frontowych drzwiach niewielkiego drewnianego domku. Był pomalowany na jasnozielono z ciemnozielonymi szlaczkami wokół okien, osłanianych przed upałem też ciemnozielonymi markizami. Spłacała hipotekę z własnej pensji, tak samo raty za zamontowanie kilku energooszczędnych urządzeń. Trawnik kosiła zawsze sama. Była dumna ze swego domu i lubiła mieszkać w tej okolicy.

Otworzyła drzwi, weszła do środka, zrzuciła z nóg białe służbowe pantofle i rzuciła gazetę na stojącą w głębi salonika kanapę. Za kilka godzin usiądzie na niej i przeczyta gazetę – z ciastkiem cynamonowym z pobliskiej piekarni w dłoni i kubkiem mocnej kawy. Teraz jednak najbardziej był jej potrzebny długi, gorący prysznic i dużo mydła, aby zmyć z siebie zapachy, którymi nasiąkała w pracy, a potem kilka godzin snu w chłodnym łóżku.

Rozpięła bluzkę uniformu i przeszła krótkim korytarzem do sypialni. Kiedy wyciągnęła dłoń, by zapalić światło, doleciał do niej zapach perfum – nie jej perfum. Poczowała ziać na karku, jakby dotknięto ją lodowatą brzytwą, w tym samym niemal momencie palec skończył ruch i żyrandol rozświetlił się, ukazując leżące na łóżku nagie, blade zwłoki kobiety, wymalowanej na twarzy jak groteskowa lalka, o wybatuszonych, wielkich oczach i zakrwawionych piersiach, ułożonej w dziwacznie elegancki, porządny sposób.

Cóż za wyszukany horror...

Telefon zadzwonił cztery lub pięć razy, nim Palma odzyskała przytomność i sięgnęła po słuchawkę. Wyciągając dłoń, zauważyła,

że jest za pięć czwarta.

– Carmen, słucham.

– Twój człowiek znów zaatakował – oznajmił porucznik Corbeil.

– Jezu... – Czuła suchość w ustach, a słowa Corbeila wywołały nudności. – Co... z Reynoldsem?

– Nie ruszał się.

Palmie wreszcie udało się przelknąć.

– Nie ruszał się z domu? A... Broussard? Też miał ogona?

– Miał. Też nigdzie nie wychodził.

– To pewne? Kto się nim zajmował?

– Martin i Hisdale, a nie sądzę, by można było wątpić w ich...

– Boże, Arvey, to było zwykłe pytanie!

Palma nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że to ani Reynolds, ani Broussard.

– Jest jeszcze jedna dziwna sprawa z twoją ofiarą – dodał Corbeil. Palmę denerwowały hasła „twój człowiek i „twoja ofiara”. Czemu to miało służyć? – Ofiara nie mieszkała w domu, w którym ją znaleziono. Dom należy do samotnej kobiety, pielęgniarki, która znalazła ją jakieś dwadzieścia minut temu po powrocie z nocnej zmiany w szpitalu.

– Nie zna ofiary? – Palma usiadła na skraju łóżka, wbiła wzrok w pognicioną sukienkę, którą miała na sobie, i zaczęła usilnie próbować przypomnieć sobie miniony wieczór.

– Nie wie, czy ją zna. Przy tym makijażu nie jest w stanie tego

stwierdzić. Blane trzy tysiące dwadzieścia sześć. Praktycznie podwórko obok ciebie.

– Jezu... – powtórzyła Palma. – Dobra, wezmę prysznic i jadę.

– Wiesz może, gdzie jest Grant? Dzwoniłem do niego do hotelu, ale nie podnosił.

– Nie wiem. Próbuj dalej.

Odłożyła słuchawkę i przeciągnęła palcami przez włosy, przeklinając impertynencję Corbeila. Cóż, może jej się tylko tak wydawało. Wstała powoli i poszła do łazienki, umyła twarz zimną wodą i zeszła na dół. Na stole w salonie jeszcze stały talerze po ich kolacji. Poszła do pokoju gościnnego. Drzwi były otwarte, więc weszła, zastając Granta przy umywalce – w spodniach, bez koszuli. Mył się.

– Słuchałem przez telefon na dole – wyjaśnił. – Będę za kilka minut gotów. Popatrzyła na niego. Po chwili odwrócił się i też na nią popatrzył.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Aha... – odmruknęła. – Nie pamiętam, jak szłam do łóżka.

– Zaniosłem cię na górę – odparł, jakby nie było w tym nic szczególnego, ale szybko się odwrócił do lustra. – Odjechałaś.

– Straciłam przytomność?

– Powiedziałbym raczej, że zasnęłaś.

– Chyba niezbyt mi służy alkohol...

– Przepraszam, że spałaś w ubraniu – powiedział Grant, wyszedł z łazienki i wziął z krzesła przy łóżku koszulę. Widać było, że spał w niej. Zwróciła uwagę na jego potężną klatkę i atletyczne bar-

ki. Szybko włożył koszulę i zaczął ją zapinać. – Pomyślałem, że...
wolałabyś...

Palma kiwnęła głową.

– Jasne – odparła dość głupio. – Potrzebuję dwóch minut na przebranie się. – Powiedziawszy to, odwróciła się i wyszła.

Blane Street nie znajdowała się tuż obok Palmy, jak się wyraził Corbeil, a osiemnaście przecznic dalej. Tak jak w przypadku zabójstwa Bernadine Mello w Hunters Creek, lokalna policja wiedziała o seryjnych zabójstwach i natychmiast zawiadomiła wydział zabójstw policji Houston. Pomijając radiowozy, Palma i Grant byli pierwsi na miejscu zdarzenia.

– Stań tutaj – poprosił Grant i Palma podjechała do krawężnika kilkadziesiąt metrów przed domem. Grant szybko wysiadł i ruszył dalej na piechotę. Podszedł do mundurowego, który rozciągał właśnie żółtą plastikową taśmę, i przedstawił się. – Czy ktoś jest w środku?

– Jeden oficer, pilnuje domu w korytarzu, tuż za drzwiami wejściowymi. Pierwsza na miejscu była oficer Saldana, która siedzi w tamtym radiowozie razem w właścicielką domu.

Grant skinął głową.

– Sądzę, że powinno się zagrodzić ulicę. Może na dwie długości samochodu przed i za domem. Proszę zabrać radiowozy poza zagrożony teren. Możliwe, że sprawca przyjechał samochodem, może przy wysiadaniu coś wyrzucił. Nie chcę, żeby cokolwiek tędy jeździło, dopóki nie przeszukamy dokładnie okolicy.

Zaczęły się zjeżdżać kolejne radiowozy i Grant razem z mundurowym zaczęli je zatrzymywać. Palma podeszła do policyjnego auta na podjeździe, stojącego za zaparkowanym tam cywilnym samochodem. Miał pootwierane drzwi, zapalone w środku światło tworzyło w mroku jasny pęcherz. Palma stwierdziła, że siedzący w wozie funkcjonariusz to kobieta, a siedząca obok postać ma na sobie uniform pielęgniarki. Podeszła i poprosiła policjantkę na zewnątrz. Mocno zbudowana oficer Saldana była meksykańskiego pochodzenia, włosy miała związane w praktyczny koński ogon i robiła wrażenie kompetentnej.

Przekazała Palmie, że właścicielka domu nazywa się Hardeman, podała, gdzie pracuje, i przedstawiła okoliczności znalezienia ciała. Potwierdziła, że Hardeman nie rozpoznaje zamordowanej i twierdzi, że kiedy przyszła do domu, drzwi były zamknięte. Dodała, że kiedy przyjechała na wezwanie i zauważyła, o co chodzi, wyprowadziła Hardeman do samochodu i zamknęła dom. Nawet nie sprawdzała, czy przy ofierze leży torebka z dokumentami. Palma właśnie dziękowała jej za pomoc, kiedy podszedł Grant i we dwoje ruszyli w kierunku drzwi wejściowych. Porozmawiali chwilę ze stojącym tam policjantem i weszli do środka.

Palma szybko się rozejrzała po saloniku. Okna były szeroko pootwierane, temperatura wewnątrz zdążyła się więc dopasować do porannego chłodu. Ponieważ powietrze w środku nie było filtrowane, wilgoć uwydatniała zapachy – cierpki odorek starych mebli i woń zamieszkiwanego od dłuższego czasu domu, tak niepowtarzal-

ną jak odciski palców. Hardeman nie była nadmiernie pedantyczną gospodynią, na pewno nie tak dokładną jak Dorothy Samenov ani tak skrupulatną jak służąca Bernadine Mello, która natychmiast podnosiła rzucaną przez chlebobawczynię odzież, mimo to nie można było powiedzieć, że dom jest nieporządkny albo źle utrzymany. Po prostu wszędzie widać było ślady zamieszkiwania i to przez osobę o nastawieniu: „Zaraz się tym zajmę”.

Kiedy szli korytarzem do sypialni, żołądek Palmy ścisnął się w oczekiwaniu tego, co zastaną. Już stając w drzwiach poczuła zapach perfum i niemal w tym samym momencie ujrzała bladą postać – tak samo ułożoną jak w trzech poprzednich razach. Ponieważ znali na wylot metodę działania sprawcy, natychmiast zaczęli szukać powtarzających się elementów oraz wszelkich odchyłeń.

Sypialnia była nieduża, łazienka nie znajdowała się bezpośrednio obok przy niej, lecz w korytarzu za rogiem. Niemal całą jedną ścianę zajmowała duża szafa bez drzwi, tak że od razu widać było szereg ubrań. Naprzeciwko łóżka stała długa, niska komoda, w rogu obok niej leżała sterta zrzuconej z łóżka pościeli. Łóżko było odsunięte mniej więcej półtora metra od rzędu okien, na wolnej przestrzeni stał stary fotel z pociemniałego drewna. Wyglądał na miejsce do odkładania lektury, był bowiem zarzucony czasopismami i książkami. Na wierzchu piętrzącej się sterty leżało pieczołowicie poskładane kobiece ubranie. Po drugiej stronie łóżka stał niski stolik, tani imitowany pseudoantyk z marmurowym blatem i półką poniżej. Stały na nim telefon, budzik i pudełko chusteczek.

Podeszli do łóżka. Grant zamarł z rękami w kieszeniach i zmarszczył czoło w zastanowieniu. Pierwszy przerwał ciszę.

– Sandra Moser miała trzydzieści cztery lata, Dorothy Samenov trzydzieści osiem, Bernadine Mello czterdzieści dwa. Sądziłem, że to coś znaczy, ponieważ każda ofiara była starsza, ale ta wygląda na dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery.

Palma poczuła coś dziwnego. Ciało wydało jej się znajome, długie nogi coś przypominały, było coś w kroczu... w kolorze włosów łonowych... Popatrzyła na włosy na głowie. Nie był to naturalny blond, miał piaskowy, lekko różowawy odcień, wpadający w imbir.

– Boże drogi... – szepnęła i odruchowo wyciągnęła dłoń ku ramieniu Granta, zaraz jednak ją cofnęła. Przyjrzała się lalkowatej twarzy kobiety, spróbowała ujrzeć ją „przez” makijaż, pominiąc spowodowane pobiciem zniekształcenia i wytrzeszcz pozbawionych powiek oczu. – Moim zdaniem to jest Vickie Kittrie.

– Tak sądzisz? – Głos Granta był cichy i opanowany.

Poznaję... włosy. – Mało brakowało, a powiedziałaaby „krocze”. Te zabójstwa i związane z nimi dziwactwa coraz bardziej wnikały w jej życie. Czy mogła kiedykolwiek przypuszczać, że będzie rozpoznawać ofiarę zabójstwa po wyglądzie krocza? Dokładnie pamiętała scenę sprzed dwóch... a może trzech... czterech dni z domu Heleny Saulnier, jak siedząc w pokrytym gobelinem fotelu obserwuje nagą od pasa w dół Vickie Kittrie, wrywającą sobie włosy z łona. Patrzyła na krocze zamordowanej i miała przed oczami obraz Vickie lekko rozchylającej długie, mlecznobiałe uda, aby dostać się do włosów

przy wargach sromowych. Czyżby ta scena wywarła na niej większe wrażenie, niż chciała przyznać? Czyżby poruszyła jej podświadomość, na świadomym poziomie bowiem się nad nią nie zastanawiała, wręcz o niej „zapomniała”. Jak mogła twierdzić, że rozpoznaje kobiece krocze, jeżeli nie zrobiło na niej wrażenia? – To na pewno Vickie – potwierdziła obserwując rany w miejscach, gdzie obcięto sutki, oraz przebarwione ślady ssania, nakrapiające tułów i wnętrza ud jak plamy tyfusu. Szybko obejrzała te świadczące wiele o stanie umysłu zabójcy znaki i zatrzymała się przy pępku oraz otaczających go śladach bardzo intensywnego gryzienia. Po chwili dostrzegła to, czego nie zauważyła od razu z powodu zaskoczenia osobą ofiary – pępek, supełek, który pozostał po tym, co łączyło kiedyś życie matki i dziecka, po kanale, którym matka podzieliła się ze swoim potomkiem genami oraz życiem, czyli swoją przeszłością, teraźniejszością i przyszłością, został wyrwany i był jedną krwawą raną.

Kątem oka widziała, że Grant – być może zaalarmowany jej milczeniem – patrzy na nią i po chwili przenosi wzrok na brzuch ofiary. Szybko podszedł, zapiał marynarkę, aby jego krawat nie dotknął ciała Kittrie, i pochylił się. Przekrzywiając głowę na bok jak ciekawy ptak, obejrzał ranę w miejscu pępka. Palma nie musiała oglądać jej aż z tak bliska, nie musiała widzieć precyzyjnych, karbowanych wzorków, pozostawionych przez zęby, by wiedzieć, że odnajdą ich ślady pod skórą. Był to pewnik, coś co na pewno zaistniało. Palma próbowała wyobrazić sobie co innego – sposób, w jaki sprawca nachyla się nad ofiarą, towarzyszące ich przedziwnej grze

wstępnej słowa, odgłosy gry seksualnej, która wyradza się w coś całkiem innego i prowadzi do tak dziwnej śmierci. Nie była w stanie przestać sobie wyobrażać tego, czego nie mogła być świadkiem. Wrażenie Vickie, gorzkiego smaku jej strachu, towarzyszących aktowi zapachów, dźwięków jego spaczony żądy, tego, co Vickie poczuła, kiedy zauważyła, że on przykłada usta do jej pępka i zaczyna gryźć i ssać z siłą wystarczającą do wyrwania trzewi.

Grant się wyprostował, po chwili jednak znów się pochylił i przeciągnął dłonią wzdłuż ciała, w miejscach styku z prześcieradłem.

– Jeszcze mokre. I przebarwione. Umył ją, prawdopodobnie w dużej ilości wody. Tym razem musiało być sporo krwi. Sądząc po ranach... po pępku, sutkach, nawet po powiekach, sądzę, że tym razem zrobił wszystko na żywca. Piersi są mocno ukrwione, jak głowa. I tu, i tu wystarczy naciąć skórę, a ma się masę krwi. – Pokiwał głową. – Tym razem poszedł na całego. To sadyzm seksualny do najwyższej potęgi. Odczuł każdą fasetę rozkoszy.

Palma miała wrażenie, że Grantowi nieco zmienił się głos. Był może nieco cichszy niż zwykle, bardziej poważny.

Stał przyglądając się Vickie, z pochyloną głową, potem skłonił tułów i zaczął się przyglądać okolicy łonowej. Po minucie bez słowa się wyprostował i rozejrzał po pokoju. Podszedł do szafy, wziął z niej pusty druciany wieszak, wrócił do łóżka i wyprostował drut. Znów nachylił się nad ciałem, delikatnie niczym chirurg sięgnął drutem pomiędzy włosy w kroczu i złapał nim wystającą z pochwy

białą nitkę. Położył ją na włosach.

– Miała okres. – Wyprostował się i pokręcił głową. Patrzył na zwłoki, szczeka ruszała mu się przy tym, jakby coś żuła. – W sumie nie jest aż tak bardzo skatowana. Taką ilość okaleczeń widuje się zwykle przy pojedynczych zabójstwach na tle seksualnym, przy zabójstwach seryjnych jest ich znacznie więcej. Z każdą następną ofiarą robią się coraz poważniejsze, dochodzi do wypruwania wnętrzości, rozrzucania części ciała, tu jest ich jednak niewiele. Sutki, powieki... bardzo nietypowe dla seryjnego zabójcy. Ugryzienia, ssanie – w porządku. Urazy twarzy – w porządku. Ale tak mała ilość okaleczeń... do tego wybrane w tym celu części ciała... nie wiem... Nie odbywa się to w sposób, jakiego należałoby się spodziewać. Jeszcze nigdy nie widziałem podobnego schematu, z taką pewnego rodzaju delikatnością, wręcz wyszukaniem. Zwykle chcą się dostać do wnętrza ciała, rozłożyć je na kawałki i obejrzeć ze szczegółami. Ten facet nie wykazuje się zwykłym w takich przypadkach poziomem zainteresowania seksualnymi częściami ciała kobiety.

Palma popatrzyła na Granta. Stał z lekko przekrzywioną na bok głową, trzymał w dłoni wieszak, prawą rękę wsadził głęboko w kieszeń. Miał pogniecioną koszulę i każdy, kto go zobaczy, będzie natychmiast wiedział, że nosi garnitur drugi dzień. Jego postawa zdawała się odzwierciedlać zażenowanie, jakie w związku z tym czuł, spotęgowane wiedzą, że światło wyraźnie podkreśla jego jednodniowy zarost.

Z zewnątrz doleciały odgłosy syren, głosy i trzaskanie drzwi. Szyby w oknach zaczęły migotać czerwono i niebiesko, czerwono i niebiesko. Za dwie minuty wszyscy troje stracą resztkę prywatności.

– Kiedy tu skończymy, chciałbym z tobą coś omówić – powiedział Grant. – W cztery oczy. To mi się bardzo nie podoba...

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Niebo najpierw zszarzało, potem zrobiło się perłowe. Sypialnia Janice Hardeman stała się centrum drobiazgowych badań. Póki razem z Grantem nie sprawdziła kilka razy miejsca zbrodni, Palma nie tylko nie pozwoliła dotknąć ciała, ale wręcz nikogo nie wpuściła do sypialni. Wyjątkiem był Jules LeBrun, który wykonywał swoje zadanie poruszając się z dokładnością mistrza tai chi chuan, jedynie od czasu do czasu robiąc przerwy na omówienie z Palmą i Grantem szczegółów.

Palma obserwowała zmiany światła – jasne, blade światło dnia zastąpiło żółtawy poblask ranka, a wraz z tym nagie ciało Vickie przemieniło się z symbolu tajemniczej i perwersyjnej seksualności w coś banalnego, wręcz trywialnego, co nie wywołuje podniecenia, lecz przygnębienie. Palma stwierdziła, że przemiana ta wywiera na nią dziwny wpływ, jej zmysły reagowały nieoczekiwanie, mniej więcej tak jak reagują czasami na całkiem pospolite słowo, które słyszane w odmiennym, nowym kontekście, wyda się całkiem nowe i nieznane. Martwa Vickie stała się *una cosa de muerte* – rzeczą martwą. Powiedzenia tego używał ojciec Palmy i miało wyrażać, że zniknął pierwiastek ludzki. Była czymś martwym, byłym ciepłokrwistym tworem, teraz bladym i ponurym, dwunożnym przedmiotem o głowie lalki, przyczepionej do chrząstkowatego, wydłużonego korpusu, z pozbawionymi powiek oczami, wpatrującymi się w to, co się rusza, i w to co nieruchome z taką samą bezmózgą obojętnością.

Palma starała się uniknąć popadnięcia w miraż braku zaangażowania. Detektywi z wydziału zabójstw są znani z umiejętności jego tworzenia. Czyjaś matka staje się wtedy numerem sprawy, córka – „dziewczynką z wykopu”, siostra – „sprawą z wieszakiem” a żona – „przypadkiem ze śmietnika”. Palma tak jednak nie umiała – w mniejszym lub większym zakresie identyfikowała się emocjonalnie z ofiarami. Dla niej ofiary pozostawały matkami, córkami, siostrami i żonami, i bez względu na to jak by próbowała, nie depersonalizowały się, aby uciec na peryferie jej emocji. Każda sprawa trafiała ją do głębi i tak naprawdę wcale nie chciała, aby było inaczej. Kobieta na łóżku tylko na chwilę stała się *una cosa de muerte*, po chwili wróciła do tego, kim była – i jeszcze kim pozostawała.

Tak jak martwa Vickie, Hardeman też musiała oddać próbki włosów z różnych części ciała, wzięto jeden z jej ręczników do porównania ze znalezionymi w ustach zamordowanej włóknami, zabrano prześcieradło z łóżka, specjalnym odkurzaczem zebrano wszystko z wybranych fragmentów podłogi, aby oddać do mikroskopowego badania kłębki kurzu, które zebrały się w kątach oraz przy nogach łóżka i szafy. W każdym innym przypadku mogłoby się to wydawać dziwne, ale przy tym, co działo się w tej sypialni w ciągu ostatnich dwunastu godzin, metoda mogła przynieść istotne rezultaty.

Kiedy skończyli, przekazali Vickie ludziom koronera i wyszli na dwór, gdzie niebo nabrało już soczystego błękitnego koloru i czekali na nich Corbeil, Frisch oraz kilku innych detektywów. Za

żółtą taśmą rozbili obóz dziennikarze i kamerzyści, razem z okazałym tłumem sąsiadów, wśród których sporo trzymało w dłoniach kubki z kawą. Część kobiet stała w szlafrokach, a dzieci sprawiały wrażenie, jakby już się spóźniły na pierwszą lekcję – jeżeli w ogóle zamierzały iść dziś do szkoły. Ignorując krzyki reporterów i odwracając się plecami do kamer, Palma i Grant złożyli obowiązkowy raport Corbeilowi, który pracował, choć jego zmiana już się skończyła, oraz Frischowi, wezwanemu do pracy kilka godzin przed początkiem jego zmiany.

– Vickie Kittrie... – mruknął Frisch patrząc w kierunku domu, jakby był w stanie dojrzeć ją przez ściany. Też miał w ręku kawę, w papierowym kubku.

Palma kiwnęła głową. Nikt nic nie powiedział, ale wiedziała, o czym myślą. Lansowana przez nią na podstawie teorii żeńskiego sprawcy główna podejrzana została ofiarą, co dość zasadniczo redukowało wiarygodność koncepcji. Teoria Granta nawet przez chwilę nie została poważnie postawiona pod znakiem zapytania.

– Ma pojęcie, skąd Kittrie się u niej wzięła? – spytał Frisch wskazując kubkiem na Janice Hardeman, siedzącą w dalszym ciągu w radiowozie.

– Jeszcze nie mieliśmy czasu jej przesłuchać.

Corbeil popatrzył na Granta, prawdopodobnie zastanawiał się przy tym, jak udało mu się tak szybko dotrzeć na miejsce zbrodni.

– Mam dla was kilka informacji od obu ekip nadzorczych – stwierdził w końcu odwracając się do Palmy. – Reynolds na sto

procent nie wychodził z domu. Potwierdza to nadzór elektroniczny. Broussard też nie wychodził z domu. Wy szliście wczoraj z komendy mniej więcej piętnaście po dziesiątej, o wpół do jedenastej Martin i Hisdale zajęli miejsce kilka domów od posiadłości Broussarda. Za dziesięć jedenasta przyjechała do niego kobieta, zarejestrowanym na niego mercedesem. Jeszcze nie wyszła. Za dwadzieścia dwunasta przyjechała kolejna kobieta – też mercedesem, ale zarejestrowanym na Paula Lowe – i też jeszcze stamtąd nie wyszła.

– Sprawdziliście Lowe’a?

– Mieszka w Brokmoore. W Hunters Creek. Nie notowany na policji, ma na koncie jedynie kilka mandatów za przekroczenie prędkości. Trzydzieści osiem lat, żonaty.

– Mogła to być jego żona, siostra, przyrodnia siostra, przyjaciółka.

– Ale Broussard nie jest żonaty, prawda? – wtrącił Frisch.

Palma pokręciła głową. Była zaniepokojona, niewiele ją w sumie obchodziło, co myślał sobie Frisch i Corbeil. Podobnie jak Grant, uważała, że dzieje się coś dziwnego i nie była w stanie przestać na ten temat myśleć. Tak samo nie mogła przestać myśleć o Vickie Kittrie i jej wyrwanym pępku.

Z domu Hardeman wyszedł Jeff Chin, inspektor z biura koronera. Na szyi miał zawieszony słuchawki od walkmana, był ubrany w dzinsy, kowbojki z bladej-żółtej skóry i wyłożoną na spodnie meksykańską *guayabera*.

– Mam w środku jeszcze trochę roboty – powiedział rozgląda-

jąc się po twarzach obecnych, kończąc ogląd na Palmie i sięgnął do kieszeni na piersi po papierosa. – Powiedziałbym jednak, że zmarła o wpół do jedenastej plus minus godzina. – Zapalił papierosa. – Stężenie pośmiertne mięśni osiągnęło stan maksymalny. W normalnych warunkach – to znaczy gdyby zmarła w temperaturze pokojowej – następuje to zazwyczaj w ciągu sześciu do czternastu godzin po śmierci. Tutaj jednak nie mamy do czynienia z normalnymi warunkami – była wiązana, cięta, gryziona, bita, a to powoduje większe wydzielanie adrenaliny do krwi. Możemy zakładać, że jej przedśmiertna aktywność emocjonalna i fizyczna była bardzo duża, co powoduje szybsze tężenie pośmiertne, więc przesuwa moment śmierci raczej w kierunku sześciu godzin niż czternastu. – Zaciągnął się i zmarszczył czoło. – Plamy pośmiertne są wyraźne, co wymaga mniej więcej trzech do czterech godzin. Osiągają maksimum w okresie od ośmiu do dwunastu godzin, sądzę jednak, że nie mamy jeszcze apogeum, skłaniam się więc i tu raczej ku krótszemu odstępowi od śmierci. Temperatura wątroby spadła jeden stopień poniżej normy. Okna były otwarte, więc temperatura wynosiła... ile stopni było w nocy?... dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery, tak... czyli to by się też zgadzało. Biorąc pod uwagę, że przez cztery do pięciu godzin ciepłota wątroby praktycznie nie spada, potwierdza to, że nie żyje od sześciu godzin, plus minus godzina. Wpół do jedenastej to przyzwoity szacunek.

– Jest pan pewien? – spytała Palma.

– To przyzwoity, ale szacunek.

– Mógłby pan jeszcze dziś przeprowadzić sekcję?

– Im szybciej tym lepiej, tak? Palma skinęła głową.

– Zrobi się. – Kiwnął głową na pożegnanie, założył na uszy słuchawki i ruszył z powrotem do domu. Coś poprawił na radiu w kieszeni i zaciągnął się kilka ostatnich razy przed powrotem do pracy.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, wreszcie Frisch wykrzyknął:

– Jezu drogi! – Z tymi słowami rzucił na trawę kubek z kawą.

– Mógł się schować w bagażniku – stwierdził Corbeil mając na myśli Broussarda. – Albo położyć się na tylnym siedzeniu. Kobieta mijają Martina i Hisdale'a, a on leży na siedzeniu.

– Co oznaczałoby współdziałanie kilku osób – sceptycznie powiedziała Palma.

– Nie rozumiem, jak mógł ją dorwać – spytał Frisch, wracając do Vickie. – Jak mogła być aż tak głupia?

Strach nie był jej największym problemem – odparła Palma. – Poza tym była przyzwyczajona się bać. Sądzę, że nawet to lubiła. Jeżeli się dobrze zastanowić, to nietrudno się domyślić, że prędzej czy później musiała nadejść na nią kolej. Jeżeli jest w jej śmierci coś zaskakującego, to raczej fakt, że nie nastąpiła wcześniej. Powinam była się tego spodziewać. Naprawdę powinam była.

– Ty? – spytał zdziwiony Frisch. – Nie mów takich rzeczy. Wiemy, że wszystko wskazywało na jeszcze jedno morderstwo... nawet dwa... może jeszcze więcej. Nie możemy być odpowiedzialni za bandę bab, które nie mają na tyle rozsądku, żeby... A niech to

cholera!

– Powinniśmy porozmawiać z Hardeman – wpadła mu w słowo Palma. Dalszym gadaniem naprawdę tracili czas. Nie było sprawą Palmy, o czym myśli Frisch – co powiedzieć prasie, szefom, jak najlepiej wykorzystać ludzi, którymi dysponuje, i skąd wziąć ich więcej. Przynajmniej nie w tej chwili. Frisch popatrzył na nią i skinął głową.

– Dobra, bierz się do roboty. – Zanim odeszła, jeszcze raz szybko rzucił na nią okiem. Najwyraźniej Corbeil podzielił się z nim swoimi – nietrafnymi – dedukcjami.

Kiedy przedstawiali się Janice Hardeman, towarzysząca jej policjantka wysiadła. Hardeman spytała, czy mogliby rozmawiać na zewnątrz, stanęli więc przy masce samochodu. Kiedy oparła się biodrem o błotnik i splotła ramiona na piersi, Palma zauważyła na jej ręku chromowany zegarek, który tak często widywała u pielęgniarek, że czasem wydawał jej się elementem ich uniformu.

– To Vickie Kittrie – prosto z mostu zaczęła Palma.

Oczy Hardeman rozszerzyły się i jęknęła, szarpiąc przy tym głową do przodu.

– Czyli ją pani znała.

Hardeman zmarszczyła czoło i przełknęła, ale nic nie powiedziała. Oparła się mocniej o samochód, rozplotła ramiona i zsunęła włosy ze skroni. Miała bladą, niemal świecącą cerę osoby unikającej słońca. Jej skóra nie miała naturalnego, dziewczęcego wyglądu, który najlepiej pasuje do kostiumu kąpielowego, ale nie było na niej

piegów, była zarówno ładna, jak i szlachetna. Wargi miała dość blade – z wyjątkiem kącików, skąd jeszcze nie starła szminki.

– Czytała pani gazety? – ponowiła pytanie Palma.

Hardeman skinęła głową. Opierała dłonie na błotniku za plecami i wpatrywała się w ziemię.

– Czyli zna pani nazwiska pozostałych ofiar. Hardeman podniosła głowę.

– Proszę pani, i tak dowiemy się prawdy. Milczeniem nic pani nie zyska, to jedynie strata czasu i wszystkim sprawia jedynie masę kłopotu. – Palma przerwała na chwilę. – Poza tym ukrywanie informacji w sprawie o morderstwo jest karalne.

Hardeman przeniosła ciężar na drugą nogę i jej twarz nagle się zmieniła. Jej rysy stwardniały, jakby gwałtownie opanowało ją ogromne zmęczenie albo znalazła się na skraju wytrzymałości. Skinęła z rezygnacją głową.

– Tak. Znałam ją.

– Wiedziała pani, że ma tu być w nocy?

– Skądże! Nie widziałam Vickie od... może dwóch miesięcy. – Na widok pytającej miny Palmy, dodała: – Miała klucz. Kiedy zerwaliśmy, oddała mi go, ale z tego wynika, że zrobiła duplikat. – Znow przeciągnęła palcami przez włosy.

– Jak dawno przestałyście się widywać?

– Znałam ją niedługo. Cztery miesiące, może pięć. Nie wiedziałam o jej... skłonnościach. Gdy zaczęła próbować mnie w to wciągnąć, odmówiłam, ale nie chciała odpuścić. Zaczęła się robić na-

chalna, namawiać mnie, ale... po prostu nie byłam w stanie. Oglądam tyle cierpienia w pracy, że nie potrzebuję go w życiu erotycznym. Więc przestałyśmy się spotykać.

– Czy robiła coś podobnego przedtem? Wchodziła do pani domu pod pani nieobecność? Korzystała z pani domu, żeby spotykać się z mężczyznami albo z innymi kobietami?

– Nie. Przynajmniej nic o tym nie wiem.

– Podejrzewam, że nie domyśla się pani, z kim mogła być wczoraj?

– Nawet nie jestem sobie tego w stanie wyobrazić. – Skuliła się, jakby przypominała sobie, co się stało. – To zbyt... po prostu szaleństwo... – Popatrzyła na zebrany tłum sąsiadów. – Nawet nie jestem sobie w stanie wyobrazić, że to się przydarza właśnie mnie...

– Z kim przede wszystkim Vickie utrzymywała kontakty sado-masochistyczne?

– Rany... – wy dyszała Hardeman i Palma dostrzegła łzy w jej oczach. – Z kobietami z gazety... tymi zabitymi. Z Dorothy, Louise, Sandrą. Aha, była jeszcze Mirel Farr. – Pokręciła głową – To chyba wszystkie nazwiska, jakie znam.

– Znała pani te kobiety osobiście? Hardeman skinęła głową.

– Ale tylko z widzenia i jedynie jako przyjaciółki przyjaciółek.

Wie pani, z grupy.

– A co z Bernadine Mello? Znała ją pani?

– Nie. Czytałam o niej w prasie, ale nie znałam.

– Zna pani kogoś, kto ją znał? Hardeman pokręciła głową.

– Co pani sobie pomyślała po przeczytaniu w prasie o tych morderstwach?

– Co sobie pomyślałam? Nie rozumiem. Byłam przerażona.

– Dlaczego? Miała pani ku temu powód?

– Po śmierci Dorothy tak. Nie trzeba było geniusza, aby dostrzec związek. Giną dwie osoby, które się znało, a jedynym powodem mogą być... odmienne od ogólnie akceptowanych zainteresowania seksualne. Nie sądzi pani, że miałyśmy powód się bać?

– Czy to oznacza, że pani zdaniem ofiarą następnego morderstwa mogła paść każda z was?

– Z początku, co chyba oczywiste, tak myślałam. Potem zaczęłyśmy o tym rozmawiać i doszłyśmy do wniosku, że to, co się dzieje, ma raczej związek z frakcją sado-maso. Byłyśmy o tym wręcz przekonane.

Palma popatrzyła na nią.

– Podejrzewam, że spekulowano też, kto może być sprawcą.

– Oczywiście. Koniec końców dochodziłyśmy do wniosku, że kandydatem może być każdy facet, z którym któraś z nich miała do czynienia.

– Ale przecież część spośród członkiń tego „odłamu” kontaktuje się wyłącznie z kobietami. Istnieją czyste sadomasochistki, prawda?

– Istnieją.

– Ale nie brałyście pod uwagę, że sprawcą może być kobieta?

Hardeman popatrzyła uważnie na Palmę.

– Padały też i takie pomysły. – Znow przeniosła ciężar na drugą nogę i popatrzyła na tłum sąsiadów. Palmie zrobiło jej się żal, Hardeman była zupełnie wyczerpana. Palma podejrzewała, że przyjscie do domu po nocnej zmianie na linii frontu w Ben Taubie i znalezienie we własnym łóżku zaszlachtowanej przyjaciółki może wyssać z ciała ostatnią rezerwę adrenaliny. Już długo nie utrzyma się na nogach.

– Jakie były kandydatki?

– Główna leży w środku – odparła Hardeman wskazując ruchem głowy dom.

– Kto jeszcze?

– Kilka wymieniło Mirel Farr, ale ja się nie zgadzam. Mirel jest profesjonalistką, robi to dla pieniędzy, a zabójca działa z namiętności, a nie po to aby zarobić. Przynajmniej tak uważam.

– Czy sądzi pani, że kobieta byłaby w ogóle w stanie dokonać czegoś podobnego? – Palma zadała to pytanie dla Granta, który jak na razie nie powiedział słowa.

Hardeman przestała masować sobie kark i popatrzyła na Palmę ze zmęczonym, choć pełnym rozbawienia uśmiechem.

– Chyba pani żartuje... – Popatrzyła na nią, potem na Granta. – Boże drogi, powinniście posłać paru swoich ludzi do Mirel. Posadzić ich w wygodnym fotelu za weneckim oknem i kazać się przyglądać przez tydzień albo coś w tym stylu. Zmieniliby poglądy. Jedyna różnica między męskim a kobiecym sadomasochizmem polega na tym – poza różnicami anatomicznymi – że kobiety nie strzykają śliną

przez zęby. – Znow popatrzyła na Granta. – To specyficznie męskie zachowanie.

– A co z mężczyznami? – spytał Grant. Jeżeli dotknęła go linia prowadzenia rozmowy przez Palmę albo ironiczna odpowiedź Hardeman, nie okazał po sobie niczego. – Jacy uczestniczyli w tym mężczyźni?

– Koleś o imieniu Guy – odpowiedziała Hardeman – do tego taki biznesmen... Reynolds. Poza tym brat Louise Ackley. Od początku wydało mi się to nie z tej ziemi. Boże drogi, brat Louise... To jedyni mężczyźni, o których przy mnie wspomniała. Jak już mówiłam, nie chciałam na ten temat rozmawiać. To było jak na mnie zbyt pokręcone.

W koronach morwy zaskrzeczały szpaki. Pierwsze promienie słońca przemieniały liście z niebieskich na zielone. Jeszcze dwie godziny i znów będzie upał, a nasączone deszczem miasto zacznie parować i się gotować.

– Czy wie pani o tym, by Vickie korzystała kiedyś z pomocy psychiatrycznej?

– Nie wiem. Moim zdaniem powinna była, ale nic na ten temat nie wiem. – Dwóch sanitariuszy z biura koronera wyładowało z furgonetki aluminiowe nosze na kółkach i ruszyło z nimi do drzwi domu. Hardeman jeszcze mocniej się przygarbiła. – Boże drogi, nie mogę w to uwierzyć. Naprawdę nie mogę...

– Ma pani kogoś, u kogo mogłaby dziś zostać? Technicy spędzą tu trochę czasu. Hardeman skinęła głową.

– Mam. Ale co z ubraniem? Musiałabym wziąć coś do ubrania. I buty. Kilka rzeczy z łazienki.

– Poproszę oficer Saldanę, żeby z panią pojechała. Zaraz z nią porozmawiam – powiedziała Palma. – Wiem, że to nie najlepszy czas na zadawanie pytań, ale niestety to nie do uniknięcia.

– Nic nie szkodzi – słabo odpowiedziała Hardeman. – Będę musiała kupić nowe łóżko. Na pewno nie będę w nim spała... – powiedziała do Palmy, jakby była jej koleżanką, która ma pomóc zaplanować najbliższą przyszłość. Znów pokręciła głową i popatrzyła w kierunku domu. – Nie będę w stanie... – Zadrżał jej głos. Szybko popatrzyła na Palmę, aby sprawdzić, czy policjantka to usłyszała, czy zauważyła jej słabość. Było już jednak zbyt późno. Drzenie głosu zaanonsowało, że opuściły ją siły. Z pełnym przerażenia spojrzeniem objęła dłońmi twarz i zaczęła płakać. Cicho i z cierpieniem, wstrząsając ramionami.

Nie odzywając się słowem, Grant odwrócił się i ruszył przed siebie. Palma nie patrząc na niego, objęła Hardeman ramionami i tak ją trzymała, czując drżenie ciała przy każdym, dochodzącym z głębi brzucha chlipnięciu. Dopiero teraz zauważyła, że Janice Hardeman ma bosa stopy.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Kiedy Broussard otworzył oczy i ujrzał słońce, wpadające do pokoju skosem przez szpary w okiennicach, poczuł się jak sparaliżowany i po głowie zaczęło mu krążyć niejasne wspomnienie czegoś tragicznego. Wysoki biały sufit zdawał się pływać w porannym świetle, w którym unosiły się drobiny pyłu. Przypomnił sobie o jej obecności, jeszcze zanim jej dotknął, a kiedy to sobie uświadomił, poczuł obok ciężar na materacu. Jego lewa ręka leżała na jedwabnym prześcieradle, którym byli przykryci, i nie patrząc, wsunął ją pod spód i oparł na pośladkach Mary. Od razu poczuł, że jest naga, po kształcie biodra wyczuł, że leży odwrócona do niego plecami, z jedną nogą lekko podciągniętą pod siebie, a drugą wyprostowaną. Przesunął nieco stopę i dotknął jej łydki. Boże Wszechmogący! Przez zapach własnych perfum poczuł zapach jej perfum – łagodniejszy, nie tak słodki, wręcz przypominający naturalny zapach ciała. Przez chwilę wydało mu się, że w jej żyłach nie płynie krew, lecz perfumowana woda, a jej ciało wydziela aromat, tak jak statek pachnie przewożonym towarem. Po minionej nocy mógł uwierzyć we wszystko na jej temat.

Mógłby uwierzyć, że umarła. Wstrzymał oddech i zaczął obserwować załamki pościeli nad jej piersią. Poruszały się lekko, leciutecznie, z każdym oddechem.

Mógłby uwierzyć, że jest ucieleśnieniem wszystkich kobiet, które kiedykolwiek próbował wyzwolić; przybyła jako ostatnia, co

oznaczało właściwie, że jest pierwsza. Jak powidok prototypu, tak niezwykła anomalia, że stała się paradygmatem.

Mógłby uwierzyć, że go nie okłamała. Nie tylko mógłby – uwierzył. Mary nie rozumiała różnicy pomiędzy rzeczywistością a wytworami własnej wyobraźni i mówiła tę prawdę, która była prawdą Mary, prawdą tworzoną w głowie Mary.

Mógłby uwierzyć, że minioną noc się nie wydarzyła, nie widział tego, co robiła, a jedynie tak żarliwie o tym marzył, aż ujrzał to bardziej realnie niż w najrealniejszym śnie.

Powoli uniósł lewą rękę i popatrzył na swoje pomalowane paznokcie. Powróciło niemiłe wrażenie zagrożenia, chmura niejasnego przypomnienia – a może przeczucia – tragedii.

Broussard próbował powrócić do tu i teraz. Pomacał się po głowie. Peruka zniknęła. Z wahaniem przeciągnął palcami po ustach i zabarwiły się na czerwono. Kiedy się poruszył, poczuł, że jest nagi, i w tym samym momencie zauważył, że prawą rękę w dalszym ciągu trzyma na pośladkach Mary. Pozostawił ją tam i podniósł drugą rękę, zawiesił ją nad głową. Popatrzył na paznokcie, po chwili pozwolił wzrokowi ześlizgnąć się, rozproszyć i uciec ku sufitowi. Oto świat zmiany – fantazja leżała za nimi, a rzeczywistość była jeszcze nieokreślona i dopiero miała nadejść.

Delikatnie podniósł prawą rękę i ostrożnie się odwrócił, by popatrzeć na jej plecy. Muskając prześcieradło, przeniósł rękę do miejsca, gdzie tworzyło zgrubienie na jej białym ramieniu. Złapał fałd palcami i zaczął powoli ściągać prześcieradło, odsłaniając

się wokół jej karku jasne loki, krągłość barku, kontur potylicy, linię ramienia, pierwsze wzniesienie piersi, przerastających nawet jego bujną wyobraźnię, opadającą ku talii linię klatki piersiowej, która po chwili przechodziła w ostro wzrastającą krzywą biodra, nogę, lekko odsuniętą w bok, przez co widział wewnątrz ud, miejsce, gdzie chciałby położyć usta.

Była niezwykła, piękniejsza od wszystkich kobiet, jakie znał.

Położył usta na jej karku, na pierwszej pod włosami wypukłości kręgosłupa i pocałował. Potem pocałował następną, i przesuwając się tak w dół licząc kręgi, czując wargami każde zaokrąglenie, wyobrażając sobie, że unoszą się we dwoje w porannym świetle, zawieszeni, wyzwoleni spod działania ciężaru i grawitacji, mogą się bez trudu dotykać, gdzie tylko zechcą. Wkrótce dotarł tam, gdzie wypustki znikają między dwoma zagłębieniami nad pośladkami, i poczuł początek podziału ciała. W dalszym ciągu płynąc, delikatnie, bardzo łagodnie położył lewą dłoń na dole jej brzucha i zaczął lekko naciskać, aby się odwróciła, prawą ręką prowadząc jej bark. Obserwował przenoszenie się ciężaru pełnych piersi, przemieszczanie się różowych spiczastych sutków, poszukujących w trakcie przewracania się Mary na plecy nowych punktów równowagi. Pocałował jej pępek, czując na jabłku Adama wełniasty dotyk włosów łonowych.

– Co robisz? – spytała.

Broussard wzdrygnął się. Uniósł wzrok, popatrzył pomiędzy piersiami i spojrzał jej w oczy. Próbował sobie wyobrazić, jak musi wyglądać jego rozmazany makijaż. Jej mina nie wyrażała niczego

szczególnego. Przyglądała mu się spokojnie, co wywoływało w nim niemiłe wspomnienia Bernadine, uważnie obserwującej go przy stosunku.

– Gdzie masz perukę? – spytała Mary.

Ich seks był taki sam jak to pytanie – bezpośredni, bezwstydy, wręcz agresywny. Był dziki i ekstrawagancki, a kiedy skończyli, zasnęła, jakby wzięła tabletkę nasenną. Teraz przyglądała mu się szaroniebieskimi, nieco opuchniętymi oczami. Znowu zauważył, że ma nieco niesymetryczne usta oraz to, że dołeczek przy ich kąćku, jeżeli ogląda się go od przodu, jest znacznie ciekawszy niż z profilu. Te wszystkie godziny, przez które oglądał ją na kozetce i wyobrażał ją sobie nagą, na sposoby, które, jak sądził, tylko on był w stanie wymyślić, nie przygotowały go na rzeczywistość. Tym razem jego fantazja okazała się zbyt skąpa.

Leżał pomiędzy jej nogami, łokcie opierał po obu stronach jej ciała, klatkę piersiową przyciskał do jej łona i wbijał wzrok w obserwujące go, przykryte różowawymi powiekami oczy. Oddałby w tej chwili wszystkie pieniądze, jakie posiadał, za możliwość kupienia jej myśli – prawdziwych myśli, hologramów płynących z głębin nieświadomego id, nie przefiltrowanych przez superego. Zapłaciłby za nie bez wahania. Były w jej oczach rzeczy, które chciałby odkryć, poczuć i posmakować, aromaty, z jakimi jeszcze nigdy sienie spotkał.

Patrzyła na niego. Wyciągnęła dłoń i lekko, powoli dotknęła jego szyi, przeciągnęła paznokciami do brody, przez twarz pokrytą

rozsmarowaną szminką, szczecinę zarostu, której już nie ukrywały kosmetyki, przez smugi różu, tuszu do rzęs, cieni i konturówki. Jej ociężałe szaroniebieskie oczy obserwowały go, przyglądały się sunącym dłoniom i paznokciom. Kiedy dotarła do czubka jego głowy, otoczyła dłonią potylicę i pchnęła ją w dół ku swojemu brzuchowi. Przycisnęła jego usta do swojego pępka. Równocześnie poczuł, że wygina plecy tak, aby mocno dotknąć łonem jego szyi.

– Sekrety... – szepnęła zachrypniętym głosem i niespodziewanie, wraz z gwałtownym, szybkim ruchem bioder, wbiła paznokcie pod jego dolną szczękę i zaczęła przyciągać go ku sobie, aż poczuł, że jego pierś dotyka jej piersi, i usłyszał, jak Mary oddycha przez zęby, szybkimi, zasysającymi powietrze oddechami, jakby przygotowywała się do nadchodzącego bólu. Leżeli spleceni i przyciągała go do siebie mocno, mocniej niż mógł się spodziewać. Twarz miał wtuloną w jej szyję i wdychał aromat włosów, otaczających go niczym pachnąca pajęczyna. Opierając się nagłemu impulsowi, by ją zmiażdżyć, wpić się w jej plecy, koncentrował siły na tym, by pozwolić jej się wziąć. Skupiał uwagę na powolnym dryfowaniu ich zespolenia, unoszącego dwa umysły przez migotliwe światło wysoko w górę, pozwalającego im płynąć na szeleście szep-tów.

Kiedy wyszedł spod prysznicza i owinięty ręcznikiem wokół bioder, wrócił do sypialni, stwierdził, że już wysuszyła włosy i siedzi nago na niskim, szerokim parapecie przy oknie. Okiennica była otwarta, okno też, przez co jej postać wyglądała jak portret

w grubych ramach. Pochylała tułów do przodu, obejmowała ramionami kolana, kontur piersi rysował się wyraźnie w tworzonym przez ciało rombie. Wyglądała na zewnątrz, jakby chciała dostrzec rodzące się w zieleni nad brzegiem gorąco, może tylko słuchała smutnego gruchania maleńkich hiszpańskich gołąbków, które zgromadziły się w chłodnych, ciemnych koronach magnolii i dębów.

Nie wiedział, jak Mary się czuje ani co z nią się dzieje. Dla niego sprawa była skończona. Wróciło charakterystyczne dla jego oficjalnego życia ostrożne zażenowanie i w imię społecznej przydatności powrócił już do roli doktora Broussarda. Wiedział, że słyszała, jak wchodzi do pokoju, nie odwróciła się jednak, kiedy otworzył szafę – drugą szafę. Czuł, że przechodząc do roli wymagającej ściślejszej kontroli nad sobą bez nawet najmniejszej fazy przemiany, nie jest wobec niej całkiem fair, ale był do tego przyzwyczajony. Lata podwójnego życia uczyniły z gwałtownej przemiany nawyk, ale ponieważ tym razem miał wrażenie, że jest ona nie całkiem na miejscu, postanowił iść na kompromis. Nie wyjął z szafy garnituru ani krawata, lecz sportowe jedwabne spodnie, zrzucił z bioder ręcznik i włożył je, potem dodał do tego jedwabną koszulę, której nie zapiął.

Podszedł na bosaka do okna, gdzie siedziała, zawahał się, wziął krzesło, przysunął je i usiadł. W dalszym ciągu wyglądała przez okno. Założył nogę na nogę i też wyjrzał na schodzący łagodnie w dół trawnik. Przez okno wpadało ciepłe powietrze, a jaskrawe słońce na zewnątrz kazało mu zmrużyć oczy. W dole coś głośno syknęło – obudził się system zraszający. W niebo wyprysnęła chmu-

ra kropel, które powoli, tanecznie wirując, zaczęły opadać na zieleń. System był podłączony do komputera i ogrodnik musiał zapomnieć go wyłączyć. Trzeba będzie z nim porozmawiać. Polewanie trawnika dwa dni po intensywnym deszczu było głupotą.

Popatrzył na Mary. Nie miała najmniejszych zahamowań w pokazywaniu swojego ciała. Podejrzywał, że ta odważna nagość jest wyzwoleniem się spod narzuconej sobie powściągliwości w domu, przy mężu. Siedziała przodem do niego i za jej szczupłymi pęcunami widział płowy trójkąt łona. W tym momencie odwróciła głowę i przyłapała go na obserwacji.

– Wiedziałeś, że jestem biseksualna? – spytała odsuwając do tyłu włosy.

– Nie wiedziałem.

– Jesteś zaskoczony?

– Nie.

Nawet na chwilę jej twarz się nie zmieniła, oczy nie odwróciły. Uśmiechnęła się. Broussard był zaskoczony. Dotarło do niego, że widzi na jej twarzy uśmiech po raz pierwszy, odkąd się poznali – tak samo jednak zaskoczyło go, że nigdy przedtem nie zauważył jego braku.

– Zgadłeś? Jak? Pokręcił głową.

– Nie zgadłem. Spodziewałem się tego. Jej uśmiech gwałtownie zamarł.

Zamierzał powiedzieć jej to bez ogródek. Kiedy ten temat w końcu wypływał – aczkolwiek sam nigdy nie zagajał – zawsze tak

robił.

– To dość częste zjawisko, że kobiety, które w dzieciństwie były ofiarą stosunków kazirodczych z ojcem, stają się biseksualne albo wręcz homoseksualne. To zdarza się częściej, niż przypuszczasz.

Mary zmrużyła oczy i oparła brodę na kolanie.

– Czy to oczywisty psychologiczny wniosek?

– W jakim znaczeniu?

– Że po splugawieniu przez ojca kobieta odrzuca mężczyzn i kieruje się ku kobietom.

– Nie. To nie jest takie proste.

Oczy Mary zmieniły wyraz. Niemal czuł zawarte w tym wyzwanie, prowokację, aby ją rozgryzł.

– Kompleks Persefony – stwierdził.

– Persefony... Broussard skinął głową.

– Tej z mitologii greckiej. Broussard ponownie skinął głową.

– To bogini wiosny.

– O tak, pamiętam... – Mary wzniosła oczy do góry. – Została porwana przez...

– Hadesa.

– Władcę podziemnej krainy zmarłych.

– Jej wuja.

– Naprawdę?

– Jej matką była Demeter, bogini pól, urodzaju oraz prac związanych z uprawą roli. Kiedy porwano jej córkę, Demeter wpadła w rozpacz i przyroda na ziemi zamarła. Musiał interweniować Zeus,

zmuszając Hadesa, by pozwolił Persefonie na powrót do matki na ziemię. Hades nie oddał jej jednak na stałe, musi wracać do niego na jedną trzecią roku. Kiedy to następuje, Persefona przestaje obdarowywać ludzkość i ziemia przestaje być płodna. Przez cały pobyt z Hadesem Persefona tęskni za matką, jest jednak skazana na przeżywanie tej tęsknoty ciągle od nowa, przez wieczność. Przed uwiedzeniem matka i córka były nierozłączne, uwiedzenie zniszczyło ich związek. W mitologii centralnym tematem opowieści o Demeter i Persefonie jest żal i smutek.

Choć zamierzał rozmawiać z Mary mniej formalnie, Broussard automatycznie przeszedł do zawodowej manieri. Tak jak większość ludzi, był niewolnikiem swoich przyzwyczajzeń – i zahamowań – a Mary Lowe typem człowieka, przed którym nieświadomie zawsze się bronił. Odrzucenie w jej obecności mechanizmów obronnych bez dobrodziejstwa, jakie dawał mu jego żeński pierwiastek, nie było łatwe.

– Choć Freud niezbyt dobrze rozumiał kobiety – sztywno kontynuował Broussard – dokonał najwyższej wartości odkrycia, że pierwotny erotyczny związek dziecko ma z matką. W przypadku chłopców powoduje to w końcu powstanie konfliktu z ojcem – kompleksu Edypa. W przypadku dziewczynek oddzielenie od matki przybiera inną formę. Dziewczynka zwraca się ku ojcu, ale odejście od matki jest długie i bolesne. Preedypalny związek dziewczynki z matką jest niezwykle intensywny i zmiana orientacji nie jest łatwa. Prawdę mówiąc, nigdy nie dochodzi u niej do prawidłowego ode-

rwania się od matki. Stąd kobiety nigdy nie wykształcają w zadowalający sposób żądającego superego, czego wynikiem jest luka rozwojowa, powodująca z kolei pewien kobiecy niedostatek: mniej różnicujący konstrukt etyczny.

Broussard przerwał. Mary słuchała wyjaśnień z nieruchomym, pozbawionym emocji spojrzeniem. Zdawała się pozbawiona życia, choć w rzeczywistości słuchała bardzo uważnie. W braku emocjonalności jej rysów było coś rozdzierającego serce. Kiedy zapadały chwile ciszy, zauważał to – tak samo jak dolatujące przez okno zapachy drzew.

– Od szeregu lat większość z moich klientek to kobiety. Większość z nich to bi – albo homoseksualistki i większość z nich była ofiarami wykorzystywania seksualnego w dzieciństwie, zwłaszcza stosunków kazirodczych z ojcem. – Mary Lowe bardzo powoli poruszyła palcami stóp i przesunęła głowę lekko w przód. Ruch był tak delikatny, że Broussard pomyślał o kocie. – Kazirodztwo to bardzo skomplikowana sprawa. – Oczy Mary nawet nie drgnęły. Było wystarczająco jasno i mógł w nie patrzeć, patrzeć przez nie niemal na wylot, jakby tworzyły wrota do innego świata. – Podczas gdy pierwsze seksualne zauroczenie chłopca ma miejsce wobec osoby płci odmiennej, w przypadku dziewczynki dotyczy osoby tej samej płci, przez co związek jest znacznie silniejszy niż u chłopca. Ponieważ u dziewczynki zjawisko to odbywa się bardzo wcześnie, powstały związek nigdy nie zostaje do końca rozerwany i istnieje w tle późniejszych seksualnych związków z mężczyznami. – Choć nie zamie-

rzał, przerwał, czuł bowiem dziwny rosnący niepokój. – Jedną z głównych tragedii kazirodczego związku ojca z córką jest dokonana przez to destrukcja związku matka-córka. Jeżeli do kazirodztwa dochodzi we wczesnym okresie życia dziewczynki, związek ten zostaje przerwany znacznie wcześniej, niż miałyby to miejsce przy normalnie przebiegającym rozwoju emocjonalnym dziewczynki. Po więzach z matką pozostaje emocjonalny kikut, przez co dziewczynka już do końca życia jest skazana na silną tęsknotę za nawiązaniem „karmiącego” kontaktu z drugą kobietą. Ten wczesny rozłam z matką jest naturalny dla chłopców, ale nie dla dziewczynek, ich związek z matką jest bowiem zaplanowany na dłużej. Tak jak Persefona, która została uwiedziona przez wuja (a możemy go traktować jak symbol ojca), ofiara kazirodztwa zostaje zbyt wcześnie oderwana przez ojca od matki i jest po wsze czasy naznaczona podwójną raną – utraty matki i zdrady ojca. Tak jak Persefona, ofiara kazirodztwa jest skazana przez ojca – zdrajcę, gwałciciela, kochanka – na powracanie w myśli do Hadesa i jego krainy, czyli symbolicznego piekła. Do końca życia bezlitośnie będą ją prześladować pamięć i poczucie winy, chyba że nauczy się rozwikłać ten konflikt.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Vickie Kittrie opuściła dom Janice Hardeman głową do przodu w grubym plastikowym worku i stojący za żółtą taśmą ciekawscy wreszcie ujrzeli to, na co czekali. Palma obserwowała jej drogę od drzwi domu do furgonetki i jak już nieraz przedtem zastanawiała się, jak to jest być zamkniętym w takim worku. Żywi często zastanawiają się w podobnie prymitywny sposób nad zmarłymi, choć ma to mniej związku ze świadomym myśleniem, więcej zaś z odreagowaniem. Palma doskonale zdawała sobie z tego sprawę, mimo to czasem przyłapywała się na podobnych odczuciach.

Janice Hardeman – pozwolono jej wejść do sypialni razem z oficer Saldaną i wziąć odzież – odjechała z przyjaciółmi. Poinformowano ją, że dowie się w ciągu dnia, kiedy będzie mogła wrócić do domu. Palma wyobraziła sobie, jak Janice Hardeman sprzedaje łóżko. Morderstwa – zwłaszcza takie jak to – działają źle na umysł, choć należałoby powiedzieć, że wręcz symbolizują utratę rozumu, zwłaszcza sprawcy. Nawet jednak postronni obserwatorzy muszą się bardzo starać, by nie stracić równowagi psychicznej w konfrontacji z morderstwem.

Przed domem nie znaleziono niczego, co mogłoby pomóc policji w śledztwie, więc ogrodzony żółtą taśmą teren znacznie zmniejszono i otaczał jedynie ogródek przed domem. Gdy zabrano ciało Vickie i przywrócono ruch na ulicy, tłum gapiów się rozproszył, a większość radiowozów skierowano do innych zadań. Frisch przy

powrotem do pracy przeszedł z Palmą i Grantem w cień robinii i przekazał im najnowsze fakty.

– Gordy jest w dobrym stanie. Przez dłuższy czas będzie kulał, ale nie odniesie trwałego uszczerbku na zdrowiu. Dobra okazja, żeby trochę schudł. Stan Barbisha też się poprawił. Jego życiu nic nie grozi i lekarze uważają, że będzie go można przesłuchać w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Powinna to być ciekawa rozmowa, mamy mu bowiem sporo do powiedzenia.

– Dobre wieści od balistyków? – spytała Palma. Frisch kiwnął głową.

– Tak, jego colt pasował. Z tej samej broni strzelano do Ackley i Montalvo. Barbish wcale nie jest taki sprytny. Okazało się, że jak wielu innych tępogłowych kowbojów jest zakochany w swojej broni. Powinien był się jej pozbyć. Jeżeli chce uniknąć zastrzyku z trucizną w Huntsville, będzie musiał znaleźć sobie cholernie dobrego adwokata. Wyobrażam sobie, że Gil Reynolds też już niemal czuje ukłucie igły. Chłopcy od podsłuchu nagrali jego reakcję, kiedy przeczytał rano w gazecie o postrzeleniu Barbisha. Przy akapicie z Mirel Farr zamilkł, aż dziewczyna, która spała u niego, zaczęła pytać: „Co się stało? Co się stało?” Nie mogła pojąć, co go tak nagle sparaliżowało. Truła tak, aż ją opieprzył, na co zaczęła ryczeć i strasznie się pożarli. Poleciała do sypialni i od tej chwili jest u niego cicho. Jeszcze się nie ruszył.

– A co z Johnem? – spytała Palma. – Jest coś od niego?

– Birleyowi nie udało się wydusić nic nowego z kochanków

Denise Kapłan. – Frisch wyjął z kieszeni notes i zajrzał do niego. – Za to chłopcy obstukujący sąsiadów Broussarda mają nazwisko jego gospodyni i kucharki. Przekazali mi je kwadrans temu. Alice Jackson, pięćdziesiąt osiem lat, Murzynka, mieszka niedaleko Wheeler Avenue tuż koło Texas Southern University. Maples i Lee dotarli do niej przez służącą jednego z sąsiadów, która twierdzi, że Jackson pracuje dla Broussarda od dziesięciu, może nawet dwunastu lat. Podobno Jackson mówi o swoim pracodawcy tylko tyle, że jest w życiu prywatnym „specyficzny”. Poza tym uważa, że Alice Jackson jest bardzo małowówna. – Frisch wyrwał kartkę z notesu i podał ją Palmie.

– Co z Farr? – spytał Grant.

– Prowadzący ją lekarz twierdzi, że będzie można z nią rozmawiać po południu. Dał jej silne środki znieczulające przed drutowaniem szczęki i chce, żeby trochę jej zeszła opuchlizna. Może o piątej po południu, ale nawet wtedy nie dostaniecie dużo czasu.

Grant kiwnął głową.

– No to chyba na początek weźmiemy się za Alice Jackson. Przeciągnął dłonią po twarzy, aż słycać było skrzypienie szczeciny.

W dziennym świetle Palma widziała, że jego oczy są zaczerwienione, a zmarszczki w kącikach oczu wyglądają jak wyrzeźbione. Cieszyło ją, że wino i na nim wywarło efekt.

– Będę z tobą uczciwy – powiedział do Frischa. – Nie wiem, co tu się dzieje. – Popatrzył na zegarek. – Jestem u was od mniej więcej trzydziestu sześciu godzin. Ackley wyeliminował się sam jako po-

dejrzeni, Barbish i Reynolds przestali nimi być kilka godzin temu i nie mamy więcej podejrzanych poza Dominikiem Broussardem, który jednak pasuje do mojego profilu w znikomym stopniu. W przypadku Kittrie nie widzenie, co zmieniłoby moje dotychczasowe wnioski. Musimy grzebać dalej, ale obawiam się, że nie pozostawi nam wiele czasu do następnego razu. Facet jest nakręcony, a jego fantazja lata jak piłka na gumce i lada chwila wybuchnie. Uważam, że kompletnie mu odbije. Koniec końców tak znikuje, że praktycznie odda nam się w ręce, przedtem jednak zabije jeszcze jedną... dwie osoby...

– Czyli nie sądzisz, że to Broussard – powiedział Frisch. Grant pokręcił głową.

– To jedyny kandydat, jakiego mamy na horyzoncie, i jest kilka elementów, które mi do niego pasowały – rozmawialiśmy o nich wczoraj wieczór z Leelandem, ale wciąż nad nimi dumalem i teraz trochę mniej mi się podobają. On po prostu nie pasuje do profilu, z jakim miewamy do czynienia w tego typu sprawach. Mój gliniarski nos mówi, że jeżeli ktoś zna dobrze każdą z ofiar, nie może to być przypadek, stąd umieściłem go na szczycie listy, ale moje doświadczenie z motywowanymi seksualnie zabójcami mówi mi, że to nie jego szukamy. – Grant stał na skraju cienia i słońce oświetlało jego lewy bark. Na czole perlili mu się pot i choć rozpiął marynarkę, wyglądał na mocno zgrzanego. Palmie przypomniało się, jak ściągnął buty, wyciągnął koszulę ze spodni i oparł się o kanapę. – Z drugiej strony przeciwko tym „przecuciom” przemawiają stare maksymy,

które trudno ignorować. Pierwsza z nich brzmi: „Czasami przypadkowy element może iść fałszywym tropem”. Fakt, że Broussard znał wszystkie ofiary, może być przypadkiem. W sumie specjalizuje się w szczególnego rodzaju emocjonalnych zaburzeniach u kobiet. Może podejrzewamy go tylko dlatego, że koniecznie potrzebujemy sukcesu. Druga maksyma brzmi: „W zachowaniu ludzi nie ma niczego stuprocentowo pewnego”. To, że nie widziałem czegoś w dotychczasowym tysiącu przypadków, nie oznacza, że nie ujrzę tego w następnym. Jeżeli ma się do czynienia z człowiekiem, wszystko jest możliwe. Zmienność ludzkiej osobowości jest nieobliczalna.

Po rozmowie Palma zawiozła Granta do Hyatt Regency, gdzie szybko wziął prysznic, ogolił się i przebrał. Czekał przy kawie, zastanawiała się nad tym, co ujrzeli w sypialni Janice Hardeman. Przypomniła sobie ich rozmowę, minę Granta i własne myśli. Ponownie wyobraziła sobie, jak sprawca pochyla się nad Vickie Kittrie, ujrziała jego gołe pośladki, wypukłości wzdłuż kręgosłupa, to co robi.

Nagle wstała. Poprosiła kelnerkę, by nie sprzątała, bo idzie tylko do telefonu, i pognała do automatów. Najpierw zadzwoniła do Jeffa China, potem do laboratorium, do Barbary Soronno. Kiedy Grant zszedł, zjedli śniadanie i choć obojgu wydawało się, że mają za sobą cały długi dzień, wypili po pierwszej tego dnia filiżance kawy. Dzięki prysznicowi Grant był w lepszym stanie niż Palma, wizyta w toalecie niewiele bowiem dała.

– Wspominałem, że chciałbym omówić z tobą kilka spraw

w cztery oczy – zaczął Grant po kilku łykach kawy. Miał na sobie świeży garnitur i białą koszulę. Wyglądał bardzo elegancko. Zastanawiała Palmę, czy ubierał się tak już za życia pierwszej żony, czy dopiero w wyniku znajomości z Chinką, której nazwiska ani razu nie wymienił. W każdym razie nosił ten strój nienagannie. – Najpierw jednak chciałbym się dowiedzieć, jak zareagowałaś na to, co widzieliśmy rano.

– Jak zareagowałam? Na co?

– Na wszystko.

Nie spodziewała się pytania i odpowiedziała pytaniem głównie po to, by zyskać na czasie. Nie umiała od razu odpowiedzieć sobie, ile ze swojej „reakcji” chce mu ujawnić. Grant zapytał bardzo ogólnie. Pozostawił jej do wyboru, czy powie o swojej postawie emocjonalnej wobec każdego przypadku, wobec wszystkiego, co oglądała w trakcie minionych dwóch tygodni, czy odniesie się jedynie do faktów dnia dzisiejszego, na przykład czy to, co zrobił zabójca, jej zdaniem odbiega od dotychczasowego schematu jego działania. Palma wiedziała, że to, co powie, ujawni tak samo wiele o niej jak o jej podejściu do sprawy, i była bardzo ciekawa, co tak naprawdę kryje się za pytaniem Granta. Postanowiła odpowiedzieć wprost. Jak zawsze.

– Szczegółem, który od początku zrobił na mnie największe wrażenie, były ugryzienia. Wiem, że w zabójstwach na tle seksualnym są normą, ale to nie są normalne zabójstwa na tle seksualnym. Przynajmniej w mojej opinii.

– W twojej opinii?

– Nie obawiam się przyznać, że od początku wywoływały we mnie silną reakcję emocjonalną. Nie wiem, na czym to polega, nie umiem określić kluczowego elementu, który powoduje, że wydają mi się nietypowe, ale jest w nich coś odmiennego. Widywałam przedtem ugryzienia, ale te sprawiły, że żołądek podjechał mi do gardła. U Bernadine Mello widziałam świadomą koncentrację na pępku, ale dziś rano... to poczucie... zniknęło. – Wyjrzała na ulicę, gdzie przed restauracją stał sznur taksówek. Po chwili znów zwróciła się do Granta. – Siedzisz w tym od dawna i dużo widziałeś. Może widywałeś już przedtem odcięte powieki. Ja nie widywałam. Może widywałeś wygryzione pępki. Ja nie widywałam, ale dla mnie obcięcie powiek to betka przy wyssaniu pępka. – Ściszyła głos, niezdolna zapanować nad skurczem gardła. – Nie usunął powiek ustami... ale dam głowę, że pępek nagryzł i wyssał.

– Skąd wiesz?

Palma popatrzyła na niego uważnie. Przez chwilę wpatrywali się w siebie.

– Tak to właśnie jest... – powiedział w końcu Grant. Jego mina świadczyła o tym, że kłębi się w nim przedziwna mieszanka ponurej wiedzy i powstrzymanego podniecenia. – To nie zawsze się zdarza, nie zawsze przychodzi do człowieka w ten sposób, kiedy się jednak przytrafi, jest niezwykle. Kiedy wczujesz się w któregoś z nich... nie istnieje nic porównywalnego.

Palma sięgnęła po szklankę wody i wypila duży łyk, aby zgasić

pożar w żołądku. Była bezgranicznie zaskoczona. Pamiętała, co Grant powiedział podczas ich drugiej rozmowy telefonicznej. Powiedział, że jej celem powinno być myślenie w sposób, w jaki myśli zabójca. Dla żartu odparła, że to żaden problem, ale Granta wcale to nie rozbawiło. Dodał, że jeżeli nie zacznie myśleć jak zabójca, będzie miała problem, ale będzie go też miała, jeżeli zacznie tak myśleć, tyle tylko że innego rodzaju. Wtedy nie bardzo wiedziała, o czym mowa, teraz obawiała się, że już wie. W co ona się wplątała?

– Posłuchaj mnie – znów odezwał się Grant i wróciła do rzeczywistości. Mówił powoli, jakby chciał jej pomóc, jakby wiedział, co czuje, i chciał ją uspokoić. – Właśnie odkryłaś w sobie coś niezwykłego. Odkrycie u siebie czegoś niecodziennego, bez względu na to co to jest, początkowo każdego przeraża. Nie jesteśmy przygotowani na odkrycie w sobie... daru. Odróżnia to człowieka w tajemniczy sposób od innych, w sposób, którego nie można wyjaśnić. Nie chcemy się do tego nikomu przyznawać. Obarcza nas to brzemieniem i zmusza do podjęcia decyzji. To niełatwy wybór, ciąga bowiem za sobą konsekwencje do końca życia. Chcę ci powiedzieć, że nie ma w tym nic magicznego ani zбочzonego. To coś jak... przecucie, tyle tylko że znacznie silniejsze. Musisz mieć odwagę pozwolić temu zaistnieć, wnikać w siebie i rozkwitnąć. Zaakceptować to. Jeżeli posiadasz taką umiejętność, taki błysk geniuszu i nie korzystasz z tej umiejętności... to błąd. Nie wolno dać się zastraszyć.

Palma miała wrażenie, że się dusi. Ogarnęła ją fala żaru i była pewna, że jej policzki płoną. Wypiła kolejny łyk wody i popatrzyła

na Granta.

– Chcesz powiedzieć, że... twoim zdaniem tak zrobił?

– Tak powiedziałaś.

Palma skinęła głową. Jeszcze przed chwilą była pewna swego, teraz jednak zauważyła, że dopóki Grant nie zwrócił na to uwagi, było to przekonanie, które należałoby określić mianem... podświadomego.

– Tak, uważam, że tak zrobił – potwierdził Grant. – A przynajmniej coś tak podobnego, iż możemy zacząć podejmować niektóre decyzje śledcze według tej „teorii”. Tak to jest. Coś się bagatelizuje, ale nagle człowiek idzie za swoimi „przecuciami” i okazują się zadziwiająco trafne. Ludzie akceptują przewidywanie przyszłości, jeżeli nazwiesz je „przecuciem”. Gliniarze są dumni ze swoich przecuć, nie wiedzą jednak, jakie to wrażenie, jeżeli naprawdę czuje się sprawę tak, jakby było się na miejscu i widziało wszystko na własne oczy. – Napił się wody, odsunął talerz z resztkami jedzenia i na jego twarzy pojawił się kwaśny uśmiech. – Prawda jest taka, że podejrzewałem, iż wyczujesz w tym znacznie więcej ode mnie. Ja utknąłem w martwym punkcie, ale ty najwyraźniej dokonujesz analizy na innym poziomie. Ja w dalszym ciągu uważam, że mój profil jest prawidłowy, nie widzę niczego, co należałoby zmienić, muszę się jednak pogodzić z faktem, że nie pasuje on do głównego podejrzanego. Moje podejście oddała nas od sedna sprawy i uważam, że możesz sprowadzić nas na prawidłowy tor.

Palmie zrobiło się nieswojo. Grant przemawiał, jakby znała na

wszystko odpowiedź i do niej należało rozwiązanie sprawy.

– Bądźmy uczciwi – odparła. – Wątpię, bym rozumiała więcej niż ty. To naprawdę jedynie przeczucie, choć przedstawiasz je jak coś znacznie bardziej... wyrobionego. Oczywiście, kieruję się po części emocjami, ale może zauważyłeś, że w dalszym ciągu są sprzeczne. Powiedziałam: „nagryzł i wyszał pępek” w rodzaju męskim, ale w dalszym ciągu nie mogę się pozbyć wrażenia, że zabójcą jest kobieta. Nie czuję w tym sprzeczności.

Grant błyskawicznie odpowiedział:

– Intuicja, tego rodzaju „rozumienie” nie jest precyzyjne. Trzeba je... dopasować. To jedynie wizja czyjejś psychiki i musisz mieć zarówno siłę, jak i wiarę, by poprowadziła cię ku racjonalnie niewyobrażalnemu dla ciebie pomysłu. Dlatego wydaje się amorficzna, niewyraźna. Nie prowadzisz, idziesz za pewną ideą. Oddanie się nakazom wewnętrznego głosu wymaga szczególnej odwagi.

Grant opierał się o stół i wpatrywał w Palmę z wielką powagą. Krótki wykład przedstawił żarliwie, a jak dotychczas ten przysłówek nie bardzo jej się z nim kojarzył. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Spróbujmy mimo to porównać Broussarda do listy cech, którą nam dałeś – powiedziała Palma, aby osłabić wrażenie w głowie, przypominające przepływ prądu wysokiego napięcia. Chciała się skoncentrować na czymś przyziemnym, rutynowym, zorganizowanym. – Dobry intelekt.

– Zgadza się. – Grant najwyraźniej rozumiał, co się dzieje z Palmą. – Bez dwóch zdań go ma.

- Przystosowany społecznie.
- Mam dziwne przeczucie, że w tym zakresie stoi kiepsko. Trzeba to zweryfikować. Powiedzmy, że mam rację. Nie zgadza się.
- Sprawny seksualnie.
- Nos mówi mi to samo co w poprzednim punkcie. Jest tak pokręcony jak jego pacjentki.
- Niekonsekwentne wychowanie.
- Nie wiemy. Nos znów mi mówi, że jego rodzice narobili w tym zakresie bigosu.
- Mieszka ze stałym partnerem.
- Nie.
- Śledzi sprawę w mediach.
- Jeżeli można mu wierzyć, nie.
- Sytuacja stresowa jako wyzwalacz.
- Nie wiemy, sądzę jednak, że w tym zakresie coś by się znalazło.
- Żonaty i ma dzieci.
- Nie Broussard.
- Zachowuje pamiątki z morderstw.
- Oczywiście, znów tego nie wiemy. Jednak w odróżnieniu od Reynoldsa... coś byśmy u niego znaleźli. Jestem pewien.
- Znaczenie fantazji.
- Tego jestem pewien. Broussard fantazjuje jak szalony. Palma przerwała.
- To by było na tyle.

– Na moje oko pasuje więc do czterech z dziesięciu cech. Nigdy nie możemy się spodziewać zgodności dziesięć na dziesięć, ale powinniśmy mieć lepszy wynik niż cztery. Ja osobiście zawsze mam lepszy procent zgodności.

Palma znów napiła się wody.

– Uważam, że jesteś wobec siebie nazbyt surowy. Przy szeregu cech zgadywaliśmy. Nie znamy Broussarda na tyle. Sądzę, że powinniśmy znów przejrzeć tę listę po rozmowie z Alice Jackson. Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że uzyskamy całkiem inny wynik.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Alice Jackson mieszkała bardzo blisko Texas Southern University, założonego podjętą w 1947 roku decyzją jako stanowy uniwersytet dla Murzynów. Ta decyzja legislacyjna nie była wbrew pozorom wynikiem pojawienia się oświeconego politycznego organu stanowego, lecz dokonaną przez rasistowsko nastawionych polityków próbą zatkania gęby ambitnym Czarnym, którzy coraz częściej szli do sądu z żądaniem dopuszczenia ich do edukacji uniwersyteckiej. Aż do 1950 roku Czarni byli wyłączeni z udziału w teksaskim systemie uniwersytetów państwowych, w efekcie czego powstała szkoła wyższa, do której uczęszczało obecnie ponad osiem tysięcy studentów, głównie Murzynów z rejonu miasta Houston.

Tutejszej okolicy nie wiodło się najlepiej. Wręcz należałoby przyznać, że żaden z tutejszych mieszkańców nie znał w swoim życiu czasów innych niż „ciężkie”, aczkolwiek niektórzy musieli przyznać, że obecnie już nie tylko jest ciężko, ale na dodatek wrednie. Cholernie wrednie. Kilka przecznic na wschód od ulicy, przy której mieszkała Alice Jackson, na Gulf Freeway, dudnił nieustający strumień samochodów jadących nad zatokę i wracających znad zatoki, a kilka przecznic na zachód South Freeway i Southwest Freeway huczały nieprzerwane strumienie pojazdów pędzących w kierunku Meksyku. Alice Jackson nigdy nie była w żadnym z tych miejsc, nie zamierzała też udać się ani do Meksyku, ani nad zatokę. Nigdy nie oddalała się zbytnio od domu i obserwowała zarówno to, co się dzia-

ło w sąsiedztwie, jak i to, co nie powinno się tu dziać. W niedalekim parku Emancipation miejscowa młodzież wyruszała po nocach w drogę do piekła, częstując się kokainą, heroiną, nowymi chorobami i uzależnionymi od narkotyków noworodkami, które służba zdrowia musiała potem ratować, a babcie wychować. Kilka dziewczyn z wyższych klas tutejszych szkół miało na imię Hope, ale na tym też kończyła się wśród tutejszej młodzieży znajomość znaczenia tego słowa. [Hope (ang.) – nadzieja] Najwyraźniej jednak w ostatnich latach zniknęło ono do końca ze słownika tutejszej młodzieży, bowiem poniżej ósmej klasy praktycznie nie spotykało się tego imienia.

Alice Jackson obserwowała odbywające się w jej dzielnicy dziwaczne, smutne widowisko z werandy niewielkiego ceglanego domku, który różnił się od sąsiednich czystością. W maleńkim ogródku od frontu nie tylko rosła trawa, na dodatek była regularnie strzyżona. Balustrada werandy była pomalowana. Choć nie miała czego zaparkować na betonowym podjeździe, Alice niszczyła wystające w pęknięciach uparte chwasty. Myła okna i trzy razy w tygodniu chadzała do kościoła baptystów Rzeka Jordanu za rogiem. Alice Jackson była w stanie obserwować otaczający upadek z czymś na kształt filozoficznego spokoju jedynie dzięki tym regularnym, bardzo angażującym emocjonalnie spotkaniom z ideą istnienia lepszego, pośmiertnego świata. Starła się kroczyć przez życie wyprostowana, nie tracić wrażliwości serca i razem z resztą kongregacji czekała na dzień „w przyszłości, w którym zrozumiemy dla-

czego”.

Kiedy Grant i Palma stanęli przed domem mniej więcej w pół do pierwszej, ujrzeli na schodach werandy Alice Jackson kwitnące w wyblakłych doniczkach petunie o różowych, fioletowych i lawendowych kwiatach. Palma rozejrzała się po ulicy, popatrzyła przez chwilę na dom i zaczęła wyobrażać sobie kobietę, z którą zaraz będą rozmawiać. Petunie były niedawno podlewane, a na schodach migotały jeszcze ciemne krople wody. Zapukali i wciągnęli w nozdrza zapach rozchodzącego się w upalnym powietrzu niedzielnego obiadu.

– Pieczona szynka – stwierdził cicho Grant i Palmie przypomniały się inne zapachy, rozchodzące się w innej części miasta, zapachy jej dzieciństwa.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, za siatkowymi drzwiami ukazała się twarz Alice Jackson – ciemna maska o ułożonych pytająco ostrych, jakby rzeźbionych rysach. Na siatce opierało się obronnie bursztynowe wnętrze dłoni o szczupłych palcach.

– Pani Alice Jackson? – spytała Palma.

– Tak, słucham.

– Nazywam się Carmen Palma, a to pan Sander Grant. – Palma pokazała odznakę. – Jestem z policji Houston, a pan Grant z FBI. Miałaby pani dla nas kilka minut?

Alice Jackson zawahała się.

– A o co chodzi, proszę pani? – zapytała powoli, grzecznie. Miała na sobie ciemną sukienkę w kropki z szerokim białym kołnier-

rzem. Długie włosy związała w kok.

– Jesteśmy członkami grupy prowadzącej śledztwo w sprawie seryjnych morderstw, które miały miejsce w mieście. Rozmawiamy z ludźmi, którzy mieszkają albo pracują w Hunters Creek, gdzie mieszkały niektóre ofiary, a wiemy, że pani tam pracuje.

– To prawda. – Popatrzyła uważnie na Granta. – Pracuję. Chyba powinniście państwo wejść. – Pchnęła drzwi i cofnęła się, by ich wpuścić.

Alice Jackson była wzrostu Palmy, ale znacznie szczuplejsza i poruszała się powoli, godnie, w sposób świadczący o sporej kulturze. Poprosiła, aby usiedli na niewielkiej kanapie w klinicznie czystym saloniku, i zaproponowała coś do picia, ale oboje odmówili. Usiadła w fotelu naprzeciwko i w bardzo naturalny sposób skrzyżowała nogi w kostkach i złożyła dłonie na podolku. Obecność dwojga białych detektywów w jej domu nie zdawała się jej niepokoić, choć w tej okolicy zarówno policja, jak i biali byli rzadkością, kiedy zaś się zjawiali – zarówno jedni, jak i drudzy – nigdy nie byli mile widziani. Lekko pochyliła głowę do przodu i czekała na dalsze wyjaśnienia.

Przez może dwie minuty Palma zadawała ogólne pytania i notowała odpowiedzi, dawała Alice okazję do obserwacji i wyciągnięcia na swój temat wniosków, równocześnie próbowała wyczuć, jak ich gospodyni zareaguje na trudniejsze pytania, które zaraz będą musiały paść. Dość szybko doszła do wniosku, że roztropna starsza pani nie tylko poradzi sobie ze skrępowaniem wynika-

jącym z rozmowy o jej pracodawcy, wręcz już zaczęła podejrzewać, że powodem ich przybycia jest osoba doktora Dominicka Broussarda. Nie należała do osób, które trzeba było dobrze nastroić albo sprytnie podejść, żeby móc poważnie porozmawiać.

– Pani Jackson – w końcu powiedziała Palma. – Sądzę, że najlepiej jeżeli będę szczerą. – Alice Jackson lekko skinęła głową. – Zamierzam zapytać o kilka dość osobistych i dyskretnych spraw dotyczących doktora Broussarda, chcę jednak, by wiedziała pani, że w takim śledztwie jak to wypyujemy o bardzo wiele osób. Oczywiście większość z nich nie jest o nic podejrzanych, mimo to musimy zadać mnóstwo pytań. W procesie kryminalnym oskarżony jest uważany za niewinnego, dopóki nie udowodni mu się winy, przed procesem odbywa się jednak śledztwo, w którym jest znacznie więcej podejrzanych.

– Rozumiem, co chce pani powiedzieć. Rozumiem. Proszę pytać. Palma uśmiechnęła się.

– Doskonale. Jak długo pracuje pani dla doktora Broussarda?

– Trochę dłużej niż osiem lat.

– Pracuje pani u niego pięć dni w tygodniu?

– Pięć i pół. Przychodzę w sobotę rano i zostaję do południa. Często ma w sobotę rano pacjentów. Robię mu obiad, głównie francuskie dania, których mnie nauczył. To zawsze pełen posiłek i przygotowuję go tak, by mógł odgrzać w kuchence mikrofalowej, kiedy wyjdę. Gotowanie to moje główne zajęcie, ponieważ jest kawalerem, nie ma dużo sprzątanania. Nie robi nieporządku. Jest wyjątk-

kowo porządnym człowiekiem.

– Tak jest w każdą sobotę? Alice Jackson skinęła głową.

– Od lat. Z regularnością zegarka.

– Jeździ pani do pracy autobusem?

– Rano przyjeżdżam, po południu odjeżdżam.

– O której wychodzi pani wieczorem w tygodniu?

– O siódmej. Po zrobieniu kolacji. Co prawda pracuję dłużej niż większość służby, ale za to dobrze mi płaci. W lecie jest o tej porze jeszcze widno i mogę się w drodze powrotnej cieszyć zachodem słońca.

– Co pani wie o wieczornych zajęciach doktora Broussarda?
Czy regularnie dokądś wychodzi?

– Nic na ten temat nie wiem.

– Czy zdarzało się pani spotykać kobiety, z którymi umawiał się prywatnie?

– Nie, proszę pani.

– Czy wie pani coś o jego życiu prywatnym?

– Raczej nie.

Palma nie wiedziała, czy oznacza to „nic”, „nie pyta się o takie rzeczy” czy „niewiele”. W każdym razie odpowiedź była ciekawa.

– Czy doktor Broussard jest homoseksualistą?

Alice Jackson nie odpowiedziała od razu, pytanie nie wydawało się jej jednak szokować. Po prostu zastanawiała się, co odpowiedzieć. Popatrzyła w kierunku drzwi wejściowych, przez które wpadające do środka południowe słońce malowało na wyłożonej lino-

leum podłódze złoty pas – jakby zdziwiona tym widokiem. Jej myśli musiały krążyć wokół pytania Palmy.

– Nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie. Sprzątanie czyjegoś domu to śmieszne zajęcie. Tutaj, na południu, sprzątaczkę to głównie czarne albo Meksykanki. Miała pani w rodzinie sprzątaczkę?

– Nie – odparła Palma. – Chyba nie.

Taak... – Wzrok Alice przesunął się na Granta, potem wrócił do Palmy. – To ciekawe zajęcie. Doktor Broussard jest psychiatrą i wie sporo o ludzkiej naturze. Policja też wie sporo o ludzkiej naturze. Doktor Broussard ogląda sporo dziwaków i pani chyba też. – Skinęła głową, jakby do siebie samej i zamyśliła się na chwilę. – Cóż, służący – ja wolę mówić „gosposia”, ale pracodawcy wołają „służący” – też wiedzą sporo o ludzkiej naturze. Nie wiem dokładnie, na czym to polega, ale jeżeli ktoś płaci drugiej osobie, żeby zajmowała się jego osobistymi rzeczami, musi się chyba jakoś od niej odciąć, ponieważ płacenie obcemu za robienie tego, co zwykle robi się samemu, robi to za kogoś żona albo matka, to żenujące. Może właśnie dlatego pracodawcy udają, że służba to ludzie nie całkiem rozwinięci. Udają, że są ślepi albo głusi i nie widzą ani nie słyszą niczego. Cóż, służąca to tylko „pomoc”. Doktor Broussard jest bardzo grzeczny i uprzejmy, zawsze bardzo dobry, ale czasami uważa, że jestem ślepa i głucha. – Alice popatrzyła na Granta. – Przepraszam, może brzmi to bardzo ogólnie, ale zadaliście bardzo poważne pytanie i chyba mam na nie odpowiedź, choć nie wiem, co oznacza. Dlatego ko-

niecznych jest kilka wyjaśnień. – Zwróciła się ponownie do Palmy. – Od ośmiu lat prowadzę dom pana Broussarda. Nie sądzę, by kiedykolwiek miał żonę. To kawaler z krwi i kości. Sprzątam u niego, ale jak już mówiłam, niewiele brudzi i jedynymi rzeczami, jakimi muszę się zajmować, są jego przedmioty osobiste. Sypialnia. Pościel. Pranie. – Przerwała i popatrzyła na swoje dłonie. Uniosła je i poklepała się lekko po udach, jakby nakłaniając do dalszego mówienia. – Lubi kobiety. Czasami kiedy przychodzę rano, jest z nim kobieta. Czasami leżą w łóżku prawie do południa. Słyszę, ale udaję głuchą. Widzę, ale udaję ślepą. – Uśmiechnęła się, jakby udowodniła swoją poprzednią tezę, zaraz jednak ściągnęła brwi i zmarszczyła czoło. – W sypialni doktora na piętrze są dwie wielkie szafy. W jednej ma garnitury, spodnie i koszule, w drugiej – kobiece sukienki i półkę peruk. Ma dwie duże komody. Jedna jest pełna jego bielizny i osobistych rzeczy, drugą wypełniają damskie rzeczy. Na „swojej” komodzie trzyma wodę kolońską i inne przedmioty do pielęgnacji – na przykład szczotki do ubrań i komplet szczotek do butów. Chyba zauważyliście, że jest bardzo eleganckim mężczyzną. Na damskiej komodzie stoi pełen zestaw pachnideł i kosmetyków. Mnóstwo najróżniejszych. Przez dłuższy czas sądziłam, że ma jakąś kobietę i to jej własność, wkrótce jednak doszłam do wniosku, że tak nie jest. Ma dużo przyjaciółek, ale przecież ani nie noszą tego samego rozmiaru bielizny, ani nie używają tych samych kosmetyków. Zdziwiło mnie to i zaczęłam obserwować. Kosmetyki były używane regularnie, sukienki często noszone. Wszystkie są w tym samym rozmiarze,

jak na kobietę – bardzo dużym. Metki pochodzą z dobrych firm, sukienki są eleganckie i głównie wieczorowe. Nie ma wśród nich nic do noszenia na co dzień. Zawsze kiedy pojawiała się jakaś nowa, zniknęła któraś ze starszych, mniej modnych. – Alice Jackson popatrzyła Palmie prosto w oczy. – Sprawa jest taka, że czasami prałam damską bieliznę, choć nie było przedtem w domu kobiety, nawet przez kilka tygodni.

– Po jakim czasie pani to odkryła? – Palmie łomotało serce. Domyślała się, że umysł Granta pracuje na najwyższych obrotach, próbując umieścić te informacje w niepełnej mozaice psychiki mordercy.

– Kiedy zauważyłam to po raz pierwszy? Cóż, powiedziałabym, że od początku.

– Czyli przez osiem lat wie pani, że jest transwestytą?

– Jeżeli to się tak nazywa, to tak.

– W jakim kolorze są peruki? – Palmie z trudem przychodziło panować nad głosem.

– W większości blond. Jest chyba jedna jasnokasztanowa, ale reszta jest blond.

– Ile ich jest?

– Wydaje mi się, że pięć.

– Czy widziała go pani kiedyś w sukience?

Alice jakby z początku nie zrozumiała, po chwili jednak zmieszła się, odwróciła wzrok i poruszyła się niespokojnie.

– Raz. Kilka lat temu. To było w czwartek wieczorem. Pojecha-

łam autobusem do domu i kiedy wysiadłam na swoim przystanku, zauważyłam, że zostawiłam u doktora prezent dla siostrzenicy, która miała przyjść jeszcze tego samego dnia. Zaczekałam więc na następny autobus i wróciłam. Zadzwoiłam przy drzwiach frontowych, nikt jednak nie odpowiadał, pomyślałam więc, że jest w studiu, w lasku za domem. Otworzyłam więc sobie drzwi własnym kluczem i poszłam do pokoiku, gdzie trzymam rzeczy, i wzięłam zabawkę. Kiedy wracałam do wyjścia, usłyszałam na tarasie muzykę. Przeszłam przez jadalnię i wyjrzałam na zewnątrz. Był tam – ubrany jak dama, popijał wino i spacerował w rozwiewającej się sukience. To był niesamowity widok... Nie mogłam nic na to poradzić, ale stanęłam i obserwowałam go przez kilka minut, jak się puszy i porusza tanecznym krokiem, pije wino i słucha muzyki. – Na wspomnienie tego widoku pokręciła głową. – Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że doktor Broussard nie jest otwartym człowiekiem. Jest dość... chłodny. Często spięty, pełen niepokoju. Mrukliwy. Wtedy jednak był kompletnie rozluźniony. Nie czuł się w sukience źle.

Znakomicie radził sobie w pantoflach na wysokim obcasie. Był do tego taki szykowny! Boże, stałam jak zahipnotyzowana. Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, sprawiał na mnie wrażenie, że czuje się dobrze we własnej skórce i jest zadowolony. Wydało mi się, że byłoby mu lepiej, gdyby był kobietą. Byłby znacznie szczęśliwszy. – Ponownie zwróciła się do Granta. – Rozumie pan, co mam na myśli? Czy jest homoseksualistą? Nie sądzę. Powiedziałabym, że jego kontakty z kobietami są dość tradycyjne, ale lubi ubierać się jak kobieta.

Nie wiem zbyt dokładnie, co oznacza homoseksualizm, ale uważam, że doktor Broussard tak lubi kobiety, że chciałby zostać kobietą.

– Jest pani znakomitym obserwatorem – powiedział Grant. Odezwał się po raz pierwszy i Alice Jackson na dźwięk jego głosu aż się poprawiła w fotelu. – Sądzę, że pani informacje bardzo nam pomogą. Wspomniała pani gabinet doktora. Tam też pani sprząta?

– O nie, tam pracuje specjalna firma. Doktor twierdzi, że może to sobie odpisać od podatku.

– Czy kiedykolwiek spotkała pani którąś z jego pacjentek?

– Widywałam je w przelocie.

– Także u niego w domu?

– Tak.

– Skąd wiedziała pani, że widzi pacjentkę?

– Już mówiłam, że on się czasami tak zachowuje, jakbym była głucha. Rozmawiał z nimi profesjonalnie, tak jak moim zdaniem psychiatra rozmawia z pacjentem.

– Sądzi pani, że utrzymywał z nimi kontakty seksualne?

– Na to wyglądało.

– Czy ma pani podstawę sądzić, że w kontaktach seksualnych z kobietami, które sprowadzał do domu, było coś niezwykłego? – spytała Palma.

– Niezwykłego... To trudne pytanie. Moim zdaniem z każdym rokiem coraz trudniej to pojęcie zdefiniować. – Znów popatrzyła na swoje dłonie i pokręciła głową. – To, co w tej dzielnicy jest określane jako „niezwykłe”, bardzo się ostatnio zmieniło. Sądzę, że nie

tylko tutaj. – Znów pokręciła głową. – Podejrzewam, że dla mnie znacznie więcej rzeczy może się wydawać „niezwykłe” niż dla kogoś innego, mimo to odpowiem: nie. Nie mam podstaw sądzić, doktor Broussard robił z kobietami, z którymi sypiał, cokolwiek „niezwykłego”. – Popatrzyła na Palmę. – Tak naprawdę to tego jednak nie wiem...

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

– A więc wiesz dużo o kobietach? – spytała Mary Lowe.
W dalszym ciągu opierała brodę o kolana i oplatała nogi ramionami.

– Wiem sporo o pewnym typie kobiet.

– O pewnym typie...

Broussard skinął głową. Czuł wpadające przez okno ciepłe powietrze, czuł je we włosach na piersi, jego dotyk na skórze. Słyszał syk zraszaczy na trawniku.

– O ofiarach kazirodczych stosunków ojców i córek. Broussard skinął głową.

– O mnie.

– W pewnym stopniu. – W tym momencie pomyślał, że chyba spośród wszystkich kobiet, jakie były jego pacjentkami, o żadnej nie wiedział tak mało jak o Mary Lowe. Chyba już tak miało pozostać. Była jedyna w swoim rodzaju, a poczucie jej odmienności nie wynikało z rozumowego wnioskowania czy analizy. Pochodziło raczej z wnętrza jego emocjonalnego „ja”. Z głębi brzucha.

– Co wiesz o mnie?

– Ogólnie?

– Nie. O mnie jako jednostce. O podkategorii „typu”, jaki wymieniłeś. Broussard czuł zapach wilgotnej, wygrzanej przez słońce trawy i wrażenie to było dla niego tak samo erotyczne jak zapach perfumowanej skóry Mary. Wyobraził sobie, że stoi pod przeciwległą ścianą i obserwuje siebie oraz Mary Lowe. Widok był niezwykły

i podobał mu się. On w jedwabiu, ona naga. Jasnowłosa i naga, obramowana okienną wnęką jak kobieta na renesansowym malowidle, za którą rozpościera się letni krajobraz. Gdyby ujrzał taki obraz w książce albo czasopiśmie, z przyjemnością dopisałby do niego historię.

– Masz skłonności do izolowania się – powiedział Broussard przesuwając wzrok z krzywizny jej biodra na oczy. – Powiedziałbym, że nie masz bliskich przyjaciółek. Odrzucasz oferty przyjaźni ze strony matek szkolnych koleżanek i kolegów twoich dzieci. Jesteś dobrą matką i żoną, niezwykle odpowiedzialnie spełniającą te role, choć mogłabyś być tu nieco bardziej uczuciowa. Mimo to sprawiasz wrażenie wzorowej matki i żony. – Broussard wyprostował nogi i przysunął krzesło bliżej Mary. Przekrzywiła głowę i skryła usta zgiętymi kolanami, znad których przyglądała mu się jak zaciekawiony ptak. Był tak blisko, że pochyliwszy tułów do przodu, mógł dotknąć – leciusieńko musnąć – ustami jej nagich kolan. Kiedy mówił, jego wargi łaskotały jej skórę. – Jesteś marzycielką, onanizujesz się niezwykle często i notorycznie kłamiesz. Masz za sobą długi etap pogardy wobec siebie samej, z czym próbujesz sobie poradzić projektując na innych nienawiść. Mówiąc zwykłym językiem – dostrzeżasz u innych ludzi nienawiść wobec siebie, podczas gdy naprawdę to autoagresja. Oscylujesz pomiędzy wypieraniem swoich seksualnych impulsów a promiskuityzmem. Nie ufasz swoim własnym chęciom i potrzebom i często mówisz sobie, że nie masz prawa do opiekuńczości i szacunku, jakie okazuje ci mąż. Miewasz koszmary

senne, często o podtekście seksualnym, czasami agresywnym. Podejrzewałbym też, że twoje seksualne doświadczenia z kobietami często zawierały sporą dawkę agresji i preferowałaś... pozycję masochistyczną.

Kiedy skończył, nic nie powiedziała, nie poruszyła się, w dalszym ciągu przyglądała się znad kolan. Czekał. Nagle – niczym cienki purpurowy wąż – z jej kolana wyciekła strużka krwi. Powoli potoczyła się w dół białego uda, dotarła do fałdy, gdzie kończyło się udo, a zaczynała pachwina, wypełniła szparkę i ponownie wypłynęła na zewnątrz. Czerwony pasek zabarwił biodro.

W kąciakach jej oczu pojawiły się wielkie łzy. Broussard wstał, poszedł do łazienki i wrócił z mokrym ręcznikiem. Mary odwróciła głowę całkiem w bok i bez słowa pozwoliła mu wytrzeć najpierw fotel, potem swoje biodro, pachwinę, obetrzeć udo, obmyć ślady po zębach. Nie chciał pozostawić ani kropli krwi, ścierał ją więc, aż przestała lecieć. Nie zabandażował ugryzienia na kolanie, pozostawił je jak rozetę, mandalę, symbol joni, pionowy uśmiech. Mary zdawała sienie zwracać na niego uwagi.

Kiedy skończył, wrócił do łazienki, wyplukał ręcznik, rozwiesił go na umywalce i wrócił na swoje miejsce. Mary odchyliła tułów do tyłu i ciężko oddychała. Broussard zastanawiał się, czy jest to wynikiem bólu, czy wywołanego nim podniecenia seksualnego.

– Chyba masz w paru sprawach rację – powiedziała opuszczając na podłogę stopy i prostując nogi. – W większości. – Jej sutki sterczały prosto. Były jak różowe aureole. – Co o tym sądzisz?

– A co ty o tym sądzisz?

Mary oddychała głęboko, z wysiłkiem. Broussard nie był sobie w stanie wyobrazić, co krąży jej po głowie.

– Sądzę, że nigdy nie powinnam była odkryć seksu w taki sposób i że... nigdy nie powinnam była poczuć przyjemności... z nim... – Opanowała chlipnięcie i na sekundę jej twarz się wykrzywiła. Zaraz jednak się opanowała, wciągnęła brzuch, otworzyła szeroko oczy, aby powstrzymać płacz.

Broussard obserwował ją spokojnie, nie przejęty jej cierpieniem, nieporuszony burzą emocji. Była niezwykle atrakcyjna w każdej sytuacji – zboląła, zawstydzona, nawet upokorzona.

– Powinnaś zrozumieć – zaczął nieco schrypniętym głosem, choć sam nie wiedział dlaczego – że nie jesteś odpowiedzialna za biologiczne reakcje swojego organizmu. Jeżeli ktoś cię w określony sposób dotknie, podnieci, ciało zareaguje bez względu na to, kto to zrobił. Odpowiedzialność za to, co czujesz, nie leży po twojej stronie, lecz po stronie twojego ojca. Wykorzystał twoją ufność i to on jest odpowiedzialny za to, że twoja reakcja była nieodpowiednia – dlatego że nieodpowiedni był bodziec. Nie można od dziecka oczekiwać, by wiedziało, co jest nieodpowiednie... nie można oczekiwać, by wiedziało, że...

Broussard przerwał. Czego nie można oczekiwać od dziecka? Jego kariera opierała się na mówieniu setkom ludzi, czego nie można oczekiwać od dziecka, ale tak naprawdę to przecież tego nie wiedział. Został psychiatrą, aby uzyskać odpowiedź na to i podobne

pytania, ale nawet kiedy zdobył wszystkie stopnie specjalizacji – pozostał ignorantem. Zaczął się więc chronić za tarczą „wiedzy” i wyjaśniać ludziom to, czego sam nie rozumiał. Wierzyli mu jednak, zwłaszcza kobiety, pragną bowiem wiary, w ten jednak sposób stracił dla nich szacunek. Jak szanować kogoś, kto daje się tak łatwo otumanic i ma emocjonalne odruchy leminga?

Dziecko jest znacznie bardziej niewinne, niż sądzą dorośli. Jest też jednak znacznie sprytniejsze. Dorośli je oszukują, ale ono nie daje się zwieść. Co właściwie wie dziecko? Więcej niż jest mu w stanie przekazać logika, nauka, biologia. Broussard pamiętał: wielkie piersi... wielkie piersi jak u niektórych kobiet, jak piersi Bernadine, jak piersi Mary Lowe... zagłębiona pomiędzy nie jego twarz, dotykająca najmniejszej rzeczy na świecie. Pamiętał ich zapach, ich dotyk na karku, kiedy się nad nim nachylała, stała za nim i go ubierała, wkładała mu majteczki, podciągała rajstopki, a elastyczny materiał obciskał jego nóżki, jedwab i nylon przyciskał mu do brzucha maleńkiego penisa. Głaskała go i pieściła, przeciągała dłońmi po pastelowej sukience, krochmalonym śliniaczku. Uszczęśliwiała jato i zrobiłby wszystko, żeby była szczęśliwa. Zawsze kiedy ojciec wyjeżdżał, kiedy zostawali sami, nawet na trzy albo cztery godziny, kiedy tylko miała okazję, rozbierała go i ubierała w dziewczęce ubranko. Z biegiem czasu on się zmieniał, zmieniała się moda, ale ona się nie zmieniała – aż skończył piętnaście lat. Podało mu się to. Lubił dotyk nylonu i jedwabiu, był bowiem taki sam jak dotyk jej nylonowych i jedwabnych rzeczy, dla niego zaka-

zanych, gdyż tak bliskich jej ciała. Nawet kiedy przyciskała go do siebie, tak że zanurzał twarz pomiędzy jej pełne, pachnące piersi, były dla niego zakazane, wolno mu było jednak być blisko i wyobrażać sobie, co to za ciemny trójkąt prześwituje przez jej cienkie majtki. Kiedy ubierała go w dziewczęce stroje, nie miała żadnych zahamowań co do własnego ubrania. Stawali się wtedy dwiema dziewczynkami w bieliźnie. Kiedy go ubrała, obejmowała go i wtedy wolno było jego dłoniom dotykać każdej intymnej części – ale tylko kiedy był przebrany za dziewczynkę. Pozwalała mu nawet – choć musiała go do tego specjalnie zachęcić – badać swe ciało i lizać. Czyż jednak nie chciał tego sam? Czyż to nie on stawał się za każdym razem odważniejszy, coraz śmielszy aż... regularnie... zaczęli przekraczać granicę dzielącą matkę i syna? To ona jednak go ubierała. Ona dała mu okazję. Ona wcisnęła jego buzię między swoje piersi i trzymała ją tam, podając jego ustom twardniejące sutki. To ona po raz pierwszy trzymała go w taki sposób, że nie był w stanie uciec od ciemnego miejsca między jej nogami.

Mary Lowe wpatrywała się w niego.

Jedne spryskiwacze się wyłączyły, inne włączyły, chyba bliżej zalewu.

– Dane kliniczne sugerują – powiedział jak maszyna – że niektóre kobiety reagują w wieku dorosłym na traumę kazirodczą odmową utrzymywania kontaktów heteroseksualnych. Stają się biseksualne albo wręcz homoseksualne.

Czy już raz tego nie mówił? Powtarzał się? Mary wpatrywała

się w niego.

– Kiedy kazirodztwo wywołuje ambiwalentne uczucia, na przykład wraz z negatywnymi emocjami, wynikającymi z wykroczenia przeciwko sumieniu, pojawiają się takie pozytywne elementy jak przyjemność albo poczucie bycia kochanym – wtedy czasami trauma jest większa niż w przypadku, kiedy wydarzenie jest całkowicie niechciane. – Tego chyba jeszcze nie mówił. Wyrzucał z siebie psychologiczne formułki jak automat, korzystał z wyuczonych na pamięć cytatów, aby powstrzymać burzę własnych emocji. – Kiedy emocje są sprzeczne, konfliktowe, dochodzi do najpoważniejszych uszkodzeń, ponieważ zaciera się moralna linia demarkacyjna. Dziewczynka czuje się wtedy osobiście odpowiedzialna za doprowadzenie do aktu, który wydaje jej się zły (poprzez podkreślanie faktu, że są w znowie, dorosły też komunikuje, że coś jest nie tak) i nigdy sobie nie przebacza. Kiedy staje się kobietą, to choć udało jej się wyprzeć pamięć tego doświadczenia do podświadomości, w dalszym ciągu nie ma dla siebie przebaczenia. W dalszym ciągu dręczy ją nieokreślony niepokój, przypominający o tym, że zrobiła coś nie tak. W którymś momencie wspomnienie odżywa, zazwyczaj pod wpływem stresu i kobieta zostaje skonfrontowana z faktem kazirodztwa.

Broussard z ulgą dostrzegł, że Mary nie patrzy na niego, lecz obserwuje ślad zębów nad kolanem. Czuł na swojej górnej wardze krople potu i lepką wilgoć, która nagle pojawiła mu się pod pachą. Czyżby Mary zauważyła coś w jego minie, co spowodowało, że odwróciła oczy? Co się stało? Dlaczego zaczęła oglądać ugrzyzenie?

To niemożliwe... nie do pomyślenia, żeby stał się tak przejrzysty, by stało się widoczne że... przekroczył granicę... Przecież całe życie uczył się panować nad sobą... przeszedł trening...

– Naprawdę nie czuję nienawiści wobec ojca – zaczęła Mary bez wstępu. – Nie da się żyć całkiem bez miłości, bez żadnego związku emocjonalnego. Jeżeli szukał uczucia u dziecka, nie mogę go za to potępiać. – Popatrzyła przez ułamek sekundy na Broussarda i znów wpatrzyła się w kolano. – Chyba już mówiłam, że zawsze był dla mnie bardzo dobry. Bardzo czuły. Nawet kiedy byłam już starsza i odbywaliśmy regularne stosunki, był dobry, czuły i kochający.

Broussard obserwował ją uważnie. Kłamała. Kiedy rozmawiali ostatnim razem, opowiedziała jak jej ojciec – w końcu ojciec czy ojczym? – wziął ją brutalnie. Powiedziała wtedy: „Chwilę leżał i dyszał, zszedł ze mnie, podciągnął spodnie, wstał i jak zawsze odszedł nie patrząc na mnie ani się nie odzywając”. Jak zawsze.

– Może nie był to ten rodzaj miłości, jaki powinnam otrzymać, ale innej nie miałam. Sądzę, że to była też jedyna miłość, jaką on dostawał. Wątpię, by człowiek mógł długo żyć całkiem bez miłości i jeżeli jej nie dostaje, bierze coś w zamian i okłamuje się, że ma, co chciał.

Znów popatrzyła na niego i nagle zapragnął pocałować jej oczy. Chciał położyć na nich język, na gałkach ocznych – tak jak często miał ochotę zrobić z Bernadine.

– Kiedy o tym myślę, zawsze przypomina mi się film o małpce, który pokazywano nam na wykładach z psychologii – powiedziała

Mary. – Trzymano ją w izolacji, dla eksperymentu. Technicy wsadzili jej przez kratę gumową rurę z namalowanymi kropkami oczu i owinęli szmatą, żeby była przyjemniejsza w dotyku, i biedna istotka zakochała się w kawałku gumy. Trzymała ją, tuliła, głaskała. Z pewnością wierzyła, że rura ją kocha – choć rura ani razu tego nie okazała. Małpka była przekonana, że rura ją kocha, i pokochała rurę. Przerazała ją możliwość oderwania od rury, więc nie opuszczała jej ani na chwilę. Kiedy jej ją zabrano, dostała depresji. Przestała jeść. Przestała spać. W końcu zachorowała i zdechła. – Mary znów przyjrzała się Broussardowi. – Jakiś rodzaj miłości. Jeżeli nie można mieć oryginału, człowiek tworzy sobie coś zastępczego. Okłamuje się, przekonuje, że to nie fałszerstwo, lecz prawda. Ludzie robią masę groteskowych rzeczy, które nazywają miłością, ale nie dlatego że chcą, lecz muszą.

– A co z zemstą? – nagle spytał Broussard.

Mary powoli podniosła nogi, teraz trzymała je tak jak poprzednio, tylko oparła plecy o ścianę.

– Nigdy nie pożyłaś zemsty?

– Nie. On nic na to nie mógł poradzić.

Było to sprytne. Wiedziała doskonale, o czym mowa. Broussard dobrze wiedział, co to zemsta. Wiedział, co może uczynić dziecku egoizm dorosłego i nieumiejętność zaspokojenia przez niego dziecięcych potrzeb. Jedną z tego przyczyn jest narcyzm. Kontakt między dzieckiem a narcystycznym rodzicem służy wyłącznie rodzicowi, dziecko nie ma nic z – co prawda kazirodczego – ale mimo to

emocjonalnego zaangażowania rodzica. Staje się jak gumowa tuba w klatce małpki – przedmiotem do używania. Broussard dobrze pamiętał, jak matka go obejmuje, zagłębienie między jej miękkimi piersiami, znajdujący się tam nylon i jak mówi, że jest najładniejszą dziewczynką, jaką kiedykolwiek trzymała w ramionach, potem żeby ją dotykał, a jeszcze później odchyła do tyłu głowę i pozwala mu robić wszystko, na co ma ochotę. Nigdy nie miała dość. Nigdy nie był w stanie jej dogodzić – bez względu na to, jak zachłannie starał się zadowolić swą ciekawość, od której dostawał bolesnych wzdów.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

– Nie wiem aż tyle! – Palma starała się przekrzyczeć hałas ruchu ulicznego, przed którym nie osłaniała brudna budka telefoniczna o szybach okopconych spalinami. Zatrzymali się kilka przecznic dalej przy pierwszym telefonie, jaki dostrzegli po wyjściu od Alice Jackson. Rozmawiała z Leelandem. – Wiemy tylko, że się przebiera za kobietę i nosi blond peruki. Musimy się dowiedzieć, czy znalezione u Samenov włosy pochodzą z peruk. Tak, najdroższe są robione z ludzkich włosów. Niektóre importuje się z Indonezji, część z Korei, inne z Europy. Koreański włos jest grubszy, peruki są więc tańsze od europejskich. Azjatyckie się wybiela i farbuje na nowo, ale jeśli ktoś chce mieć naturalny blond, musi kupić perukę z Europy. Tak, choć Indonezjki mają wyłącznie czarne włosy, z ich włosów też robi się blond peruki. – Palma przerwała, gdyż zza rogu wyjechało kilka wielkich ciężarówek, które wypluwając chmury gęstego czarnego dymu, pognały ku wjazdowi na autostradę. Kiedy TIR-y przejechały, znów zaczęła się drzeć do Leelanda. – Ponieważ nie mamy próbek włosów z peruk Broussarda, możemy tylko stwierdzić, czy włosy pochodzą z peruk czy nie.

– Jak mamy to zrobić? – Głos Leelanda był ledwo słyszalny, wiedziała jednak, że też krzyczy.

– Nie wiem, ale mam telefon fryzjera, który ci to powie. Może wie to też Barbara Soronno. Słuchaj, muszę wyjść na chwilę z tej budki! Zadzwoń za parę minut!

Palma odwiesiła słuchawkę, ręce miała lepkie od brudnej słuchawki. Szybko wsiadła do samochodu, który stał z włączoną klimatyzacją, i skierowała sobie dyszę na twarz.

– Sprawdź – powiedziała sięgając do torebki po nawilżaną chusteczkę. Rozerwała folię i przetarła twarz.

– Nie wiem co gorsze – stwierdził Grant. – Wasz upał czy nasz mróz.

– Wasz mróz.

Kiedy ruszyli, Grant przez jakiś czas w milczeniu obserwował ruch.

– Wiesz, jak na taką kobietę, to było cholernie wyważone – stwierdził w końcu.

– Co to znaczy „jak na taką kobietę”?

– To, co powiedziała, było niesamowite. Na pewno nie ma wykształcenia, nie mówiąc już o kursie psychologii, a jej kontakt z transwestytyzmem pewnie ogranicza się do naćpanych męskich prostytutek. Niezbyt to dobre przygotowanie teoretyczne, a od razu intuicyjnie wiedziała, że przebieranki Broussarda to nieszkodliwa anomalia. Nie była oburzona, nie była przerażona. Wręcz wydawała się go rozumieć.

– „Służący też wiedzą sporo o ludzkiej naturze”. – Ponieważ musieli stanąć na światłach, Palma wyjrzała i popatrzyła na grupkę chłopaków, stojących w cieniu drzewa rosnącego przed porzuconym domem. Siedzieli na starych beczkach, resztkach pociętej na kawałki taksówki i podawali sobie niedopałek skręta, udając przy tym wiel-

kich cwaniaków. – Jesteś naprawdę dość pewny siebie.

Grant pokręcił głową.

– Nie zaszkodzi sprawdzić włosy – stwierdził.

– Ale Broussard nie jest naszym człowiekiem.

– Nie twierdzę tego. – Grant był wyraźnie zmęczony, jego głos zabrzmiał o ton za ostro. – Tranwestytyzm może nie jest najmiłszy, ale nie czyni człowieka automatycznie podejrzanym o morderstwo na tle seksualnym.

– Z wyjątkiem męskich prostytutek.

– Tak, ale prawdziwy transwestytyzm fetyszystyczny, a wydaje mi się na podstawie jej opowieści, że z tym mamy tu do czynienia, to niegroźne zaburzenie, z wyjątkiem sytuacji, kiedy jest się żoną kogoś takiego. Spotyka się go rzadko u kobiet, objawiający go mężczyźni są zazwyczaj heteroseksualni.

– Jakże ma przyczyny?

– Psycholog pewnie by uznał, że to wynik zaburzeń w uczeniu się na modelu. Kiedy ktoś taki był dzieckiem, stało się coś – prawdopodobnie niechcący – co spowodowało, że zaczął kojarzyć sukienkę z akceptacją i uwierzył, że zależy od tego, czy „będzie” dziewczynką. To błędne założenie – zresztą mogło nawet mieć realne podstawy – tkwiło w nim aż do okresu pokwitania, kiedy zostało skojarzone z gratyfikacją seksualną. Bodziec – reakcja. Schemat został utrwalony. Teraz potrzebuje do podniecenia się mnóstwa dziwacznych zachowań, ale nie ma w nich nic niebezpiecznego dla otoczenia.

– Czyli nie widzisz tu możliwości? Połączenia morderstwa z psychologią transwestyty... nie ma szansy, żeby przewróciło mu porządek w łbie? Może nie umie się pogodzić ze swoim życiem seksualnym i wini za powstałą sytuację matkę, siostrę, ciotkę – bo ja wiem kogo – za coś, co zrobiła albo czego nie zrobiła, a co spowodowało jego stan?

Grant popatrzył na zegarek.

– Wiesz, niewiele zjadłem na śniadanie, a zbliża się druga. Miałybyś ochotę na hamburgera?

– Pewnie.

– Mają dobre w Meaux's?

Palma skręciła i ruszyła w kierunku Bissonet.

– Sedno transwestytyzmu fetyszystycznego polega na tym, że cały popęd seksualny koncentruje się na kobiecych ubiorach. Ponieważ nie jest związany z emocjonalną reakcją innej osoby, element interpersonalny jest tu minimalny. Dajesz takiemu człowiekowi kobiecy ubiór i staje się bezgranicznie szczęśliwy. Niepotrzebna mu kobieta. Często mężczyźni ci funkcjonują dobrze w stosunkach heteroseksualnych, tyle tylko że w trakcie gry seksualnej noszą damskie ubranie. Kobiecie niełatwo się z czymś takim pogodzić, jeżeli jednak nie będzie na to zwracać uwagi, nic nie stoi na przeszkodzie, aby stali się szczęśliwą parą. Dwie trzecie tego typu mężczyzn jest żonatych i ma dzieci. – Grant wyjrzał przez okno. – Odchylenie to nie wyzwała wysokiego poziomu agresywnego lęku. Należy je traktować jako mało prawdopodobny motyw do dokonywania brutalnych

czynów na kobietach.

– Nawet jeżeli chodzi o kogoś z innymi problemami, wieloma innymi problemami?

Grant przez chwilę milczał.

– Wtedy może być inaczej. Nie można go oczywiście wykluczać, chcę jedynie powiedzieć, że przebieranie się w kobiece ubrania nie czyni Broussarda bardziej podejrzanym o dokonanie tych morderstw niż trądzik albo krzywe zęby. Tak niewinna jest to anomalia. Praktycznie nieistotna. Inne sprawy, które odbywają się w jego głowie, to zupełnie co innego. Gdyby Alice Jackson powiedziała coś o skłonności do sadomasochizmu, jakimś zboczeniu, w którym dochodzi do szczególnego rodzaju interakcji emocjonalnej z drugą osobą... ale przebieranie się w damskie ciuchy...

Grant pokręcił głową i założył okulary przeciwsłoneczne. Palma nie drążyła, ale coś zostało w jej podświadomości niczym ziarno piasku, które będzie tam uwierać i nie da się usunąć negacją Granta. Wydawało jej się, że jeszcze nie wszystko zostało wyjaśnione w sprawie przebieranek doktora Broussarda, i miała wrażenie, że mimo tego, co powiedział, Grant jeszcze nie przestał myśleć nad sprawą.

Ponieważ było po obiadowej godzinie szczytu, udało im się znaleźć na parkingu miejsce w cieniu, a w środku wolny stolik przy oknie. Z jakiegoś powodu nie było Laure, przy wejściu przywitała ich Alma – skromna siostra z Gwatemali – i kiedy usiedli, za każdym razem, kiedy sądziła, że jest wystarczająco daleko, by nie mogli

jej widzieć, rzucała na Granta ciekawe spojrzenia. Palma rzadko tu przychodziła z innym mężczyzną niż Birley, którego ogólnie znano i którego obie siostry traktowały jak wujka. Grant był jednak kimś zupełnie innym i Fal via – flirciara – przeszła kilka razy obok ich stolika, aby zagadać i się uśmiechnąć nie tylko ze zwykłej grzeczności.

Grant nie zwracał na to uwagi, koncentrując się głównie na hamburgerach i polskich frytkach Gustawa. Przez cały czas posiłku milczeli, zajęci własnymi myślami. W końcu zjedli, a Alma dołąła im kawy. Liście surmii za oknem zwiślały bez ruchu w popołudniowym upale. Potem Grant opadł na oparcie i wbił w Palmę wzrok, aż zdała sobie z tego sprawę i odwzajemniła spojrzenie. Wziął papierową serwetkę i wytarł miejsce na stole, skąd Alma przed chwilą zabrała tace. Myślał.

– No dobrze. Jakie wnioski?

Palma powoli piła kawę i patrzyła na niego znad filiżanki. Tak, powie mu! Uważała, że ma rację. A jeżeli tak było, mieli rację oboje.

– Już to raz mówiłam, ale zacznijmy od początku. Sądzę, że wiem, dlaczego twoja analiza profilowa nie daje oczekiwanych efektów. – Grant skinął głową, aby mówiła dalej. – Zabójca jest kobietą.

Grant patrzył na nią najpierw bez wyrazu, potem na jego twarz powoli wypłynął krzywy uśmiech. Pokręcił głową.

– A jednak... – W dalszym ciągu się jej przyglądał, studiował ją, aż zrozumiała, że trafiła. Pokiwał głową. – Mów dalej.

– W trakcie jednej z naszych pierwszych rozmów telefonicz-

nych wskazałeś na kilka cech, które możemy z góry zakładać przy tego typu przestępstwach. Pierwszą, niezmienną, jest płeć sprawcy. Ofiarami są kobiety, sprawca jest mężczyzną. Czasami ofiarami mogą być dzieci – obojga płci – sprawca w dalszym ciągu pozostaje mężczyzną. Nigdy nie bywa inaczej, nie w przypadku zabójstw na tle seksualnym. Kobiety – bez względu na to jak są zaburzone albo chore – nie zabijają z motywów seksualnych. Przez prawie dwadzieścia lat Biuro doskonało modele behawioralne, oparte wyłącznie na psychologii mężczyzny. Zabójca ma myśleć jak mężczyzna i zachowywać się jak mężczyzna. Mężczyźni dominują w trakcie czynu, w śledztwie oraz przy ocenie sprawy. Powiedziałeś, że w tego typu sprawach wszystko opiera się na ocenie prawdopodobieństw, a nikt się z tym nie spiera, jednak nie za każdym razem wygrywasz. Dowodzą tego nie rozwiązane przypadki. W ilu z tych nie rozwiązanych spraw sprawcami mogły być kobiety? Ile jest wart model behawioralny oparty na psychologii mężczyzny i interpretowany przez detektywów mężczyzn, jeżeli sprawca jest kobietą? Ile z nie rozwiązanych spraw mogło zostać źle poprowadzonych, ponieważ sprawcami były kobiety, a szukałeś dowodów pod kątem sprawcy mężczyzny, więc to, co znajdowano na miejscu zbrodni, nie zamykało się w logiczną całość i nie pozwalało na osiągnięcie postępów? Twierdzisz, jakoby jedynym niezmiennym elementem było to, że zabójstw na tle seksualnym dokonują wyłącznie mężczyźni. Skąd to wiesz? Dlatego że jeszcze nigdy nie złapano tego typu mordercyń? Sam twierdzisz, że zmienność ludzkiej osobowości jest nieobliczal-

na, a dokonywanie jakichkolwiek założeń z góry – niebezpieczne. Mimo to rozpoczynasz każde śledztwo robiąc podstawowe założenie – że sprawca jest mężczyzną.

Palma przerwała i Grant przez dłuższą chwilę milczał. Po chwili zapytał:

– Która to kobieta z grupy Samenov?

– Żadna.

Grant uśmiechnął się pod wąsem i czekał.

– Dziś rano powiedziałeś Frischowi, że nie rozumiesz, co się dzieje, a twój profil nie pasuje do żadnego podejrzanego, czyli praktycznie biorąc Broussarda. Po oględzinach Vickie Kittrie stwierdziłeś jednak, że nie widzisz powodu rewidować swoich wniosków. Tyle tylko, że swoje wątpliwości wyraziłeś już na długo przed rozmową z Frischem. Wczoraj, kiedy jedliśmy późny lunch w Cafe Tropical, powiedziałeś, że martwią cię „sprzeczności” pomiędzy dowodami a podejrzanymi. – Palma wyjęła z torebki notes i długopis, odsunęła na bok filiżanki i napisała na pierwszej stronie wielką jedynekę. – Tym, co zabiło ci klina, a mnie najbardziej utkwilo w głowie, było pytanie, co morderca robił z ofiarą po jej śmierci. Gdyby jego zachowanie pasowało do schematu zorganizowanego sprawcy, samo zabójstwo powinno zostać dokonane w sposób sadyistyczny. Perwersyjna motywacja seksualna zostałaby zaspokojona przez sam sadyistyczny i rytualizowany akt zabicia. Zabójca niezorganizowany kontynuowałby „badanie” ciała: dokonałby ze zwołkami kopulacji, rozczłonkowałby je, nawet wracał do ciała po kilku

godzinach albo po kilku dniach, aby dokonać tego znowu. – Palma dziobała czubkiem długopisu jedynekę na kartce. – Powiedziałeś, że byłeś zdziwiony, ponieważ ten akurat sprawca, którego zakwalifikowałeś do kategorii zorganizowanych, w całkowicie nietypowy sposób „opiekował” się zwłokami po śmierci. Umył je, wymalował, położył się obok. Użyłeś słów: „Traktuje je jak dziecko lalkę. Lalkę, którą dziecko ubiera i rozbiera, jakby była żywą istotą...” – Palma pochyliła się do przodu. – Kto bawi się lalkami, Sander? – Po raz pierwszy odezwała się do niego po imieniu, wręcz zwróciła się do niego osobowo. Opanowała się jednak szybko i mówiła dalej. – Lalkami bawią się dziewczynki, nie chłopcy. Przynajmniej robi to niewielu chłopców. „Opiekowanie się” to czynność typowo kobieca.

Palma napisała na kartce dużą dwójkę.

– Broussard od początku nie ukrywał, wręcz sam powiedział, że jego pacjentki to głównie kobiety. Nie krył, że uważa się za eksperta w zakresie kobiecej psychologii. Umie się wczuć w psychikę kobiety. Pamiętasz statuetki i upodobanie, z jakim je opisywał? Szybko podał „wspólne cechy” ofiar. Sam zaczął mówić o seksualnym molestowaniu dzieci i powiedział, że nie byłby w stanie wymienić choć jednej swojej pacjentki, która nie byłaby wykorzystywana seksualnie w dzieciństwie. Zrobił krótki wykład o freudowskiej teorii uwiedzenia i jak to Freud początkowo twierdził, że dzieci są uwodzone przede wszystkim przez niańki, mamki i guwernantki. Rozwodził się nad tym, że kobiety wykorzystują seksualnie dzieci w takim samym stopniu jak mężczyźni, tyle tylko że społeczeństwo nie chce tego

dostrzec, potem zacytował potwierdzające to wyniki badań. Wspomniał, że znacząca liczba wykorzystujących dzieci kobiet dokonuje na swoich ofiarach czynów sadystycznych, i stwierdził to samo, co ty twierdzisz, że osoby molestujące dzieci nie mają skłonności do czynów sadystycznych, więc jest mało prawdopodobnie, że poszukiwany przez nas sprawca wykorzystuje seksualnie dzieci. Nie powiedział jednak nic na temat tego, że sprawca sam mógł być ofiarą molestowania seksualnego. Mówił o wadze fantazji dla sadomasochistów i zabójców na tle seksualnym, a kiedy poprosiłeś go, aby wyobraził sobie osobowość naszego sprawcy, zaprotestował, mimo to bardzo szybko wszedł w jego rolę. Powiedziałaś, że nieodzownym elementem tych powtarzających się zabójstw jest fantazja, a Broussard jest znakomicie wytrenowany w fantazjowaniu: dzięki wczuwaniu się od lat w umysły swoich pacjentek – ofiar seksualnego wykorzystywania w dzieciństwie – oraz udawaniu kobiety. – Palma odłożyła długopis i skrzyżowała ramiona na stole. – Jeżeli Broussard zabija, to jako kobieta, którą się staje. Dlatego jego zachowanie jest mieszane. Twoje modele odczytywania motywów są nieskuteczne, ponieważ ich system wnioskowania bazuje na zachowaniach męskich, a mamy do czynienia z kobietą – a przynajmniej postrzeganym przez mężczyznę obrazem kobiety. Najprawdopodobniej większość swoich kobiecych zachowań realizuje nieprawidłowo, ale wystarczająco wiernie, by uniemożliwić ci analizę. Jeszcze jedno. Pamiętasz, co powiedział o kobietach i mężczyznach? „To iluzja, że kobiety i mężczyźni są inni. Błędem jest założenie, że w ogóle się

różnią”. Od początku miałaś rację, tyle tylko że analizowałaś przebieg o dwóch płciach.

Kiedy Palma skończyła, uśmiech Granta zniknął. Siedział obejmując dłonią podbródek i usta. Palcem wskazującym gładził wąs. Nie był rozbawiony, jego zapadnięte oczy były bardzo poważne.

– To dość zwariowany scenariusz – stwierdził. Położył dłoń na serwetce i zaczął wodzić palcem wokół kropki, która spadła na blat. – Nie wiem...

– Śmieszny, prawda?

Grant skinął głową, ale nie przestał się zastanawiać. Wydął wargi.

– Przyjąłbym łatwiej Broussarda, gdybyśmy mogli go powiązać z jakąkolwiek formą agresji.

– Dla dobra dyskusji załóżmy, że to nie jest wersja humorystyczna. Załóżmy, że wyjaśnia udokumentowane dowodami sprzeczności w zachowaniu sprawcy i przez jakiś czas będziemy się jej trzymać. Jakie sugerowałbyś w takim razie działania prewencyjne?

– Hm... Uważam, że jest obecnie maksymalnie rozkręcony. Okresy ochłodzenia są coraz krótsze, praktycznie zniknęły. Jeżeli będzie się trzymał dotychczasowych schematów, następną ofiarą będzie pacjentka, członkini kręgu Samenov. Blondynka... i dalej to samo co przedtem.

– Te kobiety, które Martin i Hisdale widzieli, jak wjeżdżają do

niego. Jedną z nich był on sam.

– Możliwe.

– Druga nazywała się Lowe.

– Zgadza się.

– I o ile wiemy, ciągle u niego jest.

– Nawet gdyby całkiem sfiksował, nie zabije jej u siebie w domu. Nie zrobi tego. Jest pod presją, ale w dalszym ciągu działa metodycznie. Jest skłonny do popełnienia błędu, ale nie takiego. Prędzej popełni niedyskrecję. W dalszym ciągu uważa, że działa chłodno i metodycznie – jak nałogowy alkoholik, który w stanie upojenia sądzi, że całkowicie nad sobą panuje. Kiedy jedzie samochodem, nie przekracza prędkości, jedzie po swoim pasie, ale na przykład zapomni zapalić światła. Mimo wszystko nie powinniśmy jednak siedzieć z założonymi rękami. Jesteśmy niezbyt daleko szpitala Ben Taub, prawda? Porozmawiajmy z Mirel Farr. Jeżeli da nam prawidłowe odpowiedzi na nasze pytania, sądzę, że coś da się zdziałać.

Nie powiedział, jakie pytania ma na myśli.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Mirel Farr była wkurzona. Siedziała w szpitalnym łóżku, które wyregulowała tak, aby siedzieć jak w fotelu, farbowane na blond włosy miała rozczochrane, co sprawiało wrażenie, że od przyjęcia do szpitala ani razu nawet nie próbowała ich uczesać. Lewe oko miała podbite, a opuchlizna na płaskich policzkach, która każdą inną osobę upodobiłaby do świstaka, powodowała, że Mirel wyglądała normalnie. Przez szpitalny ubiór – w miejscu gdzie jej drobne piersi wypychały materiał – przeświecały ciemnobrązowe plamki sutek. Choć miała zadrutowaną szczękę, nie powstrzymywało jej to w żadnym stopniu od paplania. Przez płataninę drutów z nierdzewnej stali swobodnie płynął potok zabarwionych zachodnioteksaskim akcentem słów.

– Właśnie rozmawiałam z moim adwokatem – zaczęła zapalczywie i z trzymanej w dłoni puszkę pociągnęła przez plastikową rurkę łyk dietetycznej coli. – Będziemy skarżyć ten pieprzony wydział policji. Skurwiel gliniarz mi przy lutował. Spytałam tylko: „Clyde, to ty?“, a skurwiel mi przypieprzył! Jebaniec! – Pokazała, jak Marley ją uderzył, rozlewając sobie przy tym na kolana trochę coli. – Oskarżymy ich o wszystko! O zniszczenia! O poniesione straty! O złamanie praw obywatelskich. O straty moralne. O zwrot poniesionych kosztów. O utratę zarobków. Ja im pokażę!

– Jestem pewna, że adwokat odpowiednio się tym zajmie – odparła Palma. Zdążyli się jedynie przedstawić, potem Mirel Farr roz-

poczęła monolog.

– I to jeszcze jak! – wrzasnęła błyskając matowymi oczami.

Naprawdę była wkurzona.

– Chcemy pani zadać kilka pytań na temat jednego z pani klientów – stwierdziła Palma. Grant stanął przy drzwiach i Mirel wpatrywała się w niego.

– Nie muszę odpowiadać na pytania dotyczące moich klientów.

– Porucznik Frisch przekazał mi, że już pani omawiała z nim sytuację. Przekazał mi, że dogadała się pani zarówno z nim, jak i z biurem prokuratora. Zapewnił mnie, że zgodziła się pani odpowiadać na pytania.

Mirel zmrużyła oczy.

– Z tym że mój adwokat ma na ten temat co innego do powiedzenia.

– Z tego, co wiem, już się w tym zakresie wypowiadał i też uważa, że jeżeli chce pani uniknąć oskarżenia o współudział, lepiej będzie odpowiadać na nasze pytania.

Mirel gryzła słomkę. Wzięła z pudełka obok łóżka papierową chusteczkę i otarła usta.

– Jak się nazywa?

– Dominick Broussard. Zmarszczyła czoło.

– Cholera... nie znam nikogo o tym nazwisku.

– Najprawdopodobniej używa pseudonimu. Znał Samenov, Moser i Louise Ackley. Także Vickie Kittrie.

Mirel szarpnęła głową.

– Vickie? – Popatrzyła na Granta, potem znów na Palmę. – Vickie też zginęła?

– Wczoraj w nocy. Znalezione jej ciało dziś rano.

– Boże... cholera jasna... Wszechmogący. Vickie... – W jej głosie zadźwięczał strach. Wyrzała przez brudne okno, skąd był znakomity widok na sprzężarki klimatyzatorów i śmierdzące wapnem miejsce lęgowe kilkudziesięciu gołębi, które wybrały sobie chyba jedno z najgorszych miejsc na całym ponaddwustuhektarowym terenie centrum medycznego. Mina Mirel nabrała wielkiej powagi. – To sporo dziewczyn i wszystkie je znałam. Jasna cholera. To cholernie pokręcone. Facet jest naprawdę walnięty. – Przerwała na chwilę. – I co? Uważacie, że to ten Grusard?

– Broussard. Jest jednym z podejrzanych. Są jeszcze inni.

– Robi w sado-maso?

– Tak sądzimy. Właśnie tego chcemy dowiedzieć się od pani.

– Moglibyście coś więcej o nim powiedzieć? Jak wygląda?

– Ma jakieś czterdzieści sześć, czterdzieści osiem lat, metr osiemdziesiąt wzrostu, karnację jak u Latynosa, choć nim nie jest. Przebiera się w kobiece ubrania. Ciemne włosy, ale...

– ...nosi blond peruki, drogie sukienki i cholernie dobrze zna się na makijażu. Maggie Boll. Margaret. Upiera się przy Margaret, ale za plecami mówię na niego Maggie. Koleś jest najlepszym przebiezańcem, jakiego w życiu widziałam. Choć nie jest najlepiej zbudowany do trawesty – jest nieco zbyt masywny – ma taki styl, że w życiu by się nie uwierzyło, że to facet. Robi się na superdziewczy-

nę.

– Po co do pani przychodzi?

– Patrząc. Lubi się przyglądać, jak dziewczyny nawzajem okładają się pejcami. Większość transwów lubi oglądać mężczyzn, z tym że większość przychodzących do mnie transwestytów to pedałty. No tak. – Mirel wzruszyła ramionami. Znow napila się coli i wytarła sobie usta. – On woli kobiety. Siada za szybą i patrzy. Czasami mu się przyglądam... Mam miejsce, skąd mogę podglądać podglądaczy. Niektórzy transwestyci przy oglądaniu walą konia, ale nie Maggie. Po prostu siedzi, zawsze uważny i obserwuje. Jakby oglądał film. Nigdy nie okazuje emocji, nawet nie drgnie. Jakby oglądał film dokumentalny o skakaniu ze spadochronem. Nawet nie drgnie mu jeden mięsień.

– To wszystko?

Mirel przesadnym ruchem skinęła głową, aż zabujały się jej potargane strąki.

– Jak często przychodzi?

– Co sześć tygodni, co dwa miesiące. Coś w tym stylu.

– Jak długo zostaje?

– Zazwyczaj godzinę.

– Czy ostatnio był częściej? – spytał Grant. Mirel popatrzyła na niego.

– Właściwie nie.

Grant podszedł do jej łóżka.

– Czy przy oglądaniu robi coś szczególnego? Wiem, powiedzia-

ła pani, że tylko siedzi, ale co właściwie wtedy robi? Trzyma ręce na podolku? Krzyżuje nogi? Żuje gumę? Drapie się po ramieniu?

Mirel Farr tępo popatrzyła na Granta. Stukała paznokciami w puszkę i zastanawiała się. Wydawała się mieć trudności z poświęceniem tyle uwagi pytaniu Granta, na poprzednie odpowiadała bowiem natychmiast, niemal nonszalancko. Teraz jednak poważnie się zastanawiała. Najpierw powoli, potem coraz szybciej kiwała głową.

– Taaa... jeżeli się tak zastanowię, to chyba tak będzie... Trzyma się. Nie za fiuta, nic z tych rzeczy, ale tak jak kobieta. Wie pan, kiedy obejmuje się ramionami. On też obejmuje się ramionami i pochyla do przodu, jakby dostawał skurczów, bardzo lekko do przodu. – Mirel zademonstrowała to ruchem własnego tułowia.

– To wszystko?

– Chyba tak. Przyciska dłoń do brzucha jak kobieta, którą zabolli albo dostanie skurczu. Skurczu przy miesiączce. Może Maggie uważa, że zaraz dostanie okres. – Na myśl o tym Mirel spróbowała się uśmiechnąć, ale jej nie wyszło i dała sobie spokój. – Prawdę mówiąc, oglądanie go to średnia przyjemność. Nie uwierzyłby pan, co robią inni podglądacze, kiedy nie wiedzą, że są podglądani.

– Czy widywała pani przy tym twarz Broussarda?

– Tak jakby.

– I jaką miał minę?

– Nie wiem... miał makijaż.

– Kogo oglądał? – spytała Palma. – Kogoś szczególnego?

– Kogo... tak, cholera! A niech mnie! O to chodzi! Określone kobiety. Jasne! – Mirel niezwykle się podnieciła. – Dał mi listę. Były na niej dziewczyny, które zginęły. Boże... Sandy Moser. Vickie. Raz zobaczył Louise Ackley z Dorothy i dopisał je do listy.

– Wiedziały, że są obserwowane? – spytał Grant.

Mirel przekrzywiła głowę i przez dłuższą chwilę nie odpowiadała.

– Dobrze płacił. Bardzo dobrze. Nigdy nic by nie zrobiły, gdyby wiedziały, że są oglądane. Kiedy dzwoniły się umówić, zawiadamiałam go. Kiedy się pokazywał, dostawałam okrągłą sumkę. Ale nie zawsze się pokazywał.

– Dużo było kobiet na jego liście?

– Z początku tylko Dorothy i Louise. Potem, kiedy widywał je z innymi dziewczynami i mu się spodobały, pytał kto zacz i dopisywał je.

– Ile ich było?

– Sześć, siedem.

– Musimy dostać nazwiska – stwierdziła Palma. – Dorothy, Louise Ackley...

– Tak, była tam też Vickie Kittrrie i Sandra Moser. Uff, to cztery. Nancy Sewer. Cheryl Loch. Mary Lowe.

Dłoń Palmy drżała jak igła sejsmografu, ale nie unosiła głowy. Boże! Doganiali go, zbliżali się do zabójcy.

– Czy ja wiem... – Mirel wzruszyła ramionami. – Nie było ich aż tak wiele. Prawdopodobnie u mnie jest jedyne miejsce w mieście,

gdzie można zobaczyć coś takiego, w sumie więc aż tak dużo ich nie było. Nie jest to zbyt rozpowszechniona forma rozrywki. Moje szczęście, że natknęłam się na tę grupę świrów. Jeszcze nigdy przedtem nie widziałam nic podobnego, a byłam jakiś czas w Los Angeles, trochę w San Francisco. Te dziewczyny były jednak wszystko na głowę.

– Mary Lowe – powiedziała Palma. – Co pani o niej wie?

Mirel przekrzywiła głowę i rozchyliła suche wargi. Widać było, że czuje się nieswojo.

– Mary ma klasę. Ze wszystkich dziewczyn, z Dorothy włącznie, Mary ma w sobie coś, co każe się zastanawiać, jak się między nimi znalazła. Jest jak z wyższych sfer. Prawie wszystkie z nich należą do lepszego towarzystwa. Mieszkają w Villages, w River Oaks. Zajmują się dobroczynnością. Zawsze noszą ubrania w modnym w danym sezonie kolorze. Mogłabym zbić majątek na szantażowaniu ich. Mary jest zbudowana jak modelka, może ma odrobinę nieco za duże cycki, ale za to jakie! Mężatka. Dwoje dzieci. Wielki nowoczesny dom w Hunters Creek. Byłam tam i widziałam jej dom. Czasami tak robię. Lubię wiedzieć, jak nisko spadają przychodząc do mnie. Mary zawsze robi wszystko i zawsze jak należy. Klasa kobieta.

– Czy Broussard okazywał szczególne zainteresowanie nią?

– Nie, ale wszystkie pozostałe strasznie podnieca. Umie zawrócić w głowie kobiecie tak samo szybko jak mężczyźnie, a dominujące lesbijki szaleją za nią. Kiedy jednak robi swoje, to zawsze z wybitnie kobiecymi dziewczynami. Nigdy z lesbiami

w męskim typie.

– Woli panować, czy poddawać się czyjemuś panowaniu? – spytała Palma.

– Widziałam ją w obu rolach, ale woli być na dole. Zachowuje się przy tym, jakby to był balet. Wie pani, cokolwiek robi, jest niezwykle elegancka. – Mirel skinęła głową i ponownie spróbowała się uśmiechnąć. – Jest naprawdę pierwsza klasa. Nikt by nie uwierzył, że przychodzi do mnie i robi to, co robi. Naprawdę. Cholera jasna... Nikt by w to nie uwierzył.

Na chwilę zapadło milczenie, jedynym dźwiękiem był bulgoczący syk, kiedy skończyła się cola i Mirel zassała w rurkę powietrze. Palma popatrzyła na Granta, którego oczy miały wyraz świadczący o tym, że choć przygląda się Mirel, widzi całkiem coś innego. Po chwili zorientował się, że Palma go obserwuje.

– Czy wie pani, że Broussard – albo Boll – kiedykolwiek spotykał się z którąś z wymienionych kobiet przy innych okazjach? – spytał Grant w końcu.

Nie wiem. Nawet się nad tym zastanawiałam. Kiedy zaczął do mnie przychodzić, poprosił o Dorothy, myślę więc, że skądś ją znał. Potem zobaczył Dorothy z Louise, potem Dorothy z Vickie. Potem poprosił o Sandrę Moser, więc też chyba musiał ją znać. Chyba potem zobaczył Nancy Seiver z Moser, a może z Kittrie... nie, to chyba była Cheryl Loch. Pamiętam jednak dokładnie, że zażądał Mary Lowe, ponieważ była prawie nowa.

– Czy któraś kiedykolwiek o nim wspominała, o Dominicku

Broussardzie?

– Nie.

– Czy wie pani coś o jego zainteresowaniach sadomasochizmem poza przychodzeniem do pani i obserwowaniem wymienionych kobiet?

– Nie.

– Jak dowiedział się o pani? – spytała Palma. – Ot po prostu przyszedł pewnego dnia?

Mirel pokręciła głową.

– Nikt nie przychodzi do mnie z ulicy – odparła z dumą. – Nie ma mnie w księżce branżowej. Jestem polecana. Trzeba być do mnie przysyłanym przez kogoś, kogo znam. Nie każdego przyjmuję. No chyba.

– Kto polecił mu panią?

Mirel znów się z zażenowaniem powierciła, zaraz jednak z nonszalancją odparła:

– Proszę państwa, nie wypadłam sroce spod ogona i znam się na tym. Wystarczy, że ktoś do mnie wejdzie, i wiem, czy jest sado czy maso, czy jakąś porąbaną kombinacją jednego z drugim. W wypadku tego typu ludzi trzeba mieć zaufanie do swojego instynktu, ponieważ oni nie myślą jak inni. Wpadają im do głowy rzeczy, o jakich by się wam nie śniło. Jeszcze żyję tylko dlatego, że znam się na tych ludziach i na kilometr czuję świra. Kiedy Maggie się ze mną skontaktował, od razu wiedziałam, o co chodzi. Że to niegroźny podglądacz. Wcale nie aż tak pokręcony. Dawał dobre pieniądze za popatrzenie

na znaną mu kobietę. Rozumiem. Zero problemów, a szmal jak się patrzy. Tyle tylko że chciał, aby nie wiedziały, że są podglądane. Świetnie. Wiedziałam, że nie narozrabia. Przecież go obserwowałam. Instykt podpowiedział mi wszystko, co robić. Facet był niegroźny. Co z tego, że znał Dorothy... – Mirel wzruszyła ramionami, jakby wszystko było jasne.

Palma patrzyła na nią. Słuchała „wyjaśnień”, jak działał system wzajemnych poleceń Mirel – czyli wcale nie działał – i rosła w niej złość. Ta kobieta była godna pogardy. Wrzuciła długopis i notes do torebki.

– Coś pani powiem – rzuciła niecierpliwie. – Powinna pani zbadać swój instykt. I wynająć drugiego adwokata. Jeden może pani nie wystarczyć.

Gdyby Mirel mogła opaść szczęką, na pewno tak by się stało, wybałuszyła jednak tylko oczy i wbiła wzrok w plecy Palmy, która nie zwracając uwagi na Granta niemal wybiegła z sali.

Palma zaczęła na Granta przy znajdującej się w połowie korytarza dyżurce pielęgniarek. Pewnie dziękował Mirel Farr za pomoc, wypowiadał litanię standardowych formułek, które muszą raz za razem klepać urzędnicy państwowi. Czasami głupota takich ludzi jak Mirel Farr tak wściekała Palmę, że nie była w stanie reagować racjonalnie. Z każdym przepracowanym rokiem z coraz większą trudnością przychodziło jej przekonywać się, że każdy człowiek jest w zakresie wartości wewnętrznych tak samo wartościowy. Takie podejście towarzyszyło jej przez całe dzieciństwo i młodość, było jej

nieustannie wpajane przez matkę, której niezachwiana religijność pomogła przetrwać niejedną trudną chwilę. Coraz częściej Palma nie mogła się jednak z tym poglądem pogodzić. U wielu ludzkich istot nie umiała dostrzec żadnej wartości. Trudno byłoby jej określić, na czym polega wartość Mirel Farr.

Nagle aż się wzdrygnęła, zapiszczał bowiem jej przywoływacz. Wzywano ją do zadzwonienia pod numer Frischa, więc podeszła do dyżurki i poprosiła pielęgniarkę, by mężczyznę, który zaraz wyjdzie z pokoju Mirel Farr, skierowała do automatu na zewnątrz poczekalni.

Frisch miał bardzo zmęczony głos.

– Jak leci? – zaczął.

Palma przekazała, czego się dowiedzieli o Broussardzie od Alice Jackson i co właśnie usłyszeli od Mirel Farr.

– Byłabym zaskoczona, gdyby Grant nie zaproponował określonych działań prewencyjnych – stwierdziła. – Broussard był bardzo ostrożny, ale znał te kobiety od dawna. Niektóre tak długo, jak one znały się między sobą. Wiedział o nich dużo i nie sądzę, by miał wielki problem, by spotkać się z nimi, nawet kiedy spłoszyły je morderstwa. Pomijając, że generalnie nie jest je łatwo przestraszyć. – Palma wyjrzała z budki i ujrzała Granta, opartego o pobliską ścianę, z rękami w kieszeniach. Patrzył w przestrzeń, zamyślony, odwrócony od poczekalni, która przypominała obóz dla uchodźców z objętego klęską kraju. Ponieważ Ben Taub jest szpitalem utrzymanym dzięki towarzystwom dobroczynnym, poczekalnie są

niemal zawsze pełne ubogich znajomych i kuzynów ubogich pacjentów. Samo przyglądanie się obojętnym twarzom ludzi, którzy sprawiali wrażenie krańcowo wycieńczonych, mogło doprowadzić do depresji. – Przyszedł Grant. Jeszcze nie mieliśmy czasu omówić tego, co powiedziała Farr. Daj nam trochę czasu, zadzwonię za pół godziny albo przyjedziemy do wydziału. Coś poza tym?

– Nic ważnego. Reynolds siedzi w domu, jego dziewczyna też. U Broussarda też się nic nie wydarzyło. Mam nadzieję, że akurat w tym momencie nie układa jej zwłok na łóżku.

– Grant jest przekonany, że nic jej nie zrobi. Nie u siebie w domu. Musiałby ją przedtem gdzieś wywieźć.

– Niech to cholera! – Przekleństwo było w ustach Frischa czymś niezwykłym. Palma bez trudu umiała sobie wyobrazić atmosferę w wydziale i cieszyła się, że jej tam nie ma.

– Czy ktoś ze sprawdzających sąsiedztwo Hardeman czegoś się dowiedział?

– Nie. – Frisch odsunął słuchawkę, wrzasnął na kogoś, żeby zamknął te cholerne drzwi, i wrócił do rozmowy. – Nikt nic nie widział. Facet ma cholerne szczęście. Samochód Vickie znaleziono na parkingu Houston Racquet Club.

– Co z wynikami badań laboratoryjnych? LeBrun coś znalazł? Co z wynikami sekcji?

Tak, coś dostaliśmy kilka minut temu. – Frisch znów odwrócił głowę od słuchawki i Palma usłyszała, jak pyta kogoś o raport z laboratorium. Popatrzyła na Granta – nawet nie drgnął. Wyglądał

jak manekin. Ze słuchawki dobiegł szelest papierów. – Mam. Włosy, które znaleziono na łóżku Hardeman przy Kittrie, są identyczne z tymi nie zidentyfikowanymi, które znaleziono przy Samenov. Włosy łonowe Kittrie są identyczne z pochodzącymi z jednego źródła dwoma włosami łonowymi, znalezionymi przy Samenov. Nie jest w stanie stwierdzić, czy nie znanego pochodzenia włosy z głowy i włosy łonowe, które znaleziono przy Samenov i Kittrie, pochodzą od tej samej osoby ani czy są męskie, czy żeńskie.

– Czyli mogą pochodzić od dwóch osób albo od jednej i tej samej?

– Zgadza się.

– Nie znanej płci.

– Też się zgadza. Wiadomo jednak – niezależnie od tego, czy była to jedna osoba czy dwie – że zarówno w przypadku Samenov, jak i Kittrie, był on – albo oni – z nimi na krótko przed ich śmiercią.

– Nie wiadomo, czy włosy mogą pochodzić z peruki?

– Nie, ale w laboratorium już wiedzą, że włosy w perukach są konserwowane jakimiś chemikaliami. Kiedy się dowiedzą jakimi, będą mogli przeprowadzić odpowiednie testy. To chwilę potrwa.

– Jak długo?

– Zależy, co to za chemikalia.

– Cholera! Te włosy łonowe! Broussard jest brunetem i jeżeli pochodzą od niego, muszą być utleniane albo farbowane. Niech to sprawdzą.

Frisch coś do kogoś mruknął.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Na sukience Kittrie znaleziono kilka włókien. Uważają, że to fragment takiej siateczki, trochę podobnej w wyglądzie do końskiego włosia, używanej przez niektórych zagranicznych producentów samochodów do wyściełania foteli. Na przykład przez Mercedesa i Volkswagena. W każdym razie pracują nad tym.

– Broussard jeździ mercedesem.

– Wiemy. Zastanawiamy się, czy można zaryzykować posłanie kogoś, kto zakradłby się do jego samochodu i pobrał próbkę. W każdym razie wracajcie tu jak najszybciej. – Ze względu na nagły hałas w tle Frisch musiał podnieść głos. – Leeland został zasypyany informacjami od ludzi na temat ich świrowatych sąsiadów i wysłaliśmy na miasto kilkunastu ludzi, którzy to sprawdzają. Poza tym i poza waszymi nowościami utknęliśmy jednak w martwym punkcie. Media dają nam ostro popalić, tak samo politycy, na dodatek dziś po południu jedna z organizacji kobiecych zarzuciła nam, że nie zajmujemy się sprawą z odpowiednim zapałem. Moim zdaniem lada chwila ktoś, kto chciałby zostać kolejnym szefem policji, oskarży nas o niekompetencję i nieodpowiednie prowadzenie śledztwa. Mieszkańcy Hunters Creek stworzyli coś na kształt kobiecych oddziałów samoobrony i tamtejsza lokalna policja ma raz za razem telefony informujące o kręcących się po okolicy podglądaczach, trupach w odnogach rzeki i tak dalej. Jesteśmy pod dużą presją i ciągle szwenda się tu masa wysoko postawionych szych. Każdy osobiście chce dopilnować sprawy. Każdy chce mieć swój udział

w wielkim sukcesie.

Palma odwiesiła słuchawkę i spojrzała na Granta. Tym razem przyglądał jej się. Otworzyła drzwi i wychyliła głowę.

– Jeszcze chwila, dobrze? Mają coś ciekawego w laboratorium. Zamknęła drzwi i wrzuciła kolejną monetę. Wykręciła numer uruchamiający aparat na biurku Barbary Soronno.

Rozdział sześćdziesiąty

Palma nie odezwała się od razu. Potrzebowała chwili, żeby poukładać uzyskane informacje. Teraz, kiedy jej przeczucie się sprawdziło i potwierdziły się oczekiwane przez nią wyniki, potrzebowała czasu na przetestowanie swojej intuicji, zrozumienie, dlaczego w ogóle poprosiła Barbarę o przeprowadzenie tak niecodziennego testu. Uczucie było niesamowite – zwłaszcza biorąc pod uwagę, że nie wiedziała, jaki logiczny krok doprowadził ją do tak zaskakującego odkrycia.

– Co się stało? – spytał Grant, kiedy wyszła z budki.

– Nic. Chcę tylko zrozumieć dane, zastanowić się, które do czego pasują. – Przekazała mu informacje od Frischa, obserwując przy tym zmianę wyrazu na jego twarzy, w miarę jak jej słuchał. Palma była niemal przekonana, że tak samo jak i ona, Grant nie mówi wszystkiego, co myśli.

W poczekalni krzyknęło dziecko i zaczęła się gwałtowna utarczka słowna między wietnamskim klanem a trójką potężnych Murzynek, których ponure miny, rozdęte nozdrza i ruchliwe języki stanowiły znakomitą przeciwwagę dla liczniejszych, lecz mniejszych wzrostem Azjatów.

Grant pochylił w zamyśleniu głowę i przeszedł za róg, do korytarza, w którym zapach alkoholu i leków zastępował ludzki odór przepełnionej poczekalni.

– Vickie Kittrie i nieznaną osobą były z Dorothy Samenov tuż

przed jej śmiercią... – powiedział z zadumą. – Nieznana osoba była z Vickie tuż przed jej śmiercią. Nie zidentyfikowany włos jest jasny – nie wiadomo, naturalny czy z peruki – jasny jest także włos łonowy...

– Farbowany albo naturalny blond.

Grant skinął głową bez słowa, zapatrzony w głęb błyszczącego korytarza.

– Nie mamy jednak dowodu obecności trzeciej osoby przy zwłokach Vickie albo którejś z pozostałych ofiar...

Dalej nie zajdzie, jeżeli mu nie powie, co odkryła Barbara Soronno. Palma nie wiedziała, nad czym Grant myśli, miało to jednak związek z trzecią osobą, a Palma udowodniła obecność przy Vickie Kittrie trzeciej osoby.

– W przypadku Vickie pojawia się trzecia osoba – powiedziała prosto z mostu. Grant zamarł, potem na nią popatrzył. Byli mniej więcej w połowie długiego korytarza. Grant wpełchnął ręce do kieszeni i oparł się o ścianę. Gdzieś niedaleko jakieś urządzenie hałaśliwie zasysało płyn w kanonie z szarpiącym, nierównym oddechem. Grant stał i czekał, co Palma powie, przygotowany na rewelację. W świetle korytarza jego orzechowe oczy znakomicie pasowały do siwiejących włosów. – Dowiedziałam się przed chwilą. Nie mówiłam nic o tym, ponieważ to był strzał w ciemno i nie chciałam sprawić wrażenia osoby nierozsądnej. – Grant stał nieruchomo jak sfinks. – Dziś rano, zanim wyszliśmy od Janice Hardeman, złapałam Jeffa China i kazałam mu się szczególnie ostrożnie zająć tamponem

z pochwy Kittrie. Poprosiłam, by zwrócił na ten szczegół uwagę Barbary Soronno. Potem zadzwoniłam do Barbary i spytałam, jaka jest szansa na ustalenie grupy krwi z tamponu. Powiedziała, że to zależy od tego, jak bardzo jest nasączony. Kiedy go dostała, przecięła go, wzięła ze środka kilka włókien i zbadła je. Krew nie pasowała do grupy krwi Vickie.

Mina Granta zdradzała zaskoczenie.

– Krew nie była Vickie?

– Nie.

– W aktach Broussarda musi być wymienione, jaką ma grupę.

Możemy się dowiedzieć.

– Tonie jego krew.

– Znasz jego grupę krwi?

– Nie, ale kiedy Barbara ustaliła, że to nie krew Vickie, poprosiłam ją o jeszcze jedno badanie. Wykazało, że krew z wnętrza tamponu nie zawiera plazminogenu i fibryny, co oznacza, że nie ma zdolności do koagulacji. Czyli to krew miesięczkowa, tyle że nie pochodzi od Vickie.

– Boże drogi. Wiedziałaś o tym?

– Oczywiście że nie. Nie mam pojęcia, dlaczego poprosiłam akurat o ten test. Nie złożyłam nawet oficjalnego zlecenia, Barbara zrobiła to badanie przy okazji, jako przyjacielską przysługę.

– Jak na to wpadłaś?

– Nie wiem.

– Podejrzewałaś, że może to być krew miesięczkowa?

– Pomyślałam, że... nie wiem i że dobrze by było ustalić grupę...

– A kiedy okazało się, że to nie krew Vickie...

– Zaczęłam się zastanawiać, skąd ją wziął. Pomyślałam, czy może to jego krew. Że może się zaciął i zebrał ją w jakieś naczynie. Zadałam sobie pytanie, jak kombinował. Jeżeli nie jest to krew Vickie ani jego, to czy w ogóle jest to krew ludzka? Czy jeżeli jest ludzka, to męska czy kobieca? Potem pomyślałam o ugryzieniach przy pępkach ofiar, wygryzionym pępku u Vickie i wydało mi się, że próbuje powiązać to, co robi, z... rodzeniem, z pępowniną... na punkcie której ma przecież obsesję... – Palma przerwała, nie wiedziała, co mówić dalej. – Nie wiem. Pomyślałam, że należy to sprawdzić.

– Od początku nie zakładałaś, że to krew Vickie?

– Nie wiem dlaczego, ale od początku nie sądziłam, że pochodzi od niej.

– Niech mnie cholera... Jesteś niesamowita. Co... – Przerwał, jakby szukał słów, w jakie powinien ubrać pytanie, po chwili zrobił minę, jakby zapomniał, o co chciał zapytać. Pokręcił głową z niedowierzaniem i popatrzył w kierunku dyżurki pielęgniarzek, gdzie kręciły się figurki w białych uniformach. Przez chwilę im się przyglądał, całkowicie zagłębiony we własnych myślach – jakby był sam na oceanie.

Palma czuła się nieswojo, nie wiedziała jednak dokładnie dlaczego. Wręcz miała ochotę zacząć przeproszać za swe przecucia. Równocześnie czuła podniecenie z faktu, jak blisko są zabójcy.

Uważała, że praktycznie już go mają, choć na razie jeszcze nie do końca wiedzieli, od której strony go zaszli. Byli jednak na pewno blisko, wiedziała to. Teraz nie wolno było odpuścić, pogubić się w szczegółach.

Grant oparł się mocniej o ścianę.

– Co to właściwie znaczy? – zapytał, nie odwracając wzroku od pielęgniarek. Pytanie było retoryczne, rzucone w przestrzeń. Odwrócił się ku Palmie, ale z opuszczoną głową, zapatrzony w czubki swoich butów. – Czy twoja przyjaciółka Soronno powiedziała coś jeszcze na temat tej krwi? – Podniósł wzrok na Palmę. – Wyglądała na świeżą czy starą? Żadna z pozostałych ofiar nie miała miesiączki, prawda? Nie przypominam sobie, by wspomiano o tym w raportach z sekcji.

– Nie, Barbara nie była w stanie ustalić, jak długo krew znajdowała się w tamponie. Powiedziała, że wiek krwi zdaje się pasować do momentu znalezienia zwłok. Poza tym zgadza się, żadna z pozostałych ofiar nie miesiączkowała.

– Czyli nie pobrał krwi u którejś z nich, by wykorzystać ją u Vickie. Nie była to pamiątka, czyli albo dostał tampon od żywej znajomej, albo tuż przed zabiciem Vickie zamordował kogoś, o kim nie wiemy, zabrał jej tampon i włożył Vickie. Może to tampon Janice Hardeman. Mógł go znaleźć w jej śmietniku.

Palma pokręciła głową.

– Nie sądzę. Zauważyłam w jej łazience, że nie używa tamponów, lecz podpasek.

– Dlaczego to zrobił? – W głosie Granta była niewiara. – Co za fantazja każe temu facetowi... Nie dziwi cię, że Mary Lowe została u niego całą noc i następny dzień?

– Farr powiedziała, że ma męża i dwójkę dzieci.

– Jak to zorganizowała?

– Tak samo jak inni ludzie, którzy zdradzają partnerów – odparła Palma. – Z pomocą kłamstwa. Nie sądzę, by jej rodzina spodziewała się jej szybszego powrotu, bez względu na powód, jaki podała. Inaczej zgłosiliby jej zaginięcie, a wydział osób zaginionych jest powiadomiony i sekundę po tym, jak dostaliby zgłoszenie zaginięcia kogokolwiek, kto mógłby nam pasować, już byśmy o tym wiedzieli.

– Musimy dostać się do jego domu...

Frisch siedział za biurkiem, ręce ciężko położył na oparciach fotela, kosmyk płowych włosów zwisał mu na czoło. W świetle jarzeniówek jego podłużna twarz przypominała wychudzonego mniacha. Obok niego na obrotowych fotelach siedzieli kapitan McComb i komendant Wayne Loftus z wydziału zbrodni, za które grozi kara śmierci. Garnitur McComba był tak wymięty, że wyglądał jak zrobiony z gnieczonego materiału, a Loftus miał na sobie trykotową koszulkę polo, spodnie w kolorze khaki i mokasyny, został bowiem wezwany z domu, gdzie pojechał przespać się kilka godzin, nie wyglądało bowiem na to, by w niedzielę wieczór miało się cokolwiek dziać. Tak samo jak McComb, Loftus zrobił karierę dzięki ogromnemu doświadczeniu i zdrowemu rozsądkowi. Był z nimi jeszcze zastępca szefa policji Neil McKenna – w świeżo wyprasowanym

garniturze i eleganckim krawacie – zawsze przygotowany na obecność mediów i ewentualnego wpływu spotkania z dziennikarzami na jego karierę. McKenna był młodszy od pozostałych i należał do nowej fali w policji. Jej przedstawiciele spędzali mniej lat na ulicy i szybko awansowali. McKenna od trzech lat kierował wydziałem operacji śledczych.

Właśnie wysłuchali raportu Palmy, dotyczącego informacji uzyskanych od Alice Jackson i Mirel Farr, oraz danych z laboratorium z nieoczekiwanym odkryciem Palmy włącznie. Wszystko to mogło złamać karierę zawodową Broussarda, ale z kryminalnego punktu widzenia oznaczało jedynie dość niewinne świntuszenie. Doktor Broussard mógłby się spodziewać sankcji ze strony organizacji zawodowych, do których należał, z powodu złamania tajemnicy lekarskiej i być może po wielu przesłuchaniach zabroniono by mu wykonywania zawodu terapeuty w Teksasie. Mógłby zostać oskarżony przez pacjentki, z którymi utrzymywał kontakty seksualne w trakcie terapii, ale jeżeli chodziło o śledztwo w sprawie o seryjne zabójstwa, był czysty. Jak na razie nie znaleziono niczego, co wiązałoby go z którymkolwiek z miejsc zbrodni i jedyna nadzieja na znalezienie czegoś przeciwko niemu wisiała dosłownie na kilku cienkich włosach.

– Poszlaki wskazują jednak na niego w tak znaczącym stopniu, że nie mamy wątpliwości, iż uda nam się znaleźć wymagany dowód – kończyła Palma. – Niestety Broussard został podejrzanym dopiero mniej więcej osiemnaście godzin temu, a dopiero siedem godzin

temu zaczęliśmy go traktować jako podejrzanego numer jeden. Nie mieliśmy dość czasu na zebranie więcej danych poza przedstawionymi poszlakami.

– Przebywa aktualnie z tą Lowe – poinformował Loftusa McComb. – Jest u niego bez przerwy od wczoraj wieczór. Ma męża i dzieci, nie zgłosili jednak jej zaginięcia, sądzymy więc, że uważają, iż wyjechała z miasta, do matki czy coś w tym stylu.

– Jesteście pewni, że nie rżnie jej właśnie na kawałki? – odparł Loftus.

– Hm... pewni nie jesteśmy – odparł McComb nieco zdenerwowany. – Dlatego musimy podjąć jakąś decyzję... ile chcemy zaryzykować prawnie i politycznie i Bóg wie w jakim jeszcze zakresie, żeby wkroczyć do jego domu. Może się okazać, że wpadniemy i popsujemy zwykle pozamałżeńskie weekendowe Bara-bara, które planowali przez miesiąc. Możliwe, że Broussard jest jedynie napalonym psychiatrą, wynoszącym z pracy nieco ubocznych korzyści. Ale tak samo jest możliwe, że zastaniemy go na tym, jak piłuje ją na kawałki i chowa do zamrażarki.

– Grant uważa, że nie zabije jej we własnym domu – spokojnie stwierdził Frisch i popatrzył na Granta, aby ten udzielił dalszych wyjaśnień.

Grant siedział na skraju jednego z biurek i Palma miała wrażenie, że jest coraz bardziej zmęczony tym, co się dzieje. Nie był jednak wyjątkiem: Frisch wyglądał, jakby kwalifikował się na zwolnienie lekarskie, ona sama czuła twarde mięśnie barków.

– Takie mam wrażenie, ale nie wszyscy je podzielają – stwierdził Grant. – W żadnym przypadku podejrzany nie zachowuje się dokładnie według behawioralnego modelu, określonego na podstawie typowych zachowań motywowanych seksualnie zabójców. Nie istnieje stuprocentowa przewidywalność, choć można w miarę dokładnie określić tolerancję zmienności zachowań. Broussard już dotarł do jej granic. Umiemy w miarę dobrze przewidywać zachowania sprawcy, stopień trafności zależy jednak od stopnia znajomości podejrzanego. Broussarda prawie wcale nie znamy. Poza tym jeszcze nigdy zachowania żadnego podejrzanego, z którym miałem do czynienia, nie odbiegały tak bardzo od modelu niż w jego przypadku.

– Co to w sumie znaczy? – prychnął Loftus. Chciał jednoznacznych wniosków. Grant spojrział na niego obojętnie. Nie lubił, jak mu się przerywa.

– Znaczy to, że nie sądzę, by Broussard zabił ją we własnym domu, ale nie ryzykowałbym jej życia. Ja bym ją stamtąd wyciągał.

– No świetnie... – stwierdził Loftus. – Nie wiem, Grant, jakie ma pan doświadczenie z psychospecami ludzi z wyższych sfer, wiem jednak, że jeżeli się pan myli, możemy mieć sporo kłopotów. Boże, znam pastora z Pasadeny, który doprowadził do tego, że od trzech lat jego wierni zapewniają ponad połowę utrzymania dwóm domom dziecka w naszym mieście, a zbiera magazyny lesbijskie. Nie mam pojęcia, co z nimi robi, ale na pewno nie służą mu do podkładania pod kiwające się stoły. Znam dyrektora w Exxonie, który w zeszłym

roku osobiście zebrał ponad milion dolarów na cele dobroczynne, co roku wspiera kolejnego ubogiego dzieciaka finansując mu koledź, a zamiast szortów nosi damskie majtki. Nie wiem, jakie ma to odniesienie do jego głowy, wiem jednak, że dziwactwa tych gości nie przeszkadzają im być przydatnymi obywatelami. W naszych czasach dziwactwo nic nie znaczy. Nie aresztuje się ludzi za dziwactwa.

Grant skinął głową. Palma doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie będzie się spierał na tej płaszczyźnie z miejscowym szefem policji. Loftus był wystarczająco inteligentny i zwykle nie mylił się w ocenach ani nie tracił z oczu sedna sprawy, jego zachowanie wskazywało więc na to, że chce walczyć o kompetencje. Nie zamierzał pozwalać pistoletowi z Quantico na decydowanie o tym, jak w Houston będzie prowadzone śledztwo. Po długiej przerwie odezwał się Frisch.

– Przyłączam się do zdania Palmy. Prowadzi sprawę od początku i ufam jej opinii. Potrzebujemy dowodów i moim zdaniem, mamy uzasadnione podejrzenia. Jeżeli żaden z panów nas nie przegłosuje, będziemy działać według tego planu.

Palma najchętniej rzuciłaby mu się na szyję. Frisch zawsze umiał zablokować pieprzenie. Nie pozwalał, aby prostą operacyjną decyzję rozmyły formalne kruczki.

– Zgoda – nieoczekiwanie powiedział McKenna. Znakomicie wiedział, co urzędasy uznają za ryzyko. – Wolę narazić się na oskarżenie ze strony wściekłego psychiatry o nielegalne wtargnięcie na jego trawnik, niż siedzieć beczynnym na dupie, kiedy być może

morduje kolejną kobietę. Zdobądźcie nakaz rewizji, podajcie jako powód wystąpienia o niego nagromadzenie poszlak przeciwko Broussardowi oraz potencjalne zagrożenie kobiety i jazda!

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Przez całe długie, upalne popołudnie rozmawiali o miłości i jej braku, o zemście i jej niedoskonałości, o kazirodztwie. Mary ciągle go okłamywała, ale z takim samym zainteresowaniem słuchał jej kłamstw, jak nielicznych prawd. Wiedział, że przestała odróżniać jedno od drugiego i w jej poplątanym umyśle oba krańce złąły się w jedno. To, co już przedtem podejrzewał, dziś się potwierdziło – musiały minąć lata, odkąd straciła wizję prawdy. Dawno temu porzuciła rzeczywistość na rzecz czegoś mniej brutalnego, za to ciekawszego i litościwszego. Aż do dziś funkcjonowała jak należy, prawidłowo grała rolę osoby grającej rolę, okazało się to jednak nieskuteczne, ponieważ w coraz większym stopniu przyzwyczajala się być kimś innym, niż faktycznie była. Sieć kłamstw po cichu się jednak rozrastała w podświadomości, aż stały się niemożliwe do opanowania i coraz bardziej skomplikowany schemat fantazji zapanaował nad nią. Chaos wygrał z porządkiem.

Włożyła majtki i biustonosz, ale nic poza tym, on został w jedwabkach i przez rozpięcie koszuli widać było gęste włosy na jego piersi. Nie za bardzo podobał mu się ten „cygański” element, ale cóż... Zeszli do kuchni, z bogato zaopatrzonej spiżarni wzięli kilka butelek valpolicelli, chleb, sery, pasztety, oliwki i owoce, i zanieśli wszystko na górę, do sypialni i rozłożyli jedzenie na szerokim mahoniowym parapecie okna. Jedli spokojnie, Broussard kroił jabłka i gruszki na małeńkie ćwiartki o czerwonych i jasnozielonych

skórkach, w ciepłym powietrzu unosił się zapach wina, a Broussard miał znakomity widok na długie nogi Mary, prześwitujący przez wypełnione miseczki jej biustonosza róż sutków, węzełek pępka nad gumką majtek i czerwony znak po ugryzieniu na kolanie.

Za nimi, po przeciwległej stronie miasta, słońce wypalało na horyzoncie pas pomarańczowego ognia, na wschodzie wznosiła się zza wieżowców różowa mgła, a w magnoliach i potężnych dębach gromadziło się gorące popołudniowe powietrze.

Światło zaczęło słabnąć, ale Broussard dalej słuchał kłamstw Mary. Czuł w ustach smak jabłek i wina i patrzył, jak jej postać zaczyna się zlewać z zapadającym zmrokiem niczym duch, a biała sylwetka robi się coraz bardziej przezroczysta, jakby była powidokiem, ujawniającym się tylko, jeżeli nie patrzy się wprost.

Choć ze względu na ciało w dalszym ciągu była dla niego Mary Świetlistą, przemieniała się w Mary Zanikającą, a jej kłamstwa stawały się życiodajnymi kłamstwami płci, do której należała, opowieściami o przetrwaniu i sprycie, werbalnymi archetypami gatunku, jaki reprezentowała, baśniami wszystkich współczesnych Szeherazad.

Broussard zaczekał, aż Mary Zanikająca skończy kolejną rwaną, pełną bólu opowieść o swoim budzącym się apetycie seksualnym, którego doświadczyła po raz pierwszy podczas stosunku z ojcem. Pod sam koniec opowieści jej głos ucichł i oboje zamarli w milczeniu.

Wypili jeszcze trochę wina, Mary milczała przez długi czas.

Choć opowieść była wstrząsająca, w jej trakcie myśli Broussarda wędrowały. Często wysłuchiwał podobnie poruszających historii i rzadko go zaskakiwały. Właściwie to nic go nie zaskakiwało. Zupełnie nic. Zaczął się zastanawiać, dlaczego Mary do tej pory ani razu nic nie wspomniała o jego przebieraniu się w damskie rzeczy. Nie zrobiła na ten temat nawet najmniejszej aluzji. Od pierwszego momentu, kiedy zobaczyła go na tarasie, przyjęła jego niecodzienną preferencję, jakby była normalną praktyką wszystkich mężczyzn, których znała. Nie miało to widocznego wpływu na jej postawę seksualną wobec niego, wręcz można było odnieść wrażenie, że seks z przebranym za kobietę mężczyzną nie należy do spraw, do których musiała się przyzwyczajać. Nie dało się zauważyć wpływu tego faktu na jej żar.

Ten brak zaskoczenia, a nawet zaciekawienia z jej strony niepokoił go, choć zdawał sobie sprawę z ironii tej sytuacji. Całe życie marzył o kobiecie, która zaakceptowałaby jego przebieranki z taką nonszalancją, jaką okazała Mary, o kobiecie, której erotyczna gotowość dostosowywałaby się do jego natrętnego pożądania dotyku, dźwięku i widoku kobiecego ubrania. Żadna – żadna po matce – nie była w stanie tego zaakceptować. Ani jedna. Nawet przez tyle lat intymnych kontaktów z Bernadine nie miał odwagi opowiedzieć jej o swoim fetyszu – zrobił to dopiero pod koniec, kiedy opowiedziała mu o swoich kontaktach biseksualnych. Okazało się zaś wtedy, że podeszła do jego inności seksualnej znacznie mniej tolerancyjnie niż on do jej upodobań.

Teraz zaś, tak późno, odnalazł Mary i choć dostał to, o czym zawsze marzył, musiał z rozczarowaniem stwierdzić, że coś jest nie tak. Tak samo było w przypadku matki. Pod sam koniec powstało między nimi coś niepokojącego, coś czego nigdy do końca nie zrozumiał ani nie rozwiązał, co doprowadziło ich symbiotyczny związek do nagłego końca. To samo niejasne poczucie niepewności miał teraz wobec Mary Lowe i naprawdę upiorny wydawał się fakt, że wróciło akurat w momencie, kiedy znalazł kobietę, która mogłaby w tych sprawach znaczyć dla niego tyle samo, co znaczyła matka.

Rozmawiali, aż zmierzch przeszedł w noc i Mary, niewidoczna w półmroku, pojawiła się na nowo, kiedy łuna światła miasta zamigotała na czarnym niebie, wpadła przez wysokie okna i zabarwiła jej postać na bladoniebiesko. Dzieliła ich bardzo mała przestrzeń, wypełniona zapachem wina i jabłek.

– Nigdy nie byłam w stanie zmusić się do tego, by go znienawidzić – powiedziała Mary. – Było mi go żal, czułam wobec niego odrazę i niesmak, ale... nie byłam w stanie go znienawidzić. Choć byłam dopiero dzieckiem, wiedziałam, że jest żaloszny i nie zasługuje na nienawiść. Czasami, w przebłyskach intuicji, czułam absurdalność tego, co mi robi, i że oboje jesteśmy ofiarami jakiegoś potężnego i przerażającego zła. Może drugiej twarzy Boga, czegoś, czego on nie rozumiał wcale lepiej niż ja. – Pochyliła się do przodu, wzięła butelkę i po chwili rozległ się bulgot wlewano do kieliszka wina. Jej ruchy były piękne, tak naturalne jak gwałtowny seks, któremu oddawała się z taką przyjemnością, tak naturalne jak słodki zapach

jej naczyń krwionośnych, tak naturalne jak jej kłamstwa. – Był jedyną osobą, z którą miałam bliski związek, choć był chory. Co miałam robić? Odrzucić jedyną dostępną mi bliskość, odepchnąć jedyny zaoferowany mi w życiu objaw uczucia? Przynajmniej było w tym, co robił, wiele czułości, ten związek dowodził, że dla kogoś jestem ważna.

Mary popatrzyła na niego. Nie widział jej rysów, nie wiedział, czy obserwuje go sceptycznie, pogardliwie czy obojętnie, był jednak pewien, że cokolwiek teraz powie, będzie to dla niej obojętne. Czuł to. Musiał przypomnieć sobie, że nie przyszła do niego z wolnej woli, jako cierpiąca ofiara. Przyszła raczej jako aktorka odgrywająca kolejną rolę, zaprzeczająca istnieniu prawdziwej Mary w imię odgrywania takiej Mary, jakiej wszyscy się spodziewali, świadoma, że dopóki gra, może unikać realnego życia poza sceną. Nie było czasu na rzeczywistość, przy życiu utrzymywała ją gra. Zgodziła się przyjść do Broussarda tylko dlatego, że zażądał tego mąż, nie interesowała jej rekonstrukcja własnej osobowości. Nie interesował jej rozwój emocjonalny. Nie interesowało jej stanie się całością. Była niewyuczalna. Była jedyna w swoim rodzaju. Wydawało mu się, jakby Mary zdecydowała się zostać jedynie fragmentem kobiety, oderwanym kawałkiem tego, czym mogłaby się stać – i czym powinna się stać. Zostanie zamkniętą całością zbyt wiele by ją jednak kosztowało. Nie pragnęła tego. Wręcz odwrotnie – bała się. Mary nigdy nie stanie się całością. Jej dzieciństwo zostało poszarpane na zbyt wiele kawałków, a kiedy składała je razem, robiła to źle, jak

dziecko.

Psychiatryczne komunały Broussarda i jego nic niewarty opis kompleksu Persefony traciły jakąkolwiek wartość przy tym, co się z nim działo. Jeżeli kiedykolwiek wierzył w możliwość rekonstrukcji psychicznej spójności Mary Lowe, to wiara ta stawała się coraz mniej ważna z każdą minutą obserwowania jej w hiacyntowym świetle skąpanego w nocy miasta. Choć nie był w stanie dostrzec konturów jej oczu, mimo to je widział – nigdy się nie zamykające szaroniebieskie wrota prowadzące w głąb jej psychiki, przez które dało się dostrzec inny kosmos, jeszcze dziwniejszy od tego, który nas otacza, i przez które mógł zostać wessany w ogromne, pełne upiorów przestrzenie świata Mary Lowe.

W dalszym ciągu przyglądała mu się bez ruchu, delikatna asymetria jej ust promieniowała niemym erotyzmem. Choć milczała, ciało Mary było niezwykle ekspresyjne. Tak jak Bernadine, postrzegała wszystko przez pryzmat seksualności – jak wąż postrzega świat przez język. Kazirodztwo wpoilo jej dziecinnemu umysłowi, że związki międzyludzkie opierają się na seksie. Była to chyba najtraficzniejsza lekcja, jaką dostała w życiu.

Broussard często spotykał się z tym u pacjentek i nigdy nie umiał odmówić sobie wykorzystania ich nieszczęścia. Wiedział, co krąży w ich podświadomości, i wiedział, jak wykorzystać to do swoich celów. Dlaczego miały tego nie robić? W końcu też był dzieckiem nieszczęścia. Jeżeli tęskniły za uspokojeniem, dlaczego miały sobie odmawiać? Nic nie było w stanie zwrócić im tego, co utraciły.

Co przyniosłaby Mary wiedza o tym, co się dzieje na wyższej płaszczyźnie? Dla niej liczyła się jedynie chwilowa ucieczka od bezlitosnego ciężaru poczucia samotności. Jeżeli miałoby się to okazać wszystkim, co jej da, też dobrze. W końcu tego szukała. Jeżeli na tym się skończy, to dobrze. I tak dalej nie chciała iść.

Już od dobrej chwili było ciemno i oczy zdążyły się przyzwyczaić do mroku, dzięki czemu mimo znikomego oświetlenia Broussard widział sylwetkę Mary – z wyjątkiem drobnych rysów, zmarszczonego czoła i cieni, przebijających się za dnia przez cienki nylon.

Patrzyła bez słowa, jak Broussard wstaje i ostrożnie zdejmuje leżący na ławeczce przy oknie obrus. Szybkim ruchem, zanim wszystko zabrał, sięgnęła po butelkę wina, nalała sobie pełny kieliszek i postawiła go na parapecie. Podszedł do niej, ściągnął koszulę i rzucił ją w ciemność za siebie, potem zdjął spodnie i kopnięciem też odrzucił w głąb pokoju. Oczy miała na poziomie jego talii i kiedy zdejmował majtki odwróciła się, by sięgnąć po wino. Kiedy odchyliła głowę, jej szyja wygięła się i jakiś refleks światła stworzył w hiacyntowym świetle delikatną białą linię. Kiedy odstawiała kieliszek, zauważyła, że rozlała wino. Po bokach ust miała ciemnopurpurowe kreski, a szczyty piersi i przód biustonosza poplamity duże krople. Natychmiast dołała sobie wina.

Kiedy obok niej ukląkł, jego głowa znalazła się nieco niżej niż jej. Delikatnie objął jej uda dłońmi i odwrócił ku sobie. Siedziała zwrócona twarzą ku niemu, nogi zwisały jej z ławeczki, pełen kieliszek wina opierała na nagim udzie. Sięgnęła jej za plecy i rozpiął

biustonosz, ściągał go powoli, aż spadł z piersi. Od samego dotyku koronki dostał wzdruć. Popatrzył na biustonosz, delikatne brzegi, niemal przezroczysty materiał miseczek. Obrócił go, wsunął ręce w ramiączka, wygładził elastyczne boki i zapiął go na sobie.

Mary uważnie go obserwowała. Nie poruszyła się, podniosła jedynie kieliszek z winem, ale zatrzymała go w połowie drogi do ust – w takim miejscu, że padające z okna światło odbiło się od powierzchni ciemnego wina niebieskim blaskiem. Broussardowi wydawało się, że widzi na jej twarzy wyraz pełnego napięcia pożądania. A może to tęsknota? Żałość? Potem przytknęła kieliszek do ust – zdecydował, że to jednak pożądanie – i wypijała do dna. Kiedy skończyła, odchyliła się nieco, cofnęła ramię i wyrzuciła kieliszek za okno. Z żywopłotu doleciał szelest wpadającego między gałązki szkła. Był zrobiony z kryształu i Broussard wyobraził sobie migotanie fasetek między drobnymi listkami bukszpanu.

Kiedy dotknął biodra Mary w miejscu, gdzie gumka majtek wpijała się nieco w skórę, poczuł na całym ciele mrowienie, jakby znalazł się nagle pod prądem. Przesunął dłoń na jej plecy, włożył kciuk za gumkę majtek i zaczął je powoli ściągać. Aby mu pomóc, uniosła najpierw jeden pośladek, potem drugi. Ściągał nylon z ud, potem łydek, na koniec z kostek. Wstał i bez pośpiechu zaczął rozwijać skręcony materiał; każdy dotyk był niezwykle przyjemny, bardzo podniecający. Kiedy w końcu doprowadził majtki do zwykłej formy, włożył w nie nogi.

Natychmiast poczuł magiczną przemianę. Tak powinno być. To

było ubranie, jakie powinien nosić. Choć jej majtki były dla niego nieco za małe, podciągnął je jak najwyżej, aby najlepiej poczuć nylon, którego dotyk i ucisk w kroczu słał mu podniecające impulsy.

Zniknął w ciemności pokoju, zaraz jednak wrócił z rękami pełnymi kosmetyków. Mary oparła się plecami o ścianę. Rzucił to, co przyniósł, pomiędzy jej rozłożone nogi. Rozumiała wszystko – nawet to. Nie było potrzeby niczego wyjaśniać. Było zbyt ciemno, aby widzieć szczegóły, mrok nie przeszkadzał mu jednak, mógł dostosować się do każdych warunków. Tak jak u aktorów w teatrze jej rysy będą przesadzone, wyraźniejsze niż w życiu. W tym życiu.

Choć nic nie powiedział, wiedziała, że ma pochylić się do przodu. Kiedy zaczął ją malować, z podniecenia drżały mu ręce. Tym razem nie trzeba było zachowywać żadnej specjalnej kolejności. I tak był to jedynie rytuał, ale zdawała się rozumieć cały symbolizm, obrządek. Najpierw szminka na jej usta, potem na jego, cień na jej powieki, potem na jego. Z każdym wdechem zapach kosmetyków oplatał go coraz ciaśniej, przy każdym pociągnięciu kolejnym kosmetykiem po twarzy Mary czuł na nagim przedramieniu muśnięcia jej sutków i ich hiacyntowy świat coraz bardziej się unosił i odpływał, w końcu go uwalniając, przynosząc ten tak znajomy moment, dla którego żył i którego tak pragnął – czas zniknięcia doktora Broussarda i narodzin Margaret Boll.

Ich twarze były wystarczająco blisko, aby Broussard czuł oddech Mary, ciężki i aromatyczny od wina. Jego własny oddech był nieopanowany i wydobywał się w nieregularnych spazmach.

– Mam sznur – powiedział, równocześnie czując, jak na czoło występuje mu pot. Mary popatrzyła na niego bez najmniejszej zmiany w wyrazie twarzy. Nie było możliwości oceny, co o tym sądzi.

– Chcesz, żebym cię związał?

– Nigdy czegoś takiego nie robiłam... – skłamała i w głowie Broussarda zawirował obraz Dorothy Samenov z miseczką gorącej oliwy w dłoniach, stojącej nad związaną szafranowymi szarfami Mary i skapującej na nią kroplę za kroplą. Po chwili obraz ten zastąpił widok Sandry Moser, tracącej nagle kontrolę nad rozciągniętym ciałem Mary i wpadającej do sali Mirel Farr, która zaczęła ją powstrzymywać, potem ujrzał...

– A może ty chcesz mnie związać... na początek?

– Nigdy czegoś takiego nie robiłam – znów skłamała i Broussard ujrzał Mary, siedzącą okrakiem na Louise Ackley, największej z nich masochistce. Obie, spocone z powodu panującego w norze Mirel Farr gorąca, błyszczały od potu, a Mary raz za razem z wielką wprawą pociągała ostrzem brzytwy po brzuchu Louise, robiąc na jej skórze biegnące prosto ku łonu karminowe kreski. Ujrzał Mary i szczupłą, czarnowłosą Nancy Seiver, której fascynację igłami i stalowymi kulkami Mary doprowadziła poza granice absurdu.

– Mam szarfy... – szepnął Broussard. – Szafranowe szarfy... z jedwabiu. Mary uniosła głowę i pocałowała go. Lekko, jak motyl, potem nieco energiczniej, aż poczuł na języku smak szminki, a w jej oddechu zapach wina.

– Będziemy się zamieniać – powiedziała przyciskając usta do jego ust. Od dotyku jej ciała i nylonu kręciło mu się w głowie.

– Zamieniać... – Niemal odebrało mu mowę. – Oczywiście... Będziemy się zamieniać.

W jego pamięci znów pojawiły się obrazy tego, co Mary robiła u Mirel Farr.

To było niewyobrażalne.

To znaczy do chwili obecnej można to było sobie jedynie wyobrażać. Lata fantazjowania stawały się rzeczywistością, ale zdawało mu się, że śni. Mieli tak samo pomalowane twarze, on leżał na środku łóżka, z którego została rzucona pościel, ubrany w zdjęte z niej rzeczy, naga Mary klęczała nad nim i czesała oraz głaskała jego ulubioną perukę, by włosy układały się naturalnie wokół twarzy. Otworzyli wszystkie wychodzące na zalew okna, mimo to w powietrzu unosił się wyraźny, ciężki zapach perfum Broussarda. Dalekie światelka miasta rozpościerały się na nocnym horyzoncie jak warstwa szronu.

Najpierw przywiązała mu kostki, zaciągając ciasno szafranowe szarfy, nie było mu jednak niewygodnie. Jedwab, nawet krępujący ruchy, nigdy nie był dla niego nieprzyjemny i nigdy nie byłby w stanie oprzeć się pokusie bycia związanym jedwabiem – nawet gdyby zawieszono go przy tym nad otchłanią. Usiadła mu okrakiem na brzuchu i kiedy zaczęła przywiązywać jego nadgarstki, jej sutki muskały go po twarzy. Jak wenecka kurtyzana, spełniała każde jego życzenie. Nic jej nie zaskakiwało, przy niczym się nie wahała, nie

istniały żadne tabu, za to zasypywała go objawami zainteresowania i traktowała jak sułtana.

W końcu został mocno przywiązany, a jego powieki stały się ciężkie od narkotyku zwanego oczekiwaniem. Czas biegł coraz wolniej i wolniej, aż się zatrzymał. Broussard w pełni uświadomił sobie ciszę i bezruch. Drgały mu powieki, ale mimo migotania widział, jak siedzi na nim okrakiem, z uniesionymi w bok rękami, wbijając długie, blade palce niczym grzebień w złote włosy, aby odsunąć je do tyłu, wpatrzona w niego. Była tak piękna, każdy fragment, każdy cień na jej ciele i każda plama koloru były balsamem dla oczu.

– Margaret... – Powiedziawszy to, odsunęła włosy na lewo, przerzuciła ich długi, gruby pęk na plecy. Jaka ona była piękna... Jak nadprzyrodzony twór. – Margaret – powtórzyła. – Chcę ci coś opowiedzieć. To nie opowieść na użytek analizy... to tylko... moje dzieje. – Pokręciła szyją, jakby chciała rozluźnić mięsne. – Jeżeli nie poznasz moich dziejów, nic nie zrozumiesz.

Nie tego oczekiwał – a czego właściwie oczekiwał? – nie zaproponował jednak. Była dla niego magią, a magia ma swoje prawa. Czekał. Przez chwilę Mary jedynie go obserwowała, głaskała palcami przez włosy, a im bardziej wracała myślą do wspomnień, to choć na niego patrzyła, przestawała go widzieć.

– Sądzę, że wiedziałam to od początku – rzekła, jakby odpowiadała na pytanie. – Od tego wieczora w basenie, kiedy siedziała na brzegu z nogami w wodzie, uśmiechając się do mnie, z rozchyłonymi wargami, ukazując w głupim uśmiechu białe zęby.

Musiałam wiedzieć to już tamtego wieczora, kiedy przy oglądaniu telewizji włożył we mnie wysmarowane masłem palce. Była razem z nami w pokoju, siedziała w fotelu, nieco z boku. Uczesała włosy, nawinęła je na wałki i popryskała lakierem, jakby szykowała się do wyjścia. Nigdy nie pozwalała sobie na rozlazłość. Kiedy zrobił to, co zrobił, zamarłam, wbiłam wzrok w reklamę lodówek, a kobieta w telewizji uśmiechała się do połowy Amerykanów tak samo jak ona przy basenie – szczerząc białe zęby i rozchylając lekko czerwone wargi. Nie popatrzyłam jednak na nią, choć bardziej niż czegokolwiek chciałam się dowiedzieć, czy widziała, co mi zrobił. Nie spojrziałam jednak na nią.

Poprzez skórę bioder i pośladków, Margaret poczuł zmianę nastroju Mary.

– Ponieważ się bałam. Margaret otworzył oczy.

– Kiedy to robił, o mało nie umarłam. Wszystko wokół mnie zniknęło – z wyjątkiem kobiety reklamującej lodówki. Nie myślałam o tym, że musiałyby być ślepa albo nieprzytomna, aby nie zauważyć tego, co on robi, nie myślałam o tym, że nic przeciw temu nie zrobiła – a być może nawet dokładnie nas obserwowała. Wieczorem nie przyszła pocałować mnie na dobranoc. Już nigdy więcej tego nie zrobiła. Dobrze pamiętam, że przestała przychodzić całować mnie na dobranoc po tym, jak wsadził mi umazane masłem palce w... – Powierciła się, poprawiła. Zdawała zbierać myśli albo odzyskiwać panowanie nad sobą. – Niedługo po tym zaczął przychodzić do mnie w nocy, by mnie obmacywać... wsadzać mi palce... i uczyć, jak go

onizować. Udało mi się przekonać samą siebie, że ona o tym nie wie, przychodził bowiem tak późno pewnie dlatego, że czekał, aż ona zaśnie. Z całym rozsądkiem, jaki mi pozostał, uczepliłam się tego, że tylko on jest nienormalny, tylko on jest wśród nas zdrajcą. Przez jakiś czas pozwalało mi to przetrwać, szybko jednak się okazało, że ten okres był wiele za krótki. Niedługo zaczął przychodzić do mnie znacznie wcześniej, na tyle wcześniej, że na pewno ona jeszcze nie spała i musiała wiedzieć, że wymyka się z łóżka – jeżeli w ogóle musiał się „wymykać”. Przychodził wcześniej i zostawał dłużej, a ona wiedziała. Kiedy wychodziła w sobotni wieczór na zakupy i zostawiała nas samych – wiedziała. Kiedy popołudniami znikaliśmy na pół godziny, nigdy nie pytała, gdzie byliśmy. Wiedziała. Z biegiem czasu wypracowaliśmy zwyczaj, grałam rolę jego żony. Ona czytała czasopisma, oglądała telewizję, malowała paznokcie i fryzowała się, i stawiała mi się coraz bardziej obca. Nigdy więcej mnie nie dotknęła, nie porozmawiała ze mną miło – jeżeli w ogóle cokolwiek mówiła. Bywało, że byliśmy w tym samym pokoju tylko we dwie, a zachowywała się, jakby mnie nie było. Stałam się dla niej niewidzialna. Nawet mnie nie dostrzegła! Wtedy – jak ci opowiadałam – zaczęłam kłamać. Ją też okłamywałam. Przede wszystkim ją.

Margaret popatrzył Mary w oczy. Były to nie widzące oczy, jej głos był głosem osoby pod wpływem hipnozy.

– Nigdy jej nie powiedziałam, jak się czuję. Nie byłam w stanie. Jak mogłabym? Przestałam wiedzieć, jak się wobec niej zachowywać. Zaczęłam ją szpiegować. Nie pamiętam, dlaczego ani jak wpa-

dłam na ten pomysł, ale zaczęłam to robić wkrótce po tym, jak przeszłam na kłamanie. Pewnego popołudnia, kiedy poszła nad basen się opalać i było jasne, że jakiś czas jej nie będzie, weszłam do jej sypialni. Zawsze podkreślała, że jej sypialnia to nie miejsce dla mnie, więc bardzo rzadko tam bywałam, i kiedy weszłam, poczułam się, jakbym była w sypialni obcej osoby i natychmiast poczułam podniecenie, takie drżenie, jakie nachodzi człowieka, kiedy przekracza granice sanktuarium, łamie tabu. Pokój był pełen nieciekawych mebli i fatałaszków, nazbieranych przez nudną kobietę o złym guście, byłam jednak dzieckiem i miejsce wydało mi się cudowne. Przejrzałam wszystkie szuflady i szafy, poskładaną bieliznę, dotknęłam każdej sztuki. Kiedy to robiłam, poczułam dziwną, zaskakującą bliskość z nią, jakiej jeszcze nigdy nie czułam. Nawet wtedy, w dzieciństwie, wydało mi się dziwne, że czuję większą z nią bliskość, kiedy dotykam jej bielizny, niż kiedy jestem blisko niej. Pamiętam, jak wydawało mi się... w moim dziecięcym, pozbawionym zrozumienia sposobie myślenia... że jeżeli dobrze poszukam, znajdę wśród tych wszystkich drobiazgów coś, co mi wszystko wyjaśni.

Mary przerwała, jęknęła i znów zaczęła kręcić głową, aż włosy zasłoniły twarz. Zamarła po chwili i tak siedziała, dotykając długimi, bladymi palcami bioder Margaret.

– Znalazłam wibrator.

Powoli uniosła ramiona i odsłoniła twarz, a Margaret poczuł krople potu, w miejscu gdzie pachwiny Mary dotykały jego brzucha.

– Cóż to za odkrycie dla dziecka – powiedziała lekko zachryp-

niętym głosem. – Zwłaszcza że był to bardzo realistyczny przedmiot, odwzorowany dokładnie, z anatomicznymi szczegółami, zrobiony z miękkiego lateksu w kolorze ciała. W tym czasie aż za dobrze znałam pierwowzór i jedynie krótką chwilę zajęło mi pojęcie gorzkiej ironii mego znaleziska. Różnicy między nami, między tym, co ona robiła, a co ja robiłam.

Margaret milczał, jego uwagę, skoncentrowaną na własnym podnieceniu, nagle odwrócił ton głosu Mary i jego własne przecucie, co może nastąpić dalej. Mary powoli skinęła głową i uniosła nieco biodra w górę, co spowodowało, że w wilgotnym miejscu, gdzie siedziała mu na brzuchu, Margaret poczuł chłodny wiew powietrza. Mary nie czuła tego delikatnego zjawiska – mięśnie jej ud reagowały na coś innego niż to, co działo się między nimi.

– Wtedy... wtedy nareszcie przyznałam się wobec siebie samej do tego, że jej nienawidzę. Chciałam, aby się o tym dowiedziała. To było bardzo łatwe. W tamtym okresie ojciec na okrągło chciał mieć seks ze mną i spędzałam sporo czasu na wymigiwaniu się, odpychaniu go, znajdowaniu wymówek. Z biegiem czasu jego próby zbliżania się do mnie stały się kompletnie niedostosowane do sytuacji... nawet w kontekście irracjonalności, która stała się naszym status quo... dokonywał ich, kiedy była w pokoju obok albo kiedy leżeliśmy przy basenie i szedł za mną do domu pod najbliższym pretekstem. Było aż nazbyt widoczne, co robi. W każdym razie przestałam mu ciągle odmawiać. – Przerwała na chwilę, aby przełknąć ślinę. – Oglądaliśmy pewnego wieczora telewizję. Cholerna telewizja...

używaliśmy jej jako narkotyku, by nie musieć ze sobą rozmawiać. Szedł właśnie program, którego nie chciała oglądać, ale zaraz po nim miał być jej ulubiony show. Nie pamiętam jaki. To ciekawe, że tego nie pamiętam, prawda? W każdym razie postanowiła iść się wykąpać i wrócić za pół godziny. Natychmiast po tym jak wyszła, zaczął kwilić i mnie obmacywać. Miałam dość, postanowiłam, że nadszedł czas zrobić, co planowałam. Przez jakiś czas go odpychałam, wiedziałam bowiem, że jeżeli mu pozwolę od razu, skończy, zanim ona wróci. Powstrzymywałam go i powstrzymywałam, na kanapie przed telewizorem. W końcu charczał z pożądania, a zostało może dziesięć minut do programu. Pozwoliłam zacząć mu się rozbierać. Pozwoliłam mu zdjąć z siebie wszystko, czego bardzo wtedy chciał, ale nigdy mu na to nie pozwalałam. Chciałam, aby posunął się tak daleko, żeby w momencie, kiedy ona wróci, nie było najmniejszych wątpliwości, co się dzieje. Zrezygnowałam z wszelkiego oporu, zamknęłam oczy i rozdzieliłam się na pół, odpłynęłam do innego świata, wyraźnie jednak słyszałam, jak ona idzie przez kuchnię, a jej złote domowe kapcie robią klap-klap-klap-klap o podłogę. Nagle dźwięk zamarł. W tym momencie on był tak na fali, że nawet gdyby wypalono mu tuż nad głową z pistoletu, nic by nie usłyszał, a już na pewno nie przestał robić tego, co robił. Mój umysł znajdował się poza ciałem, zaciskałam oczy, całą uwagę miałam skupioną na odgłosie kroków i naglej ciszy. Wyobrażałam sobie jej postać. Rozpaczliwie chciałam otworzyć oczy i zobaczyć jej minę, potwierdzić, że go widzi, ale tak bardzo się bałam, że zobaczę przy tym siebie

i jego na mnie, a lęk przed tym był silniejszy od chęci ujrzenia jej miny. Nie otworzyłam więc oczu, za to nagle rozległo się klap-klap-klap-klap jej kapci, znikające w głębi domu i w tym momencie skończył. Pamiętam obrzydliwe uczucie w żołądku i naprawdę zdawało mi się wtedy, że zaraz go obrzygam. Nie wiedziałam, co wyniknie z tego, że sprawiłam, by nas obejrzała, i przez wiele dni bardzo się bałam.

Leżący na samym prześcieradle Margaret poruszył się, delikatnie badając przy tym więzy. Kiedy przed okiem w jego wyobraźni pojawił się szereg możliwości, przesunęły się sceny rodem z Boscha albo Eschera, jego wewnętrzną wizję zasnuł cień lęku. Rzeczywistość okazywała się równocześnie tym, na co wyglądała, jak i czymś całkiem innym. Reagując na jego ruch, Mary opadła na niego, a ciepłe jak letnia noc ciało unieruchomiło go.

– Jak twoim zdaniem zareagowała na to, co zobaczyła? – spytała Mary patrząc zza zasłony złotych włosów. Na ustach miała sardoniczny, autoironiczny uśmiech. – Jak sądzisz? – Pytanie było retoryczne. Nie oczekiwała odpowiedzi, zresztą on i tak nie byłby w stanie odpowiedzieć. – Chwilę leżał i dyszał, w końcu stoczył się ze mnie. Podciągnął spodnie, wstał i jak zawsze odszedł nie patrząc na mnie ani się nie odzywając. To było żałosne. On był żalorny. Ja. Ona. Każde z nas. To, kim byliśmy, i co robiliśmy. Poszłam do łazienki i umyłam się, potem zmusiłam się do zejścia do pokoju rodzinnego – Boże, „rodzinnego” – głównie po to, by sprawdzić, co ona z tym fantem zrobi. Kiedy schodziłam, już siedziała w tym fote-

lu co zawsze i oglądała swój program. – Mary pochyliła się ku twarzy Margaret. – Jadła lody – powiedziała teatralnym szeptem i poczuł na oczach ciężki od odoru wina oddech. Potem się wyprostowała. – Pamiętam to. Miała dużą miskę lodów, w trzech gatunkach. Byłam oszołomiona... te trzy rodzaje lodów... to, że zachowała na tyle zimną krew, aby po tym, co zobaczyła, przygotować sobie kompozycję z trzech gatunków lodów, było nie do wiary. Kiedy weszłam i usiadłam, nie odezwała się do mnie. Nie popatrzyła na mnie. Dobrze wiem, ponieważ nawet na chwilę nie odwróciłam od niej wzroku. – Mary odchyliła tułów do tyłu i zrzuciła z twarzy włosy. – A mój ojciec? Kiedy wrócił do pokoju, miał w rękach... też miskę lodów. Nie pamiętam w ilu gatunkach. To było chore. Dla mnie. Dlaczego nie było takie dla nich? Spytał mnie, czy chcę trochę lodów, jeżeli chcę, to mi przyniesie, ja jednak tylko pokręciłam głową. Zdawało mi się, że umrę tam na miejscu – z urazy, może z rozpacz.

Margaret popatrzył na Mary. Jego serce waliło tak mocno, że musiała to czuć w miejscu, gdzie jej uda dotykały jego klatki piersiowej. Pocił się i – z powodu, którego nie rozumiał – nie chciał, by to widziała. Krople potu skapywały mu z peruki na skronie. Zamarł w całkowitym bezruchu. Zdawało mu się, że jeżeli drgnie, zerwie cienką nić swego życia, to pojedyncze włókno, dzięki któremu istniał.

– Nigdy nie zapomnę tego wieczora – odezwała się znów Mary.
– Wtedy bowiem zrozumiałam, że... zostałam sprzedana. Czułam się

poniżona i byłam przerażona. Nagle zrozumiałam, że to się nigdy nie skończy. Zaczęłam się bać, że to wszystko jest jedynie wstępem do czegoś jeszcze bardziej niewyobraźalnego. Do czego to miało prowadzić? Jak daleko ja byłam się w stanie posunąć? Poczulałam się jak idiotka, że potrzebowałam tyle czasu, aby to zrozumieć. To tak bolało... Myślałam, że nie przeżyję. Oczywiście przeżyłam. Z biegiem czasu człowiek przekonuje się, że jest w stanie przeżyć wszystko. Nie ma nic tak złego, czego nie mogą zrobić człowiekowi inni ludzie, i jeżeli nie zatrzyma mu się przy tym serce, jest w stanie wytrzymać wszystko. Duch nigdy nie ginie, może więc być torturowany w nieskończoność. Nic nie jest na tyle okropne, by skończyło się samo z siebie, tylko dlatego że osiągnęło niewyobraźalne stadium. Tak się nie dzieje. – Pokręciła głową. – Na tym też polega tajemnica życia: cierpienie jest nieskończone.

Margaret popatrzył wzdłuż swego ciała na spoczywający na jego pępku złoty trójkąt łona Mary. Pomyślał o wzbudzającym przerażenie wyobrażeniu pochwy z zębami. A jeżeli w chwili śmierci znikają prawa natury i człowiek może przemknąć przez świat, w którym tego typu mity są prawdą?

– Z początku byłam... zrozpaczona. Zachorowałam i przez kilka dni – cztery – nie chodziłam do szkoły. Od tego dnia okłamywanie stało się moją podstawową zasadą kontaktu z nią. Już nigdy nie powiedziałam jej prawdy w żadnej istotnej sprawie. Wydawało mi się to uzasadnione – kłamstwo za kłamstwo. Przez pierwsze dwa dni nie mogłam utrzymać nic w żołądku, wziął więc w pracy wolne

i opiekował się mną. To znaczy próbował, ale nie byłam zbyt podatna na jego zabiegi. Ona ani razu nie przyszła do mojego pokoju. Po dwóch dniach mogłam już jeść krakersy, więc wrócił do pracy. Przebywając cały czas w domu, miałam okazję szpiegować ją lepiej niż w soboty albo tylko popołudniami. Trzeciego dnia po raz pierwszy podejrziałam ją, jak używa wibratora. Robiła to z całym... teatralnym rytuałem. Przed lustrem. – Margaret poczuł, że uda Mary rozchylać się, jakby jej mięśnie nieświadomie współgrały z obrazem, jaki jej się przypominał. – Czwartego dnia dokonałam kolejnego aktu zemsty. Kiedy poszła na zakupy i zostawiła mnie samą, poszłam do jej sypialni. Jej komoda cała była zastawiona buteleczkami perfum, ustawionymi niczym kadzidła przed świętym obrazem. Przyniosłam z kuchni plastikowy pojemnik z dzióbkiem, poszłam z nim do łazienki przy jej sypialni, postawiłam pojemnik na podłodze, ściągnęłam majtki, kucnęłam i sikałam, aż miałam pusty pęcherz. Następane pół godziny spędziłam na otwieraniu każdej buteleczki perfum, którą dało się otworzyć bez zostawiania śladów i laniu do środka trochę sików. Na tyle mało, żeby tego nie zauważyła, ale dość, bym wiedziała, że za każdym razem, kiedy się perfumuje, przyska się moim moczem. Na twarz i szyję, na linię włosów, ramiona, z tyłu kolan. Przez wiele miesięcy była dzień w dzień nasączona moim moczem. Używała dużo perfum. Tak mną gardziła, że nawet na mnie nie patrzyła, nie chciała widzieć, co mi zrobiła, mimo to byłam przy niej. Codziennie, w najintymniejszych miejscach. Wnikałam w pory jej skóry. Wdychała mnie. Byłam wszędzie na niej, choć kłamstwa i żal

tkwiły między nami jak wysoki, gruby mur, potężny i nie do przebiccia.

Margaret poczuł, że Mary drżą uda. Jej głos ochrypl, jakby przez długi czas krzyczała, a słowa raniły jej gardło jak żrący kwas. Logika Margaret zaczęła się dezintegrować, jego myśli przestawały tworzyć zrozumiałe związki. Cóż za błąd popełnił... Umysł Mary wyrzucał z siebie kawałki rozczłonkowanej psychiki, jakby to były maleńkie, nagie i kalekie istotki, zniekształcone i poronione stworki, wystrzeliwujące z czarnej jak zakrzepła krew otchłani, by dokonać na nim zemsty. Były wściekłe na niego za swe deformacje, za kikuty, rozszczypty i powykręcane jamy ciała, co pokazywały mu bez najmniejszych ogródek, sprośnie zapowiadając nadchodzącą okropność jego ostatnich chwil.

– To poniżające, jeżeli matka cię nie kocha. Długi czas uważałam, że może ma ku temu powód i że to we mnie jest coś takiego, co powoduje, że nie jestem warta miłości. Naprawdę tak uważałam i musiały minąć lata, nim zaczęłam myśleć, że może tak wcale nie jest. Nawet jednak wtedy, kiedy zaczęłam jej nienawidzić za brak uczuć... tak miałam pomieszane w głowie... w dalszym ciągu uważałam, że to moja wina, ale chciałam, by kochała mnie, choć jestem zła. Pozwoliłam sobie na margines zwątpienia i choć wykonywałam już wtedy obowiązki dorosłej kobiety, nie mogłam przecież myśleć jak ktoś dojrzały. Rozpaczliwie chciałam być dzieckiem, nie mieć zmartwień – tak jak inne dzieci – i chciałam, aby mi powiedziała, że wszystko jest dobrze, nie powinnam się martwić i mam iść na po-

dwórko się pobawić. Nigdy tego jednak nie powiedziała. Nigdy mi nie powiedziała, żebym się nie martwiła. – Mary zamilkła, głowę miała w dalszym ciągu obróconą w kierunku wysokiego okna, ku fosforyzującemu w wilgotnym powietrzu miastu. Nieświadoma tego co robi, opuściła dłonie ku brzuchowi Margaret i zwijała w palcach rosnące tam skręcone włosy. Z nagłym przerażeniem Margaret popatrzył na jej profil, jakby wbrew wszelkiemu rozsądkowi uważał, że ratunek leży w kompletnym bezruchu. – Równocześnie czułam potrzebę... chronienia jej. Czułam się za nią odpowiedzialna. Dlatego od początku godziłam się na jego jęklive prośby. Nie mogłam zapomnieć nędznego życia, jakie prowadziłyśmy w nędznych pokojach, i długich, upalnych nocy, w czasie których godzinami słyszałam jej płacz i starałam się powstrzymać łzy tuleniem lalki o porcelanowej twarzyczce... To dlatego dawałam mu, co chciał, dzięki temu nie musiałyśmy wracać do takiego życia. Ona doskonale to wiedziała.

Mary znów zamilkła, ale jej pięści o wymanikiurowanych palcach ugniatały brzuch Margaret, ugniatały i skręcały skórę, szczypały i ciągnęły tak gwałtownie, aż oczy Margaret wypełniły się łzami, które zaczęły spływać po twarzy wraz ze smugami tuszu do rzęs.

Margaret zamarł niemal w katatonii. Był niezdolny ani zamrużyć, ani przełknąć, w ustach zbierała mu się ślina i to w takiej ilości, że zaczęła wypływać na zewnątrz, zalewając rozdziawione, umalowane wargi lepкими, kleistymi pasmami, które po chwili spłynęły na wypudrowaną szyję i okleiły skraj peruki. Nic z tego jednak nie czuł

– widział i dostrzegał jedynie Mary oraz jej niewysłowione, śmieronocione piękno.

– Wyrzekła się mnie – powiedziała Mary rozcapierzając na jego brzuchu palce. Wydała z siebie krótkie, zduszone westchnienie. – Wyrzekła się mnie, kiedy jeszcze byłam w jej łonie.

Skłoniła tułów do przodu i zaczęła głaskać perukę Margaret w geście niespodziewanej czułości. Margaret paraliżowało przerażenie. Mary opuściła jeszcze bardziej głowę. Poczul na biodrach ciężar jej piersi. Zbliżał się koniec. Zaczęła ssać skórę jego szyi. Tak bardzo chciał zrozumieć istotę psychiki Mary Lowe. Tęsknił za poznanieniem jej najskrytszych tajemnic i gorączkowo życzył sobie moc do nich dotrzeć. Kiedy zaczęła gryźć jego ciało i je żuć, jej zęby błyszczwały. Margaret wygiął głowę do tyłu i mimo śliny w ustach, zacharczał. Kiedy zęby Mary sunęły ku jego brzuchowi, przewrócił z przerażeniem oczami, ogarnięty niemożliwym do opisania odczuciem.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

Wszyscy byli zgodni, że o nakazie rewizji powinno wiedzieć jak najmniej osób. Palma zadzwoniła do Birleya i spytała, czy chciałby iść z nią i Grantem jako wsparcie, co należało mu się jako osobie mocno zaangażowanej w śledztwo i ze zwykłego szacunku wobec partnera. Na miejscu byli już Art Cushing i Richard Boucher, którzy przejęli pilnowanie domu od Maplesa i Lee. Leeland, który przez całe śledztwo cierpliwie siedział jak przykuty do biurka, w ostatniej chwili spytał, czy nie mógłby jechać z Birleyem, i chętnie spełniono jego prośbę.

Zorganizowanie wyjazdu zajęło mniej więcej godzinę. Czeka-
jąc, aż Birley dojedzie z domu, Palma szukała sędziego, który dziś podpisywał nakazy. W końcu znalazła go w Brennan's, gdzie jadł z rodziną kolację z okazji urodzin żony. Palma wyciągnęła sędziego do parnego ogródka, posadziła przy stoliku i poinformowała o rozwoju wypadków. Sędzia – jako ostrożny i politycznie przebiegły człowiek – zadał mnóstwo pytań, dając jasno do zrozumienia, że nie da się zwodzić krętackimi odpowiedziami. W końcu wyraził zgodę na podpisanie nakazu – co zrobił kładąc formularz na torebce Palmy.

Potem Palma i Grant – Birley i Leeland jechali za nimi – znów ruszyli na zachód. Kiedy mknęli między wysokimi sosnami Memoriał Park, światła reflektorów wydobywały z ciemności poskręcane jak smugi dymu pasma bardziej wilgotnego powietrza. Niemal do-

kładnie czterdzieści osiem godzin temu odbierała go z lotniska i wiozła tą samą drogą do hotelu, w którym znaleziono Sandrę Moser, do domu gdzie zamordowano Dorothy Samenov, i wielkiej czerwonej sypialni w Hunters Creek, w której odbyła ostatni akt miłosny Bernadine Mello. Palma tak bardzo koncentrowała się na sprawie, że straciła poczucie czasu, wydawało jej się że Grant był w Houston już tydzień, może nawet miesiąc.

Od wyjazdu z komendy oboje się nie odzywali, pierwsze słowa padły, kiedy mijali skręt do Arboretum i zbliżali się do wjazdu na West Loop Expressway.

– Co o tym myślisz? – spytał Grant.

– O czym?

– O zbliżającym się spotkaniu z Broussardem.

– Myślę, że jeżeli nie znajdziemy u niego w domu nic, co go przy szpili, to chyba oszaleję. – Kiedy Grant nie odpowiedział, Palma spytała: – Powiedziałam coś nie tak?

– Określiłaś to idealnie. Właśnie tak się dzieje – człowiek szaleje.

– Kiedy nie można ich dorwać, tak?

– Tak. Przez te kilkanaście lat, odkąd się w to bawię, mieliśmy sporo spraw, których nigdy nie udało się wyjaśnić. Z początku byłem konsultantem w kilku nie rozwiązanych sprawach i dręczyło mnie to, wręcz zżerało, ale kiedy po raz pierwszy sam prowadziłem sprawę, której nie dało się rozwiązać, o mało nie oszalałem. Strasznie mnie męczyła. Nie mogłem o niej zapomnieć. Śniłem o niej. Śniłem o niej

na jawie. Był to pierwszy przyniesiony z pracy stres, który wbił się klinem pomiędzy mnie a Marne. Wtedy po raz pierwszy odczuliśmy, co to znaczy. – Wyjrzał przez okno w ciemność, potem znów zapatrzył się w stożek światła reflektorów. – Ten pierwszy raz omal nie przenicował mojego życia, ale jakoś nauczyłem sobie z tym radzić. Marne też. – Milczeli, póki nie przejechali pod West Loop i nie wtoczyli się w węższe uliczki Woodway, gęsto obsadzone drzewami. – Potem nastąpił drugi nie rozwiązany przypadek, potem następne. Mam ich do dziś sporą kolekcję. – Postukał się palcem po głowie. – Siedzą tu jak uśpione nowotwory. Wiadomo, że tam są, ale staram się o nich nie myśleć. Jeżeli zaczniesz się o nich myśleć, zwróci na nie uwagę, mogą znów ożyć... i ponownie zacząć zabijać.

– Czy chcesz mnie na coś określonego przygotować?

– Nie, ale chodzą mi po głowie te nie rozwiązane sprawy, o których dziś wspominałaś. Cztery, pięć tysięcy w roku. Niektóre w końcu da się wyjaśnić, ale większości nie. Sumują się tworząc liczby, o których lepiej nie myśleć.

– Jesteśmy na miejscu – stwierdziła w tym momencie Palma i skręciła w wąską ulicę. Domy stały cofnięte między drzewa i krzewy, niewidoczne z jezdni – jedynymi znakami, że okolica jest zamieszkała, były ziejące w gęstej zielni tunele wąskich, asfaltowych podjazdów. Niektóre z nich obrzeżono niskimi lampami, odbijającymi się od żywopłotów upiornymi plamami zieleni, czasami mignęło blade światło okalające czytnik kart magnetycznych do otwierania bramy.

Palma wjechała w lewo między pinie i dęby, zredukowała światła do postojowych i skręciła na pamięć w prawo, w podjazd pod „studio” Broussarda. Przed sobą widziała skryty w ciemności wóz Cushinga, w lusterku reflektory auta Birleya i Leelanda. Stała obok wozu Cushinga, zgasiła silnik i wysiedli. W cichej, wilgotnej ciemności głucho trzasnęły drzwi pozostałych dwóch samochodów. Zaskrzypiał żwir, a po chwili cała szóstka stała w ściślejszej grupie przy samochodzie Palmy.

– Na ile jestem w stanie ocenić, nie działa się nic wstrząsającego – odezwał się jak zwykle pierwszy, ale cicho, Cushing. Stał tak blisko, że Palma czuła zapach jego wody kolońskiej. – Dom był kompletnie ciemny, dopiero godzinę temu Rich zauważył słabe światło w oknach na górze. – Wskazał ruchem głowy na odpowiednie okna. – Przeszliśmy się trochę, by wyczuć teren. Okrągły podjazd pod domem ma wyjazd tam – wskazał miejsce, którędy właśnie wjechali – a po obu bokach domu biegnie mur. W tym, którego bliżej stoimy, jest furka, przez nią można się dostać do domu od tyłu. Zaglądaliśmy przez nią, widać wielki trawnik, opadający do samego zalewu. Jest tam też wielki taras.

– Co z tymi światłami na górze? Wygląda mi to na narożny pokój.

– Tak pewnie jest. Górne piętro, sam róg. Światła było widać w tyłu oknach, że naszym zdaniem pokój ciągnie się z tyłu przez całą szerokość budynku. Wygląda też na to, że okna są pootwierane; są wielkie, do samej podłogi.

– Co jest pod oknami?

– Chyba żywopłot, dość blisko domu, potem piętnaście, może dwadzieścia metrów dziedzińca, a potem trawa i drzewa do samej wody. Hej, co to ma być? Wpadamy z hukiem? Myślałem, że mamy mu pomachać przed nosem nakazem rewizji...

– Nie spodziewamy się, by otworzył drzwi – odparła Palma. Miała nadzieję, że nikt jej nie zapyta, jak zamierza ściągnąć na siebie uwagę Broussarda. – Cush, może byś został przy samochodach, na wypadek gdyby ktoś próbował uciekać przez podjazd? – Wiedziała, że ewentualność pościgu samochodowego bardzo mu się spodoba, ona zaś nie będzie go miała za świadka, gdyby postanowiła zrobić coś niezbyt zgodnego z regulaminem. – Don, mógłbyś z Richem stanąć pod oknami od tamtej strony? Ktoś może próbować tamtędy wiać. – Nie znała aż tak dobrze Bouchera i nie chciała jemu samemu powierzać opieki nad ewentualną ważną drogą ucieczki, poza tym tak samo jak w przypadku Cushinga, nie chciała, by widział, jak robi cokolwiek wbrew zasadom. – John, mógłbyś zająć się tarasem? Najprawdopodobniej wychodzą na niego oszklone, dwuskrzydłowe drzwi, może nawet kilka par, żeby było widać trawnik i zalew. Uważaj, jeżeli siedział długo w ciemności, może cię zauważyć. – Powiedziawszy to, stwierdziła, że nie było potrzeby mu tego mówić. Mimo to skinął głową. Wydawała zwykle polecenia szefa akcji. – Ja z Grantem podejmiemy od frontu. Jeżeli nikt nie zareaguje, wejdziemy na siłę, przejdziemy jak najszybciej się da na tył, do drzwi tarasu i wpuścimy cię do środka – powiedziała do Birleya. – Wszy-

szy mają mieć powłączane radiotelefony. Czekamy tu na was – popatrzyła na Leelanda i Birleya – aż dacie znak, że jesteście na swoich pozycjach.

Ani Palma, ani Grant, ani Cushing nie odzywali się, czekali, aż koledzy dotrą na miejsca. Grant nie odezwał się słowem od wyjścia z samochodu i Palma zastanawiała się, co myśli o jej sposobie zarządzania akcją. Ciekawiło ją, czy w takich momentach zawsze trzymał się w cieniu, czy robił to tylko teraz ze względu na nią. Uznała, że taki ma chyba charakter – gdyby sądziła inaczej, byłoby dla niego obrażą. Czas ciągnął się powoli, nie minęło jednak nawet dziesięć minut, gdy z radia rozległo się:

– Leeland, gotowe – a zaraz potem: – Birley, gotowe.

Ruszyła z Grantem do wejścia. Kiedy mijali zaparkowane mercedesy, Grant przystanął i zaczął do nich zaglądać, pozwalając Palmie iść dalej samej. Przy drzwiach stwierdziła, że przycisk dzwonka nie jest oświetlony i spojrzała w kierunku Granta – zaglądał do samochodów z drugiej strony. Wyjęła z torebki komplet wytrychów, bardzo kosztowny zestaw, który odziedziczyła po ojcu i którego nauczyła się używać jeszcze jako studentka. Gdy Grant podszedł, już była w trakcie pracy i zanim zdążył się odezwać, bębenek obrócił się i zamek szczęknął.

– Nie słyszałam dzwonka. – Nie skłamała, w razie czego mogła twierdzić, że działała zgodnie z literą prawa, no, aczkolwiek niezbyt zgodnie z jego duchem. Zrozumiała w tym momencie, dlaczego Grant tak dokładnie oglądał samochody na podjeździe. Musiał już

dawno temu się nauczyć, że doradzający lokalnej policji agent FBI nie zawsze powinien zbyt wiele wiedzieć o ich metodach działania.

Otwierając drzwi Palma wyraźnie czuła przenikający sukienkę pot i kiedy je pchnęła, powiew klimatyzowanego powietrza owiał ją chłodem. Przypomniała sobie dzień, kiedy wchodziła do mieszkania Dorothy Samenov i chłodne powietrze zapowiedziało widok, który ją całkowicie zmroził. Gdyby ich wejście wyzwoliło alarm informujący komisariat o włamaniu, Cushing miał za zadanie uspokoić sprawdzającego sytuację dyżurnego. Po chwili stali w holu, przyzwyczajając oczy i uszy do ciszy i ciemności. Równocześnie przygotowali broń. Palma zdawała sobie sprawę z tego, że może im się przytrafić podobny incydent jak wtedy, gdy weszli do jego studia, zdecydowała się jednak podjąć ryzyko, by go zaskoczyć. Widziała wejście do jadalni i pomieszczenie za nią, do którego przez szybki w wychodzących na taras drzwiach wpadały migoczące punkciki świateł miasta.

Popatrzyła na Granta. Skinął głową i ruszyła ku jadalni. Zatrzymała się przy przytykającym do niej, odchodzącym w prawo i lewo korytarzu, rozejrzała się w obie strony i omijając stół, przeszła przez pokój. Zatrzymała się przy wejściu do salonu. Było to długie pomieszczenie, ciągnące się niemal przez całą szerokość domu, sięgające od jednego do drugiego krańca tarasu. Wyrzała na zewnątrz i za słupkiem pomiędzy drzwiami dostrzegła Birleya. Przeszła ostrożnie przez pokój i otworzyła mu drzwi. W słabym świetle zamigotał jego colt.

Stanęli plecami do okien i chwilę lustrowali salon, potem szybko wrócili do czekającego w holu Granta. Po obu stronach holu znajdowały się szerokie, prowadzące na górę schody i Grant ruszył ku tym, które najprawdopodobniej wychodziły bliżej pomieszczenia z oświetlonymi oknami. Palma skinęła głową, na co przepuścił ją przodem. Wchodząc – ostrożnie, acz bez wahania – czuła, jak wewnątrz jej klatki piersiowej rośnie gorąca kula.

Kiedy doszła na górę, nie miała wątpliwości, jak iść dalej. Po lewej, może pięć metrów dalej, miała otwarte drzwi, skąd na korytarz wypływało pomarańczowe światło. Kolor był specyficzny i nie mógł pochodzić od słabej żarówki. Musiał istnieć inny powód tak specyficznej barwy.

Odsunęła się, aby Grant i Birley też mogli wejść na szczyt schodów, potem dała im znak, że pójdzie pierwsza. Kiedy dotarli do otwartych drzwi, przystanęli i zaczęli słuchać. Po kilku sekundach Palma ruszyła – gruby dywan na podłodze tłumił jej kroki – i weszła do niewielkiego przedpokoju za występem muru. W tym samym momencie zadrżało jej serce, poczuła bowiem zapach tych samych perfum, które wypełniały pomieszczenia, gdzie znaleziono pozostałe ofiary. W powietrzu unosił się jednak jeszcze inny zapach, słaby, acz przenikliwy, przypominający spaleniznę. Doleciał do niej syczący szept. Ciało przeszły dreszcz wywołany nagłym dopływem adrenaliny i spojrzała za siebie – Birley i Grant stali zaraz za nią. Kiwnęła krótko głową, wyszła zza występu i przyjęła regulaminową postawę strzelecką, przykucnięta, z bronią oburącz, kierując lufę prosto na

łóżko po drugiej stronie pokoju. Grant i Birley wypadli z za jej pleców i tak zamarli we trójkę z wyciągniętymi do przodu rękami, przygiętymi w kolanach nogami, patrząc wzduż luf na makabryczną scenę na znajdującym się pięć, może sześć metrów od nich łóżku.

Pokój był słabo oświetlony jedną lampką, stojącą na stoliku przy łóżku. Leżały na niej żółte szarfy, jedna dotykała bezpośrednio żarówki, czuć było swąd spalenizny.

Palma nie od razu ogarnęła, co widzi przed sobą, kiedy jednak dotarło do niej, co leży na przykrytym tylko prześcieradłem łóżku, zakreśliło jej się w głowie. Nie tylko nie była w stanie się poruszyć, niemal przestała oddychać. Ujrzała dwa nagie ciała, splątane długie jasne włosy, dwie twarze pomalowane tak samo jak poprzednie ofiary. Postać leżąca na plecach była masywniej sza, szeroko otwarte oczy patrzyły szklisto. W miejscu gdzie powinny być piersi, znajdowały się dwie owalne, poszarpane rany, a ciało zostało tak pogryzione, że z daleka zdawało się całe pokryte grubą warstwą dziobów po ospie. Ze środka brzucha, w miejscu gdzie powinien znajdować się pępek, wychodził pojedynczy, szary sznurek jelita, rzucony w poprzek brzucha, a strefa łonowa została tak pogryziona, że nie można było określić płci zwłok. To znaczy nie można by było, gdyby Palma nie widywała tak często okaleczonych ofiar. Kształt talii i bioder, układ mięśni brzucha oraz ciemne plamy w określonych partiach tułowia i nóg natychmiast pozwoliły jej się domyślić, że to zwłoki mężczyzny, i jeszcze zanim to do niej całkiem dotarło, zwróciła uwagę na tę drugą postać – tak piękną jak pierwsza była odraza-

jąca. Kobieta leżała na boku, tuż przy ofierze, nie zwracała uwagi na przybyłych, hipnotycznie skoncentrowana na okaleczonym mężczyźnie o pomalowanej twarzy. Jedną nogą uwodzicielsko głaskała go po stopie, głowę położyła tuż przy jego głowie i długimi, pięknymi palcami wodziła wokół ran na jego piersi. Jej długie jasne włosy mieszały się z włosami peruki mężczyzny, głowę ułożyła tak, by móc szeptać mu prosto w ucho. Palma stała bez ruchu. Jej emocje zakipiały i ze zdziwieniem stwierdziła, że w piersi budzi się łkanie, które – ku jeszcze większemu zaskoczeniu – nagle zamarło. Wszyscy troje stali w milczeniu, słuchając szeptu Mary Lowe, przepraszającej doktora Dominicka Broussarda, jęczącej i błagającej go, przypominającej mu, jak było kiedyś, przed ucieczką przez nędzne miasteczka na Południu, przed uwiedzeniem i zdradą, zanim stała się dla ojca kochanką, a dla matki aniołem zemsty.

Epilog

Burza w środkach masowego przekazu, jaka nastąpiła po aresztowaniu Mary Lowe, nie miała precedensu i w ciągu dwunastu godzin ogarnęła cały świat. Dzięki dwuznaczności całej sprawy, atrakcyjnej mieszance seksu i śmierci, artykuły opatrzone hasłem „Policjantka łapie morderczynię” natychmiast zdominowały pierwsze strony gazet. Zaraz po aresztowaniu Mary Lowe, a potem po przeniesieniu jej do więzienia hrabstwa, wprowadzono specjalne środki bezpieczeństwa. Przez pierwsze tygodnie każdy, kto miał choćby najbłahszy związek ze sprawą, był ścigany przez media, które szukały każdego punktu zaczepienia, aby ujawnić szczegóły. Wraz z upływem czasu i tak sterowanym ujawnianiem informacji przez wydział policji, by zredukować napięcie wywołane kilkoma sensacyjnymi przeciekami, zainteresowanie ekipą prowadzącą sprawę zaczęło maleć.

Wyspecjalizowany w unikaniu kontaktów z mediami Sander Grant opracował raport w zaciszu wydziału zabójstw i w ciągu czterdziestu ośmiu godzin siedział w samolocie do Quantico. Carmen Palma nie miała jednak aż tyle szczęścia. Od chwili ujawnienia pierwszego zabójstwa traktowano ją jako „naczelnego detektywa” w sprawie, a fakt, że była kobietą, od początku intrygował dziennikarzy. Przez tygodnie oblegali ją reporterzy z dużych i małych gazet, autorzy piszący do czasopism po obu stronach Atlantyku, spece od werbowania uczestników talk-shows, agenci zajmujący się reprezen-

towaniem interesów „sławnych ludzi” i producenci filmowi, machający kontraktami i obiecujący gwiazdkę z nieba, oraz początkujący autorzy bestsellerów, kuszący procentem od zysków i częstym wymienianiem źródła informacji.

Palma odmawiała wszystkim. Scena, którą ujrzała tamtego upalnego czerwcowego wieczora w domu Broussarda, zapadła jej głęboko w pamięć i jeszcze kilka miesięcy później często ten widok burzył jej spokój. Poznane w trakcie śledztwa kobiety – zarówno te, które zginęły, jak i te, które przeżyły – problemy, odkryte zarówno u zabójczym, jak i własne zakręty psychiki – wszystko to zaburzyło spokój jej duszy i nawet bez zamieszania tworzonego przez niezaspokojony apetyt mediów, nie pozwoliło jej wrócić do poprzedniego trybu życia. Przez jakiś czas jej dni były wypełnione odrabianiem zaległości i pomaganiem biuru prokuratora okręgowego w przygotowaniu sprawy. No i oczywiście, miała jeszcze bieżącą pracę. Jej świat nie zaczął się i nie kończył na przedziwnej sprawie Mary Lowe.

Majątek pozwolił Paulowi Lowe zaangażować najlepszych adwokatów i sąd natychmiast został zasypany wnioskami oraz wynikającymi z nich żądaniem, a także stał się obiektem wszelkich możliwych akcji dezorganizujących. Wyglądało na to, że proces Mary Lowe będzie skomplikowany. Dzięki kontaktom z biurem prokuratora okręgowego Palma była na bieżąco informowana o krystalizującej się linii obrony oskarżonej. Mary Lowe miała się przyznać od razu do romansu z doktorem Dominikiem Broussardem, adwokaci

z punktu zaczęli jednak wskazywać na to, że była tu nie partnerką, lecz ofiarą. Zaufała mu, a on wykorzystał to, z czego miał ją wyleczyć. Zarekwirowano notatki i nagrania Broussarda i okazało się, że z niezwykłą pewnością siebie, cechującą w życiu prywatnym wielu ostrożnych w życiu publicznym ludzi, prowadził „tajny” dziennik, w którym zapisywał wszystkie romanse, jakie miał przez lata ze swoimi pacjentkami. Dokument ten zawierał wystarczające ilości dowodów na potwierdzenie słów Mary Lowe. Broussard jako terapeuta nadużył zaufania pacjentki.

Jeżeli chodzi o wyjaśnienie, jak znalazła się w łóżku z martwym Broussardem, sprawa była bardzo prosta. Na prośbę terapeuty zgodziła się przyjść na spotkanie do jego domu. Tu lekarz podał Mary – wbrew jej woli – narkotyki, a potem zaatakował. Następne, co ujrzała, to wpadająca do sypialni policja. Wkraczając tego wieczora do domu Broussarda, policja tak naprawdę „uratowała” Mary od długotrwałego, niemoralnego zniewolenia przez podstępnego doktora. Choć nie wie, kogo jeszcze zwabił tego wieczora do swojego domu, Mary miała szczęście, że udało jej się ująć z życiem. Gospodyni Broussarda mogła zaświadczyć, że jej chlebowadca często sprowadzał do domu kobiety, które następnie najprawdopodobniej zmuszał do uczestnictwa w obrzydliwych rytuałach seksualnych – podobnie jak zrobił to z Mary Lowe.

Kiedy okazało się, że znalezione przy zwłokach Sandry Moser, Dorothy Samenov i Vickie Kittrie nie zidentyfikowane włosy – zarówno łonowe, jak i pochodzące z głowy – są identyczne z włosami

Mary Lowe, jej adwokaci jedynie pokiwali głowami. Od początku nie zaprzeczali, że ich klientka miała kontakty seksualne z kobietami. Broussard miał za zadanie „skorygować” jej skłonności biseksualne, a zamiast tego jego seksualne perwersje jedynie je nasiłiły. Było nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, że odbyła stosunek seksualny z każdą ofiarą tuż przed jej śmiercią – choć w końcu wszystkie należały do małej i zamkniętej grupy – ale też niczym więcej jak zbiegiem okoliczności. Z powodu regularnych kontaktów między czterema zamordowanymi kobietami, fakt znalezienia włosów Mary stracił na znaczeniu.

Zeznanie Mirel Farr, dotyczące sadomasochistycznych igraszek w jej studio, osłabiał fakt jej nie najlepszej reputacji oraz to, że była świadkiem biura prokuratora, które za zgodę na zeznanie zaoferowało zwolnienie z oskarżenia o ukrywanie Clyde’a Barbisha, praktycznie już przyszpilonego za morderstwo Louise Ackley i Lalo Montalvo. Sam Barbish wrócił już na tyle do zdrowia, by zdawać sobie w pełni sprawę z tego, co się wokół niego dzieje, i zaczął błagać o osłabienie oskarżenia w zamian za zeznanie, że to Reynolds wynajął go do zabicia Louise Ackley, która dowiedziawszy się o kolejnej dewiacji brata, zagroziła, że będzie go szantażować.

Istniały, co prawda, osoby mogące zeznać, że Mary często chadzała do Mirel Farr, aby uczestniczyć w grach sadomasochistycznych, ale to tylko dowodziło, jak bardzo została omotana przez Broussarda. Czyż on też nie chodził tam, by oglądać takie sceny? Najwyraźniej nie istniała granica, której by nie przekroczył

w korumpowaniu swoich pacjentek dla zaspokojenia swoich zбочonych potrzeb.

Gwoździem do trumny oskarżenia Mary Lowe przez prokuraturę miała być jednak ekspertyza dostarczona przez urzędników państwowych. Agent specjalny FBI Sander Grant, najstarszy pracownik działającego przy Akademii FBI w Quantico w stanie Wirginia, Wydziału Nauk Behawioralnych Krajowego Centrum Analiz Brutalnych Przestępstw, zostanie wezwany na świadka i złoży oświadczenie, że przez wszystkie lata, odkąd pracuje nad przestępstwami z użyciem przemocy, po przeanalizowaniu tysięcy morderstw, w tym wielu seryjnych, jeszcze nigdy nie spotkał się z tym, by sprawcą tego typu zabójstwa na tle seksualnym była kobieta. Nigdy.

Prokuratura, oczywiście, będzie wysuwać kontrargumenty, powoływać swoich świadków oraz w specyficzny sposób przedstawiać dowody i prowadzić sprawę, ale pozostawało jednoznaczny fakt, że oskarżenie Mary Lowe, która od początku była „ofiara”, nie miało szans zakończyć się udowodnieniem jakiegokolwiek winy. Nie wyglądało na to, by prokuraturze udało się kogokolwiek przekonać, że miała coś wspólnego z zabójstwami Moser, Samenov, Mello i Kittrie. Dowody w tych sprawach były jedynie poszlakowe. Nawet w sprawie śmierci Broussarda prokuratura będzie musiała ostrożnie i inteligentnie przesłuchiwać świadków, a potem dobrze się napocić, by przepchnąć sprawę. Gdyby zaś obrona doszła do wniosku, że przysięgli dają się przekonać prezentowanymi przez prokuraturę marnymi niby-dowodami, zamierzała zmienić taktykę na chwilową

niepoczytalność, co w świetle okoliczności, w jakich zastano Mary Lowe i Broussarda, byłoby aż nazbyt rozsądną linią obrony. Zostawszy ofiarą Broussarda, Mary po prostu została zmuszona do przekroczenia pewnej granicy, straciła równowagę psychiczną, a w efekcie stanu chwilowej utraty poczytalności zabiła go. Któż mógłby ją za to potępiać? Czy nie chodziło tu wręcz o samoobronę w najczystszym wydaniu?

Zdaniem adwokatów policja, która nie wiedziała, kto jest sprawcą, i nie ściagała konkretnego podejrzanego, nie wiedziała, jak poradzić sobie ze sprzecznymi dowodami. Dodatkowym dla niej zaskoczeniem była śmierć doktora Broussarda. Funkcjonariusze uznali więc, że los daje im do ręki stuprocentową podejrzaną, ale nie umieli skonstruować spełniającej wymogi logiki sprawy. Obrona mogła – i zamierzała to robić – kwestionować wszystko w każdej chwili, punkt po punkcie, pozostawiając do decyzji ławy przysięgłych, czy ta tak wykorzystywana w życiu matka dwojga dzieci byłaby w ogóle w stanie popełnić tak ohydne przestępstwo, o jakie się ją oskarża, przestępstwo – czego dowodziły akta FBI – jeszcze nigdy w historii nie popełnione przez kobietę.

Obie strony gromadziły dowody na użytek procesu, który miał się odbyć dopiero za kilka miesięcy. Palma zaś robiła, co do niej należało, zakopana po uszy w codziennej pracy, którą brała na siebie, próbując uwolnić umysł od szaleństwa. Musiała dwa razy zmieniać numer telefonu, a wśród ciągle jeszcze prześladujących ją pisarzy i filmowców miała opinię ekscentryczki (z powodu odrzucenia

popularności), idiotki (z powodu odrzucenia pieniędzy), suki (z powodu odwieszania słuchawki, ignorowania listów i telegramów, nieotwierania drzwi) albo „klasa babki” (ponieważ pozostała w zawodzie). Palma nie uważała się jednak za szlachetną, unikała bowiem myślenia o przyszłości – bez względu na to, czy miała się okazać się dobra czy zła.

Prawdę mówiąc, po tym co przeszła, odkryła, iż nie może się pozbyć poczucia bezradności czy nawet nieokreślonego niepokoju. Straciła spokój ducha. Nie mogła go odzyskać przypominając sobie po sto czy dwieście razy sceny zbrodni, odtwarzając przeprowadzone rozmowy czy zastanawiając się nad sposobem, w jaki prowadziła śledztwo. Nie dało się go osiągnąć w trakcie długich samotnych weekendów, kiedy to dumiała nad niespodziankami, których powinna się spodziewać, nad ludźmi, których poznała, czy nad sobą samą. Nie znalazła także ukojenia we włoskim winie ani ostatnich zielonych butelkach ginu tanqueray, jakie zostawił Brian. Ku rosnącemu zdziwieniu Palmy, cały świat się zmienił. A może to ona się zmieniła. Nic nie było już takie samo, żaden zapach, widok, dźwięk ani uczucie i nic nie dawało zadowolenia. Odkryła w sobie wiele rzeczy, jakich się nie spodziewała, ale jedynie zwiększyły jej czujność, może nawet budziły lęk, jej niepokój nie wynikał jednak tylko z tego. Coś zniknęło i każdą chwilę przenikało wrażenie pustki.

Pod koniec sierpnia, kiedy nad odnogami rzeki i kępami pinii zawisło rozpalone powietrze, a przez noc znad Zatoki Meksykańskiej spłynęła nieludzka, subtropikalna cisza, która przycisnęła do

ziemi przybrzeżne bryzy, normalnie dające ulgę rozpalonemu miastu, Palma spędziła niedzielne popołudnie samotnie, u matki, która pojechała odwiedzić drugą córkę. Uciekła od samotności we własnym domu i wolała siedzieć tam, gdzie nawet puste pokoje wypełniały wspomnienia, wszystko było znajome i nic się nie zmieniło. Tutaj wszystko było stałe. Nie czekały niespodzianki, które zakłócałyby przeszłość albo plamiły przyszłość.

Poszła do swojej dawnej sypialni, zdjęła bieliznę i włożyła na siebie luźną letnią sukienkę, potem na bosaka ruszyła leniwie przez dom, przyglądając się pustym pokojom, jakby przyszła z wizytą do starego przyjaciela, który przypominał jej czasy, kiedy wszystko było prostsze. W kuchni wyjęła z koszyka przy oknie dwie limety i zrobiła sobie zimną lemoniadę. Stała przy drzwiach na podwórko, zamieszała palcem w szklance i napiła się. Cykady brzęczały tak głośno, że zagłuszały dźwięki miasta. Sądząc po dźwiękach, tak samo dobrze mogła być w sercu dżungli.

Poląła wodą z węża kamienne ścieżki, platany i ketmie, aż podwórce zapachniało wilgotną ziemią. Potem poląła sobie wodą stopy i nogi, na koniec twarz. Nie ścierając wody z twarzy, zakręciła hydrant i poszła na huśtawkę. Usiadła wygodnie, wyciągnęła nogi. Zakołysała huśtawką i zaczęła się bujać. Popijała zimną lemoniadę, potem zebrała włosy i zwinęła je na czubku głowy.

Straciła poczucie czasu – a tego od dawna chciała najbardziej. Cokolwiek robiła, o czymkolwiek myślała, od prawie dwóch miesięcy wszystko przypominało jej coś dalekiego albo bliskiego, niepoko-

jącego albo otumaniającego, ale zawsze mającego związek z Mary Lowe i kobietami, które zginęły.

Właśnie wypięła lemoniadę i zaczęła zjadać kostki lodu, kiedy wydało jej się, że przed domem zatrzymuje się samochód. Widok zasłaniał jej mur, ale po chwili doleciał trzask otwieranych, potem zamykanych drzwi. Po kilku sekundach o płyty dróżki od frontu zastukały podeszwy butów, zbliżyły się, zatrzymały przed werandą. Kierowany jakąś intuicją gość skręcił i ruszył ścieżką do ogrodu.

Palma czekała, kruszyła zębami lód, patrzyła pomiędzy dwa obsypane szkarłatnymi kwiatami krzewy ketmii, między którymi za chwilę miał się pojawić gość. Był się nim Sander Grant. Ujrzał ją natychmiast.

– Boże... – jęknęła.

– Cześć. – Pchnął furtkę. Miał na sobie spodnie od garnituru i samą koszulę. Rozluźnił krawat, rozpiął kołnierzyk i podwinął rękawy. Zamknął za sobą furtkę i podszedł takim samym krokiem, jakim szedł frontową ścieżką. Palmie odebrało mowę i obserwowała go, jak idzie cętkowanym plamkami światła cieniem pod platanami, a jego złamany nos był dla niej najmilszym widokiem na świecie. Miała jeszcze na tyle przytomności umysłu, by spuścić nogi, zanim stanął na tyle blisko, by móc zajrzeć jej pod sukienkę.

– Niespodzianka, co? – spytał z uśmiechem.

Wzięła się w garść, postawiła stopy na ziemi i zatrzymała huśtawkę.

– Powiedziano mi, że jeżeli nie ma cię w domu, możesz być

u matki. – Stanął dwa metry od niej. W uszach huczały jej cykady. – Nie masz nic przeciwko temu, że przyjechałem?

– Ależ skąd. – Nie wiedziała, czy podać mu rękę, czy go objąć. Grant wsunął ręce do kieszeni i uśmiechnął się, jakby wiedział, co Palma czuje.

Nie mogła się na niego napatrzeć.

– Co tu robisz?

– Masz jeszcze trochę lemoniady?

– Jezu, oczywiście. Przepraszam. Proszę. Siadaj. – Wstała i natychmiast pomyślała z przerażeniem, jak musi wyglądać. Jej biustonosz i majtki leżały na łóżku w sypialni. Roześmiała się z zażenowaniem. – Nigdy bym nie pomyślała, że spadniesz z nieba.

Grant wzruszył ramionami, usiadł na huśtawce i popatrzył na nią. Czuła się naga. Sukienka nie była uszyta tak, by można ją było nosić bez bielizny.

– Pójdę zrobić coś do picia. To tylko limeta i woda. Zaczekaj sekundę. – Odwróciła się i ruszyła ku domowi. Oczywiście wpiérw poszła do sypialni.

Jeszcze nigdy nie napisałem tak długiego i szczegółowego raportu. Pracowałem nad nim kilka tygodni, dodałem wykresy i zdjęcia, raporty z sekcji i badań laboratoryjnych. Włączyłem wszystko, co miałem. Cholernie trudno było to zorganizować, ale to przecież przełomowa sprawa. – Siedzieli na huśtawce, mówił głównie Grant, raz za razem przerywał, aby się napić albo dotknąć chłodnym szkłem twarzy. – Już kilka razy przedstawiałem tę sprawę kole-

gom z sekcji, kadetom, oficerom z programu stypendialnego, każdemu, kto chciał wystarczająco długo słuchać.

Palma chłonęła jego słowa, tylko raz odwracając głowę, przerażona, że zbyt szybko w niego wpatruje. Wbiła wzrok w lemoniadę.

– Czy Rankin, jej adwokat, już się z tobą porozumiewał? – spytała Palma.

– Tak. Niezły burdel, co? – Grant cały czas patrzył na Palmę. Od przyjścia nie odrywał od niej wzroku.

– Potrwa jeszcze kilka miesięcy, zanim sprawa trafi do sądu. W tym czasie wiele może się zdarzyć.

Grant parsknął i odwrócił się ku furtce, którą przyszedł. Podniosła wzrok znad szklanki, zaczęła obserwować jego złamany nos, profil angielskiego żołnierza, smugi siwizny na skroniach, klatkę piersiową. Odwrócił się i przyłapał ją, jak się gapi.

– Chciałbym, żebyś zastanowiła się nad przyjazdem na jakiś czas do Quantico – powiedział. – Na jesieni zaczyna się nowy program stypendialny, właściwie to już we wrześniu. Poleciałem cię.

Palma nie spodziewała się tego. Widział, że się waha.

– Kurs zaczyna się za trzy tygodnie, więc nie masz zbyt wiele czasu do namysłu. – Popatrzył na swoją szklankę i zagrzechał lodem. – To roczny kurs. Byłabyś rok w Akademii.

– Nie wiem, czy będę mogła.

– Pozwoliłem sobie porozmawiać na ten temat z kapitanem McCombem... – ostrożnie powiedział Grant. – Wie, co sądzę o twoich możliwościach. Do tego programu dostają się tylko najlep-

si. Jeżeli się zgodzisz, dostaniesz urlop. Pełnopłatny.

Palma nie wiedziała, co powiedzieć.

– Jestem... zaskoczona... Oczywiście to mi schlebia, ale nie wiem... czy sobie poradzę. Po tym kursie głównie to bym robiła, prawda? Profile?

– Zgadza się. Analizy brutalnych przestępstw. Przez minimum trzy lata byłabyś zobowiązana robić to, do czego zostałabyś wyszkolona przez Biuro.

Znów odwróciła głowę, pokręciła nią, niepewna.

– Posłuchaj, powinnaś dalej rozwijać to, co w sobie odkryłaś. Masz niezwykle zdolności. Jeżeli nie po nic innego, to powinnaś przejść ten kurs choćby po to, aby nauczyć się z nimi żyć, lepiej je zrozumieć. One nie znikną, wiem to. Jeżeli chcesz od nich uciec, musisz zmienić zawód. Całkowicie, bo raz użyte, nie znikną. To jak w przypadku artysty, który odkrył w sobie dar wyczucia koloru. Nic na to nie może poradzić. To jest niezależne od jego woli. Możesz jednak nauczyć się panować nad swoim darem, zdyscyplinować go.

Palma trzymała szklankę i przyglądała się jaskrawopomarańczowym i żółtym kwiatom rosnącej za ścieżką lantany. Wysoko w dębach i surmiach szalały cykady, przypominając Palmie o samotności. Nie wiedziała, co powiedzieć, nie wiedziała nawet, co czuje.

– Chciałbym, byś się nad tym zastanowiła. To rok.

– Czy po to przyjechałaś?

– Przyjechałem z tobą porozmawiać.

Patrzyła na niego i przez chwilę zdawało jej się, że nic więcej nie powie, jednak się odezwał.

– Posłuchaj. Nie chcę robić wrażenia nieodpowiedzialnego, to wszystko. Wiesz, przez co przeszedłem w minionym roku i wydaje mi się, że zrobiłem na tobie dość... frywolne wrażenie... albo... bo ja wiem... Nie chciałbym, byś mnie źle rozumiała. Będziemy mieli rok. Mogłabyś mnie przez ten czas poznać.

Palma popatrzyła na niego. Tak, mogłaby go przez rok poznać, nie sądziła jednak, by cokolwiek mogło się zmienić w tym, co wypełniało ją w tej właśnie chwili. Poczwała ogromną ulgę, pierwszą prawdziwą ulgę od dwóch miesięcy, od dnia powrotu Granta do Waszyngtonu i z ogromną wdzięcznością pomyślała, że na szczęście okazał się mądrzejszy od niej w podejściu do panującego między nimi milczenia. Gdyby nie wrócił, chyba nigdy nie rozumiałaby, co tak naprawdę się między nimi wydarzyło.